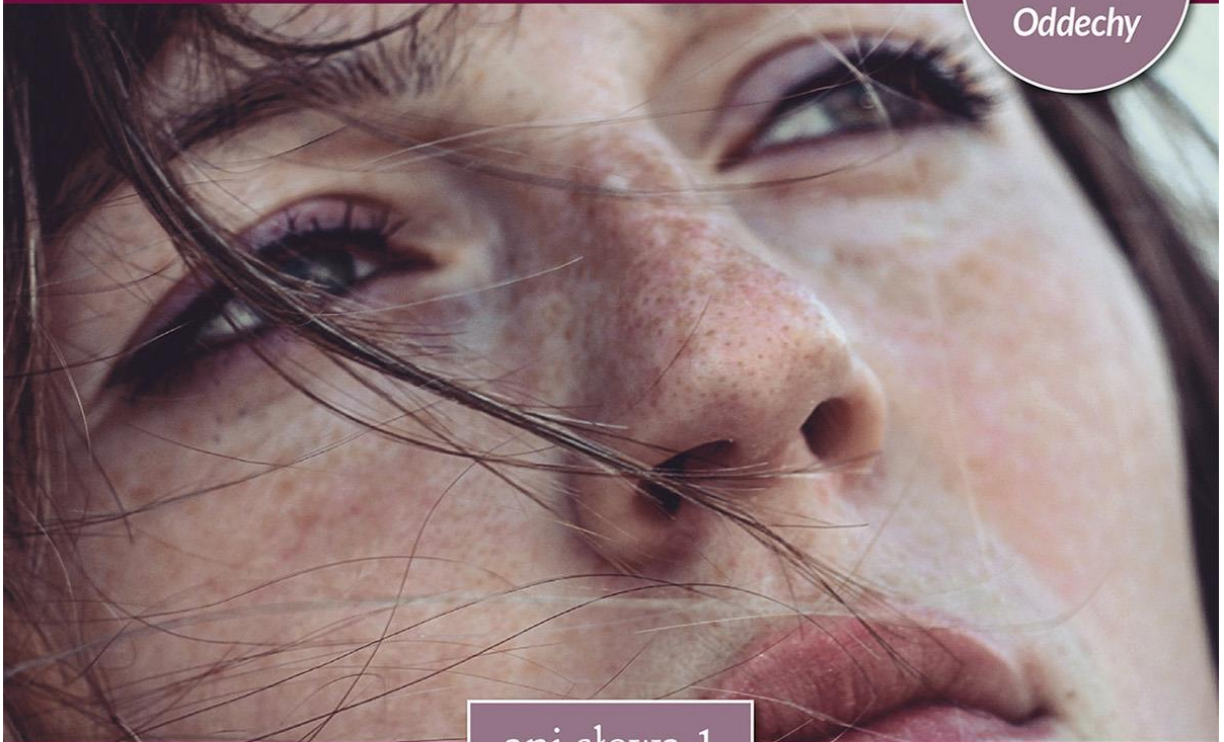


gdybym wiedziała

Wybuchowy i uzależniający początek serii,
zwiastujący romans, intrygi i niebezpieczeństwo...

Autorka
serii
Oddechy



ani słowa 1

REBECCA DONOVAN

Feeria
young

gdybym wiedziała

REBECCA DONOVAN

Przekład:
Monika Nowak

Feeria
young

Spis treści

gdybym wiedziała Prolog Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6
Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Podziękowania znając ciebie Prolog Rozdział 1
Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9
Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział
17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Podziękowania O autorce

Tytuły oryginałów: *If I'd Known* oraz *Knowing You*

Przekład: Monika Nowak
Opieka redakcyjna: Maria Zalasa
Redakcja: Karolina Pawlik
Korekta: Natalia Józwiak
Projekt okładki i skład: Norbert Młyńczak

Copyright © 2017 by Rebecca Donovan
All rights reserved.
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-814-0
Wydanie I, Łódź 2018

Wydawnictwo JK
Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,
92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Z dedykacją dla tych, co Wierzą
– Wasze serca zawsze znają prawdę –

gdybym wiedziała

Prolog

Wszyscy jesteśmy przeklęci – absolutnie każdy z nas.

Naszą zgubą nie okażą się wcale nieodparte chęci czy uzależnienia. To nie przez chciwość ani pragnienie wylądujemy na kolanach. Nasze przekleństwa wpaja się nam jako zalety; ideały, do których powinniśmy dążyć. Tyle że to są właśnie cechy uznawane za najbardziej zaszczytne, powodujące największe zniszczenie.

Wiem coś na ten temat. Przez całe życie jestem tego świadkiem. *Wiara, Zaufanie, Życzliwość i Odwaga*. Można by sądzić, że to najlepsze cechy z możliwych. A jednak to one są powodem niemal całego zła w moim życiu.

Moja matkę przepelnia *Wiara*, że znajdzie ją miłość. Nadal wyczekuje powrotu mężczyzny, który w wieku siedemnastu lat przysiągł jej dozgonną miłość.

Moja babcia doznawała rozczarowania za każdym razem, kiedy *Zaufanie*, którym kogoś obdarzyła, zostało nadużyte, więc teraz nieustannie podaje w wątpliwość motywy i intencje innych osób.

Moja ciotka Allison wpuszcza do swojego życia niewłaściwych ludzi – nie potrafi zrozumieć, że jej *Życzliwość* nie oznacza, iż inni odpowiedzą w taki sam sposób. Ma troje dzieci z trzema różnymi mężczyznami i mieszka sama w Karolinie Południowej, będąc w ciąży z czwartym.

A najstarsza z siostr, moja ciotka Helen, nie radzi sobie na tym świecie, bo jej *Odwaga* okazuje się bardziej niszcząca niż inspirująca.

Zastanawiam się, czy tylko ja to widzę – te słabości w nas. Nie wiem, czy rodzimy się przeklęci, czy ktoś rzuca na nas czar w punkcie zwrotnym w naszym życiu, ale to właśnie nas definiuje i ostatecznie prowadzi do naszej zguby. Możemy albo to zaakceptować, albo stosować mechanizm wyparcia.

Większość robi to drugie, w nadziei na „żyli długo i szczęśliwie”.

Cóż, przykro mi to mówić, ale „żyli długo i szczęśliwie” to stek bzdur – iluzja wymyślona po to, aby sprzedawać książki i bilety do kina. Mimo to ludzie chcą – nie, oni *muszą* – wierzyć, że coś takiego istnieje. Wolą kłamstwa.

Ja? Ja wolałabym znać prawdę, nieważne jak brutalną.

Co przypomina mi o moim przekleństwie... *Szczerości*. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek skłamała, nawet kiedy byłam mała. Moja babcia tolerowała wyłącznie prawdę, poza tym czemu miałabym chcieć kłamać? To potwornie męczące i zbyt wiele wysiłku trzeba wkładać w robienie tego w sposób przekonujący.

Każdego dnia widzę, co potrafią czynić kłamstwa. Fałszywa nadzieja. Wiara w coś, co tak naprawdę nigdy nie istniało. I co nigdy się nie spełni.

Moje przekleństwo nauczyło mnie rozszyfrowywać te brednie. Ale mówienie prawdy nie zawsze dobrze się kończy.

Przez większość czasu nie przejmuję się tym, kogo mogę urazić. Mówię to, co myślę. Zadaj mi pytanie, a uzyskasz szczerą odpowiedź. A jeśli wcale nie chcesz jej poznać, nie pytaj.

– Czy w tych dzinsach wyglądam grubo?

Tak. Ale przecież jesteś gruba, więc dzinsy nie mają z tym nic wspólnego.

– Myślisz, że on mnie lubi?

Nie. Świadczy o tym choćby to, że wczoraj wieczorem wkładał język do gardła innej

dziewczyny.

– Możemy nadal być przyjaciółmi?

Nie. Zresztą w ogóle nimi nie byliśmy. Strasznie mnie irytujesz. I wcale się nie obrażę, jeśli nigdy więcej się nie zobaczymy. A teraz idź już sobie.

Zaakceptowałam fakt, że niezależnie od tego, jak bardzo jestem szczerą czy milczącą, prawda w końcu zniszczy moje życie.

Rozdział 1

– Wszyscy kłamią, w szczególności chłopcy. Musisz go strzec z całych sił. – Babcia dotyka pomarszczonym palcem mojej klatki piersiowej i stuka w serce. – Nie daj się nabrać na słodkie słówka czy miły uśmiech, bez względu na to, co chłopak ci obiecuje. Jeśli coś wydaje się zbyt dobre, aby było prawdziwe, to takie właśnie jest.

Nienawidzę was. Szczerze nienawidzę – oświadczam brudnym ciuchom, które wkładam do plecaka.

Do samoobsługowej pralni miałam iść wczoraj wieczorem, ale byłam zbyt wykończona po pracy i wybrałam sen. Kiedy koło północy padłam na łóżko, udało mi się przekonać samą siebie, że wstanę wcześniej i zajmę się praniem przed szkołą – co było głupie, bo zdecydowanie nie należą do skowronków. Więc teraz nie dość, że jestem wykończona, to na dodatek głęboko nieszczęśliwa.

Do bocznej kieszonki wkładam mały portfel z dwudziestopięciocentówkami, na wierzch dorzucam kilka podręczników, po czym mocno zawiązuję sznurek. Ciągnąc za sobą wielki plecak z ciuchami, zamykam drzwi pokoju i zostawiam plecak obok drzwi wejściowych.

Przez oparcie krzesła w kuchni ktoś przerzucił ciemny garnitur. Na nim leży liścik.

Lano, dalabyś radę podrzucić go do pralni chemicznej? Jeśli nie – oczywiście rozumiem.

Nick

Rzucam kartkę na stół i biorę z krzesła marynarkę. Jej ciężar i jedwabistość materiału świadczą o wysokiej cenie. Unoszę ją przed twarzą, zerkając na satynową podszewkę. Na pewno ten strój uszyto na miarę. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, ile Nick za niego zapłacił.

– Masz szczęście, że cię lubię – mówię do garnituru, ale oczywiście mam na myśli jego właściciela.

Nick poznał moją matkę mniej więcej przed rokiem, kiedy pracowała tymczasowo jako recepcjonistka w kancelarii prawnej w Bostonie, mnie jednak przedstawiła go jakieś sześć miesięcy później. To nie pierwszy facet w garniturze, któremu spodobały się jej długie blond włosy, jasna cera i młodzieńcze krągłości, ale jest jednym z niewielu rzeczywiście jej wartych. Nick pochodzi z Nowego Jorku, ale regularnie podróżuje między tym miastem a Bostonem. Kiedy przebywa tutaj, zatrzymuje się u nas, mimo że dojazd do pracy zabiera mu półtorej godziny. Chce wynająć mieszkanie bliżej miasta, gdzie mogliby mieszkać razem. Myślę, że jedynym powodem, dla którego moja matka nie udzieliła mu odpowiedzi, jestem ja.

Nauczyłam się nie angażować w jej życie uczuciowe. Nie dzielimy optymistycznego poglądu na miłość. Ale to oczywiste, że Nickowi na niej zależy, a ja nie zamierzam stawać na drodze do jej szczęścia. Zasluguje na nie. Zasluguje na tego faceta.

Przerzucam marynarkę przez oparcie krzesła. Ruszam w stronę lodówki, ale coś z brzękiem spada na podłogę. Zatrzymuję się i powoli obracam, a mój żołądek reaguje jeszcze zanim dostrzegam przedmiot, który wypadł z kieszeni marynarki. Wpatruję się w niego przez chwilę, żałując, że nie przejrzałam jego właściciela tak, jak pozostałych admiraatorów mamy.

Teraz go nienawidzę.

– Och, ty dupku – syczę i schylam się, żeby podnieść tę rzecz.

Nagle kuchnię wypełnia egzotyczny, lekko pikantny zapach. Prostuję się i stoję tyłem do Nicka – bo to właśnie on tak pachnie – zaciskam usta.

– Dzień dobry – mówi pogodnie mężczyzna. – Wcześniej wstałaś.

Odwracam się w jego stronę. Musiał dopiero co wyjść spod prysznic, bo ciemne włosy ma jeszcze mokre i zaczesane do góry. Wszystko w nim jest kosztowne – od śnieżnobiałej koszuli do śnieżnobiałych, idealnych zębów. Zupełnie nie pasuje do tej zdezelowanej kuchni. Ciągnie za sobą walizkę i stawia ją w drzwiach.

Nie odpowiadam, jedynie patrzę na niego, zastanawiając się, jak mogłam wcześniej tego nie dostrzec. Mam dar rozpoznawania, kiedy ktoś nie jest tym, za kogo się podaje, potrafię przejrzeć kłamstwa. Ale tego akurat w ogóle się nie spodziewałam. Nick był taki przekonujący. *Uwierzyłam mu!*

Ta zdrada pali jak ogień, choć może to kwestia zranionej dumy. Tak czy inaczej mam ochotę walnąć go w brzuch.

– Wszystko w porządku? – pyta Nick, ściągając z niepokojem brwi. – Jeśli chodzi o garnitur, to mogę zabrać go ze sobą i poprosić w hotelu o jego odesłanie. Pomyślałem po prostu...

– Albo możesz poprosić żonę – przerywam mu. Unoszę środkowy palec, prezentując tytanową obrączkę wysadzaną czarnymi brylantami. – Nie czeka na ciebie w Nowym Jorku?

– Co... Lana, ja... – jąka.

– Przestań – przerywam mu, nim zacznie znowu kłamać. Mój głos ocieka jadem.

– Wynoś się. I nie wracaj. Jeśli to zrobisz, zamorduję cię, kiedy będziesz spał. Jasne?

Stoi znieruchomiały w drzwiach. W jego oczach dostrzegam błysk paniki.

– To nie...

– Gównno prawda. – Przepycham się obok niego, przez co on zmuszony jest cofnąć się o krok.

Spod drzwi biorę plecak i nie bez wysiłku zakładam go na plecy. Nie odwracając się, rzucam ostrzegawczo:

– Powiedz jej prawdę, inaczej ja to zrobię.

– Lana? – Ułamek sekundy przed tym, nim zatrzasnęję za sobą drzwi, słyszę dochodzący z sypialni głos matki.

Spuszczam wzrok na obrączkę na palcu i zaciskam gniewnie usta. To ją zabije. Wzdycham ciężko i schodzę po schodach, a z każdym krokiem wielki plecak obija mi się o uda. Jest prawie tak duży jak ja i niewiele brakuje, żeby spadła ze schodów.

O tak nieludzkiej godzinie na ulicy panuje wyjątkowy spokój. Promienie słońca dopiero się prześlizgują po okolicznych budynkach. Kiedy idę chodnikiem, chłodne, poranne powietrze studzi mi policzki.

Nie mieszkamy w najlepszej okolicy, ale w Sherling w sumie nie ma czegoś takiego jak *dobra* okolica. Przynajmniej nie ma u nas wszechobecnego gangów. Nasze mieszkanie znajduje się przy bocznej uliczce z kilkunastoma domami wielorodzinnymi. Przez balustrady przewieszono suszące się pranie. Na podjazdach stoją zdezelowane samochody. Przez większą część czasu zza otwartych okien dobiegają krzyki albo płacz dzieci, które potem wędrują ulicami niczym biały szum. Generalnie tego nie słyszę, chyba że ktoś klóci się wybitnie dramatycznie. Tak więc teraz, kiedy ulica jest pusta i wszyscy jeszcze śpią, ta cisza dodaje mocy buzującej w mojej głowie złości.

Moja matka nie pasuje do tego miejsca w takim samym stopniu, jak Nick. Wiem, że choć

spędziła tutaj większość życia, nigdy się tak do końca nie dopasowała. To łatwowierna marzycielka. Delikatny kwiat walczący o światło pośrodku składowiska odpadów. Ten gość obiecał, że ją stąd zabierze. Miał ją uratować przed życiem, które dzień po dniu wysysa z niej kolory.

Ona w każdym człowieku dostrzega dobro, niezależnie od tego, kim jest czy co osiągnął. Zawsze uważałam to za przejaw naiwności. Ale mama autentycznie pragnie wierzyć w to, że wszyscy ludzie są dobrzy. Kłamcy. Oszuści. Manipulatorzy. Dranie, którzy wykorzystują ją do zaspokajania własnych potrzeb. Nie tylko mężczyźni, kobiety także. Te, które udają przyjaźń, dopóki zazdrość nie odsłoni ich egoizmu i braku pewności siebie. Wszyscy są tacy sami. Ale mama nie zgadza się postawić na nich kreski, bo kiedy kocha to całym sercem. Dlatego *Wiara* to jej przekleństwo. To wiara w końcu ją zniszczy.

Zaciskam dłonie w pięści, a krótkie paznokcie wbijają mi się w skórę. Och, ależ ja nienawidzę teraz Nicka. Wszystko z nim związane jest kłamstwem. Tak bardzo żałuję, że go nie przejrzałam. Ale wydawał się taki szczerzy. Może to jego przekleństwo i powód, dla którego nie byłam w stanie wykryć jego oszustw... *Szczerłość*.

Jeśli przekleństwem Nicka jest *Szczerłość*, to reprezentuje sobą najgorszy typ ludzi. Tacy jak on przekonują innych, aby im uwierzyli i obdarzyli zaufaniem po to tylko, aby ich potem zniszczyć.

Całodobowa pralnia na końcu przecznicy okazuje się równie wyludniona jak cała ulica. Jedynie pod wywietrznikiem suszarki śpi jakiś bezdomny.

Załadowawszy pralkę, siadam na wyszczerbionym, laminowanym blacie i na skrzyżowanych nogach kładę otwarty zeszyt ćwiczeń Tori – mojej najlepszej przyjaciółki i próbuję się czymś zająć, żeby odwrócić uwagę od palącej wściekłości, która niezmiennie kłębi się w moim żołądku.

Moją uwagę od zadania domowego Tori z algebry odciąga charakterystyczny brzęk toczącej się po chodniku butelki. Ulicą idzie chwiejnym krokiem kobieta w spódniczce w lamparcie cętki i czarnym topie bez ramiączek i przeczesuje palcami potargane ciemne włosy. Pod oczami ma rozmazane cienie, a na ustach pozostałości szminki. Przyglądam się, jak porusza się pustą ulicą zygzakiem. Potyka się, kiedy obcas jej szpilki zahacza o krawężnik. Krzywię się, spodziewając się, że się przewróci, jakoś jednak udaje jej utrzymać równowagę.

Próbuję sobie wyobrazić jak wyglądała, kiedy wieczór dopiero się zaczynał, pewna siebie i seksowna. W pewnym momencie wzięło nad nią górę jej przekleństwo i jedyne, co z niej zostało, to ten cień kobiety.

••••

Kończę wypracowanie z angielskiego i w tej samej chwili bęben suszarki przestaje się obracać. Schowawszy poskładane ubrania do plecaka, ruszam w drogę powrotną do domu. Przez tę godzinę, którą spędziłam w pralni, okolica zaczęła powoli budzić się ze snu. Do skrzyżowań dojeżdżają samochody i czekają na zmianę świateł. Na przystanku autobusowym stoi kilka kobiet z torbami przerzuconymi przez ramię i wyraźnie potrzebujących porannej kawy. Przez otwarte okna dobiegają głosy i dźwięki muzyki. Spokojna cisza ustąpiła miejsca chaosowi.

– Nie rozumiem! – Jej rozpaczliwe zawrodozenie dociera do mnie, jeszcze zanim zdążę ją zobaczyć. – Czemu mi nie powiedziałaś?

Zatrzymuję się przed domem sąsiadów i widzę moją zrozpaczoną matkę, jak stoi pośrodku trawnika, a Nick z walizką w ręce obok swojego samochodu.

– Tak mi przykro, Faye. – Jego głos drży. – Naprawdę. – Odwraca się do niej plecami i wrzuca walizkę na fotel pasażera w błyszczącym czarnym bmw.

Kiedy siada za kierownicą, moja matka pada na kolana. Zakrywa twarz dłońmi, żeby ukryć łzy. Nawet stąd słyszę, jak pęka jej serce.

Kiedy Nick odjeżdża z podjazdu, spod kół uskakują drobne kamyczki i żwir. Guma łączy się z asfaltem i po ulicy echem niesie się pisk opon. Nasze spojrzenia się spotykają i pokazują mi środkowy palec, nadal ozdobiony jego obrączką. Wzdryga się.

– Dupek – burczę, żałując, że nie mogę powiesić go za jaja.

Odwracam się z powrotem w stronę zniszczenia, jakie pozostawił po sobie – i wcale nie mam na myśli podjazdu.

Z głośnym westchnieniem poprawiam paski na ramionach i ruszam w stronę kruchej kobiety na trawie.

– Na co się pani gapi? – warczę na sąsiadkę, która stoi na ganku z kubkiem kawy w ręce i przygląda się temu widowisku, jakby to było reality show.

Kobieta ma na sobie dziurawy frotowy szlafrok, a jej włosy to jedna wielka masa loków, jakby dopiero co wstała z łóżka – zresztą pewnie tak właśnie jest. Jednak z drugiej strony ona zawsze tak wygląda, bez względu na porę dnia. Po co się wysilać, skoro jedyne, co musi robić, to siedzieć w domu i pobierać zasiłek.

– Naprawdę nie powinna pani wychodzić na zewnątrz w takim stanie. Przez panią dzieci będą miały koszmary.

Dwóch chłopców idących na przystanek mijają nas ze śmiechem. Sąsiadka patrzy na mnie niechętnym wzrokiem, po czym zerka na nasz trawnik i kręcąc z dezaprobatą głową, w końcu chowa się do domu. Drzwi z siatką przeciwko owadom skrzypią głośno i zamykają się za nią.

Wyczuwam, że inni sąsiedzi także nam się przyglądają zza firanek.

Plecak z czystymi ciuchami odstawiam na ganek, a potem kucam obok mamy i kładę rękę na jej plecach.

– Chodź, mammo. Wejźmy do środka.

– On... mnie okłamał – wyrzuca z siebie, wstrząsana szlochem. Unosi głowę i widzę, że wielkie niebieskie oczy ma przekrwione. – Dlaczego... nie... powiedział mi... że wciąż jest żonaty?

– Bo to egoistyczny dupek – mówię, filtrując prawdę. Gdybym rzeczywiście była z nią szczerą, użyłabym o wiele więcej niecenzuralnych wyrazów. Obejmuję jej szczupłą talię i nakłaniam ją, żeby wstała. – Chodźmy do domu. Po co sąsiedzi mają dzięki tobie zarabiać na YouTube.

Nie słucha mnie, ale pozwala pomóc sobie wstać.

– Dlaczego? Ja nie... rozumiem. Myślałam... że mnie... kocha. Ja mu... wierzyłam.

– Wiem, mammo – mówię uspokajającym tonem, kiedy powoli idziemy w stronę drzwi. Też mu wierzyłam.

Schylam się, podnoszę plecak i przerzucam go sobie przez ramię. Jedną ręką obejmuję mamę, żeby się nie przewróciła, i razem pokonujemy stopień po stopniu.

Jakoś udaje nam się wejść na pierwsze piętro. Brzydkie drzwi do naszego mieszkania, z długim, nierównym pęknięciem pośrodku, są uchylone. Zamykam je i rygluję za nami.

– Czemu tego nie wiedziałam? Powinnam była wiedzieć. – Mama czka co drugie słowo.

Nie mam żadnej odpowiedzi, bo to *ja* powinnam była wiedzieć – co tylko potęguje targający mną gniew.

– Tak cię przepraszam, Lano – jęczy zgarbiona.

Wchodzi do swojego pokoju, a ja za nią.

– Nie masz za co przepraszać, mammo – mówię z westchnieniem pełnym zniechęcenia.

Powoli siada na skraju łóżka. Wzrok ma wbity w podłogę.

– Kochałam go – szepcze, a po jej zarumienionym policzku spływa łza.

– Wiem.

Kiedy mama ma jakieś zlecenie z agencji pracy tymczasowej, zawsze startują do niej mężczyźni w drogich garniturach i z czarującymi uśmiechami. To zrozumiałe. Jest piękna i życzliwa – dlatego postrzega się ją jako łatwy cel. Dla nich to przelotna przygoda. Seksowna laleczka jednorazowego użytku, która zapewni rozrywkę do czasu, aż pojawią się sygnały, że związek może się przerodzić w coś poważniejszego. Wtedy odchodzą. To była bolesna lekcja. Moja matka musiała się nauczyć ostrożności i jak nie nabierać się na piękne słówka byle palanta, który puści do niej oko.

Nie mam najłatwiejszego charakteru. Po tym, jak zbyt wielu jej chłopakom zagroziłam obcięciem różnych części ciała, kiedy ją skrzywdzili, musiałam obiecać, że się wycofam. Że pozwolę jej być „dorosłą” i podejmować własne decyzje. Od tamtej pory udawałam, że nie zauważam kolejnych chłopaków mamy.

Aż pojawił się Nick.

On od samego początku traktował ją z uwagą i ostrożnością. W ramach pierwszej randki zaprosił ją na kawę, a potem na lunch. W końcu na kolację i do kina. Powoli coraz bardziej się do niej zbliżał. A potem ja także dopuściłam go do siebie.

Był inny. Tyle że teraz się okazuje, że wcale nie.

Odsuwam kołdrę, żeby mogła się położyć.

To wciąż to samo łóżko, w którym sypiała, kiedy była mała. A pokój wygląda generalnie tak samo jak w czasach, kiedy dzieliła go z siostrami. Ususzone kwiaty wiszące z przyczepionych do parapetu haczyków upamiętniają utracone miłości. Każda powierzchnia nadgryziona jest zębem czasu. Zdjęcia, rysunki, pożółkłe plakaty z zespołami – nieustanne przypomnienia o życiu, z którego nigdy się nie wyrwiemy. To takie... przynębiające.

Pościel wciąż pachnie wodą kolońską Nicka, niepasującą do nieprzyjemnego aromatu ziołowych kadzidełek palonych przez mamę – kolejny sygnał świadczący o tym, że jego obecność zawsze stała w sprzeczności do świata mamy tutaj.

– Lano, ja...

– Przepraszam. Wiem. – Na białej poduszce pojawiają się szkarłatne plamy, kiedy z jej nosa zaczyna kapać krew. – Cholera, mamó.

Sięgam po pudełko z chusteczkami i wyciągam kilka. Bierze je ode mnie i przykłada do nosa. Pod jej oczami malują się cienie.

Mocuję się z zamknięciem fiołki z lekami. Wysypuję na dłoń małą tabletkę i podaję mamie razem ze szklanką wody, która stała na stoliku nocnym. Bierze ją ode mnie i łyka.

– Przyniosę lód.

Kiedy wracam z lodem owiniętym w ścierkę, na stoliku leży już cała sarta szkarłatnych chusteczek. Spod tej przyłożonej do nosa cieknie strużka krwi. Zamieniam chusteczki na wilgotny ręcznik i daję mamie lód, żeby go przyłożyła do grzbietu nosa.

– Spóźnisz się do szkoły – mamrocze przez nos, nie będąc w stanie otworzyć oczu.

– Wiem. – Zawsze się spóźniam, ale ona nie musi tego wiedzieć. Nie ma takiej opcji, żebym wyrobiła się z praniem i zdążyła do szkoły. – Dasz sobie radę, kiedy będę się szykować do szkoły?

– Idź – mówi cicho.

Po chwili wahania wychodzę z pokoju, ale zostawiam uchylone drzwi, żeby słyszała, gdyby mnie wołała.

Kiedy wracam, mama śpi. Ale po tym, jak ściąga brwi, wiem, że to niespokojny sen. Odsuwam z jej twarzy pasma miodowych włosów. Jest ciepła, być może ma nawet gorączkę.

Odkąd sięgam pamięcią, cierpi na migreny wywoływane stresem i... bólem serca. Nie wiem czemu jej ciało zdradza ją za każdym razem, kiedy robi to ktoś inny. Może jej serce nie radzi sobie z tym, że tak często jest łamane.

Przez kilka ostatnich miesięcy, choć była autentycznie szczęśliwa, migreny i tak się pojawiały, a razem z nimi silne krwawienia z nosa. W zeszłym tygodniu przestraszyła nas, kiedy musiała się chwycić blatu, żeby się nie przewrócić. Nick na przyszły tydzień umówił ją do lekarza, choć mama się upierała, że to nic takiego.

Przyglądam się jej chwilę dłużej. Twarz ma bladą z wyjątkiem cieni pod oczami i zaczerwienionych od gorączki policzków. Drgają jej powieki. Nie wygląda to dobrze i zaczynam się bać.

Zostawiam przy łóżku szklankę z wodą i karteczkę z informacją, że zadzwonię w czasie przerwy na lunch i musi odebrać, bo inaczej wrócę do domu. Wychodzę cicho z mieszkania.

Boli mnie klatka piersiowa, a ciało mam słabe z wyczerpania. A to przecież nie ja go kochałam.

Rozdział 2

- **On cię nie kochał! – słyszę krzyk mojej babci.**
- Powoli uchylam drzwi, tyle tylko, żeby widzieć, ale nie zostać przyłapaną.**
- **Kochał! I może nadal kocha!** – odkrzykuje moja matka, a twarz ma mokrą od łez.
- **Pozwól mi do niego zadzwonić.**
- Babcia trzyma w ręce telefon mamy.**
- **Skoro cię kochał, to gdzie teraz jest?**
- W oczach mamy widnieje zbyt wielkie oszołomienie, by mogła cokolwiek odpowiedzieć.**
- Wybiega z płaczem, głośno zatrzasnąwszy za sobą drzwi.**

W sekretariacie wręczam pani Kellerman podrobione usprawiedliwienie, w którym napisano, że miałam dzisiaj wizytę u lekarza. Lustruje je podejrzliwie, po czym coś na nim pisze.

Jestem już przy drzwiach, kiedy słyszę:

– Lano.

Może jeśli go zignoruję, to da mi spokój.

– Zamierzałem właśnie wezwać cię do gabinetu.

Powoli się odwracam, przywołując na twarz sztuczny uśmiech.

– **Panie Garner, wie pan, ile znaczą dla mnie nasze spotkania, ale miałam naprawdę ciężki ranek i muszę iść na geometrię. – Niełatwo być jednocześnie sarkastyczną i szczerą, ale jakoś mi się udaje.**

Mina mi rzednie, kiedy w drzwiach jego gabinetu dostrzegam panią Lewis z rękami na biodrach. Przy niej nie ma sensu niczego udawać. Nie znoszę jej, a ona o tym wie... bo powiedziałam jej to przy całej klasie, kiedy w zeszłym roku uczyła mnie algebry.

– **Przykro mi, ale to nie może poczekać – oświadcza pan Garner i w jego oczach widzę, że rzeczywiście jest mu przykro. – Nie powinno to zająć dużo czasu.**

Zaciskam zęby i wchodzę do gabinetu. Naprawdę nie jest mi to potrzebne. I nie jestem w odpowiednim nastroju, żeby cokolwiek ukrywać.

– **Usiądź. – Pan Garner wskazuje jedno z wyściełanych drewnianych krzeseł, które stoją przed jego biurkiem. Zamyka za mną drzwi.**

Stawiam torbę na podłodze i siadam na krześle, po czym krzyżuję ręce na piersi – nie ma mowy o wystudiuowanych uprzejmościach.

Pan Garner obchodzi biurko i siada.

– **Pani także może usiąść, pani Lewis.**

Nauczycielka tego nie robi, a jedynie podchodzi bliżej biurka. Dłonie nadal trzyma na biodrach. Twarz ma ściągniętą w grymasie surowości. Stara się podkreślić swój autorytet. Zamiast tego wygląda, jakby zjadła zbyt wiele kwaśnych żelków. Ignoruję ją i patrzę pytająco na pana Garnera.

– **Pani Lewis obawia się, że mogłaś pomóc Tori na teście z algebry. – W jego oczach przez cały czas są obecne nieme przeprosiny. Nie ma ochoty na to spotkanie w takim samym stopniu jak ja sama.**

– **W tym roku algebry nie uczy mnie pani Lewis – odpowiadam zwięźle.**

Na szyi nauczycielki pulsują żyły, wyglądające jak kości kurczaka. Jeszcze mocniej zaciska usta, z całych sił starając się nie wybuchnąć.

– Wiem o tym – mówi spokojnie pan Garner. – Także użyłem tego argumentu. Ale pani Lewis jest przekonana, że ty...

– Oszukiwałaś! – warczy nauczycielka, nie będąc w stanie dłużej się hamować.
– Oszukiwałaś! A ja nie zamierzam się na to godzić!

– Nie mamy wspólnych lekcji, pani Lewis – powtarzam takim tonem, jakbym rozmawiała z dzieckiem, które ma napad złości. – A czy Tori nie pisała tego testu w klasie? Była tam pani obecna, prawda?

Twarz jej czerwienieje i powieki drgają. Unoszę z dezaprobatą brew.

– Ona nie jest piątkową uczennicą. To niemożliwe, żeby tak dobrze jej poszło bez pomocy kogoś innego!

– Więc kwestionuje pani własne kompetencje nauczycielskie? Woli pani wierzyć, że pani uczniowie oszukują, niż że zaliczają testy? – pytam chłodno. – Sprawia pani przyjemność oblewanie uczniów?

Pani Lewis otwiera usta i kilkakrotnie mruga.

– Lano – rzuca ostrzegawczo pan Garner. – Pani Lewis, wiem, jak bardzo się pani starała, aby Tori zaangażowała się w zajęcia. Być może ten cały wysiłek w końcu przyniósł efekty.

Nauczycielka wygląda na przerażoną. Kiedy wypada z gabinetu, wydaje mi się, że zaraz się rozplacze.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy – oświadczam pogodnie. Podnoszę z podłogi torbę i wstaję. – Miłego dnia, panie Garner.

– Lano! – woła do mnie, nim zdążę wyjść.

Powoli odwracam się w jego stronę. Ma na sobie absurdalną kamizelkę w kolorze limonkowej zieleni założoną na niebieską koszulę. Całości dopełnia żółty krawat. Przypomina mi jajko wielkanocne. Ten człowiek w ogóle nie ma wycucia stylu. Kiedy podnoszę na niego wzrok, próbuje ukryć rozbawiony uśmiech.

Poprawia na nosie okulary.

– Naprawdę wolałbym nie dodawać kolejnej kartki do twoich akt w tym roku szkolnym. To jeszcze tylko trzy tygodnie. – Kładzie rękę na zniszczonej teczce grubej na jakieś siedem centymetrów, przewiązanej grubą, zieloną gumką.

– Postaram się, panie Garner. Ale oni wciąż odsyłają mnie do pana. – Rozglądam się po niedużym gabinecie ze ścianami obwieszonymi plakatami z frazesami o celach i osiągnięciach. – Jak pan może siedzieć tu cały dzień i nie mieć ochoty czegoś zepsuć?

Kwituje to gardłowym śmiechem.

Pan Garner zajął miejsce pani Colstrom, która na początku roku szkolnego miała zawał. Nie przeze mnie, przysięgam! Była naiwną, pełną życia osobą uważającą, że każdego da się uratować dzięki inspirującemu sloganowi i lizakowi. Niestety na świecie za mało było lizaków, aby mnie uratować. Zamiast tracić czas na słowa inspiracji, za każdym razem, kiedy mnie przysyłano do jej gabinetu, pozwalała mi odrabiać w bibliotece pracę domową. W sumie to więcej udawało mi się wtedy zrobić, niż gdybym została na lekcji. A czasem zdarzało mi się nawet zdrzemnąć.

Odkąd w gabinecie rządzi pan Garner, zdążyliśmy się dobrze poznać, jako że zostają tu przysyłana co najmniej raz w tygodniu. Winą obarczam przekleństwo *Szczerości* i niechętnych nauczycieli. On wie, że staram się mieć dobre oceny. Odrabiam prace domowe – prędzej czy później. I nie wszczynam kłótni na terenie szkoły – na ogół.

– Bądź grzeczna, Lano! – woła za mną pan Garner, kiedy wychodzę z gabinetu.

Moje buty na koturnach głośno uderzają o linoleum na korytarzu. Mam na sobie plisowaną spódniczkę, zakolanówki i dopasowaną koszulkę. Mijam powgniatane zielone szafki

w skrzydle drugich klas, a gdy nareszcie docieram do swojej, rozbrzmiewa dzwonek. Korytarze wypełniają się głosami.

– Błagam, powiedz, że dałaś tej starej prukwie do wiwatu. – Obok mojej otwartej szafki pojawia się Tori, promieniejąc w wyszywanym cekinami topie bez ramiączek i obcisłych rybaczkach.

– Wiedziałaś, że założę koturny, co? – Z uśmiechem mierzę wzrokiem jej dwunastocentymetrowe czerwone szpilki.

– Nie mogę pozwolić, żebyś była ode mnie wyższa, kiedy idziemy razem korytarzem – odpowiada. – Poza tym w tych butach wyglądam zabójczo.

– Do czasu, aż zaczniesz marudzić, że bołą cię nogi – przekomarzam się z nią. – I nie, nie utarłam nosa prukwie. Ale zakwestionowałam jej zaangażowanie jako nauczycielki. Nie przyjęła tego dobrze.

Tori się śmieje.

– Gdyby tylko wiedziała.

– Nie moja wina, że nie wie, jak ukrywać hasło.

Wydrukowałam sobie test z wyprzedzeniem i pomogłam Tori go wypełnić. Ona podczas testu udawała, że rozwiązuje zadania, ale ostatecznie oddała ten wydrukowany przeze mnie wcześniej, z prawidłowymi odpowiedziami. Nie wszystkimi. Nie chciałyśmy, aby nasze oszustwo było aż tak oczywiste.

– A skoro o tym mowa... – Sięgam do torby i wyjmuję jej prace domowe. – Proszę bardzo.

– Nie wiem, po co zawracasz sobie głowę. Wiesz, że to nie jest dla mnie ważne. – Niemniej bierze ode mnie podręczniki.

– Nie pójde do trzeciej klasy bez ciebie – oświadczam jej.

Odrabiam prace domowe Tori i piszę jej wypracowania z pobudek czysto egoistycznych. To jedyna osoba, którą w tej szkole uważam za przyjaciółkę, i nie zamierzam jej stracić tylko dlatego, że ma w nosie swoją przyszłość. Większość tutejszych uczniów – łącznie ze mną – nie spodziewa się przyszłości, na którą warto czekać. Ale chodzenie do tej budy jest lepsze niż pracowanie za stawkę minimalną albo zajmowanie się dilerką na ulicach. Równie dobrze mogę pochodzić tu jeszcze te dwa lata.

– Ja przecież nie skończę tej szkoły.

– Przymknij się – rzucam. – Skończysz.

Obiecałam jej ojcu, że tak się stanie. Tori będzie pierwszą osobą w jego rodzinie ze średnim wykształceniem, i cóż... obiecałam. A niedotrzymanie obietnicy jest gorsze niż kłamstwo, więc zrobię to, choćbym przez dwa kolejne lata musiała się włamywać do komputerów wszystkich nauczycieli i odrabiać za nią wszystkie prace domowe.

– Jak sobie chcesz – mówi Tori i dramatycznie przewraca oczami. – Idziesz do mnie po szkole, no nie?

Nieruchomieję. Moja przyjaciółka mruży oczy.

– Najpierw muszę skoczyć do domu. Nie zabrałam ciuchów na wieczór.

Na jej twarzy nadal maluje się podejrzliwość.

– Wychodzimy dzisiaj. Piątkowy wieczór należy do mnie.

– Wiem. Wyluzuj, okej?

Zamykam szafkę i idziemy przed siebie korytarzem. Nie chodzimy do tej samej klasy, ale Tori nie ma problemów ze spóźnianiem się.

– Nick odszedł i mama ciężko to znosi. Przed wyjściem chcę sprawdzić, jak się czuje. – Zatrzymuję się przed swoją klasą. – Wszystko ci opowiem na przerwie obiadowej.

Tori posyła mi groźne spojrzenie.

– Przykro mi, że twojej mamie jest smutno, ale się nie wywiniesz.

Tori robi to, co chce, kiedy chce i nie obchodzi ją, kogo musi usunąć z drogi, żeby osiągnąć cel. Jestem jej najlepszą przyjaciółką, ale nawet ja wiem, że to zółza. Co prawda ja też nią jestem. To jasne, że jej przekleństwem nie jest *Wzgląd na innych*. Ale, o ironio, jest nią *Lojalność*.

••••

Jakoś udaje mi się przetrwać geometrię i wiedzę o społeczeństwie, nie wbijając sobie przy tym długopisu w skroń.

– Co robisz wieczorem?

Próbuję ignorować głos dochodzący zza mojej szafki, ale niestety jego właściciel nadal tam stoi, kiedy ją zamykam.

– Nic z tobą – odpowiadam. Po czym odwracam się i odchodzę.

Ale on jest uparcie irytujący. Nie patrzę na niego, kiedy zdecydowanym krokiem idę przez korytarz, licząc, że pojmie tę niezbyt subtelną aluzję.

– Jest impreza...

– Nie idę – wchodzę mu w słowo, nim zdąży mi powiedzieć gdzie.

– Daj spokój, Lana. Nie bądź taka – prosi, dogoniwszy mnie.

Nie zatrzymuję się. Chłopak w końcu chyba znika w mijanej przeze mnie stołówce. Ale żeby to wiedzieć, musiałabym zwracać na niego uwagę. Wchodzę do zaciemnionego laboratorium chemicznego i wydaję z kieszeni kluczyk. Szybkim spojrzeniem obrzucam puste pomieszczenie, otwieram drzwi na zaplecze i wchodzę do środka.

Małe pomieszczenie wypełnione jest półkami obstawionymi rzędami buteleczek. Podczas długiej przerwy pan Tilman „je lunch” z bibliotekarką, panną Hall, w jej gabinecie, więc wiem, że nie zostanę tu przyłapana. Oni wcale niczego nie jedzą, wiercie mi. Wolalabym wlać sobie do oczu którąś z tych substancji chemicznych niż jeszcze raz zobaczyć, czym rzeczywiście się zajmują. Ale warto było doznać tej traumy, bo dzięki temu udało mi się dorobić klucz do zaplecza.

Nie ukradłam panu Tilmanowi klucza z powodu chemikaliów, choć pewnie sporo bym mogła zarobić na sprzedaży odpowiednich komponentów odpowiednim ludziom. Zrobiłam to, żeby mieć miejsce, w którym mogę się ukryć przed tym głównym, jakim jest liceum. To coś w rodzaju mojego prywatnego gabinetu... w którym czuć siarkę. W życiu trzeba chodzić na kompromisy.

Siadam przy małym, stojącym w kącie biurku i wydaję z torby telefon. Mama odbiera dopiero za drugim razem.

– Jak się czujesz? – pytam ją.

– Ja, eee... dobrze.

– Wcale nie – odparowuję. Jej wahanie czyni kłamstwo oczywistym. – Leciła ci jeszcze krew z nosa?

– Nie.

– Zjadłaś coś?

– Jeszcze nie. Spałam – odpowiada i z jej gardła wydobywa się szloch. – Lana, dam sobie radę. Jestem po prostu... smutna. Nie musisz się tym martwić.

– Spróbuj jeszcze zasnąć. Do zobaczenia po moim powrocie ze szkoły.

Pocieram czoło. Martwię się. Mogłabym siedzieć tutaj i przeklinać Nicka za to, że przekonał moją matkę, iż jest w niej zakochany. I tak robię. Ale chodzi o coś więcej niż zranione

uczucia.

Spoglądam na obrączkę, po czym ściągam ją z palca i obracam w palcach. Wewnątrz wyryto datę: „7 października 2000”. Jest żonaty od ponad szesnastu lat. Żołądek ściska mi się boleśnie na ten dowód zdrady.

Zakładam obrączkę na kciuk, na który świetnie pasuje. Powodzenia z wyjaśnianiem tego żonie, ty dupku.

••••

Znajduję Tori pod stołówką. Siedzi na kamiennym murku z jakąś dziewczyną. Siadam obok i otwieram zabrany ze stołówki jogurt.

– Hej, Lana – odzywa się dziewczyna. – Właśnie o tobie mówiłam. Nie mogę uwierzyć, że dałaś kosza Bryce’owi. Ten chłopak chyba jeszcze nigdy nie usłyszał słowa „nie”.

– A może woli go nie słyszeć – dodaje ostro Tori.

– Kim jest Bryce? – pytam, bo nie mam pojęcia, o co im chodzi. Wsuwam do ust łyżeczkę jogurtu.

– Bryce Walker. Kapitan... wszystkiego – wyjaśnia z niedowierzaniem dziewczyna.

– Zaprosił cię na dzisiejszą imprezę, a ty go spławiłaś.

Kręcę głową i nie przestaję jeść jogurtu.

Tori się śmieje.

– Jesteś niewiarygodna – orzeka.

– Mniejsza z tym – mówię lekceważąco. – Nina spotka się z nami dzisiaj?

– Musi iść do pracy na pierwszą zmianę, więc o wpół do dwunastej będzie wolna – wyjaśnia Tori.

– Gdzie idziemy? Do Piwnicy?

– Wpuszczą was tam? – wtrąca dziewczyna i na jej twarzy maluje się niedowierzanie.

– Coś ty za jedna? – pytam i w końcu skupiam na niej uwagę.

Jest chuda i kanciasta, a włosy ma upięte w swobodny koczek, którego zrobienie – wiem o tym z autopsji – zajmuje więcej czasu, niż może się wydawać. Ma coś europejskiego w migdałowym kształcie oczu i wąskim nosie. Jest ładna, choć sprawia wrażenie, jakby się głodziła.

– Emory. Chodzimy razem na literaturę angielską.

Kiwam głową, jakby to coś znaczyło. Nie znaczy.

– Lana nie *uczestniczy* w życiu liceum – wyjaśnia Tori.

– Ale zjawia się codziennie na lekcjach. To znaczy prawie codziennie – mówi skonsternowana Emory. – Dzisiaj cię nie było.

Tori się śmieje.

– Mam na myśli to, że nie angażuje się w te wszystkie szkolne plotki. Nie ma pojęcia, kto jest kim. Status nic dla niej nie znaczy.

– A dla ciebie? – pytam.

– Niespecjalnie – odpowiada Tori i wzrusza ramionami. – Ale wiem, co się dzieje, kto jest kim. To... interesujące, jak oglądanie latynoskiej opery mydlanej: udratyzowane i przewidywalne. Ale ty jesteś tego wszystkiego zupełnie nieświadoma.

– Bo to nie ma znaczenia – mówię otwarcie. – Spędzamy tu cztery lata. To, co się tu dzieje, nic nie znaczy w prawdziwym świecie, a to przecież w nim musimy przetrwać.

– Dla nas nie. Ale ich... – wskazuje głową na Emory – ich do definiuje.

– To żalosne.

Twarz dziewczyny robi się czerwona i dociera do mnie, że trochę przeholowałam ze

szczerością. Nie przepraszam za coś takiego, w przeciwnym razie musiałabym robić to non stop.

– Nie byliśmy na żadnej szkolnej imprezie od... cóż, dosyć dawna – wyjaśnia jej delikatnie Tori.

– Ale... chodźcie do drugiej klasy? To znaczy *słyszałam* o was, ale sądziłam, że... – Nie kończy. Najwyraźniej dociera do niej, że to, co słyszała, jest bliższe prawdy niż większość plotek.

Wiem, że mamy reputację jako... Nie do końca jestem pewna jako kto, ale to oczywiste, że coś o nas mówią.

Wstaję. Te wszystkie pytania strasznie mnie irytują. Tori robi to samo co ja.

– Musimy lecieć. Dzięki za wcześniejszą pomoc – rzuca do niej Tori, po czym się oddalamy.

– Czemu z nią siedziałaś? – pytam. – Ona jest...

– Wiem – przerywa mi z westchnieniem, nim zdążę znaleźć odpowiednie albo nieodpowiednie słowo opisujące tę dziewczynę. – Pozwoliła mi dzisiaj od siebie ściągnąć. Mieliśmy kartkówkę z biologii. Więc możliwe, że dopóki nie zerwę znajomości, będziesz musiała z nią wytrzymać.

Kiwam ze zrozumieniem głową.

– Albo mogę trzymać się z dala i pozwolić, abyś sama sobie z nią radziła. Zadaje zbyt wiele pytań.

– Próbuje jedynie ustalić, co jest prawdą. Krąży o nas tyle opowieści; jesteśmy praktycznie postaciami fikcyjnymi.

– To niczyja sprawa, co robimy po szkole.

– Owszem. Ale przez to właśnie jeszcze więcej gadają.

Przewracam oczami.

– Czemu w ogóle tego słuchasz?

– Bo to zabawne. Krąży plotka, że mamy powiązania z rosyjską mafią.

– Z rosyjską mafią? Serio? Mieszkamy na zadupiu w Massachusetts. Nie sądzę, żeby rosyjska mafia choćby wiedziała o istnieniu tej dziury. I żadna z nas nie jest Rosjanką. Ty jesteś Portorykanką. To takie głupie.

– Mówiłam ci, że to zabawne – śmieje się Tori.

– Ludzie są tacy głupi – jęczę.

– Głupi ludzie uczynili nas w tej szkole legendami. Nie zauważyłaś, jak wszyscy się zachowują, kiedy idziemy korytarzem? – Widząc, że mnie to nie bawi, dodaje: – No wiesz, wcale mnie to nie obchodzi, ale jest całkiem zabawne.

Rozglądam się i patrzę, jak śledzą nas wzrokiem i szepczą do siebie. Dostrzegam, jak się rozstępują, żeby zrobić nam miejsce. To nie jest zabawne, lecz smutne.

Zatrzymuję się przed otwartymi drzwiami.

– Zostajesz do końca lekcji, tak?

Tori wydaje pełne dramatyzmu westchnienie.

– Na to wygląda. Jeśli znowu urwę się z techniki, za karę będę musiała zostać po lekcjach, a nie ma takiej opcji, żeby przebywała w tym budynku dłużej niż to konieczne. Potem się znajdziemy.

Wchodzę do klasy, gdzie mam francuski, i siadam jak zwykle na końcu.

– Chcesz znowu być dzisiaj moją partnerką?

Otwieram zeszyt i podnoszę wzrok na Lincolna.

– Jasne.

Lincoln to jedna z niewielu osób, które jestem w stanie znieść. Nie zadaje głupich pytań

i skupia się na lekcji. Jest inteligentny i zależy mu na ocenach.

Istnieje grupa uczniów, która rzeczywiście stara się wydostać z tego miasta. To dzięki nim ten budynek choć trochę przypomina liceum: mają kółka zainteresowań, uprawiają sport i pragną się znaleźć na liście zasłużonych.

Ja nie biorę w niczym udziału, mimo uporczywych starań pana Garnera. Ba, ledwie biorę udział w lekcjach. O tym, że w naszej szkole istnieją drużyny sportowe, wiem wyłącznie dlatego, że w czasie rozgrywek widuję graczy w bluzach z ich logo. I wiem, że w te dni mogę się urwać wcześniej ze szkoły.

Lincoln jest ambitny. Widuję go w bluzach co najmniej dwóch drużyn. *Chyba* jedną z dyscyplin jest koszykówka. Albo powinna, skoro jest tak cholernie wysoki. Zawsze ma odrobioną pracę domową. Zdarza się nawet, że pomaga mi dokończyć moją. I wydaje mi się, że jest przewodniczącym naszej klasy. Albo zastępcą przewodniczącego czy kimś w tym rodzaju. Nie mam pojęcia, co to konkretnie oznacza, ale na początku roku szkolnego wisiały plakaty zachęcające nas do oddawania głosów i pamiętam, że widziałam tam jego nazwisko. Nie jestem pewna, czy wygrał, ale mam taką nadzieję. To miły chłopak.

W połowie ćwiczenia z koniugacji Lincoln nachyla się ku mnie i szepcze:

– Sądysz, że mam szansę u Tori?

– Co masz przez to na myśli? – pytam. To pytanie mogło tak wiele znaczyć. Jestem zaskoczona. Nigdy bym nie zgadła, że Tori może być w jego typie. On zdecydowanie nie jest w jej.

– W Oaklawn jest dzisiaj impreza. Liczyłem, że da się zaprosić.

– Mamy już plany.

– Och. – Spuszcza wzrok, wyraźnie skrepowany.

Wzdycham, bo dociera do mnie, że zachowałam się zołzowato.

– Zapytaj ją. W sumie to nie wiem, co robimy. Jeśli się zgodzi, przyjdziemy.

W oczach Lincolna pojawia się błysk.

– Fajnie. Mój kolega też się wybiera.

– Nie swataj mnie.

– No tak. Nie. Nie robię tego – płacze się. – Mówiłem jedynie... że możemy wszyscy... się pobawić.

– Jasne. – Wzruszam ramionami. – Zapytaj najpierw Tori. Ja się do niej dostosuję.

••••

Wchodzę na chemię. Nie znoszę jej. Nie tylko dlatego, że próby tworzenia nowych wiązań między cząsteczkami sprawiają, że mam ochotę wypalić sobie palnikiem bunsenowskim dziurę w mózgu, ale też przez to, że to ostatni przedmiot przed wolnością. To najgorszy rodzaj tortur, który oznacza, że ta lekcja wydaje się najdłuższa ze wszystkich. Co gorsza, obok mnie siada ten uparty palant.

– Co tu robisz? – Rozglądam się i dwa stoliki dalej dostrzegam Paolę, siedzącą obok chłopaka w czapce daszkiem do tyłu. Wzrusza przepaszając ramionami.

– Pomyślałem, że moglibyśmy pracować dzisiaj w parze – mówi ten gość, nachylając się i przesuwając palcem po mojej ręce. – Wiesz, że dobrze nam razem.

– Słucham? – syczę.

– Daj spokój, mała – mruczy w żalosej próbie brzmienia zmysłowo. – Twoje seksowne ciało przy moim... to dopiero jest chemia.

Zamykam oczy i przygryzam wargę, żeby się nie roześmiać, ale jednak nie udaje mi się powstrzymać.

– No co? – pyta i się uśmiecha, tak naprawdę nie wiedząc dlaczego.

– Idź sobie – mówię mu.

Wydaje się zaskoczony.

– Co powiedziałaś?

– Wstań z krzesła. Wróć do swojego stolika. I daj mi spokój. – Piorunuję go wzrokiem.

Zniknęło wcześniejsze rozbawienie. – Mówię poważnie. Spierdalaj.

Mruży oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że tak do niego powiedziałam.

– Więc taka będziesz, co? – Uśmiecha się znacząco, jakby wiedział o czymś, czego nie wiem ja. – Na razie.

Z pewnym siebie uśmiechem wstaje z krzesła i odchodzi na swoje miejsce. Obok mnie siada Paola i w tym momencie do klasy wchodzi pan Tilman, zarumieniony i potargany. Wygląda na to, że lunch był smaczny.

••••

– Nie chciałabyś zajrzeć na imprezę w Oaklawn? Przynajmniej do czasu, aż Nina wyjdzie z roboty – pyta mnie Tori, kiedy chowam podręczniki do torby.

Nieruchomieję i patrzę na nią zdumiona.

– Lincoln cię zaprosił? I się zgodziłaś?

– Wiedziałaś?

– Zapytał mnie, czy uważam, że się zgodzisz. Ale ja wcale tak nie sądziłam. – Naprawdę.

Tori preferuje starszych, w typie niegrzecznego chłopca. A w Sherling takich gości jest całe mnóstwo. Lincoln nie należy do tej kategorii. W sumie to w ogóle nie pasuje do tej szkoły.

– Jest słodki. I seksowny. – Tori mówi takim tonem, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Ciebie nie kręcą słodcy faceci – przypominam jej.

Śmieje się.

– Wiem. Dlatego będzie tak fajnie.

– O nie. Zamierzasz zniszczyć tego biedaka? – pytam, nagle się o niego martwiąc.

Niewiele wiem o Lincolnie, ale nie zasługuje na to, aby stać się jedną z ofiar Tori.

– Nie jestem taka.

Posyłam jej znaczące spojrzenie.

– Przez cały czas – dodaje z miną niewiniątka. Śmieję się, a ona mówi: – Ty też tam idziesz.

– To nie mną Lincoln się interesuje.

– Wspomniał coś o koledze.

– Nawet o tym nie myśl – rzucam ostrzegawczo.

Wie, jak reaguję na przymusowe towarzystwo jakiegoś faceta, gdy moja przyjaciółka umawia się z jego kolegą. W ogóle nie można liczyć na moją pomoc przy wyrwaniu koleśki.

– Wiem. Wiem. Ale zrobisz to dla mnie, co? – Tori pyta błagalnie i trzepocze gęstymi rzęsami.

– Pewnie tak – odpowiadam niechętnie.

Uśmiecha się szelmowsko.

– Od dwóch lat nie byliśmy na szkolnej imprezie. I ani razu w Oaklawn. Bez względu na to, co się wydarzy, to będzie niezapomniany wieczór.

Nie mogę z tym polemizować.

– Jak się tam dostaniemy? – pytam. – Nie jedźmy z Lincolnem i jego kolegą. Nie chcę być na nich skazana, jeśli stracisz zainteresowanie albo oni będą chcieli zostać, a my nie.

– Coś wykombinuję. Może Tony nas podrzuci.

- Wątpię, aby twój brat chciał nas zawieźć aż do Oaklawn.
- Zrobi to, jeśli z nim poflirtujesz. – Tori uśmiecha się sugestywnie.
- Jesteś okropna – mówię ze śmiechem.

Wiem, że podobam się jej bratu. Myślałam o tym. Ale to *brat* Tori, a kiedy to się skończy – bo *na pewno* się skończy – nie chcę się czuć niezręcznie podczas każdych odwiedzin w jej domu. Więc jedynie flirtujemy, bo coś takiego jest niewinne – na ogół.

– O której będziesz?

– Nie jestem pewna. Ale raczej niedługo. Muszę jedynie wziąć rzeczy na przebranie i sprawdzić, co z mamą. Napiszę, kiedy będę wychodzić z domu.

– Cholera. Nie mam numeru Lincolna, żeby dać mu znać. Poszukam go. Spotkamy się pod szkołą?

– Pewnie – odpowiadam, zamykając szafkę.

– I może dowiem się więcej o tym jego *koledze*.

– Błagam, nie.

Tori uśmiecha się i odchodzi.

••••

Opieram się o balustradę przy schodach prowadzących do szkoły, szukając wzrokiem Tori pośród tłumu hałaśliwych, spieszących się do domu uczniów. Moją uwagę przyciąga czerwony jeep wrangler, a raczej opierający się o niego facet, który się na mnie gapi. Wygląda zupełnie jak...

– No więc on rzeczywiście istnieje – oświadcza Tori, zatrzymując się przy mnie.

Obserwujemy, jak Lincoln podchodzi do jeepa. Chłopcy witają się uściskiem dłoni i poklepaniem po plecach.

– Cholera. To jest kolega Lincolna? Czy wszyscy Harrisonowie są tacy doskonali?

– Kiedy nie odpowiadam, pyta: – Lana? Wiesz, kto to taki, no nie?

Tori wie, że tak, nawet jeśli do tej pory opowiadano o nim jak o kimś wyjętym wprost z legendy.

– To zdecydowanie będzie niezapomniany wieczór.

– Owszem – odpowiadam. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku.

Jakby wiedział, że o nim mówimy, chłopak spogląda na nas z urzekającym uśmiechem. Nie potrafię oderwać od niego oczu, choć wiem, że powinnam. Patrzę, jak razem z Lincolnem wsiada do jeepa. I przyłapuję się na tym, że uśmiecham się do niego, kiedy przed odjazdem raz jeszcze odwraca się w moją stronę.

Rozdział 3

– Powiem ci jedno – oświadcza ciotka Helen podczas jednej z naszych rzadkich rozmów. – Nie myśl sobie, że w tym życiu ktoś coś ci da. Jeśli czegoś pragniesz, musisz o to walczyć, nawet jeśli to oznacza rozlew krwi.

Mamo? – wołam, zamknąwszy drzwi i rzuciwszy torbę na podłogę.

Odpowiada mi cisza.

– Mamo? – pytam cicho, zaglądając do jej pokoju. Od razu atakuje mnie ostra woń kadzidełek. Moje oczy protestują i zachodzą łzami, czuję też pieczenie w nosie. Do tego zapachu nie da się przyzwyczaić.

Kiedy mama nadal nie reaguje, cicho wchodzę do pokoju. Śpi skulona pod kocem. Twarz ma bladą z wyjątkiem czerwonych plam na policzkach. Nawet bez dotykania jej wiem, że ma gorączkę. Potwierdzam to, przykładając dłoń do jej czoła. Mój dotyk jej nie budzi, co tym bardziej mnie niepokoi.

– Mamo? – powtarzam, ale ona nadal się nie rusza.

Zabieram do kuchni szklankę i nalewam do niej zimnej wody ze stojącego w lodówce dzbanka. Nim wracam do pokoju, zerkam na przyklejony do lodówki grafik.

Tori mnie zamorduje.

••••

– Muszę iść wieczorem do pracy. – Zamykam oczy, szykując się na jej reakcję.

– Co takiego? – Nawet nie ukrywa gniewu w głosie. – *Za nią*, prawda?

Ignoruję złość obecną w jej tonie. Nie wiem, jaki problem Tori ma z moją matką, ale teraz nie pora, aby to zgłębiać.

– Kończę o dziesiątej. Na którą umówiłaś się z Lincolnem?

– Nie umówiłam się. Lana, dajesz się wykorzystywać i dobrze o tym wiesz.

– Ona jest chora, Tori. Nic na to nie poradzę, przecież wiesz.

Rzeczywiście wie i dlatego nie każe mi znaleźć kogoś na zastępstwo. Nie stać nas na to.

– Przyjadę po ciebie równo o dziesiątej. Bądź gotowa.

– Przed wyjściem muszę wziąć prysznic.

Cisza.

– Tori, nie mogę śmierdzieć barem. To odrażające.

Mija kolejna chwila dramatycznego milczenia. W końcu moja przyjaciółka mówi:

– W porządku. Poproszę Tony’ego, aby po ciebie podjechał. Ale musimy wyjść ode mnie najpóźniej o wpół do jedenastej. Tony gdzieś się wybiera, a to przecież on ma nas tam zawieźć.

– Będę się streszczać, obiecuję. – Zresztą nie mam innego wyjścia. – Muszę kończyć. Do zobaczenia.

Z plecaka z czystymi ciuchami wyciągam ohydny poliestrowy uniform w kolorze butelkowej zieleni. Możliwe, że jest nawet ognioodporny. Jedyne, co można o nim powiedzieć dobrego, to że tłuszcz, keczup i piwo świetnie się spierają i nie trzeba go prasować.

Moje ulubione dzinsy wręcz przeciwnie – uległy w zeszły weekend zniszczeniu, kiedy Nina na mnie zwymiotowała. Gdyby coś wcześniej zjadła, możliwe, że udałoby jej się utrzymać w żołądku tego intensywnie różowego drinka. Fuj. Teraz będą się musiały stać moimi

ulubionymi szortami. Ale w tej akurat chwili nie mam czasu na to, aby bawić się w obcinanie.

Decyduję się na obszyte koronką białe szorty, wiązaną na szyi turkusową bluzkę i sandały na koturnach z paskami oplatającymi kostki. Przez torbę przierzucam czarną skórzaną ramoneskę, po czym zakładam to paskudztwo, jakim jest służbowy uniform.

••••

Na szczęście mama ma popołudniową zmianę, więc nie muszę się użerać z odrażającymi pijakami. Stella's to formalnie rzecz biorąc tania restauracja. Tyle że tak naprawdę to bar... serwujący ohydne żarcie. Ludzie nie przychodzą do Stella's z powodu menu. Chodzi im o tanie piwo i mocne drinki. Zjedzą cokolwiek, a im więcej w tym tłuszczy, tym lepiej.

Nie mam pojęcia, kim jest Stella. Właścicielka tego lokalu ma na imię Margo, a kierownikiem jest Jim. Nikt nigdy nie wspomina Stelli ani dlaczego to miejsce zostało nazwane na jej cześć. Jedyne, co po niej zostało, to czarno-białe zdjęcie blondynki siedzącej na tylnej kanapie starego kabrioletu, posyłającej całusa do aparatu. Na białym obrzeżu napisano niebieskim atramentem „Stella”. Otaczają ją zdjęcia motocykli i podrasowanych samochodów, jak również oprawiony w ramkę banknot jednodolarowy. Kimkolwiek nie była, sentyment ginie teraz w tym chaosie.

Pracuję tu od czasów, kiedy zgodnie z prawem nie wolno mi było jeszcze tego robić. Zaczęłam dwa lata temu, kiedy mama się rozchorowała i nie było nas stać na to, aby stracić tygodniowy dochód. W tym lokalu nie ma czegoś takiego jak płatne zwolnienie lekarskie czy urlop. Pewnego dnia przyszłam i zameldowałam się pod jej nazwiskiem. Nikogo to nie obchodziło, o ile radziłam sobie z noszeniem talerzy i nie rozlewałam piwa.

– Lana, przysiądziesz się do nas z dzbankiem piwa?

Przez chwilę patrzę na przyszczatego chłopaka, który sądzi, że mnie zna. Ja go nie znam, choć mam przecucie, że chodzimy do tego samego liceum.

– Po co? – pytam go. – Masz coś, czego mogłabym chcieć? I zastanów się, zanim odpowiesz, bo zdecydowanie nie chcę ciebie. – Lustruję krytycznie jego mizerną posturę.

Ofierze trądziku opada szczeka, a jego koledzy wybuchają śmiechem.

– Co powiesz na to? – Wyjmuje z kieszeni mały woreczek z różnokolorowymi pigułkami, drugi, mniejszy woreczek z białym proszkiem i skręta.

– Co ty robisz, stary? – pyta surowo chłopak, który siedzi naprzeciwko niego.

Ten z trądzikiem posyła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Nazywamy to „impresą w woreczku”. – Uśmiecha się, wyraźnie z siebie zadowolony.

Na mojej twarzy nadal widnieje znudzona mina, mimo że perspektywa takiej imprezy jest całkiem kusząca.

Zabieram z jego ręki woreczek i nim zdąży zareagować chowam do kieszeni fartucha. Odwracam się i odchodzę bez słowa, po czym wracam z dzbankiem piwa i kilkoma szklankami.

Kładę na stole rachunek.

– Policzyłaś nas za piwo? – pyta z niedowierzaniem. – Myślałem...

– Nie myśl – przerywam mu. – Jeśli towar okaże się dobry, podeślę ci klientów.

Zamyka usta, wiedząc, że gdybym szepnęła słówko odpowiednim osobom, mogłabym potroić jego zyski.

– Hej, kotku, przyniesiesz nam jeszcze jedną kolejkę? – woła jakiś facet ukrywający twarz za gęstym zarostem.

Unosi rękę, żeby klepnąć mnie w tyłek. Wyczuwam ten gest, jeszcze zanim go zobaczę. Odkąd zaczęłam tu pracować, w kwestii seksualnych awansów wyrobił mi się szósty zmysł. A te kanalie próbują dosłownie wszystkiego.

– Tylko mnie dotknij, a osobiście dopilnuję, żeby w twoim piwie znalazły się odłamki szkła – ostrzegam.

Jego ręka wraca pod stół.

– Jeśli chcecie tylko się napić, równie dobrze możecie przejść ten metr do baru i złożyć zamówienie.

– Lana, możesz obsłużyć ten stolik, który właśnie zajęto? – pyta Marisa, kiedy ją mijam. Odstawiam brudne talerze na metalowy blat.

– To nie mój stolik – odpowiadam, nie próbując nawet być miła o dziewiątej czterdzieści pięć. – Zresztą i tak zaraz kończę. Sorki.

Oddalam się, żeby nie słuchać jej narzekań. Biorę talerze, czekające na mnie na wysokim blacie ze stali nierdzewnej, który zasłania ten chlew, jakim jest kuchnia. Gdyby ludzie widzieli, co się tam dzieje, w życiu już by tu nic nie zjedli. Lawiruję między osobami kręcącymi się przy blacie... albo barze. Tak czy inaczej nie jest to łatwe.

Stawiam talerze na stole, nie przejmując się tym, czy dane zamówienie trafia do odpowiedniej osoby. To mój ostatni stolik. Mają zjeść i zapłacić, żebym mogła iść stąd w cholerę. Niedługo zjawi się Tony i wiem, że Tori da mi popalić, jeśli nie wyjdziemy z jej domu przed wpół do jedenastej.

– Coś jeszcze? – pytam i nie czekając na odpowiedź, zostawiam rachunek. – Kolejne drinki można zamawiać przy barze.

Tak naprawdę nie powinnam serwować alkoholu. Mam dopiero piętnaście lat. Ale Jim i Margo ignorują przepisy. A policja jest zbyt zajęta tym, co się dzieje na parkingu, żeby zwracać uwagę na naruszanie zasad w tanim lokalu.

To praca. Nie stać mnie na to, żeby nie pracować. I uwierzcie mi, że *nieustannie* sobie o tym przypominam.

Sprzątam pozostałe stoliki i upewniam się, czy wszyscy zapłacili, po czym wracam do stolika, do którego przed chwilą przyniosłam zamówienie.

– Mogę już przyjąć zapłatę? – pytam.

Przeszkadzają w przebiegu mojego wieczoru. Jeśli nie podoba im się nieszczególnie uprzejma obsługa, zjawili się w niewłaściwym lokalu. Poza tym i tak nie liczę na lipny napiwek, którego wcale nie zamierzali zostawić.

Facet z tatuażami na umięśnionych bicepsach wyjmuje dwa banknoty dwudziestodolarowe i kładzie je na rachunku, nawet na niego nie patrząc.

– Wydać resztę?

Kręci głową. Próbuje ukryć zdziwienie, które przez ułamek sekundy widnieje na mojej twarzy. Może nie potrafi liczyć. Nie zamierzam udzielać mu lekcji matematyki. Wręczam gotówkę siedzącej przy kasie Margo i czekam na resztę. Tylko ona zajmuje się pieniędzmi. Nikomu nie ufa. Nawet Georgii czy Mal, które pracowały w tym barze jeszcze zanim się urodziłam. Tylko ona dotyka kasy; przez cały czas siedzi na drewnianym stołku i obserwuje wszystkich świdrującymi niebieskimi oczami.

Z tą swoją zwisającą, pomarszczoną skórą przypomina mi delikatnego i chudego ptaka. Patrzy na wszystkich takim wzrokiem, jakby ją kusiło, aby wydziobać im oczy. Margo widzi dosłownie wszystko. Staram się do niej nie odzywać. Staram się nawet na nią nie patrzeć. Przyprawia mnie o gęsią skórę.

Wchodzę na zaplecze, mijając po drodze kontuar, na którym czekają talerze z zamówionym jedzeniem.

– Jim, odmeldowuję się.

– O nie – woła. – Zostało ci pięć minut. Ogarnij łazienki.

Zatrzymuję się, żałując, że nie ugryzłam się w język i po prostu nie wyszłam. W ogóle by się nie zorientował.

Kiedy tylko otwieram czerwone, metalowe drzwi, zmuszona jestem zasłonić usta i nos. Co za smród. Jedna z ubikacji nie działa. Jim o tym wiedział i nie chciał się nią zająć. Drań. Cóż, w żadnym razie nie będę próbowała jej odetkać. Kobiety są odrażające. Według mnie gorsze od facetów – wrzucają do ubikacji lichy wie co, obsikują deski, zaśmiecają podłogę papierem toaletowym, który przyklei się do podeszwy buta innej osoby. Niestety nie mogę tak tego zostawić.

Zakładam gumowe rękawice i zbieram rozrzucone po podłodze kawałki papieru toaletowego i ręczników papierowych, po czym wrzucam je do przepelnionego kosza. Wycieram wyszczerbione umywalki i nogą ubijam zawartość kosza.

Zabrawszy ze sobą worek ze śmieciami, wychodzę tylnymi drzwiami, żeby wyrzucić je do kontenera. Kiedy próbuję wrócić, okazuje się, że drzwi się zamknęły. Z mojego gardła wydobywa się jęk. Jakże by inaczej. *Nigdy* się stąd nie wydostanę. Zmuszona jestem obejść budynek, do wejścia dla klientów, gdzie ustawiła się kolejka.

Rozlega się dźwięk klaksonu. Odwracam głowę i dostrzegam opierającą się o drzwiczki Tori.

– Co tu robisz? Sądziłam, że mam przyjechać do ciebie? – pytam. Jest już wystrojona na imprezę.

– Zmiana planów. Tony spotyka się ze znajomymi, więc musimy jechać od razu, inaczej nie będziemy miały transportu.

Tony kiwa głową i posyła mi delikatny uśmiech. Odpowiadam mu tym samym, przygryzając wargę, żeby mój uśmiech nie okazał się zbyt szeroki.

Lustruję wzrokiem swój ohydny, poplamiony uniform, który śmierdzi tłuszczem i piwem. Wiem, że reszta mnie wydziela podobny zapach.

– Ale ja cuchnę.

– Popsikaj się mocniej perfumami. Zresztą faceci uwielbiają zapach takich miejsc. Możliwe, że nawet ktoś cię dzisiaj polizze – przekomarza się ze mną Tori.

Posyłam jej zniesmaczone spojrzenie.

Mam wrażenie, że moją skórę pokrywa warstwa tłuszczu, i nawet nie chcę wiedzieć, jak wyglądają moje włosy.

– Poważnie, Tori? – Z pełnym frustracji westchnieniem odwracam się w stronę blokującej wejście kolejki.

– Pospiesz się! – woła za mną przyjaciółka.

Przepycham się przez tłum, nie zawracając sobie głowy przeproszaniem. I tak by to nic nie dało. Ci ludzie znacznie lepiej reagują na brutalną siłę. A ja muszę się stąd jak najszybciej wydostać.

No i oczywiście się okazuje, że jest kolejka do łazienki. Jak nic przyczynił się do tego zatkany kibel.

Zgrzytam zębami. Ten wieczór robi się coraz lepszy. Zresztą od rana jest beznadziejnie. W sumie mogłam coś takiego przewidzieć.

Niezuważona przez Jima wślizguję się do kuchni i mijam palenisko, na którym Carlos przerzuca krążki hokejowe. Wiem, że część z nich ma być naleśnikami. Zerkam na niego, a on puszcza do mnie oko.

– Wybierasz się dzisiaj na miasto, piękna?

– Próbuję – odpowiadam.

Carlos lubi flirtować, ale jest nieszkodliwy. Mężczyzna, który czuje się w obowiązku

komplementować wylupiaste oczy Margo, jest żaloszny, a nie groźny. Poważnie wątpię, by miał kiedykolwiek dziewczynę. W sumie to trochę mi go szkoda. Przynajmniej do chwili, gdy przyłapiję go na gapieniu się w mój tyłek.

Odmeldowuję się pięć po dziesiątej, biorę torbę i łapię za klamkę drzwi do kanciapy Jima, żeby się przebrać. Zamknięte. Czemu wydostanie się stąd dzisiaj graniczy z cudem? Chowam się w kącie i pod uniformem zakładam szorty. Rozpinam zielone szkaradzieństwo i pozwalam, aby upadło na podłogę, po czym wciągam przez głowę top i zdejmuję pod nim stanik. Kiedy się odwracam, gapi się na mnie Carlos. Brwi ma uniesione, a w znieruchomiałej ręce trzyma łopatkę.

– No co?! – rzucam oskarżycielsko, starając się nie myśleć o tym, co być może widział.

Wpatruje się we mnie bez słowa.

Ignoruję go i podnoszę z podłogi pognieciony uniform. Upycham go w torbie. Zmieniam czarne trampki na sandały na koturnie. Nie mam lustra, więc do sprawdzenia makijażu wykorzystuję aparat w telefonie. Przejeżdżając palcem pod oczami tylko pogarszam sytuację, więc dorysowuję ciemną kreskę i ją rozmazuję w nadziei, że osiągnę efekt przydymionego oka. Do tego różowy błyszczak. Włosy zbieram w węzeł na czubku głowy, zaczesuję grzywkę do góry i przytrzymuję ją opaską z błyszczącymi kryształkami. Pomimo starań czuję się beznadziejnie. I mam szczerą nadzieję, że tak nie wyglądam.

Nie mówiąc nic Jimowi, wychodzę tylnymi drzwiami. Odmeldowałam się. Koniec na dzisiaj.

Spryskuję perfumami szyję i nadgarstki, następnie psikam w powietrzu i przechodzę przez pachnącą mgiełkę, desperacko pragnąc zamaskować *eau de Stella's*. Dopóki nie będę się zachowywać, jakbym była w rozsypce, nikt tego nie zauważy. Prawda? Tak zawsze mówi mi Tori.

Zachowuj się tak, jakbyś chciała, żeby cię wszyscy postrzegali, bez względu na to, jak rzeczywiście się czujesz.

Jeszcze tego nie opanowałam. Mam tendencję do bycia zbyt ekspresyjną. Moja twarz odzwierciedla zawsze moje uczucia, nawet jeśli próbuję je ukryć.

Udawaj pewną siebie, aż się taka staniesz. Super. Teraz cytuję hasła z gabinetu pana Garnera.

Otwieram tylne drzwi samochodu Tony'ego i rzucam torbę na siedzenie, po czym wsiadam.

– No dobra, jedziemy na tę cholerną imprezę.

Rozdział 4

– **Nigdy nie pozwalaj, aby jakiś chłopak cię dotykał – mówi surowo babcia, mierząc palcem w moją twarz. Wydaje się zagniewana. Ale ja nie pamiętam, abym zrobiła coś złego. I na pewno nie dotknął mnie żaden chłopak. – Rozumiesz mnie? Nigdy.**

Kiwam głową, zbyt przestraszona, aby zapytać, co ma przez to na myśli.

Domówka w Oaklawn, co? – Tony zajeżdża na okrągły podjazd pełen samochodów.

– Hej. – W głosie Tori słychać obronną nutkę. – *Nigdy* nie chodzimy na domówki.

– Może dlatego, że nikt z naszych znajomych nie mieszka w domu. – Mierzę wzrokiem stojących przed domem ludzi w spódniczkach w szkocką kratę i džinsach. W rękach trzymają czerwone plastikowe kubki. Mam wrażenie, że to plan jakiegoś filmu puszczonego w telewizji CW. Nie miałam pojęcia, że ktoś rzeczywiście urządza tego rodzaju imprezy.

– W życiu mnie nie zobaczycie na jednej z tych imprez dla białasów – mówi z chichotem Tony.

– Nie zostaniemy tutaj. Powiedziałam Lincolnowi, że się tu spotkamy i tyle. Nina odbierze nas po pracy – wyjaśnia Tori, jakby musiała bronić naszej decyzji, żeby tu przyjść.

Nie wiem, dlaczego jest taka drażliwa na tym punkcie. Może dlatego, że zawsze chce, aby jej czterej starsi bracia uważali ją za twardzielkę, a ta impreza nie wygląda na taką, na której bawią się twardziele.

– Nie dzwoń do mnie, jeśli tu utkniesz – mówi Tony do siostry. – Lana, daj znać, gdybyś potrzebowała transportu.

Jego ciemne oczy spoglądają na mnie w lusterku wstecznym. Mrugam do niego.

– Dupek – rzuca Tori, wysiadając z samochodu. – Chodź, Lana.

Biorę torbę i wysiadam.

– Nie baw się beze mnie zbyt dobrze – mówi do mnie Tony. Posyła mi diaboliczny uśmiech, po czym odjeżdża.

– Musicie się w końcu spiknąć ze sobą – warczy Tori, idąc w stronę drzwi wejściowych wielkiego białego domu.

– Tony to niezłe ciacho, ale nie zamierzam umawiać się z twoim bratem – mówię jej po raz kolejny.

– Przez to całe flirtowanie mam ochotę puścić pawia.

– A to szkoda – stwierdzam ze śmiechem. – Lepsze to niż słuchanie, jak wykrzykuję jego imię w pokoju sąsiadującym z twoim.

– Fúj. – Krzywi się z odrazą.

– Otóż to – odpowiadam z uśmiechem.

– W porządku. Rozumiem. – Tori przeciska się przez morze ciał w poszukiwaniu alkoholu. A przynajmniej mam taką nadzieję.

Bez ostrzeżenia odwraca się i patrzy mi w oczy. Zatrzymuję się w pół kroku.

– No co? – Próbuję zerknąć ponad jej ramieniem, sądząc, że zobaczyła kogoś, na kogo nie chce wpaść.

– Bądź miła – nakazuje groźnym tonem.

– *Ja* mam być miła? – Na tę ironię reaguję śmiechem.

– Jak sobie chcesz – mówi Tori i przewraca oczami. – Wiem, że to nie do końca nasi

ludzie, ale chcę się przekonać, jaki jest Lincoln. Wydaje się... inny. I nie chcę, żebyś to zrujnowała swoją *szczerością*.

Śmieję się.

– Postaram się – zapewniam ją. – Ale niczego nie obiecuję.

Wzdycha i ponownie nas prowadzi przez wielki, zatłoczony pokój. Wszyscy śmieją się i piją. W końcu docieramy do dużej, otwartej kuchni, ale nadal nie widzę żadnego alkoholu, jedynie porzucone czerwone kubki i na wpół opróżnione miski z chipsami i precelkami.

– Skąd się bierze drinki?

Nagle zaczynam się denerwować. Może miałyśmy przynieść własny alkohol, mimo że Tori mi obiecała, iż będzie go tu całe mnóstwo. Nie bywamy na imprezach, gdzie alkohol jest za darmo. Zawsze trzeba płacić, w taki sposób czy inny.

Tori przeczesuje wzrokiem tłum i na jej twarzy pojawia się uśmiech. Podążam za jej spojrzeniem i dostrzegam Lincolna. W sumie trudno go przegapić, bo góruje nad wszystkimi... no i jest tu jedynym ciemnoskórym facetem.

– Muszę się napić – mówię do niej, kiedy rusza w jego stronę.

Tori nie reaguje. Może mnie nie słyszała, ale nie mogę zostać na tej imprezie na trzeźwo. Przeciskam się przez tłum i na werandzie z tyłu domu w końcu udaje mi się wypatrzyć beczkę z piwem.

– No jasne – mamroczę i głupio mi, że wątpiłam, iż na *tej* imprezie nie będzie darmowego picia.

Na imprezach, na których bywamy z Tori, samemu trzeba się zatroszczyć o alkohol – przynieść własny, a potem strzec go przez cały wieczór, żeby nikt ci go nie podkradł. Dziewczyny zazwyczaj uprawiają flirt – albo coś, co stanowi luźną interpretację tego słowa – aby zdobyć drinki, ale to także oznacza, że do końca imprezy muszą tkwić przy boku jakiegoś faceta.

Ja zawsze pilnuję, abyśmy się zjawiały z własnym zaopatrzeniem. Nie ma takiej opcji, żebym w kwestii alkoholu była uzależniona od chłopaka i zdecydowanie nie zamierzam być niczyją dłużniczką.

W końcu udaje mi się wydostać na taras. Trochę jestem zirytowana, bo w przeciskaniu się przez tłum przeszkadza mi torba. Zazwyczaj nie noszę takich dużych toreb. Muszę ją gdzieś schować. Nie martwię się, że ktoś mógłby mi ją zabrać. Żaden z uczestników tej imprezy nie połąsiłby się na zdezelowaną listonoszkę. Pieniądze z napiwków trzymam w wewnętrznej kieszeni kurtki, a w zewnętrznej znajduje się telefon. Klepię drugą kieszeń, aby się upewnić, że schowałam do niej „imprezę w woreczku”. Schodzę po schodach i chowam torbę z boku tarasu, w najciemniejszym kącie. Jeśli ktoś rzeczywiście ma ochotę na szkaradny uniform i rozpadające się trampki, proszę bardzo.

– Co tu robisz? – słyszę, kiedy robię krok do tyłu. – Haftujesz?

– Nie – odpowiadam ostro. – A ty co tu robisz? Szukasz ofiary? – Mijam olbrzymiego kolesia, który w milczeniu odprowadza mnie wzrokiem.

Kiedy czekam w kolejce do beczki, czuję na sobie spojrzenia. Ze wszystkich stron. Przeczesuję wzrokiem tłum i w duchu przeklinam Tori. Oczywiście, że ludzie się gapią – w końcu widać mi pośladki spod koronkowych szortów, a top ma naprawdę spory dekol. Tam, gdzie zazwyczaj bywamy, nikt by nie zwrócił większej uwagi na taki strój. Tutaj jest inaczej. Lustrują mnie wzrokiem, jakby próbowali zdecydować, czy powinni kazać mi się trzymać z dala od ich chłopaków, czy zaproponować mi pięćdziesiąt dolców za dwadzieścia minut na tylnej kanapie w samochodzie.

– Kim jesteś i co robisz na mojej imprezie?

Obok mnie stoi chłopak w niebieskiej koszulce polo i spodniach khaki. Wygląda jak

większość obecnych tutaj facetów – dodatkowo niektórzy mają czapki z daszkiem i koszule narzucone na T-shirty.

– Czekam na darmowe piwo – odpowiadam z ironicznym uśmiechem.

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– W takim razie trzeba się tym zająć. Przepraszam – mówi do tych, co stoją w kolejce przede mną. – Ta pani potrzebuje piwa.

Chwilę później wręcza mi czerwony kubek.

– Proszę bardzo.

– Dziękuję. – Biorę go od niego z uśmiechem na tyle bladym, żeby nie miał ochoty mi towarzyszyć.

– Jestem Blake. Daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała, okej? – Po tych słowach odchodzi, aby nieść pomoc innej dziewczynie. – Whitney, mam dla ciebie fireballa!

– A tak w ogóle to coś ty za jedna? – pyta mnie jakaś dziewczyna. – Z kim tu przysłaś?

To nie jest przyjacielskie pytanie prowadzące do wzajemnego przedstawiania się. To pytanie zdecydowanie terytorialne, którego podtekst brzmi: „masz czelność, żeby się tu pojawiać”.

– Nie chodzi o to, z kim przysłałam – mówię z drwiącym uśmiechem. – Powinnaś martwić się tym, z kim *wyjdę*.

Z udawanym przerażeniem wciąga głośno powietrze. Walczę z pokusą przewrócenia oczami.

Wchodzę do domu i znajduję pusty kąt w kuchni. Nie zawracam sobie głowy szukaniem Tori i Lincolna. Jestem gotowa opierać się o blat i obserwować toczące się wokół mnie przedstawienie, dopóki stąd nie wyjdziemy.

– Skąd jesteś?

– Możesz uwierzyć, że ona sądzi, że ma u niego szansę?

– Nie jesteś z Oaklawn, no nie? Zapamiętałabym cię.

– A widziałyście, w co się ubrała? Ta dieta zdecydowanie nie działa.

– O cholera!

Dziewczyny piszczą, kiedy zderza się z nimi jakiś pijany palant. Ledwie udaje mu się dobiec do zlewu, gdzie wymiotuje.

Jestem mimowolnym widzem tego amerykańskiego dramatu. Plotki. Okropna, dudniąca z głośników muzyka pop. Amatorzy, którzy nie radzą sobie z tym, co mają w kubkach. Obściskująca się pod ścianą para; jego ręka pod jej spódniczką. I owszem, jestem świadoma tego, że obok mnie stoi jakiś chłopak, który próbuje wciągnąć mnie w rozmowę.

– Mówiłaś, że jak masz na imię?

Kiedy jawne ignorowanie go nie działa, wzdycham ze zniecierpliwieniem i rzucam:

– Idź sobie.

Wygląda na urażonego. Śmieję się z niego.

– Suka.

– Niewątpliwie – przyznaję.

Z naburmuszoną miną przeciska się do salonu, gdzie grupka dziewczyn nieporadnie próbuje tańczyć.

I wtedy... dostrzegam jego intensywnie niebieskie oczy. W takim samym urzekającym odcieniu, jak oczy jego brata. I pewnie także ojca. Oczy, które nie chciały się ode mnie oderwać, kiedy widział mnie dzisiaj pod szkołą, i które teraz trzymają mnie w niewoli.

Uśmiecha się, a w jego prawym policzku pojawia się głęboki dołeczek.

– Cholera – syczę.

Nie odrywając ode mnie wzroku, przeciska się przez tłum. Ludzie zagadują go po drodze. Odpowiada, ale przez cały czas patrzy w moją stronę. Stoję jak wrośnięta w ziemię, aż w końcu zjawia się przede mną. Tuż przede mną. Kładzie ręką na blacie zaraz obok mojej talii i się nachyla, a jego usta muskają moje ucho.

– Hej, Lano.

Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiega dreszcz.

– Skąd mnie znasz?

Nie odsuwa się. Moje usta znajdują się tak blisko jego szyi, że bez problemu mogłabym ją pocałować.

– A kto cię nie zna? – Jego niski głos sprawia, że serce na chwilę mi zamiera. Chłopak odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy.

Śmieję się.

– Praktycznie wszyscy na tej imprezie.

– Bo to nie jest impreza w twoim stylu. – Emanuje z niego spokój, jakby czuł się komfortowo z poświęcaną mu uwagą. A obserwuje go naprawdę wiele osób, z zupełnie innych powodów niż mnie.

– To prawda. – Pokazuję głową Tori, która śmieje się zalotnie z czegoś, co powiedział Lincoln, i kładzie mu rękę na ramieniu. – Odgrywam po prostu dobrą przyjaciółkę. A więc to ty jesteś tym słynnym Joeyem Harrisonem? Nie sądziłam, że istniejeś naprawdę.

Prostuje się ze śmiechem, a ja z żalem uświadamiam sobie, że zwiększyła się dzieląca nas odległość.

– Aha, rzadko przyjeżdżam do domu.

– Gdzie się ukrywasz? – Pociągam łyk zimnego piwa. Potrzebuję ochłody.

– Chodzę do prywatnej szkoły na północy.

Uśmiecham się znacząco.

– Jakżeby inaczej.

Mruży oczy, skonsternowany moją reakcją.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Ani razu się nie rozejrzał.

Uwaga, jaką mi poświęca, zdecydowanie nie sprawia mi przykrości.

– Czyżby? – pytam z uśmiechem, starając się zgrywać niewzruszoną.

Posyła mi diaboliczny uśmiech, po czym pociąga łyk piwa.

– Chcesz się stąd zmyć? Chyba się wybierzemy na inną imprezę.

– A „wy” to kto? – Nauczyłam się, że wyjście z grupą facetów może prowadzić do późniejszych komplikacji.

– Lincoln, ja i Vic. – Wskazuje chłopaka, który opiera się o blat naprzeciwko nas.

Wcześniej nie zwróciłam na niego uwagi. W swojej skórzanej kurce, z ogoloną głową i dużym tatuażem na szyi, zahaczającym aż o czaszkę, wyróżnia się tu jeszcze bardziej niż ja. Wygląda jak jaśniejący promyczek. Czyli, w moim słowniku, synonim depresji.

– Nie jestem pewna, co my robimy, ale na pewno się stąd zwiniemy, gdy tylko zjawi się nasza koleżanka. – Rozglądam się po kuchni i namierzam zegarek na mikrofalówce. – Raczej niedługo.

Joey wyjmuje z kieszeni telefon i zerka na wyświetlacz.

– Mogę cię na chwilę przeprosić?

– Nawet i na dwie chwile – odpowiadam. Zaimponował mi tą prośbą.

Ma lepsze maniery niż większość znanych mi dorosłych. No, ale z drugiej strony – pracuję w spelunce.

Z telefonem przy uchu Joey wychodzi na taras.

Zerkam na stojącego naprzeciwko mnie ponuraka i próbuję zrozumieć, jak to możliwe, że on i Joey się przyjaźnią. Vic nie patrzy mi w oczy, ale niemal słyszę wydobywający się z jego gardła warkot. Czarujące.

– Gdzie Joey? Widziałam, jak z tobą gadał – pyta Tori, pojawiając się nie wiadomo skąd.
– Błagam, tylko mi nie mów, że już go zdążyłaś wkurzyć.

– Aż taką suką to nie jestem – odpowiadam obronnym tonem.

Tori posyła mi znaczące spojrzenie, które bezgłośnie każe mi przestać pieprzyć.

Przewracam oczami.

– Wyszedł, żeby zadzwonić.

– To pewnie dlatego Lincoln też wyszedł – mówi. – No dobra, masz coś przeciwko, żebyśmy się bawili z nimi dzisiaj?

– Tori, poznałaś Vica? – Uśmiecham się szelmowsko i kiwam głową w jego stronę. – Jest z chłopakami.

Moja przyjaciółka odwraca się z uśmiechem, ale na jego widok rzadnie jej mina.

– O nie – mówi, lustrując go z góry na dół. Odwraca się w moją stronę. – Serio? Nina nie będzie zadowolona. – Mierzy go wzrokiem i krzywi się, jakby poczuła nieprzyjemną woń.

Nadal się uśmiecham, rozbawiona jej reakcją.

– Do bani – jęczy na tyle głośno, żeby Vic ją usłyszał.

– A Nina kiedy tu dotrze?

– Właśnie miałam do niej pisać. – Otwiera torebkę i wyjmuje telefon.

– Hej, drogie panie – wita nas Joey i pięknie się uśmiecha. – Macie ochotę wybrać się z nami do The Point? Mam tam wstęp.

– Naprawdę? – Tori unosi brwi. – Sądziłam, że mało kogo wpuszczają do The Point.

Joey wzrusza ramionami i posyła nam pewny siebie uśmiech. W oczach Tori pojawia się błysk. Wie, że od dawna chce poimprezować w The Point, ale do tej pory nie udało mi się tam wejść. Nie musi nawet pytać czy chcę jechać, bo zna odpowiedź.

– Jedyne problem w tym, że potrzebna nam podwózka. Brat zabrał mi jeepa i dopiero na miejscu mogę go odebrać.

– Hmm... zobaczymy, czy coś się da załatwić – mówi Tori. Zbliży telefon do ucha i wychodzi na taras, z dala od hałasu.

– Jak się dostałaś na listę? – pytam Joeya. Bardzo mi tym zaimponował.

– Brat jest mi winien przysługę – odpowiada wymijająco.

– Mamy transport! – oznajmia Tori chwilę później. – Nina przyjedzie za pół godziny.

Zastanawiam się, skąd Nina załatwi samochód. Może od jednej z dziewczyn w klubie? Mam taką nadzieję, bo nie chcę, aby czuła, że przez całą noc musi zabawiać Pana Ponuraka.

– Zagrasz ze mną w rundę piwnego ping ponga? – Joey ujmuje moją dłoń, jakby zamierzał mnie odciągnąć.

– Eee, nie – odpowiadam, nie ruszając się z miejsca.

– Jeszcze nigdy w to nie grałaś – rzuca ze znaczącym uśmiechem.

Otwieram usta, aby zaprzeczyć, ale przecież nie umiem kłamać.

– Nie.

Pociąga mnie za sobą, ignorując mój opór.

– Chodź. Będzie fajnie.

Napełniwszy piwem nasze kubki, Joey prowadzi mnie na dół do wykończonej piwnicy, gdzie grupka osób otacza stół do ping ponga. Na obu końcach stołu stoją pary, które mają przed sobą kilka kubków. Dziewczyna celuje piłeczką, po czym ją rzuca i trafia do kubka. Wszyscy skandują:

– Pijcie!

Wtedy druga para wypija swoje piwa i usuwa ze stołu kubek.

Oparwszy wolną rękę na moim biodrze, Joey się nachyla i wyjaśnia zasady. Mówi wprost do mojego ucha, tak jak wcześniej. Przyłapuję się na tym, że słuchając jego niskiego głosu, odruchowo się ku niemu przysuwam. Kiedy czuję na plecach jego klatkę piersiową, prostuję się i odsuwam. Nie pozwalam, aby faceci mnie dotykali, a na pewno nie w tak intymny sposób. Muszę najpierw mieć pewność, że są warci mojego czasu. Ale do Joeya coś mnie jednak ciągnie. Mam wrażenie, jakby jego dłonie na moim ciele były czymś naturalnym. Robię krok do przodu i jego dłoń się zsuwa. Pozbawiona jego dotyku nagle się otrząsam i po raz kolejny jestem dojmująco świadoma dzielącej nas przestrzeni.

– Harrison, masz już partnera? Grasz ze zwycięzcą – woła do Joeya chłopak w różowej koszulce polo.

Joey z szerokim uśmiechem wskazuje na mnie. Chłopak w polówce również się uśmiecha, jakby pochwalał wybór Joeya. Mam ochotę przewrócić oczami – och, tak się cieszę, że mam jego aprobatę.

Po kilku minutach na stole pozostaje tylko jeden kubek. Chłopak z przeciwnego końca wrzuca do niego piłeczkę. Wszyscy wydają głośne okrzyki, a para, która przegrała, wypija swoje piwa.

– To głupia gra – stwierdzam głośno.

Joey ze śmiechem bierze mnie za rękę i prowadzi na miejsce przegranych.

– Potraktuj to jak zabawę karnawałową – mówi za mną, tak że tylko ja go słyszę. – No wiesz, jedną z tych, gdzie rzuca się obręcz na butelkę albo celuje strzałkami w balony. Różnica jest taka, że musimy wrzucić piłeczkę do kilku kubków i zmusić ludzi do picia.

– Dostanę nagrodę, jeśli wygramy? – pytam z przekąsem i zbyt późno do mnie dociera, że może błędnie zinterpretować moje pytanie.

Joey się śmieje, prezentując dołeczek w policzku.

– Jeśli wygramy, dopilnuję, żebyś do domu pojechała z nagrodą – obiecuje. – Nawet jeśli będę ci musiał kupić maskotkę, na przykład małpkę.

Uśmiecham się, wdzięczna, że nie potraktował tego pytania jako zaproszenia do wsadzenia mi ręki w majtki.

– Wolalabym zebrać.

I znowu śmiech.

– Gotowi? – woła do nas niecierpliwie chłopak z drugiego końca stołu.

– Wygrajmy dla mnie zebrać – oświadczam, co skupia na mnie dziwne spojrzenia słyszających mnie ludzi

••••

I rzeczywiście wygrywamy. Zapewne pomógł nam fakt, że dla drużyny przeciwnej była to trzecia runda i mieli już nieźle w czubie. A może miało to związek z tym, że okazałam się w tej głupiej grze cholernie dobra. Nie żebym się przechwalała, ale wbijałam piłeczkę do kubka za kubkiem, a obserwatorzy wydawali głośne okrzyki i przybijali ze mną piątkę. A po zwycięskim rzucie Joey zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku, przez co miałam problem z oddychaniem z więcej niż jednego powodu. Wow, ależ on jest zbudowany.

Kto mógł wiedzieć, że najlepszym sposobem na wpasowanie się w towarzystwo na imprezie jest pokonanie wszystkich w ich własnej grze?

– Kto następny? – pyta jeden z przegranych. Mają imiona, ale ich nie pamiętam.

– Musimy się zbierać. – Słowa Joeya spotykają się z jękami zawodu.

W tym momencie zauważam, że gapi się na mnie ta sama żółtowata dziewczyna co wcześniej. Kiedy Joey bierze mnie za rękę, jakbyśmy byli parą, nie mogę się powstrzymać i posyłam jej wyniosły uśmiech, co tylko jeszcze bardziej ją wnerwia. A ja oczywiście się śmieję.

– No co? – pyta Joey, patrząc w stronę dziewczyny. Chyba się domyślił, o co chodzi, bo przyciąga mnie do siebie, kładzie mi dłoń na dolnej części pleców i prowadzi ku wyjściu.

Kiedy wchodzimy po schodach, sprawdzam telefon. Dwie minuty temu dostałam esemesa od Tori. *Nina jest przed domem. Czekamy.*

– Są przed domem – mówię do Joeya, stawiając pusty kubek po piwie obok jakichś wyglądających na drogie rzeźb na stole w korytarzu.

Kiedy jesteśmy już na dworze, przypominam sobie o czymś.

– Och. Moja torba.

– Gdzie ją zostawiłaś? – pyta Joey.

– Zaraz wróć. – Zabieram mu rękę i szybko się udaję za róg domu. Schylam się w ciemnościach i sięgam pod taras po torbę.

Kiedy się prostuję, wyczuwam kogoś za sobą.

– Już mam – mówię, zakładając, że to Joey.

Tyle że ten facet jest znacznie potężniejszy.

– Wiedziałem, że się tu zjawisz, żeby mnie znaleźć – odzywa się. Stoi nieco zbyt blisko mnie.

– Chyba śnisz. – Próbuję go wyminąć.

Chwyta mnie za ramię i odwraca w swoją stronę.

– A ty gdzie się wybierasz?

Wpatruję się w tego samego irytującego koleśka, który zaczepiał mnie dzisiaj w szkole. Tego, który najwyraźniej nie rozumie, że „nie” znaczy „nie”. Próbuję odszukać w pamięci jego imię, ale na próżno. Boże, w kwestii imion jestem naprawdę beznadziejna.

– Nie dotykaj mnie. – Drugą rękę chowam do kieszeni kurtki.

– Uważasz, że jesteś dla mnie za dobra?

– Tak – odpowiadam i zbyt późno do mnie dociera, że ta akurat odpowiedź powinna była pozostać w moich myślach. – Ale nie bierz tego do siebie. Jestem za dobra dla większości facetów.

To mi nie pomaga. Jego uścisk na moim ramieniu staje się jeszcze silniejszy.

– Ale z ciebie cholerna suka.

– Powinam gdzieś to sobie wytatuować – mówię, wyjmując rękę z kieszeni i wciskając przycisk. – A teraz puść mnie, inaczej wytatuuję ci swoje imię na jajach.

Koleś przenosi wzrok na błyszczące między jego nogami ostrze.

– Lana?

Nie spuszczam oczu z palanta. Ciągłe odcina mi krążenie w ręce.

Delikatnie stukam tępą częścią ostrza w jego krocze. Odskakuje, jakbym poraziła go prądem. Bez chwili wahania uciekam. Tuż za rogiem czeka na mnie Joey. Nim do niego docieram, chowam nóż do kieszeni.

Joey patrzy na mnie uważnie.

– Wszystko w porządku?

Udzielam mu odpowiedzi, która na chwilę obecną jest najbardziej szczerą.

– Muszę się napić.

Obok nieznanego mi samochodu stoją Nina, Tori i Lincoln. Auto jest wielkie i stare. Przypomina czołg z czarną, brezentową górą. Kiedy przyglądam się uważniej, za kierownicą dostrzegam Gary'ego, szefa Niny z klubu ze striptizem. Że niby co? To największy zbok we

wszechświecie. Tylko raz się z nim widziałam i potem natychmiast musiałam wziąć prysznic, choć molestował mnie jedynie wzrokiem. Co on tu robi?

– Nareszcie! – wykrzykuje Tori na nasz widok. Chwyta mnie za rękę i odciąga na bok.
– Gdzie się podziewałaś? Nie wdałaś się w żadną pyskówkę ani nic podobnego, co? Zaczęłam się martwić, kiedy nie mogłam cię znaleźć. Miałam złe przeczucia, bo połowa tych dziewczyn to zdziury i gotowa byłam wydłubać komuś oko, gdybym musiała zostać na tej imprezie choć sekundę dłużej, więc wiedziałam, że ty tym bardziej szykujesz się do dania komuś w zęby. Wszystko w porządku?

– Oddychaj, Tor. – Unoszę ręce, żeby zobaczyła, że nie ma na nich śladów krwi.

Na jej twarzy maluje się uczucie ulgi.

Kiedy odwracamy się w stronę samochodu, cała reszta siedzi już w środku, nie zostawiając nam wielkiego wyboru. Tori piorunuje wzrokiem Vica, który rozłokował się na środku tylnej kanapy, pomiędzy Joeyem i Lincolnem. Wiem, że to ona chciała usiąść obok Lincolna. Otwiera drzwi od strony pasażera i wślizguje się obok Niny.

Już-już mam wcisnąć się za nią, kiedy podnosi na mnie wzrok i oświadcza:

– Usiądź z tyłu. – I puszcza do mnie oko.

Zamyka drzwi, nim zdążę zareagować.

Kiedy otwieram tylne drzwi, Joey wita mnie uśmiechem.

– Hej – mówię. Też nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu.

Chłopak klepie swoje kolana.

– Chodź tu, ślicznotko.

Rozdział 5

– **Kłamstwo to najgorszy rodzaj zdrady.**

Patrzę, jak łza skapuje z nosa mamy i wsiąka w poduszkę. Leżę naprzeciwko niej na łóżku, a ona mocno mnie trzyma za rękę.

– Nigdy nie kłam, aby chronić kogoś przed prawdą. Kłamstwo rani równie mocno, jak wbity w serce nóż.

Wygodnie ci? – pyta Joey, nachylając się ku memu uchu i pieszcząc je oddechem.

Zaczynam sądzić, że to jego sposób na dotarcie do mnie. To bardziej intymne niż dłoń spoczywająca na moim biodrze. Przechylam głowę w jego stronę i ocieram policzkiem o świeżo ogoloną skórę. Tak ładnie pachnie. Przymykam oczy i wdycham jego zapach.

– Tak – odpowiadam i przechylam się nieco bardziej w stronę drzwi samochodu, żeby mieć lepszy widok.

– Zaimponowałaś mi umiejętnościami gry w piwnego ping ponga. – Kąciki jego ust się unoszą. – Na pewno nigdy dotąd tego nie robiłaś?

– Na pewno. – Uśmiecham się cierpko. – Wisisz mi zebnę.

– Wiszę.

Powoli się przysuwa, tak że teraz wystarczyłoby, aby lekko schylił głowę i mógłby mnie pocałować. Zatracam się w jego uważnym spojrzeniu i daję się uwieść niskiemu pomrukowi jego głosu. *Chcę*, żeby mnie pocałował. Jak urzeczona muskam dłonią jego szyję.

– Chcesz trochę?

Jest tak, jakby ktoś mną potrząsnął, wrywając z transu. Wróciłam do rzeczywistości: dudniące w głośnikach muzyki i ściśniętych wokół nas ciał. W lusterku wstecznym napotykam baczne spojrzenie Niny. Nie podoba jej się to, co widzi. Zabieram rękę z szyi Joeya i nieco się prostuję.

W moją stronę wychyla się Tori z butelką w ręce.

– Lana?

– Pewnie. – Odkasuję. Nie patrząc nawet, co piję, wstrzymuję oddech i biorę dwa duże łyki. Czuję w przełyku ostre pieczenie z nutką mięty.

Podaję butelkę Joeyowi. Napiwszy się, przekazuje ją Vicowi.

– Hej – mówię, kiedy Vic nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy.

– Vic, to jest Lana. – Joey kiwa głową w moją stronę. – Vic i ja chodzimy razem do szkoły w Vermoncie.

Vic kiwa głową i unosi gęste, czarne brwi, zacinając jego szare oczy.

Pociągnąwszy spory łyk, daje butelkę Lincolnowi i krzyżuje ręce na piersi. Emanująca z niego energia jest mroczna i złowieszcza. Już widzę, że jego towarzystwo okaże się równie przyjemne jak zaraza. Jak tylko go zobaczyłam na imprezie, wiedziałam, że nie chcę mieć z nim nic do czynienia.

– Jak leci, Lana? – pyta Lincoln, a długie nogi ma zgięte niewygodnie za przednim siedzeniem.

Nigdy nie wiem, co odpowiadać na tego typu pytania. Ludzie w gruncie rzeczy wcale nie chcą poznawać żalostnej prawdy. A ja nie umiem kłamać i mówić im tego, co spodziewają się usłyszeć, więc po prostu wzruszam ramionami.

Choć widziałam go na imprezie, dopiero teraz Lincoln i ja odezwaliśmy się do siebie.

– Nie wiedziałam, że przyjaźnisz się z Joeyem.

– Ty i ja nie poruszamy przecież takich tematów – odpowiada.

To prawda. Od początku roku szkolnego jestem jego partnerką na francuskim, a wiem o nim jedynie to, że uprawia sport i ma stypendium... jakiegoś tam. Och, i że podoba mu się Tori.

Jak większości chłopaków.

Tori nie stanowi zbyt dobrego materiału na dziewczynę. Gdybym wiedziała, że rzeczywiście mu na niej zależy, nie zachęciłabym go do wykonania ruchu. Odkąd się znamy, czyli praktycznie od zawsze, Tori nie ogranicza się do randkowania tylko z jednym kolesiem. Zachowuje dystans, ale lubi flirtować. Przez tę swoją rezerwę wydaje się niedotykalna. I faceci oczywiście pragną tego, czego nie mogą mieć, a Tori wydaje im się tym bardziej kusząca. Ona to wykorzystuje, naśmiewając się i drażniąc. Manipuluje tak, aby dostać to, czego chce, a potem ich porzuca.

Nie czuję się fajnie, kiedy widzę, jak Lincoln nie może oderwać od niej wzroku. Jest inny od gości, z którymi moja przyjaciółka zwykle się umawia. Jeśli nie będzie ostrożny, może się naprawdę sparzyć.

– Cześć, Lana! – woła do mnie poirytowana Nina.

– Och, sorki. – Dociera do mnie, że w ogóle się z nią nie przywitałam. – Jak wieczór?

Wzrusza ramionami.

– Jak zawsze.

Nina ma dziewiętnaście lat. Rok temu rzuciła szkołę i pracuje w miejscowym klubie ze striptizem. Jest wysoka, chuda i ma ciemne, proste, sięgające tyłka włosy. Natura obdarzyła ją biustem, za oglądanie którego faceci płacą i modlą się, aby mogli go dotknąć. Nina twierdzi, że ma w planach zdanie matury. Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Nina imprezuje z nami, kiedy nie jest akurat w pracy. To typ dziewczyny, która przyciąga uwagę wszędzie, gdzie się znajdzie – włącznie z supermarketem. Faceci zachowują się naprawdę żałośnie w jej towarzystwie. Ale jeśli chodzi o angażowanie się w związki, Nina zachowuje taki sam dystans jak my. Jej przekleństwem jest *Szacunek*. Żąda go od wszystkich – przyjaciół, przełożonych, a zwłaszcza od swoich mężczyzn.

Za chamstwo potrafi przyłożyć jak mało kto. Byłam zszokowana, kiedy zobaczyłam to po raz pierwszy. Znokautowała faceta za to, że ją obmacywał, kiedy byliśmy w kinie. Jestem pewna, że złamała mu nos. Nina nauczyła mnie podstaw samoobrony. To od niej mam mały różowy nóż sprężynowy, który noszę w kieszeni.

Nina wprowadziła się do Tori po tym, jak wbiła widelec w udo chłopaka swojej matki. Podczas kolacji próbował wsunąć jej rękę pod spódnicę – *podczas gdy jej matka siedziała po drugiej stronie stołu!* Matka wyrzuciła ją z domu, zarzekając się, że mężczyzna, którego kocha, nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Ten koleś ma szczęście, że Nina nie wycelowała nieco wyżej. A jeśli chodzi o jej matkę... brak mi słów.

Nadal nie jestem pewna co robimy w samochodzie tego ogra.

W tym momencie Nina wyjaśnia:

– No więc Gary zaoferował się, że nas podwiezie i zaopatrzył nas w parę częściówek.

– Co znaczy, że z klubowego baru zabrał kilka niemal pustych butelek z alkoholem. Nina unosi brwi i na jej twarzy pojawia się wymuszony uśmiech.

Teraz rozumiem. Gary był naszą jedyną opcją, co jest do bani, bo naprawdę nie mam nastroju na to, aby odpierać potencjalne ataki jego wędrujących dłoni.

– No więc wyjaśnijcie jak to możliwe, że dostaliśmy się na listę – mówi do nas Nina, nadal patrząc w lusterko wsteczne.

– Mój brat Parker – wyjaśnia Joey.

Jego palce prześlizgują się po odsłoniętej skórze mojej talii. Robię szybki wdech. Musiał to zauważyć, bo kąciki jego ust unoszą się lekko, mimo że pozostaje skupiony na twarzy Niny.

Nina odwraca się na fotelu.

– Parker Harrison? – Jej spojrzenie bada twarz Joeya, on zaś patrzy na nią z ciekawością.

– Znasz mojego brata? – pyta zaskoczony.

Nie miałam pojęcia, że Ninie nie powiedziano, jak Joey ma na nazwisko, no i dopiero teraz musiała mu się dobrze przyjrzeć, bo przecież podobieństwo między braćmi jest uderzające.

Nina zerka na mnie, po czym z powrotem się odwraca.

– Widujemy go raz na jakiś czas – mówi obojętnym tonem.

Ale ja wiem lepiej. Prawda jest taka, że *wszyscy* wiedzą kim jest Parker Harrison. Trudno, żeby było inaczej. Jest starszą, bardziej wyrafinowaną wersją Joeya. Ale w przeciwieństwie do Joeya on bywa wszędzie – w barach, na imprezach, generalnie wszędzie tam, gdzie ludzie dobrze się bawią.

Schowawszy komórkę do kieszeni, Vic nachyla się i pyta Gary'ego:

– Możemy się zatrzymać?

– To nie taksówka – burczy Gary. – Nie wiedziałem, że będę wioził was wszystkich.

– Rzuca nam nieprzyjemne spojrzenie.

– Oj, Gary – grucha Nina, muskając szczupłymi, wymanikiowanymi palcami tył jego nieforemnej głowy. Tłumię odruch wymiotny. Nie mam pojęcia, jak ona potrafi tak udawać. Na tych jego zaczesanych do tyłu włosach jest pewnie więcej tłuszczu niż na grillu w Stella's.

– Wiesz, że to moi przyjaciele. – Nachyla się ku niemu, tak że jej błyszczące, czerwone usta niemal dotykają jego ucha. – Proszę, bądź miły.

Gary wzdycha z zadowoleniem, kiedy Nina gładzi jego wielką głowę.

– Gdzie chcesz się zatrzymać?

– Muszę kupić fajki. Może być jakikolwiek sklep spożywczy – odpowiada Vic. Siedzi z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a dłonie ma zaciśnięte w pięści.

O co chodzi temu koleśowi?

– Ładnie pachniesz – mówi Joey, muskając nosem moje ramię.

– Dzięki – odpowiadam, licząc, że chodzi mu o perfumy, a nie woń Stella's.

Przypominają mi się wcześniejsze słowa Tori i próbuję się nie roześmiać. Wygląda na to, że tłuszcz jest seksowny.

– Już od dawna miałem ochotę cię poznać. – Joey ściska mnie w talii.

Podskakuję i uderzam go ramieniem w szczękę.

Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– Strasznie cię przepraszam – bąkam zażenowana.

– Nic się nie stało – zapewnia, pocierając szczękę. – Nie wiedziałem, że masz łaskotki.

– Oj tak.

– Wszędzie? – pyta, a na jego przystojnej twarzy pojawia się żartobliwy uśmiech.

Och, ależ mam ochotę polizać ten dołeczek. Nie żartuję, taka myśl rzeczywiście przemknęła mi właśnie przez głowę.

Joey drugą rękę ściska mi udo. Ponownie podskakuję – tym razem nie robiąc mu krzywdy.

– Na to wygląda – mówi ze śmiechem, delikatnie pocierając zdradzieckie miejsce.

Gdybym tylko mogła się odwrócić i usiąść na nim okrakiem, od razu bym to zrobiła. To zdzirowate, wiem. Ale przysięgam, że zazwyczaj nie zachowuję się tak żałośnie. Żaden facet *nigdy* tak na mnie nie działał. Więc przestańcie mnie osądzać.

– Szkoda, że nie jesteśmy teraz sami – szepczę mu do ucha. Wsuwam dłoń między jego kolana i kciukiem przesuwam mu po nodze.

Okej. W porządku. Osądzajcie. Wiem, że nawet nie odbyliśmy prawdziwej rozmowy. Ale mam to gdzieś. Siedzę właśnie na umięśnionych udach jednego z najseksowniejszych facetów, jakich znam, i jedyne, czego pragnę, to poddać się pragnieniu pulsującemu w moim buzującym hormonami nastoletnim ciele. Nie mam nad tym kontroli.

Joey przyciąga mnie nieco bliżej.

– Ja też.

– Chcesz się jeszcze napić? – pyta Tori, tak bardzo się wychylając z przedniego fotela, że mam ją praktycznie przed sobą. – No wiesz, na rozluźnienie?

Widzi dłoń Joeya na mojej nagiej nodze i piorunuje go wzrokiem. On zabiera rękę. A ja w tym momencie trzeźwieję.

– Aha – mówię z miną winowajcy.

Tori wie, że coś takiego jest nie w moim stylu. Nie należę do dziewczyn, które rozkładają nogi dla każdego faceta, który choćby na nie spojrzy. Przyjaciółka zazwyczaj ochrzania mnie za to, że jestem taka zimna i zołzowata. No ale przecież to nie ona siedzi teraz na kolanach Joeya i opiera się o jego umięśniony tors.

To przecież przez nią teraz tutaj siedzę!

Tori jest niemal tak drobna jak ja. Spokojnie zmieściłabym się z przodu razem z nią i Niną. Ale przecież kazała mi usiąść z tyłu i jeszcze puściła do mnie oko. Tak więc to ją obarczam winą za swoje zdzirowate zachowanie.

Biorę od niej butelkę i piję, ile tylko dają radę. Skoro zdarcie z Joeya ciuchów nie wchodzi w grę, to będzie mi potrzebne znieczulenie.

Podaję butelkę Joeyowi, który bierze kilka łyków. Pewnie nie tylko mnie przyzwoite zachowanie sprawia w tej chwili problem.

Zajeżdżamy na parking przed sklepem całodobowym. Do szyb krzywo poprzyklejano plakaty reklamujące papierosy, mleko i losy na loterię. Kiedy Gary zatrzymuje samochód, Lincoln wysiada. Tori także.

– Może usiądę z tyłu, co? Vic, możesz siedzieć z przodu.

– Jak tam chcesz – burczy. Mija ją i wchodzi do sklepu.

Tori uśmiecha się uwodzicielsko do Lincolna i prześlizguje się dłonią po jego torsie, a on z niemądrym uśmiechem przytrzymuje jej drzwi. Ta dziewczyna go dręczy. A kiedy daje nura do samochodu, błysk w jej oczach mi mówi, że ona także to wie. Biedny chłopak.

Kiedy tylko siada obok Joeya, Tori unosi moje zwisające nogi i kładzie je sobie na udach.

– Hej, Lana.

Mam kłopoty. A kiedy chwyta mnie za kostkę, wiem, że zdecydowanie nie jest ze mnie zadowolona. No ale to przecież *jej* wina.

– Hej, Tori – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem.

Joey patrzy najpierw na nią, potem na mnie, i wbija plecy w oparcie, jakby próbował zejść nam z drogi.

– Wyglądasz dziś naprawdę uroczo. – Tori przenosi spojrzenie na Joeya. – Prawda, że wyglądasz uroczo?

– Eee, tak – odpowiada Joey. Jest wyraźnie skonsternowany i nie ma ochoty znajdować się w środku tego czegoś między mną a Tori.

– Dzięki – rzucam zwięźle.

Tori jest groźna. Nie stanowi zagrożenia w sensie fizycznym, tak jak Nina. Zarówno ona, jak i ja mierzymy niewiele ponad metr pięćdziesiąt. Ale ona dysponuje temperamentem

i słownictwem, które sprawia, że dorośli mężczyźni kulą się ze strachu. A kiedy wpada w szal, długie czarne loki unoszą się wokół jej głowy niczym szalejąca burza. Jej szyja obraca się to w jedną, to w drugą stronę, a palec zakończony ostrym paznokciem niemal wbija się w twarz osoby, która zadarła z Tori. Z jej ust wylewa się nieposkromiony *Spanglish*^L, przez co facet odruchowo zasłania jądra, a najbardziej nawet pewna siebie dziewczyna cicho kwili. Jest tak, jakby Tori werbalnie obdzierała ich żywcem ze skóry. Po drugiej stronie palca tej Latynoski znalazłam się tylko dwa razy. I w obu przypadkach nie skończyło się to dobrze.

Patrzę teraz na jej rękę na mojej kostce i czekam.

– Powinieneś wiedzieć, Joey, że to moja najlepsza przyjaciółka. – Tori ma ton głosu jak jeden z tych facetów z *Ojca chrzestnego*, na chwilę zanim wyciągnie broń i odstrzeli głowę temu, kto siedzi przy stole naprzeciwko niego.

– Wiem o tym – odpowiada ostrożnie Joey.

– W takim razie powinieneś wiedzieć, że jestem wyjątkowo opiekuńcza w stosunku do moich przyjaciół. Zwłaszcza najlepszej przyjaciółki.

Joey kiwa głową. Mrużę oczy. Nie rozumiem. Co to ma znaczyć?

– A żeby być z moją najlepszą przyjaciółką, trzeba sobie na to *zasłużyć*. – Tori mierzy go wzrokiem. Sięgam po jej dłoń, nim zdąży wymierzyć palcem. – Nie jest łakomym kąskiem, który łąduje na twoich kolanach. Rozumiesz?

– Oczywiście – odpowiada Joey, nie będąc w stanie oderwać wzroku od jej płonących brązowych oczu.

– Eee, mogę zamienić z tobą słowo? – pytam, ściskając dłoń Tori.

Przyjaciółka odkleja wzrok od chłopaka i patrzy z uśmiechem na mnie.

– Jasne.

Otwieram drzwi i zsuwam się z kolan Joeya. On się przesuwają, żeby wyjść, ale Tori przyciska dłoń do jego torsu i popycha go z powrotem na kanapę.

– Dam sobie radę – mówi, przechodząc nad nim. Wysiada z samochodu i zatrząskuje drzwiami.

– Co cię ugryzło? Czemu się tak zachowujesz? – pytam, gdy tylko zostajemy same.

– Czemu pozwalasz mu się tak dotykać? – odparowuje. – Lana, to nie w twoim stylu.

– Hej! to przecież przez ciebie usiadłam mu na kolanach, a gdybyś czuła to, co ja, nie mówiłabyś z takim potępieniem w głosie. – Zamykam usta, kiedy do mnie dociera, jak fatalnie to zabrzmiało.

– Masz rację. To moja wina – przyznaje. Krzyżuje ręce na piersi i opiera się o samochód.

– Wrobiłam cię. Powinnaś była przewidzieć, że okażesz się dla niego łatwą zdobyczą.

– Owszem, to twoja wina! Chwileczkę... co takiego? Łatwą? Nie jestem łatwa – oświadczam urażona. W tym momencie dostrzegam błysk w oku przyjaciółki. Drażni się ze mną. – Suka z ciebie, Tori.

– Musiałam coś zrobić, żebyś się ocknęła i przestała zachowywać jak zdzira. – Uśmiecha się i robi krok w moją stronę, po czym mnie przytula. – Pamiętaj, to głupi facet. Najpierw musi na ciebie zasłużyć. Nie jesteś trofeum, Lano.

– Zgadza się – odpowiadam, przyduszona burzą jej loków.

W piątej klasie Tori i ja zawarłyśmy pakt, że bez względu na wszystko zawsze będziemy wobec siebie szczerze i będziemy chronić się nawzajem. A potem, w szóstej klasie, po głupiej kłótni o to, której z nas może się podobać Justin Walker, dodałyśmy zasadę, że żaden facet nie jest wart tego, aby się o niego kłócić. Żaden. Nawet Joey Harrison.

Tylne drzwi się otwierają.

– Piknął ci telefon. – Joey trzyma komórkę w ręce.

Biorę ją od niego.

– Dzięki. – Macam kieszeń w kurtce i okazuje się rozpięta. Dobrze, że nie wyleciał także nóż sprężynowy.

Wstukuję kod, żeby odczytać wiadomość od mamy. *Mogłabyś kupić coś na grypę?*

Grypa? Przez chwilę się waham. Obie wiemy, że to nie grypa. Ale może potrzebuje po prostu czegoś na złagodzenie objawów.

Odpisuję: *Okej.*

Następnie chowam telefon do kieszeni i ją zapinam.

– Wszystko w porządku? – pyta Joey. Brwi ma ściągnięte i jest wyraźnie zaniepokojony.

– Eee... – Uśmiecham się z przymusem. – Muszę jedynie kupić coś dla mojej matki.

Zaraz wracam.

Widzę, że chce mi zadać pytanie, więc szybko się odwracam i zostawiam go przy samochodzie. Patrzy, jak się oddalam.

Otwieram pokryte warstwą brudu drzwi, robię trzy kroki i zamieram.

Wzrok mam wbity w mały, srebrny pistolet. Nie wiem, co to za marka, ale to jeden z tych, w których otwiera się bębenek i załadowuje tylko jedną kulę. Pistolet trzyma potężny facet w czarnej skórzanej kurtce, z szalikiem naciągniętym na nos i kapturem na głowie.

– Co tu, kurwa, robisz?! – wrzeszczy na mnie Vic.

Przenoszę wzrok z pistoletu na chudego mężczyznę z krzaczastymi wąsami, który stoi za ladą i ma uniesione ręce. Nie odzywam się ani słowem.

Mężczyzna za ladą niespokojnie patrzy to na Vica, to na mnie. Przenoszę wzrok na Vica. Kręci do mnie głową, po czym skupia się na sprzedawcy.

– Pospiesz się! – krzyczy na mężczyznę, który wyjmuje z kasy pieniądze i przesuwa je po ladzie. – Dawaj też plik kuponów lotto! – żąda Vic, starając się, aby jego głos wydawał się niższy niż w rzeczywistości. – Powoli! – rzuca ostrzegawczo.

Sprzedawca trzęsącymi się dłońmi odrywa spory plik kuponów, które wiszą na ścianie za ladą. Podaje je Vicowi.

– Daj jej – poleca mu Vic, machając pistoletem w moją stronę.

– Co?! – wołam. – Nie chcę mieć nic wspólnego z twoim durnym napadem! Nie dotknę ich.

Vic celuje w moją klatkę piersiową.

– Bierz te cholerne kupony.

Nie jestem zdenerwowana ani się nie boję. To, co czuję, to potworna irytacja. Czemu musiałam być świadkiem tego, jak ten dureń napada na spożywczak? Założę się, że zabierze stąd najwyżej dwieście dolców. Co za cholerny idiota.

– W porządku. – Wrywam kupony z dłoni sprzedawcy i je składam. – Dupek – burczę pod nosem. – Wkładam je do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Możemy już iść?

Vic chowa banknoty do kieszeni kurtki i zaczyna iść tyłem, nie przestając celować w sprzedawcę. Otwieram drzwi i wychodzę.

– Wsiadaj szybko do samochodu! – wrzeszczy na mnie Vic, schowawszy pistolet za paskiem spodni. Szybkim ruchem ściąga z twarzy szalik i zdejmuje kaptur. Otwiera drzwi od strony pasażera, a ja w tym czasie wracam na kolana Joeya. – Jedź. Szybko.

– Co się stało? – pyta ostro Gary. Wygląda na to, że tylko on zwrócił uwagę na nasze wyjście ze sklepu.

– Nic – odpowiada ze wzburzeniem Vic. – Po prostu, kurwa, jedź. – Ogląda się na mnie.

Mam ochotę dać mu w twarz. Jest głupi do kwadratu! Krzyżuję ręce na piersi i opieram się o ramię, którym Joey lekko mnie objął. Mierzę Vica wzrokiem, wyobrażając sobie, jak

zaciskam dłonie wokół jego szyi i go duszę.

– Lana, co się stało? – pyta Tori, od razu wyczuwając mój nastrój.

Nie spuszczam wzroku z tej zarazy, jaką jest Vic. Jestem pewna, że na mojej twarzy maluje się pogarda, kiedy w myślach życzę mu tysiąca śmierci. Nawet nie próbuję tego ukrywać. Ale wiem, że jeśli cokolwiek powiem, wszystko się spierdoli.

– Nic – warczy Vic.

Nie odzywam się ani słowem.

Język pidżynowy utworzony na bazie meksykańskiej odmiany hiszpańskiego i amerykańskiej odmiany angielskiego (przyp. tłum.). [wróć]

Rozdział 6

- Lano, dlaczego uderzyłaś dzisiaj w szkole tego chłopca? – pyta mnie babcia.
- Nie uderzyłam – odpowiadam zgodnie z prawdą.
- No to kto to zrobił?
- Przesuwam stopą po podłodze, nie patrząc na babcię.**
- Moja przyjaciółka.
- Dlaczego?
- Bo on próbował unieść jej spódniczkę. – Głos mam cichy.
- Czemu nic nie powiedziałaś, kiedy nauczycielka zapytała, co się stało?
- Bo nie chciałam, aby przyjaciółka miała kłopoty.
- Ale mnie powiedziałaś.
- Podnoszę wzrok, nagle ogarnięta strachem.**
- Ma kłopoty?
- Babcia wzdycha.**
- Nie. Ja też bym go uderzyła.

Po jakichś pięciu minutach jazdy mijamy kierujące się w przeciwną stronę dwa radiowozy z migającymi kogutami. Przekręcam głowę, wodząc za nimi wzrokiem, a serce wali mi jak młotem. Kiedy ponownie się odwracam, Vic patrzy na mnie groźnie.

– Odpiardol się – mówię mu.

Tori i Lincoln patrzą najpierw na nas, a potem na siebie. Joey obejmuje mnie opiekuńczo.

– Vic, czy w sklepie coś się stało? – pyta ostrożnie Lincoln.

Nie jestem pewna, jak dobrze się znają. Ale jako że Joey się nie odzywa, Lincoln najwyraźniej uznał, że musi to zrobić.

– Nie – warczy Vic.

– No to poczęstuj mnie papierosem – mówi ostro Gary. – Doprowadzacie mnie do szału.

Vic milczy.

– Gdzie fajki, które kupiłeś, Vic? – pyta Tori. Zerka na mnie podejrzliwie, po czym wymienia z Lincolnem znaczące spojrzenie.

– Nie było tych, które palę – burczy Vic, nie odrywając wzroku od szyby.

Zaciskam dłonie i walczę z pokusą, żeby zacząć krzyczeć. Ten osioł zrujnuje mi zaraz życie i musi zniknąć. Natychmiast.

– Musimy pozbyć się go na tej imprezie – mówię cicho do Joeya, tylko dlatego, że jego ucho znajduje się zaraz obok moich ust, a Tori siedzi za daleko.

– Dlaczego? – pyta Joey.

Kręcę jedynie głową, bo nie chcę powiedzieć zbyt dużo na wypadek, gdyby podsłuchał mnie Vic. Choć nie boję się tego skunksa, on ma broń. I okazało się, że jest na tyle głupi, żeby przy jej pomocy obrabować sklep. Pewnie gotów byłby jej także użyć. A choć moje życie jest do bani, wcale nie chcę dzisiaj zginąć.

Wszyscy wiedzą, że coś się stało. Atmosfera w samochodzie jest wyjątkowo gęsta. Tori nie spuszcza wzroku z tyłu głowy Vica, jakby czekała, aż coś zrobi. Nina zaczyna majstrować przy radiu. Może i sprawia wrażenie niewzruszonej, ale gdyby zaszła taka potrzeba, z chęcią by go wypchnęła z jadącego samochodu.

Lincoln przyciska dłonie do ud, starając się zachować spokój. Ale pulsująca na szyi żyła świadczy o tym, jak niewiele dzieli go od jego utraty.

Jedyną osobą, która wydaje się dziwnie rozluźniona, jest Joey. Jego dłoń ponownie zawędrowała na moją nagą talię. To oczywiste, że dzieje się coś bardzo niedobrego, a on w ogóle nie reaguje. Albo pozostaje w błogiej nieświadomości, albo jak nikt potrafi trzymać nerwy na wodzy w stresującej sytuacji.

Z kolei ja cała jestem sztywna i dotyk Joeeya nie jest w stanie temu zaradzić.

– Mogę się napić? – pytam Ninę.

Odwraca się i podaje mi kolejną butelkę, tym razem z czymś ciemniejszym. Puszczam do mnie oko. Ona także próbuje mnie rozluźnić. Tyle że to niemożliwe. Kiedy sięgam po butelkę, drży mi dłoń. Walczę z pokusą rozbicia jej o durną głowę Vica.

Przełykam whiskey z nutką cynamonu i zaczynam kaszleć. Wtedy przekazuję butelkę dalej.

– Albo ktoś mi powie, co tu się, kurwa, dzieje, albo zjeżdżam na pobocze i wysadzam wszystkich! – krzyczy nagle Gary, a ja się wzdrygam.

Joey jeszcze mocniej mnie obejmuje.

– Nie zrobisz tego. – Głos Vica jest niski i groźny niczym zbliżająca się burza. – Jedź.

– Co ty powiedziałaś, ty mały skurwielu? – Twarz Gary’ego jest czerwiejsza niż mięso na burgery.

– Spokojnie, skarbie – mruczy mu do ucha Nina.

Wzdrygam się, kiedy uspokajającym gestem gładzi go po zaroście na potrójnym podbródku.

Joey przyciąga mnie do siebie.

– Nie przejmuj się nimi.

Muskam nosem jego szyję i wygląda to tak, jakbym go całowała.

– Jak dobrze znasz Vica?

Joey muska palcami mój policzek i nasze usta niemal się stykają. Kiedy się odzywa, jego oddech łaskocze mi skórę.

– W sumie to nie jesteśmy przyjaciółmi. Zabrałem go w ramach przysługi dla mojego taty. – Przesuwa kciukiem po mojej dolnej wardze. Bardzo mnie to podnieca. Co się ze mną dzieje?! – To... skomplikowane. Czemu? Zrobił coś?

Powoli oddycham. Nie jestem w stanie udzielić odpowiedzi.

– Zapomnij o nim. – Nachyla się w moją stronę, aż nasze usta się stykają, a przez moje ciało przebiega dreszcz.

– Przez was parują szyby. – Tori wychyla się w naszą stronę.

Joey się odsuwa.

– Tori! – Piorunuję ją wzrokiem.

Moja przyjaciółka uśmiecha się znacząco i z powrotem opiera się o siedzenie.

Oglądam się, spodziewając się, że w każdej chwili mogą się za nami pojawić radiowozy. Tak się nie dzieje. Przynajmniej na razie.

– Vic, mów co zrobiłeś! – krzyczy nagle Lincoln, uderzając dłonią o zagłówek Vica.

Podsakuję, a Joey mnie przytula. Otwiera usta, żeby powiedzieć coś do Lincolna, ale chwilę później je zamyka.

– Mam dość twoich bzdur. Nie zamierzam beknać za to coś, co, kurwa, zrobiłeś! Więc gadaj. I to już.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, aby Lincoln podnosił głos. Zawsze jest taki spokojny i poukładany. Ale najpewniej każdy ma jakieś granice. I Lincoln przekroczył swoje. W sumie

robi to wrażenie. Tori musi być podobnego zdania, bo patrzy na niego i unosi brew.

Vic odwraca się gwałtownie.

– Wszyscy mają się uspokoić. Okej? Nic się nie stało. Kiedy weszła Lana, krzychałem na sprzedawcę. Próbował mi opchnąć te gówniane fajki, bo nie miał tego, co chciałem. Pierdolił, że wszystkie są takie same i że mnie zabiją. Nie miałem ochoty na wykład, więc kazałem mu się odpierdolić. Chwyciłem Lanę za ramię i oświadczyłem, że wychodzimy. Dlatego się zachowuje, jakby miała kołek w dupie. – Przesuwa wzrok na mnie. – Sorki za to, że cię dotknąłem, okej? Wyluzujesz w końcu?

Och, mam ochotę kopnąć go w durną twarz. I spokojnie mogłabym tak zrobić, bo moja stopa zwisa z kolan Joeya tuż pod brodą tego idioty. Wtedy jednak Vic się odwraca i znowu siedzi nabzdyczony.

– Chłopczyku, upuściłeś swoją zabawkę – nuci drwiąco Nina, prezentując pistolet.

Vic natychmiast po niego sięga, ale ona obraca broń w dłoni i zaczyna celować w jego czoło.

– Nina! – woła Tori.

Ale ona nie reaguje. Skupia się wyłącznie na Vicu.

– Nie wiesz, co robisz, kurwa – rzuca wyzywająco Vic.

Nina odbezpiecza kurek.

Nikt się nie rusza. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek oddychał. Możliwe, że Gary krzyczy. Ale go nie słyszę. Cały świat znajduje się w trybie niemym. Wzrok mam wbity w srebrny wylot lufy wycelowanej w czaszkę Vica.

– Skąd wiesz, że jest naładowany? – pyta Vic. Wydaje się zbyt pewny siebie jak na osobę, której mózg w każdej chwili może się rozprysnąć na szybie.

– Ja nie wiem. Ale ty owszem – odpowiada Nina. Rozchyła w uśmiechu błyszczące czerwone usta.

– Wiesz, że mógłbym ci go zabrać, tak?

Nina jedynie uśmiecha się szelmowsko. Krzywię się i jęczę w duchu. Lepiej, żeby Vic się przymknął. Nie ma pojęcia, z kim rozmawia.

Nina to fighterka. Jestem przekonana, że taka się już urodziła, żeby przetrwać to wszystko, z czym musi sobie radzić przez całe życie. Może i wygląda super dziewczęco i ma zabójczą figurę, ale jest zażarta i brutalna. Nie zliczę, ile razy okazała mi swoje wsparcie w bóje. Nawet jeśli to ja ją zaczęłam.

Wiem więc, że jeśli Vic wykona jakiś ruch, zapragnę zatkać sobie uszy.

Samochód się zatrzymuje. A przynajmniej wydaje mi się, że już się nie poruszamy. Boję się spojrzeć w bok, żeby to sprawdzić.

– Nina, kotku, mogłabyś, proszę, odłożyć broń? – pyta ją Gary tak łagodnie, że w ogóle nie brzmi jak on.

Mój wzrok pozostaje przyklejony do miejsca, w którym lufa łączy się z głową Vica. Nina uśmiecha się szerzej, a w jej ciemnych oczach pojawia się groźny błysk.

– Co zrobiłeś w tamtym sklepie? – pyta spokojnie.

Vic przetyka ślinę.

– Nic. Zapytaj Lanę.

– Nie zapytam. Pytam *ciebie*. Lana to słodka dziewczyna i nie powinno jej się mieszać w takie rzeczy. Możliwe, że pójdzie na studia. Nie zamierzam pozwolić, abyś w tym nabruździł. Więc pytam cię jeszcze raz. Co zrobiłeś w tamtym sklepie?

Vic uśmiecha się szyderczo.

– Nic.

– Okej, zesram się, jeśli nie odłożysz tego pistoletu, Nina! Proszę – jęczy Gary.
Zerkam na niego. Na jego czole widnieją krople potu, które spływają mu po twarzy. Możliwe, że nawet płacze. Marszczę z odrazą nos. Wiem, że jest intensywnie, ale... naprawdę?

– Dobrze. – Nina się naburmusza, po czym cofa pistolet i zwalnia kurek.

Wszyscy oddychają z ulgą.

– Oddaj mi broń – żąda Vic, wyciągając rękę.

Nina się śmieje.

– Nie.

– Wynocha! – krzyczy Gary. – Wysiadać z mojego samochodu! Ale już! – Otwiera drzwi. Sekundę później drzwi od mojej strony gwałtownie się otwierają i Gary wyciąga mnie z auta.

– Hej! – wołam, próbując wyrwać mu rękę.

– Wszyscy wysiadać! Mam tego dosyć!

Uwalniam się, ale z takim impetem, że potykam się na dziesięciocentymetrowych koturnach i ląduję na tyłku. Joey, a zaraz po nim Tori doskakują do Gary'ego. Palec jest wymierzony, a z ust Tori wylewają się hiszpańskie inwektywy.

– Trzymaj łapska z dala od niej! – woła Joey, praktycznie odbijając się od brzucha Gary'ego. Jest wyższy, ale Gary ma trzy razy tyle w obwodzie.

Przed twarzą widzę dużą czarną dłoń. Podnoszę wzrok. Dopiero po paru sekundach dociera do mnie, że Lincoln chce mi pomóc wstać.

– Dzięki.

Jego dłoń zamyka się wokół mojej, kiedy pomaga mi się podnieść. Strzepuję piach z tyłka, nie odrywając wzroku od rozgrywającej się przede mną sceny. To tylko słowa. Mowa ich ciało nie świadczy o tym, że któreś z nich rzeczywiście zamierza przejść do rękoczynów.

Znajdujemy się na jakimś pustkowiu. Na tej zapomnianej drodze co jakieś pół kilometra stoi latarnia, rzucając tylko tyle światła, że cała okolica przyprawia o gęsią skórę. Gary zatrzymał się w jednej z tych szutrowych zatoczek na poboczu – idealne miejsce, kiedy czuje się rozpaczliwe parcie na pęcherz albo trzeba puścić pawia. Niezbyt fajnie byłoby tam zostać razem z psycholem i jego pistoletem.

– Gdzie Nina i Vic? – pytam, gorączkowo się rozglądając.

– Nie wiem – odpowiada Lincoln, a w jego głosie słychać tyle samo niepokoju, co w moim.

Podchodzimy ostrożnie na przód samochodu. Nina stoi tyłem do nas. Opiera się o zderzak po drugiej stronie auta. Vic mierzy ją gniewnym wzrokiem.

Zdażyła właśnie otworzyć bębenek i *rzuca* kulami w Vica.

– Powiedz mi, co zrobiłeś, Vic – mówi szyderczo. – No już. Chyba chcesz odzyskać swoją zabawkę, co?

Vic burczy coś pod nosem.

– No to powiedz. Przestań się zachowywać jak baba. – W głosie Niny słychać sadystyczną nutę, jakby to wszystko bardzo ją bawiło.

Zaczyna mnie nieco przerażać. Notuję sobie w myślach, żeby nigdy jej nie wkurzyć.

Vic obnaża zęby.

– Oddaj mi broń, bo jak nie, to...

– To co? – pyta wyzywająco Lincoln, prostując się, jakby się szykował do przeskoczenia przez samochód.

Vic podnosi wzrok i nas dostrzega. Nina jednym płynnym ruchem zamyka bębenek i chowa pistolet do torebki.

Vic wciąga głośno powietrze, jakby nie mógł uwierzyć, że musi się powtarzać.

– To jakiś, kurwa, żart. Nie rozumiem, czemu nie chcesz odpuścić. *Nic* się nie stało.

Przynajmniej trzyma się tej wersji. A ja nie zamierzam jej zaprzeczać. Jeśli to zrobię, to po fakcie wszystkich pasażerów samochodu można będzie uznać za współsprawców. A do tego nie dopuszczę. W tej chwili tylko Vic i ja wiemy, co się wydarzyło w tamtym sklepie. I tak pozostanie. Chyba że on zrobi coś głupiego.

Podchodzi do nas Nina, kołysząc przy tym biodrami. Fioletowa sukienka opina perfekcyjnie jej krągłości, a dzięki szpilkom ma wzrost supermodelki. Wygląda na zupełnie nieporuszoną wszystkim, co się właśnie wydarzyło. Śmiercionośna bogini.

Gdybym tylko ja była tak opanowana... i wysoka.

– Pieprzyć to – oznajmia głośno Gary. – Nina, jedziemy.

Nina kręci głową.

– Przepraszam, kotku – mówi nieszczerze. – Ja zostaję.

– Ale mówiłaś...

– Kłamałam – wchodzi mu w słowo.

– Jutro możesz nie przychodzić do pracy – warczy wściekle Gary.

Nina nawet się nie wzdryga.

Nim któreś z nas zdąży zareagować, Gary wsiada do samochodu i wycofuje, dociskając gaz do dechy. Joey uskakuje mu z drogi. Chwilę później Gary odjeżdża, wzbijając tuman kurzu i żwiru.

Wymachując ręką, żeby rozpędzić ten tuman, z niedowierzaniem obserwuję coraz bardziej się oddalające światła.

– Co takiego? W jego aucie jest moja torba.

Co znaczy, że także klucze do domu. Wkładam rękę do otwartej kieszeni w kurtce i z ulgą się przekonuję, że jest tam i telefon, i nóż.

– Nie mogę uwierzyć, że nas tu zostawił. – Tori stoi z rękami na biodrach. Rozgląda się po ciemnej, wyludnionej drodze i pyta: – Gdzie jesteśmy?

– Myślę, że zostało nam jeszcze kilka kilometrów. – Lincoln unosi rękę, jakby chciał dotknąć jej pleców, po czym ją opuszcza.

– Nie ma mowy, abym w tym szła – oświadcza Tori, pokazując na swoje kozaczki na wysokim obcasie. Odwraca się i wymierza palcem w Vica. – Czemu musisz być takim dupkiem? Przysięgam...

– No co? To ona przystawiła mi pistolet do głowy. – Vic agresywnym gestem wskazuje brodą na Ninę. – Ja nie zrobiłem nic złego.

– A zabranie ze sobą broni to pikuś? – woła Tori, a loki aż podskakują wokół jej głowy.

– Zabrałem go do ochrony – warczy Vic.

– Przed *nami*? Chyba cię pogięło.

Nina obejmuje Tori i odciąga ją, nim dojdzie do eskalacji. Odwracam się do nich plecami; muszę uciec od tego wszystkiego.

– Wszystko w porządku? – pyta Joey, podchodząc do mnie.

– Ani trochę – odpowiadam i robię kilka kroków w stronę krawędzi drogi.

Joey obejmuje mnie w tali i przyciąga do siebie tak, że plecami stykam się z jego torsem. Wsuwa kciuk za pasek moich szortów i opiera brodę na mojej głowie.

– Popracujmy nad tym. Co ty na to?

Śmieję się cicho.

– Jeśli tylko potrafisz naprawić ten wieczór, wchodzę w to. – Ale już mi lepiej. Wystarczy, że mogę się o niego oprzeć. Jestem przekonana, że byłabym w stanie ignorować

wybuchające bomby – jedyne, co Joey musiałby zrobić to mnie dotykać i szeptać do ucha.

Nagle dłonie Joeya lądują na moich biodrach. Odwraca mnie do siebie. Choć zrobił to w sposób agresywny, jego usta nie lądują na moich. Zamiast tego drażnią się ze mną, zbliżając się do moich warg. Brak mi tchu. Chwytam go za kark, żeby przyciągnąć jeszcze bliżej.

– Joey, zadzwoń do brata. Może dałby radę wysłać kogoś po nas.

No tak. Nie jesteście przecież sami.

Odsuwam się, a oddech więźnie mi w gardle. Rozglądam się i widzę, że wszyscy się nam przypatrują.

Tori przechyla głowę i wcale nie wygląda na rozbawioną.

– Przestań ją obłapiać i załatw nam podwózkę.

– W The Point nie ma zasięgu – oświadcza Joey.

Lincoln wzdycha ciężko.

– Cholera, on ma rację.

– No to co robimy? – pytam. Odwracam się na dźwięk zbliżającego się samochodu.

– Pieprzyć to – oświadcza Tori. Przekracza białą linię i wychodzi na drogę.

Światła samochodu oświetlają jej czarne szorty i przezroczysty top, spod którego widać różowy stanik. Tori macha rękami. Albo samochód w nią uderzy, albo...

Skręca, omijając ją, po czym zwalnia i zatrzymuje się na poboczu.

– Nieźle – orzeka Lincoln. Jest pod wyraźnym wrażeniem.

W sumie ja też.

Czerwony pikap cofa i zatrzymuje się kilka metrów przed nami.

– Skąd wiemy, że to nie jacyś psychole? – pytam.

– Nie wiemy – odpowiada Tori. – Ale mamy własnego psychologa, więc jakby co, to oni powinni się martwić. – Rzuca spojrzenie w stronę Vica. Tyle że jego nie ma. – Gdzie polazł nasz psychol?

– Vic! – woła Lincoln.

Ale on nie wyłania się z cieni pod drzewami, gdzie jeszcze przed chwilą stał i się dąsał.

Opuszcza się szyba od strony kierowcy i wychyla się facet z mocno nażelowanymi włosami w kolorze ciemny blond.

– Podwieźć was?

Lincoln robi krok w przód.

– Byłoby super, stary. Kierowca nas wystawił. Próbujemy dostać się do The Point.

– My też! – rozlega się podekscytowany głos.

Wtedy dostrzegam, że przez szybę z tyłu wystawia głowę jakaś dziewczyna w intensywnie różowej peruce do ramion. Twarz ma całą w brokacie i uśmiecha się tak szeroko, że aż mnie bolą policzki, kiedy na nią patrzę.

– Możecie usiąść na pace – proponuje kierowca.

Lincoln jeszcze raz się rozgląda.

– Vic!

– Zostaw go – mówi Nina i wyjmuje z torebki butelkę. Podchodzi do drzwi od strony pasażera i macha butelką do dziewczyny. – Mogę dosiąść się do was?

– Jasne! – wykrzykuje dziewczyna. – Wow. Fajna jesteś. Patrz, Seth, ona chce nas poczęstować. – Przesuwa się, aby zrobić Ninie miejsce. – Jestem Allie.

– Super – odpowiada Nina. Przechyla butelkę i pociąga spory łyk, szykując się na jazdę obok najradośniejszej dziewczyny na tej planecie.

Joey i Lincoln opuszczają klapę, po czym wskakują na pakę i pomagają wsiąść Tori i mnie.

W chwili, kiedy Lincoln podnosi klapę, żeby ją zamknąć, na metalu zaciskają się palce Vica.

– Hej!

– Gdzie byłeś? – pyta go niespokojnie Lincoln. – Nie słyszałeś, jak cię wołam?

– Co to ma, kurwa, być, stary? Zamierzaliście mnie zostawić? – Vic wskakuje na pakę i popycha Lincolna.

Joey wkracza między nich.

– Nie zaczynajcie. – Głos ma niski i stanowczy.

Nikt się nie rusza. Joey patrzy to na Lincolna, to na Vica. Ich krzyżujące się spojrzenia rzucają sobie nawzajem milczące wyzwanie.

– Siadajcie.

Lincoln wycofuje się i siada. Opiera się o kabinę, nie odrywając wzroku od Vica. Joey siada obok mnie, gotowy na to, aby w razie konieczności znowu się zerwać z miejsca. Vic stoi z zaciśniętymi pięściami, patrząc wyzywająco na Lincolna.

– Vic, siadaj w końcu – mówię.

Kieruje swoją uwagę na mnie, próbując mnie onieśmielić groźnym spojrzeniem. Przewracam oczami. Chwyta klapę i ją zamyka.

Tori puka w szybę.

– Możemy jechać.

Kiedy pikap rusza, Vic się potyka i upada na tyłek. Parskam. Szkoda, że nie wypadł.

Rozdział 7

– Nie zatracaj siebie dla nikogo – mówi mi ciotka Allison. Leży na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit, a spomiędzy jej palców zwisa dziwnie pachnący papieros. – Ani dla chłopaka, ani dla przyjaciółki, ani nawet dla rodziny. Nie może zależeć ci na tym, co inni myślą na twój temat, Lano, inaczej już po tobie.

Joey opiera się o kabinę pikapa. Wciąga mnie na kolana.

– Lubię, jak tu jesteś.

– Ja też – przyznaję, przywierając do jego klatki piersiowej.

– No i jak się teraz czujesz? – pyta, a jego oddech łaskocze mi szyję.

– Lepiej. – Uśmiecham się.

On także się uśmiecha, dzięki czemu prezentuje dołeczek w policzku. Nachylam się i całuję ten dołeczek. Nie potrafię się powstrzymać. Joey przekręca głowę i jego usta muskają moje wargi. A moje ciało przeszywa błyskawica.

Nie pocałował mnie jeszcze tak porządnie i przez to wyczekiwanie tętno niesamowicie mi przyspiesza. Serio, wystarczy dziesięć... dwadzieścia minut sam na sam z nim i oboje będziemy szybować. W zapomnienie pójdzie to całe szaleństwo dzisiejszego wieczoru.

Joey przyciska czoło do mojego.

– Co myślisz o tym, żeby zacząć od początku? No wiesz, żeby wieczór zaczął się właśnie teraz?

– Dobry pomysł – zgadzam się z westchnieniem.

Gładzi mi kciukiem policzek, a mnie przechodzi dreszcz.

Kątem oka dostrzegam obok swojej głowy wielkie, niebieskie oczy. Odchylam się i widzę, że to twarz Allie. Opiera brodę o dłoń i patrzy na nas marzycielskim wzrokiem.

– Jesteście tacy uroczy.

Tori głośno prychnęła. Pokazuję jej środkowy palec.

– Proszę. – Allie podaje mi prawie pustą butelkę.

Biorę ją od niej, pociągam łyk i przekazuję dalej. Czekam, aż alkohol zacznie działać, aż wywoła we mnie stan odprężenia. Ale ten wieczór trudno zaliczyć do beztroskich. Liczę, że kiedy dotrzemy do The Point, mój nastrój w końcu ulegnie zmianie.

– Wiecie, że imprezy w The Point są zamknięte, prawda? – odzywa się głośno Joey.

– W sumie to nie powinniśmy mieć tam wstępu, więc trzymajcie język za zębami. Okej? – Patrzy na Vica i w końcu otrzymuje potwierdzające mruknięcie.

– Oczywiście – zapewnia go Tori.

– Nic nie powiemy – obiecuję. – W jaki sposób ludzie dostają się na listę?

– Wiem jedynie tyle, że każda osoba z listy musi być zatwierdzona. Nie jestem pewny, w jaki sposób się to odbywa. Ale ludzie płacą grubą kasę za ten przywilej, co właściwie zobowiązuje ich do milczenia pod groźbą wykluczenia, które w tych kręgach stanowi towarzyskie samobójstwo.

– W jaki sposób dowiadują się o imprezach? – pytam.

Wprost *umieram* z chęci dostania się na imprezę w The Point, odkąd dowiedziałam się o nich przed dwoma laty. Do tej pory słyszałyśmy jedynie szeptu już *po* imprezach – a cała ta otoczka tajemniczości tylko wzmacniała moją obsesję.

– Każdy obecny na liście dostaje esemes z kodem. Kiedy się loguje, otrzymuje adres wraz z kodem kreskowym, który stanowi coś w rodzaju biletu wstępu. Może zapłacić za przyprowadzenie do sześcioro znajomych. – Po namyśle Joey dodaje: – Och, w środku jest zakaz posiadania telefonów. Przy wejściu trzeba je oddać do depozytu.

– Kto wymyślił coś tak szalonego? – pytam. Nie ukrywam, że jestem pod wrażeniem.

– Nikt tego nie wie. Organizatorzy nie chcą, aby ktokolwiek znał ich tożsamość, żeby nie próbowano wywierać na nich presji ani ich nie wydano. To nie do końca jest na legalu – wyjaśnia Joey. – Podobno rozszerzyli działalność na sześć różnych lokalizacji w trzech miastach. Myślę, że próbują zrobić z tego legalny biznes.

Tori patrzy na niego podejrzliwie.

– Skąd tyle o tym wiesz?

Joey jedynie wzrusza ramionami z uśmiechem, który mi mówi, że zna kogoś, kto jest w to zaangażowany.

Zsuwam się z jego kolan i opieram o bok paki.

– Chwileczkę. Ile kosztuje wstęp? Mam przy sobie mało kasy. – Nie mogę wydać pieniędzy z napiwków na imprezę, nie, jeśli nie chcę, aby odcięto nam prąd.

– Dzisiaj ja stawiam – oświadcza Joey i bierze mnie za rękę. – Nic się nie przejmuj.

– Jesteś pewny? – pytam. Nie czuję się komfortowo z tym, że to on płaci.

– Jak najbardziej. – Przyciąga mnie do siebie i zbliża usta do mojego ucha. – Ale to nie jest nasza pierwsza randka – dodaje cicho. – Tę przyjemność chcę zachować na inny wieczór, okej? Bo zdecydowanie mam ochotę znowu się z tobą spotkać.

Brzmi to jak wyćwiczona kwestia. Powinno go zbyć, tak jak to robię z innymi facetami, którzy zbyt się starają. Tyle że nie mam wrażenia, że to wyćwiczona kwestia. Wszystko, co ma związek z Joeyem sprawia, że serce wali mi jak młotem. Robię i mówię przez to rzeczy, których normalnie bym nie zrobiła, i które nigdy nie przeszłyby mi przez gardło.

Zaciskam usta, żeby powstrzymać szeroki uśmiech.

– Ja też chcę się z tobą spotkać. – Ależ jestem dzisiaj żałosna.

Kilka minut później przejeżdżamy przez otwartą bramę prowadzącą do The Point. To kompleks starych, ceglanych budynków pofabrycznych i magazynów gdzieś na zadupiu. Niektóre z nich wyglądają na opuszczone. W innych mieszczą się jakieś firmy. W sumie ledwo je można rozróżnić, bo wszystkie wyglądają, jakby nadawały się tylko do rozbiórki.

Samochód zatrzymuje się pod pierwszym budynkiem.

– Musimy zaparkować na tyłach, więc wyrzucimy was tutaj.

– Dzięki za podwózkę – mówi Lincoln, kiedy Nina wysiada z kabiny i zamyka drzwi.

– Nie ma sprawy.

– Poszukamy was w środku. – Allie wystawia głowę przez opuszczoną szybę i zawisa przez otwarte okno. – Kocham was! – Kiedy Seth odjeżdża, ona nadal się wychyla, wymachując rękami i wydając okrzyki pełne podekscytowania.

– Na czym ona jedzie? – pyta Tori.

– Na promieniach słońca i cholernych tęczęch – odpowiada Nina, zabierając butelkę Lincolnowi.

Śmieję się.

– Takie tam babskie gadanie – wyjaśnia Tori Joeyowi i Lincolnowi.

Obaj kiwają ze zrozumieniem głowami i zaczynają iść ścieżką między pierwszym i drugim budynkiem. Vic pozostaje za nami... gdzieś tam. W sumie powinnam pewnie zwracać większą uwagę na to, gdzie on się znajduje. Powinno także bardziej się go bać. Tak jednak nie jest.

Tori szturcha mnie ramieniem.

– Jeśli chodzi o wcześniej... Wiem, jaka potrafisz być dziwna w kwestii trzymania buzi na kłódkę, zwłaszcza jeśli uważasz, że mogłoby nam to zaszkodzić. Nie będę zadawać pytań. Ale wiedz, że o nic nie musisz się martwić. Okej?

– Zajmiemy się tym – zapewnia Nina, podając mi butelkę. – A jutro wezmę od Gary’ego twoją torbę, no bo przecież wiecie, że nie może mnie zwolnić.

Patrzę na nią i Tori.

– Dzięki.

– No dobra, a teraz mów, co się dzieje z tobą i Joeyem? – pyta beztrzesko Nina.

– Nie jestem pewna – odpowiadam szczerze. – Ale cokolwiek by to nie było, jest... intensywne. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Aha. Wszyscy w promieniu trzech metrów wyczuwają tę *intensywność*. – Tori patrzy na mnie z ukosa. Bierze ode mnie butelkę.

– Oj tam, Tori – śmieje się Nina.

– Przestań. Nie zamierzam się z nim umawiać. Ale pozwól mi się trochę zabawić, okej? – pytam.

Tori wzrusza z rezygnacją ramionami.

– Skoro mowa o zabawie... – Wyjmuję z kieszeni woreczek. – ... patrzcie, co nam na dzisiaj załatwiłam. Kosztowało mnie to tylko... cóż, nic.

– Pokaż! – piszczy Nina. Bierze ode mnie woreczek i przygląda się uważnie zawartości.

– Wszystkiego tu po trochu. Sprzedają to w takiej formie?

– Nazywają to „imprezą w woreczku”.

– Głupia nazwa, ale jednocześnie genialna – orzeka. Otwiera woreczek i wybiera mały, zapakowany w folię aluminiową kwadracik z naklejką, na której widnieje uśmiechający się grzyb. – Ufasz im?

– Czy można komuś w pełni ufać, gdy w grę wchodzi garść dragów?

– Racja – przyznaje Nina. – W takim razie ryzyk fizyk. – Gryzie czekoladkę, po czym ją przełyka. – No to idziemy imprezować.

– Tylko się nie zgub po drodze – mówi do niej Tori, biorąc woreczek. Wyjmuje dla siebie małą niebieską pigułkę z wytłoczonym na niej iksem, po czym oddaje mi całość.

Przeglądam zawartość i decyduję się na pudrową pastylkę Molly. Popijam ją tym, co jest w butelce, i w końcu zaczynam czuć rozluźniające działanie alkoholu.

– To będzie niesamowita noc! – wykrzykuje Nina. Wyrzuca ręce do góry i kołysze biodrami.

– No dobra, a jak pozbędziemy się Psychola? – Pokazuję dyskretnie głową na Vica.

– Zgubimy go w środku – zapewnia mnie Tori. – Ale nie chodź nigdzie sama. Nie ufam mu.

Joey i Lincoln zatrzymują się na końcu następnego budynku, żeby na nas poczekać.

– To niesamowite, jak bardzo przypomina z wyglądu Parkera. – Nina lustruje Joeya takim wzrokiem, jakby chłopak był cukierkiem.

– Dlatego widok was dwojga przyprawia mnie trochę o gęsią skórę – mówi do mnie Tori.

– Ale wyluzuję, obiecuję.

Kiedy docieramy do chłopaków, Tori wręcza Lincolnowi butelkę. Dopijają alkohol, a butelkę wyrzucają do kosza.

Dostrzegam, że grupka osób wchodzi do budynku przez niebieskie drzwi.

– Tam właśnie idziemy? – pyta Nina.

– Tak, to nasze wejście – przytakuje Joey.

– A jest ich więcej? – Nie ogarniam jeszcze tego wszystkiego.
– Nie chcą, aby kolejki przed wejściem zdradzały lokalizację, więc jest pięć wejść i każdy ma podany przedział czasowy, w którym musi się zjawić. Poza tym muszą nas ukrywać przed policją.

– Dużo o tym wiesz jak na kogoś, kto nigdy tam nie był – zauważa Tori, przyglądając mu się nieufnie.

Joey milczy.

Kiedy docieramy do drzwi, bierze mnie za rękę.

– Nie chcę cię zgubić.

Ściskam mu delikatnie dłoń. Nie planuję zgubienia się.

Drzwi się uchylają i widać fragment potężnej sylwetki. Joey puszcza moją dłoń, żeby wyjąć telefon i pokazać kod. Człowiek w drzwiach skanuje go drugim telefonem i pojawia się obrazek.

– Ile osób?

– Pięć.

– Sześć – poprawia go Vic.

Joey sztywnieje. Po raz pierwszy tego wieczoru widzę, jak reaguje na Vica czy cokolwiek, co się dzisiaj wydarzyło.

Kręci z irytacją głową i mówi:

– Sześć.

Drzwi się otwierają i wchodzimy do wąskiego korytarza. Mężczyzna zamyka za nami drzwi.

– Telefony. – Wyciąga przed siebie czarną plastikową torbę.

Niechętnie wkładam do niej komórkę, a pozostali idą moim śladem. Bramkarz daje Joeyowi żeton, który ten chowa do kieszeni.

– Ręce – mówi ostro mężczyzna.

Joey wyciąga rękę i ją odwraca. Mężczyzna przybija pieczętkę na nadgarstku. Robię to samo, pozwalając, aby oznaczył mnie ultrafioletowym tuszem.

Kiedy już wszyscy mają na rękach pieczętki, otwiera czarne drzwi na drugim końcu korytarza i bez słowa je przytrzymuje. Ta jego małomówność jest wyjątkowo onieśmialająca. Do tego jeszcze metr osiemdziesiąt samych mięśni. Wątpię, aby ktoś był na tyle głupi, żeby próbować z nim zadzierać. W chwili, kiedy ta myśl pojawia się w mojej głowie, Vic próbuje precyzyjnie się obok nas. O mało mnie nie przewraca.

Bramkarz popycha go na ścianę.

– Odpuść sobie albo wynocha.

Joey obejmuje mnie w tali, pomagając zachować równowagę.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową.

– Vic, trzymaj się z dala od nas – rzuca groźnie Nina.

Mijamy go, a spojrzenie jego ciemnych oczu wędruje za nami, kiedy wchodzimy na słabo oświetloną klatkę schodową. Na ścianie wisi wielka neonowa strzałka w kolorze różowym. Wskazuje na górę, więc zaczynamy iść po schodach. Nim słyszę muzykę, już czuję dudniące nad nami basy. Na następnym poziomie neonowa zielona strzałka pokazuje na czerwone drzwi. Kiedy Joey je otwiera, natychmiast dopadają nas elektroniczny beat i przecinające pomieszczenie wiązki lasera.

Wchodzimy do środka. Drzwi się za nami zamykają, a my rozglądamy się bez słowa. Jeszcze nigdy nie byłam w takim miejscu. Z wrażenia przez chwilę nie jestem się w stanie

ruszyć. Całe pomieszczenie otaczają ogromne ekrany, na których w rytm muzyki pulsują obrazy i kolory. Na samym końcu na podwyższeniu widać didżeja – kiwającą się sylwetkę między podświetloną kabiną a ścianą z ekranami. Tak właśnie wyobrażam sobie kluby w Vegas czy LA. I to niewiarygodne, że coś takiego przygotowano na jedną noc w opuszczonym budynku.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jestem – mówię z podziwem.

Gdzie nie spojrzę, widzę tańczących ludzi, nawet na antresoli, która się ciągnie wzdłuż wszystkich ścian.

Joey odwraca się w moją stronę i w jego oczach dostrzegam podekscytowanie.

– Gotowa? – Podaje mi rękę. Nie może się już doczekać, aż włączymy się w tłum.

– Tak – śmieję się. Ujmuję jego dłoń i pozwalam się poprowadzić w stronę sceny.

Oglądam się, aby się upewnić, że za nami idą Nina, Lincoln i Tori.

– Idźcie! – woła Nina, nadal stojąc przy drzwiach.

Pociągam Joeya z powrotem w ich stronę.

– Najpierw pójdziemy do baru, a potem was znajdziemy.

– Weźmiesz mi w takim razie kurtkę? – pytam ją, bo już jest mi za gorąco.

Zdejmuję kurtkę i rzucam ją Ninie. Chwilę później we troje udają się w przeciwną stronę.

Joey ponownie bierze mnie za rękę i po kilku krokach połyka nas tłum podskakujących, kołujących się i ocierających o siebie ciał.

Kiedy znajdujemy się w samym środku tego szaleństwa, Joey odwraca się, kładzie dłonie na moich biodrach i przyciąga mnie ku sobie.

– Później się czegoś napijemy. Przez cały wieczór tego pragnąłem.

Zarzucam mu rękę na szyję i zatracam się w dudniącej muzyce. W końcu zalewa mnie fala odurzenia. Nie odrywając dłoni od moich bioder, Joey tak kieruje naszymi ciałami, że nie mija dużo czasu, a poruszają się w zgodnym rytmie. Dobry jest w tym. Może nawet za dobry, bo mam wrażenie, że znajdujemy się tu tylko on i ja. Wszyscy inni znikają. Jego dłonie prześlizgują się z moich bioder na dolną część pleców i przyciskają mnie zdecydowanie do jego ciała. Jeszcze chwila, a zlejemy się w jedną całość.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęłam żadnego chłopaka. Żaden nie wyzwał we mnie takich uczuć. Moje ciało reaguje na jego najdelikatniejszy nawet dotyk. Tętno mi przyspiesza za każdym razem, kiedy jego głos mruczy mi nisko do ucha. Dobrowolnie staję się jego niewolnicą. Gotowa byłabym wślizgnąć się pod jego skórę i zatracić samą siebie.

Joey pochyla głowę i prześlizguje się ustami wzdłuż mojej szyi. Gwałtownie wciągam powietrze. Kiedy dociera do moich ust, muska je swoim oddechem, drażniąc się ze mną i mnie kusząc. Zamykam oczy, pragnąc go posmakować, ale on mnie nie całuje. Oddycham powoli, próbując uspokoić szaleńcze bicie serca.

Kilka piosenek później z oszołomienia wyrywa mnie puknięcie w ramię. Obok nas stoi Tori, a zaraz za nią tańczą Lincoln i Nina. Joey i ja odklejamy się od siebie, żeby mogli do nas dołączyć. Nina puszcza do mnie oko i podaje mi butelkę wody, a ja gotowa jestem ją ucałować. W ustach mam tak sucho, jakbym nałykała się piasku.

Co jakiś czas Joey muska ręką moją dłoń i spleta nasze palce. Wiem, że stara się nie dawać Tori powodu ku temu, żeby wylała na niego drinka. Ale to dla nas zbyt trudne. Po prostu *musimy* się dotykać. W końcu Joey poddaje się temu przyciąganiu i staje tuż za mną. Obejmuję go za szyję, a on prześlizguje się dłonią po moim boku. Nasze ciała poruszają się w zgodnym rytmie.

– Chyba muszę się napić – mruczy mi do ucha, po czym zlizuje mi pot z szyi.

Przyciskam jego dłonie do swoich bioder.

– Ja też. – Spoglądam na Tori i Ninę. – Bar?

Kiwają głowami i przeciskamy się przez tańczących ludzi na drugi koniec wielkiego pomieszczenia.

Kiedy tłum zaczyna się przeredzać, wpadamy na ścianę ludzi, którzy próbują zamówić drinki przy kwadratowym, podświetlonym barze.

– Tu jesteś! – Zerkam za siebie i widzę rękę na ramieniu Joeya. – Kazałem ci przecież poczekać na dole, żebym mógł dać ci klucze.

Odwracam się i moje spojrzenie łąduje na Parkerze Harrisonie.

Parker i Joey może i są podobni, ale tam, gdzie Joey jest lekko niechlujny i seksowny, Parker jest wytworny i zdecydowany. Włosy Joeya są potargane, bo ciągle przeczesuje je palcami, a tymczasem fryzura Parkera jest starannie przycięta i ze schludnym przedziałkiem. Joey w wyłożonej na spodnie koszuli emanuje chłopięcym wdziękiem, natomiast Parker ma na sobie sportową marynarkę. Wygląda... na kogoś ważnego.

Jak urzeczona wpatruję się w oczy w identycznym odcieniu błękitu jak u chłopaka, o którego ocierałam się przez ostatnią godzinę. I nieoczekiwanie dostrzegam w nich poczucie zdrady. I nie ma już mowy o wykładzie, jakim zamierzał uraczyć brata.

– Lana? Co tutaj robisz?

– Cześć, Parker. – Czuję ściskanie w żołądku, kiedy jego skonfundowany wzrok przenosi się ze mnie na Joeya.

– Znacie się? – pyta Joey.

– Owszem – odpowiada Parker. Ton jego głosu wydaje się obojętny. Przyszpila mnie pytającym spojrzeniem.

Milczę. No bo co mam powiedzieć? Nie odwracam jednak wzroku, choć powinnam.

– Lana jest tu dzisiaj ze mną.

Czuję na ramieniu ciężar ręki Joeya.

Parker posyła bratu spojrzenie pełne litości. A potem się śmieje. Z rozbawieniem, niemal szaleńczo.

– Jesteś tego pewny?

– Hej, Parker. – Między nas wkracza Nina i staje naprzeciwko niego. Ich klatki piersiowe się stykają. – Postawisz mi drinka?

Parker obejmuje ją w talii i cmoka lekko w policzek.

– Hej, piękna. Może później? Muszę się czymś teraz zająć.

Nina na chwilę traci rezon, ale szybko go odzyskuje.

– Nie ma sprawy.

Prostuje się, odwraca i szybko odchodzi. Niemal się wzdrygam, kiedy czuję emanujący od niej chłód.

Zdejmuję z ramienia zaborczą rękę Joeya i udaję się za przyjaciółką. Obok mnie idzie Tori. Kiedy na nią patrzę, robi zbolaną minę.

– No przecież wiem! Co to, u licha, miało być? – burczę.

Ale wyraz twarzy Tori nie ulega zmianie. Wyraźnie mnie nie słucha. Przesuwa knykiem pod okiem, sugerując, że powinnam zrobić to samo.

Wycieram palcem rozmazany makijaż.

– Lepiej?

Tori kręci przecząco głową i krzywi się, jakby widok mnie w takim stanie sprawiał jej fizyczny ból.

– Wyglądasz jak nieboskie stworzenie.

Nagle boję się dowiedzieć, jak wyglądam. Zerkam na spływający po moim dekolcie pot, znikający pod bluzką i tworzący pod piersiami ciemnoniebieskie mokre plamy. Tori ma rację.

– Zaraz wracam – oświadczam. Muszę natychmiast zniknąć.

Kiwa głową.

– Lana! – woła za mną Joey.

– Spokojnie. Ona idzie tylko do toalety – słyszę, jak mówi do niego Tori. – Wytrzymasz bez niej te dziesięć minut.

W lewym rogu pomieszczenia dostrzegam migające neony. Jeden z nich to tańcząca dziewczyna, a drugi wymachujący ręką chłopak. To na pewno toalety.

Ponownie przesuwam opuszkami palców pod oczami i idę ze spuszczoną głową, bo nie chcę, żeby ktoś widział, jak tusz spływa mi po twarzy.

Jakieś ramię obejmuje mnie w talii i zaciąga do ciemnego kąta pod schodami.

– Co tu robisz z moim bratem?

– Cholera jasna, Parker! – wykrzykuję i opuszczam łokieć, którym już-już miałam rozwalić mu nos.

– Mów – rzuca niecierpliwie. Stoi zdecydowanie zbyt blisko mnie. Próbuję cofnąć się o krok, ale on jeszcze mocniej mnie obejmuje. – Mnie odmawiałaś za każdym razem, kiedy cię prosiłem. Mój brat przyjechał do domu na jeden dzień i zjawiałaś się tutaj z *nim*?

– Serio? – syczę, odpychając go od siebie.

W końcu mnie puszcza.

– Lincoln zaprosił Tori na imprezę. Okazuje się, że on i Joey to przyjaciele. Na pewno zdawałaś sobie z tego sprawę. Przyjechaliśmy tu wszyscy razem. A ty przecież dobrze wiesz, że nie masz do mnie żadnego prawa.

– Czemu się tak okropnie zachowujesz?

Parker zbliża się do mnie o krok, a ja się automatycznie cofam.

– Wiesz czemu. – Przez ostatni rok odbywaliśmy tę rozmowę o wiele za często. Moja odpowiedź się nie zmieni.

– Nie muszę się z nią więcej spotykać. Wiesz, jaka ona jest. Nie jesteśmy *razem* – mówi błagalnie. – Wykorzystujemy się nawzajem. Tylko tyle.

– I co, to ma niby polepszyć sprawę? To jedna z moich najlepszych przyjaciółek. Stałaś się dla mnie niedotykalny w chwili, kiedy dotknęłaś ją. Znasz moje zasady.

Wiem, że to, co ich łączy, nic nie znaczy. Nina twierdzi dokładnie to samo, co Parker. Ale nadal się spotykają, bez względu na to, jak bardzo toksyczna jest ich relacja. *Szacunek* i *Pewność siebie* – niczym ogień i akcelerator, ich przekleństwa stanowią niebezpieczne połączenie. Nieustannie się na siebie rzucają – kiedy tylko nie... cóż, kiedy się na siebie nie rzucają.

– Nie zaczynaj niczego z moim bratem – warczy Parker z frustracją. W jego słowach drzemie nutka groźby.

– Słucham?! W tej kwestii także nie masz nic do gadania!

– Lana, nie... – Nim skończy to niemądre zdanie, które ma zamiar wypowiedzieć, zaciskam zęby, żeby nie krzyknąć, po czym się odwracam. – Lana!

– Trzymaj się ode mnie z daleka, Parker! – wołam przez ramię i szybko przeciskam się między ludźmi, żeby zwiększyć dzielący nas dystans. W pewnym momencie zderzam się z kimś.

– Lana?

Powoli podnoszę wzrok i widzę mężczyznę z falistymi brązowymi włosami i ciemnymi oczami. Baczenie mi się przygląda. Lustruję granatowy T-shirt, który opina jego umięśniony tors i idealnie dopasowane dżinsy. Seksowny jest. Wtedy ponownie nasze spojrzenia się spotykają i dociera do mnie, kto to taki. O w mordę.

– Pan Garner?

Mam ochotę umrzeć. Właśnie pomyślałam, że mój szkolny psycholog jest seksowny. Ale

na moją obronę przemawia fakt, że bez okularów i krawata wygląda inaczej. Zupełnie inaczej.

– Isaac – poprawia mnie szybko i się rozgląda, jakby mógł zostać przyłapany na czymś zakazanym. – Co ty tu robisz? – Nim zdążę udzielić odpowiedzi, rzuca: – Mniejsza z tym. Gdzie Tori?

Wskazuję głową bar. Patrzy w tamtą stronę i przytakuje, choć Tori pozostaje ukryta w tłumie.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteście – oświadcza, kręcąc głową. – W sumie to gdyby jacyś moi uczniowie mieli się tu dostać, to obstawiałbym właśnie ciebie i Tori. Przysięgam, że to będzie cud, jeśli w jednym kawałku wytrwacie do zakończenia szkoły.

Często mam podobne myśli.

– *Pana* także się tu nie spodziewałam.

– Pewnie tego nie wiesz, ale pochodzę z Oaklawn. Chodziłem do szkoły z mnóstwem ludzi stąd.

– Ile ma pan lat? – pytam odruchowo.

Zawsze go uważałam za starego, na pewno po trzydziestce. Może to przez ten krawat albo siedzenie za biurkiem w otoczeniu inspiracyjnych cytatów. Dzisiaj jednak, ubrany jak normalny facet, nie wydaje się wiele starszy od... Parkera.

– Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że nie powinienem zostać przyłapany na picciu razem z tobą – odpowiada. – Nie widziałem cię tu dzisiaj. A ty nie widziałas mnie.

– Nawet pana nie znam – mówię, co wcale nie jest dalekie od prawdy.

Isaac się śmieje. Czymś niewłaściwym wydaje się nawet nazywanie go w myślach po imieniu.

– Bądź grzeczna, Lano. Nie pakuj się w kłopoty. – Po tych słowach odchodzi.

Co za porąbany wieczór. Od razu żałuję tej myśli. Ostatnie, czego pragnę, to kusić Los. Nie mamy dobrych wspólnych doświadczeń.

– Hej! Tu jesteś! Myślałam, że was zgubiłam. Chwileczkę. Gdzie reszta twoich przyjaciół? Zgubiłaś się? Pomóc ci ich poszukać?

Stoję nieruchomo i wpatruję się w smukłą dziewczynę z różowymi włosami, w turkusowym topie bez ramiączek i wyszywanej cekinami minispódniczce.

– Jestem Allie!

– Eee, no tak. Pamiętam. – Jakbym mogła ją zapomnieć. – Stoją w kolejce do baru. A ja muszę skorzystać z toalety.

– Ja też! – wykrzykuje. – Na górze znalazłam super tajną łazienkę, do której nie ma kolejki. Chcesz iść ze mną?!

Mierzę wzrokiem kolejkę czekającą przed damską toaletą. Jest długa niczym boisko do futbolu.

– Pewnie.

Allie bierze mnie za rękę i prowadzi po schodach na antresolę. Dopiero z góry widać, jak wielkie jest to miejsce. Ogromne. Na antresoli porozwieszano ciemne kotary, przez co jest tu bardziej intymnie i... złowieszczo. Obserwuję, jak dziewczyna w metalicznej sukience znika w ciemności z tacą z butelką i kieliszkami. Po chwili, kiedy mój wzrok dostosowuje się do panujących tutaj warunków, udaje mi się dostrzec grupki osób porozkładanych na luksusowo wyglądających sofach. Mogę sobie tylko wyobrazić, co tam robią.

– No więc jest tu ukryty gabinet czy coś w tym rodzaju, a przy nim znajduje się ubikacja. Pokazała mi to inna dziewczyna – wyjaśnia Allie.

Odsuwa kotarę obok czarnych drzwi, wpuszczając nieco światła. Szybko daję nura za materiał, a Allie idzie w ślad za mną.

Przez otaczające gabinet szyby wpada światło. Do łazienki czekają cztery dziewczyny. Kiedy wchodzimy do środka, pierwsze, co zauważam, to wielkie, bogato zdobione lustro na metalowym stole. Jakaś dziewczyna nachyla się ku niemu i maluje kredką oczy. Na widok swojego odbicia natychmiast się wzdrygam. Nic dziwnego, że Joey mnie nie pocałował.

Zdejmuję opaskę i rozpuszczam włosy, po czym potrząsam głową. Przeczesałem je palcami, następnie z powrotem zbieram w duży, zakręcony kok i upinam na czubku głowy. Wsuwam opaskę na miejsce. *Trochę* już lepiej.

– Masz białe włosy? – pyta Allie.

Odwracam się zaskoczona.

– Blond. Tyle że naprawdę jasny.

Nie pierwsza uważa, że mam białe włosy. Choć zazwyczaj są to małe dzieci.

– Koniecznie powinnaś ufarbować je na białe – oświadcza do mojego odbicia w lustrze i podchodzi bliżej. W ogóle przy tym nie mruga. – Wyglądałabyś jak lodowa księżniczka. Ale i tak wyglądasz jak księżniczka. – Wyciąga rękę, aby dotknąć mojego odbicia i przesuwając palcem po opasce. – Ale błyszcząca.

– Eee, dzięki. Dostałam ją od mamy. – Z ciekawością przyglądam się tej dziewczynie. Jest zdecydowanie... jedyna w swoim rodzaju.

Allie odwraca się w stronę prawdziwej mnie i zarzuca mi ręce na szyję.

– Jesteś taka śliczna – stwierdza i mocno mnie przytula. Następnie robi krok do tyłu i przygląda mi się tak, jakby próbowała zdecydować, czy jestem prawdziwa. – Ale mam odlot.

Kiwam głową. Naprawdę? Zdradziły to już wielkie oczy, którymi nie mruga. Po raz pierwszy dociera do mnie, że ja też jestem na hajku, ale zdecydowanie nie unoszę się w stratosferze tak jak Allie.

– Wchodźcie? – pyta chuda brunetka w szortach i górze od bikini, pokazując na drzwi do łazienki, które właśnie się otworzyły.

– Ja tak – odpowiadam. Potrzebuję także umywalki, żeby zmyć z twarzy czarne smugi od tuszu. Wyglądam, jakbym płakała czarnymi łzami.

Wysuwam się z uścisku Allie i wślizguję do łazienki.

Kiedy z niej wychodzę, Allie nadal tu jest. W sumie to nie wiem dlaczego. Może uważa, że jesteśmy przyjaciółkami. Tyle że przecież... nie jesteśmy.

Oglądam w lustrze ślady potu na mojej bluzce. Odklejam materiał od skóry i lekko nim potrząsam, licząc, że przeschnie.

– Chcesz wyjść na zewnątrz? – pyta Allie. – Tak tu gorąco. – Opiera się o stół, jakby była za słaba, aby samodzielnie ustać na nogach. – Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Nie wygląda dobrze. Martwię się, że zaraz mi tu zemdleje, a przecież nie dam rady jej utrzymać.

– Którędy można wyjść?

– Tędy – odpowiada, pokazując na drzwi. Krzyżuje długie nogi. – Czemu tak mi gorąco? Niedobrze, moja księżniczko.

– Nic się nie dzieje – zapewniam ją. Biorę ją za łokieć i odsuwam kotarę, żeby Allie przypadkiem się jej nie złapała i nie ściągnęła na nas góry materiału. – W którą stronę?

– Tam. – Pokazuje w prawo.

Przez czarne drzwi wychodzimy na klatkę schodową.

– A teraz tędy. – Palcem pokazuje niebieskie drzwi, nad którymi wisi tabliczka z napisem „Wyjście”.

Kiedy je otwieram, widzę niewielką grupę osób palących na schodkach przeciwpożarowych, ciągnących się między dwoma budynkami.

Allie wymyka mi się z rąk, po czym robi kilka chwiejnych kroków i opada na metalowy stopień.

– Omójboże. Ależ tego potrzebowałam. – Z ulgą opiera się rękami o barierkę.

– Wody? – pyta jakiś facet, podając jej butelkę.

– Strasznie jesteś słodki – oświadcza Allie i posyła mu tysięczny uśmiech.

Pierwsza biorę od niego butelkę, żeby się upewnić, że jest fabrycznie zamknięta.

Po opróżnieniu połowy Allie wydaje głośny jęk.

– Najlepsza. Woda. W życiu.

– Cieszę się, że mogłem sprawić ci przyjemność – mówi facet z przyprawiającym o gęsią skórkę uśmiechem drapieżcy.

Odwracam się w jego stronę, bo wiem, że myśli, iż może na coś liczyć.

– Spadaj.

Posyła mi gniewne spojrzenie i wchodzi do budynku. W tym momencie na stopniach obok swojej głowy dostrzegam czarne, ciężkie buty. No i się okazuje, że to Vic. Patrzy na mnie z równie wielką niechęcią.

Wzdycham z odrazą i celowo go ignoruję. Skupiam się na Allie.

– Jak się czujesz?

– Taka jestem szczęśliwa – odpowiada z promiennym uśmiechem. – Proszę, napij się.

– Podaje mi butelkę, po czym łapie się barierki i wstaje.

Dopijam wodę, a pustą butelkę stawiam na stopniu.

– Dzięki.

Allie posyła mi takie samo spojrzenie sarnich oczu jak w samochodzie.

– Mogłabyś być wrózką, wiesz? Masz ogromne czarne oczy.

– Są brązowe.

– Malutki nos skąpany w gwiazdnym pyle.

– To piegi.

– I super wydatne kości policzkowe. Masz także spiczaste uszy?

Przechyla głowę, żeby się przyjrzeć, jakby się spodziewała, że tak właśnie jest.

– Nie mam.

– Potrzebujesz tylko skrzydeł i byłabyś moją wrózkową księżniczką. – Kładzie mi dłoń na policzkach i dodaje piskliwie: – Chciałabym móc cię zmniejszyć i schować do kieszeni.

Nie mam pojęcia o czym ona mówi. Ma urojenia. Muszę ją odprowadzić do jej chłopaka.

– Gdzie jest Seth? Poszukajmy go. Zresztą moi przyjaciele na pewno się już zastanawiają, gdzie zniknęłam. – Taką mam przynajmniej nadzieję.

– Ty rzeczywiście masz skrzydła! Tyle że są schowane! – oświadcza Allie, kiedy się odwracam w stronę drzwi. Dotyka palcem mojej prawej łopatki. – Jesteś moją wrózkową księżniczką!

– Zgadza się – przytakuję z westchnieniem.

Kiedy oglądam się na nią, dociera do mnie, że Vic zniknął – to dobrze i źle. Dobrze, bo nie znoszę znajdować się tak blisko niego. Źle, bo teraz znowu nie mam pojęcia, gdzie on się podziewa, i boję się, że może zrobić coś głupiego.

Sięgam do klamki i w tym momencie drzwi się otwierają. Na schodki wychodzi jakaś dziewczyna, a ja prześlizguję się obok niej.

– Allie! – Słyszę jak piszczy z podekscytowaniem, nim zdążą się za mną zamknąć drzwi.

Jęczę głośno, bo już wiem, że Allie za mną nie idzie. Wolałabym teraz pić i tańczyć z przyjaciółmi, ale nie mogę jej tak zostawić. Muszę jej pomóc znaleźć Seta. To narkotyki obarczam winą za tę nietypową dla mnie życzliwość.

Popycham drzwi. Kiedy się uchylają, ktoś pociąga mnie mocno do tyłu i rzuca na ścianę. Kiedy uderzam głową w beton, przeszywa mnie fala bólu. Mrugam zdezorientowana. Coś twardego wbija mi się w żebra, a ramię naciska na moją klatkę piersiową, unieruchamiając mnie. Pociągam za to ramię, po czym nieruchomieję, kiedy to coś twardego bardziej na mnie napiera. Pistolet.

Ile on ich ma? Zabrał Ninie? Czemu myślę o tym teraz?

– Nie piśniesz słowa o tym, co się dzisiaj stało – rzuca ostro Vic, a jego cuchnący oddech owiewa mi twarz.

Piorunuję go wzrokiem. Kiedy milczę, napiera na mnie całym ciężarem. Z bólu zaciskam zęby.

– No więc jak będzie?

– Nic nie powiem – warczę. – Puszczaj mnie!

Próbuję go odepchnąć, ale on ponownie ciska mnie na ścianę. Obezwładniona bólem głośno krzyczę.

– Jeśli coś wypaplasz, popamiętasz mnie – rzuca groźnie. – Nie żartuję.

– Hej! Zostaw moją wróżkową księżniczkę! – Nim zdążę zareagować, Allie wskakuje Vicowi na plecy. – Zostaw ją!

– Co do... Złaż ze mnie, ty psycholko! – ryczy Vic. Allie jedną ręką trzyma go za szyję, a drugą okłada po plecach.

Vic robi krok do tyłu. Chcę mu się wyślizgnąć spod ramienia, ale rzuca się w moją stronę i ponownie przyszpila mnie do ściany. Ręką trzymającą pistolet robi zamach do tyłu i uderza Allie w bok głowy.

– Ała! – piszczy dziewczyna, puszczając go. Z głuchym odgłosem ląduje na ziemi. Zatacza się do tyłu, trzymając się za głowę. – To bolało.

– Ty dupku! – Uderzam go kolanem między nogi.

Vic jęczy z bólu i składa się wpół. Zaciskam razem dłonie i robię zamach, po czym uderzam go w szczękę. Jego głowa odskakuje do góry. Vic zatacza się do tyłu i wpada na Allie.

Ona okłada go pięściami po ramieniu.

– Jesteś taki podły!

Vic wyciąga rękę i chwyta Allie za gardło. Ona łapie za jego dłoń. Wydaje z siebie bulgoczące odgłosy. Kiedy zmiierzam szybko w ich stronę, Vic wbija we mnie wzrok, a czarne brwi zacieniają mu oczy. Na jego twarzy pojawia się złowieszczy uśmiech. Nieruchomieję. Jeśli zło ma twarz, to właśnie się w nią wpatruję. Znam jego zamiary na sekundę przed tym, nim je urzeczywistnia.

– Nie!

Wyciągam ręce do Allie... i w tym momencie Vic zrzuca ją ze schodów.

Rozdział 8

– Gdzie mój tatuś? – pytam.

Wszyscy przerywają jedzenie. Widelec ciotki Allison zderza się z talerzem. Patrzę na mamę. Ta milczy.

– Wyjechał, skarbie – mówi babcia i gładzi mnie po głowie.

Rozlega się krótki krzyk i mama zasłania dłonią usta, a jej oczy wypełniają się łzami. Wygląda, jakby potwornie cierpiała.

Nigdy więcej nie pytam o tatę.

Krzyk Allie rozbrzmiewa echem na klatce schodowej, aż nagle cichnie, kiedy dziewczyna ląduje na pierwszym stopniu. Jej ciało z głuchym odgłosem odbija się od kolejnych stopni, aż w końcu zatrzymuje się na betonowym podeście.

Stoję jak skamieniała, a usta mam otwarte w niemym krzyku.

Allie nie wydaje z siebie żadnego dźwięku – ani jęku, ani krzyku, choć nogę ma zgiętą pod nienaturalnym kątem. Ręce ma rozrzucone nad głową. Spod krótkich jasnych włosów powoli sączy się krew, tworząc wokół jej głowy szkarłatną aureolę.

– Allie? – Głos mam słaby, jakbym przez ten cały czas krzyczała.

Nie porusza się.

Robię krok w przód, aby do niej zbiec, kiedy histeryczny głos sprawia, że się odwracam.

– Co ty zrobiłaś?

Wpatruję się w szeroko otwarte, rozgorączkowane oczy dziewczyny ze schodków przeciwpożarowych, tej, którą wyściskała Allie.

– Czy ty... czy ty ją pchnęłaś? – Ale to tak naprawdę nie jest pytanie. To oskarżenie.

Widzę to w jej szklistym spojrzeniu. Ale ona nie patrzy mi w twarz, jej wzrok skupia się... na mojej ręce, w której trzymam różową perukę Allie. Puszczam ją, jakby parzyła. Pod skórę zaczyna mi wpełzać panika.

– Zrobiłaś to. Pchnęłaś ją. – Jej słowa są niczym ciernie.

Robię krok do tyłu i kręcę przecząco głową. Płuca mi się zaciskają i nie jestem w stanie zaczerpnąć powietrza. To się nie może dziać naprawdę. Ta dziewczyna patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była jakimś potworem, a ja mam ochotę zniknąć. Robię kolejny krok w tył. Dziewczyna otwiera usta. Jeszcze szybciej kręcę głową, wypowiadając w myślach słowa modlitwy. Zwiększam odległość między nami. Muszę zniknąć, nim ona...

W moich uszach wibruje przerażający, mrozący krew w żyłach krzyk.

Drzwi się otwierają. Zza nich wypadają dwie potężne sylwetki w czerni i przepychają się obok mnie. Ze schodków przeciwpożarowych wchodzi kilka kolejnych osób. Ich twarze to zamazana plama. Nie jestem się w stanie skupić. Otaczają mnie kolory i głosy. Ale nikt nie schodzi do niej. Allie nadal leży w kałuży krwi. Ktoś musi ją uratować. Serce wali mi tak szybko, że aby utrzymać się na nogach, muszę się oprzeć dłonią o ścianę.

– Co się stało? – pyta jakaś dziewczyna. Skupia się na tej, która krzyczy, nie zauważając leżącego u podnóża schodów połamanego ciała.

Ale potężny bramkarz, który zjawił się jako pierwszy, dostrzega Allie i jego zachowanie natychmiast ulega zmianie.

– Zabierz stąd wszystkich! – woła zdecydowanie.

Drugi mężczyzna w czerni wypycha niewielką grupę z powrotem na zewnątrz. Dziewczyna już nie krzyczy, a jedynie szlocha. Tylko ona została na klatce schodowej... oprócz mnie. Z wyjątkiem niej nikt zdaje się nie zwracać na mnie uwagi. Dziewczyna chwyta za umięśnione ramię stojącego bliżej bramkarza i pokazuje... na mnie. Ale on jest zbyt zajęty zamykaniem drzwi prowadzących na schodki przeciwpożarowe.

Ten, który dowodzi, zniża głos i mówi do nadajnika przy nadgarstku:

– Potrzebni sanitariusze na klatce schodowej numer pięć. Natychmiast.

Kiedy drzwi ponownie się otwierają, owiewa mnie podmuch powietrza. Mija mnie kolejny ubrany na czarno mężczyzna.

Wyślizguję się w chwili, kiedy główny bramkarz wykrzykuje do nowoprzybyłego:

– Zamknij wszystkie drzwi prowadzące na tę klatkę. Nie pozwól, aby ktoś wszedł albo...

W tym momencie drzwi się zamykają, uciszając go.

Przed nimi staje wysoki, może nie tak muskularny, niemniej jednak onieśmielający mężczyzna. Splata przed sobą dłonie.

Odwracam się i robię krok w stronę ciemności, a moje zmysły nagle przytłacza zalew stroboskopowych świateł i dudniących basów. Mrugam i robię drżący wydech. Jedyne, co czuję, to szaleńcze bicie własnego serca. Wzdłuż balustrady tańczą uwodzicielsko ciała, ręce unoszą się w górze, dłonie zaciskają się na biodrach. Panika oplata moje ciało jak bluszcz i mnie paraliżuje.

Jakieś dłonie zaciskają się na moich ramionach. Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie intensywnie niebieskich oczu.

– Lana? Wszystko w porządku? – Parker przygląda mi się z niepokojem.

Nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, aby udzielić odpowiedzi na jego pytanie. Czy wszystko w porządku? Nie. Absolutnie nic nie jest w porządku.

– Lana? – powtarza.

Próbuję się uwolnić od tych duszących więzów, przez które nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Parker? – wyduszam z siebie.

Nic nie wydaje się rzeczywiste. Mam wrażenie, że tkwię w samym środku puszczonego w zwolnionym tempie snu.

– Jesteś ranna? – pyta, kiedy nadal stoję w bezruchu i patrzę mu w oczy.

Prześlizguje się wzrokiem po moim ciele, aż nagle chwyta moje nadgarstki i je unosi. Na mojej lewej dłoni błyszczą maleńkie krople krwi, a wokół palców prawej zaplątało się kilka różowych włosów. Z mocno walącym sercem wrywam ręce z jego uścisku.

Parker sięga do kieszeni i podaje mi starannie złożoną chusteczkę. Biorę ją od niego i gorączkowo trę dłonie, brudząc na czerwono biały materiał.

Parker zbliża prawy nadgarstek do ust i mówi do niego:

– Znajdźcie mojego brata. Ma przyjść do mnie na antresolę. Natychmiast.

Przyglądam się swoim drżącym dłoniom, upewniając się, czy starłam wszystkie dowody. Parker wyjmuję z moich palców chusteczkę i chowa ją do kieszeni spodni.

Delikatnie ujmuję w dłonie moją twarz.

– Wszystko będzie dobrze.

Oddycham płytko. Nie jestem w stanie zrozumieć tego, co do mnie mówi.

– Lana? – Zmusza mnie, żebym skupiła się na nim. – Zajmę się tym. Ale ty musisz stąd zniknąć. Okej?

Panika spowija mnie coraz ciaśniejszym kokonem.

– Nie mów nikomu o tym, co się stało – instruuje mnie Parker.

– Ale ja nie... – zaczynam gorączkowo.

– Nic nie mów – przerywa mi zdecydowanie. – Ani słowa.

Myśli, że to zrobiłam, że ją zepchnęłam – tak jak ta krzycząca dziewczyna na klatce schodowej.

Parker nachyla się i całuje mnie w czoło.

– Zajmę się wszystkim – mówi cicho.

Robię krok w tył. On naprawdę wierzy, że jestem zdolna do czegoś *takiego*?

– Co się dzieje? – pyta Joey, pojawiając się za bratem. – Jakiś koleś mówił...

Parker odwraca się w jego stronę.

– Lana? – Joey przenosi wzrok z niego na mnie. – Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiada Parker i prostuje się z tą przeklętą *Pewnością siebie*. – Dziewczyna spadła ze schodów. Karetka zabiera ją do szpitala, ale ty i Lana musicie się stąd zmyć na wypadek, gdyby miała się zjawić policja. – Z kieszeni wyjmuję kluczyki. – Na dole po przeciwnej stronie znajdują się drzwi. Idźcie tam. Zjedźcie windą na pierwszy poziom. Będzie tam czekał twój jeep i telefon. Zgarnę jej przyjaciół i spotkamy się... – przez chwilę się waha – na polu golfowym. Czekać tam na mnie. – Ponownie przenosi spojrzenie na mnie i gładzi mój policzek. – Ani słowa.

Joey bierze mnie za rękę.

– Zajmę się nią.

Parker z niezadowoloną miną patrzy na nasze złączone dłonie.

Chwilę później Joey prowadzi mnie wzdłuż antresoli. Oglądam się i widzę, że Parker znika za czarnymi drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową. Mówi coś do nadajnika.

Schodzimy po schodach i okrążamy zatłoczony parkiet. Mijamy morze ciał. Nie jestem się w stanie skupić na niczym poza ręką trzymającą moją dłoń i niebieską koszulą przed sobą.

Kiedy docieramy do zakamuflowanych w ciemnym kącie, pomalowanych na czarno drzwi, Joey puka i niewidzialna dłoń natychmiast je otwiera. Zaraz potem zamykają się za nami. Po drugiej stronie stoi wysoki mężczyzna z obciętymi na jeża jasnymi włosami. Milczy. Podchodzi do czegoś, co wygląda jak brama garażowa, i pociąga za sznur. Naszym oczom ukazuje się winda towarowa. Wchodzimy do środka i zamykają się drzwi, odcinając nas od dudniącej muzyki i innych dźwięków.

W cichej kabinie kontrolę nade mną przejmuje dręczący mnie chaos – groźby Vica, upadek Allie, krzyk tamtej dziewczyny, ostrzegawcze słowa Parkera... Opieram się o ścianę. Wzrok mam wbity w podłogę. Kręci mi się w głowie. Mój puls szaleje. Drżące dłonie zaciskam w pięści i koncentruję się na oddychaniu, próbując się wyrwać ze szponów obezwładniającej paniki.

– Lana. – Dociera do mnie głos Joeya, stanowczy i kojący.

Unoszę głowę.

Joey przyciska guzik windy i patrzy mi w oczy. Przez chwilę nic nie mówi.

– Nie stanie ci się nic złego, obiecuję. – W jego głosie słychać taką pewność siebie, jakby potrafił kontrolować nasze przeznaczenie. – Wierzysz mi?

Mrugam, walcząc z piekącymi łzami, i przełykam gulę, która siedzi mi w gardle.

– Jest za późno.

Zasłaniam dłonią oczy, pragnąc się ukryć przed okrutną rzeczywistością. Obrazy zbyt prawdziwe i drastyczne, aby je zapomnieć... Allie leżąca bez ruchu, jej krew wsiąkająca w betonowy podest. Zimna obojętność w spojrzeniu Vica na chwilę przed tym, jak ją pchnął. I ja, stojąca nad Allie z jej różową peruką w zaciśniętej dłoni, znieruchomiała. A potem ten krzyk... ten przenikliwy krzyk rodem z horroru. Przysięgam, że nadal dźwięczy mi w uszach.

I *zostawiłam* Allie... na dole tych schodów. Porzuciłam ją. Powinnam była z nią zostać.

Nie wiem nawet, czy jeszcze oddycha.

– Musimy wracać. Muszę się upewnić czy ona żyje – mówię błagalnie, zduszając szloch.

– Ta dziewczyna? Byłaś tam? – Ton jego głosu jest łagodny.

Kiwam głową.

– To była Allie, ta dziewczyna z pikapa. Próbowalam... – Głos mi się łamie.

– Próbowalam ją złapać, zanim ją zepchnął, ale nie byłam w stanie.

– Kto ją zepchnął? – pyta ostrożnie Joey.

– Vic – przyznaję mimowolnie. Przygryzam wargę, żeby nie powiedzieć niczego więcej.

Zazwyczaj nie jestem tak nieostrożna. Ta szcerość to wina połkniętej pigułki. To nie ja. Ja tak nie reaguję. Ja w takich sytuacjach bywam opanowana. Ale w tej akurat chwili nie mam kontroli ani nad umysłem, ani nad ciałem, bez względu na to, jak bardzo się staram.

Joey milczy. Przyglądam mu się uważnie, próbując wyczytać, co się kryje w jego spojrzeniu. Staram się przekonać samą siebie, że to nie była tajemnica, której musiałam dochować. Vic nie jest osobą, którą muszę chronić. Ale Joey owszem. A teraz, kiedy zna prawdę, nie mam pewności, co z nią zrobi.

Puszcza przycisk windy. Powoli do mnie podchodzi i bierze mnie w ramiona. Kiedy tylko czuję na sobie jego dotyk, mój oddech się uspokaja i znika uczucie napierania na klatkę piersiową. Mocno się w niego wtulam i chowam twarz w jego ramieniu, ale nie pozwalam sobie na łzy. Przytula mnie tak długo, aż przestaję się trząść. Przyciska usta do mojej skroni i opuszczają mnie ostatnie echa paniki.

Unoszę głowę.

Joey odsuwa mi z policzka pasmo włosów.

– To nic nie da, nawet jeśli tam wrócimy. Parker mówił, że zabierają ją do szpitala. Zaczekajmy i przekonajmy się, czy nic jej nie będzie, a dopiero wtedy zdecydujemy, co dalej, dobrze?

Kiwam głową przekonana, że to najlepsze rozwiązanie. Przytula mnie raz jeszcze, dzięki czemu odzyskuję siłę potrzebną, by samodzielnie ustać na nogach. W końcu mnie puszcza.

– Gotowa stąd jechać?

– Tak – odpowiadam. Jestem już spokojniejsza.

Joey wciska guzik i winda ponownie rusza w dół. Po chwili otwiera ją i wychodzimy na coś w rodzaju parkingu, zapewne dla osób, które tu pracują. Na samym końcu, tuż przed dużą przesuwaną bramą stoi czerwony jeep Joeya. Trzymając mnie za rękę, chłopak lawiruje między rzędami samochodów, aż w końcu do niego docieramy. Na fotelu kierowcy leży jego telefon. Mojego tam nie ma. Mam nadzieję, że Parker mi go przywiezie. Nie stać mnie na nową komórkę.

Dwóch ubranych na czarno mężczyzn przesuwa wielkie, metalowe drzwi. Joey uruchamia samochód. Z jednej strony spodziewam się, że zobaczę migające na czerwono i niebiesko światła karetki albo radiowozu, ale w sumie nie czuję zdziwienia, kiedy ich nie dostrzegam.

Nim Joey rusza, przed bramą przejeżdża czarny van. Wymieniamy milczące spojrzenia, wiedząc, że w środku musi znajdować się Allie.

Metalowe drzwi prywatnego garażu zamykają się tuż po naszym odjeździe. W ciemnościach przecinamy teren The Point. Joey włącza światła, dopiero kiedy mijamy bramę i dojeżdżamy do drogi.

W milczeniu mkniemy wyludnioną, krętą jezdnią. Patrzę przed siebie. Dach jeepa jest opuszczony i wiatr rozwiewa wokół mojej głowy pasma włosów. Kiedy wstrząsa mną dreszcz, Joey podaje mi bluzę. Biorę ją od niego i zakładam, wdychając zapach proszku do prania i charakterystyczny zapach Joeya – połączenie trawy i deszczu.

Opieram czoło o szybę, a w mojej głowie odbywa się gonitwa myśli. Zamykam oczy

i oddycham głęboko. Ten dzień w ogóle nie powinien był się wydarzyć.

Mogę tu siedzieć i analizować wszystko, co mogłam dzisiaj zrobić inaczej, ale wiem, że to z powodu Vica ten wieczór potoczył się tak, a nie inaczej.

Zaciskam zęby tak mocno, że mam wrażenie, że zaraz się pokruszą. Jeśli jeszcze spotkam tego gościa, to go zabiję.

– Czemu Vic był z wami dzisiaj?

Joey rzuca mi szybkie spojrzenie, po czym skupia się ponownie na drodze.

– Nic się nie martw. Parker nie przywiezie go ze sobą do country klubu.

– Nie o to cię pytałam.

Z Joeya aż emanuje zakłopotanie.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi, zresztą już ci to mówiłem. Uczymy się w tej samej szkole z internatem. Kilka miesięcy temu jego matka zmarła na raka i mój ojciec mnie poprosił... nie wiem, żebym poprawił mu nastrój. Moja rodzina zna się z jego rodziną. Nasi ojcowie razem studiowali.

– Wiedziałaś, że to psychopata?

– Nie! – odpowiada zdecydowanie i odwraca głowę w moją stronę. – Nie jest może szczególnie sympatyczny, ale w życiu bym nie uwierzył, że może zepchnąć kogoś ze schodów. Albo że zabierze ze sobą broń. Naprawdę mi przykro, Lano, z powodu wszystkiego, co zrobił.

– To nie twoja wina – odpowiadam cicho, zapadając się w fotel. – Jego ojciec... czy on... jest wpływowy? – Muszę wiedzieć, na czym stoję, skoro wygląda na to, że jako jedyna znam prawdę.

– Vic mieszka z dziadkiem – odpowiada ostrożnie Joey.

Kiedy nie dodaje nic więcej, bezgłośnie proszę go, żeby odpowiedział na moje pytanie.

Kiwa z żalem głową.

– Ma wiele koneksji. Zatuszuje sprawę, nim Vic zostanie o cokolwiek oskarżony. Dlatego mówiłem, że powinniśmy poczekać i zobaczyć, co się stanie z Allie, nim podejmiemy decyzję, co dalej. Jeśli skończy się na jego słowie stanie przeciwko twojemu, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Śmieję się ponuro.

– Oczywiście, bo prawda *nigdy* nie wygrywa. – Mówię to bardziej do siebie niż do niego. Odwracam głowę i czuję, że znowu się cała spinam.

Ciszę wypełnia pomruk silnika i odgłos opon na szutrowej drodze. Wyglądając przez boczną szybę, po raz pierwszy, odkąd wyjechaliśmy z Sherling, próbuję się skupić na otoczeniu. Nie mam pojęcia, gdzie się znajdujemy. Jest ciemno. Nie ma żadnych latarni... ani domów. Tylko las, który zdaje się nie mieć końca. Mam wrażenie, że wysokie drzewa napierają na nas ze wszystkich stron.

Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałam z Sherling. To miasteczko potrafi ludzi uwięzić. Zaczynają wierzyć, że ich żalosna egzystencja musi polegać na pracy za płacę minimalną i zasiłkach na dzieci.

Nie mogę powiedzieć, że jestem przekonana, iż poza Sherling czeka na mnie coś lepszego, ale nie zgadzam się być jedną z ofiar tego miasta – przewidywalną i pozbawioną znaczenia, skazaną na powtarzanie się. Zawsze takie samo zakończenie. Ale po dzisiejszym wieczorze nie wydaje mi się, abym miała coś do powiedzenia w kwestii tego, co mi się przytrafia. Możliwe, że nigdy tak nie było.

W ciszę wracają do mnie słowa Parkera. *Nic nie mów.*

Wiem, że nie powiedział tego po to, aby mnie chronić. Jeśli Parker rzeczywiście wierzy, że to ja zepchnęłam Allie, musi także *wiedzieć*, że w życiu się do tego nie przyznam. Nie zrobił

tego również przez Vica. Parker nie wiedział nawet, że ten idiota z nami przyjechał. I wtedy przypominam sobie, jak przejął nad wszystkim kontrolę. Jak nalegał, aby Joey mnie stamtąd zabrał. Jaką miał pewność, że Allie zostanie zabrana do szpitala. Dzięki kilku tylko słowom rzuconym do nadajnika zapewnił nam szybkie i bezproblemowe wyjście.

Potrzebuje mojego milczenia, żeby chronić samego siebie.

– Parker to jeden z organizatorów, prawda?

Joey przez chwilę się waha, po czym odpowiada:

– Wiesz, że nie mogę nic ci powiedzieć. – Na jego twarzy maluje się niepokój.

Ale nie potrzebuję jego potwierdzenia. Już wszystko wiem. Parker zawsze ryzykował, byleby osiągnąć sukces. Jego przekleństwo to *Pewność siebie*. Słowa porażka nie ma w jego słowniku. Dwa lata temu, kiedy zaczęliśmy robić wszystko, czego zabraniali nam rodzice, był naszym dostawcą amfetaminy. Słyszałam, że potrafi zorganizować także inne atrakcje na spędzanie wolnego czasu. Jest dyskretny, więc nie wiem o nim nic pewnego. Udaje mu się osiągnąć sukces bez zwracania na siebie uwagi.

– Nikomu nie powiem – obiecuję. – Ale jeśli policja się dowie, że z innymi prowadzi nielegalny klub, to...

– Skończyłoby się to dla niego *naprawdę* źle, zwłaszcza, jeśli komuś stałaby się poważna krzywda – kończy Joey.

– No tak.

W żołądku otwiera mi się mroczna czeluść. Nie mogę nijak zaradzić temu, co się stało. Jedyna osoba, która zasługuje na karę, jest ewidentnie nietykalna – i nie tylko dlatego, że jego dziadek zapłaci za zatuszowanie wszystkiego, ale także dlatego, że gdybym powiedziała prawdę, ucierpiliby na tym wszyscy, na których choć trochę mi zależy, łącznie ze mną. Zaciskam zęby, walcząc z rodzącym się w moim gardle krzykiem.

Joey chrząka, odwracając moją uwagę od tego, jak beznadziejne się stało moje życie.

– Prawdopodobnie nie chcę tego wiedzieć, ale skąd znasz mojego brata?

Wstrzymuję oddech. Nie jestem pewna, na ile bardzo powinnam być teraz szczerą. Nie zamierzam mu powiedzieć, że to z Parkerem zaliczyłam pierwszy pocałunek w życiu. Tego nie wie chyba nawet sam zainteresowany. To stało się latem, niecałe dwa lata temu. Miałam trzynaście lat, prawie czternaście – nie chcę, żeby zabrzmiało to *aż tak* źle. Parker i Joey są z Oaklawn, więc Parker nic o mnie nie wiedział. Sądził, że mam szesnaście lat – wcale nie dlatego, że tak mu powiedziałam. Tak po prostu uznał, a ja nie wyprowadziłam go z błędu.

Tori i ja nauczyłyśmy się tak się ubierać i malować, żeby wyglądać na starsze. Mniej więcej wtedy zaczęłam zastępować mamę w Stella's, dzięki czemu nabyłam także odpowiedniego nastawienia. Nikt nigdy nie kwestionował mojego wieku, nawet jeśli moja głowa ledwo tylko wystawała za barem. Chodzi o to, jak się prezentujesz światu, a ja wszystko miałam gdzieś... aż do dzisiaj. Pomocne okazuje się też to, że zgodnie z moim fałszywym dowodem mam dwadzieścia dwa lata. Przechodzi to w każdym barze, w którym bywamy. Ale mieszkamy w Sherling, gdzie właściciele takich lokalów wolą mieć klientów i kasę, niż przejmować się ich wiekiem.

Pierwsza impreza, w której wzięłam udział razem z Tori, odbywała się w bliźniaku parę ulic od domu mojej przyjaciółki. Parker zjawił się tam „służbowo”, wpadając na chwilę w drodze na własną imprezę. Ale ostatecznie został. Możliwe, że to ja się do tego przyczyniłam. Mówił to, co chciałam usłyszeć, i skupiał się na mnie tak, jakbym była jedyną dziewczyną na imprezie. Choć próbowałam odgrywać niedostępną, w duchu skakałam i krzyczałam z podekscytowania. Oto ja, na swojej pierwszej imprezie, i podrywa mnie ten niesamowity facet. Myślałam, że umrę!

Bardzo starałam się grać trudną do zdobycia. Kiedy Parker poprosił o mój numer

telefonu, nie dałam mu go. Właściwie to nadal go nie ma. Kiedy jednak nachylił się nade mną w ciemnym kącie, opierając rękę o ścianę nad moją głowę, nie poruszyłam się. Nie odepchnęłam go. Nie odwróciłam głowy. Stałam nieruchomo i pozwoliłam, aby przycisnął usta do moich warg. Drażnił się ze mną powolnymi, spokojnymi pocałunkami. A kiedy wsunął mi do ust język, robił to niespiesznie i delikatnie. Było... idealnie. Myślę, że gdybym nie opierała się o ścianę, ugięłyby się pode mną nogi.

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy całował mnie Parker Harrison. I nigdy nie zapomnę tych pocałunków.

Później musiał o mnie wypytywać, bo kiedy znowu go zobaczyłam, był wkurzony. Całowanie się z trzynastolatką mogło zaszkodzić jego reputacji, nawet jeśli nie znał mojego prawdziwego wieku. Właśnie skończył liceum i w życiu nie chciałby się pokazywać z uczennicą pierwszej klasy, a co dopiero z laską, która nie chodziła jeszcze do liceum. Wtedy zobaczył z nami Ninę...

No i potem był już dla mnie zakazanym owocem. Nawet kiedy znowu się zjawił i lepiej mnie poznał.

Nie zgadzam się na to, aby dać mu szansę, bez względu na to, ile razy mnie prosi.

Moje milczenie najwyraźniej trwa zbyt długo, bo Joey nagle mówi:

– Nieważne. Nic mi nie mów.

– Nie o to chodzi. My po prostu... czasem go widzimy. – Staram się, żeby zabrzmiało to swobodnie. – On i Nina kręcą ze sobą. Chyba. I czasami bywa w tych samych barach w Sherling co my.

– Masz fałszywy dowód? – pyta zaskoczony.

– Ty nie?

Joey wzrusza ramionami.

– W sumie z niego nie korzystam. To jeden z dawnych dokumentów Parkera. Nigdy nie próbowałem wejść tak do baru. Miasto, w którym mieści się moja szkoła, jest za małe. Boję się, że szybko by się wydało. Ale zdarza mi się kupować piwo poza miastem. – Poprawia się na fotelu, wyraźnie skrępowany. – No więc... on i Nina, nie... – Kręci głową. – Mniejsza z tym.

– Między mną a Parkerem niczego nie ma.

– Przepraszam – mówi z bladym uśmiechem. – Tak już po prostu bywało...

Śmieję się.

– Ty i twój brat spotykaliście się z tą samą dziewczyną?

– Nie – odpowiada zdecydowanie Joey. – Dziewczyna była z Parkerem, a kiedy zakończył związek, uznała, że będę idealną zemstą. Tyle że nie chciałem z nią nawet rozmawiać, nie mówiąc o całowaniu.

– O ile dobrze pamiętam, nie trzeba rozmawiać, żeby się całować – rzucam lekkim tonem.

Przysięgam, że na jego policzki wypełza rumieniec.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Przez cały wieczór próbuję rozgryźć, co jest przekleństwem Joeya. Nie jest to nic oczywistego. Choć wygląda jak bardziej wyluzowana, młodzieńcza wersja Parkera, w niczym go nie przypomina. W sumie... pewnie powinnam przestać ich ze sobą porównywać.

– Nie wykorzystalabym cię w ramach zemsty – mówię mu szczerze. – Nie interesuje mnie twój brat. Na ogół żałuję, że go znam.

– Ja też.

Przekręcam głowę w jego stronę. Policzkiem dotykam chłodnej skóry fotela i spodziewam się, że Joey żartuje. Ale on jedynie patrzy przed siebie z poważną miną. Kiedy zerka na mnie, uśmiecha się lekko. Na jego prawym policzku pokazuje się cień dołeczka.

– Ten wieczór... – Śmieje się cierpko, po czym kręci głową i skupia się ponownie na drodze. – Powiedziałbym, że chciałbym, aby już się skończył, tyle że... – Znowu na mnie zerka.
– Nie mogę się pozbyć myśli, że będzie lepiej.

– Było dobrze. Przez parę godzin – mówię z bladym uśmiechem.

Jeep zwalnia i Joey skręca w ciemny podjazd. Światła omiatają duży, drewniany znak – *Country Club Oaklawn*. Jedziemy długą drogą, która dzieli na pół pole golfowe, aż w końcu docieramy do dużego budynku. Cała jedna ściana to okna.

Rzeźbione drewniane drzwi oświetla duży żyrandol. W budynku panuje ciemność. Joey skręca w lewo, gdzie znak z napisem *Dostawy* zaprasza nas do wstąpienia w cień.

Mój towarzysz parkuje jeepa obok kontenera na śmieci i gasi silnik. Nie do końca jesteśmy ukryci, ale jeśli ktoś nas będzie mijał, samochód nie od razu rzuci mu się w oczy. Joey odpina pasy i odwraca się przodem do mnie. Nic nie mówi. Patrzymy na siebie, a w ciągu tych kilku sekund ciszy przeskakuje między nami tysiąc słów.

– Nic ci nie będzie? – pyta. Tyle razy zadawał mi dzisiaj to pytanie.

– Gdybym tylko wiedziała...

Dzwonek jego telefonu zamyka prawdę w moich ustach.

Joey z wahaniem przenosi spojrzenie ze mnie na komórkę. Wyjmuje ją z uchwytu na kubek.

– To Parker – mówi przepraszająco i przesuwa palcem po wyświetlaczu.

Wraca panika. Serce zaczyna mi szybciej bić, tracę oddech, a mój żołądek zmienia się w wielki supeł. Mam ochotę wyrwać mu komórkę z ręki i zapytać, czy z Allie wszystko dobrze... czy żyje.

Wpatruję się w Joeya słuchającego głosu po drugiej stronie linii i próbuję wyczytać cokolwiek z jego twarzy. Ale on na mnie nie patrzy i jego oczy nic nie zdradzają. Kiedy myślę, że zaraz zacznę krzyczeć, chłopak podaje mi telefon.

– Parker chce z tobą rozmawiać.

Wpatruję się bez słowa w aparat. Nagle boję się poznać prawdę. Zerkam na Joeya. Unosi zachęcająco brwi. Uśmiecham się blado i biorę od niego telefon, po czym powoli przykładam go do ucha.

– Tak? – mówię.

W głośniku dudni muzyka. Słyszę, jak Tori i Nina śpiewają coś na cały głos.

– Halo? – powtarzam głośniejsze, kiedy nikt nie odpowiada.

– Niczym nie musisz się martwić. – Głos Parkera wcina się w hałas.

– Co to znaczy? – Czuję na sobie wzrok Joeya. – Czy ona...

– Nic jej nie będzie, Lana. Złamana noga i wstrząśnienie mózgu. Ale wyjdzie z tego – zapewnia mnie Parker. – I nikt cię nie widział. Faceci, którzy ją znaleźli, w umowie mają trzymanie języka za zębami. Ty też tak rób, a wszystko będzie dobrze. Nic ci się nie stanie. Zająłem się tym.

– Okej – odpowiadam cicho. Pozwalam, aby jego słowa naprawdę do mnie dotarły. Ignoruję fakt, że on nadal uważa, iż to przeze mnie Allie wyładowała u podnóża schodów. I najwyraźniej nie ma pojęcia o krzyczącej dziewczynie, która podziela jego zdanie.

– Z kim rozmawiasz? – pyta niecierpliwie Nina. Płacze jej się język.

– Do zobaczenia niedługo – mówi Parker, po czym się rozłącza, nim zdążę zapytać, do którego szpitala trafiła Allie.

Powoli opuszczam rękę i oddaję telefon właścicielowi.

– Nic jej nie będzie. – Joey bierze mnie za rękę i otula swoim ciepłem.

Natychmiast opuszcza mnie napięcie i znowu mogę oddychać.

– Czy Parker by kłamał? Myślisz, że rzeczywiście nic jej nie jest? – pytam, wiedząc, jak wielkich kłopotów mogłoby to narobić Parkerowi. Nauczyłam się nie lekceważyć tego, do czego ludzie są zdolni w desperacji, kiedy mogą wszystko stracić.

Joey się waha.

– Nie wiem, jak mógłby to zatuszować. Żeby się chronić, zdarza mu się zachowywać w budzący wątpliwości sposób, ale... on nie jest złym gościem.

– Jak może zabronić komuś coś wypaplać? – Niezależnie od tego, jaki Parker ma wpływ na innych, szczerze wątpię, aby potrafiły to zrobić jego groźby o zakazie wstępu na imprezy czy ostracyzmie towarzyskim.

– Chyba nie może – mówi z prostotą Joey. – Ale co ludzie mogą powiedzieć poza tym, że jakaś dziewczyna spadła ze schodów? Nikt nie wie, że jest jednym z organizatorów. Nawet ludzie, którzy tam pracują. Tylko ty i Vic znacie prawdę. Na wszelki wypadek będą musieli zmienić lokalizację, ale nie sądzę, aby Parker miał się czegoś obawiać. Ty tak samo.

– Nie mam się czego bać – mówię do siebie. Czy to prawda?

Allie żyje. To dobrze. Bo przecież ona także wie, co się naprawdę stało.

Rozdział 9

– Ale on mówił, że mnie kocha. – Słowa wypowiedane przez moją matkę są zduszone, bo twarz ma ukrytą w poduszce.

Stoję przy drzwiach i zaglądam do pokoju. Powinam spać, ale obudził mnie płacz mamy.

– A ty czemu mu uwierzyłaś? – pyta babcia, patrząc z gniewem na córkę. Ręce ma skrzyżowane na piersi. – Ile razy muszę ci powtarzać, że te słowa to najbardziej trujące kłamstwa, jakie się kiedykolwiek wydostały z ust mężczyzny?

Chcesz posiedzieć ze mną na trawie, skoro i tak musimy na nich czekać? – pyta Joey. Ujmuje moją dłoń i ją całuje.

Uśmiecham się lekko.

– Jasne.

Patrzę, jak wysiada z jeepa. Może ten dzień nie okaże się jednak aż tak koszmarny.

Jego bluza wisi na mnie tak bardzo, że wydaje się, że nie mam na sobie nic więcej. Na mój widok Joey próbuje ukryć szeroki uśmiech. Jeśli powie coś głupiego, na przykład *Podobasz mi się w moich ciuchach*, rzucę w niego bluzą i wrócę do samochodu. Noszenie ciuchów facetów ma na nich dziwny wpływ, jakby to była oznaka przynależności. A ja nie jestem niczyją własnością. On jednak tylko podaje mi rękę. Ujmuję ją z radością, że to, co chciał powiedzieć, ostatecznie zachował dla siebie.

Mijamy szpaler zimnozielonych drzew, które odgradzają strefę dostaw od pola golfowego, i ostrożnie wchodzimy po stromym zboczu, aż docieramy do nienagannie wypielęgnowanej trawy. Joey prowadzi nas do okręgu, gdzie trawa jest jeszcze krótsza, po czym puszcza moją rękę i siada z wyciągniętymi przed siebie nogami.

Odpinam sandały i moje stopy zapadają się w gęstej, chłodnej trawie. Siadam obok niego, podciągam kolana do klatki piersiowej i naciągam na nie bluzę.

– Zimno ci? – pyta Joey, obejmując mnie i przyciągając do siebie.

– Nie, jest dobrze. – Wtulam się w niego i opieram głowę o jego tors.

Panuje tu taka cisza, że jest to niemal niepokojące.

– Co chcesz studiować?

To pytanie pojawia się nie wiadomo skąd. Odchylam się i patrzę na Joeya.

– Słucham?

– Kiedy jechaliśmy samochodem, Nina wspomniała, że wybierasz się na studia. Wiesz już dokąd?

– Przystawiała broń do głowy Vica, a ty pamiętasz *to*? – pytam ze śmiechem.

Wzrusza ramionami i posyła mi krzywy uśmiech. Znowu się śmieję.

– Nie mam pojęcia czemu tak powiedziała – oświadczam. – Mój szkolny doradca co i rusz wciska mi jakieś broszury. Ale w sumie w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

– Czemu nie?

– No a czemu tak? Ukończenie studiów nie oznacza, że nie wyląduję potem w jakiejś kawiarni, tyle że będę miała wtedy do spłacenia kolosalny kredyt studencki.

– Nie marzy ci się... coś więcej? – Przygląda mi się uważnie i czeka.

Nie wiem, co wprawia mnie w większe zakłopotanie: samo pytanie czy fakt, że Joey jest szczerze zainteresowany moją odpowiedzią.

– Więcej niż co? Studia nie zmieniają tego, kim jestem – mówię, odwracając wzrok od jego twarzy i ponownie wtulając się w niego. – Nie jestem pewna, jaki jest sens pragnąć od życia więcej, niż już się ma. Pieniądze nie dają szczęścia. Praca przez osiemdziesiąt godzin w tygodniu także nie.

– W takim razie co... cię uszczęśliwi?

– A co to za pytania? – ripostuję, po czym siadam wyprostowana.

– Hej. – Przysuwa się do mnie i kładzie mi rękę na talii. – Próbuję jedynie lepiej cię poznać.

– Po co?

– Eee... dlatego, że cię lubię – mówi ostrożnie. – Ale jeśli nie chcesz, to nie musimy o tym rozmawiać.

– Nie chcę.

Wiem, że zachowuję się jak zołza, ale szczerze mówiąc nie ufam komuś, kto chce wiedzieć o mnie coś więcej niż moje imię. A nie jestem pewna, jak mu to wyjaśnić, żeby nie zrobiło się niezręcznie.

– A może to ty chcesz zadawać mi pytania? Albo... możemy po prostu posiedzieć. Niedługo powinni przyjechać.

No i teraz dopiero jest niezręcznie. Cholera. Czemu jestem w tym taka beznadziejna?

Szukam w myślach, czegoś, *czegokolwiek*, co mogłabym powiedzieć, a co nie wyda się wymuszone. Nigdy nie umawiałam się z żadnym chłopakiem ani nawet nie byłam na randce. Chodzimy na imprezy i do barów, gdzie jedyne, czego potrzebuję, to głupia, pozbawiona znaczenia gadka prowadząca do obmacywanek w ciemnym kącie. Nawet chłopak, z którym robię to regularnie, ogranicza rozmowę do minimum. Chodzi tylko o seks i mnie to najzupełniej odpowiada. Nie *chcę*, żeby ktoś mnie poznawał.

– Powiedz mi o sobie coś zenującego – wyrzucam z siebie.

Joey się śmieje.

– Nie możemy rozmawiać o tobie, ale ja muszę wyjawić coś zenującego? To nie fair.

– Może, jeśli to zrobisz, poczuję się bardziej komfortowo.

Trzepoczę rzęsami, a on chichocze.

– Hmm... – Patrzy w zamyśleniu w niebo.

– Nie zastanawiaj się zbyt długo. Pierwsze, co ci przyjdzie do głowy.

– Pierwszy wzwód miałem w kościele.

– Co... – Wybucham śmiechem. – Szczegóły.

Choć jest ciemno, wiem, że twarz ma czerwoną jak burak.

– Przede mną siedziała naprawdę ładna dziewczyna, chyba chodziła do szkoły z Parkerem, no i podczas przekazywania sobie znaku pokoju odwróciła się, a kiedy się nachyliła, żeby mnie uściskać, błysnęła mi dekoltem. No i ściszałem ją tak długo, aż babcia trzepnęła mnie torebką.

– Co zrobiła ta dziewczyna? – pytam, nadal chichocząc.

– Śmiała się, zwłaszcza, kiedy zobaczyła wybrzuszenie w moich spodniach. Babcia była zażenowana, a matka wykrzyknęła: „Williamie!” tak głośno, że połowa wiernych odwróciła się i patrzyła, jak zasłaniam sobie krocze. Nie miałem pojęcia, co się dzieje ani jak to powstrzymać. To był niezaprzeczalnie najbardziej zenujący moment w moim życiu.

Ze śmiechu aż mnie boli brzuch.

– To niesamowite! – W końcu udaje mi się złapać oddech. – Czemu nazwała cię Williamem?

– Mam dwa imiona plus nazwisko i każdy mówi na mnie inaczej. Nawet ja mam czasem

mętlik w głowie.

– Joseph William Harrison?

Powoli kiwa głową.

– Właśnie tak.

Unoszę brwi.

– Dodaj do tego jakąś rzymską cyfrę i mógłbyś uchodzić za członka rodziny królewskiej.

Joey się śmieje.

– Wcale nie jestem honorowy.

– Naprawdę? – pytam i nachylam się, aż dzielą nas zaledwie milimetry. – Nie wiem czy ci wierzę. – Posyłam mu kuszący uśmiech.

Patrzę, jak jego usta się rozchylają. Joey cały czas spogląda mi w oczy, aż w końcu kładzie mi dłoń na karku i przyciąga mnie do siebie.

Zamykam oczy, spodziewając się dotyku jego ust. A kiedy w końcu tak się dzieje, cały mój świat nieruchomieje. Ogarnia mnie uczucie lekkości. Jego usta pieczą moje, kradnąc mi oddech. Z jego gardła wydobywa się cichy jęk. Nie mogę oddychać, ale wcale tego nie chcę. Chwytam go za koszulę. Pragnę być jeszcze bliżej. Pragnę jego. Obejmuje mnie mocno w tali, a ja cała zatracam się w nim i w tym pocałunku.

Joey powoli się odsuwa, a nasze urywane oddechy się mieszają. Nadal trzyma mi dłoń na karku i delikatnie opiera czoło o moje.

– Nie masz pojęcia, od jak dawna miałem na to ochotę.

Nim znowu nasze usta zdążą się złączyć, pika mu telefon.

Z przepaszającym jękiem odsuwa się i wyjmuje go z kieszeni. Odczytuje wiadomość, po czym zerka w stronę budynku klubu.

– Przyjechali. Mamy się z nimi spotkać przy basenie.

Do sięgającego pasa ogrodzenia wokół basenu zbliżają się cztery sylwetki. Chwilę później przechodzą na drugą stronę. Nim zdążę się zorientować, jakie mają zamiary, widzę, że ktoś, zapewne Nina, ściąga przez głowę sukienkę.

Odwracam się do Joeya.

– Jeszcze nie. Okej?

Obdarza mnie szerokim uśmiechem, po czym pisze odpowiedź i kładzie telefon na trawie.

Bez wahania wciąga mnie sobie na kolana, a ja siadam na nim okrakiem. Nasze usta zderzają się ze sobą. Nie zachowujemy się delikatnie – jęczymy, obściskujemy się i ocieramy. Oddechy mamy równie gorączkowe, jak bicie serca. Wplątam palce w jego włosy. Jego dłonie wślizgują się pod bluzę i obejmują moje nagie plecy. Nie odrywam ust, aby zaczerpnąć powietrza. Na serio mogłabym umrzeć, kiedy się z nim całuję.

Joey zdejmuje mi bluzę przez głowę i kładzie mnie na niej. Jego usta wędrują po mojej szyi, aż do krawędzi bluzki. Oplątam go nogami w pasie i odchylam głowę, pochłonięta jego dotykiem. Pociągam za jego koszulę, rozpaczliwie pragnąc dotknąć nagiej skóry. Odsuwa się na chwilę, ściąga ją jednym ruchem i rzuca na trawę.

Jego ciało napiera na mnie w najlepszy możliwy sposób, a ja wciągam głośno powietrze.

– Ale mi dobrze – szepcze mi w szyję, ssąc skórę tuż pod uchem.

Przyciągam go bliżej siebie, poruszając się pod nim.

Jęczy głośno.

– O Boże, Lana, kocham cię.

Zamieram.

Joey zaczyna podciągać mi bluzkę, a ja chwytam jego dłonie.

– Złaż ze mnie.

Patrzy na mnie z konsternacją.

– Co?

Odpycham go mocno od siebie.

– Złaż ze mnie!

Przewraca się na bok, nie stawiając oporu. Jego twarz przeszywa szok i zrozumienie. Otwiera usta, ale nic nie mówi. Wstaję, poprawiam bluzkę i podnoszę z trawy buty.

– Lana! – woła do mnie, a jego głos podszyty jest paniką. – Nie odchodź.

Ale ja już to robię. W moich żyłach pulsuje wściekłość.

– Lana!

Skupiam się na basenie i nie dopuszczam do siebie dźwięku jego głosu. Lepiej niech ten chłopak trzyma się z dala ode mnie. Jeśli zacznie mnie gonić albo mnie dotknie, przysięgam, że go wykastruję.

– Hej!

Potykam się. Ten głos nie należy do Joeya. Odwracam się i oślepia mnie jasne światło.

– Stój w miejscu.

Nie muszę go widzieć, aby zorientować się, że to policjant. Więc... puszczam się biegiem.

– Stać!

W tej chwili basen wydaje się być tak cholernie daleko. Patrę, jak Parker, Lincoln, Tori i Nina wyskakują z wody. Chwytają ubrania i biegną w stronę ogrodzenia. Snop światła na chwilę przesuwa się ze mnie na nich. Dzięki temu mam szansę schować się wśród rosnącego z boku budynku żywopłotu.

Słyszę, jak radiowóz wyjeżdża ze strefy dostaw. Zastanawiam się, czy nie pobiec, ale Parker i pozostali zdążyli już zniknąć między drzewami. Nie widzę, co się znajduje po drugiej stronie, ale muszę założyć, że właśnie tam Parker zostawił samochód.

Choć nie chcę, oglądam się, ale nie widzę Joeya. Chwilę później słyszę, jak jeep odjeżdża. Dokąd on jedzie?

Już mam wyjść z żywopłotu, chociaż nie wiem, dokąd pójść, ale w tym momencie od strony basenu znowu pojawia się radiowóz. Jego światła omiatają błękitną wodę. Z powrotem się chowam w krzakach. Kłujące gałęzie drapią mnie po rękach. Radiowóz skręca, oświetlając pole golfowe, a konkretnie miejsce, gdzie siedziałam razem z Joeyem.

Kiedy światło przesuwa się po żywopłocie, przyciągam kolana do klatki piersiowej, żeby jak najbardziej zredukować mój rozmiar. Zamykam oczy. Boję się nawet oddychać. Kiedy je otwieram, światło zdążyło zniknąć, a ja robię wydech. Odczekuję całą wieczność, po czym wystawiam głowę. Radiowóz się oddala, nadal omiatając światłami okolicę. Nie zatrzymuje się. Parker musiał odjechać, co oznacza... że mnie zostawili.

Pozostaję w krzakach jeszcze kilka minut na wypadek, gdyby policjanci zdecydowali się zawrócić. To żalosne. Naprawdę nie mają nic lepszego do roboty w piątkowy wieczór niż gonić kąpiących się na golasa? No ale skoro jesteśmy w Oaklawn, to pewnie wielkie wykroczenie.

Kiedy w końcu wychodzę z krzaków, nogi i ręce całe mam podrapane i jestem pokryta zielonymi igłami. Zdejmuję z włosów gumkę i potrząsam głową. Na trawę spada mnóstwo igielek. Kiedy ponownie zwiążuję włosy, orientuję się, że nie mam opaski.

– Jasny gwint – burczę.

To jedna z niewielu ładnych rzeczy, jakie posiadam, i jednocześnie pamiątka rodzinna – mama dostała ją od mojej babci. Cofam się, żeby poszukać jej w trawie, ale jest za ciemno. Poddam się i postanawiam pójść w stronę basenu na wypadek, gdyby Joey zaparkował w pobliżu strefy dostaw albo wrócił po mnie. Wolałabym wrócić do Sherling na piechotę niż wsiąść z nim

do samochodu.

– Kocham cię? – warczę, a w moim głosie pobrzmiewa wściekłość. – Co to, kurwa, miało być?

Nie mogę uwierzyć, że to powiedział. *Te* słowa. Kłamstwo największe z możliwych.

Zaciskam pięści. Spomiędzy palców zwisają mi sandałki.

– Kocham cię?! – Do gardła podchodzi mi żółć.

Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam mu się dotknąć. Że choć przez chwilę uważałam go za przyzwoitego gościa. Idiotka!

Kiedy docieram do drogi po drugiej stronie drzew, przekonuję się, że jest pusta. Wzdłuż niej znajdują się wielkie domy z latarenkami po obu stronach drzwi i na końcach podjazdów. Trawniki i żywopłoty są nienagannie przycięte, tak jak na polu golfowym, ale na ulicy nikogo nie ma. Idę w stronę głównej drogi. Przez cały czas złorzeczę na Joeya i każdego innego faceta, który użył tych słów, aby uwieść dziewczynę albo nią manipulować.

Znajduję się w połowie drogi, która przecina pole golfowe, kiedy nagle ciemność rozjaśniają światła samochodu. Nie mam się gdzie ukryć. Ale w tej chwili mam już gdzieś, czy zgarnie mnie policja. Bolą mnie nogi. Jest mi zimno. A gniew wypompał ze mnie całą energię. Ten wieczór naprawdę nie może być już gorszy.

Samochód zwalnia. To złotobrazowy land rover. Mijam go ze spuszczoną głową, ale w tym momencie auto się zatrzymuje i opuszcza się szyba od strony kierowcy.

– Lana.

Unoszę głowę.

– Wskakuj.

Przez chwilę wpatruję się w Parkera, po czym przechodzę przez ulicę. Uczucie porażki sprawia, że się garbię. Otwieram tylne drzwi, spodziewając się zastać komplet pasażerów, ale nikogo nie widzę.

– Usiądź z przodu.

Zamykam tylne drzwi i zajmuję miejsce.

– Gdzie wszyscy?

– Z Joeyem. Spotkałem go na poboczu. Mówił, że nadal tu jesteś. – Parker zatrzymuje się na skrzyżowaniu z główną drogą i patrzy na mnie. – Powiedział, że lepiej, żebym to ja po ciebie przyjechał. Dziewczyny umierały z głodu, pojechały więc razem z nim. Mamy się spotkać w Stella's.

– Jeśli on tam będzie, to zawieź mnie prosto do domu.

Parker wjeżdża na główną drogę. Oprócz nas nadal nie ma na niej nikogo.

– Co się stało?

Patrzę na ten sam ciemny las, co wcześniej, bo nie potrafię spojrzeć na Parkera.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie zrobił ci krzywdy, co? – pyta takim tonem, jakby sama taka myśl była absurdalna.

– Nie – warczę. – To kłamca. Jak wszyscy inni.

Milczy. Żadne z nas nic nie mówi, kiedy przejeżdżamy przez Oaklawn. W końcu skręcamy w stronę Sherling.

– Ty nie kłamiesz.

Odwracam głowę.

– Skąd wiesz?

– Pamiętam, że kiedyś mi powiedziałaś, że zawsze mówisz prawdę. Zawsze... Wierzę ci. Nigdy mnie nie okłamałaś, nawet kiedy żałowałem, że nie jest inaczej. – Chichocze. – Naprawdę nigdy nie kłamiesz, co?

– Naprawdę – odpowiadam krótko.

– Czy w takim razie mogę ci zadać jedno pytanie, a ty obiecasz, że mi odpowiesz?

Poprawiam się na fotelu, tak że siedzę teraz zwrócona w jego stronę. Zaintrygowała mnie ta prośba. To może być niebezpieczne. Ale Parker nie wygląda na faceta, który ma ochotę zgłębiać zakamarki mojej duszy. Gdyby to pytanie zadał mi Joey, z marszu bym odmówiła. Mrużę oczy i zastanawiam się nad motywami mojego towarzysza.

Uśmiecha się, widząc moje wahanie.

– To tylko jedno pytanie, Lana. Jak fatalna może się okazać prawda?

Opieram się wygodnie.

– Jeśli się zgodzę, to co dostanę w zamian?

Parker się śmieje.

– A co byś chciała?

– Żebyś przestał się spotykać z Niną – oświadczam bez namysłu. Sama nie wiem, czemu właśnie to powiedziałam. Wcale go nie chcę i nie jestem zazdrosna. Ale to coś, co od zawsze nie dawało mi spokoju. Może dlatego, że wiem, jak bardzo są razem toksyczni, a dla Niny pragnę czegoś lepszego. I może także dla Parkera.

– Umowa stoi – odpowiada od razu. – I tak podjąłem już dzisiaj taką decyzję, więc twoje życzenie można uznać za zmarnowane. To jednak oznacza, że mogę zadać ci pytanie, a ty powiesz mi prawdę.

Wzdycham z rezygnacją.

– Co chcesz wiedzieć?

Parker posyła mi przebiegły uśmiech.

– Nie mówiłem, że zamierzam zadać je teraz. Chyba zostawię to na inny raz.

Przewracam oczami.

– Ależ jesteś teatralny.

– Zawsze – śmieje się.

Ciemność przecinają światła Sherling. Mijają nas samochody i autobusy. Wykończona, przyglądam się pozamykanym sklepom z drzwiami całymi w graffiti i ludziom stojącym przed jednym z niewielu otwartych o tej porze barów.

Parker zajeżdża na parking przed Stella's. Szukam na nim wzrokiem jeepa Joeya.

– Nie ma go tutaj – zapewnia mnie Parker. – Wysłałem mu wiadomość, żeby sobie pojechał.

– Dzięki – mówię cicho i odpinam pasy. – Cóż, rzekłabym, że było fajnie, ale nie było.

Uśmiecha się do mnie współczująco.

– Wcześniej mówiłem poważnie, kiedy stwierdziłem, że się wszystkim zajmę, Lano. Gdybyś tylko mnie potrzebowała, możesz na mnie liczyć. – Otwiera schowek i wyjmuję mój telefon. – Masz teraz mój numer. Możesz dzwonić o każdej porze.

– Włamałeś mi się do telefonu? – Mrużę oczy, a on uśmiecha się łobuzersko. – Niezły z ciebie gagatek.

Parker uśmiecha się jeszcze szerzej i niczemu nawet nie zaprzecza. Nieco zbyt późno dociera do mnie, że gapię się na niego i jego uwodzicielski uśmiech. Jego dłoń muska mój policzek. Wsuwa mi za ucho luźne pasmo włosów. Odsuwam się, kiedy dotyka kciukiem mojej dolnej wargi.

– W końcu i tak do tego dojdzie, wiesz? – mówi z uśmiechem.

Wzdycham z irytacją.

– Serio, Parker?

Otwieram drzwi, wysiadam, po czym je zatraskuję. Dopiero kiedy bosymi stopami stoję

na żwirze, przypominam sobie, że w samochodzie zostawiłam buty. Ale on już odjeżdża. Unoszę rękę, żeby go zatrzymać, jednak w tym momencie na parking wjeżdża furgonetka i mnie zasłania.

Stukam w wyświetlacz, żeby do niego zadzwonić. Padła bateria.

– No a jakżeby inaczej.

Delikatnie idę po żwirze i kamieniach, krzywiąc się z bólu przy każdym kroku. Przeciskam się obok czekających w kolejce pijaczków i wchodzę do środka.

Od razu znajduję Tori i Ninę. Siedzą w jednym z boksów i głośno chichoczą. Nina mokre włosy zaplotła w warkocz, Tori natomiast swoje zebrała w węzeł na karku. Wyglądają, jakby doskonale się bawiły. Na stole dostrzegam kilka talerzy z jedzeniem na różnym etapie konsumpcji, a przed każdą z nich stoi czerwony plastikowy kubek z dużą colą. Zastanawiam się czy nie wyjść. Nie chcę popsuć im wieczoru.

Kiedy się zatrzymuję przy sąsiednim stoliku, Tori przestaje się śmiać.

– Lana! Jasna cholera, gdzie ty się podziewałaś? – wykrzykuje. Wyskakuje z boksu i mocno mnie przytula.

Odwzajemniam jej uścisk, wdychając ostry zapach chloru.

Odsuwa się i lustruje mnie wzrokiem.

– Wyglądasz... strasznie!

Mrugam.

– Omójboże! – wyrzuca z siebie Nina. – Co ci się stało? Biłaś się?

Patrzę na nią z konsternacją. Ona wzrok ma wbity w moją klatkę piersiową.

Opuszczam wzrok, ale nie widzę, o co jej chodzi. Widzę natomiast wściekle czerwone zadrapania na rękach i nogach.

– No co?

– Masz siniaka – oświadcza Nina i delikatnie dotyka mojego obojczyka. Trochę boli, ale nie jest źle. To pewnie po tym, jak Vic przyszpilił mnie do ściany. – Poważnie, co ci się stało?

– Możemy usiąść? – pytam. Jestem taka zmęczona, że chyba się zaraz przewrócę.

Dziewczyny wracają do boksu, a ja wślizguję się obok Tori i padam na popękany plastik.

– No więc? – pyta Tori, kiedy nic nie mówię.

Otwieram usta, ale nic się z nich nie wydostaje. Nie mam pojęcia od czego w ogóle zacząć.

– Co się stało z Joeyem? – wyrzuca z siebie Nina.

Zamykam oczy.

– Nigdy więcej nie chcę widzieć żadnego Harrisona – warczę. – Ani jednego. Nigdy.

– To nie on ci to zrobił, co? – pyta Tori, gotowa wkurzyć się równie bardzo, jak ja.

– Nie. To akurat dzieło Vica. – Skupiam się na Ninie. – Oddałaś mu pistolet?

– Co takiego?! – wykrzykuje zaszokowana. – No co ty. Jest tutaj... – Sięga do torebki.

Mruży z konsternacją oczy i zaczyna wyrzucać na stół jej zawartość. – Przysięgam, że tu był.

– Podnosi wzrok. – Nie mam pojęcia, co się z nim stało.

– On go ma – wyjaśniam. – Głupi kutas. Widziałyście go, kiedy wychodziliście?

Obie kręcą przecząco głowami.

– Co on ci zrobił? – pyta Tori.

Zaciskam zęby. Kręcę głową i przeczesuję palcami opadającą na czoło grzywkę.

– Lana – odzywa się Nina. – Musisz nam powiedzieć. Wiesz, że bez względu na wszystko możesz na nas liczyć.

– Pozwólcie, że się nad tym zastanowię – odpowiadam. Muszę przemyśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby poznały prawdę.

Nie chcę ryzykować, że jeśli wszystko się spieszy, to dziewczyny będą w to wplątane.

Nie mam pojęcia, czy Allie rzeczywiście nic nie jest. Albo czy tamta krzycząca dziewczyna nie powiedziała komuś o tym, co widziała... Ba, Vic może twierdzić, że widział, jak popycham Allie, a ja nie będę w stanie udowodnić, że to nieprawda. Gdybym powiedziała o wszystkim Tori i Ninie, naraziłabym je na niebezpieczeństwo. Podejrzewam, że Vic może je zaatakować, zwłaszcza jeśli uzna, że stanowią zagrożenie.

– Możemy iść do domu? – pytam z ciężkim westchnieniem. – Każdy centymetr mojego ciała albo jest obolały, albo brudny.

– Gdzie masz buty? – śmieje się Nina.

– W samochodzie Parkera. Zdjęłam je, kiedy wracałam z country klubu.

– To rzeczywiście najgorszy wieczór w twoim życiu – oświadcza Tori.

– Niestety masz rację.

Rozdział 10

- **Ona nie jest twoim przekleństwem.** – Na dźwięk głosu babci zaciskam powieki.
- **Możesz ją kochać.**
- **Staram się – szepcze moja matka.** – **Ale za każdym razem, kiedy na nią patrzę, widzę prawdę i wiem, że go straciłam.**
- **Nie z jej powodu – mówi szorstko babcia.**
- **A właśnie, że tak – odpowiada ze smutkiem mama.**

Proszę – mówi Nina, podając mi błyszczące czarne japonki.

– Nosisz je w torebce? – pytam z niedowierzaniem.

– Spróbuj chodzić przez wiele godzin w szpilkach. Oczywiście, że noszę ze sobą japonki. Uratowały mnie tyle razy, że nawet nie potrafię zliczyć, a teraz ratują ciebie. Więc proszę bardzo.

– Dziękuję – mówię przeproszającym tonem. Wsuwam w nie stopy i tak się cieszę, że Nina targa zawsze ze sobą tę wielką torbę.

Wychodzimy ze Stella's i zaczynamy iść przez parking.

– Do mnie? – pytam.

Dziewczyny przytakują, bo do mnie jest najbliżej. A o drugiej w nocy lepiej już iść pieszo, niż jechać autobusem.

Tori podaje mi skórzaną kurtkę, a ja radośnie ją zakładam.

– Dzięki.

– Parker twierdzi, że między nami koniec – oświadcza Nina.

Próbuję odszyfrować emocje kryjące się za tymi słowami, ale mi to nie wychodzi. Przynajmniej powiedział mi prawdę.

– A co ty na to? – pytam delikatnie.

Wzrusza obojętnie ramionami.

– Wiem, że nie mówi poważnie. Ale co mi tam. To babiarz i mnie nie szanuje. Może więc sobie iść w cholerę.

Śmieję się.

– Co zrobił Joey? – pyta Tori. – On też jest babiarzem?

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale na pewno kłamcą.

Tori wzdycha i kręci głową.

– No to koniec z Harrisonami. – Przygryza wargę. – Ale... Umówiłam się znowu z Lincolnem... więc możliwe, że będziesz musiała tolerować Joeya. Ale postaram się dopilnować, aby dzieliła was stosowna odległość.

Przyglądam jej się z zaciekawieniem.

– Ty naprawdę lubisz Lincolna, co?

Na jej twarzy pojawia się dziewczęcy uśmiech.

– Jest taki miły. A jego ciało? Nie-wia-ry-god-ne.

– Przynajmniej jednej z nas trafił się porządny facet – oświadcza Nina. Skręcamy za róg i zaczynamy iść moją ulicą. – Chyba musimy zajrzeć do „imprezy w woreczku”. Pamiętam, że widziałam tam skręta, a on bardzo by nam się teraz przydał.

– Zdecydowanie – przyznaję, obszukując kieszenie. Wyjmuję nóż sprężynowy. Żałuję, że nie miałam go przy sobie, kiedy znajdowałam się na klatce schodowej razem z Vikiem.

Następnie klepię w wewnętrzną kieszeń i wyczuwam w niej mały, plastikowy woreczek. Nim zdążę schować nóż, zatrzymuje się przy nas samochód.

– Lana Peri? – rozlega się grzmiący głos.

Odruchowo Nina wsuwa dłoń pod moją rękę, zabiera nóż i chowa go do torby. Snop światła oślepia mnie w chwili, kiedy upuszczam woreczek na ziemię i staję na nim.

– Co to było? – pyta kobiecy głos. Słyszę trzaśnięcie drzwi.

– Jesteś Lana Peri? – pyta ponownie jakiś mężczyzna.

– Tak – odpowiadam, zasłaniając ręką oczy.

– Proszę zrobić krok w tę stronę.

Wzdycham i robię, co mi każe.

Policjantka zakłada gumowe rękawiczki i podnosi z ziemi woreczek.

– Wygląda na to, że masz wieczór pełen wrażeń, Lano.

– Proszę stanąć za samochodem – instruuje mnie mężczyzna.

– Jesteście z nią? – pyta policjantka Ninę i Tori.

Od razu wiedzą, co chcę, żeby zrobiły.

– Dopiero co tu przyszliśmy – odpowiada Nina.

– Jak się nazywacie? – Funkcjonariuszka kładzie woreczek na masce i wyjmuje notes i długopis, żeby je spisać.

Nie słyszę, co mówią, bo w uszach dźwięczy mi jedynie zbyt donośny głos policjanta.

– Proszę położyć ręce na masce. Aresztujemy cię pod zarzutem posiadania narkotyków.

Rozumiesz?

Kiwam głową.

Za mną staje policjantka, a jej kolega wrzuca narkotyki do torebki na dowody.

– Masz przy sobie coś ostrego?

– Nie – odpowiadam spokojnie, odsuwając od siebie wszelkie emocje.

Nie daję po sobie niczego poznać. Nie poruszam się, kiedy jej dłonie prześlizgują się po moim ciele i kiedy wsuwa mi palce za pasek szortów. To akurat nigdy nie jest fajne. Chwyta mnie za nadgarstek i umieszcza mi go za plecami.

Czuję dotyk chłodnego metalu na skórze, kiedy zakłada mi kajdanki. Odwracam głowę od migających świateł, kiedy policjant chwyta mnie za ramię i prowadzi w stronę otwartych drzwi radiowozu.

Tori stoi obok Niny i przygryza wargę. Nina ma ręce skrzyżowane na piersi i z beczelnym wyrazem twarzy patrzy na tę scenę. Chcę je zapewnić, że sobie poradzę. Że wszystko będzie dobrze. Ale nie wiem, czy to prawda. Nie mam pojęcia, za co jestem zatrzymana poza posiadaniem narkotyków. Mogli mnie szukać z tylu powodów – kradzież, napaść, napad z bronią w rękę, wtargnięcie na teren prywatny albo, zależnie od tego, kto złożył doniesienie, usiłowanie zabójstwa.

Funkcjonariusz kładzie mi rękę na głowie, kiedy wsiadam do radiowozu. W tym momencie przed sąsiednim domem zatrzymuje się czerwony jeep. Kierowca z telefonem przy uchu staje na fotelu, żebym go widziała.

Wypowiada bezgłośnie słowa: *Nic nie mów.*

Nie ma sprawy. Nie zamierzam się do niczego przyznawać. Nawet jeśli rzeczywiście coś zrobiłam.

Obserwuję, jak Nina i Tori znikają w oddali. Obok nich stoją Lincoln i Joey, patrząc za odjeżdżającym radiowozem. W normalnych okolicznościach zadano by im o wiele więcej pytań. Na szczęście policjanci interesują się tylko mną i nie wzywają wsparcia, żeby ktoś inny zajął się dziewczynami. Nie rozmyślałam nad tym specjalnie, choć powinno mnie niepokoić, czemu gliny

chcą mnie tak szybko odstawić na komisariat.

Droga przebiega spokojnie. Podobnie jak wypełnianie dokumentów na miejscu.

Nie wiem, jak długo znajduję się w celi, trzęsąc się na tym kawałku płyty, który służy za pryczę, kiedy w końcu łysiejący policjant otwiera drzwi.

– Detektywi mają do ciebie kilka pytań – oświadcza.

Bierze mnie za ramię i prowadzi do niewielkiego pokoju przesłuchań z pomalowanymi na szaro ścianami. Siadam na twardym metalowym krześle ustawionym przed drewnianym stołem i patrzę w lustro weneckie.

Zrobiło się poważnie. To nie ma nic wspólnego z posiadaniem dragów.

Biorę głęboki oddech, na próżno próbując uspokoić szalejący puls.

Kilka minut później drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi dwaj mężczyźni w garniturach. Kiwają głową do policjanta, który zostawia nas samych. Mówią coś – pewnie się przedstawiają, ale ja ich nie słucham. Wpatruję się w drobną postać za nimi, otulającą się różową podomką.

Wstaję. Krzesło przesuwają się ze zgrzytem po podłodze.

– Co ona tu robi?

– Lana – odzywa się łagodnie moja matka. – Wszystko w porządku. Powiedzieli, że muszę tu być.

Tyczkowaty, łysy detektyw wskazuje na stojące w kącie krzesło. Mama uśmiecha się do niego nerwowo i siada.

– Proszę usiąść – mówi stanowczym tonem detektyw z okropną cerą i sumiastymi wąsami.

Nie odrywając wzroku od mamy, ponownie siadam na krześle. Jest upiornie blada i ma czerwone obwódki wokół oczu. Wiem, że nie czuje się dobrze i że nie powinna musieć tu być.

Detektyw z wąsami – będę go nazywać Freddy, bo nie dosłyszałam jego imienia, a jego skóra to prawdziwy koszmar – siada naprzeciwko mnie z teczką w ręce. Recytuje mi prawa Mirandy i każe podpisać oświadczenie, że je rozumiem. Drugi detektyw, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, opiera się o ścianę obok drzwi.

– Wiedz, że to nagrywamy – mówi mi, wskazując głową na lustro weneckie. Po drugiej stronie widać słabe czerwone światelko.

Jego słowa zbywam nieprzyjemnym uśmiechem.

– Uroczko – burczy.

Posyłam mu zniecierpliwione spojrzenie i również krzyżuję ręce na piersi. Jeśli odrobili pracę domową i mnie sprawdzili, wiedzą, że zmarnują na mnie dużo czasu, bo ja nie mówię. W ogóle. Bez względu na to, jak długo będą mnie trzymać w tym przyprawiającym o depresję pomieszczeniu.

Patrzę, jak siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna otwiera teczkę i rozkłada na stole kilka ziarnistych zdjęć. Teraz już wiem, czemu się tutaj znalazłam. Obraz jest tak kiepski, że twarzy praktycznie nie da się rozróżnić, ale trudno nie dostrzec moich oślepiająco jasnych włosów, jak również pistoletu w ręce kogoś ubranego na czarno.

– Co porabiałaś dzisiaj wieczoru, Lano?

Podnoszę na niego wzrok, a moja twarz pozbawiona jest wyrazu. I tak to wygląda przez kolejną godzinę czy nawet dwie. Trudno stwierdzić, bo nie ma tu zegara. Oni zadają pytania, ja nie odpowiadam.

– Powiedz nam, kim jest mężczyzna z bronią, Lano. Wyświadczyć sobie tę przysługę – mówi po raz setny detektyw z bliznami po trądziku. – Jeśli nie zrobiłaś nic złego, nie masz się czego bać.

Kącik moich ust unosi się lekko. Mężczyzna piorunuje mnie wzrokiem. Ja wiem swoje. Prawda mnie nie uratuje. Nie bez powodu moim przekleństwem jest *Szczerłość*.

Moja mama z każdą mijającą chwilą wygląda na coraz słabszą. Nie chcę, żeby tu była, ale jestem nieletnia, a gdyby przesłuchiwali mnie bez obecności rodzica, naruszyliby moje prawa. Dla niej jest to gorsze niż dla mnie. I martwię się, że zaraz zemdleje.

– Mógłby pan przynieść mojej mamie trochę wody? – pytam detektywa, który stoi przy drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego postawa ma mnie chyba onieśmielać, ale wcale na mnie nie wcale nie robi na mnie wrażenia.

Detektyw obrzuca spojrzeniem moją mamę, po czym patrzy na Freddy'ego.

Freddy kiwa lekko głową i zerka w stronę lustra weneckiego, upewniając się, że widać czerwone światełko i że kamera wciąż nagrywa to żałosne przesłuchanie.

– Lano, nagrała cię kamera w sklepie spożywczym. Dysponujemy zeznaniami sprzedawcy. Miałś przy sobie skradzione kupony lotto. Wiesz, kim jest mężczyzna z bronią. Jedyne, co musisz zrobić, to zdradzić nam jego tożsamość. W przeciwnym razie zostaniesz oskarżona o współudział. Tak czy inaczej utrudniasz dochodzenie.

Ponownie zerkam na mamę. Drżącą dłonią ociera z policzka łzę. Posyłam jej pokrzepiający uśmiech. Przygryza wargę, aby się nie rozplakać.

– Czy ona naprawdę musi tu być? – pytam chyba po raz dziesiąty.

Drzwi się otwierają. Wraca detektyw z butelką wody. Dostrzegam za nim jakąś postać. Wysoki mężczyzna w garniturze. Przyprószone siwizną włosy ma zaczesane do tyłu – nie tak jak oślizgły szef Niny, ale w stylu świadczącym o pieniądzach i władzy. Badawczym spojrzeniem błękitnych oczu omiata nas wszystkich – moją matkę, Freddy'ego, a na końcu mnie. Jego twarz pozbawiona jest wyrazu, ale oczy mówią mi wszystko, co muszę wiedzieć. Jest pewny siebie, inteligentny i dostaje dokładnie to, czego chce... zupełnie jak jego syn.

– To przesłuchanie dobiegło końca – oświadcza.

Moja matka wstaje. Niebieskie oczy ma szeroko otwarte.

– Niall?

Kiedy mężczyzna odwraca się w jej stronę, wyraz jego twarzy łagodnieje i pojawia się na niej smutny uśmiech.

– Faye – mówi z powagą, jakby ją za coś bezgłośnie przeproszał.

Do oczu mamy napływają łzy i szybko mruga powiekami. W jej wzroku widać wdzięczność i ulgę. Ta ulga przyprawia mnie o konsternację – jest tak, jakby mama wiedziała, że ten człowiek wszystko załatwi.

– Nic się nie martw. Zajmę się nią. Zaczekasz na mnie na korytarzu?

Mama kiwa głową, szybko zerka na mnie, po czym wyślizguje się z pomieszczenia. Kiedy zamykają się za nią drzwi, Niall skupia swoją uwagę ponownie na nas, a konkretnie na mnie. Przypatruje mi się ze stoickim spokojem, a jego twarz nie zdradza absolutnie niczego.

Freddy zaciska zęby.

– Niall, jesteś jej prawnikiem? Nie sądziłem, że bierzesz tego typu sprawy.

Niall Harrison pozostawia jego pytanie bez odpowiedzi.

– Potrzebuję chwili sam na sam z moją klientką.

Podziękowania

Ta historia domagała się napisania, nawet jeśli latami od nowa zaczynałam pierwsze cztery rozdziały. Wiele się przez ten czas nauczyłam – przede wszystkim tego, że muszę być dobra dla samej siebie nawet wtedy, kiedy wydawało mi się, że upadam. *Zwłaszcza wtedy.*

Otoczają mnie piękne i silne kobiety, które wspierały mnie i ofiarowywały słowa zachęty, kiedy czułam się wyjątkowo krucha. Kiedy kwestionowałam to, kim jestem i czym się zajmuję. Nigdy się nie zawahały. I tak bardzo jestem wdzięczna za ich obecność w moim życiu. Dziękuję za to, że mnie nie skreśliłyście!

Dziękuję także Wam, moim czytelnikom, którzy czekaliście cierpliwie, aż słowa znowu mnie odnajdą. Odnalazły. I, och, cóż za historię mam wam do opowiedzenia!

A to dopiero początek...

znając siebie

Z dedykacją dla wszystkich Pięknych Dusz szukających swojego miejsca, gdzie mogą się
wykrzycheć.

Warto o Was walczyć!

Prolog

Prawda to prawda. Nie zawsze jest taka, jak by się chciało. Bywa przenikliwa i pouczająca, ale także brzydka i brutalna. Ale zawsze pozostaje prawdą.

Choć może nie do końca.

Każdy z nas dysponuje własną, pokrętną wersją prawdy, skażoną tym, jak postrzegamy dane wydarzenie. I czasem to jedyne, co mamy. Chronimy ją więc i strzeżemy z niezachwianym przekonaniem, nawet jeśli to kłamstwo.

A moja prawda jest taka, że *Zaufanie* zabiło moją babcię.

To właśnie ona mnie wychowywała. Kiedy się urodziłam, moja matka dopiero co skończyła szkołę średnią i nadal mieszkała w rodzinnym domu razem z siostrami. Nie musiała się mną przez cały czas zajmować. Właściwie to w ogóle tego nie robiła. Babcia zamierzała wychować mnie według jej własnych zasad, choćby nie wiem co. Miała swoje zdanie na temat wszystkiego i głośno się nim dzieliła. Możliwe więc, że moja mama po prostu się poddała i pozwoliła jej wychowywać swoje dziecko.

W domu babci trzeba było albo siedzieć cicho i robić, co ci każą, albo być równie upartym i głośnym jak ona. Ciotka Helen i babcia były tak uparte, że słyszało je pół ulicy, natomiast mama i ciocia Allison zatrzęsły całe mnóstwo drzwi przez swoje prywatne posłuszeństwo. Ja jestem zlepkiem obu charakterów. Moje słowa nigdy nie krzyczały, ale zdecydowanie bywały niszczycielskie. Przez swój upór od siódmego roku życia znałam na pamięć każde pęknięcie w kuchennym kącie, zmuszana do wielogodzinnego wpatrywania się w ścianę – była to ulubiona kara babci, kiedy otwarcie wyrażałam swoją wolę.

Pomimo tego wszystkiego była najważniejszą kobietą w moim życiu. Miały z tym także związek nasze przekleństwa, czyli *Zaufanie* i *Szczerłość*. Potrzebowałyśmy siebie nawzajem. Babcia wiedziała, że zawsze usłyszy ode mnie prawdę, nieważne jak brutalną. A ja ufałam jej całą sobą. Ale poza murami naszego domu świat był pełen kłamców, złodziei i morderców. Każde życiowe doświadczenie stawało się lekcją od losu. A moja babcia była najzarliwszą nauczycielką. Nieważne, ile razy otrzymuję od życia po tyłku, wnioski pozostają takie same.

Nikomu nie ufaj.

Wszyscy kłamią.

Mozesz uratować tylko **siebie**.

Rozdział 1

Była sobie kiedyś dziewczynka o imieniu Thaylina, która mieszkała w wieży. I choć wieża była stara, a lodowaty wiatr wślizgiwał się do środka przez szczeliny w murach, ona ją kochała, bo to był jej dom.

Dziewczynkę chroniła i opiekowała się nią mądra i potężna czarownica, która wychowywała ją jak własną córkę. Czarownica zaszczepiła w Thaylinie mądrość, tak by nie pozwoliła się oszukać światu.

Kiedy nadchodzi pora pobudki, ja już nie śpię. Sen jest czymś niemal niemożliwym w sali pełnej dziewczyn wierzących się na trzeszczących materacach. Poza tym zbyt byłam podminowana po wczorajszym wieczorze, żeby zasnąć. Chyba każdy, kto widział, jak dziewczyna zostaje zepchnięta ze schodów, a potem został aresztowany za coś, czego nie zrobił, bałby się zamknąć oczy.

Wstaję z pryczy i jednym ruchem nakrywam poduszkę kołdrą. Założywszy przydziałowe klapki, razem z resztą zaspanych, burczących pod nosami dziewczyn wlokę się w stronę łazienek.

Jeszcze nim zdążę ją zobaczyć, czuję, jak do mnie podchodzi.

– Kogo ja tu widzę?

Mój wzrok pozostaje wbity we włosy wystające z warkocza dziewczyny przede mną. Zdecydowanie za wcześnie na tego typu zaczepki.

– Nie potrafisz tu nie wracać, Lana? – A jej usta nie potrafią się zamknąć. – W końcu kogoś zabiłaś?

Odwracam się szybko, gdy jej szpony szykują się do chwycenia mnie za włosy. Zaciskam palce wokół jej nadgarstka i stopą podcinam jej nogi. Nim zdąży zaczerpnąć tchu, moje kolano znajduje się już na jej klatce piersiowej. Kiedy walczy o oddech, w jej ciemnych oczach pojawia się panika.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, Sienna – warczę. Nasze twarze dzieli zaledwie parę centymetrów.

Po chwili wstaję i mieszam się z grupą dziewczyn, których w ogóle nie obeszło to, co się stało. Strażniczka woła:

– Hej, co tam się dzieje?

Ale nim dociera do Sienny, ja jestem już w łazience.

Po szybkim prysznicu pora na śniadanie na stołówce. Nie jestem głodna, więc biorę plastikowy kubek i napełniam go wodą. Siadam przy stoliku na samym końcu sali. A ponieważ mam wyjątkowo sympatyczny wyraz twarzy, nikt się nie dosiada. I właśnie coś takiego mi odpowiada.

Obserwuję. Rozgryzam, która tu dowodzi. Która się boi. A która jest suką dla samej sukowatości. Rozpoznam kilka osób. Ale one mnie ignorują. Uwagę na mnie zwracają tylko te ciekawskie. Te, którym nie powiedziano, kim jestem ani czemu powinny zachowywać dystans.

Przed dwoma laty, kiedy trafiłam tu po raz pierwszy, szybko się nauczyłam, że uniknę problemów, tylko jeśli będę ponad nimi. Pokażę wszystkim, że mam gdzieś, co o mnie myślą. Ale że jeśli któraś mnie tknie, to wezmę odwet. Bolesny... dla jednej z nas.

Aby zapewnić sobie spokój, musiałam jedynie wysłać parę dziewczyn do szpitala na założenie szwów i umieszczenie ręki w gipsie. Pewną dozę szacunku zaskarbiłam sobie także,

kiedy stało się oczywiste, że nie pisnę słówka ani nikogo nie wydam. Nie mogę uwierzyć, że tu wróciłam i znowu muszę się mierzyć z tym bagnem. A wszystko dlatego, że nie mogłam ryzykować i ujawnić prawdy.

Nienawidzę swojego przekleństwa.

Wyczuwam, że ktoś stoi naprzeciwko mnie. Podnoszę głowę i widzę, że z drugiej strony pustego stołu przygląda mi się jedna z psycholożek.

– Przyjechał twój prawnik.

Bez słowa wstaję i udaję się za nią. W połowie długiego korytarza kobieta otwiera drzwi do sali dla odwiedzających. Rzędy prostokątnych stolików i krzeseł pozostają puste. Pośrodku pomieszczenia stoi wysoki mężczyzna w doskonale skrojonym grafitowym garniturze i czeka na mnie. Wczoraj, kiedy zażądał, aby przewieziono mnie do poprawczaka, powiedział, że rano do mnie przyjedzie. Ale tak po prawdzie nie spodziewałam się, że dotrzyma słowa.

Niall Harrison posyła mi łagodny uśmiech, a w jego spojrzeniu widzę troskę.

– Witaj, Lano. – Ten człowiek zupełnie tu nie pasuje. Można go porównać do eleganckiego mercedesa w komisie z używanymi samochodami.

Zamykają się za mną drzwi.

– Gdzie jest Dwight? – pytam, mając na myśli wyznaczonego przez sąd adwokata, który reprezentuje mnie, odkąd dwa lata temu „zakłóciłam porządek publiczny”.

– Zapewne w domu.

– Po co pan tu przyjechał?

– Żeby ci pomóc.

– Dlaczego? – Nic nie poradzę na to, że zachowuję się cynicznie. Nic nie usprawiedliwia jego obecności w tym zakładzie. Nic.

– Bo chcę – odpowiada szczerze Niall.

– Nie stać mnie na pana.

– To akurat nie stanowi problemu.

– Dlaczego pan to robi? – Jego brak konkretów zaczyna mnie wnerwiać.

– Moi synowie martwią się o ciebie. Każdy z osobna do mnie przyszedł i poprosił, abym cię reprezentował. Twoja matka także.

Nie ruszam się.

– Skąd pan zna moją matkę?

– Porozmawiajmy, dobrze? – Wysuwa krzesło. Kiedy się nie ruszam, dodaje:

– A przynajmniej usiądźmy i przyjrzyjmy się zarzutom.

Przy każdym kroku moje przydziałowe klapki szurają o podłogę. On czeka, aż zajmę miejsce naprzeciwko niego i dopiero wtedy siada na niebieskim, plastikowym krześle. Opieram się, kolanami naciskam na blat stołu, a ręce krzyżuję na piersi.

– Na chwilę obecną zostaniesz jedynie obciążona zarzutem posiadania narkotyków i wkroczenia na teren prywatny.

– Teren prywatny?

– Zidentyfikowano cię w country clubie Oaklawn.

Przewracam oczami. Jakżeby inaczej.

– Jestem przekonany, że uda mi się odeprzeć te zarzuty. Najbardziej niepokoi mnie potencjalny zarzut o utrudnianie pracy policji w odniesieniu do uzbrojonego napadu na sklep. Poinformowano mnie, że możesz usłyszeć także zarzut współudziału. Nie otrzymałem jeszcze policyjnego raportu, więc to ty musisz mnie zaznajomić ze szczegółami i powiedzieć, co się wydarzyło.

Osuwam się jeszcze niżej na krześle i patrzę na niego w milczeniu.

– Proszę, Lano. Pozwól sobie pomóc.

Nadal się nie odzywam.

Niall zaciska usta i robi głęboki wdech przez nos.

Wiem, że wystawiam jego cierpliwość na próbę, ale nie chcę, żeby ojciec Parkera i Joeya mnie reprezentował. Nie dlatego, że to *ich* ojciec, ale dlatego, że obaj są tak zamieszani w całą sprawę, że *nie mogę* wyznać mu wszystkiego. Zresztą podejrzewam, że gdyby wiedział o ich bezpośrednim zaangażowaniu, prawo zakazywałoby mu reprezentowania mnie w sądzie.

– Dwight może się tym zająć.

– Dwight nadal cię reprezentuje. Pracujemy nad tą sprawą razem. Ale w tej chwili to ja tu jestem – wyjaśnia spokojnie Niall. – Udało mi się przyspieszyć twoją sprawę i pierwsze przesłuchanie przeniesiono na wtorek. Będę wnosił o to, aby sąd zwolnił cię pod opiekę twojej matki, ale zważywszy na wcześniejsze aresztowania i możliwe zarzuty o napad z bronią w rękę, to mało prawdopodobne. – Zaciska usta, zastanawiając się nad tym, co teraz ma do powiedzenia.

– No co? – pytam, bojąc się najgorszego.

– Wczoraj wieczorem na policję zadzwoniła dziewczyna twierdząca, że jej koleżankę zepchnięto ze schodów.

Z głuchym odgłosem moje stopy opadają na podłogę. Niall ściąga brwi.

– Czemu pan mi to mówi?

– Funkcjonariusz, którego znam osobiście, poinformował mnie, że opis podejrzanej bardzo przypomina ciebie. Przypisani do sprawy detektywi chcą cię przesłuchać.

Nie odpowiadam. Staram się w żaden sposób nie reagować. Ale jego intensywnie niebieskie oczy wwiercają się we mnie, wyłapując napięcie widoczne w linii mojej żuchwy i delikatnie drżenie powiek. Nie mogę pozwolić, aby ten człowiek mnie przejrzał.

– Wiesz coś o tym? Nie chciałbym zostać niemile zaskoczony, jeśli zgodzę się na twoje przesłuchanie.

– Co się stało z tą dziewczyną? Tą, którą zepchnięto ze schodów? – pytam i czuję ścisk w klatce piersiowej.

– Jest w śpiączce – wyjaśnia poważnym tonem. – Lekarze nie mają pewności czy przeżyje.

Kiedy się nachylam i opieram dłonie o blat, z moich płuc uchodzi całe powietrze. Parker mówił, że nic się jej nie stało. Kłamał? A może nie wiedział, jak poważnych doznała obrażeń?

– Po przewiezieniu do szpitala na krótko odzyskała przytomność i zaczęła wołać...

– Niall z wyraźną konsternacją odczytuje kolejne słowa z kartki: – Moją. Wrózkową. Księżniczkę.

Zerka na moje trzęsące się dłonie. Zdejmuję je z blatu i ponownie krzyżuję ręce ciasno na piersi.

– Jeśli pozwoli im pan mnie przesłuchać, i tak nic nie powiem.

– Nie mają wiele, na czym można się oprzeć. Osoba dzwoniąca nie zjawiała się na komisariacie. Więc na razie nie zgodzę się na przesłuchanie. – Głos Nialla jest spokojny i pełen ostrożności. – Lano, musisz mi opowiedzieć cokolwiek o tym napadzie z bronią w rękę. Obiecuję, że wszystko, co powiesz zostanie między nami. Nawet Dwight się o tym nie dowie, jeśli tak będziesz wołała. *Nikt* nie usłyszy prawdy, jeśli tak będzie najlepiej.

Przeglądamy się sobie nawzajem i zastanawiam się, czy dotrzyma tej obietnicy, jeśli na szali znajdzie się jego lojalność. Lojalność wobec rodziny. Lojalność wobec rodziny Vica. Aby ocalić mnie, dziewczynę, której nawet nie zna. Skupia się na mnie z dojmującą szczerością i opiekuńczością, jakiej nigdy dotąd nie zaznałam.

– Mogę opowiedzieć panu o tym, co się wydarzyło w sklepie, ale nie mogę zdradzić

tożsamości chłopaka z bronią.

– Trudno będzie udowodnić, że nie miałaś z tym nic wspólnego, jeśli nie podasz nazwiska osoby, która się tego dopuściła – wyjaśnia, sfrustrowany moim warunkiem. – Dlaczego tak się upierasz przy tym, aby go chronić?

– To nie *jego* chronię, ale wszystkich, którzy byli ze mną tamtego wieczoru.

Niall odchyła się i wbija wzrok w leżące przed nim dokumenty. Kiedy ponownie przynosi go na mnie, widać w nim przekonanie, a ja już wiem, dlaczego stać go na ten garnitur. To wzrok mężczyzny, który doskonale wie, gdzie leży granica i jak ją przekroczyć bez robienia choćby jednego kroku.

– Opowiedz mi o tym, co się wydarzyło w sklepie. Ani słowa o tym, co miało miejsce wcześniej. Albo później. Chcę poznać same szczegóły dotyczące napadu.

Biorę głęboki oddech i robię coś, co zrobiłam tylko kilka razy w życiu – i nie mam wcale na myśli mówienia prawdy, bo to jedyne, co *potrafię* robić. Tym razem mówię *całą* prawdę, i tylko dlatego, że niczego to nie zmieni. Tak bardzo przyzwyczałam się do zachowywania szczegółów dla siebie, bo na ogół ludzie nie radzą sobie z całkowitą szczerością. Dzisiaj jednak Niall Harrison słyszy ode mnie o wszystkim, co się wydarzyło w tamtym sklepie... o każdej sekundzie.

A kiedy kończę mówić, on składa dłonie w piramidkę i przyciska palce wskazujące do ust, analizując możliwości.

– Wyszliście razem? – pyta.

– Tak.

– Wsiedliście do tego samego pojazdu?

Przez chwilę się waham, ale on przecież nie wie, kto jeszcze znajdował się w samochodzie, więc odpowiadam:

– Tak.

– W samochodzie ten chłopak nadal miał broń?

– Eee... – Nie mam pewności, co powiedzieć, bo przecież w końcu zabrała mu ją Nina. Wzruszam ramionami. – Miał ją, kiedy wsiedliśmy do samochodu.

Kąciki ust Nialla unoszą się lekko, jakby był świadomy mojej kreatywnej interpretacji prawdy.

– Okej. – Przez długą chwilę milczy ze wzrokiem wbitym w swój notatnik. Opuszcza dłonie i robi głęboki oddech, po czym przynosi spojrzenie na mnie. – Jeśli nie podasz jego nazwiska, najprawdopodobniej zostaniesz uznana winna zarzutu utrudniania śledztwa. Ale możemy złożyć pewną propozycję, żeby się z tego wykręcić. – Jego następne słowa rozpalają ogień w moich trzewiach. – Powinnaś podać jego nazwisko, Lano.

– Dlaczego?

– Żeby się chronić – oświadczam zdecydowanie. – Zwłaszcza, że nie brałaś udziału w napadzie.

Gniew wylewa się z mojego gardła i ust.

– A co z innymi osobami, które znajdowały się ze mną w samochodzie? Mam ot tak zapomnieć, że coś takiego może spieprzyć im życie? I po co? Donieść na kogoś, kto i tak nigdy nie zostanie skazany?

– Czemu tak mówisz? – pyta, ściągając brwi. – Mamy go na nagraniu. Ty jesteś świadkiem. Wszyscy w samochodzie widzieli, jak razem wychodzicie, więc oni także mogą potwierdzić jego tożsamość.

– Nawet jeśli nikt nie zna szczegółów, wiedzą, że coś się wydarzyło. Nie wplączę ich w to wszystko. – Zaciskam dłonie w pięści. – Więc nie, nie podam jego nazwiska.

Niall robi długi wydech.

– Niczego nie ułatwiasz, ani mnie, ani sobie.

– Co pan z tego ma? – pytam ze zniecierpliwieniem. – Ma to jakiś związek z moją matką?

Skąd ją pan zna?

Jego twarz pozostaje pozbawiona wyrazu.

– *Chcę* ci pomóc, Lano. Życie, które przypadło ci w udziale... To nie twoja wina. Nie pasujesz do tego miejsca.

– A co *to* ma znaczyć? – pytam ostro.

Niall kontynuuje, jakby mnie nie słyszał:

– Wykonałem rano kilka telefonów i jeśli sędzia wyrazi zgodę, możesz stąd zostać przeniesiona. – Pełna wyczekiwania nachylam się w jego stronę. – Ale nie wrócisz do domu. – Przechylam głowę, jakbym źle go usłyszała. – Powinnaś otrzymać szansę na lepsze życie, z dala od tego wszystkiego. Szansę, której nie otrzymasz w zakładzie poprawczym.

– O czym pan mówi? – pytam. – Dokąd planuje mnie pan wysłać?

– Nie mam jeszcze dogranych szczegółów, więc na razie wolałbym tego nie mówić.

Mierzę go podejrzliwym wzrokiem z nadzieją, że nie popełniłam błędu, pozwalając, aby mnie reprezentował.

– To twoja jedyna szansa, Lano... jeśli nie chcesz skończyć w więzieniu. – Niall zamyka akta i wkłada je do skórzanej teczki. – W odniesieniu do Allison Pixley, tej dziewczyny w śpiączce, nic nie mów. Jeśli zostaną ci przedstawione zarzuty, to będzie oznaczać, że zdobyto więcej dowodów, i wtedy będziesz *musiała* ze mną porozmawiać. Ale dopiero wtedy.

Przez chwilę chcę skinąć głową, ale ten gest mógłby zostać uznany za przyznanie się do winy.

Niall odsuwa krzesło i wstaje. W milczeniu, o sekundę zbyt długo, wpatruje się w moją twarz. Dostrzegam, że drga mu nerw w zuchwie.

– Obiecuję nadal robić wszystko, co w mojej mocy, aby cię chronić.

Odchodzi, nie powiedziawszy nic więcej, i puka w szybkę w metalowych drzwiach, sygnalizując strażniczce, że skończył.

Rozdział 2

Pod wieżą mieszkał potwór ze srebrnymi oczami i długimi, ostrymi kłami. Jego prawdziwą postać widać było jedynie nocą, ponieważ kiedy pojawiał się w świetle dziennym, otulała go czarodziejska peleryna, dzięki której wyglądał jak mężczyzna. Obludnik przyciągający kobiety słodkimi słówkami i urzekającym wdziękiem.

Drzwi mają być otwarte.

Posyłam wymuszony uśmiech policjantowi stojącemu na straży przed moimi drzwiami, zachowując dla siebie uwagę o tym, co może zrobić z klamką i pewną częścią ciała.

– Jasne.

– Macie piętnaście minut – mówi do Niny i Tori. Brzmi to tak władczo, jakby właśnie wrócił z obozu dla rekrutów.

– Po co ta niańka? – pyta Nina, puszczając do niego oko.

Tori otwarcie go ignoruje, zbyt skupiona na częściowo spakowanych torbach, które stoją na podłodze.

– Czemu się pakujesz?

– Naprawdę będzie pan tak tu stał? – warczę do pana Wciąż-Mieszkam-Z-Matką, teatralnym gestem składając stringi, które wcale nie wymagają składania. Policjant oblewa się rumieńcem. Cofa się kilka kroków, do salonu, tak że go już nie widać.

– Zawarliśmy ugodę i jednym z postanowień jest, że mnie stąd odsyłają – wyjaśniam, nie przestając się pakować. Robię to nie dlatego, że tak mi się śpieszy do wyjazdu, tylko aby nie musieć na nie patrzeć. Nie widziałam się z przyjaciółkami od aresztowania, czyli od ponad trzech tygodni. Przez ten czas nie wolno mi było kontaktować się z nikim oprócz matki i prawników. To była najszybciej przeprowadzona sprawa w sądzie. Zazwyczaj kilka miesięcy trwa to, czego Niallowi udało się dokonać w zaledwie dwa tygodnie. Jestem za to wdzięczna, ale wcale nie mam ochoty się pakować.

– Dokąd jedziesz? – pyta Nina, powoli omiatając wzrokiem panujący w moim pokoju bałagan.

– Do jakiejś prywatnej szkoły. – Zamykam pustą szufladę i otwieram kolejną.

– Przestań. – Tori zabiera mi z rąk stertę ubrań i rzuca je na łóżko. – Co się, do cholery, dzieje? Nie widziałyśmy cię od tamtej nocy, a za każdym razem, kiedy pytałyśmy twoją matkę, odpowiadała, że wszystkim zajmuje się prawnik. Chodziło przecież o narkotyki. Więc co znaczy to wszystko? – Tori omiata ręką pokój. – Coś mi tu śmierdzi.

Robię długi wydech, po czym przenoszę wzrok z podłogi na twarze zaniepokojonych przyjaciółek.

– Zarzuty okazały się... bardziej skomplikowane. Policja próbowała nakłonić mnie do puszczenia farby, ale ja milczałam. Inaczej narobiłby się straszny bajzel. Wy zostałybyście oskarżone o to, że tam byłyście. Nie mogłam do tego dopuścić. – Patrzę to na Tori, to na Ninę. – Przyznałam się do utrudniania śledztwa, pomocy i współudziału. Niall załatwił mi przeniesienie z poprawczaka do prywatnej szkoły. Sędzia oświadczył, że to dla mnie szansa na wyprostowanie swojego życia, z dala od złych wpływów. – Przewracam oczami. – Nie miałam wyboru.

– Na jak długo?

– Gdzie jest ta szkoła?

Dziewczyny zadają te pytania jednocześnie.

– Nie wiem. Nie powiedziano mi gdzie. Za sześć miesięcy mam stawić się w sądzie, więc liczę, że pozwolą mi wrócić na Boże Narodzenie.

– Ja pierdołę – rzuca Tori przez zaciśnięte zęby i pada na łóżko. – Nie mogę uwierzyć, że kryłaś tego dupka. To on powinien zostać odesłany, nie ty.

– Gdybyś nam pozwoliła, zdradziłybyśmy jego tożsamość. – Nina na chwilę przerywa przeglądanie zawartości mojej szafy i patrzy mi w oczy. Po chwili odwraca wzrok i wybiera kurtkę z różowego futerka, którą przymierza przed lustrem wiszącym na drzwiach. Wiem, że to jej sposób na radzenie sobie z gniewem. Nina zapomina, że ją znam i doskonale widzę, że jest równie wkurzona, jak ja. Okazywanie uczuć nie jest jej mocną stroną. Żałuję, że nie jest tak też ze mną.

– Wiem. To była jedyna opcja. – Tamtej nocy, kiedy mnie aresztowano, pogodziłam się z przeznaczeniem, przekonana, że warto chronić przyjaciół. Ale w życiu bym się nie spodziewałam, że zostanę odesłana do nowej szkoły. Coś takiego wydaje się znacznie bardziej permanentne niż udział w zajęciach z panowania nad gniewem czy jakiegoś innego państwowego programu. – Kiedy tylko tam dotrę, dam wam znać, gdzie jestem. – Zrezygnowana wracam do pakowania.

Niall nieźle mnie urządził. Wiedziałałam, że będzie się ubiegał o przeniesienie mnie z poprawczaka, ale nie wspomniał o tym, że to będzie prywatna szkoła! Jest znacznie gorzej, niż mogłam się spodziewać. I niby coś takiego ma być dla mnie najlepsze? Przerobiłam już gniew i frustrację, wrzeszcząc dziś rano na Nialla na korytarzu w sądzie. Czułam się zdradzona. Naprawdę sądziłam, że chce mi pomóc. Teraz jestem zbyt zmęczona i przybita, a gniew ledwie się we mnie tli. Jedyne, co mogę zrobić, to się spakować, w przeciwnym razie zajmie się tym funkcjonariusz Kretyn. A ostatnie, czego chcę, to żeby wrzucił do torby same T-shirty i dresy, a stringi schował do własnej kieszeni.

– Twoja mama na pewno będzie wiedziała, dokąd cię wysłano – mówi Tori, obserwując, jak pakuję praktycznie swój cały dobytek. – Dowiemy się tego od niej.

Wzruszam ramionami.

– Pewnie tak.

Tori podnosi się z łóżka i staje mi na drodze do szafy, gdzie Nina zapina bluzkę, którą ukradła dla mnie na zeszłe urodziny.

– Czemu się tak zachowujesz? Jakbyś miała to gdzieś? – pyta ostro. Spośród naszej trójki tylko ona nie ma problemu z uzewnętrznianiem wściekłości.

– Żeby się nie rozbeczeć. – Przygryzam drżącą wargę. Drzemie we mnie ból, który za nic nie chce odpuścić. Powoli podnoszę wzrok i patrzę przyjaciółce w oczy. – Boję się, że już stamtąd nie wrócę. Nie wiem czemu. Boję się i już. – Przez kilka ostatnich tygodni doświadczyłam tak wielu emocji, że teraz czuję, jak walczą we mnie o ujście. I nie potrafię powstrzymać łzy, która spływa mi po policzku.

Tori robi krok w przód i bierze mnie w ramiona.

– Nikt nam cię nie odbierze. Nieważne, dokąd cię wyślą. Rozumiesz? Jesteś naszą dziewczyną. Znajdziemy cię. Ba, wykradniemy cię, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Z mojego gardła wydobywa się zduszony śmiech. Przytulam się mocno do Tori, wiedząc, że tak właśnie by zrobiły.

– Dość tych bzdur w stylu „Już was nigdy nie zobaczę” – oświadcza Nina, biorąc się pod boki. – Jasne?

Kiwam głową. Wycieram policzki i zmuszam się do uśmiechu, chociaż chodzi o coś więcej niż tęsknotę za przyjaciółkami. Nawet nie chcę myśleć o tym, co może się wydarzyć

podczas mojej nieobecności. Jak mam dotrzymać obietnicy, że dopilnuję, aby Tori ukończyła szkołę? I kto będzie wspierał Ninę, kiedy górę nad nią weźmie jej potrzeba szacunku? No i jeszcze moja mama...

– Mogę to sobie wziąć? – pyta Nina, obracając się w żółtej sukience odcinanej pod biustem, która ma jeszcze metkę.

– Jasne – odpowiadam głosem zduszonym emocjami. – Żółty to nie mój kolor.

Chwytam Tori za ramiona, żeby zobaczyła, jak bardzo jestem poważna.

– Obiecuj mi, że skończysz szkołę. – Przewraca oczami. – Obiecuj.

– Jak sobie chcesz.

Jej odpowiedź nie okazuje się przekonująca, więc dodaję:

– Nigdy ci nie wybaczę, jeśli tego nie zrobisz.

– Ukończę szkołę – wzdycha ciężko. – Ale ty tu przecież będziesz. Więc przestań. Okej?

– Kiwam lekko głową. – Podczas twojej nieobecności każę Lincolnowi odrabiać moje prace domowe.

Uśmiecham się. Już to widzę: Tori maluje paznokcie, a Lincoln próbuje jej cierpliwie tłumaczyć twierdzenie Pitagorasa. Powodzenia, Lincoln.

– A ty – mówię do Niny, która zakłada właśnie swoją bluzkę. – Gódź się tylko na to, na co zasługujesz. Mam na myśli zarówno facetów, jak i życie ogólnie. Proszę cię, wyjedź z tego miasta, które wysysa z człowieka duszę.

Z szelmowskim błyskiem w oku Nina obiecuje:

– Nigdzie się nie wybieramy bez ciebie.

– Przestań się o nas martwić – dodaje lekceważąco Tori. – Damy sobie radę. Rób to, co musisz, żeby do nas wrócić.

Kiedy zapinam ostatnią torbę, rozlega się pukanie. W drzwiach staje Niall w ciemnym garniturze. Jego obecność sprawia, że wszystkie trzy nieruchomiejemy.

– Dziewczęta. – Niall wita grzecznie Ninę i Tori skinieniem głowy, po czym kieruje swoją uwagę na mnie. – Jesteś gotowa, Lano?

Wzruszam ramionami.

– W takim razie pożegnaj się. Musimy się zbierać. – Cofa się, dając nam odrobinę prywatności.

– Ja pierdolę, oni wszyscy są perfekcyjni – wyrzuca z siebie Nina. – Nadal nie mogę uwierzyć, że jest twoim prawnikiem.

– Ja też nie – odpowiadam z rozgoryczeniem.

– Napisz od razu, jak dotrzesz na miejsce – nakazuje mi Tori, po czym po raz kolejny mocno mnie przytula.

Kiedy się odsuwa, patrzę na obie przyjaciółki.

– Możecie zaglądać czasem do mojej mamy? – pytam.

Tori unika mojego spojrzenia, ale Nina kiwa głową.

– Oczywiście.

– Dzięki.

Nie patrzę, jak wychodzą. Nie mogę. Zamiast tego raz jeszcze sprawdzam szuflady. Te dziewczyny to moje jedyne przyjaciółki i zawsze mogłam na nie liczyć, zwłaszcza wtedy, kiedy robiło się nieciekawie. Nie potrafię odsunąć od siebie dręczącego mnie przekonania, że więcej ich nie zobaczę. I nie chcę, aby ostatnim, co zobaczą przed wyjściem, był mój strach.

Kiedy taszczę torby do salonu, przekonuję się ze zdziwieniem, że policjant w międzyczasie zniknął. Zamiast niego przy drzwiach stoi wysoki, wyglądający na wojskowego mężczyzna w ciemnym garniturze i białej koszuli.

– Jax zanieś swoje torby do samochodu – wyjaśnia Niall.

Niechętnie odsuwam się, żeby dać mężczyźnie dostęp do moich rzeczy. Bez żadnego problemu przetrzuca sobie przez ramiona cztery torby i plecak, po czym znika za drzwiami.

Z sofy wstaje moja matka. Na jej twarzy widnieje zbyt szeroki uśmiech, mający odwrócić moją uwagę od błyszczących w jej oczach łez. Wyciąga ręce, a ja mocno się do niej przytulam. W naszej rodzinie rzadko okazuje się uczucia, więc delectuję się tą chwilą, wdychając jaśminowy zapach jej włosów.

Odsuwam się i patrzę na nią błagalnie.

– Proszę cię, idź w przyszłym tygodniu do lekarza. – Wyciera mi łzy z policzków. Kilka tygodni temu przełożyła wizytę, usprawiedliwiając się pracą albo koniecznością stawienia się w sądzie. – Proszę, powiedz, że pójdziesz.

– Pójde – mówi cicho. Nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy, po czym mama zaczyna się bawić moimi włosami. Kłamię.

Otwieram usta, żeby jej powiedzieć... tak wiele. Żeby chroniła siebie. Nie pozwoliła, aby ktoś złamał jej serce. Zapłacała w przyszłym tygodniu rachunek za gaz. Że wrócę najszybciej, jak się da. Ale nie wypowiadam na głos żadnej z tysięcy myśli, które galopują w mojej głowie. Zamiast tego patrzę w jej przejrzyste, niebieskie oczy i uśmiecham się, starając się zapewnić ją w ten milczący sposób, że damy sobie radę i że ma się nie martwić. Bo kłamstwa nie przechodzą mi przecież przez usta.

Odwracam się w stronę Nialla, który stoi przy drzwiach. Uśmiecha się łagodnie do mojej matki.

– Zajmę się nią.

– Dziękuję ci. – Jej głos jest nabrzmiął emocjami.

Schodzę po schodach, a Niall za mną. Nie oglądam się. Nie mogę. Jej bezbronna i udręczona twarz nie jest tym, co chcę zapamiętać. Muszę wierzyć, że da sobie radę. Że rzeczywiście wybierze się do lekarza, który dobrze ją zdiagnozuje i uleczy. Że stanie się silną, niezależną kobietą, uważającą, że do szczęścia nie potrzebuje mężczyzny. Że prawdziwa miłość to złudzenie i że lepiej, aby otaczali ją lojalni przyjaciele, a ona zakończyła poszukiwania *tego jedyne*. Wiem, że żadne z tych życzeń się nie spełni, ale chcę się trzymać tej delikatnej łądy nadziei.

Wychodzę na słoneczny, czerwcowy dzień i robię głęboki wydech, uwalniając emocje, które buzowały we mnie przez cały dzień. W tym momencie dostrzegam błyszczący, czarny samochód zaparkowany na naszym nierównym podjeździe. Sądziłam, że do szkoły zostanie przetransportowana radiowozem, więc nie spodziewałam się jaguara Nialla Harrisona i Pana Eleganta, stojącego obok auta i przytrzymującego tylne drzwi. Przez chwilę się waham, po raz ostatni omiatając wzrokiem okolicę, w której rządzi chaos. Następnie pochylam się i wsiadam do samochodu. Od drugiej strony wsiada Niall. Na obitej kosztowną skórą kanapie jest mnóstwo miejsca, więc nie czuję się niezręcznie.

– Jak długo będziemy jechać? – pytam.

– Jakies cztery godziny. – Wyjmuje z teczki dokumenty.

– Ma pan mój telefon? Powiedziano mi, że przekazano panu dzisiaj w sądzie torbę z moimi rzeczami.

– Mam, ale nie przy sobie. Przywiozę ci go w niedzielę.

Co oznacza, że przez cały weekend będę bez telefonu. Zirytowana krzyżuję ręce na piersi.

– Kiedy mogę wrócić?

– Postaram się załatwić odwiedzinę na Święto Dziękczynienia. – Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale on nie daje mi dojść do słowa. – Nadal jesteś osobą w pewien sposób

zamieszaną w sprawę Pixley. Lepiej, żeby podczas dochodzenia nie było cię w Sherling. Nie chcemy zwracać na ciebie dalszej uwagi. Przy odrobinie szczęścia policja przyjrzy się dowodom i przestanie się opierać na jakimś anonimowym telefonie.

Zamiast narzekać na odesłanie do prywatnej szkoły zaciskam usta w milczącym geście sprzeciwu. Odwracam głowę i patrzę przez szybę na miasto, w którym się wychowałam, jedyne miejsce mojego pobytu przez blisko szesnaście lat. Nie będzie mi go brakowało. Ale nie chcę być zmuszana do wyjazdu. Kiedy mijamy granicę miasta, odczuwam zmianę, jakbyśmy przejechali przez jakąś niewidzialną barierę. A potem wszystko znika. Moje życie. Przyjaciele. Rodzina. Wszystko, co było moje, już takie nie jest.

Zostałam sama.

Opieram głowę o chłodną szybę i zamykam oczy. Otwieram je dopiero, kiedy słyszę głos Nialla.

– Lano, jesteśmy na miejscu.

Budzę się i mrugam powiekami. Boli mnie szyja od trzymania jej pod niewygodnym kątem podczas jazdy. Drzwi się otwierają i widzę wojskowego, patrzącego na mnie wyczekująco. Odpinam pasy i wysiadam z samochodu. Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję, ale z całą pewnością nie jestem przygotowana na *to*.

Rozdział 3

Thaylina nie była taka, jak większość dziewczynek. Miała dar. Bywało, że uznawała go za przekleństwo. Potrafiła dojrzeć, co się kryje w każdej napotykannej osobie – miała wgląd w jej duszę, odgadywała jej najgłębiej skrywane pragnienia i prawdziwe zamiary. Jedyne, co musiała zrobić, to spojrzeć tej osobie w oczy.

Pierwsze, na co zwracam uwagę to cisza. Jedynymi słyszonymi dźwiękami są chrzęst moich stóp na żwirowym podejździe i ćwierkanie ptaków na drzewach. W tej ciszy czuję się niekomfortowo, jakbym czekała, aż coś się wydarzy. Coś nieoczekiwanego, co nigdy nie okazuje się pozytywne.

Następnie dostrzegam, że znajduję się w samym środku pustkowi. Za mną ciągnie się długi podjazd prowadzący do automatycznej, żeliwnej bramy, zbyt wysokiej, żeby się na nią wspiąć, i do budki strażniczej. Przed sobą mam duży kampus z trawnikiem tak rozległym, że nie widzę jego końca. Kampus z obu stron otacza ogrodzenie z kutego żelaza, strzegące przed tym, co się kryje w gęstym lesie. Ja widzę jedynie niekończące się rzędy drzew, które na końcu spowijają czerń.

W końcu skupiam się na tym, czego nie mogę dłużej unikać. Unoszę głowę i przyglądam się kilku piętróm kamiennych murów zwieńczonych stromym dachem, kierującym się dramatycznie ku niebu. Budynek jest wielki i imponujący, ale jednocześnie sprawia wrażenie zimnego i przytłaczającego. W wysokich, prostokątnych szybach na niższych piętrach odbijają się trawa i drzewa, zaś na wyższych chmury i niebo. To, co kryje się za nimi, pozostaje zasłonięte. Mrużę oczy i próbuję skupić się na czymś, co wygląda jak człowiek stojący za oknem na górze. Ale po chwili ta osoba znika. Albo w ogóle jej tam nie było.

Moją uwagę przyciągają otwierające się duże, misternie zdobione drewniane drzwi. W łukowatym przejściu ukazuje się kobieta w garsonce z białego tweedu, pod którą ma czarną, jedwabną bluzkę z kokardą pod szyją. Ten strój w stylu vintage przypomina mi garnitury Nialla.

– Witamy w Blackwood – oświadcza kobieta z oślepiająco białym uśmiechem.

– Lano? – pyta Niall, czekając, aż do niego dołączę.

– Dopilnuję, aby bagaż został dostarczony do twojego pokoju – mówi mi Jax, kiwając głową.

Robię wydech i zmuszam nogi, aby się ruszyły.

– Dzień dobry, doktor Kendall – mówi Niall, kiedy dochodzimy do filigranowej kobiety z neonowym uśmiechem. Wyciąga w jej stronę rękę, którą ona ujmuje w obie dłonie.

Przyglądam się doktor Kendall z fascynacją i wstrętem. Nie ma ani jednej zmarszczki na ubraniu... ani twarzy. Każdy ogniście rudy włos pozostaje na swoim miejscu. A uśmiech – ten sfabrykowany uśmiech, który nie znika z jej twarzy – nie sięga jej oczu. I tyle mi wystarczy.

Ta kobieta jest kłamczuchą.

– Panie Harrison, pańskie odwiedziny zawsze są prawdziwą przyjemnością. – Trzepocze sztucznymi rzęsami, a uśmiech pozostaje przyklejony do jej twarzy. Odruchowo robię krok w tył, kiedy przenosi uwagę na mnie. – Lano, to wspaniale, że dołączasz do nas, do Blackwood. Wiem, że pobyt tutaj naprawdę cię przeobrazi.

– Wątpię – burczę. Jeszcze nie weszłam do budynku, a już mam ochotę wrócić do samochodu i stąd odjechać.

Nawet jeśli mnie usłyszała, nie daje tego po sobie poznać.

– No to chodźmy. Obecnie mamy tu tylko kilkoro uczniów. Pozostali przyjadą w niedzielę na semestr letni, więc przez weekend będzie raczej spokojnie.

Wchodzimy za nią i widok wielkich, kamiennych schodów oplatających hol przywodzi na myśl Hogwart. Pośrodku znajduje się wymyślny, trzypoziomowy żyrandol, który wygląda, jakby unosił się w powietrzu. Ściany ozdobiono obrazami i arrasami w stylu renesansowym. Mam wrażenie, jakbym znalazła się w średniowiecznym zamku, a nie prywatnej szkole.

Przez podwójne drzwi na lewo od holu wchodzimy do sekretariatu. Duży, drewniany kontuar oddziela poczekalnię od trzech pustych biurków po drugiej stronie – każde z nich ustawiono przed ciemnymi, drewnianymi drzwiami. Panuje tu niepokojący porządek, a każda kartka i każdy długopis leżą na swoim miejscu. Tłumię w sobie pokusę wydania jakiegoś okrzyku, który udowodniłby mi, że nie trafiłam do jakiegoś wynaturzonego koszmaru.

– Zazwyczaj za spotkanie wprowadzające odpowiada doradca życiowy, ale on się zjawi dopiero w poniedziałek. Dlatego zdecydowałam, że powitam cię osobiście. To dla ciebie duże wyzwanie, Lano, i chcę cię zapewnić, że wszyscy pragniemy, abyś sobie poradziła. Prawda, panie Harrison?

Wyraźnie zaskoczony, Niall odkaśluje.

– Tak. Naturalnie.

Strażniczka, dziekan, dyrektorka czy też jaką, u licha, pełni funkcję ta kobieta, zatrzymuje się przed drzwiami, które mieszczą się najbliżej okien.

– Nie będę pana zatrzymywać, panie Harrison. Z pewnością ma pan inne pilne sprawy do załatwienia. Lana i ja damy sobie świetnie radę.

Niall się waha i patrzy na mnie. Odwracam wzrok, nadal nie potrafiąc spojrzeć w te jego zdradzieckie oczy.

– Lano?

– W porządku. Proszę jechać – burczę.

Chociaż na niego nie patrzę, wyczuwam jego niechęć do wyjazdu.

– W porządku. Zjrzę do ciebie w niedzielę. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Chcę mu powiedzieć, żeby dał sobie spokój. Że niczego od niego nie chcę ani nie potrzebuję. Ale jest jedynym, co mnie łączy ze światem zewnętrznym. Z moją matką. Ze sprawą Allie.

Niall nie zadawał mi więcej pytań odnośnie do tamtej nocy, ale regularnie informował mnie o postępach w śledztwie i o stanie Allie. Trzy dni temu nadal była w śpiączce. Nie spodziewam się, aby policja doszła do tego, kto ją zepchnął ze schodów. Nie ujawnię prawdy, jeśli nie dostanę wsparcia w postaci zeznań Allie. Nie mogę, dopóki przeciwko słowu Vica będzie tylko moje słowo.

Oglądam się w chwili, kiedy Niall znika za drzwiami, i pada na mnie blady strach. Mam ochotę zawołać: „Zabierz mnie ze sobą!”, ale zduszam w sobie panikę.

Wchodzę za Strażniczką do jej gabinetu – bo od tej chwili to jest moje więzienie.

Kiedy zamyka za mną drzwi, robią one charakterystyczne „klik”. Pokazuje na białe, wyściełane czarnym pluszem krzesła w stylu wiktoriańskim, które stoją przed jej białym, misternie rzeźbionym drewnianym biurkiem.

– Siądź, proszę, Lano.

Sama zajmuje czarny fotel po drugiej stronie blatu. Bardziej przypomina tron niż mebel biurowy.

W gabinecie panuje równie nieskazitelny porządek, co we wcześniejszym pomieszczeniu. Wszystkie przedmioty, od abstrakcyjnego obrazu do białej biblioteczki i czarnych szafek na

dokumenty, są w kolorze białym albo czarnym. Wszystko wygląda tak, jakby nikt nigdy tych rzeczy nie używał. Nawet dywan ma przyprawiający o zawrót głowy wzór w czarno-białe lilie. Jediną plamą koloru są tutaj jej intensywnie rude loki, które zebrała na czubku głowy niczym koronę. W tym otoczeniu czuję się sprana, jakby wyparowały ze mnie wszystkie barwy.

– To nie potrwa długo. Twój doradca życiowy szczegółowo przedstawi to, czego się od ciebie oczekuje, ale ja chciałabym omówić najważniejsze punkty.

– Ehm, a kto to taki ten doradca życiowy? – pytam, bo usłyszałam to określenie z jej ust już po raz drugi.

– Każdy uczeń jest przypisany do osoby, która mu asystuje. Życiowy doradca pomoże ci w dokonywaniu najlepszych wyborów podczas twojego pobytu tutaj. Co ważniejsze, nauczy cię pewności siebie i umiejętności koniecznych, żeby podejmować dobre decyzje jeszcze długo po skończeniu naszej szkoły. Chcemy, abyś odniosła sukces. Kwitła. Była najlepszą wersją siebie. I naszą rolą jest umożliwienie ci tego wszystkiego. Szczycimy się edukowaniem i przekształcaniem młodych ludzi w odpowiedzialnych i zaangażowanych członków społeczeństwa.

Chce mi się puścić pawia, bo to wszystko stek bzdur. Każde słowo. Ta kobieta przejmuje się jedynie tym, aby na czas wstrzyknąć sobie kolejną dawkę botoksu. Jestem przekonana, że ma gdzieś to, co się ze mną stanie, zarówno tutaj, jak i długo po moim odejściu.

W tym momencie się wyłączam. Wszystko, co wypływa z jej uśmiechniętych ust to pusta retoryka. Z udręką przyglądam się jej poruszającym się wargom, a od samego patrzenia na nią bolą mnie policzki. Na jej twarzy nie porusza się nic oprócz ust. Może ten uśmiech to skutek uboczny liftingu twarzy. Jest dziwny i wygląda jak u bohaterki Disneya na cracku. Przesadnie słodki i niewiarygodnie sztuczny. Zapewniam, że w tej kobiecie nie ma nic, ale to nic autentycznego. Ani jej osobowość, ani lśniące, białe zęby, ani sterczące piersi, ani ogniście rude włosy nie są prawdziwe.

Żółć podchodzi mi coraz wyżej do gardła, kiedy tam siedzę i się przyglądam, jak jej błyszczące, różowe usta otwierają się i zamykają. Z każdym wypowiedzianym słowem ujawnia się nieszczerłość, jak podczas obierania i krojenia jabłka, które ma zgniły środek. To tylko fasada.

– Ponieważ nie chcemy, aby naszych uczniów rozpraszało to, co dzieje się za murami szkoły, nie pozwalamy, żebyście mieli telefony komórkowe czy laptopy. Można korzystać z komputerów w bibliotece i świetlicy, ale pozbawione są one dostępu do mediów społecznościowych czy prywatnych kont pocztowych. Chcemy, abyście w pełni skoncentrowali się na nauce i interakcjach z pozostałymi uczniami. Wiem, że to spora zmiana, ale nie minie dużo czasu, a w ogóle nie będzie ci brakowało tych rozpraszaczy. – Wypowiada te słowa bez żadnej pauzy, jakby była przygotowana na niepożądaną reakcję. Jestem pewna, że większość uczniów tak się zachowuje, kiedy się dowiaduje, że zostanie odłączona od reszty świata. Ale ja w poprawczaku także nie miałabym dostępu do telefonu ani komputera. Dla mnie to nie jest aż tak wielka zmiana. Wkurza mnie jedynie, że nie mogę się skontaktować z Tori i Niną, aby dać im znać, gdzie trafiłam.

Doktor Kendall kładzie na biurku nieduży, czarny telefon.

– Zapewniamy własne usługi telefoniczne, żebyśmy mogli się z wami komunikować i wspierać wasze pozytywne wybory. Z tych telefonów można się połączyć z sekretariatem, ochroną i zatwierdzonymi kontaktami. Okresowo będziemy to sprawdzać. To część naszego wyjątkowego protokołu bezpieczeństwa. Chcemy zapewnić wam bezpieczeństwo i będziemy dbać o to, aby wasze wybory nie stały z tym w sprzeczności.

Co takiego? Niemal wypowiedziałam to na głos, ale w porę gryzę się w język. Czemu martwią się o moje bezpieczeństwo? Znajdujemy się w samym środku cholernego lasu! Dlaczego

muszą śledzić mój każdy ruch? W jakiego rodzaju kłopoty mogłabym się wpakować? Komu *potrzebny* aż taki nadzór?

– Czy z tych telefonów można dzwonić?

– Tak. Ale są monitorowane i można jedynie kontaktować się z zatwierdzonymi osobami.

– Przesuwa myszką i kilka razy klika. – Wolno ci dzwonić do Faye Peri i Nialla Harrisona.

– A co z przyjaciółkami? – Wątpię, aby znajdowały się na liście, ale muszę zapytać.

– Na razie nie są zatwierdzone. Ale za jakiś czas mogą zostać dodane, kiedy wszyscy uznamy, że nie przeszkodzą ci w odniesieniu sukcesu.

Sukcesu? Czego konkretnie się spodziewają? To mi wygląda na zakład przeprogramowujący, w którym karmi się wszystkich gównem i przekonuje, że to cukierki. Jak konkretnie zamierzają wyzwolić w nas *najlepsze wersje nas samych*? W sumie to boję się dowiedzieć. Zwłaszcza, kiedy ta baba tak nawija o tym, jak bardzo to doświadczenie mnie przemieni. To miejsce zaczyna mnie przerażać.

Królowa Strażniczka coś tam dalej mówi, ale ja skupiam się na próbach uspokojenia buzującego we mnie kataklizmu emocji. Kiedy w końcu wstaje, wręczając mi telefon, nie potrafię na nią spojrzeć. Zbyt jestem zajęta powtarzaniem w myślach: „to tylko sześć miesięcy”. Okazuje się to bolesne, jak terapia elektrowstrząsami, ale nie będzie trwać wiecznie. Dam radę. Zresztą, jaki mam wybór? Ta ostatnia myśl od nowa mnie wkurza.

Pukanie do drzwi sprawia, że się odwracam.

– Doskonałe zgranie w czasie. – Moja rozmówczyni podchodzi do drzwi. – Sophio, dziękuję ci za punktualność.

– Oczywiście – rozlega się miły głos.

– Wejdz, proszę. – Królowa Strażniczka odsuwa się i moim oczom ukazuje się dziewczyna z czarnymi, długimi do ramion włosami podtrzymywanymi kwiciastą opaską. Ma duże, okrągłe szare oczy wyróżniające się na tle jasnobrązowej cery. Choć jest ładnych kilka centymetrów wyższa ode mnie, wydaje się bardziej delikatna, jak lalka, w niebieskiej spódniczce w kratkę, białej bluzce z krótkim rękawem i sandałach.

– Lano, to jest Sophia – oświadcza Strażniczka. – Poprosiłam ją, aby oprowadziła cię po kampusie i towarzyszyła ci podczas kolacji.

Sophia uśmiecha się tak szeroko, że widzę jej *wszystkie* zęby.

– Cześć.

Kiwam głową bez słowa.

– Dziewczęta, w takim razie życzę wam miłego popołudnia i wieczoru.

Mijam Sophię, w ogóle na nią nie patrząc.

– Zaczekaj! – woła, wchodząc za mną do holu.

Chodzę tam i z powrotem przed głównymi drzwiami, próbując ogarnąć, na jaką porąbaną szkołę zostałam skazana.

– Nie tego się spodziewałaś, co? – pyta spokojnie Sophia. W jej głosie słychać nutkę zrozumienia. – Wszyscy tak mają, kiedy tutaj trafiają.

Zatrzymuję się i patrzę na nią.

– Gdzie jest *tutaj*? Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję.

Na jej twarzy odmalowuje się konsternacja.

– Nie powiedziano ci?

Kręcę głową.

– Przed przyjazdem tutaj nie znałam nawet nazwy tej szkoły. Wiem, że nie jestem w Massachusetts. Ale gdzie? Nowy Jork? Connecticut?

– Vermont – odpowiada. – W mieście Kingston. To nie jest duża miejscowość. Więcej tu

pewnie uczniów dwóch prywatnych szkół i narciarzy w miesiącach zimowych niż stałych mieszkańców. Ale my raczej się stąd nie oddalamy. – Pokazuje na kolejne drzwi po przeciwnej stronie holu. – Chcesz się przejść?

Wzruszam obojętnie ramionami.

Kiedy jesteśmy już po drugiej stronie drzwi, od razu czuję jakiś przytłaczająco słodki zapach. Na niedużym prostokącie trawy krzewy wisterii uformowały coś w rodzaju tunelu.

– To dziedziniec. Łączy ze sobą wszystkie budynki.

Wzdłuż całego budynku ciągnie się szmaragdowozielony trawnik kończący się wysokim na piętro żywopłotem. Jeśli nie chcemy cofnąć się do budynku, musimy przejść przez kwiatowy tunel.

Ponad żywopłotem i wisterią zerkam na otaczające nas budynki. Ten dokładnie na wprost znajduje się tak daleko, że ledwo go widzę. Pozostałe tworzą wokół dziedzińca idealny okrąg.

– Przed nami są akademiki. Stąd trudno je zobaczyć. Pokażę ci, kiedy będziemy bliżej. – Przechodzimy przez ukwiecony tunel. Nad głowami bzyczą nam pszczoły. – Kiedy się tu wejdzie, można się trochę pogubić, bo wszystkie budynki są identyczne, ale każdy z nich ma inne wejście na dziedziniec. Dam ci mapę budynków. Dokładnej mapy dziedzińca nie ma, bo przez cały czas trochę się zmienia.

Już-już mam ją zapytać, co ma przez to na myśli, ale w tym momencie wychodzimy z tunelu i wkraczamy do niedużego zagajnika brzozowego. Dziwne to wszystko.

– Czy to coś w rodzaju labiryntu?

– Nazywają to „misterną architekturą krajobrazu”, ale generalnie tak, to jest...

– Popierdolone.

Odwracam się na pięcie i na białej huśtawce między białymi pniami dostrzegam dziewczynę. To taki typ huśtawki, który bardziej pasuje do werandy w uroczym miasteczku niż do zagajnika z brzoźami.

– Ashton! – beszta ją Sophia.

– Ups. Przestraszyłam was? – pyta Ashton z uśmiechem godnym kota z Cheshire. Z jej pełnych ust sączy się chmura dymu. Zaciąga się raz jeszcze elektronicznym papierosem. W skórzanych spodniach i odblaskoworóżowym topie bez ramiączek wygląda, jakby zeszała ze stron magazynu poświęconego muzyce rock. Trochę to jednak dziwne, że ma bose stopy. – Jestem Ashton. – Ponownie się uśmiecha i przenosi spojrzenie na mnie. – Czy Sophia dobrze odgrywa rolę przewodnika?

– Dopiero zaczęłyśmy – odpowiadam.

– Och, to dobrze. – Zeskakuje z huśtawki i rusza między drzewami w naszą stronę. – Jest jeszcze czas.

– Na co? – pytam. W końcu mogę się porządnie przyjrzeć tej dziwnej dziewczynie. W odpowiedzi wbija we mnie spojrzenie szafirowych oczu. Na ramiona opadają jej gęste, kasztanowe fale. Jest piękna i z tymi swoimi długimi, obleczonymi w skórę nogami spokojnie mogłaby być modelką. Choć jest boso, przy mnie to praktycznie Amazonka.

– Będę tłumaczem – proponuje Ashton.

– Znam angielski – odpowiadam ze śmiechem. Ta dziewczyna musi być na niezłym haju.

– Nie *twoim*. – Ashton spogląda na Sophię. – Twoim, bo ktoś musi jej powiedzieć, jak naprawdę tu jest. Bez tej propagandy kłamstw, której administracja każe ci się uczyć na pamięć.

Sophia otwiera usta, żeby zaprotestować.

– Nie nadymaj się tak – dodaje Ashton bez przekonania. – To nie twoja wina, że starsz się pokrywać wszystko warstwą pozytywnych bredni. Za tę złudną perfekcję winię twoich rodziców. A jako że moi rodzice są narcystycznymi dupkami, którzy wszystko mają w dupie,

jestem... sobą. Kompletnym przeciwieństwem ciebie. I dlatego będę tłumaczem. – Ashton patrzy na mnie. – Gotowa?

– Tłumacz. – Jej słowa brzmiały zagadkowo. Powinno być ciekawie.

Sophia burczy coś z irytacją, ale nie protestuje, kiedy Ashton się do nas przyłącza. Zaczynamy iść.

– No więc o co chodzi z tym miejscem? – pytam. Liczę, że jedna z nich wyjawi coś, co pomoże mi zrozumieć, dlaczego się tutaj znalazłam. Coś mi mówi, że będzie to Ashton. Sophia wydaje się zbyt spięta i coś może w niej pęknąć, kiedy zostanie zmuszona do porzucenia wyćwiczonego scenariusza.

– Z dziedzicem czy szkołą? – chce wiedzieć Ashton.

– Jednym i drugim.

– Co już wiesz? – Odwraca się przed nami i muska dłońmi gałęzie nachylającej się nad ścieżką wierzby.

– Tylko to, co mi powiedziano zaraz po przyjeździe. Żadnych telefonów. Żadnych komputerów. Że robią wrywkowe kontrole. Wszystko po to, aby zapewnić nam *bezpieczeństwo* i żebyśmy zostali *najlepszą wersją nas samych*. Cokolwiek ma to znaczyć.

Ashton chichocze.

– Och, w pakiecie powitalnym otrzymałaś doktor Kendall. Pięknie.

– To nie jest zły przekaz – odzywa się Sophia, próbując bronić... szkołę? Doktor Kendall? Poważnie? Jeśli ta dziewczyna stanowi przykład „transformacji”, to mam przekichane. – Ta szkoła to elitarna instytucja pomagająca nam dotrzeć do naszego potencjału. Dzięki wykształceniu zdobytemu w Blackwood uczniowie stają się jedynymi z najbardziej pożądanymi kandydatów na studia – wyjaśnia Sophia takim tonem, jakby czytała z telepromptera pozostającego poza zasięgiem mojego wzroku.

– Tłumaczenie – wtrąca Ashton, nim jej koleżanka zdąży dodać coś jeszcze. – Jesteśmy tu dlatego, że nasi rodzice nie podolali swojej roli i ktoś musiał wkroczyć i przejąć kontrolę. Wszyscy trafiliśmy do Blackwood dlatego, że nie chciał nas nikt inny. – Sophia otwiera usta, żeby zaprotestować, ale Ashton powstrzymuje ją słowami: – Nawet *twoi* rodzice nie poradzili sobie z presją. – Odnosi to pożądaną skuteczną. A Ashton zwraca się do mnie: – Prywatność jest tutaj kwestią priorytetową. Nikt nie zapyta o to, kim są twoi rodzice albo dlaczego się tu znalazłaś. A przynajmniej większość tego nie robi. Możesz nam powiedzieć, jeśli chcesz. Ale zrozumiemy, jeśli tego nie zrobisz. Bez względu na to, czego się dopuściłaś, nie ma to znaczenia. Nie dla nas.

Choć doceniam jej szczerość, słowa Ashton nadal nie mają dla mnie sensu. To oczywiste, że Blackwood nie jest typową szkołą z internatem. W sumie to chyba nigdy tak nie uważałam.

– Okej – mówię w zamyśleniu, starając się powściągnąć wścibstwo. – Wyjaśnij więc o co chodzi z dziedzicem. Jak oni, u licha, sobie wyobrażają, że ludzie się tu nie pogubią?

Ja już zdążyłam się zgubić. Przeszliśmy przez trzy różne ogrody. W jednym znajdowała się fontanna z syreną, z której ust tryska woda. W drugim na łące pełnej stokrotek stała biała drewniana altana. A w trzecim wisiały hamaki. Mam wrażenie, że znalazłam się w Krainie Czarów. I wygląda na to, że towarzyszą mi główni bohaterowie. Tylko czekam, aż zjawi się Szalony Kapelusznik, ale podejrzewam, że w tym miejscu aż się roi od wariatów.

– Patrz w stronę budynku, do którego chcesz się dostać, kiedy idziesz prowadzącą do niego ścieżką, i nie spuszczań go z oczu – instruuje Sophia. – A gdybyś się odwróciła, szukaj niedużych znaków umieszczonych wzdłuż ścieżek.

– Ci idioci, którzy to zaprojektowali, nie zrobili ścieżki biegnącej wzdłuż obrzeża, która połączyłaby wszystkie budynki. A przynajmniej nie od strony dziedzińca. Ale obejście terenu od

zewnątrz trwa całe wieki. Jest tak, jakby *chcieli*, żebyśmy się gubili. Chorzy porąbańcy.

– Dopóki się nie przyzwyczaisz, nie powinnaś chodzić tutaj zupełnie sama – radzi Sophia.

– I nigdy nie chodź sama po zmierzchu – dodaje teatralnym głosem Ashton, unosząc brwi.

– Dlaczego? – Wszyscy mocno przesadzają, jeśli chodzi o te bzdury z zapewnieniem bezpieczeństwa. Znajdujemy się w ogrodzie, a nie w Detroit.

– Po prostu łatwo jest się wtedy zgubić. – Sophia zbywa słowa Ashton grzecznym uśmiechem.

Ashton kontynuuje, jakby jej koleżanka w ogóle się nie odezwała:

– Różne rzeczy dzieją się po ciemku. Niektóre dobre, ale najczęściej złe. Nie włócz się więc sama. Nowicjusze co i rusz się tu gubią. Słysząc w ciemnościach ich krzyki. Przyprawia to o gęsią skórę.

– Czy ty ją *próbujesz* nastraszyć? – Sophia mruga nerwowo. – Nie słuchaj jej – rzuca do mnie. Rzeczywiście *trochę* się teraz boję. – Ścieżka jest wybrukowana luminescencyjnymi kamykami, więc jeśli z niej nie zejdziesz, odnajdziesz drogę.

– Te kamienie oświetlają tylko ścieżkę, nie miejsca, gdzie można się zgubić – protestuje Ashton. A ja sama już nie wiem, co mam myśleć.

– Dziedziniec wygląda naprawdę ładnie, kiedy z okazji balów zostaje ozdobiony światełkami i lampionami. – Twarz Sophii rozjaśnia się na samo wspomnienie.

– Co oznacza, że gdyby chcieli, *mogliby* przez cały czas oświetlać to miejsce. To dowód na to, że z nami pogrywają!

– Bale? – pytam. – Jak w *Kopciuszku*?

Uśmiech Sophii staje się jeszcze bardziej promienny.

– Raz w miesiącu mamy bal z motywem przewodnim. Wszyscy się przebierają w niesamowite kostiumy. Czasem dołączają do nas uczniowie z Printz-Lee. – Dziewczyna prowadzi nas wzdłuż rzędu olbrzymich roślin przyszyronych na wzór zwierząt lub filiżanek, który kończy się trawnikiem ze stolikami zacienionymi kolorowymi parasolami.

– To sposób, aby utrzymać nas przy zdrowych zmysłach. Żebyśmy co miesiąc mieli na co czekać, kiedy tkwimy na tym cholernym zadupiu – wyjaśnia Ashton.

Wpatruję się w nie szeroko otwartymi oczami, nie rozumiejąc skąd taka ekscytacja balem przebierańców. Dla mnie brzmi to absurdalnie.

– Wszyscy muszą brać w nich udział?

– Tak. Ale uwierz mi, będziesz tego *chciała* – rozplywa się Sophia.

Ashton przytakuje, ale rozumie moje pytanie.

– Nieobecność na balu oznacza, że masz za coś karę. I alternatywa jest znacznie gorsza niż przebieranie się i tańczenie. Tłumaczenie: mamy sposoby, żeby sprawić, że bale są *fajniejsze*.

– Mruga do mnie i sztacha się papierosem.

Sophia przewraca oczami.

– Schowaj to, zanim ktoś cię przyłapie.

– Musisz przestać grać takie niewiniątko, Sofe – rzuca drwiąco Ashton.

Sophia robi głęboki wdech i się prostuje.

– Mniejsza z tym. Ten budynek to Główna Aula. Tam jemy, zbieramy się na apele i różne ważne wydarzenia. – Co tłumaczy stoliki na zewnątrz. – Głodne?

– Jak wilk – odpowiada Ashton.

Mój telefon zaczyna pikać telefon, jakby w mojej kieszeni uruchomiła się mikrofalówka. Wyjmuję go i na wyświetlaczu dostrzegam informację: *Rozmowa przychodząca od doktor Kendall*. Patrząc na dziewczyny ze skrzępowanym uśmiechem.

– Śmiało – zachęca mnie Sophia.

Kiedy odbieram, na wyświetlaczu pojawia się uśmiechnięta twarz Królowej Strażniczki.

– Hej, Lano. Tylko się upewniam, czy nie zgubiłaś się na dziedzińcu.

Sophia staje za mną i macha ręką.

– Jest jeszcze ze mną, doktor Kendall.

– Och, to wspaniale. Denerwowałam się, że Lana mogła się oddalić – mówi i śmieje się z przymusem. Staram się nie wzdrygać. – W takim razie życzę wam smacznego.

– Do widzenia, doktor Kendall – mówi słodko Sophia, po czym wyświetlacz ciemnieje.

– Sprawdza cię doktor Idiotka? – pyta z niedowierzaniem Ashton. – Co ty, u licha, zrobiłaś, że zasłużyłaś na taki rodzaj tortur? Mnie nie sprawdziła ani razu, odkąd tu jestem. To poniżej jej godności. Musisz być rzeczywiście wyjątkowa. – Śmieje się tak, jakby to był żarcik, który rozumie tylko ona. Co ona ma w tym papierosie?

– Pewnie dlatego, że jest lato i nie wszyscy są obecni – rzuca Sophia, wyraźnie próbując mnie pocieszyć. – Jestem pewna, że nie ma to nic wspólnego z tobą.

Zachowuję milczenie, podejrzewając, że jest dokładnie na odwrót. A szelmowski uśmiech Ashton stanowi potwierdzenie, że ona też tak uważa.

Rozdział 4

Choć czarownica ostrzegła Thaylinę, aby miała się na baczności przed tymi, którzy są zbyt mili, zbyt hojni, a zwłaszcza zbyt czarujący, Thaylina była ufną dziewczynką. Wierzyła, że w każdym drzemie choć odrobina dobra. A to wystarczało do tego, aby mieć nadzieję, że każdy człowiek jest zdolny do życzliwości.

Kiedy mijamy kolejne drzwi, w kieszeni wibruje mój telefon. Już mnie to zaczyna irytować, a to dopiero pierwszy dzień.

– Dyżurną w naszym akademiku jest pani Seyer – mówi mi Sophia, gdy przechodzimy przez treliaz porośnięty czerwonymi różami, który pełni funkcję wejścia do budynku. Za akademikiem znajduje się typowy ogród z hamakami i drewnianymi leżakami. – Teraz jej nie ma, ale wróci w sobotę. Jest...

– Najdziwacznějšíą kobietą pod słońcem – wchodzi jej w słowo Ashton. Śmieję się, zaszokowana jej szczerością. Komentarze tej dziewczyny niezmiennie mnie zaskakują. Jest tak, jakby *musiała* podzielić się swoimi myślami, bo jeśli tego nie zrobi, nikt inny nie będzie postrzegał świata tak jak ona. – Jej pokój mieści się na wprost wejścia, a nocami bez przerwy czai się na korytarzach. Bądź ostrożna. Potrafi zrobić człowiekowi z życia koszmar.

Jeśli najgorszym, co może mnie tu spotkać, jest to wścibskie babsko, to prawdziwy koszmar przeżywałam, gdy codziennie przekraczałam próg własnego domu. To miejsce będzie mnie prześladować z zupełnie innych powodów.

Sophia kontynuuje oprowadzanie, a Ashton uzupełnia je swoimi „tłumaczeniami”. Zabierają mnie do Sali Ciszy, gdzie możemy się uczyć. Według Sophii to jedyne pomieszczenie, do którego mają wstęp chłopcy. Ashton przewraca oczami i kręci głową za jej plecami. Po drugiej stronie holu znajduje się stołówka, gdzie w roku szkolnym serwowane są tylko śniadania, no i jeszcze czasem zdarzają się „podwieczorki przy lodach”. Tak to ujęła. Tłumaczenie Ashton: „Gdzie można znaleźć najlepsze przekąski, kiedy w środku nocy dopadnie cię wilczy głód.”

W każdym bogato zdobionym pomieszczeniu Sophia wymienia listę zasad. Za każdym razem czuję coraz większe ściskanie w żołądku. Ten świat, do którego wepchnięto mnie siłą, pełen jest zasad. Pomimo pięknych ogrodów i wybornych posiłków to miejsce jest ograniczające. Pełne oczekiwań, których wcale nie chcę spełniać.

Każdy przekaz, jaki dzisiaj otrzymałam, nieważne czy od sędziego, Nialla czy Strażniczki, zmusza mnie do większego wysiłku. Przeistoczenia się w osobę, jaką nie jestem. Wszystko to dało mi do zrozumienia, że moje obecne „ja” to za mało.

Kiedy docieramy do mieszczącej się na parterze świetlicy, jednym tylko uchem słucham Sophii zachwycającej się tym, jak fajne są wieczory filmowe. Oczywiście podaje godzinę, o której wszyscy powinni wrócić do swoich pokoi.

– Chyba pójdę teraz do siebie – mówię, kierując się ku schodom. – Ale dzięki za to, że mnie oprowadziłaś.

– Och. Okej. – W głosie Sophii słychać zdziwienie, a nawet nutkę rozczarowania. – Twój pokój jest na piątym piętrze. Mogę cię zaprowadzić...

– Nie trzeba. – Rozpaczliwie potrzebuję chwili samotności. – Jaki numer?

– Jedenaście.

Odwracam się, aby się pożegnać z Ashton, ale nigdzie jej nie widzę. Nawet nie wiem,

w którym momencie zniknęła.

– Dzięki. Może jutro się zobaczymy. – Powinnam się uśmiechnąć, ale nie potrafię się do tego zmusić. – Jest tu winda?

– Nie dla nas. Niestety tylko towarowa. – Sophia przygląda się, jak zaczynam wchodzić po szerokich, kamiennych schodach wyłożonych czerwoną wykładziną. – Miło cię było poznać, Lano.

Kiwam głową, nie zatrzymując się. Kiedy docieram do swojego pokoju, nogi mam jak z waty, a serce wali mi jak młotem. Natomiast mój żołądek wydaje się tak ciężki, jakby był z ołowiu.

Skanuję telefonem elektroniczny zamek, po czym wchodzę do środka. Opieram się plecami o drzwi i zaciskam powieki. Przełykam gulę w gardle. Chce mi się krzyczeć – a może nawet płakać.

Przed oczami przewijają mi się obrazy z dzisiejszego dnia... Wyrok w sądzie. Konieczność spakowania się i zostawienia wszystkich bliskich mi osób. I przyjazd tutaj. W miejsce tak obce, jakbym trafiła do innego kraju.

Nie chodzi o to, że wolałabym poprawczak, ale tamto miejsce przynajmniej jest już znajome. Wiem, jak tam przetrwać. Tutaj nic nie jest rzeczywiste. Nikt nie jest tym, za kogo się podaje. Ani dziewczyna, która za bardzo stara się być idealna. Ani dziewczyna, która za bardzo stara się zachowywać, jakby nic jej nie obchodziło. A w szczególności Królowa Kłamstw, mająca nad wszystkimi pieczę. Czuję, że nie pasuję do tego miejsca.

Zdecydowałam się milczeć, aby chronić przyjaciół. Ale nikt nigdy nie powinien mnie zmuszać do dokonania tego wyboru. Nie tego chciałam. Nie powinnam tutaj trafić. Jestem w Blackwood, tylko dlatego że Vic pozostaje na wolności.

Zaciskam zęby tak mocno, że mam wrażenie, iż zaraz się połamię.

Sama myśl o Vicu potęguje morze ognia w moim wnętrzu. Oddycham głęboko, próbując przygasić płomień. Lepiej dla niego, żebyśmy się więcej nie spotkali. Robię uspokajający wdech, po czym powoli otwieram oczy.

Pokój jest... biały. *Wszystko* jest białe – ściany, umywalka na postumencie i wiszące nad nią owalne lustro w misternie rzeźbionej ramie, blat i szafka, pufa do siedzenia ustawiona na pluszowym dywanie i przykryta futerkiem, długie, wąskie biurko stojące obok biblioteczki, szyfonowa zasłona udrapowana na karniszu i pościel na szerokim łóżku w rogu pomieszczenia. Wszystko jest białusieńkie. Z wyjątkiem...

Podchodzę do łóżka i odsuwam swoje torby. Na poduszce siedzi zebra. Uroczy pluszak z wielkimi niebieskimi oczami. Kiedy biorę ją do ręki, dostrzegam, że do szyi ma przytwierdzoną kartkę.

Wybacz mi, proszę.

Tylko tyle. Trzy słowa. Ale w sumie to pewnie wszystko, co musiał napisać. Kiedy to tutaj trafiło? To sprawka Nialla? I dlaczego Joey przejmuje się tym, czy mu wybaczę? Nie planuję ponownie się z nim spotkać.

Padam na łóżko między dekoracyjne poduszki i wbijam wzrok w sufit. Przekręcam się na bok i moje spojrzenie napotyka duże, niebieskie oczy, wpatrujące się we mnie z kosza na śmieci. Z jękiem przesuwam spojrzenie na półkę. Obok oprawionych w ramkę zdjęć stoi kwadratowy szklany wazon z białymi różami. Siadam, żeby mieć lepszy widok. Jedno ze zdjęć przedstawia mnie i moją mamę. Opiera głowę o moje ramię, siedzimy na kocu w ulubionym parku na końcu naszej ulicy. Na drugim widać mnie, Tori i Ninę. Śmiejemy się histerycznie z zaciśniętymi powiekami i szeroko otwartymi ustami. Pierwszy raz widzę te zdjęcia w wersji wydrukowanej.

Im dłużej patrzę, tym więcej dostrzegam szczegółów.

Wstaję z łóżka i oglądam uważnie każdy mebel. Wszędzie widzę spersonalizowane drobiazgi. W kącie pod biurkiem stoi lodówka. Znajduję w niej butelkowaną wodę i napój Mountain Dew o smaku malinowym, mój ulubiony. Na biurku obok białej lampki z pierzastym abażurem znajduje się nieduże, oprawione w kwadratową ramkę zdjęcie, na którym jestem razem z babcią. Siedzę jej na kolanach, a ona mi czyta. Dużo mi czytała – głównie baśni. Tych prawdziwych i przerażających, a nie ich disneyowskich wersji.

Nigdy dotąd nie widziałam tego zdjęcia. Nigdy.

W szufladzie w biurku kryją się moje ulubione przekąski – żelki w kształcie misiów, cukierki twizzlers, czekoladki lindt i chipsy o smaku popcornu. Ktoś zadał sobie niemało trudu, personalizując ten pokój, aby się wydał cieplejszy, choć to zupełnie nie jest mój styl. Wiem, że na pewno nie zrobił tego Niall. Tym bardziej dziewczyny czy moja matka. Ale *ktoś* to zrobił. Ktoś, kto wiele się o mnie dowiedział.

Z kosza wpatrują się we mnie paciorkowate, smutne oczy.

– Niech ci będzie – burczę i wyjmuję zebkę. Rozwiązuję wstążeczkę i wyrzucam kartkę do kosza. – Nie wybaczam ci.

Kładę torby na łóżku i biorę się za rozpakowywanie. W przeciwległym kącie, blisko drzwi, stoi szafa wielkości Narni. Ledwie jestem w stanie dosięgnąć pustych wieszaków na drewnianym drążku. Na kilku coś już wisi, otulone białymi pokrowcami. Pewnie mundurek, który mam nosić podczas roku szkolnego.

Podnoszę wzrok na półki na górze szafy. W życiu do nich nie dosięgnę. Wkładam więc wszystko, co się da, do szuflad w dolnej połowie.

Rozpakowawszy się, zwijam torby i wrzucam je na górne półki szafy, jako że nie będą mi do niczego potrzebne. Skaczę właśnie, próbując dorzucić ostatnią z nich, kiedy ktoś puka do drzwi. Torba ląduje mi na głowie. Jęczę z frustracją, kiedy pukanie się powtarza. Jeszcze raz podrzucam torbę i w tym samym momencie zamykam szafę, licząc, że nie wypadnie na mnie, kiedy ją otworzę. Ktoś puka jeszcze raz. Poważnie?

Szarpię za klamkę i warczę:

– Co? – Nadal jestem poirytowana... cóż, wszystkim.

Nikogo nie ma.

Wychodzę na korytarz i patrzę w prawo. Po tej stronie znajduje się kilkanaście pokoi i drzwi wszystkich pozostają zamknięte. Odwracam się. Korytarz ciągnie się wzdłuż świetlicy i schodów aż do końca budynku. Nikogo tu nie ma, chociaż światło nie jest tu zbyt jasne i równie dobrze każdy cień może okazać się przyczajoną postacią we wnęce drzwiowej. Stoję w bezruchu i nasłuchuję. Panująca na korytarzu cisza sprawia, że podnoszą mi się włoski na karku.

Nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś siedział zamknięty w wieży. Albo w lochu. Jeśli usłyszę w nocy jakieś krzyki, będę znała powód.

Z mojego pokoju dobiega głośne pikanie. Kiedy wchodzę do niego, dostrzegam, że wyświetlacz telefonu miga na czerwono. Pewnie nie wróży to nic dobrego.

– Cholera. – Podchodzę szybko, żeby odebrać.

Wciskam zielony guzik i na wyświetlaczu pojawia się uśmiechnięta szeroko doktor Kendall.

– Lana! – wykrzykuje radośnie. – Jak sobie radzisz? Rozlokowałaś się już?

– Eee, chyba tak – odpowiadam, zaniepokojona jej wylewnością.

– Widzę, że znajdujesz się w swoim pokoju. – Jej spojrzenie prześlizguje się poza wyświetlacz. – To dobrze. Oczekujemy, że pozostaniesz tam przez cały wieczór. Podczas weekendów cisza nocna rozpoczyna się o północy, ale jako że jest was tak mało, prosimy już wszystkich o przebywanie w swoich pokojach.

– Okej. – I tak nie miałam żadnych planów.

– Śpij dobrze. Jutro rano zaczniesz realizację swojego zadania.

Wyświetlacz robi się czarny. Wzdycham. Mgliście pamiętam, że Niall mówił coś o tym, że będę musiała odpracować swoje grzywny i opłaty sądowe. No i wygląda na to, że zaczynam to robić jutro. Po prostu fantastycznie.

Odwracam się i prawie zaczynam krzyczeć.

O drzwi opiera się Ashton. Pewnie ich nie zamknęłam, kiedy wróciłam, aby odebrać telefon.

– Cholera. Przestraszyłaś mnie. – Moje serce nie zdążyło się jeszcze uspokoić po tamtym upiornym pukaniu. Nim weekend dobiegnie końca, jak nic zejdę na zawał.

Ashton bez zaproszenia przechodzi obok mnie. Oprócz skórzanych spodni ma teraz na sobie top z długim rękawem i kozaczki na grubych obcasach. Ma świeżo zrobiony makijaż i ułożone włosy. Wygląda na gotową do wyjścia. Ale dokąd? Zwłaszcza, że powinniśmy siedzieć już w swoich pokojach.

– Wow, twój pokój jest taki... biały.

– Aha. – Wzdycham zdegustowana. – Już tak wyglądał, kiedy tu trafiłam. To nie jestem... ja.

– Chyba żartujesz. – Naciska włącznik umieszczony na przymocowanym do ściany przewodzie. Wzdrygam się, kiedy nad nią rozświetlają się białe litery, układające się w moje imię. Jak mogłam nie dostrzec czegoś *takiego*?

– Co za paskudztwo – stwierdzam.

Ashton powoli okrąża pokój, przesuwając palcem po każdej powierzchni. Jest coś w tym jej swobodnym naruszaniu mojej przestrzeni i przeglądaniu wszystkiego, co przypomina mi Ninę. Albo znenawidzę tę dziewczynę, albo zostanie jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

Siada na przykrytej futerkiem pufie.

– No więc co tak naprawdę chcesz wiedzieć?

Waham się.

– O czym? Szkole?

– O czymkolwiek. Powiem ci. Skoro porzucono cię na progu z kartką na szyi, równie dobrze możesz mieć świadomość, w co się wpakowałaś.

Wzruszam ramionami, no bo w sumie tak właśnie było.

– A co chcesz w zamian? – Szczerłość zawsze ma swoją cenę, oczywiście jeśli Ashton powie mi całą prawdę.

Dziewczyna śmieje się cicho, jakby uważała mnie za zabawną.

– Nic.

– Naprawdę? – Nie wierzę jej. Przechyliła niewinnie głowę. Postanawiam zadawać tylko takie pytania, na które ja także mogę udzielić odpowiedzi. – Skąd jesteś?

– Z Nowego Jorku. Konkretnie Manhattanu. A ty?

– Z zapyziałego miasteczka w samym środku Massachusetts. – Jego nazwa nic jej nie powie. Decyduję się na inne pytanie, chociaż wątpię, aby na nie odpowiedziała. Chcę jedynie sprawdzić, czy to robi. – Czemu nie lubisz swoich rodziców?

– A ty swoich lubisz? – prycha.

– Mam tylko matkę. I jej akurat nie mogę winić za to, jaka jestem.

– Ze mną jest inaczej. Mój ojciec gra w zespole rockowym, a matka jest supermodelką. To właśnie przez nich jestem taka, a nie inna. – Przez chwilę się waha. – Musisz wiedzieć, że niemal każdy uczeń Blackwood to potomstwo jakiegoś celebryty, polityka, muzyka, cóż, generalnie kogoś, kto jest kimś. Przynosimy im wstyd. Przysłali nas na to zadupie, żebyśmy ich

dalej nie kompromitowali, choć większość z nich zachowuje się znacznie gorzej.

– Dlatego wszyscy nawijają o bezpieczeństwie i prywatności?

– Za główną bramą nie znajdziesz żadnych kamer. Nasi rodzice nie chcą przejmować się tym, że moglibyśmy pojawić się na pierwszych stronach gazet, tak jak bywa w prawdziwym świecie. To jeden z powodów, dla których wybrali Blackwood z jego wojskowymi zabezpieczeniami i nowoczesnymi urządzeniami śledzącymi. Ale to nie oznacza, że są w stanie odebrać drągi uzależnionym, wciskać jedzenie anorektyczkom czy powstrzymać nas od ujawniania sekretów.

– Więc wszyscy są tu porębani? – Teraz rozumiem już, dlaczego mnie tu przysłano, tyle że ani ja, ani moja matka nie jesteśmy godne pojawienia się w wiadomościach. Pewnie każda prywatna szkoła musi mieć jakąś tam liczbę stypendystów.

– Mniej więcej. Szczerze? Myślę, że tylko porębani zostają tu przyjęci. A jeśli stąd wylatujemy, rodzice odcinają nam przyływ gotówki. Taką umowę zawierają ze szkołą. Tym sposobem każdy ma coś do stracenia. Uwierz mi, nikt stąd nie chce się wyrzec markowych torebek czy prywatnych samolotów. Jesteśmy więc zmuszeni do tego, aby *odnieść sukces*. Reszta świata wierzy w to, że Blackwood produkuje najlepszych maturzystów. Ale my przecież nie mamy wyboru.

– Coś wiem na ten temat – mamroczę.

– Co?

– O tym, że nie ma się wyboru.

– Więc rzeczywiście *nic* ci nie powiedziano? – To najwyraźniej fascynuje Ashton: fakt, iż przekroczyłam próg tej instytucji zupełnie ślepa.

– Nie. Tyle tylko, że trafię do jakiegoś *lepszego miejsca*. Ale ja nie jestem nadziana.

– Co więc masz do stracenia?

Przez chwilę się nad tym zastanawiam. Albo Blackwood albo poprawczak, i jeśli według nich poprawczak oznacza „przegrana”, w takim razie niezbyt dobrze mnie znają. Jasne, nie mam ochoty spędzić kolejnych sześciu miesięcy w czerwonym kombinezonie, brać udziału w sesjach grupowych, podczas których uczy się nas umiejętności potrzebnych w życiu, kontrolowania gniewu czy też innych bzdur odczytywanych przez psychologa. Ale mogłoby być gorzej.

– Nic.

– No to fajnie z tobą będzie – oświadcza Ashton z tym swoim enigmatycznym uśmiechem. Wyjmuje z kieszeni e-papierosa. – Masz ochotę?

Uśmiecham się.

– I to jak.

Podchodzi do okien i je otwiera.

– Mają tu bardzo wrażliwe czujniki dymu.

– W Blackwood zadają sobie tyle trudu, aby wiedzieć, gdzie się znajdujemy, jak to więc możliwe, że nie wiedzą, iż wyszłaś z pokoju? Nie ma czujników czy czegoś w tym rodzaju?

– Kiedyś były czujniki ruchu na korytarzach, w drzwiach i oknach. Ale to był koszmar, bo nikt nie siedzi w swoim pokoju, no i ktoś zawsze ma otwarte okno. Postanowiono więc skupić się na utrzymaniu nas w budynkach, a pomiędzy nimi przechadzają się patrole. Bez naszych telefonów nie są w stanie wykryć, gdzie jesteśmy, ale po to właśnie mają czającą się na korytarzach panią Seyer. Trudniej się wtedy wymknąć w czasie ciszy nocnej. – Unosi szelmowsko brew i dodaje: – Ale nie jest to niemożliwe.

Ashton zaciąga się papierosem, po czym podaje go mnie. Wdycham zawartość i przez chwilę przytrzymuję ją w płucach. Takiej ucieczki potrzebowałam przez cały dzień. Obie wydychujemy dym przez moskitierę w oknie.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – pyta, opierając się na łokciach. Zaciągam się jeszcze raz.

– Długo tu już jesteś?

– To mój trzeci rok. W czerwcu powinnam skończyć szkołę. Choć nie mam pojęcia jak.

– Nie przepadasz za nauką?

– Nie przepadam za byciem tym, kim nie jestem. A jestem artystką. I mam gdzieś to, czego tu uczą.

– Mogę ci pomóc, jeśli chcesz.

– Z nauką?

– Aha. Mnie to nie przeszkadza. Nie znaczy to, że jakoś szczególnie się staram, ale to nie jest takie trudne. Zawsze odrabiałam prace domowe za przyjaciółkę.

– Dzięki – mówi szczerze. – Ale mają tu korepetytorów, życiowych doradców i inne sposoby na to, żebyśmy sami pracowali. W sumie chodzi nie tyle o oceny, ile o wybory.

Kręcę głową, próbując zrozumieć co to, u licha, znaczy.

– Więc możesz oblać test, ale jeśli zdecydowałaś się nie ściągać, to wszystko w porządku?

Ashton się śmieje.

– Nie. Oblanie nie wchodzi w grę. Ale zapewniają tu wszystko, czego potrzebujesz, aby zdać. To nie jest duża szkoła. W roku szkolnym uczy się tu jakieś trzysta osób, a latem zaledwie pięćdziesiąt. Mają tu od groma personelu i słono kasują za to, żebyśmy rozumieli, co nam kładą do głowy. Większość nauczycieli podczas roku szkolnego mieszka w kampusie, tak że mamy do nich stały dostęp.

– O co chodzi z tym dokonywaniem wyborów, o którym tak tu nawijają?

Ashton wypuszcza dym i przez chwilę się zastanawia nad odpowiedzią.

– Jesteśmy tutaj dlatego, że nasi rodzinie nie potrafili być rodzicami, a nam pewnie nie udało się być nami. Życiowi doradcy w Blackwood układają dla każdego z uczniów plan, który zmusza nas do dokonywania lepszych wyborów, nieważne, czy dotyczy to wrywkowych testów na obecność narkotyków, terapii, medytacji czy kontrolowania liczby kalorii spożywanych podczas każdego posiłku.

– To po to był ten ekran, kiedy zamawiałyśmy kolację? – pytam. Kiedy wcześniej zeskanowałam telefon, aby zamówić posiłek, ekran na tablecie wyświetlił alergie, ograniczenia żywieniowe i składniki odżywcze na cały dzień. Wtedy uznałam to jedynie za dziwaczne.

– Wielu tutejszych uczniów cierpi na zaburzenia odżywiania. Trzeba pamiętać, że pochodzimy ze świata, gdzie najbardziej liczy się wygląd. I trudno się wyzbyć takiego myślenia, bez względu na to, jak daleko się znajdujemy od centrum zainteresowania.

Ashton podaje mi papierosa. Krawędzie pokoju zaczynają się rozmywać, kiedy opadam na łóżko.

– Wierzysz w to? W to, co tu robią?

Zachowuję duży sceptycyzm. Może dlatego, że doktor Kendall to chodząca iluzja. Jak mogę wierzyć, że to, co widzę jest prawdziwe, skoro na dziedzińcu znajduje się labirynt, którego służy jedynie temu, byśmy się pogubili?

Ashton się waha. Chowa papierosa do kieszeni.

– Nie wiem. Pewnie to nie ma znaczenia, bo jestem skazana na to miejsce i już. Ale nikomu nie ufaj. To chyba najlepsza rada, jakiej ci mogę udzielić. Nic nie jest takie, jak się wydaje.

– To już i tak moje życiowe motto.

Puszcza do mnie oko.

– I właśnie dlatego fajnie będzie tu cię mieć. I nie martw się, to miejsce tylko wydaje się

być więzieniem. Wcale nim nie jest. Jeśli się tylko chce, zawsze się znajdzie sposób na obejście zasad.

– Nie mam nic do stracenia!

Ashton się śmieje.

– Spotkamy się na dole przed śniadaniem? Jutro będę cię szkolić w twojej pracy.

– Jasne. – Patrzę, jak wychodzi. A kiedy zamykają się za nią drzwi, dociera do mnie, że nie zapytałam o to, gdzie pracujemy. No nic, niedługo i tak się dowiem.

Ponownie opadam na stertę poduszek i wbijam wzrok w sufit. Tak tu cicho. Nie wiem, czy do tego przywyknę. Unoszę głowę, szukając wzrokiem czegoś, co odtwarza muzykę. Na biurku dostrzegam małe ozdobne pudełko.

Wstaję, aby je obejrzeć. W środku znajduję iPoda. Nie wiedziałam, że jeszcze je produkują. Są tam także słuchawki, ładowarka i przenośny głośnik. Włączam iPoda i przewijam listę utworów. Nie najgorzej. Sporo wykonawców znam, ale paru jest nowych. Ktoś mnie zna – trochę za dobrze. Gdybym nie była teraz na haju, przyprowadziłoby mnie to o gęsią skórkę.

Wkładam do uszu słuchawki i wybieram piosenkę. Kiwam głową w rytm muzyki i obchodzę pokój. Jest dwa razy większy niż mój pokój w domu. Ale i tak czuję się w nim jak w więzieniu. Jako że w ten weekend nikt nie monitoruje korytarzy, nikt się także nie dowie, że trochę pokręciłam się po budynku. Prawdę mówiąc, mam ogromną ochotę na lody i chcę znaleźć lodówkę.

Zostawiam iPoda na biurku, a w drzwi wkładam skarpetkę, żeby się nie zamknęły. Przez chwilę stoję na pogrążonym w półmroku korytarzu i nasłuchuję. Jest przeraźliwie cicho, przez co mam wrażenie, że mnie także nie wolno wydać żadnego dźwięku. I choć wiem, że nie ma tu nikogo poza Sophią i Ashton, w stronę schodów udaję się na paluszkach. Bose stopy okazują się bezgłośnie na wykładzinie. Mam wrażenie, że w dół schodzę całą wieczność. Czemu nie ma tu głupiej windy?

Przechodzę przez podwójne drzwi prowadzące do jadalni. Księżyc świeci przez rząd wysokich okien, z których roztacza się widok na trawnik. Dzięki temu jakoś udaje mi się lawirować między stolikami, aż w końcu docieram do wahadłowych drzwi oddzielających część jadalną od kuchni.

Kuchni, która zupełnie nie przypomina tej w Stella's. Wszystkie blaty ze stali nierdzewnej dosłownie lśnią w przyćmionym oświetleniu. Przysięgam, nawet wyłożona płytkami podłoga wygląda, jakby promieniała. A może to przez druzgociny.

Otwieram jedną zamrażarkę za drugą, aż w końcu znajduję to, czego szukam. Z szerokim uśmiechem wydaję pudełko lodów czekoladowo-karmelowych. Jest takie wielkie, że ledwo mieści mi się pod pachą. Zamierzam zjeść całość, a przynajmniej spróbować tego dokonać. Z haczyka nad jednym z blatów zdejmuję łyżkę do mieszania i wychodzę z kuchni.

Zjem lody w bibliotece, salonie czy też jak nazywają ten pokój po przeciwnej stronie holu. Pokój, który wygląda tak, jakby na jednym z foteli miał zasiąść staruszek w bonzurce, pykający fajkę i opowiadający historie dla telewizji PBS. Do swojego pokoju mam w tej chwili zbyt daleko.

Kiedy przechodzę przez hol, nagle słyszę skrzypnięcie. A ponieważ jest tu ciszej niż w trumnie, dźwięk ten rozlega się echem w całym holu. Wstrzymuję oddech, bo mój otumaniony mózg żywi przekonanie, że to wyostrza słuch. Powoli odwracam się w stronę źródła dźwięku. Drzwi prowadzące na dziedziniec są uchylone. Wiatr sprawia, że wydają kolejne skrzypnięcia. Wypuszczam powstrzymywane powietrze.

Ignorując ściskanie w żołądku, które każe mi tego nie robić, podchodzę cicho do drzwi i wyglądam na zewnątrz. Nikogo nie widzę. Otwieram drzwi szerzej i wychodzę. Wzdłuż pleców

przebiega mi dreszcz, kiedy moje stopy zapadają się w gęstej, chłodnej trawie. Twarz owiewa mi ciepłe, czerwcowe powietrze, które niesie ze sobą zapach róż. Zamykam oczy i robię głęboki wdech.

Treliaże wiodące na dziedziniec przypominają mi ciemną jaskinię. Nie ma tu żadnego oświetlenia, ale dostrzegam delikatną poświatę emanującą z kamiennej ścieżki. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. No ale z drugiej strony nigdy nie byłam w takim miejscu. W ogóle nigdzie poza Sherling (jeśli nie liczyć poprawczaka).

Ze śliskim pudełkiem w objęciach daję krok w stronę czarnej otchłani prowadzącej na dziedziniec.

– To nie jest dobry pomysł.

Odwracam się w kierunku, z którego dobiegł męski głos. Dopiero po chwili dostrzegam sylwetkę leżącą na hamaku tuż przy żywopłocie.

– Eee... co ty tu robisz? – Podchodzę do stolika z parasolką ustawionego najbliżej niego. Jest zbyt ciemno, abym dobrze widziała jego twarz, ale wydaje mi się, że ma na sobie dresowe spodnie i koszulę. Cholera. Przyłapał mnie jeden z nauczycieli.

– Czekam. – W jednym słowie tyle arogancji. To z pewnością nie nauczyciel.

– Na kogo? – Przybieram podobny ton.

– Na ciebie, Lano.

Próbuję sobie przypomnieć, czy go poznałam. Ale odkąd tu przyjechałam, nie poznałam żadnego chłopaka, a kucharz się nie liczy.

– Skąd wiesz, kim jestem?

Mimo panujących ciemności widać, że ma jasne włosy, które w świetle księżyca wydają się niemal srebrne. Cienie kładą się na jego twarzy tak, że wygląda jak wyciosana z kamienia. Może to wampir.

Z moich ust wydobywa się chichot.

– Co cię tak bawi?

– Ty jesteś żywy, tak?

– A ty spędziłaś wieczór w towarzystwie Ashton.

– Skąd wiesz? – Staram się, aby zabrzmiało to obronnie, mimo to słysząc w moim głosie uznanie.

– Hmm... trzymasz w ręce wielkie pudełko lodów i zamierzasz je jeść łyżką do mieszania. Czy ona w ogóle zmieści ci się do buzi? Chwileczkę. Chcę zobaczyć, jak próbujesz to zrobić.

Opuszczam wzrok na pudełko, z którego kapią teraz krople wody i wsiąkają w moją koszulkę. Kładę je na stoliku, a na nim łyżkę.

– Byłam głodna.

– Najwyraźniej.

Mądrała.

– Skąd wiesz, kim jestem? – pytam ponownie. Moje myśli nadal przeskakują po wszystkim w zasięgu wzroku, ale... w zwolnionym tempie.

Nieznajomy odpycha się czarnym, błyszczącym butem od ziemi, wprawiając hamak w ruch. W jednej ręce trzyma szklanę, a drugą ma za głowę, jakby siedział tu i kontemlował sens życia.

Kiedy nie odpowiada, wzdycham teatralnie. Zamierzam zabrać lody i wrócić do środka, skoro to taki nadęty bufon.

– Myślę, że ważniejsze pytanie brzmi: dlaczego tu jesteś?

Zostawiam lody na stoliku i podnoszę głowę.

– Słucham?

– Raczej nie spełniasz kryteriów przyjęcia. Twoi rodzice nie są znani. Gdybyś się pojawiła na okładce brukowca, nikt by nie wiedział, coś ty za jedna. Może jesteś wyjątkowo inteligentna, ale tutaj to nie powód, żeby kogoś przyjąć. Ktoś pociągnął za nieliczne sznurki, żeby cię tu wkręcić. Dlaczego?

– Dostałam stypendium – złym głosem przedstawiam wyjaśnienie Nialla.

– W Blackwood nie ma stypendiów.

Już-już mam wygłosić jakąś ciętą ripostę, kiedy dociera do mnie sens jego słów.

– Nie?

– Nie. Ta szkoła nie jest dostępna dla wszystkich. A ty z całą pewnością nie pasujesz do jej profilu. Żaden z uczniów nie ma kryminalnej przeszłości, nawet jeśli został aresztowany, a tak jest w przypadku większości. Ich rodzice są na tyle wpływowi, żeby wymazać im kartoteki.

Bawi się ze mną i zaczyna mnie to cholernie irytować.

– Kim jesteś? I skąd tyle o mnie wiesz?

– Dlatego właśnie się tu znalazłem. – Ton jego głosu wydaje się niemal powściągliwy.

– Zbyt wiele wiem.

Wtedy to do mnie dociera.

– A co, jesteś hakerem?

Chichocze, a księżyc oświetla proste, białe zęby. Chłopak nic jednak nie mówi.

– Powiesz mi przynajmniej, jak masz na imię, czy wolisz mnie tak wnerwiać przez cały wieczór?

– Och, podobasz mi się – stwierdza z uśmiechem. – Potrafisz kąsać.

Przewracam oczami.

– Naprawdę?

– Jestem Brendan.

Teraz, kiedy to wiem, nie mam już powodu, aby tu stać. Biorę ze stolika pudełko z lodami, a łyżka upada na ziemię. Schylam się po nią i w tym momencie za żywoplotem rozlegają się jakieś głosy. Prostuję się niepewna, co zrobić.

Brendan wykonuje nagły, cichy ruch i wstaje z hamaka, zostawiwszy za nim szklankę. Jest wysoki i szczupły, a krótkie włosy uczesał ze starannym przedziałkiem z boku. Przez strój i wytworny wygląd wydaje się starszy niż uczeń liceum. Nic dziwnego, że wzięłam go za nauczyciela.

Pokazuje kiwnięciem głowy na róg budynku, ten najbliżej nas. Zerkam na drzwi. Chyba powinno mi się udać do nich dobiec, nim ktoś, zapewne ochrona, przejdzie przez treliaze z różami. Oglądam się na Brendana, ale on kręci głową, jakby czytał mi w myślach. Raz jeszcze kiwa głową w stronę żywoplotu i w tym momencie słyszę głosy – są zbyt blisko.

Puszczam się biegiem w stronę rogu budynku. W połowie drogi dogania mnie Brendan i kładzie mi rękę na dolnej części pleców. Piszczę w proteście, kiedy wyrwa mi z rąk lody i wyrzuca je w tworzące żywoplot krzaki. Zatrzymuję się i patrzę za nimi tęsknym wzrokiem.

– Kupię ci całą ciężarówkę lodów – szepcze niecierpliwie i pociąga mnie za ramię. Ustępuję, dając się zaciągnąć w cień. Strumień światła omiata teren przez budynkiem, a Brendan przyciska mnie do ściany i pokazuje, abym wślizgnęła się pomiędzy budynek a żywoplot. I nagle mam wrażenie, że znowu znalazłam się w country clubie: serce wali mi jak młotem, a we włosach mam całe mnóstwo zielonych igieł. Tyle że tym razem towarzyszy mi umięśnione ciało pachnące miętą i chłodnym wiatrem. Przyciskam nos do jego koszuli i robię wdech.

– Czy ty mnie wachasz? – szepcze mi do ucha.

Szybko się odsuwam i opieram o nierówny mur. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam.

Podnoszę wzrok i widzę, że Brendan się do mnie uśmiecha.

– Drzwi są otwarte, widzisz? – pyta głos. Światło latarki omiata kąty trawnika. – Widzisz kogoś?

– Nie.

– Zadzwoń i zapytaj, czy ktoś zgłaszał otwarte drzwi albo okna.

Po jakimś czasie – mam wrażenie, że godzinę później – spędzonym w stanowczo zbyt bliskim towarzystwie ciepłego ciała Brendana i z jego dłońmi opartymi po obu stronach mojej głowy słyszę:

– Na pierwszym piętrze po drugiej stronie było uchylone okno.

– Zamierzają przeprowadzić kontrolę? – pyta jeden ze strażników.

– Już to zrobili. Wszyscy są w pokojach. – Słyszę charakterystyczne kliknięcie zamykanych drzwi. – Nie znoszę tych patroli. Przyprawiają mnie o gęsią skórkę. – Głosy powoli cichną.

Brendan znajduje się tak blisko. Staram się nie podnosić wzroku, ale to silniejsze ode mnie. Patrzy na mnie, a jego twarz pozostaje w cieniu, więc nadal nie wiem, jak wygląda. Jego usta wykrzywiają się w kolejnym aroganckim uśmiechu. Próbuję go odepchnąć, ale się nie rusza.

– Serio, możesz już się ode mnie odkleić – rzucam ostrzegawczo. Unosi rękę i mnie puszcza. Wyglądam za róg, po czym powoli wychodzę z za budynku. Nikogo nie ma.

– Tędy nie wejdziesz – mówi cicho Brendan, kiedy podchodzi do drzwi.

Wiem, że ma rację, ale i tak muszę spróbować. Zamknięte.

– I co ja mam zrobić? – Jestem nie tyle zdenerwowana, ile poirytowana. Niekoniecznie *chcę*, aby złapano mnie od razu pierwszego dnia i wezwano Nialla. Kiedy wyobrażam sobie malujące się na jego twarzy rozczarowanie, boli mnie brzuch z powodów, których nie mam ochoty rozgryzać.

– Wracaj w krzaki. – Kiedy się waham, Brendan dodaje: – No już, Księżniczko, nie mamy całego wieczoru.

Cała sztywnieję.

– Nie nazywaj mnie tak – warczę zimno. Wślizguję się za nim w przestrzeń między krzakami a budynkiem. Po kilku metrach chłopak zatrzymuje się przez wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza. Podnoszę głowę. W życiu przez nie przejdę.

Zamiast tego on kuca, unosi coś, co wygląda jak ruszt, i wskakuje do dołu. Odwraca się do mnie i wyciąga rękę. Ignoruję go. Przysiadam na brzegu trawy, po czym zeskakuję. Schyliłam się, kiedy Brendan nasuwa ruszt na miejsce. Ja muszę się jedynie schylić, on za to musi iść na ugiętych nogach. Nie mija wiele czasu, a zatrzymujemy się przed łukowym oknem.

Przez kilka sekund majstruje przy nim, po czym je otwiera i znika za nim. Kiedy przysuwam się do parapetu, czeka pod oknem z uniesionymi rękami, żeby mi pomóc. Nie widzę ziemi, więc niechętnie kładę mu dłonie na ramionach i pozwalam, aby mnie opuścił.

Kiedy łąduję zaledwie kilka centymetrów od niego, cieszę się, że nie widać mojego rumieńca. Brendan nie od razu zabiera dłonie z mojej talii. Ponownie otula mnie jego zapach i walczę z pokusą zamknięcia oczu i zrobienia głębokiego wdechu.

Przez cały wieczór jego twarz przysłaniają cienie, przez co wydaje się nienaturalnie kanciasta i blada. Nadal nie wiem jak tak naprawdę wygląda.

Kiedy unoszę głowę, po raz kolejny napotykam arogancki uśmiech.

– Znowu zamierzasz mnie wachać?

Czemu muszę być teraz na haju? W przeciwnym razie już co najmniej raz bym go walnęła.

– Palant. – Daję mu kukuśnia, a z jego gardła wydobywa się niski, dudniący śmiech.

Brendan wspina się na coś, żeby zamknąć okno, po czym schodzi i bierze mnie za rękę. W pierwszym odruchu mam ochotę ją wyszarpnąć, ale do środka przez okno wpada jedynie odrobina światła i nie mam pojęcia dokąd idziemy.

W ciemnościach pojawia się maleńki punkcik światła, w którym widać wilgotny, kamienny korytarz. Światło pochodzi z telefonu, ale nie tego przydzielonego przez szkołę.

– Skąd masz telefon?

– Mogę zdobyć praktycznie wszystko – odpowiada, a jego pewność sprawia, że mam ochotę dać mu w zęby. – A co? Też byś chciała?

– Tak – odpowiadam bez wahania.

– A co jesteś gotowa zrobić, żeby go dostać?

Wyrrywam mu rękę.

– Idź – warczę. – Natychmiast. Zanim cię zamorduję i zostawię twoje zwłoki szczurom.

– Sexy – chichocze.

Robię wdech, po czym ruszam za Brendanem. Trzymam się blisko niego, żeby widzieć każdy krok, kiedy się przeciskamy przez tunel, który wygląda, jakby go ręcznie wykopano i wzmocniono stosami kamieni. Staram się nie myśleć o jego stabilności ani o tym, jakby to było zostać w nim uwięzioną. Kręci mi się w głowie i moje ciało zaczyna pokrywać cienka warstewka potu. Kiedy dochodzimy do stromych, kamiennych schodków, muszę się oprzeć o ścianę.

Schody są takie wąskie, że Brendan prześlizguje się bokiem. Krew dudni mi w uszach i mam wrażenie, jakbym oddychała przez gruby materiał. Naciskam dłońmi na kamienie, ale przysięgam, że ściany coraz bardziej na mnie napierają... Po policzku spływa mi strużka potu.

W moim gardle więźnie krzyk, kiedy czuję na ramieniu dłoń. Strzepuję ją, jakby to był pająk.

– Jeszcze raz mnie dotkniesz, a poleje się krew – syczę.

Brendan otwiera drzwi i wchodzimy do Sali Ciszy ze skórzanymi sofami i fotelami uszakami.

Cała się trzęsę. Opieram się o chłodny, kamienny kominek i zgięta w pół próbuję złapać oddech.

Brendan przesuwając regał z książkami na miejsce.

– Wszystko dobrze? – pyta z ręką nad moimi plecami. Nie próbuje mnie jednak dotknąć.

– Tak – wyrzucam z siebie.

Kiedy w końcu biorę się w garść, prostuję się i ruszam w stronę pogrążonego w półmroku holu. Kiedy docieram do schodów, Brendan niespodziewanie znajduje się tuż za mną. Wchodzę na pierwszy stopień i się odwracam.

– Dokąd idziesz? – pytam ostro, nawet nie próbując być miłą.

– Chcę mieć pewność, że dotarłaś do pokoju cała i zdrowa.

– Dzięki, że pomogłeś mi tu wejść, ale dalej dam sobie sama radę – oświadczam i krzyżuję ręce na piersi.

– Na pewno? Nie chciałbym, żebyś się zgubiła w drodze do pokoju.

– Nic mi się nie stanie. – Nie ma takiej opcji, żeby się zbliżył do mnie albo mojego pokoju... nigdy. Nawet jeśli rzeczywiście ładnie pachnie.

Staje na schodku obok mnie.

W końcu widzę jego twarz. I chyba go znienawidzę.

Włosy ma w naturalnym odcieniu platyny, nie srebra. Nie myliłam się co do wyrazistości jego rysów, ale twarzy nie ma jednak aż tak bladej jak wampir. Dzięki brązowej cerze wygląda, jakby całe lato spędził na jachcie. W dodatku Brendan ma duże, brązowe oczy ocienione gęstymi rzęsami i piękne, pełne usta, jakie powinny być zakazane u facetów.

Nienawidzę go.

– Mieszkam w pokoju numer czternaście, na czwartym piętrze. – Kiedy patrzę na niego takim wzrokiem, jakby cierpiał na urojenia, dodaje: – Żebyś mogła mnie znaleźć, gdy będziesz tego chciała.

– Czyli nigdy.

– Ty nie kłamiesz, Lano. Nie zaczynaj robić tego teraz. – Mruga do mnie.

Piorunuję go wzrokiem.

Nachyla się, aż nasze usta dzielą zaledwie milimetry. Patrzę na niego wyzywająco i się nie odsuwam.

– W końcu będę ci do czegoś potrzebny.

– Idź sobie.

Jest w nim coś bezsprzecznie zniewalającego. Hipnotycznego. Jak śpiew syreny omamiający żeglarzy. Zdradzieckiego, a mimo to uwodzicielskiego. Odsuwam się, a włoski na rękach stają mi ostrzegawczo na baczność.

– Słodkich snów, Lano.

Patrzę, jak kieruje się ku drzwiom prowadzącym na dziedziniec. Po kilku sekundach podchodzę do nich szybko i pociągam za klamkę, żeby się upewnić, czy rzeczywiście są zamknięte.

Ciszę przerywa odgłos walenia w drzwi. Zamieram pośrodku holu i nasłuchuję. Skądś dobiega skrobanie. A ponieważ niczego się nie nauczyłam z obejrzanych horrorów, ruszam w stronę źródła dźwięku.

Na końcu korytarza rozlega się kolejne walnięcie. Idę w tamtym kierunku, opierając się ręką o ścianę. Nie mam pewności, w jaki sposób może mnie to ochronić, ale tak mi podpowiada intuicja, więc robię to i już.

Zatrzymuję się przed uchylonymi drzwiami. Słyszę jakieś stęknienie i zduszone przekleństwo. Wsuwam głowę za drzwi i mrugam zaskoczona, kiedy po drugiej stronie okna dostrzegam siłującą się z nim Ashton. Podbiegam i pomagam jej otworzyć.

– O mój Boże, nie mogę uwierzyć, że tu byłaś. Tak bardzo ci dziękuję – wyrzuca z siebie, kiedy już znajduje się w pokoju. Zamyka okno.

– Jak ci się udało dosięgnąć do okna? – pytam.

– Mała drabina – wyjaśnia. – Trzymam ją schowaną w krzakach. Ale przysięgam, że zostawiłam je uchylone.

– Zobaczyli je ochroniarze. – Ashton otwiera usta, ale ją powstrzymuję. – Nie pytaj. To długa historia.

Zaintrygowana unosi brew.

– Cóż, dziękuję, że uratowałaś mi tyłek. – Czuć od niej piwem i... czymś ziemistym. Nie do końca wiem czym.

Najwyraźniej na mojej twarzy maluje się takie samo zaciekawienie, jak na jej, bo serwuje mi taką samą odpowiedź.

– Później ci opowiem. Teraz *naprawdę* chcę już iść spać.

– Ja też.

Kiedy w końcu docieramy na piąte piętro, jestem wykończona. W duchu przeklinam każdy stopień. Na górze rozdzielamy się z Ashton. To był długi dzień, ale nie najdłuższy. Nic nie może się równać z *tamtą* nocą.

Wchodzę do pokoju i na ścianie widzę świecący napis „Lana”. Widocznie zapomniałam go wyłączyć. Rozbieram się i myję twarz. Kiedy w końcu gaszę lampki, ściana pod nimi... się jarzy.

– Co to ma... – Serce wali mi jak młotem. Zapalam światło i rozglądam się po pokoju, szukając jakiegoś innego znaku sugerującego, że ktoś tu był albo nadal jest. Nie znajduję niczego oprócz napisanych na ścianie słów, które krzyczą do mnie w ciemnościach.

WSZYSTKO WIEM

Rozdział 5

Ze swojej pieczary potwór obserwował Thaylinę, wychodzącą z wieży i wracającą do niej, czekając na ten dzień, kiedy pochwyci ją w swoje sidła i wykorzysta jej moc dla własnych potrzeb. Licząc, że nie ma osoby, która pozostanie odporna na jego urok.

Nie spałam do drugiej w nocy, zeszkrobując ze ściany połyskującą wiadomość szczotką do włosów i żelem pod prysznic, więc to oczywiste, że się nie skaczę z radości, kiedy o ósmej zaczyna mi pikać telefon, domagając się odcisku palca. Następnie na wyświetlaczu pojawia się informacja, że pracuję dzisiaj od dziesiątej do szesnastej. Ale nadal nie wiem *gdzie*.

– Zastrzelcie mnie – jęczę, naciągając kołdrę na głowę.

Dwadzieścia minut później budzi mnie pukanie do drzwi.

– Idź sobie! – Osoba, która stoi za drzwiami, a zakładam, że to albo obie dziewczyny albo jedna z nich, ponownie puka. Zaspana i zdezorientowana wlokę się do drzwi. – Muszę...

To Brendan. Nim zdążę mu zamknąć drzwi przed nosem, wsuwa stopę za framugę. Mam nadzieję, że złamałam mu palec.

– Dzień dobry, moja mała zapalczywa nimfo. Jak ci się spało?

– Wynocha! – Pcham drzwi, ale on otwiera je bez wysiłku i wchodzi do pokoju. Zaczyna się rozglądać, mniej więcej tak jak wczoraj Ashton. Choć w Blackwood kładzie się taki nacisk na zachowanie prywatności, najwyraźniej nie uznaje się tutaj granic natury osobistej. – Czego chcesz? – pytam ostro i krzyżuję ręce na piersiach. Niewiele to daje, bo przecież stoję pośrodku pokoju tylko w bokserce i majtkach.

Uśmiechając się szeroko, bezczelnie mi się przygląda.

– Widzę, że ktoś tu nie należy do rannych ptaszków.

W przeciwieństwie do mnie Brendan jest wyszykowany i nienagannie ubrany w grafitowe spodnie i czarną koszulę. Do tego oczywiście wypastowane czarne buty.

Zakładam bluzę i legginsy, po czym zwiążuję włosy w niechlujny kok.

– Skąd wiedziałeś, w którym mieszkam pokoju?

Brendan kręci głową, jakby ubolewał nad moją ignorancją.

– Już ci mówiłem: niewielu rzeczy nie wiem.

– Myślałam, że przemawiało przez ciebie ego – burczę. – A tak na serio to czego chcesz?

– Chciałem cię odprowadzić na śniadanie – mówi, wpatrując się z konsternacją w zębrę.

– Ale jeśli chcesz spać, to chętnie dotrzymam ci towarzystwa w łóżku.

Już-już mam mu powiedzieć, jak wielką mam ochotę dać mu w zęby, ale dociera do mnie, że nie wiem, jak trafić przez dziedziniec na stołówkę. I nie wiem także, w którym pokoju mieszka Ashton. Poza tym możliwe, że jeszcze smacznie śpi.

– Mogę tak iść?

Wzrusza ramionami.

– Ubieraj się, jak chcesz. Osobiście wolę twój strój do spania, ale tak też może być.

Przewracam oczami.

– Naprawdę jesteś aż tak żaloszny? Twoja gadka mnie dobija.

Posyła mi ten swój zmysłowy uśmiech. Czemu on musi być tak cholernie seksowny, skoro jednocześnie jest palantem?

– Prowadź – rzucam, wskazując na drzwi. Brendan przytrzymuje mi je, po czym

wychodzi za mną. – Myślałam, że chłopcy mają zakaz wstępu na górę?

Śmieje się cicho.

– Każdą zasadę da się obejść, Lano. Kto jak kto, ale ty powinnaś o tym wiedzieć.

– Czemu tak mówisz? Nie znasz mnie. Wiesz jedynie to, co przeczytałeś, kiedy się włamałeś do szkolnych danych.

Brendan zatrzymuje się i unosi brew.

– Ty rzeczywiście sądzisz, że jestem hakerem?

– A nie jesteś? – Mijam go i zaczynam schodzić po schodach.

Nie odpowiada. Kiedy wychodzimy z akademika, dociera do mnie, że nadal nie widziałam tutaj nikogo oprócz tych trzech osób, które poznałam, no i dwóch strażników. Żadnych nauczycieli czy innych pracowników. To tylko potęguje mój niepokój.

– Czy tutaj *nikt* nie pracuje?

– Niewiele osób. W semestrze letnim jest tu tylko dwoje nauczycieli. A ogrodników czy woźnych rzadko się widuje, nawet w roku szkolnym. Mają takie godziny pracy, żeby nie było ich widać.

– Strasznie to dziwaczne – stwierdzam.

– Kwestia wizerunkowa.

– Niemniej dziwaczne.

Staram się zwracać uwagę na każdą ścieżkę, w którą skręcamy, i wszystkie mijane ogrody i ławki, ale mam wrażenie, że Brendan idzie zupełnie inną drogą niż wczoraj Ashton i Sophia.

– Jak ci minęła reszta wieczoru? – pyta, okrążając klon z intensywnie czerwonymi liśćmi, rosnący na niedużym trawiastym wzgórzu. Zatrzymuję się. Brendan odwraca się i na widok mojej miny ściąga brwi. – No co?

– Ty wszystko *wiesz*. – To oskarżenie.

– I? – pyta, jakbym nie należała do osób szczególnie bystrych. W jego głosie nie słyhać choćby śladu wyrzutów sumienia. Nie potrafię go rozszyfrować, co doprowadza mnie do szału. Może jego arogancja koliduje z moją umiejętnością wykrywania kłamstw i kłamców.

– Kiedy byłeś w moim pokoju? I czemu ze mną pogrywasz? – pytam ostro, tracąc cierpliwość.

– Hmm... sama mnie wpuściłaś, *dziś rano*, po tym, jak *zapukałem*. I wcale z tobą nie pogrywam, choć chętnie bym się pobawił...

– Jeśli to powiesz, to cię walnę, i wcale nie w twarz – syczę. – Przestań zachowywać się jak dupek. Mówię poważnie. Wczoraj wieczorem ktoś był w moim pokoju. A ty twierdzisz, że *wszystko* wiesz. Skoro nie byłeś to ty, to w takim razie kto?

– Chciałbym móc odpowiedzieć na to pytanie, Księżniczko, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał – warczę.

– No tak. Bo tak naprawdę jesteś *Wrózkową Księżniczką*, prawda?

Szok sprawia, że nogi wrastają mi w ziemię. Brendan uśmiecha się drwiąco i rusza z miejsca. Mija niewielki staw otoczony kamiennymi ławkami. Puls mi przyspiesza. Obserwuję, jak porusza się ze swobodną pewnością siebie, jakby przed chwilą nie przyznał się do tego, że wie o Allie. Co oznacza, że ma dostęp do danych innych niż tylko moje akta w tej szkole.

Nie mam bladego pojęcia, co jest jego przekleństwem, gdyż ani jedna z jego cech nie jest na tyle pozytywna, żeby zrehabilitować go w moich oczach za całą resztę. On sam i tak żadnej jakości szczególnie nie ceni.

Z wściekłością ruszam za Brendanem i chwytam go za ramię. Jest silniejszy niż mogłoby się wydawać. Równie dobrze mogłabym próbować ruszyć drzewo. W końcu ustępuje i patrzy na

mnie.

– Ile o mnie wiesz?

– Wystarczająco.

– Przysięgam...

– Jesteś urocza, kiedy tak się wściekasz i grozisz. Jak leśny chochlik w stylu *Atomic*

Blonde.

Przydeptuję mu z całych sił stopę. Zabiera nogę, klnąc pod nosem.

– Za co, kurwa?

– Mów!

W jego oczach pojawia się gniew.

– Nie pasujesz do tego miejsca.

– Słucham? – Nie spodziewałam się, że powie coś tak... oczywistego.

– Istnieją wymogi związane z przyjęciem do Blackwood, a ty ich nie spełniasz. Może jedynie ten, że jesteś porąbana i masz mózg. Nie jesteś materiałem na studentkę Ivy League. Twoja rodzina nie jest zamożna ani nawet godna uwagi. Ta szkoła ma reputację, a ty się w nią nie wpasowujesz. Czemu więc tu jesteś, Lano? Z powodu tego, co się wydarzyło tamtej nocy? A może z powodu osoby, z którą wtedy byłaś?

Przez chwilę brak mi słów. Nie tak trudno połączyć ze sobą kropki. Ale dlaczego Niall załatwił mi przeniesienie właśnie *tutaj*? W jaki sposób chroni to Joeya i Parkera? I skąd Brendan wie o wszystkim? W żadnym raporcie nie pojawiła się wzmianka o tym, w czym byłam wtedy towarzystwie...

– Ile wiesz z tego... co wydarzyło się tamtej nocy? – Ostrożnie dobieram słowa, żeby się do niczego nie przyznać.

– O co naprawdę pytasz, Lano?

– Znasz prawdę?

Tym razem to on się zatrzymuje i patrzy na mnie zdeprymowany.

– Prawdę? – Przygląda mi się uważnie, a w jego oczach pojawia się błysk. – Teraz to mnie zaintrygowałaś. Prawda to jedyne, co warto wiedzieć. Co ukrywasz, Lano Peri?

– Nie po to zadałam to pytanie! Ja po prostu... muszę wiedzieć, co *ty* wiesz.

– O Allison?

– Allie – poprawiam go.

– To paskudne, co się z nią stało. – Współczucie nie dociera do jego oczu. Może to socjopata i dlatego nie jestem go w stanie rozgryźć. Nie ma w nim emocji, które mogłabym odczytać.

– Czy ona...? – Przełykam ślinę. – Czy ona żyje?

– Sprawa nadal dotyczy napaści, nie zabójstwa, jeśli to właśnie masz na myśli.

Nieco się rozluźniam. Ale fakt, że Brendan wie o tym wszystkim wytrąca mnie z równowagi.

– Zrobiłaś to? Zepchnęłaś ją? – Zadaje te pytania tak spokojnie, jakby moje ewentualne potwierdzenie by go nie zaskoczyło.

Zaciskam usta. Moje spojrzenie wwierca się w jego czaszkę.

Ruszam gniewnie przed siebie, nie mając pewności, czy idę we właściwym kierunku. Ale w tej chwili nie jestem w stanie przebywać w odległości metra od niego. Odkąd się poznaliśmy, próbował się dostać do mojego umysłu, aż w końcu mu się udało. Nienawidzę go za to jeszcze bardziej.

– Idź w prawo! – woła, kiedy zbliżam się do rozwidlenia dróg. Kiedy skręcam, dostrzegam geometryczne rośliny prowadzące do stolików z parasolami.

••••

Decyduję się tylko na banana, muffinkę i mrożoną kawę, bo po drodze straciłam apetyt. Kieruję się ku stolikowi w kącie. Na stołówce nie ma nikogo oprócz mnie. Nadal nie poznałam piątego ucznia, który ma nam towarzyszyć.

– Cześć.

To słowo wyrywa mnie ze stanu zamyślenia i widzę, że obok mnie siada Ashton z kubkiem kawy i bogatą w tłuszcz kanapką z jajkiem i serem. To jedzenie na kaca.

– Wielkie dzięki, że wczoraj mnie wpuściłaś. Miałabym przerąbane, gdyby mnie złapano.

– Nie ma sprawy.

– Co robiłaś na dole?

Zanim Ashton zdąży udzielić mi odpowiedzi, dosiada się do nas Brendan. Na jego talerzu dostrzegam jajka w koszulkach, grillowanego pomidora i szparagi. Krzywię się. To nie jest jedzenie śniadaniowe. A przynajmniej nie dla osób, które nie przekroczyły czterdziestki.

– Dzień dobry, Ashton. – Jego spojrzenie prześlizguje się po jej sylwetce. – Umówiłyście się, że ubierzecie się tak samo?

Ashton ma na sobie podartą bluzę i spodnie dresowe. Włosy związała w niski koczek, z którego wystają luźne pasma. Mimo kaca i ani odrobiny makijażu wygląda olśniewająco.

– Och. – Ton Ashton sugeruje, że czuje się winna. – Poznałaś Brendana.

– Ktoś musiał dotrzymać jej towarzystwa.

Wydaję taki odgłos, jakby chciało mi się wymiotować.

– Bawiłaś się wczoraj w stodole ze swoimi zabawkami? – pyta ją nieporuszony Brendan.

Jedyną odpowiedzią Ashton jest diaboliczny uśmiech. Odgryza spory kęs kanapki.

– Nie mam pojęcia, jak to robisz. Pijesz ciepłe piwo, słuchasz muzyki country i siedzisz na belach siana z ludźmi, z którymi nie masz absolutnie nic wspólnego.

– A co innego jest tutaj do roboty?

Brendan posyła jej znaczące spojrzenie, a ona tłumii uśmiech.

– Co to takiego ta stodoła? – pytam.

– Porzucona stodoła w lesie, niecały kilometr stąd – wyjaśnia Ashton. – Niektórzy z nas wymykają się tam latem, żeby imprezować razem z lokalsami. Ta miejscina jest taka mała, a dopóki wszyscy nie wrócą, niewiele jest tu do roboty. Muszę improwizować, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Zabiorę cię tam kiedyś.

– Mmm, może – odpowiadam. Nie jestem przekonana, czy potrzebuję akurat takiej rozrywki.

Brendan wydaje się rozbawiony moją reakcją, ale jej nie komentuje.

– Pracujesz dzisiaj? – zadaje pytanie Ashton.

– Wiesz, że tak. – Ashton odsuwa pusty talerz. Zerka na zegarek i rzuca do mnie:

– Chcesz wrócić do akademika? W sumie powinnyśmy się szykować. Za godzinę przyjeżdża po nas bus.

Spoglądam na Brendana, który przygląda się nam z ciekawością, jakby naszym celem było zapewnianie mu rozrywki.

– Jasne.

Zabieram ze sobą kawę i zostawiam Brendana samego.

– Sorki, że zapomniałam ci o nim powiedzieć – mówi Ashton, kiedy wychodzimy na dziedziniec. Może tym razem uda mi się w końcu zapamiętać drogę. – Przespałaś się z nim wczoraj?

– Co? – wołam. – Fúj!

Ashton posyła mi takie spojrzenie, jakbym była wariatką. Może moja reakcja była nieco zbyt teatralna.

– Spokojnie. Ja nie oceniam. Niewielu z nas może sobie na coś takiego pozwolić.

Patrzę na nią zaskoczona.

– A ty?

– Brendan jest dobry w te klocki. – Wzrusza ramionami. – I przynajmniej uczciwy.

Szanuję to.

– Więc jest szkolnym...

– Nic nie mów. – Wchodzi mi w słowo, nim zdążę przypiąć mu jakąś łatkę.

Milczę. Nie sądziłam, że warto go bronić.

– To przyjaciel – wyjaśnia Ashton. – Kumam, dlaczego możesz go nie lubić. Nie rozumie, co to granice, i powinno się na niego uważać. Ale jest autentyczny. Brendan otwarcie przyznaje się do tego, kim jest. I dlatego to jedna z niewielu osób w tej szkole, którym ufam.

Teraz to rzeczywiście nie wiem, co powiedzieć.

– Poza tym jest w stanie załatwić dosłownie wszystko.

– Za odpowiednią cenę – warczę.

– Ale czy w życiu wszystko nie ma swojej ceny? – pyta z prostotą.

Postanawiam zmienić temat, bo nie potrafię ogarnąć tego, że Brendanowi można ufać.

– No więc gdzie pracujemy?

– Och, biedactwo. Twój ludzie są dla ciebie naprawdę okrutni, co?

Nie odpowiadam, bo nie sądziłam, że Niall jest właśnie taki... aż do wczoraj.

– W country clubie Kingston. – Ashton skreca w ścieżkę porośniętą wysoką trawą.

Próbuję to zapamiętać. – Nie jestem pewna, do czego nas przydzielą, ale liczę, że trafimy na pole golfowe.

– Na pole golfowe? – Boję się, że będę musiała taszczyć torby ze sprzętem większe niż ja sama. – Jesteś pewna?

Uśmiecha się.

– To właśnie jest najfajniejsze.

••••

Półtorej godziny później wysiadamy z busa, który bardziej przypomina wielką limuzynę. Droga strasznie się dłużyła i mijaliśmy niezliczoną liczbę drzew, farm i łąk.

Razem z Ashton wchodzimy do budynku wejściem służbowym. Ten country club jest zupełnie inny niż ten, w którym miałam okazję być w Oaklawn. Pole golfowe znajduje się za głównym budynkiem. Wygląda bardzo malowniczo dzięki wzgórzom i intensywnie zielonym drzewom. Wielki budynek ma dach pokryty żółtymi gontami, wielką werandę i wieżyczkę w jednym rogu.

– Są dwa wejścia dla pracowników – wyjaśnia Ashton. – Tędy akurat wchodzi się do Greens, a po drugiej stronie budynku znajduje się drugie wejście. Zależy od tego, na co ma się przydział. Greens to restauracja dla członków grających w golfa i tenisa. Czasem jeżdżą tu także rodziny, ale one najczęściej bywają w The Deck nad basenem.

Idziemy korytarzem, mijając pracowników ubranych w spodnie khaki, koszulki polo i białe adidasy. Tylko te ostatnie kazano mi ze sobą przywieźć. Liczę, że dzięki mojemu doświadczeniu skierują mnie do kelnerowania, a nie pracy w terenie w jakikolwiek sposób związanej z golfem. Ledwo potrafię grać w minigolfa, a o normalnym mogę zapomnieć.

Udaję się za Ashton do gabinetu, na drzwiach którego wisi tabliczka z napisem „Kierownik Klubu” wydrukowanym złotymi literami.

Za biurkiem siedzi mężczyzna w garniturze. Gabinet jest bardzo mały i w zasadzie mieści się w nim jedynie biurko i krzesła.

– Cześć, Cary – wita się Ashton.

– Ashton! – Mężczyzna posyła jej ciepły uśmiech. – Ty na pewno jesteś Lana. – Wstaje i wychodzi zza biurka, żeby uściskać mi dłoń. – Witaj w naszym zespole.

– Dzięki – mówię z o wiele mniejszym entuzjazmem.

– Ashton zabierze cię do magazynu, skąd weźmiesz stroje służbowe do różnych działów.

– Na formalne okazje także? – pyta zaskoczona.

– Tak – potwierdza Cary. – Od zimy Lana będzie się szkolić, jak obsługiwać eleganckie kolacje.

Oddycham z ulgą. Po minie Ashton wnioskuję, że takie kelnerowanie nie należy do jej ulubionych zajęć, ale to z pewnością jest lepsze niż jazda wózkami golfowymi albo koszenie trawy.

– Kiedy się przebierzecie, oprowadź ją. Dzisiaj obie będzie obsługiwać wózek z napojami, więc na polu macie się zjawić do jedenastej. Lano, po zakończeniu zmiany będę chciał, abyś wypełniła kilka formularzy.

W oczach Ashton pojawia się blask.

– Chodźmy. – Bierze od Cary’ego klucz i prowadzi mnie do drzwi mieszczących się w połowie korytarza. – Weź sobie strój stąd, stąd, stąd i stąd. – Wskazuje różne półki. – Dzisiaj załóż ten. – Ma na myśli spodnie i koszulkę polo. – W zależności od grafiku może ci być potrzebny więcej niż jeden. Ale tym zajmiemy się później. Odniosę klucz Cary’emu, a potem pokażę ci gdzie się logujemy i przebieramy.

Przeglądam uniformy pod kątem odpowiedniego rozmiaru, żeby mieć pewność, że będą na mnie pasować. Z naręczem ubrań wychodzę na korytarz, gdzie czeka już Ashton. Jako że nie mogę się zalogować bez przypisanego numeru pracownika, Ashton jedynie wskazuje terminal, po czym zabiera mnie do szatni.

Poznaję mnóstwo imion i widzę dużo twarzy, na zapamiętanie których mam sześć całych miesięcy, a to dopiero pracownicy. Do tego dochodzą członkowie klubu, których Ashton zna z imienia. To głównie starsi panowie w okropnych strojach do golfa.

Po drodze do budynku klubu mijamy korty tenisowe. Ledwie rzucam na nie okiem, bo nie mają nic wspólnego z moją pracą.

– Lana!

Niemal się potykam, kiedy słyszę swoje imię, dochodzące gdzieś z okolicy kortów.

– Cholera. – Tracę oddech, kiedy dostrzegam kto mnie woła.

W naszą stronę biegnie Parker Harrison w białych szortach i granatowej sportowej koszulce. Za nim z dwiema raketami podąża najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziałam w życiu. A w końcu stoję obok Ashton, więc to naprawdę znamienne. Przeklinam ukłucie zazdrości, które wbija mi się w żołądek.

– Parker – mówię spokojnie, ignorując to, czego doświadczam na jego widok. – Co tu robisz?

– Powinienem zapytać cię o to samo. – Przytula mnie mocno. Ze skrępowaniem oddaję uścisk, bo gdybym trzymała ręce wzdłuż tułowia, sytuacja zrobiłaby się jeszcze bardziej żenująca. Blondynka z nieskazitelną porcelanową cerą, krystalicznie błękitnymi oczami i pełnymi ustami w kolorze malin uśmiecha się do mnie promiennie, jakby ją także ucieszył mój widok. Jestem skonfundowana jej reakcją, gdyż Parker nie przytula mnie jak dawno niewidziany znajomy. W sposobie, w jaki jego ramiona obejmują moje ciało, widać pewną zaborczość. Muska ustami moją szyję.

– Martwiłem się o ciebie.
Nie puszcza mnie i aby się uwolnić, muszę wcisnąć między nas ręce.
– Ciebie też dobrze widzieć. Sądziłam, że twój tata powie ci, co się stało.
– Nie. Niewiele. Wiedziałem, że trafisz do Blackwood, ale nie wiedziałem kiedy ani że będziesz tu pracować.
– Cóż... no to jestem – oświadczam, rozkładając szeroko ramiona, dojmująco świadoma tego, że przyglądają nam się obie dziewczyny.
Parker dostrzega, że ponownie zerkam za niego, i ujmuje moją dłoń, po czym odwraca się do swojej towarzyszki.
– Lily, to jest Lana. Lano, to moja kuzynka, Lily.
Kuzynka? W sumie to *może* i widzę podobieństwo... w oczach... trochę. Ale szczerze? W życiu bym nie odgadła, że są spokrewnieni.
– Cześć – odpowiadam i kiwam lekko głową. – Eee... fajnie cię było spotkać. – Próbuję wyrwać dłoń z jego uścisku. – Ale muszę wracać do pracy. – Wiem, że grzeczność nakazuje, abym przedstawiła go Ashton, ale nie chcę być grzeczna. Wcale nie chcę tutaj być.
– Hej, Ashton – odzywa się Lily. – Znasz Parkera? – Przez jej dobre maniery czuję się jak idiotka.
Ashton uśmiecha się do niego tak jak większość dziewczyn. Jakby to był odruch. Tyle razy już to widziałam, że mam ochotę przewrócić oczami. Miałam o Ashton lepsze mniemanie. No ale z drugiej strony sama jestem jedną z jego ofiar.
– Nie. Nie mieliśmy się okazji poznać, ale słyszałam o tobie.
Ku mojemu zdziwieniu Parker splata palce z moimi i obdarza ją uprzejmym skinieniem i uśmiechem, którym zawsze zdobywa to, czego chce.
– Miło cię poznać. Nie pogniewasz się, jeśli przez chwilę porozmawiam z Laną na osobności?
Ashton zerka na zegarek.
– Za dziesięć minut musimy się zjawić przy wózku.
– Wystarczy mi pięć – mówi Parker, a ona odruchowo się uśmiecha.
– Jasne.
Parker obejmuje mnie w talii i odciąga od dziewczyn, walcząc z moim oporem.
– No co?! – warczę, wrywając się z jego objęć, kiedy tylko odchodzimy wystarczająco daleko.
– O co chodzi z tym „no co”? – pyta z konsternacją. – Nie widziałem cię od niemal miesiąca. A ostatni raz spotkaliśmy się tamtej nocy, kiedy...
– Wiem kiedy – wchodzę mu w słowo i się rozglądam, bojąc się, że ktoś może nas usłyszeć.
– Lano, czuję się w pewien sposób odpowiedzialny.
– Dlaczego? Nie zrobiłeś nic złego. – Po chwili dodaje: – Prawda? – Bo przecież nie wiem, co stało się z Allie po tym, jak zostawiłam ją na klatce schodowej... pod opieką Parkera i jego ekipy.
– Nie – zapewnia mnie. – Ale nie daje mi spokoju myśl, że powinienem był zrobić więcej. Aby nie dopuścić do twojego... – Zniża głos i kończy szeptem: – ... aresztowania.
– Cóż, nakłoniłeś swojego tatę do tego, żeby mnie reprezentował. Choć w tej akurat chwili wcale nie jestem pewna, czy wyszło mi to na dobre.
– Dlaczego? Co się stało?
– Jestem *tutaj*. Na cholernym zadupiu.
– Lepiej być tutaj, uwierz mi.

– Nie pasuję do tej szkoły. To nie jest moje życie, Parker.
– Mogłoby być – mówi takim tonem, jakby podobała mu się taka ewentualność.
– Co takiego? – Wpatruję się w niego, jakby postradał rozum.
– Mówię jedynie, że otrzymałaś niesamowitą szansę. Wykorzystaj ją. Może się okazać, że pasujesz tu bardziej, niż ci się może wydawać.
– Dlaczego? Wstydzisz się tego, kim jestem?
– Nie! – Otwiera szeroko oczy. – Ale zasługujesz na szansę osiągnięcia czegoś w życiu.
Jęczę.
– Mam dosyć słuchania, że muszę być *kimś*. To jedna wielka bzdura.
– Lana, musimy się zbierać! – woła do mnie Ashton.
Zaczynam się odwracać, ale Parker chwytą mnie za ramię. Mierzę wzrokiem najpierw jego dłoń, a potem twarz. Unoszę brew. On mnie puszcza.
– Ten tydzień spędzam razem z Lily w domu mojej rodziny nad jeziorem. Przed wyjazdem muszę się z tobą spotkać.
Jakby nas słyszała, Lily oświadcza:
– Wieczorem robię imprezkę. Musicie przyjść, dziewczyny. Wiesz, gdzie jest nasz dom, prawda, Ashton?
– Tak. Ale nie wiem, czy Lana...
– Poproszę tatę, aby załatwił jej przepustkę – kończy Parker, jakby wiedział, co moja towarzyszka chce powiedzieć.
– Okej. – Ashton się uśmiecha. – W takim razie do wieczora.
Poirytowana jestem tym, że decyzję podjęto za moimi plecami. Więc żeby zachować się jak żołą, mówię:
– Może. – I odchodzę.
– Lana! Lepiej się zjaw! – woła Parker.
Zgrzytam zębami i zaciskam dłonie w pięści, kiedy idziemy na tył budynku klubu. Kątem oka dostrzegam absurdalny uśmiech Ashton. Wygląda, jakby nas rozgryzła i świetnie się przy tym bawiła.
Otwieram usta, żeby zaprzeczyć jej założeniom, ale po chwili je zamykam.
– Bez wzajemności, co? – śmieje się.
Jestem tak zirytowana, że z mojego gardła wydobywa się tylko jęk frustracji. Ashton śmieje się jeszcze bardziej.
– Masz ochotę się tam wybrać? Nie jestem pewna, czy ci pozwolą, bo to dopiero twój drugi wieczór. Nowicjusze przez pierwszy miesiąc mają różne ograniczenia, no ale nie wspominałaś, że twoim prawnikiem jest Niall Harrison.
– Znasz Nialla?
– Oczywiście. Jeden z najlepszych. Kto jak kto, ale ja doskonale o tym wiem.
– Serio? – pytam zaintrygowana.
Ashton uśmiecha się szelmowsko.
– Nikt nie przyjechał do Blackwood bez powodu, pamiętasz?
Śmieję się.
– Lily zawsze organizuje niesamowite imprezy. Będzie fajnie. I poświęcę się, żeby ocalić cię przed Parkerem. – Mruga do mnie, a ja przewracam oczami.
– Pójdę – mówię i wzdycham z rezygnacją.
Moim oczom ukazuje się wózek golfowy, a raczej bar na kółkach z półkami z napojami i przekąskami na znajdującej się z tyłu chłodziarnie.
– Hej! – woła Ashton do chłopaków wrzucających lód do chłodziarek.

Blondyn się prostuje. Ja pierdzielę, ależ on jest wysoki. Ma sporo więcej niż metr osiemdziesiąt, czyli dla mnie jest olbrzymem. I... wpatruję się w niego. Bo jest doskonały. Doskonały jak greccy bogowie uwiecznieni przez rzeźbiarzy.

Chłopak z ciemnymi włosami, który stał tyłem do nas, teraz się odwraca.

– Ale super! Nowa laska.

– Przymknij się, Rhett – rzuca ostrzegawczo Ashton. – Grant, to jest Lana. Lana, to Grant... i gnojek.

– Hej, Ash, to zabolalo. – Ciemnowłosy gnojek chwyta się za serce.

– Cześć – mówi Grant ze szczerym uśmiechem.

– Cześć – odpowiadam w osłupieniu, ze wszystkich sił walcząc, żeby nie odwzajemnić tego uśmiechu. Wiem, że jeśli to zrobię, będę wyglądać jak jedna z tych dziewczyn o maślanym spojrzeniu. A tego za nic nie chcę. Przygryzam więc wargę, co także okazuje się kiepskim pomysłem, bo teraz wyglądam, jakbym próbowała zachowywać się uwodzicielsko. Błagam, niech mnie ktoś ocali przede mną samą.

Na twarzy Granta widnieje lekki rumieniec, pewnie od dźwigania dużych worków z lodem. Ma rumianą, skandynawską cerę, która łatwo się opala – na razie dopiero zaczęła – ale także szybko rumieni. Jego blond włosy jeszcze bardziej pojaśniały od słońca i teraz błyszczą w nich pasemka w odcieniach złota i miodu.

Robi mi się gorąco w policzki i muszę odwrócić wzrok, bo ja się *nigdy* nie rumienię, a teraz zaczyna mi się kręcić w głowie. W porządku. Ten chłopak jest piękny. Ale czemu, u licha, zachowuję się jak zafascynowana małolata?

– Tablet naładowany. W pudełku jest gotówka. Wózek gotowy do pracy – mówi Grant do Ashton. Po czym dodaje do nas obu: – Bawcie się dobrze.

– Widzimy się przy dziewiątym dołku – rzuca gnojek i sugestywnie porusza brwiami, a ja się w duchu wzdrygam. Grant śmieje się na widok mojej reakcji. Uśmiecham się do niego, po czym ponownie wbijam wzrok w ziemię. Przysięgam, moje ciało objęła w posiadanie rozchichotana trzynastolatka.

– Spadaj, zboczeńcu. Chyba nie chcesz, żeby Lana już pierwszego dnia musiała wystąpić o zakaz zbliżania – rzuca do niego Ashton.

Wsiada do wózka, a ja zajmuję miejsce dla pasażera. Kiedy Ashton przekręca kluczyk, zaczynam mieć wrażenie, że siedzę w cholernej kosiarce. Sądziłam, że pojazd będzie o wiele cichszy.

Wózek pika, kiedy Ashton wycofuje, a gdy ruszamy do przodu, aż podskakuję. Muszę się chwycić poręczy, żeby nie wypaść.

– Przyzwyczaisz się – zapewnia mnie koleżanka, kiedy jedziemy utwardzoną ścieżką prowadzącą na pole golfowe. – Więc... podobają ci się porządni faceci. W życiu bym nie zgadła – dodaje z niemądrym uśmiechem.

– Co takiego?

– Grant. Widziałam.

Przewracam lekceważąco oczami. Tylko dlatego, że jakoś nie znajduję odpowiednich słów, aby opisać to, co się wydarzyło. Nie do końca sobie ufam, bo tylko raz zachowałam się jak idiotka przy innym facecie i nie skończyło się to dobrze.

– W porządku. To znaczy, jeśli już masz do kogoś wzdychać, to Księżę Filip na to zasługuje.

– Nazywasz go Księciem Filipem? Jak w „Śpiącej królowie”?

– Tak! – śmieje się. – Niewielu rozumie aluzję. Na nazwisko ma Philips. No i cóż, jest cholernym księciem jak z bajki.

– Żartujesz? – pryham z niedowierzaniem.

– W żadnym razie. To porządny facet. W życiu bym nie pomyślała, że to twój typ.

– Ja go nawet nie znam! – protestuję słabo. – Poza tym skąd wiesz, że to porządny chłopak?

Kącik ust Ashton unosi się w chytrym uśmiešku.

– Bo nie jest w *moim* typie.

Rozdział 6

Pewnego dnia, kiedy Thaylina zbierała w lesie zioła i jagody, usłyszała przecudny śpiew. Ten urokliwy głos zwabił ją głęboko w las, aż dotarła do zacienionej postaci w ciemnozielonej pelerynie.

- Co robisz sama w lesie? – zapytał dziewczynkę głęboki, dźwięczny głos.
- Co robisz sam w lesie? – zapytała Thaylina.
- Czekam na ciebie. – Jej oczom ukazał się wysoki, przystojny mężczyzna z przebiegłym uśmiechem, błyskiem w oku i ostrymi zębami. – No i oto się zjawiaś.

Do szesnastej przekonałam się, że golfistom po dziewiątym dołku łatwiej się rozstać z piątakami i dychami niż większości klientów Stella's z jednodolarówkami. I choć za pracę tutaj nie otrzymam żadnego wynagrodzenia, nikt nie odbierze mi napiwków, jakie dostaję jako dziewczyna od przekąsek i napojów. Nie mam pojęcia na co będą mi tu potrzebne pieniądze, ale fajna jest świadomość, że je mam – na wypadek, gdybym musiała wysłać trochę kasy do domu.

Dowiedziałam się także, że w przeciwieństwie do Stella's w country clubie przestrzega się przepisów o sprzedaży alkoholu. Jako że jestem niepełnoletnia, mogę serwować tylko wodę, napoje gazowane i energetyki, no i oczywiście przekąski. Ashton dwa miesiące temu skończyła osiemnaście lat i tego lata została mianowana główną wózkową. Na szczęście *ona* ma w nosie przepisy i kiedy czekałyśmy, aż golfiści trafią w cholerną piłkę, do coli dołała nam szczydrcze rumu.

No i dowiedziałam się dzisiaj czegoś jeszcze... golf jest *nudny*! Jako że nasz wózek jest głośny i napędza go ropa, nie wolno nam jechać przez pole, jeśli ktoś szykuje się do uderzenia albo odbicia. Czekanie, aż gracze, głównie mężczyźni, oddadzą wszystkie uderzenia i odbicia, to istna tortura.

Jeden z fajniejszych momentów popołudnia nastąpił wtedy, kiedy dotarliśmy do budki przy dziewiątym dołku i w oczekiwaniu na ponowne zaopatrzenie wózka mogłyśmy się schłodzić w klimatyzowanej łazience. Także tam poznałam Stefana, głównego barmana. Nie w łazience, ale w Barze Dziewiątka. Roztaczał wokół siebie specyficzną atmosferę tajemniczości i intelektualizmu. Ashton mi powiedziała, że to absolwent Columbii, który od szesnastego roku życia pracuje w klubie każdego lata. W letnim domu swojej rodziny organizuje regularnie imprezy i nie dba o to, kto się na nich zjawia, co oznacza, że wstęp mają ludzie w każdym wieku. Jemu chodzi jedynie o *dobrą energię*.

– Myślę, że całował się z połową dziewczyn z personelu, no i z kilkoma żonami członków – poinformowała mnie Ashton, kiedy balansowałyśmy jedną stopą na ubikacji i opierałyśmy się o blat, żeby wydmuchiwane przez klimatyzator powietrze znalazło bezpośrednią drogę pod nasze pachy. – Ale uchodzi mu to na sucho. Z jakiegoś powodu wszyscy go lubią. Wszyscy. Wokół niego istnieje niesamowite pole magnetyczne, które przyciąga ludzi, a jeśli część tych ludzi go całuje, jemu to pasuje. Nic wielkiego.

Choć poznałam go zaledwie kilka minut temu, doskonale rozumiem, co Ashton ma na myśli.

- Widzimy się wieczorem u Lily? – pyta Stefan, kiedy wsiadamy z powrotem na wózek.
- Nie może być inaczej! – woła do niego Ashton, po czym dodaje nieco za dużo gazu, a ja niemal wylatuję ze swojego miejsca. Wydaję zaskoczony okrzyk, a ona zaczyna się śmiać.

Wtóruję jej. To rzeczywiście było zabawne.

– Jak się dostaniemy do domu Lily? Masz na kampusie samochód?

– Nie wolno nam ich mieć, ale coś wymyślę. Nie martw się.

••••

Przekonuję się, że faktycznie nie miałam się czym martwić, kiedy schodzę po schodkach wiodących z budynku głównego i dostrzegam Parkera, czekającego obok swojego land rovera.

A może jednak powinnam się lekko martwić.

– O co tu chodzi? – pytam, ale brzmi to raczej jak oskarżenie. Tyle że nie wiem, do kogo je skierować.

– Mówiłem, że załatwię ci przepustkę. – Parker otwiera drzwi od strony pasażera.

– Zabrałaś strój kąpielowy?

Otwieram drzwi z tyłu, pozwalając, aby z przodu usiadła Ashton. Parkerowi rzadnie mina, kiedy nie robię tego, czego się spodziewał.

– Mamy – oświadcza Ashton, unosząc złotą torbę na ramię. – Dzięki za podwózkę. To takie miłe z twojej strony.

– Nie ma problemu. – Zamyka za sobą drzwi. – Przed wyjazdem chciałem spędzić trochę czasu z Laną. – Poprawia lusterko tak, że spojrzenie intensywnie niebieskich oczu kieruje teraz na mnie.

Nie da się go unikać, zwłaszcza, że nie będzie tam Niny, która mogłaby odwrócić jego uwagę. I nie chodzi o to, że go nie lubię. Parker jest czarujący, inteligentny i cechuje go nieodparta pewność siebie, która jest niesamowicie seksowna. Ale w kontaktach z nim z wielu powodów muszę wznosić wokół siebie mur, zwłaszcza wtedy, kiedy mam go ochotę zburzyć.

– To będzie duża impreza? – pytam, kiedy przejeżdżamy przez bramę z kutego żelaza. Po obu stronach drogi widać tylko drzewa. Rzeczywiście można odnieść wrażenie, że jesteśmy jedynymi mieszkańcami tego miasteczka. Strasznie to dziwne.

– W sumie to nie wiem – odpowiada Parker. – To Lily wszystkich zapraszała.

– Wszyscy znają Lily – wtrąca Ashton. – To twoja kuzynka, tak? Wspominała coś o tym, że dzielicie dom rodziny jej matki?

– Zgadza się. – Na wzmiankę o swojej rodzinie Parker zerka na mnie w lusterku, pewnie próbując wyczytać coś z mojej twarzy. Ponieważ owszem, milcząco pytam, czy będzie tam Joey. Ledwie dostrzegalnie kręci głową, a ja oddycham z ulgą. Wolałabym nie spotykać się z nim przez całe lato, a może nawet i życie. – Ale Lily korzysta z niego częściej niż my, zwłaszcza latem. Moja matka zatrzymuje się tam podczas roku szkolnego, skąd jeździ do Dartmouth. Ja nie bywam tam prawie wcale. Dla mnie jest tu za spokojnie. Wolę duże miasto.

Nie zaskakuje mnie jego odpowiedź. Może rzeczywiście łączy nas więcej, niż jestem skłonna przyznać.

Przez resztę drogi Ashton zasypuje Parkera pytaniami i choć poruszamy się w obrębie jednej miejscowości, do domu Lily dojeżdżamy dopiero po pół godzinie. Nie bez winy pozostaje także to, że kiedy w końcu skręcamy w drogę wiodącą do domu nad jeziorem, okazuje się ona gruntowa i mocno wyboista, przez co Parker musi jechać z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę.

Wielki, luksusowy dom leży na uboczu, w otoczeniu gęstego lasu. Na rozwidleniu dróg dostrzegłam na drzewach niewielkie drewniane tabliczki z numerami, zapewne prowadzące do innych domów; stąd ich jednak nie widać. Cały podjazd, aż do linii drzew, jest zastawiony samochodami. Parker mija je, dociera do okrągłego placu przed samym domem i parkuje na drugiego obok audi coupe tuż przed wejściem.

Choć jest jeszcze jasno, w drewnianym domu pozapalane są wszystkie światła. Po wejściu słyszymy, że muzyka odbija się od wysokiego sufitu i wylewa się na zewnątrz przez otwarte drzwi w tylnej części domu. Mam tylko chwilę, aby rozejrzeć się po supernowoczesnym salonie ze skórzanymi obiciami, granitem i szkłem oraz kuchni z marmuru i błyszczącej stali nierdzewnej, bo zaraz porywa nas skumulowana na zewnątrz energia. Impreza odbywa się na dwupoziomowym tarasie połączonym z wcinającym się w wodę pomostem. Ludzie rozmawiają, śmieją się, pływają i jedzą. Jest jak na wielkim grillu, tyle że fajniej. Wszyscy są ubrani tak, jakby właśnie zeszli z jachtu albo przylecieli prywatnym odrzutowcem – luksus i swoboda.

Zauważyłam to także dzisiaj w country clubie, ale może jestem na coś takiego bardziej wyczulona niż inni, bo nie miałam w życiu styczności z bogactwem, ale od razu było widać, kto jest zamożny, a kto nie. I nie chodziło wcale o to, że ktoś jest pracownikiem klubu, a ktoś członkiem. Dlatego że w country clubie razem z miejscowymi pracują uprzywilejowani uczniowie i studenci, uczęszczający do szkół prywatnych i college'ów. A ci zamożni wcale nie byli bardziej atrakcyjni czy lepiej ubrani. Szczerze mówiąc, niektórzy są zupełnie pozbawieni gustu. Ale wyróżnia ich sposób, w jaki mówią i się poruszają, i generalnie cała ich postawa – wyprostowane plecy, beztroski śmiech i swoboda, z jaką robią... wszystko. Myślę, że gdyby Ashton została odcięta od funduszu powierniczego, i tak miałaby w sobie to coś, co woła głośno, że wychowywała się w bogactwie. Zakorzeniło się to w jej DNA.

A tutaj, na imprezie Lily, wręcz cuchnie przywilejami i zamożnością. Krztuszę się tym, jakbym weszła do pokoju pełnego palaczy – jedyną osobą zwracającą uwagę na dym jest ta, która nie pali. Ten dym mi nie przeszkadza, o ile tylko nikt nie wydmuchuje mi go w twarz.

Parker trzyma rękę na dolnej części moich pleców i mną kieruje. Wzrokiem błagam Ashton, aby go przejęła, a ona robi minę mówiącą, że się stara. Ale Parker wie, co robi, i bez względu na to, kto do niego podchodzi czy jaką przeszkodę musimy ominąć, pozostaje przyklejony do mnie. A ja naprawdę muszę się uwolnić... dopóki jeszcze tego chcę.

– Jesteście! – Przed nami staje Lily. Ma na sobie różową górę od bikini i białe, króciutkie pareo. Włosy związała w wysoki kucyk, a jej cera wręcz promienieje. Po raz kolejny zaskakuje mnie to, jak doskonała się wydaje. – Powinnyście przebrać się w stroje kąpielowe. Ashton, wiesz, gdzie na dole są przebieralnie, tak?

– Wiem – przytakuje Ashton. – Zaraz wrócimy. – Bierze mnie za rękę i odrywa od Parkera, nim ten zdąży zareagować, a ja mam ją ochotę ucałować.

– Dziękuję ci – rzucam z wdzięcznością.

– O co chodzi z wami dwojgiem? – Schodzimy z tarasu po schodkach prowadzących na poziom piwnicy. Pcha szklane drzwi i naszym oczom ukazuje się przytulny salonik.

– On i jedna z moich najlepszych przyjaciółek regularnie się bzykają. I choć oboje twierdzą, że to nic takiego, nie tykam nikogo, z kim spotykała się którakolwiek z moich przyjaciółek. Bez wyjątków.

Ashton się śmieje.

– Dziewczyno, albo nie nawiążesz w Blackwood wielu przyjaźni, albo nie będziesz się bzykać z żadnymi chłopakami. Tutaj recykling to konieczność.

– Recykling? – Krzywię się, a Ashton ponownie się śmieje. – Nie planuję zostać tu na tyle długo, aby się tym przejmować.

– Parker wygląda na przyzwoitego gościa, no i zdecydowanie zależy mu na tobie. Nie zamierzam rzucać się na kogoś, kto nie ma ochoty być ze mną. Sorry.

– Wiem. On rzeczywiście nie jest złym facetem. Po prostu... nie ufam sobie i nie potrafiłabym spojrzeć Ninie w oczy, gdyby do czegoś doszło. Wiem, że kłamie, kiedy twierdzi, że mu na nim nie zależy. I choć są dla siebie toksyczni, nie mogę się zapuszczać w te rejony.

Może teraz, kiedy udało nam się wymknąć, łatwiej go będzie unikać.

– W tym akurat mogę ci pomóc.

Kiedy wchodzimy do holu z trzema uchylonymi drewnianymi drzwiami, Ashton wręcza mi kostium.

– Spotkajmy się tutaj. Wyjdziemy razem.

Znika za jednymi z drzwi. Ja wchodzę do drugiego pomieszczenia i okazuje się, że to przebieralnia z prysznicem. I nie wiem, dlaczego akurat to tak na mnie zadziało, ale... Co ja, u licha, tutaj robię?

Kilka minut później wychodzę do holu w czarnym, dość zabudowanym bikini. W sumie wygląda trochę sportowo, ale lepiej trzyma wszystko na miejscu niż tradycyjne bikini ze sznureczkami. Natomiast Ashton ma na sobie strój jednoczęściowy z głębokim dekoltem i wysoko wycięty na biodrach, do tego króciutkie pareo. Dziękuję swoim sandałom na koturnach, że dodają mi choć kilka centymetrów.

– Najpierw drinki na gorze. – Ashton prowadzi nas ku schodom wiodącym do głównej części domu, gdzie na kuchennym blacie stoi rząd butelek z alkoholem i dodatkami.

– Szampana? – pyta, otwierając lodówkę załadowaną po brzegi piwem, winem i szampanem.

– Jasne – odpowiadam. W sumie to nigdy nie piłam szampana. To znaczy na zeszłego Sylwestra kupiliśmy jakąś tanioczę, ale głównie pooblewałyśmy się nim nawzajem. Nigdy nie próbowałam *prawdziwego* szampana. Na pewno nie smakuje gorzej niż ciepawe piwo z beczki.

Biorę od Ashton kieliszek i pociągam łyk. Bąbelki wędrują mi do nosa i chce mi się kichnąć. Krzywię się z niechęcią.

– Nie smakuje ci?

– Muszę się przyzwyczaić i tyle – wyjaśniam. Ashton tłumi śmiech.

– Możesz pić, co lubisz. Nie ma sensu męczyć się z czymś, co ci nie smakuje. Zrobię ci zamiast tego jakiegoś drinka.

Oddaję jej kieliszek.

– Tak będzie lepiej.

Ashton wypija mojego szampana i zaczyna mieszać różne składniki. Potrząsa shakerem, po czym wlewa jego zawartość do szklanki z lodem, a całość ozdabia plasterkiem limonki. Kiedy pociągam pierwszy łyk, czuję miętę, limonkę i jeszcze coś słodkiego. W ogóle nie czuć alkoholu.

– Znacznie lepsze. Dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Mruga do mnie. – Pójdę jako pierwsza, żebyśmy mogły *kogoś unikać*.

Idę za nią. Skręcamy w lewo, schodzimy po schodach i docieramy do jacuzzi.

– Ashton! – woła siedząca w nim dziewczyna w turkusowym bikini.

Ashton przysiada obok niej na krawędzi tarasu. Do wody wkłada jedynie nogi. Usadawiam się obok niej, dyskretnie przeczesując wzrokiem tłum, aby sprawdzić, czy rozpoznaję kogoś z country klubu. Jednocześnie rozglądam się za Parkerem.

– Lano, to jest Kaely. Ona też pracuje w klubie.

Wymieniamy „cześć”.

– Widziałam cię, kiedy siedziałam na recepcji, ale się nie poznałyśmy.

– Och. W końcu nie dotarłyśmy dzisiaj do głównego budynku. W połowie zwiedzania coś nas rozproszyło.

Niemal natychmiast orientuję się, że wokół Kaely nie unosi się aura dobrobytu.

– Do której chodzisz szkoły? – pytam, żeby sprawdzić swoją teorię.

– Liceum w Kingston.

– Mieszkasz tu od dziecka?

– Całe nudne życie – odpowiada z ciężkim westchnieniem. – A przynajmniej takie było

aż do tego lata.

Kątem oka dostrzegam jasnowłosą czuprynę. Odwracam się i widzę, że po pomoście idzie Grant. Biorę dwa duże łyki drinka, żeby nie zrobić czegoś idiotycznego... na przykład go zawołać.

Ashton szturcha mnie w ramię.

– Wiem, że go widzisz. – Odwracam głowę i spojrzeniem błagam ją, aby nie zrobiła niczego głupiego, ale ona tylko się śmieje z mojej paniki.

– Przestań – błagam. – Tylko wszystko pogarszasz. Ja się naprawdę staram, a ty mi wcale nie pomagasz.

Ashton prychna.

– Jeszcze nie widziałam czegoś takiego. Jakbyś nie była w stanie funkcjonować. Zauważyłam to już wcześniej, kiedy byłyśmy przy dziewiątym dołku.

Zamykam oczy, potwornie zażenowana jej aluzją do tego, jak się potknęłam o własne nogi, kiedy Grant wyszedł z budynku z dwoma dużymi workami z lodem na ramionach. W ostatniej chwili udało mi się utrzymać równowagę. A przecież on nawet nie był bez koszuli. Próbowałam przekonać samą siebie, że potknęłam się dlatego, że spodziewałam się zobaczyć Rhetta, a nie Granta, i po prostu byłam zaskoczona. Ale to nie była prawda.

– I jeszcze raz, kiedy się odmeldowałyśmy.

Dosłownie straciłam głos, kiedy Grant odezwał się do mnie, gdy wychodziłyśmy. Powiedział: „Miło cię poznać, Lana”. I tyle. A ja jak ryba walczyłam o oddech. Co to miało, u licha, być?!

Kiedy tylko dzielą nas mniej niż dwa metry, staję się żalną dziewczyną z rozanielonym wzrokiem. I chyba utopię się w jacuzzi, żeby to powstrzymać.

– Przysięgam, ja się nigdy tak nie zachowuję. Nie mam pojęcia, co mi się stało.

– O czym mówicie? – pyta zaciekawiona Kaely.

Posyłam Ashton groźne spojrzenie.

– Lana ma... pewną fobię – rzuca Ashton z drwiącym uśmiechem. – Ale moje zdanie jest takie, że powinnaś stawić czoło swoim lękom. Wcale nie są takie przerażające.

– Co to za fobia? – pyta Kaely, która wyraźnie chce brać udział w rozmowie.

Nie jest tak, że celowo próbuję ją z niej wykluczyć. Ale ja jej naprawdę nie znam, a to nie jest temat, który chcę poruszać... z kimkolwiek. Decyduję się więc na tyle szczerości, ile mogę.

– Miłość.

Ashton nie wyrabia. Musi zasłonić nos, żeby nie tryskał z niego szampan.

– Przestań – besztam ją. – To nie ma nic wspólnego z nim. Naprawdę boję się zakochać. Powiedziałam prawdę.

– Serio? – rozlega się męski głos w rogu jacuzzi, tuż obok mnie.

Kiedy Ashton widzi, kto mnie usłyszał, jej oczy robią się wielkie jak spodki. A ja zbyt się teraz boję, żeby spojrzeć w tamtą stronę.

Czuję, jak jakieś kolano niechcący zderza się z moim. Powoli się odwracam i widzę Granta. Siedzi na pomoście, a nogi ma zanurzone w identycznym jacuzzi. Teraz to chyba rzeczywiście się utopię.

– Nigdy nie byłaś zakochana?

– Nie.

– No to jak możesz się bać czegoś, czego nie doświadczyłaś? – Patrzy mi w oczy, jakby się spodziewał, że znajdzie w nich odpowiedź. Nie mrugam. W ustach mam sucho. I wcale nie jest mi łatwo oddychać.

– Uczę się na błędach innych ludzi. Naoglądałam się, jak po raz kolejny zakochują się

w niewłaściwej osobie. – Jestem zaskoczona tym, że mimo mojego wewnętrznego tumultu mój głos wydaje się silny.

– A co, jeśli ta osoba jest właściwa?

– Tylko się wydaje, że jest właściwa, bo w końcu i tak staje się nieodpowiednia. – Głos mam jeszcze silniejszy, jakby był niezależny od mojego rozedrganego ciała. Nawet mnie zaskakuje obecne w nim przekonanie.

Kąciki ust Granta unoszą się z rozbawieniem.

– Nie przekonasz się, dopóki nie spróbujesz.

– Miłość to nie jest zabawa, którą się *próbuje*, a potem, kiedy się nie udaje, ktoś cię klepie po plecach. Zbyt duże ryzyko. Musiałabym być idiotką, żeby się zakochać. Nie ma mowy, żeby do tego doszło. – Z trudem przełykam ślinę. Coś sprawia, że prawda zbyt łatwo wydostaje się z moich ust.

– Nigdy?

– Nigdy. – W ogóle nie czuję swojego ciała, zatopiona w spojrzeniu Granta.

Kiwa w zamyśleniu głową, kiedy dociera do niego siła mojego przekonania.

Dopijam alkohol i wstaję.

– Potrzebuję kolejnego drinka. Ashton, ty też?

Ona i Kaely wpatrują się we mnie szeroko otwartymi oczami. Wyglądają jak postacie z anime. Pierwsza dochodzi do siebie Ashton.

– Tak. Strasznie chce mi się pić. Kaely, chodź.

Kiedy tylko docieramy do kuchni, uginają się pode mną kolana i osuwam się na taboret.

– Ja pierdołę.

– Pierwsza twoja rozmowa z Księciem Filipem, a ty mu oświadczasz, że nigdy w życiu się nie zakochasz? – Ashton patrzy na mnie z niedowierzaniem. – Omójboże, to było... intensywne.

– Podoba ci się Grant? – pyta zdezorientowana Kaely.

– Co takiego? – Z mocą otrząsam się z pozostałości po tym, co się przed chwilą stało. – Ja go nawet nie znam. – Jedyne tak jestem w stanie obronić się przed tym pytaniem, gdyż moje usta nie chcą się uformować w słowo „nie”.

– Podobno złamałaś tysiąc serc koło jacuzzi, kiedy oświadczyłaś, że nigdy się nie zakochasz.

Jęczę, kiedy obok mnie siada Brendan.

– Co tu robisz?

– Zostałem zaproszony. Tak jak i cała reszta. – Nachyla się ku mnie i zniża głos. – Miło znowu cię widzieć, Księżniczko.

Piorunuję go wzrokiem.

– Napijesz się czegoś, Brendan? – pyta Ashton, stawiając przede mną kolejnego drinka.

– Wiesz, co lubię – odpowiada i puszcza do niej oko. Ashton unosi zalotnie brew, po czym wrzuca do szklanki kilka kostek lodu i zalewa je bursztynowym płynem.

– Doskonale wiem, co lubisz – mówi uwodzicielsko, stawiając przed nim szklankę.

Muszę stąd odejść, zanim puszcze pawia. Podchodzę do okna, z którego rozciąga się widok na jezioro. Ludzie siedzą na pomoście z nogami w wodzie. Inni skaczą do jeziora, a kilka osób pływa na nadmuchiwanym fotelach.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie nauczyłam się pływać. W Sherling jest basen i często tam chodziłyśmy, kiedy byłam mała. Pamiętam także, że mama raz czy dwa zabrała mnie nad jezioro razem z innymi dziećmi z naszej rodziny, ale szczegóły zdążyły mi umknąć. Nie pływam jakoś szczególnie dobrze. Ale w pewnym momencie w życiu nauczyłam się, co trzeba robić, żeby

utrzymać się na powierzchni. To chyba wiele mówi o moim życiu tak w ogóle.

– To nie jest twój typ – oświadcza Brendan. Staje obok mnie i również patrzy przez okno.
– Ma w sobie zbyt wiele... prawości dla ludzi takich jak my.

– Jak my? – Posyłam mu urażone spojrzenie. – Nie porównuj mnie do siebie.

– Ujmę to tak: my jesteśmy w Blackwood, on w Printz-Lee.

– No i? – Nie wiem, czemu przyjmuję postawę obronną. Powinnam mieć w nosie to, czy jestem w typie Granta albo on w moim.

Na twarzy Brendana pojawia się ten jego szelmowski, znaczący uśmiech, a ja mam ochotę go walnąć w zęby.

– Nie zasługujemy na ludzi jego pokroju.

Tym zamyka mi usta.

– Idę na dwór – rzucam w przestrzeń. Wychodzę bocznymi drzwiami, żeby nie musieć przeciskać się przez tłum.

Po słowach Brendana czuję się przybita. To okropne, że ten chłopak wie, co powiedzieć, żeby wywołać we mnie taką reakcję. Palant.

Czemu przejmuję się tym, co myśli sobie o mnie Grant Philips? Dzisiaj go poznałam. Jak wiele można wiedzieć o kimś po zaledwie kilku godzinach? Nawet ze sobą nie rozmawialiśmy, nie licząc mojej deklaracji o tym, że nie zamierzam się zakochać.

Z mojego gardła wydobywa się jęk. Gdybym mogła wymazać ze swojego życia pięć minut... Zamieram. Nie, to nie byłoby dzisiaj. Byłby to ten czas w sklepie z Vikiem.

Po tej stronie domu teren obniża się i drewniane podesty schodzą aż do niewielkiej, prywatnej plaży. Kładę się na leżaku i obserwuję, jak ludzie skaczą z pomostu do wody. Na końcu jeziora widać zachodzące słońce, malujące wodę na pomarańczowo i różowo. Z tego miejsca dostrzegam otoczone lasem domy.

Robię głęboki wydech, kiedy na pomoście dostrzegam Granta. Siedzi obok dwóch chłopaków i przysłuchuje się ich ożywionej rozmowie. W ręce trzyma butelkę z piwem. Jakby wyczuł, że mu się przyglądam, unosi głowę i patrzy prosto w moją stronę.

Uśmiecha się lekko, a ja odpowiadam tym samym. Wydaje mi się, że chce wstać, ale jednak tego nie robi.

– Unikasz mnie? – Słyszę za sobą męski głos. Zamykam oczy i przełykam rozczarowanie. Kiedy podnoszę na niego wzrok, Parker mówi: – Nie odpowiadaj na to pytanie.

Siada na sąsiednim leżaku.

– Przyniosłem ci coś do jedzenia. – Podaje mi talerz. Niesamowicie pachnie.

– Dzięki. – Biorę od niego talerz z szaszłykami, grillowanymi warzywami i sałatką ziemniaczaną. – I wiesz, dlaczego cię unikam.

– Niny tu nie ma, Lano. I czemu miałyby się dowiedzieć?

Ignoruję go i wbijam widelec w ziemniak.

– To nie jest przecież impreza w Sherling – stwierdza i najwyraźniej nie dociera do niego, że nieobecność mojej przyjaciółki nie oznacza, że między nami może do czegoś dojść.

Śmieję się cicho.

– To zdecydowanie nie ten typ imprezy. W ogóle nie powinno mnie tutaj być.

Przez chwilę jemy w milczeniu.

– Rzeczywiście nie powinno. – W jego głosie słychać przepraszającą nutkę. – To znaczy nie powinnaś zostać aresztowana.

Stawiam talerz na trawie obok leżaka.

– Co się stało tamtej nocy po moim wyjeździe?

Parker także odstawia swój talerz, po czym przesiada się na mój leżak. Zwraca twarz

w moją stronę i kładzie rękę na moim biodrze. Patrzy mi w oczy.

– Nie wiedziałem, że jej obrażenia są tak poważne, przysięgam. Niczego nam nie powiedziano, kiedy ją odwieźliśmy, a nie mogliśmy czekać, bo się baliśmy, że wezwą policję. Ale przysięgam, że była przytomna, kiedy ją zostawialiśmy.

– Naprawdę? – Serce na chwilę mi zamiera. – Coś mówiła?

Parker marszczy czoło, próbując sobie przypomnieć.

– Coś o tym, żeby komuś pomóc. Żeby nie pozwolić mu zrobić jej krzywdy. – Podnosi wzrok i nagle na jego twarzy pojawia się zrozumienie. – Allie chodziło o ciebie, prawda? Mówiła o tobie.

Przełykam ślinę.

– Pamiętasz tę jedną prawdę, którą mi obiecałaś...

– Proszę, nie – rzucam błagalnie. – Nie wykorzystuj tego teraz.

Parker delikatnie dotyka mojego policzka.

– Możesz mi zaufać, Lano.

Otwieram usta, mimo że nie mam pewności, czy wydostanie się z nich protest, czy wyznanie. Milczę jednak.

– Proszę. Może gdybym wiedział, to mógłbym ci pomóc. Nie pozwolę, żeby ktoś zrobił ci krzywdę.

– Nie zepchnęłam jej. – To jest mi najprościej wyznać.

– Wiem. – Jego odpowiedź mnie zaskakuje.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Patrzy na mnie z konsternacją. – Sądziłaś, że uwierzyłbym, iż jesteś zdolna do czegoś takiego? Miałem okazję widzieć cię w paru szalonych bójkach, Lano, ale nie jesteś okrutna.

– Ale kazałeś mi trzymać buzię na kłódkę.

– No tak, bo chciałem się wszystkim zająć. Ochronić cię.

– I siebie.

Parker przechyla głowę, ale nie zaprzecza.

– Nie wiedziałem, co dokładnie się wydarzyło, ale miałem pewność, że byłaś w to zamieszana. I byłaś roztrzęsiona, więc musiałem cię stamtąd usunąć. Powiesz mi, co się stało?

Otwieram usta. Prawda już-już ma się ześlizgnąć z mojego języka, kiedy nagle słyszę kroki na drewnianym podeście. Parker z frustracją zamyka oczy.

– Tu jesteście – woła wesoło Lily, podchodząc do nas. – Przepraszam. W czymś przeszkodziłam?

– Nie, w porządku – odpowiada Parker i wstaje. – Co się dzieje?

– Nic. Tyle że nie miałam jeszcze okazji pogadać z Laną. – Dziewczyna przyciąga leżak stojący po mojej drugiej stronie, a Parker zajmuje swoje poprzednie miejsce i podnosi z ziemi talerz. – Chciałam zapytać, jak ci się spodobał pokój.

– Słucham? – Przenoszę spojrzenie z Lily na Parkera. Ten wzrusza ramionami. Nie wie, o co jej chodzi.

– W Blackwood? Nie byłam pewna, jakie lubisz kolory, zdecydowałam się więc na biel i prostotę. Ale mam szczerą nadzieję, że ci się podoba.

– Ty urządziłaś mój pokój?

– Tak. – Uśmiecha się promiennie, a mnie od razu robi się głupio. W sumie nie jest aż taki zły.

– To naprawdę miłe z twojej strony – mówię szczerze. – Skąd miałaś zdjęcia?

– Od Olivii. – A na widok mojej skonsternowanej miny dodaje: – Matki Parkera.

Kiwam głową, jakby miało to sens. Ale nie ma. Skąd matka Parkera miała moje zdjęcia?
– Wiem, że nie masz ochoty być w Kingston, ale obiecuję ci, że spędzimy niezapomniane lato!

– Może powinienem zostać – wtrąca Parker.
– Wiesz, że nie możesz – oświadcza Lily i robi nadąsaną minę. Ale wygląda z nią naprawdę uroczo.

– Wiem. – Parker wzdycha.
– Kiedy wyjeżdżasz? – pytam, bo nagle ja też tego nie chcę. Ale czemu wolałabym, żeby został? Rzeczywiście mogę mu ufać? Co więcej: czy jest w stanie mi pomóc?

– Jutro.
– Och. – Nie potrafię ukryć rozczarowania.
– Ale wrócę – zapewnia mnie. – Coś wymyślimy.
– O czym mówicie? – pyta Lily. Po czym otwiera szeroko oczy, jakby nagle ją olśniło.
– Och!

Ale teraz to ja mam w głowie mętlik. Posyłam Parkerowi pytające spojrzenie. W tym momencie słyszę, że ktoś woła moje imię.

Przechylam głowę, nasłuchując.
– Czy to...
– Ashton – potwierdza Lily.
– Powinam iść jej poszukać. – Wstaję i schylam się po talerz.
– Ja to wezmę – mówi Parker, także wstając. Nim zdążę odejść, bierze mnie za rękę i przyciąga do siebie. Serce fika mi koziółka. Sama nie wiem, czy czuję podekscytowanie czy strach, kiedy mocno mnie obejmuje i mruży cicho do ucha: – Naprawdę możesz mi ufać. Nawet jeśli pozostaniemy tylko przyjaciółmi. – Patrzy mi w oczy, dając znać, że mówi szczerze.
– Wiesz, że pragnę czegoś więcej, ale jeśli tyle tylko mogę otrzymać, to trudno. – Nachyla się i muska ustami mój policzek.

– Lana! – woła Ashton, znacznie już bliżej.
– Muszę iść – mówię cicho i niechętnie uwalniam się z jego objęć. Kiedy się odwracam, pojawia się rozgorączkowana Ashton.

– Tu jesteś! Musimy się zbierać, natychmiast! Zupełnie zapomniałam o wcześniejszej ciszy nocnej w ten weekend! – Chwyta mnie za rękę i pociąga za sobą.

– Mogę was zawieźć! – woła za nami Parker.
– Lance czeka już na nas w twoim samochodzie – rzuca przez ramię. Przeciska się przez tłum, czemu towarzyszą przekleństwa, kiedy rozlewają się drinki.

Parker idzie za nami.
– Lance wziął rovera?
– Mówił, że kiedy wasz ojciec przyjedzie jutro z wizytą, to go zabierze. – Przed wejściem do domu zebrał się spory tłum. – Z drogi! – Dziwne, ale wszyscy się przed nami rozstępują.

Próbuję wyrwać Ashton rękę, ale zbyt jestem zajęta walką o to, żeby się nie potknąć i nie przewrócić.

– Do zobaczenia jutro! – Słyszę, jak Parker woła za nami.
– Pa! – odkrzykuję, nie mając pewności czy mnie usłyszy.
– Szybko – rzuca Ashton, wskazując na miejsce obok kierowcy. Ja siadam z tyłu.
Od razu ruszamy spod domu. Ten chłopak nie jedzie nawet w połowie tak ostrożnie jak wcześniej Parker.

Światła samochodu omiatają elegancki czarny samochód sportowy, który stoi na końcu podjazdu. Ten model w stylu vintage nie pasuje do pozostałych nowszych luksusowych aut. Nim

skręcamy, na fotelu kierowcy dostrzegam kogoś z ogoloną głową. Na chwilę przestaję oddychać. Odwracam się, próbując coś wypatrzyć. Ale jest za ciemno.

– Hej, jestem Lance. – Wracam na swoje miejsce. Kierowca ma gęste włosy w odcieniu brudny blond. W lusterku wstecznym widzę przyjacielski uśmiech.

Kiedy patrzę mu w oczy, mam ochotę umrzeć. Jeszcze jeden cholerny Harrison!

Rozdział 7

- Słyszałam twój śpiew. Zaśpiewasz dla mnie?
- A co ty mi dasz? – zapytał przebiegle.
- Niczego nie mam.
- Mężczyzna się uśmiechnął, odsłaniając przypominające kły zęby.
- Och, ależ masz.
- Przystojny mężczyzna wycofał się za drzewo. Thaylina udala się za nim, ale on zdążył już zniknąć. Jeszcze długo po powrocie do wieży nie potrafiła przestać myśleć o tym tajemniczym człowieku.

A więc to ty jesteś Lana – kontynuuje Lance, kiedy milczę. – To z twojego powodu moi bracia praktycznie ze sobą nie rozmawiają.

Ashton odwraca się na fotelu w moją stronę.

– Oooh, skandal!

– Nie wiedziałam, że jest was trzech – mówię, próbując zmienić temat. – Są jeszcze jacyś bracia Harrison, przed którymi powinno się mnie ostrzec?

Lance się śmieje.

– Nie. Tylko nas trzech. A przede mną nie trzeba cię ostrzegać. Jestem zupełnie inny niż moi bracia.

– Właśnie dlatego uczysz się razem z nami w Blackwood – oświadcza z dumą Ashton.

– Bo taki jesteś niewinny – parskam.

– Nie. Bo nie ukrywam swoich wad.

– Jakie to szlachetne z twojej strony – mówię z przekąsem. – Czy twój ojciec jest także twoim prawnikiem? – Nie spodziewam się, że odpowie na to pytanie.

– Nie, jest nim Dwight. – Uśmiecha się, dając mi do zrozumienia, że nie przeszkadza mu moje wścibstwo.

– Dwight? Mój prawnik wyznaczony przez sąd?

– Eee, nie. Dwight to wspólnik w kancelarii taty. Ale owszem, to ten sam facet.

Co takiego? Reprezentuje mnie od dwóch lat. Czemu mnie okłamywano?

– Masz *dwóch* prawników? – Ashton otwiera szeroko oczy, jakby pełna była podziwu.

– Oficjalnie mam obsesję na twoim punkcie.

– Nie wiedziałaś, co? – Lance ponownie zerka w lusterko wsteczne. Kręcę głową.

– To nie ma sensu – mówię. Pewnie nie powinnam tego robić, ale może Lance coś wie.

– Nigdy nie opłacałam prawnika. Czemu wasz tata to robi?

Wzrusza ramionami. Nie wiem, czy dlatego, że nie wie, czy też nie chce powiedzieć.

Z Lance'em za kierownicą droga powrotna okazuje się o połowę krótsza. I dobrze, że po drodze nie spotkaliśmy policji. Jak zawsze nie spotkaliśmy zresztą nikogo.

Lance zajeżdża na parking niedaleko budki strażniczej, na którym stoi kilka innych samochodów. Kiedy tylko gasi silnik, Ashton wyskakuje z auta i puszcza się biegiem.

– Ruchy! – woła. – Osiem minut do ciszy nocnej!

Lance biegnie za nią, a ja wzdycham i do nich dołączam. Czemu zawsze muszę biec, żeby uniknąć złapania?

Na chwilę się zatrzymuję, żeby zdjąć koturny. Nasze stopy plaskają o marmurową

posadzkę, kiedy biegniemy przez hol budynku administracyjnego. Następnie pędzimy przez dziedziniec, ocierając się o kwiaty i gałęzie. Świeące w ciemnościach kamienie działają dezorientująco. Staram się dotrzymać kroku Ashton i Lance'owi, bo wiem, że jeśli zostanę z tyłu, to się zgubię.

– Do zobaczenia niedługo! – woła Ashton do Lance'a, kiedy on skręca w prawo w stronę swojego akademika, a my w lewo.

Wyczuwam różę jeszcze nim zdążę je zobaczyć.

Pika mi telefon.

– Cholera – burczę.

– Sprawdzają cię?

– Tak.

– Szybciej.

Wbiegamy do budynku i pokonujemy po dwa stopnie naraz. Ashton bez problemu poradziłaby sobie z trzema, ale moje nogi ledwo są w stanie pokonać dwa. Płoną mi uda i walczę o każdy oddech.

Telefon znowu się odzywa.

– Ile jeszcze sygnałów nim będę miała przerąbane?

– Jeden. – Docieramy na piąte piętro. – Przyjdź potem do mnie.

Rzucam się w stronę swojego pokoju. Trzęsącą się ręką skanuję telefonem zamek. Kiedy przechodzę przez próg, unoszę aparat, żeby odebrać połączenie.

Na wyświetlaczu pojawia się jakiś mężczyzna. Jego głowa wygląda tak, jakby na oślepcy wyciosano ją z kamienia. Z całą pewnością był wojskowy. Nie wygląda na zadowolonego. Ale może zawsze ma taką minę.

– Mało brakowało. Nie radziłbym robić tego ponownie. – I się rozłącza.

Padam na łóżko. Jasna cholera. Serce mało nie wyskoczy mi z piersi i cała jestem spocona. Tylko dlatego, żeby nie zostać przyłapaną poza swoim pokojem po zapadnięciu ciszy nocnej. To takie głupie.

W tym momencie dociera do mnie, że nadal mam na sobie strój kąpielowy. Wolę nie myśleć o tym, co zarejestrowały kamery, o ile je tutaj mają.

Przebieram się w dopasowane spodnie dresowe i krótką bluzę z kapturem, po czym zostawiam telefon na biurku i udaję się do Ashton. W drzwi wkładam japonkę, żeby się nie zatrzasnęły, i zaczynam iść korytarzem. Tyle że nie wiem, który pokój należy do niej.

Ale nietrudno się domyślić. Jedyne, co muszę zrobić, to kierować się w stronę muzyki. Zatrzymuję się przed drzwiami z numerem dwadzieścia i w tym samym momencie, kiedy pukam, otwierają się. Ashton podskakuje zaskoczona i wygląda na to, że chciała wyjść.

– Znalazłaś mnie! – Otwiera szerzej drzwi, żeby mnie wpuścić. – Idę na dół, żeby zaciągnąć tutaj Sopię. Zaraz wracam.

Nim zdążę zareagować, jej już nie ma. Odwracam się i na jasnoszarej sofie dostrzegam Lance'a i Brendana. Sofa stoi pod ścianą pod antresolą, na której znajduje się łóżko. Jej pokój jest taki... w stylu Ashton: na ścianach wiszą zdjęcia przedstawiające abstrakcje i pejzaże miejskie, a meble obite są pluszem i wyglądają tak, jakby można się w nich zatopić i odpłynąć. No i na ścianie za łóżkiem i sofą widnieje graffiti.

Zdejmuję z krzesła koronkowy stanik i rzucam go na podłogę. Nadal jestem obolała po szaleńczym sprincie do swojego pokoju.

– Chcesz? – Lance unosi butelkę szampana.

– Jasne – wzdycham, postanawiając dać temu trunkowi jeszcze jedną szansę.

– Masz, dolej sobie tego – proponuje Brendan, trafnie interpretując moją niezbyt

entuzjastyczną odpowiedź. Z lodówki wyjmuję butelkę świeżo zrobionej lemoniady. Wlewa jej trochę do kieliszka z szampanem i mi go podaje.

Ostrożnie pociągam łyk i kiwam z uznaniem głową.

– Dzięki. – Patrzę na Lance'a, który sący szampana. Wszystko w nim krzyczy „luzak”. Spodnie z obniżonym krokiem, T-shirt częściowo włożony w spodnie i rozwichrzone włosy, które opadają mu na uszy i niemal zasłaniają oczy. Ale z drugiej strony z ogromną swobodą przystawia elegancki kieliszek do ust, trzymając go za nóżkę. Przez tę sprzeczność po raz kolejny odnoszę wrażenie, że znalazłam się w Krainie Czarów.

– To ty jesteś piątym uczniem?

– Do jutra.

– Gdzie się podziewałeś?

– Noc spędziłem w domku nad jeziorem.

– Do której chodzisz klasy?

– Drugiej. A ty?

– Dru... – zająkam się, bo dociera do mnie, że rozpoczyna się kolejny rok szkolny.

– Trzeciej.

– Na pewno?

– Na chwilę zapomniałam. W głowie pomieszało mi tych kilka ostatnich tygodni, które spędziłam w poprawczaku.

– Byłaś w poprawczaku? – pytają jednym głosem.

– A wy nie? Żaden z was?

Kręcą przecząco głowami.

– Kiedy zostałem aresztowany, tata odebrał mnie wieczorem z posterunku. Praktycznie w ogóle nie siedziałem w celi.

– Ja nie byłem w areszcie – odzywa się Brendan.

Lance i ja patrzymy na niego niedowierzająco. Niestety w jego przypadku nigdy nie wiem, kiedy kłamie.

– Przysięgam. – Brendan kładzie dłoń na sercu. – Dyrektor mojej szkoły raczej nie mógł zadzwonić na policję, że sypiam z jego żoną. Ewentualnie że włamałem się na jego ukryte konto i pomogłem jej zwinąć cały hajs, ale nie udowodniono, że to moja sprawka.

Mrugam.

Lance zaczyna się śmiać.

– Doskonale!

– Za co cię aresztowano? – pyta Brendan Lance'a.

– Za dilerkę. Zarzuty się nie potwierdziły.

– A dilowałeś?

– To skomplikowane. – Lance posyła mi takie spojrzenie, jakbym była go w stanie zrozumieć. Choć doskonale rozumiem określenie *skomplikowane*, nie mam pojęcia, jak może się to odnosić do jego sytuacji. I nagle już mam.

Parker.

– Kryłeś go?

Lance wzrusza ramionami, nie przyznając się ani nie zaprzeczając. Przewracam oczami. Kiedy już-już miałam zaufać Parkerowi i uwierzyć, że się o mnie autentycznie troszczy, on ujawnia kolejną przebiegłą, wyrachowaną stronę siebie, która mnie zmusza, żebym ujrzała prawdę. Nie zależy mu na mnie. Chce mieć jedynie pewność, że nic, co wydarzyło się tamtej nocy, nie odbije się na nim.

– A ty? – Brendan patrzy na mnie. – Co takiego straszego zrobiłaś, że trafiłaś do zakładu

poprawczego dla młodocianych przestępców?

– Byłaś w poprawczaku? – wykrzykuje Ashton, wparowując do pokoju razem z Sophią. Sophia patrzy na mnie z otwartymi ustami i możliwe, że odrobiną strachu w oczach.

– Nie jestem taka, jak wy – jęczę. – Nie mam rodziców, którzy zatrudniają na etacie prawnika.

– Albo rzecznika prasowego, który rozgłasza wersję o grypie, kiedy ich córka zostaje znaleziona w łazience w jakimś klubie w L.A. – Ashton siada na ławce pod oknem.

– Albo lekarza, który będzie wypisywał receptę za receptą na co tylko chcesz, byle tylko koperty z pieniędzmi nie przestawały napływać. – Sophia wygląda spódniczkę i siada obok Ashton.

Wszyscy wbijamy w nią wzrok.

– No co? Wiem, że nie rozmawiamy o tym, dlaczego się tu znaleźliśmy, ale to się wydarzyło, bez względu na to, czy się do tego głośno przyznajemy, czy nie.

Ashton wybucha śmiechem i obejmuje Sophię.

– Muszę się napić. Sofe? Chwileczkę. Powinnaś pić podczas przyjmowania leków?

– Gdybym robiła to, co powinnam, to by mnie tutaj nie było.

Ashton cmoka ją głośno w policzek.

Kiedy Lance nalewa dziewczynom szampana z kolejnej butelki, która się pojawiła nie wiadomo skąd, Ashton otwiera okna najszerzej, jak się da.

Następnie wysuwa szufladę w czarnym, lakierowanym biurku, wypakowuje z niej książki i spod drugiego dna wyjmuje pudełko. Na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Ashton to w tej chwili moja zdecydowana ulubienica. W pudełku kryje się niewielka lufka i woreczek trawki.

Lance unosi rękę i przybija z Ashton piątkę.

Podczas gdy ona nabija lufkę, Brendan wraca do tematu mnie.

– Nie powiedziałaś nam, za co trafiłaś do poprawczaka. – Piorunuję go wzrokiem, bo przecież on to wie. Posyła mi ten swój paskudny, drwiący uśmieszek. Zastanawiam się, czy moje palce zamkną się wokół jego szyi.

– Właśnie, za co cię przyskrzynili? – pyta Lance, wpatrując się w Ashton głodnym wzrokiem.

– Za którym razem?

Spojrzenia wszystkich skupiają się na mnie... ponownie.

– Omójboże, przestańcie! Mówiłam wam, że nie jestem nadziana!

– No to skąd się tutaj wzięłaś? – pyta z konsternacją Sophia.

– Właśnie – dodaje dobitnie Brendan.

– Twój ojciec – mówię do Lance'a. – On mnie tu przywiózł. Nie mam pojęcia, jak tego dokonał, ale tu jestem. To część mojej ugody.

– Za co? – pyta Lance, po czym zbliża kieliszek do ust.

– Napad z bronią w ręku.

Lance krztusi się szampanem.

– To znaczy współudział w napadzie z bronią w ręku i późniejsze utrudnianie pracy policji.

– Więc wiedziałaś, kto to zrobił, ale nie chciałaś go wydać? – Lance tłumaczy prawniczą gadkę.

– Otóż to.

Wszyscy kiwają z uznaniem głowami. Możliwe, że właśnie zdobyłam nieco szacunku.

– Kto to zrobił? – pyta Brendan. Wiem, o co mu chodzi. Zadaje te pytania przy

wszystkich, żebym poczuła presję i podzieliła się szczegółami, których nie zna. Naprawdę mam wielką ochotę go udusić.

– Skoro nie powiedziałam tego policji, czym mogłabym oczyścić się z zarzutów, czemu miałabym mówić to *wam*?

– Bo to już bez znaczenia. Karę już dostałaś. – Przygląda mi się badawczo. – Och. Dlatego właśnie.

– Dlaczego? – pytają jednocześnie Sophia i Lance.

– Ten ktoś ma coś na nią.

– Niezupełnie – przyznaję. – To skomplikowane.

– Kłamstwa są zawsze skomplikowane. Prawda nie.

– Wow, ależ to głębokie – stwierdza Lance, przechylając w zamyśleniu głowę.

– Zamknij się, Brendan – warczę.

– Kto pierwszy? – pyta Ashton.

– Daj mi – oświadcza Sophia, zaskakując nas wszystkich.

Ashton wyjaśnia, że ta ławka dlatego stoi właśnie w tym miejscu, żeby można było na niej siedzieć i wydmuchiwać dym przez okno. Genialne.

– Masz niesamowity pokój. – Co i rusz dostrzegam nowe szczegóły, które oddają jej osobowość.

– Dobrze im to wyszło – zgadza się Ashton.

– Ktoś to zaprojektował? Wygląda tak, jakbyś mieszkała tu od lat.

– Od piątku.

– Gdzie byłaś w zeszłym roku?

– Na dole, na piętrze trzecioklasistów.

– W takim razie czemu ja tu trafiłam? Nie chodzę do czwartej klasy.

– Jesteś enigmą, prawda, Lano? – zauważa Brendan takim tonem, jakby był mną zachwycony. – Nic, co o tobie wiemy, nie ma sensu.

Rzucam mu groźne spojrzenie.

– Uważajcie – informuje pozostałych. – Ona może i wygląda jak słodki i uroczy chochlik, ale potrafi gryźć.

– Myślę, że chochliki rzeczywiście gryzą – mówi w zamyśleniu Sophia, przekazując fajkę Ashton.

– Więc twierdzisz, że Lana to wkurzony chochlik? – pyta Ashton.

Nagle pewien szczegół wskakuje na swoje miejsce – szczegół, który powinien być oczywisty już kilka godzin temu. Może mój umysł z rozmysłem unikał prawdy.

– Twój brat chodzi tutaj do szkoły, prawda?

Lance kiwa głową.

– Printz-Lee.

– No jasne – jęczę.

Ale to zupełnie inna szkoła, w innych ostępach leśnych tego miasteczka. Nie powinnam go w ogóle widywać. Postaram się pocieszać w taki właśnie sposób.

– Parker mi mówił o tym, co się wydarzyło między tobą a nim, ale co...

– Przestań – warczę cicho.

– Przyciągają cię kłopoty, Lano? – pyta lekko Brendan, przejmując fajkę i siadając pod oknem.

– Nie, jej się podobają ci porządni – oświadcza Ashton. Przewracam oczami, kiedy Brendan i Lance wybuchają śmiechem.

– Nie ma czegoś takiego – wzdycha Sophia z powagą. – Oni są jak jednorożce. Zostało

ich tylko kilku.

Tym razem to ja się śmieję, bo sprawia wrażenie takiej zasmuconej.

– Masz rację, Sophio. To są jednorożce.

– Dlatego przysięgłaś sobie, że nigdy się nie zakochasz? – pyta Brendan. – Bo czekasz na jednorożca?

– Na nic nie czekam.

– Nie *przysięgła*, że się nie zakocha – poprawia go Ashton i bierze znowu fajkę, pomijając w kolejce Lance'a i mnie. – Powiedziała, że się *boi* zakochać.

Och, Ashton i jej wywołana trawką szczerłość.

Sophia kiwa głową, jakby to doskonale rozumiała.

– Ja się boję zmarszczek.

– Starzenia się? – upewnia się Lance.

– Nie. Zmarszczek. Na ubraniach. Całymi godzinami prasuję i krochmalę. Ćwiczę odpowiednie siedzenie, tak żeby nie gniotły się koszule. Potwornie mnie to stresuje.

– Proszę, to ci pomoże – oświadcza Ashton i oddaje jej fajkę.

– Hej! – protestuje Lance, rzucając się na ławkę. – Moja kolej.

– Och, no tak, sorki. – Ashton przekazuje mu fajkę, a Sophię klepie po głowie. – Bym cię przytuliła, ale nie chcę, żebyś się mnie bała.

Nie jestem na haju. Jeszcze nie, ale to najzabawniejsze, co miałam okazję widzieć, i wybucham głośnym śmiechem. Odbija się rykoszetem od ścian, zarażając wesołością pozostałych.

I w tym nieodpowiednim momencie doznaję otrzeźwienia.

– Cholera.

Słyszą mnie tylko Brendan i Lance. Wstaję i zaczynam chodzić po pokoju.

– Cholera.

– Co się stało? – pyta Lance. – Chodź tutaj, to ci pomoże.

Patrzę na fajkę w jego wyciągniętej ręce, ale jego słowa do mnie nie docierają. Zbyt jestem pogrążona we własnych myślach. Próbuję wykombinować co, u licha, powinnam zrobić.

– Lana? – Głos Ashton jest łagodny i kojący. – Wyglądasz jak wkurzony chochlik.

Obok mnie zjawia się Brendan.

– Co właśnie sobie uświadomiłaś?

Patrzę na niego, ale nie jestem w stanie się skupić. Świruję. Kręci mi się w głowie, przelatują przez nią tysiące różnych możliwości. Dłonie mam spoczone, a w ustach czuję suchość.

– Chodź. – Delikatnie kładzie mi rękę na plecach i wyprowadza z pokoju.

– Gdzie oni idą? – pyta Sophia i drzwi się zamykają.

– Ukucnij, oprzyj się o ścianę i spuść głowę. Powoli, głęboko oddychaj przez nos.

– Słyszę, że gdzieś tam coś mówi.

Czuję za plecami twardą ścianę.

– Skup się na oddychaniu. Wdech i wydech.

Obejmuję kolana i robię, co mi każde. Zawroty głowy mijają. Puls się uspokaja. A potem osuwam się i siadam na podłodze.

– On tu chodzi do szkoły – mówię cicho.

Brendan siada obok mnie. Niewiele czasu zabiera mu domyślenie się prawdy.

– Ten chłopak, którego kryjesz?

– Tak – mówię bez tchu.

To nie do końca panika objęła nade mną kontrolę. To było połączenie wszystkiego – strachu, frustracji, irytacji i w porządku, może i trochę paniki. Miałam wrażenie, że przepełnia

mnie każde możliwe wybuchowe uczucie. Bo nie mam pojęcia, co zrobić. A kiepsko radzę sobie z bezradnością.

Wpatruję się długo w ścianę, próbując ułożyć w myślach jakiś plan.

– Chodzi o sklep, czy Allie? – pyta Brendan. Zupełnie zapomniałam, że siedzi obok mnie.

– Allie – odpowiadam tępo.

– To ten sam facet ze sklepu?

Odwracam głowę i wbijam wzrok w Brendana. Wystarczającą odpowiedź stanowi kamienny wyraz mojej twarzy.

– Ta dziewczyna, która zadzwoniła na policję, widziała coś?

Kręcę przecząco głową. Niepokoi mnie to, jak wiele wie o tej sprawie.

– Więc jest jego słowo przeciwko twojemu?

Kiwam głową.

– Czemu mieliby uwierzyć jemu, a nie tobie?

– To ja jestem notowana – odpowiadam. – I to ja wdaję się w bójki.

– On nie?

Wzruszam ramionami.

– To nie jest sympatyczny koleś. Ale wątpię, aby był notowany.

– No tak, bo chodzi tutaj do szkoły.

– Nie tutaj. Do Printz-Lee.

– Jeszcze gorzej. – Brendan przez chwilę milczy. – A jeśli sprawa pozostanie nierozwiązana?

– Czemu miałoby mu to ująć płazem? – Moje słowa napędza gniew.

Przygląda mi się uważnie, jakby widział coś, czego wcześniej nie dostrzegł.

– Sprawiedliwość jest dla ciebie ważna?

– Ona nie zasłużyła na to, co się stało. A jeśli z tego nie wyjdzie... – Gniew bierze we mnie górę nad innymi emocjami. – Sprawiedliwość nie okaże się wystarczającą.

– Rozumiem, że się go nie boisz?

– Co? Nie. To arogancki dupek. Ale jest także nieprzewidywalny. Nie będzie się przejmował tym, komu zrobi krzywdę, byle tylko chronić swój tyłek. A ja nie mogę do tego dopuścić. – Dociera do mnie, że za dużo powiedziałam komuś, co do kogo nie mam pewności, czy mogę mu ufać. Muszę stąd iść. Wstaję. – Wracam do siebie.

– Dotrzymać ci towarzystwa? – Brendan puszcza do mnie oko.

Jęczę z irytacją i zaczynam odchodzić, po czym się jednak odwracam. Nie chcę tego robić, ale raczej nie da się tego uniknąć.

– Możesz poprosić Lance, aby przyszedł do mojego pokoju?

Brendan śmieje się z niedowierzaniem.

– Mówisz poważnie?

Piorunuję go wzrokiem.

– W porządku – odpowiada, po czym otwiera drzwi do pokoju Ashton.

Kilka minut później słyszę pukanie, a kiedy otwieram drzwi, napotykam upalony uśmiech Lance'a.

– Chciałaś, żebym przyszedł?

Przewracam oczami.

– Wchodź.

Zamyka za sobą drzwi.

– Potrzebna mi twoja pomoc.

– W czym? – pyta, siadając na pufie.

– Muszę porozmawiać z twoim bratem.

Rozdział 8

Dzięki pelerynie pozostawał niewidoczny dla czarownicy. Gdyby tylko wiedziała o bestii czającej się w cieniu, nie udałaby się tamtego wieczoru do miasteczka, zostawiwszy swoją ukochaną Thaylinę samą. Kiedy tylko czarownica zniknęła z zasięgu wzroku, pojawił się wilk. Oblizując ostre zęby, patrzył na dziewczynkę, stojącą w oknie wieży.

Odnalezienie drogi na stołówkę zajmuje mi czterdzieści pięć minut. Cała reszta postanowiła dłużej pospać. Kiedy zmierzam z powrotem, odzywa się mój telefon.

Odbieram połączenie i zaskakuje mnie widok starszej kobiety ze zmrużonymi oczami i ciemnymi włosami związanymi w surowy kok. Odsuwam telefon, nie chcąc, aby znajdowała się tak blisko mnie, nawet jeśli to tylko wyświetlacz.

– Lano Peri, nazywam się Seyer i jestem nadzorczynią w twoim akademiku. – Nim zdążę coś powiedzieć, dodaje: – W budynku administracji masz gościa. Nie każ mu czekać.

I się rozłącza. Gość?

To na pewno Niall.

Nie odwracam się, bo to by znaczyło zupełną utratę orientacji. Stoję przodem do żeńskiego akademika. Budynek administracji znajduje się dokładnie za mną. Ostrożnie się więc odwracam. Teraz... muszę się tam dostać. Przemykam korytarzami tworzonymi przez żywopłoty i przez kilka ogrodów, mijam staw i przechodzę przez brzozy zagajnik. W końcu docieram do tunelu z wisterii. W sumie to jestem z siebie dumna.

Tuż przed wejściem wpadam na Brendana.

– Cześć – wyrzucam z siebie, a on łapie mnie za ramiona, żebym się nie potknęła.

– Nie możesz się oprzeć, co? – Uśmiecha się leniwie, a pewność siebie emanuje z niego niczym feromony.

– Lano? – Spoglądam ponad jego ramieniem i w drzwiach dostrzegam Nialla. Brendan mnie puszcza. – Znacie się?

– Niestety tak – mówię.

– Bardzo dobrze – odzywa się jednocześnie Brendan.

Niall patrzy na nas oboje.

– Pilnujcie siebie nawzajem, dobrze?

– Z przyjemnością – odpowiada Brendan. Puszcza do mnie oko, po czym znika na dziedzińcu.

– Brendan to także pański klient? Jest tutaj ktoś, kogo pan nie reprezentuje?

Niall ignoruje moje słowa.

– Parker chciał się pożegnać przed wyjazdem, ale uznałem, że lepiej, abyśmy spotkali się na osobności. Jak sobie radzisz?

Rozglądam się po holu. Ale Parkera już nie ma.

– Minęły dopiero dwa dni. – Wchodzę do pokoju z kolorowymi meblami w stylu barokowym. Nad błyszczącą fioletową ławą wisi kryształowy żyrandol. Okno wychodzi na dziedzińiec, przez co pomieszczenie pełne jest naturalnego światła.

– Tak, ale oboje wiemy, jak wiele może się wydarzyć w ciągu jednego dnia. Jak więc minęły ci dwa?

Gdybym nie miała pewności, że tak nie jest, pomyślałabym sobie, że się mną bawi. Kiedy

się jednak odwracam w jego stronę, widzę, że w jego oczach nie ma ani śladu wesołości. Być może rzeczywiście uważa, że świat wokół mnie potrafi spłonąć w ciągu dwudziestu czterech godzin. I niestety ma rację.

– W porządku. – Siadam na stojącym pod oknem szezlongu.

– Jutro zaczynasz lekcje, tak?

– Podobno, choć nie wiem jeszcze jakie. Ale przyzwyczajona jestem do tego, że stawia się mnie przed faktem dokonanym.

– Nie było powodu, dla którego miałem cię informować, dokąd jedziesz, ponieważ nic by to nie zmieniło. Mogłem ci podać nazwę dowolnej szkoły w dowolnym sąsiednim stanie, a ty byś do niej trafiła, czy znałabyś jej nazwę i lokalizację, czy nie.

– Ależ z pana prawnik. – Brzmi to jak obelga.

– Podobno.

– Ale to nie jest *dowolna* szkoła, prawda? – pytam zapalczywie. – Mają tu o wiele więcej wymagań niż w jakimkolwiek programie państwowym, w którym mogłabym brać udział. Wymagają wysiłku, i to nie byle jakiego, ale takiego, który przynosi wyjątkowe rezultaty. Co więc się stanie, jeśli nie sprostam pańskim oczekiwaniom? Wrócę do poprawczaka? Co stracę, jeśli nie stanę się *najlepszą* wersją cholerniej siebie? Co?

– Dwa lata. – Ton głosu ma lodowaty.

– Słucham? – Moje ciało sztywnieje z szoku.

– Stracisz dwa lata, jeśli wylecisz z tej szkoły. Taki był warunek sędziego.

– Myślałam, że wniósł pan o to, aby zamienić na tę szkołę sześciomiesięczny pobyt w poprawczaku.

– Nie, za sześć miesięcy sporządzony zostanie raport twoich postępów. I jeśli nie okaże się zadowolający, trafisz do zakładu poprawczego, w którym pozostaniesz do czasu, aż skończysz osiemnaście lat.

Gdybym nie siedziała, to bym się przewróciła.

– Napad z bronią w rękę to poważne przestępstwo i chcę, abyś współpracowała. Przy braku twojej współpracy sędzia podjął decyzję, która według niego leży w twoim najlepszym interesie. Uwierz mi, mamy szczęście, że trafiła nam się taka szansa. Więc traktuj to, proszę, poważnie.

Zamykam oczy, próbując wziąć się w garść.

– Proszę mi wierzyć. Traktuję.

– Przywiozłem twoje rzeczy osobiste, które zabrano ci po aresztowaniu. – Niall kładzie na ławie dużą, białą reklamówkę. – A twoja matka poprosiła, abym przekazał ci to. – Obok reklamówki stawia różowe pudełko wielkości grejpfruta. Jest przewiązane grubą wstążką w kolorze malinowym.

– Dziękuję – mówię cicho. Czuję się, jakbym dostała cios w brzuch i nie mogła zaczerpnąć tchu.

Dwa lata.

Nie mam funduszu powierniczego, którym można by mi zagrozić, więc wybrano jedyne, co mam... wolność.

– Jest szansa na to, abym pojechała do domu? – Nadal martwię się o mamę, bez względu na to, co ona mówi. Jest mistrzynią kłamstw. Chowa ból tak długo w sercu, aż w końcu zdradza ją ciało. Tak więc jedynym sposobem na to, aby sprawdzić, jak się czuje, jest zobaczenie jej na własne oczy.

– Z wizytą owszem. Ale nie w najbliższym czasie. Zaproponowałem twojej matce, że przy którejś z kolejnych moich wizyt może przyjechać ze mną.

- Wolno mi się spotkać z przyjaciółkami czy choćby do nich zadzwonić?
- O tym akurat zadecyduje szkoła. Nie zamierzam ingerować w realizację programu.

Przyjechałaś tutaj nie bez powodu.

Odwracam się.

- Dlaczego? Dlatego, że kryłam kogoś, kto mógłby zniszczyć życie moich przyjaciół?

Twarz Nialla nie zdradza emocji, ale oczy owszem. Widać w nich współczucie, co przepełnia mnie jeszcze większym gniewem. Nie chcę jego współczucia. Chcę, żeby zabrał mnie do domu.

- Chcesz mi powiedzieć, kto to taki?

Zaciskam usta. Buzuje we mnie wściekłość, przez którą do oczu napływają mi łzy. Odpowiadam milczeniem.

– Rozmawiałem z doktor Kendall i zgodziła się odstąpić od okresu próbnego. Zazwyczaj nowym uczniom przez sześćdziesiąt pierwszych dni nie wolno opuszczać kampusu bez nadzoru. Ale ona przystała na to, abyś mogła to robić, o ile tylko nie będziesz miała zaległości w nauce, będziesz przestrzegała ciszy nocnej i będzie ci towarzyszył jeden z moich synów.

- Czemu jeden z pańskich synów?

– Bo zarówno szkoła, jak i ja im ufamy. I sądziłem, że ty także. Myliłem się?

- Dlaczego powiedział pan mnie i Brendanowi, abyśmy pilnowali siebie nawzajem?

– pytam, aby uniknąć odpowiedzi, bo w pełni nie ufam nikomu, a już zwłaszcza nie braciom Harrison.

– Chodziło tylko o to, że skoro się znacie i oboje sporo przeszliście, przyda wam się świadomość, że ktoś się o was troszczy. – Niall przygląda mi się uważnie, a jego czoło przecinają zmarszczki. – Niewłaściwie to wszystko odczytuję? Staram się robić dla ciebie to, co najlepsze, Lano, więc jeśli coś mi umyka, daj mi znać.

I co ja mogę powiedzieć? Niall wie więcej ode mnie o Brendanie, swoich synach i o tym, dlaczego poprosił, abym trafiła akurat do tej szkoły. Może chodzi po prostu o to, że i tak regularnie tu bywa, odwiedzając synów i innych klientów, więc to domyślna placówka, do której trafiają wszyscy reprezentowani przez niego dysfunkcyjni nastolatki. Albo... istnieje jakiś inny powód, którego na razie nie rozumiem.

- Nie ma pan pojęcia, co jest dla mnie najlepsze.

– Może pewnego dnia spojrzysz na to inaczej – odpowiada poważnie. – Muszę już jechać, ale zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Jutro powinna zadzwonić do ciebie matka.

Nie patrzę na niego, kiedy wychodzi, tylko skupiam się na widocznym za oknem pachnącym tunelu i fruującym wokół niego motyłu.

Kiedy w końcu się odwracam, na jednym z foteli siedzi Brendan.

– Wiesz o tym, że im dłużej cię znam, tym bardziej przyprawiasz mnie o gęsią skórę, prawda?

- Lubię pozostawać niezauważonym do czasu, aż chcę przykuć czyjąś uwagę.

Kręcę głową.

- Czego chcesz, Brendan?

– Uważam, że możemy pomóc sobie nawzajem. – Łokcie trzyma na oparciach, a dłonie układa w piramidkę. Kiedy milczę, kontynuuje: – Możliwe, że udałoby mi się wydostać cię stąd i oczyścić z zarzutów, jeśli rzeczywiście tego chcesz.

- W zamian za co? – pytam, wiedząc, że to nie koniec.

– Informacje.

- Jakiego rodzaju informacje?

– Takie, o jakie poproszę.

– Taa, jasne – prychem i wstaję, żeby wyjść z pokoju.

– Będę ci potrzebny, jeśli Allie umrze.

Serce zamiera mi na tę myśl.

– Nie mają podejrzanego. – Ruszam w stronę drzwi.

– Znajdą tego świadka.

Odwracam się na pięcie.

– Tę dziewczynę?

– Tak. Rodzice Allie wywierają na nich sporą presję.

– Co wiedzą? – pytam spanikowana.

Brendan unosi brew, drażniąc się ze mną.

– Nikogo nie zdradzę.

Kącik jego ust zaczyna drgać.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać.

– Dlaczego?

– Początkowo sądziłem, że przed współpracą powstrzymuje cię opór. Instykt samozachowawczy. Ale potem twierdzisz, że zrobiłaś to po to, aby chronić przyjaciół. Nie spodziewałem się tego. Ale to rozumiem. Teraz wolałabyś zostać skazana za *kolejne* przestępstwo, którego nie popełniłaś, i za co? Dlatego, że nie chcesz zdradzić kogoś, kogo ledwo znasz?

Możliwe, że wie, iż to, co stało się z Allie, może się odbić na Parkerze? Chcę o to zapytać, ale przecież może mu chodzić o coś zupełnie innego. Ma tendencję do wyrażania się w sposób zagadkowy – to cecha, która łączy go z Ashton. Nic dziwnego, że się przyjaźnią.

– Jak to możliwe, że miałabym być w posiadaniu informacji, których potrzebujesz?

– Lano, proszę cię o udzielanie odpowiedzi na moje pytania, a nie ich unikanie. Od dawna próbuję coś rozgryźć, a teraz, kiedy wiem o tobie nieco więcej, mam przeczucie, że znasz część faktów, które są mi potrzebne.

– Cholernie to wszystko zagmatwane! – wykrzykuję z frustracją. – Chcesz ode mnie prostych odpowiedzi, ale nic, co mówisz, nie ma sensu! W przypadku Ashton winę mogę zrzucić na dragi, ale z tobą... o czym ty mówisz?

Brendan kręci ostrzegawczo głową, trzymając w ręce szkolny telefon. Posyłam mu pytające spojrzenie.

Pukanie do drzwi sprawia, że oboje odwracamy głowy. Nie czekając na odpowiedź, do sali wchodzi starsza kobieta, z którą niedawno rozmawiałam. Okazuje się wyższa niż się spodziewałam. Sądziłam, że będzie drobną, kruchą staruszką, ona jest jednak wysoka i onieśmielająca w prostej, szarej sukience i włosami upiętymi w surowy kok. Na pewno nie jest to osoba, od której przyjąłabym jabłko – nie jestem na tyle głupia.

– Przyjechał bus, aby was zabrać do pracy – oświadcza. Spoglądam na telefon, zaskoczona tym, która jest już godzina. Na szczęście nie potrzebuję niczego ze swojego pokoju. Z ławy biorę torbę, którą przywiózł mi Niall, po czym wkładam do niej prezent od mamy.

– Dziękuję – mówię do niej, ale zdążyła już wyjść. Brendan wstaje i razem wychodzimy do holu. – Dokąd się wybierasz?

– Do pracy. – Mówi to takim tonem, jakbym powinna to wiedzieć.

Dziwna jest myśl o pracującym Brendanie. On jest zbyt wymuskany i nieskazitelnym – wątpię, aby przepracował fizycznie choć jeden dzień w życiu.

Kiedy mijamy sekretariat, dziwi mnie widok czekających osób. Ale potem sobie przypominam, że dzisiaj przyjeżdżają pozostali uczniowie semestru letniego.

Na podjeździe aż się roi od vanów i ciemnych sedanów, jadących powoli w stronę

akademików. Bus czeka przed głównym wejściem. Wsiadamy do niego tylko ja i Brendan.

– Co mi chciałeś powiedzieć? – pytam, kiedy tylko wyjeżdżamy poza bramę. Unosi palec i wyjmuję z kieszeni telefon. Pokazuje, abym podała mu także swój. Tak robię, zaskoczona jego paranoją. Kładzie je na przednim siedzeniu busa, a potem udaje się na sam koniec. Idę za nim.
– Wyjaśnij – mówię zdecydowanym tonem.

Ściszone głosem odpowiada:

– To ich telefon. Ich sieć. Ich urządzenie śledzące. Nie sądzisz, że mogą włączać mikrofon albo kamerkę, kiedy tylko chcą?

– Mogą tak robić? – pytam zszokowana.

– Myślę, że tak.

Gapię się na niego.

– Nie nauczyłaś się niczego przez te dwa dni, odkąd mnie znasz?

Zamykam oczy i kręcę głową, zaniepokojona każdą nowością wyjawianą przez Brendana. Ale jeszcze gorsze jest to, z jaką otwartością o tym wszystkim opowiada. A, jak stwierdził, minęły dopiero *dwa dni*! Może nie boi się tego, ile wiem, bo i tak niczego nie powiem. Drań.

– Wyjaśnij, jak to się stało, że Niall został twoim prawnikiem – mówi teraz.

– Znam jego synów. – Niechętnie poddaję się jego wypytywaniu, ale jedynie do czasu, aż zacznie zadawać zbyt wiele pytań.

– Skąd?

– Z Parkerem spotykamy się w tych samych miejscach. A Joeya poznałam... tamtego wieczoru. Czemu ja ci to mówię?

– Pytałaś, kto płaci twoje czesne?

– Nie. Ten temat nie wypłynął. – Szczerze mówiąc, nie był priorytetem podczas moich rozmów z Niallem. Bardziej obchodziło mnie to, *dlaczego* tutaj trafiłam.

– Musisz go o to zapytać – upiera się, wyraźnie sfrustrowany moją niewiedzą. – Skąd jeszcze znasz Nialla?

– O czym ty mówisz? Ja nie... – Ale w tym momencie uświadamiam sobie, że moja matka poznała go wcześniej niż ja.

– Mów.

– Nie. Najpierw wyjaśnij czemu zadajesz tyle pytań. Uważasz, że mogę ci pomóc dowiedzieć się co dokładnie?

– Kto zabił moją matkę.

Wpatruję się w niego. Jego ciemne oczy pozostają niewzruszone, a ton głosu jest poważny.

– Przykro mi – szepczę. – Myślisz, że Niall miał coś wspólnego z jej śmiercią?

– Zna osobę, która miała.

Rozdział 9

Thaylina zobaczyła, że pod wieżą stoi mężczyzna w ciemnozielonej pelerynie i się jej przygląda. Na jego widok serce jej przyspieszyło.

– Wpuścisz mnie na górę? – zawołał do niej.

Dziewczynka zbiegła po schodkach, aby otworzyć drzwi, niepomna instrukcji czarownicy, aby nikogo nie wpuszczać.

– Wiedziałem, że to zrobisz – rzekł nieznajomy, idąc za nią na górę.

Bus się zatrzymuje. Jesteśmy na miejscu. Dzisiaj droga okazała się zbyt krótka.

– Później porozmawiamy. – Brendan wstaje, przechodzi na przód pojazdu, zabiera swój telefon i wysiada.

Dopiero po chwili udaje mi się zmusić nogi do ruszenia z miejsca. Wysiadam z busa, niemal się przy tym potykając. Duszą mnie tajemnice. A większość nie należy nawet do mnie.

– Lano, dzisiaj będziesz się szkolić u Kaely w The Grille – mówi mi Cary, kiedy się loguję w komputerze. – Wiesz, jaki uniform masz ubrać, tak?

– Tak – odpowiadam z roztargnieniem, po czym udaję się do szatni. Tak bardzo jestem pogrążona w tej plątaninie półprawd, że na kogoś wpadam.

– Przepraszam.

I nagle spoglądam w błękitne oczy Granta. Chwyta mnie za łokieć, żebym się nie przewróciła, a na jego twarzy maluje się troska.

– Lana? Wszystko w porządku?

– Och, tak. Przepraszam. Ja po prostu... się zamyśliłam.

– A to utrudnia chodzenie? – pyta żartobliwie.

Uśmiecham się blado.

– Na to wygląda.

– Gdzie dzisiaj pracujesz?

– The Grille.

– A to szkoda. Ja jestem w Barze Dziewiątka ze Stefanem. Zajmiesz mi miejsce podczas posiłku dla personelu?

– Eee, jasne – odpowiadam. Mój mózg powoli rozszyfrowuje to, co usłyszałam.

Grant mija mnie i się ogląda, gdy tymczasem ja stoję jak idiotka i gapię się na niego. Mój mózg naprawdę nie da sobie dziś rady.

Potrzebna mi chwila na przetworzenie wszystkiego. Wszystkiego poza Grantem. Przy nim w ogóle nie jestem w stanie funkcjonować, więc nie zamierzam marnować energii na zastanawianie o co, u licha, mu chodziło. Muszę rozgryźć, dlaczego Niall stosuje uniki, kiedy go pytam, skąd zna moją matkę. Dlaczego reprezentuje mnie od kilku lat, *za darmo*, a ja w ogóle nie miałam o tym pojęcia. I kto opłaca moje czesne w Blackwood, bo ta akurat kwestia nie daje spokoju Brendanowi.

No właśnie, Brendan. On także jest reprezentowany przez Nialla. I jest jeszcze bardziej zafiksowany na punkcie tego wszystkiego niż ja. Czemu tak bardzo go to interesuje? Odpowiedzi na te pytania nie oczyszczą mnie z zarzutów i nie sprawią, że Vic dostanie za swoje – bez angażowania w to moich przyjaciół. *To* powinno stanowić mój priorytet. Reszta jest jedynie niepotrzebnym rozpraszaniem uwagi.

Tyle że... nie potrafię przestać myśleć o tej bombie, jaką Brendan zrzucił w busie: że ktoś zabił jego matkę. I możliwe, że Niall wie kto.

Może powinnam z nim porozmawiać, ten jeden raz.

– Zapomniałaś swojego kodu?

Podskakuję.

– Och, nie. Trochę nie jestem dzisiaj sobą. – Dociera do mnie, że stoję przed swoją szafką i się na nią gapię.

– Ashton? – pyta Kaely, jakby to wszystko tłumaczyło. Pewnie wszyscy wiedzą o jej fajkowych upodobaniach.

– W sumie to nie. – Widzę, że ma już na sobie uniform. – Sorki, zaraz będę gotowa. Spotkamy się na miejscu?

– Jasne. – Uśmiecha się i wychodzi z szatni, a gęsty, falisty kucyk podskakuje na jej plecach.

Kiedy wyjmuję z szafki odpowiedni strój, na podłogę spada jakaś kartka. Podnoszę ją i odczytuję czarne, drukowane litery:

TRZYMAJ SIĘ OD NIEGO Z DALEKA

Litery są proste i staranne, jakby je narysowano od linijki. Kierowana odruchem rozglądam się po szatni. Jakby osoba, która to napisała, czaiła się w kącie i mnie obserwowała. Ale nikogo tu nie ma. To znaczy wchodzi teraz trzy rozgadane dziewczyny. Rozdzielają się i każda podchodzi do swojej szafki, aby się przebrać.

– Wszystko w porządku? – pyta jedna z nich, kilka szafek dalej.

– Tak – odpowiadam i zamykam swoją szafkę. Nim zdąży coś dodać, biorę uniform i przechodzę do przebieralni.

Najpierw wiadomość na ścianie, teraz ta kartka. To musi być ta sama osoba. Ktoś, kto wie, co się stało? Tylko taka ewentualność ma sens. Ale w takim razie kim jest ten „on”? Z mojego gardła wydobywa się jęk frustracji. Te groźby są beznadziejne, bo nie wiem, co one, u licha, znaczą! Więcej konkretów, świrze!

••••

Przed sobą dostrzegam Brendana, kierującego się ku wózkom golfowym. Puszczam się biegiem i go doganiam.

– Ty to robisz? – Wciskam mu w rękę kartkę.

Czyta ją.

– O rany, szybka jesteś, Lana.

– Słucham?

– Wygląda na to, że jakaś zazdrosna dziewczyna ostrzega cię, żebyś trzymała się z dala od jej faceta.

– To głupie. Dopiero co tu przyjechałam i w zasadzie nie rozmawiałam z nikim poza tobą. Masz jakieś stuknięte byle, o których powinnam wiedzieć?

– Właśnie z tego powodu nie bawię się w związki – parska Brendan. Oddaje mi kartkę.

– Uważaj na siebie. Kimkolwiek ona jest, nie lubi cię.

– Ona? Jesteś jedyną osobą, która cokolwiek o mnie wie.

– Nie bawię się w takie psychologiczne zagrywki.

– Kłamczuch. – Jest w nich doskonały; to było oczywiste od samego początku.

– Nie w takie. – Wskazuje głową kartkę w mojej dłoni. – Jestem otwarty na dzielenie się

swoją wiedzą, jeśli ty wyrażasz zgodę na to samo. Zagadkowe pogrożki są nie w moim stylu.

Oddała się i podchodzi do mężczyzny w paskudnej czapce w kratę i z wielkim brzuchem. Wymieniają uścisk dłoni, po czym Brendan siada za kierownicą wózka. Dostrzegam teraz, że ma na sobie spodnie w kancik i granatową koszulkę polo z wyhaftowanymi inicjałami klubu. Zakłada białą czapkę z daszkiem i odjeżdża.

Jest osobą noszącą kije. Jego zadaniem jest pomaganie członkom klubu w grze w golfa. Wciskanie kitu przez cały dzień. Praca idealna dla Brendana.

Nie wiem, przez które drzwi wchodzi się na zaplecze The Grille, więc podchodzę do kontuaru, gdzie Kaely podaje lody mokremu chłopcu w kąpielówkach.

– Cześć! – wita mnie wesoło. – Wejście dla personelu znajduje się po prawej stronie, pod schodami.

Znajduję drzwi i wchodzę do magazynu. Metalowe regały wypełnione są niepsującym się jedzeniem i napojami. Słyszę jakieś głosy i podążam w ich stronę. Docieram do niedużej kuchni, gdzie przy grillu stoi wysoki, chudy chłopak i przerzuca burgery.

Dostrzega mnie i uśmiecha się niemądrze.

– Hej! – Spod nałożonej daszkiem do tyłu czapki wystają mu brązoworude włosy, a rzadki zarost na brodzie wygląda tak, jakby to były jedyne włoski na jego ciele.

– Cześć – odpowiadam i podchodzę do kontuaru, gdzie Kaely i jeszcze jedna dziewczyna przyjmują zamówienia od kolejnych dzieciaków w strojach kąpielowych.

– Zamówienie gotowe! – woła gość z kuchni i uderza w dzwonek.

Kiedy Kaely się odwraca, żeby je odebrać, uśmiecha się na mój widok.

– Hej! Pomożesz mi z zamówieniem?

Udaję się za nią do kuchni, gdzie dokonuje szybkiej prezentacji.

– Lano, to jest Wiewiór, Wiewiór, poznaj Lanę.

Słyszałam już wiele ksywek, ale tę po raz pierwszy. Nie mam pojęcia w jaki sposób można sobie zasłużyć na miano Wiewióra. On nie *wygląda* jak wiewiórka. Mrużę oczy, próbując to rozgryźć.

– Witamy w KCC, nie mylić z KFC. – Podrzuca burgera, który obraca się w powietrzu, po czym ląduje na grillu.

Kaely się śmieje.

– Weźmiesz hot-doga i frytki? – Trzyma tacę z dwoma burgerami zawiniętymi w folię.

Przez całe popołudnie serwujemy hot-dogi, burgery, frytki, lody i milion innych niezdrowych przekąsek dzieciom i rodzicom, którzy postanowili spędzić dzień nad basenem. Dowiaduję się, że na górze znajduje się restauracja o nazwie The Deck ze znacznie bardziej rozbudowaną kartą dań i tarasem, z którego rozciąga się widok na pole golfowe. Każdy najpierw zaczyna od The Grille. Wiewiór nazywa to rytuałem przejścia, jakbyśmy byli jakimś plemieniem.

Podczas pracy tutaj nie dostaję żadnych napiwków, co jest do bani. Ale sama praca jest prosta. Przynajmniej jeśli się pominie wrzeszczące maluchy, które upuszczają lody na chodnik, i dzieciaki, które keczupem oblewają kontuar zamiast swoich frytek. Niemniej nie może się to równać z pijanymi klientami w Stella's, którzy wylewają więcej niż konsumują, próbują łapać mnie za tyłek i wdają się w bójki.

Kaely ma mnóstwo cierpliwości, a to konieczność, kiedy przez całe popołudnie trzeba sobie radzić z chaosem zamówień. Niewiele rozmawiam z tą drugą dziewczyną – oczywiście nie pamiętam jej imienia. A Wiewiór jest... zabawny. Jestem przekonana, że ten chłopak ma dzianą rodzinę. Tym bardziej imponująca okazuje się jego umiejętność nadążania z realizacją zamówień i jednoczesnego nucenia lecących w radiu piosenek i dzielenia się filozoficznymi przemyśleniami.

– Super było cię poznać. Masz wybitną aurę – mówi do mnie, kiedy kończę zmianę. On szoruje właśnie grill. – Widzimy się jutro u Stefana?

– Może – odpowiadam, nie mając pewności, o co mu chodzi.

– Och, musisz przyjść! – wykrzykuje Kaely, wchodząc do kuchni razem z kasetką z pieniędzmi. Jej miejsce przy kasie zajmuje nowa dziewczyna.

Myślę o warunku Nialla, że będzie mi wolno opuszczać teren szkoły tylko w towarzystwie jednego z jego synów – czyli Lance’a, skoro Parker dzisiaj wyjeżdża, a nie jestem gotowa na spotkanie z Joeyem, nawet gdyby tutaj był.

– Jeśli mi się uda – mówię więc.

Podchodzimy do ogrodzenia za The Grille.

– Muszę zanieść kasetkę Cary’emu. Zaraz wracam.

Wczoraj Ashton nie zabrała mnie na posiłek dla personelu, bo zaraz po zakończeniu naszej zmiany chciała wrócić do Blackwood i wyszykować się na imprezę u Lily. Stwierdziła także, że tam jedzenie będzie znacznie lepsze i że sama prawie nigdy nie je w klubie. Ale Grant na mnie czeka – taką mam nadzieję. A bus przyjedzie dopiero za dwadzieścia minut, więc równie dobrze mogę to sprawdzić.

Za ogrodzeniem znajdują się cztery stoły piknikowe z wbitymi pośrodku parasolami. Na stole w rogu stoją naczynia z podgrzewaczami. Do wyboru mamy paluszki z kurczaka, frytki, makaron i sałatkę. Już rozumiem czemu Ashton tu nie je. Ale ja nie jestem wybredna, więc nakładam sobie na talerz trochę frytek i kurczaka, z dużego pomarańczowego termosu nalewam wodę i rozglądam się za wolnym miejscem. Przy dwóch stolikach siedzą pracownicy klubu – dorośli i w wieku studenckim. Wybieram pusty stolik w kącie.

Po chwili obok mnie siada Grant.

– Zajęłaś cały stolik – stwierdza. – Fajnie.

Przygryzam wargę, żeby powstrzymać uśmiech.

– Nie jestem dobra w gadce-szmatce. No i zdążyłam już zapomnieć wszystkie imiona. Bezpieczniej było usiąść samej.

– Moje pamiętasz? – przekomarza się ze mną.

– Owszem.

Czeka, żebym je wypowiedziała.

– Grant – mówię i przewracam oczami. – Jesz coś?

– Nie. Chciałem jedynie spotkać się z tobą, zanim wyjdiesz.

– Dlaczego? – Puls mi przyspiesza i mam spoczone dłonie.

– Żeby zaprosić cię na jutro do Stefana. Mieszkam u niego przez lato. I co poniedziałek po zamknięciu klubu robi u siebie imprezę. Chciałem mieć pewność, że o tym wiesz.

– O której godzinie?

– Ludzie schodzą się przez cały wieczór, więc o której chcesz. Zabierz śpiwór. Zresztą jak chcesz. Atmosfera będzie mocno wyluzowana.

– Postaram się.

– Nie jestem pewny, czy podoba mi się ta odpowiedź, ale w sumie jest lepsza niż nie.

Uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Jeśli się nie uspokoję, za chwilę zaczną boleć mnie policzki.

– Gdyby to zależało ode mnie, na pewno bym się zjawiała. Ale... nie zależy.

– Och. – Wygląda na skonfundowanego. – Czy ty... spotykasz się z kimś? Z Parkerem?

– Nie! – Mówię to tak głośno, że odwraca się kilka osób przy sąsiednim stole. Wzdrygam się, a Grant się śmieje.

– Coś mi mówi, że nieszczególnie go lubisz.

– Nie chodzi o to, po prostu... nie. Z nikim się nie spotykam. To nie dlatego. Jestem nowa w Blackwood, więc nie wolno mi ot tak opuszczać kampusu. Krótko mówiąc, muszę mieć przyzwoitkę.

– Coś takiego może utrudnić randkowanie.

– Ja nie randkuję. – W jego towarzystwie prawda zawsze mi się wymknie, jakby ten chłopak jeszcze potęgował moje przekleństwo.

Waha się.

– Nie randkujesz. Boisz się zakochać. Dobijasz mnie. – Posyła mi ten swój piękny, przyprawiający o zawrót głowy uśmiech. – Przyjaźnisz się w ogóle z facetami?

– Nie – odpowiadam i od razu mam ochotę walnąć głową w stół. Cholera. – To znaczy tak, nie mam nic przeciwko przyjaźni z facetami.

– Masz w tym doświadczenie?

– Nie. Ale ja niewielu ludzi lubię, więc to nic nie znaczy. W domu mam tylko dwie przyjaciółki.

Grant śmieje się z mojej szczerości, jakby to było coś uroczonego. Tymczasem ja najchętniej schowałamby się pod stołem.

– Może stanę się tym pierwszym – rzuca, po czym wstaje. – W takim razie do zobaczenia jutro. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Zamykam oczy. Co się właśnie stało? I dlaczego serce wali mi jak szalone?

Wstaję i wyrzucam do kosza nietknięte jedzenie. W bramce mijam się z Kaely.

– Sorki, muszę się przebrać przed przyjazdem busa. Do zobaczenia.

– Okej – odpowiada z uśmiechem. Ta dziewczyna bez przerwy się uśmiecha. Czy rzeczywiście można być aż tak miłym? I zadowolonym? – Mam nadzieję, że uda ci się wpaść jutro do Stefana. – Nim odchodzę, nachyla się i dodaje: – Och, i właśnie widziałam Granta. Myślę, że mu się podobasz. – Oczy jej błyszczą, jakby była podekscytowana tą myślą.

– Eee... on mnie przecież nie zna – dukam, próbując się otrząsnąć ze skutków naszego spotkania.

– No to postaraj się zjawić u Stefana, żebyśmy mogły to zmienić. – Jej szczery uśmiech zaraz mnie zmusi do odpowiedzenia tym samym. Odchodzę, zanim do tego dojdzie.

Nie należę do osób wylewnych. Wbrew temu, co mogą sądzić inni, nie jestem także zimną suką. Jestem... ostrożna. Ale chętnie bym sobie poimprezowała. Muszę więc znaleźć Lance'a i liczyć na to, że on także będzie miał ochotę na zabawę.

••••

Kiedy wychodzę z budynku, Parker czeka na mnie obok land rovera.

– Zjesz ze mną kolację przed moim wyjazdem do Nowego Jorku? – Kiedy się waham, dodaje: – Już to załatwiłem w Blackwood. No i musimy przecież porozmawiać.

Myślę o słowach Brendana o wymianie informacji. Możliwe, że Parker jest mi w stanie pomóc. Jeśli namierzę tę dziewczynę, nim zrobi to policja, wytłumaczę jej wszystko i powstrzymam przed złożeniem obciążających mnie zeznań. Nie wiem, jak Parker może mi pomóc z Vikiem. Nadal nie jestem przekonana, czy powinien się dowiedzieć o tym, co się wydarzyło na tamtych schodach. Bo to by znaczyło opowiedzenie mu *wszystkiego* o tamtej nocy. Na własnej skórze się przekonałam, że wystarczy, aby o czymś wiedziała jedna osoba, a niedługo później wszyscy poznają prawdę. A ja mu nie ufam.

Przytrzymuje mi drzwi od strony pasażera.

– Dzięki.

– Rozmawiałaś z Niną albo Tori? – pyta, kiedy wyjeżdżamy z parkingu.

- Nie są *zatwierdzone*.
- Do bani. Przykro mi.
- Mniejsza z tym.
- Chcesz teraz do nich zadzwonić? – Podaje mi swój telefon.

Przez chwilę się zastanawiam, ale jednak tego nie robię.

– To nie najlepszy pomysł, żeby zadzwonić do Niny z twojego numeru. Wątpię, żeby w ogóle odebrała.

Parker się śmieje.

– Odebrałaby. – W jego głosie słyhać pewnośc siebie. Kiedy widzi moje spojrzenie, dodaje: – No bo ona i ja nadal się spotykamy. Cholera – dodaje pod nosem.

– Może kolacja to nie jest dobry pomysł.

– Lana – rzuca błagalnie. – Przepraszam. Nie powinienem mówić tego w taki sposób.

– Odwieź mnie do szkoły – oświadczam, krzyżując ręce na piersi.

– O co ci chodzi? – Zaciska dłonie na kierownicy. – Jesteś zazdrosna? Dlatego tak się zachowujesz?

– Żartujesz, Parker? – wykrzykuję. – Nie zależy ci na mnie. Myślisz tylko o tym, jak tamta sytuacja może dotknąć ciebie. *Dlatego* tak się zachowuję.

Parker zatrzymuje się w zatoczce widokowej, gdzie stoi jeszcze jeden samochód. Widać stąd położoną pośród wzgórz dolinę. Nie rozumiem, co w tym widoku takiego wyjątkowego.

Parker wbija wzrok w szybę i drga mu nerw w żuchwie. Kiedy w końcu się odzywa, głos ma niski i spokojny.

– Bywam palantem, wiem. I mówię czasem naprawdę pompatyczne rzeczy. – Odwraca się i ujmuje moją dłoń. – Ale naprawdę mi na tobie zależy, Lano. I chcę ci pomóc.

– Mnie czy sobie?

– Czemu tak mówisz?

Próbuję ignorować nutkę urazy w jego głosie.

– Wiem, że jesteś jednym z organizatorów, a to, co się stało na schodach, może mieć dla was niedobre konsekwencje, jeśli prawda wyjdzie na jaw. Muszę trzymać buzię na kłódkę, żebyś nie miał kłopotów.

– Ale ty byś nikomu nic nie powiedziała. Ja to wiem, ufam ci.

– Może *powinnam* powiedzieć.

Parker milczy. Cofa rękę i ponownie wbija wzrok w przednią szybę.

– Dziewczyna leży w szpitalu w śpiączce. Nie sądzisz, że to jest ważniejsze niż twoje nielegalne interesy?

Odwraca się w moją stronę.

– Oczywiście. Ale nie znalazła się tam przeze mnie ani przez ciebie. A poinformowanie policji o imprezie niczego nie zmieni. W niczym jej to nie pomoże.

– Ale coś zmieni, jeśli im powiem, kto ją zepchnął. – To oczywisty wniosek. Gdyby tylko było to takie proste.

– No to zrób to.

Zaskakuje mnie tymi słowami.

– Słucham?

– Powiedz im, kto to zrobił. Nie chroń go.

– Ja go nie chronię.

– No to co? Chodzi ci o tę drugą dziewczynę? Martwisz się, że powie coś policji? Była nawalona. Tamtej nocy ledwie mi była w stanie powiedzieć, co widziała, a co dopiero teraz.

– Widziała mnie. Tylko mnie.

- Ale nie widziała, co się stało. Pojawiła się już po fakcie.
 - No tak. Ale tylko ja tam byłam. Może mnie zidentyfikować. Wtedy albo zostanę zmuszona do mówienia albo... – Znowu będzie tak jak z napadem. – Nie mam żadnego dowodu.
 - Kto...
 - Nie pytaj. I tak ci nie powiem.
 - Dlaczego? Bo mi nie ufasz?
 - Dlatego, że to niczego nie zmieni – odpowiadam, wykorzystując przeciwko niemu jego własne słowa. – Coś wymyślę. Chcę jedynie, żeby Allie wyzdrowiała. – Mrugam, powstrzymując łzy. – Nie zasłużyła na to, co się jej przytrafiło. Próbowала mi pomóc...
 - Hej. – Parker odpina nam pasy i mnie przytula. Nie opieram się. – Proszę, pozwól sobie pomóc. Naprawdę nie kierują mną egoistyczne pobudki, przysięgam.
 - Nie możesz – mruczę z twarzą wtuloną w jego ramię.
 - Powiedz mi jedno, a na razie odpuścimy temat. – Parker unosi moją brodę, żebym spojrzała mu w błękitne oczy. – Słyszałem, co Allie mówiła w szpitalu. Boisz się, że ten kto to zrobił, zamierza zrobić krzywdę także tobie?
- W jego oczach dostrzegam szczerzy niepokój i paskudnie się czuję z tym, że uważałam go za egoistę. Jego pytanie jest zbyt skomplikowane na prostą prawdę. Bo to fakt, że Vic może próbować zrobić mi krzywdę. Wiem, że jest zdolny do wszystkiego.
- Spojrzenie mam zdecydowane. *Chcę* mieć pewność, że Parker widzi moje przekonanie.
- Nie boję się.

Rozdział 10

- **Postanowiłem, że zaśpiewam dla ciebie – rzekł do Thayliny, kiedy weszli na górę. Thaylina zapiszczała radośnie. Niczego bardziej nie pragnęła.**
- **Ale najpierw musisz zrobić coś dla mnie. – Mężczyzna rozwiązał satynową pelerynę i otulił nią jej ramiona. Wydawała się przygniatać jej drobną sylwetkę.**
- **Czego potrzebujesz? – zapytała Thaylina, bardziej ciekawa niż przestraszona.**

Dziwnie jest wejść na stołówkę i przy stolikach ujrzeć ludzi. Przez dwa ostatnie dni przyzwyczaiałam się do panującego na kampusie spokoju.

Lance'a znajduję przy stoliku w kącie. Towarzyszą mu Ashton i Brendan.

– Jak ci się spodobało w The Grille? – pyta Ashton, kiedy siadam.

– Straszny tam bałagan – odpowiadam, a ona się śmieje. – Co dziś porabiałaś?

– Byłam na zakupach... w internecie. Pozwolono mi z niego skorzystać, żebym mogła poszukać czegoś do ubrania na Bal Szczęśliwe Zakończenie.

– No tak. Bal – mówię, krzywiąc się. – Dziwnie brzmi to słowo. Nie mogę nazywać tego po prostu tańcami?

– Jeśli chcesz. Ale możesz w ten sposób obrazić komitet organizacyjny.

– Nie wiem, kto w nim zasiada, więc będę trzymać buzię na kłódkę. Kiedy są pierwsze tańce?

– Dziewiętnastego sierpnia. – Ashton nabiera na łyżeczkę mus czekoladowy, po czym odwraca ją, wkłada do ust i liże jak lizaka.

– Przebierasz się za księżniczkę? – pyta drwiąco Brendan. Siedzi z łokciem wspartym o kolano. Wygląda na bardzo zadowolonego z siebie. Mam ochotę wykopać spod niego krzesło, po to tylko, aby zobaczyć, jak ląduje na tyłku. W odpowiedzi na jego słowa pokazuję mu środkowy palec. Nie powinna go dziwić moja wrogość, skoro znowu użył tego przezwiska. Jestem pewna, że zrobił to specjalnie.

– Może powinnaś się przebrać za wkurzonego chochlika – śmieje się Lance. – W sumie nie potrzebowałabyś nawet jakiegoś szczególnego stroju.

– Niedługo powinnaś zacząć czegoś szukać – dodaje Ashton.

– Mamy jeszcze dwa miesiące. – Nie rozumiem czemu to takie ważne, żeby znaleźć odpowiednie przebranie na głupie tańce.

– Miną raz dwa.

– Nie jesz? – pyta Brendan z kpiącym uśmiechem.

Nigdy nie jestem pewna, co on wie, albo udaje, że nie wie. Doprowadza mnie to do szału. Jestem przekonana, że zamierza mnie tak testować, aż w końcu zmuszona będę go zamordować.

– Już jadłam.

– Błagam, nie mów, że się skusiłaś na jedzenie w klubie? – Na twarzy Ashton maluje się przerażenie.

– Nie. Pojechałam na kolację.

Lance posyła mi znaczące spojrzenie. On wie. Nim Ashton czy Brendan zapytają z kim – widzę to pytanie w oczach Ashton – Lance mówi:

– Otworzyłaś prezent od matki?

Patrzę na niego podejrzliwie.

– Jeszcze nie. Ale zrobię to, kiedy wrócę do pokoju.

Ashton i Brendan patrzą na nas, wyłapując nieszczególnie subtelną wiadomość, którą Lance próbuje mi przekazać o prezencie, który rano przywiózł Niall. Teraz już wszyscy wiemy, że nie jest on od mojej mamy.

– Więc tak – mówię głośno, żeby zmienić temat rozmowy. – Co robicie jutro? Wybieracie się do Stefana?

– No właśnie! – wykrzykuje Ashton i w jej oczach pojawia się błysk. – To pierwsza impreza tego lata! Jego imprezy są zawsze niesamowite. – Ale równie szybko schodzi z niej powietrze. – Nie wiem jednak, jak się tam dostaniemy. Zazwyczaj podwozi mnie ktoś prosto z klubu.

– Mogę poprosić Lily – proponuje Lance. Przygryzam wewnątrz policzka, żeby nie uśmiechać się jak idiotka na myśl o tym, że jutro spotkam się z Grantem. Poważnie, co się ze mną dzieje?

– Daj nam znać o której – wtrąca Brendan, a moje podekscytowanie nieco słabnie, kiedy dociera do mnie, że on też się wybiera.

– Lance, możemy... porozmawiać? – pytam.

– Jasne. – Wygląda na zaintrygowanego. Wstaje i razem wychodzimy ze stołówki. – Co tam?

– Wiesz, jakie postawiono mi warunki, żebym mogła opuszczać kampus, nie? Że musisz mi towarzyszyć ty albo jeden z twoich braci?

– Aha. Tata mi mówił.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się z tym niezręcznie. Ale z tobą widuję się najczęściej, a w tej chwili jesteś tym z braci, którego obecność toleruję.

Śmieje się.

– Nic nie szkodzi. Wygląda na to, że i tak na ogół bywamy w tych samych miejscach. Jestem pewny, że w razie czego coś wykombinujemy. Tata mi ufa, ale przecież nie bez powodu wylądowałem w Blackwood.

– Dlatego, że kryłeś brata.

– Właśnie. Więc jeśli zajdzie potrzeba, żebym krył ciebie, to mam już w tym wprawę.

Obdarzam go szerokim uśmiechem.

– Nie wpędzę cię w tarapaty. Nie dlatego chciałam z tobą porozmawiać. Po prostu bez telefonów komunikacja jest trudniejsza. Nie chodzimy na te same lekcje, a ty nie pracujesz w country clubie, więc... w jaki sposób możemy umawiać się na wyjścia?

– Hmm, no tak. – Lance przez chwilę się zastanawia.

– Zawsze możecie ukrywać liściki – sugeruje Ashton, schowana za krzewem przystrzyżonym na kształt kapelusza.

– Ashton, czego w „bądź cicho i słuchaj” nie zrozumiałaś? – beszta ją Brendan. Oboje wyłaniają się zza krzaków. Krzyżują ręce na piersi i mierzą ich groźnym spojrzeniem.

– No co? – pyta Ashton. – Przecież nie powiedziałaś mu nic, czego byśmy już nie wiedzieli. Mogę pomóc. W sumie miałam na coś takiego ochotę, odkąd tu trafiłam, ale każdy, komu o tym napomknę, uważa, że to głupie. Wolą przekazywać sobie liściki, a to jest takie bardzo w stylu lat dziewięćdziesiątych.

– A ukrywanie ich cofnie nas pewnie o kolejny wiek – wzdycha Brendan.

– Ale tym sposobem wszyscy możemy je zobaczyć. To coś w stylu zbiorczego esemesa. Zwłaszcza, że najczęściej i tak będziemy wybierali się gdzieś razem. Na przykład jutro Lance może zostawić nam karteczkę z godziną, o której przyjedzie po nas Lily... jeśli będzie mogła.

Lance patrzy na mnie pytająco, a ja wzruszam ramionami.

– Nie mam żadnego innego pomysłu.

– Gdzie? – pyta Lance.

Na twarzy Ashton pojawia się ten jej uśmiech kota z Cheshire i wiem, że już wybrała odpowiednie miejsce.

Udajemy się za nią do brzoźowego zagajnika. Nie mogę powiedzieć, abym była zaskoczona. Także wtedy, kiedy ze środka pnia wyjmuję lufkę i zamknięty woreczek. Dziura w pniu jest nieduża, ledwie mieści się w niej dłoń Lance'a. Dzięki temu nie odstaje od pozostałych czarnych śladów na korze.

– Jak zapamiętać, które to drzewo? – pyta Lance, rozglądając się po zagajniku.

– Ja pamiętam liczbę pięć – oświadcza Ashton.

Kiedy przyglądamy jej się z konsternacją, wyjaśnia:

– Trzy drzewa od krawędzi huśtawki i dwa w przód.

– No... dobrze – mówi Lance, jakby nie do końca to widział. A ja się uśmiecham, bo tylko Ashton zapamiętałaby to w taki sposób. No i my teraz też pewnie nie zapomnimy.

– Mam starą kasetkę na biżuterię, która idealnie się tu wpasuje. W środku możemy zostawiać liściki.

Ashton i ja siadamy na huśtawce i palimy wspólnie zioło. Omawiamy zasady sekretnej komunikacji. Nie miałam pojęcia jak złożone może być sygnalizowanie, że ukryto liścik, wskazywanie, kto go zostawił, a kto przeczytał. W końcu wszystko ustalamy i na szczęście łatwo zapamiętać szczegóły. W sumie to smutne, że musimy uciekać się do pozostawiania wiadomości w drzewie. Ale lepsze to niż rzucanie wydrążonymi żołądziami w okna.

Kiedy wracamy na główną ścieżkę, zatrzymuję się przed treliazem z różami i patrzę, jak Brendan i Lance idą w stronę swojego akademika. Ashton udała się już do biblioteki. Brendan najwyraźniej wyczuwa moje spojrzenie, bo na chwilę przed zniknięciem odwraca głowę. Kilka sekund później wraca bez Lance'a.

– Odpowiem na pięć twoich pytań, jeśli ty odpowiesz na pięć moich. – Może to marihuana czyni mnie tak przychylnie usposobioną, gdyż początkowo zamierzałam odpowiedzieć tylko na trzy.

Uśmiecha się szeroko.

– Dlaczego pięć?

– Zainspirowała mnie Ashton – odpowiadam ze śmiechem.

– Tych pytań nie można zostawić w środku drzewa.

– Oczywiście – odpowiadam takim tonem, jakbym była zdziwiona, że w ogóle to mówi.

– Nie chciałabym, aby inni się o tym dowiedzieli, no i lepiej nie zostawiać po sobie śladów.

– To dobrze. – W jego głosie słychać ulgę. – Wykombinuję, gdzie i kiedy, i dam ci znać.

– Okej.

– Czemu zmieniłaś zdanie?

– Bo lubię znać prawdę.

– To jedyne, co warto wiedzieć. – Mruga, po czym znika za rogiem.

Pierwsze, co robię po wejściu do pokoju, to wyrzucam na łóżko swoje rzeczy osobiste w nadziei, że jest tam przeoczony przez Nialla telefon, ale oczywiście nie ma. Najcenniejsza rzecz to moja skórzana kurtka. Ale się cieszę, że ją odzyskałam. W zamkniętym woreczku znajduję pieniądze z napiwków. Z małego stosika pierścionków i bransoletek, które miałam na sobie tamtej nocy, biorę do ręki obrączkę.

– Gnojek. – Ciekawe, jak Nick wytłumaczył żonie brak obrączki.

Przypomina mi się mama. I choć – a może dlatego – że jestem na haju, dręczący mnie niepokój wydaje się ciężki jak burzowe chmury. Moja mama nie jest niezaradna, ale trudno ją

uznać za odpowiedzialną. Opiekowałyśmy się sobą. Ona mnie uspokaja, kiedy przemawia przeze mnie gniew, najczęściej wywołany przez kogoś, kto ją skrzywdził. A ja robię wszystko, co tylko jestem w stanie, żeby nie działa jej się krzywda.

Teraz... ona cierpi, a ja nie mogę przy niej być.

Tkwię tutaj, skąd nie mogę pomóc w uleczeniu jej serca. Nie mówię jej, że jest o wiele lepsza od połowy ludzi w swoim życiu. Że nie zasługują oni na jej życzliwość czy wybaczenie. Że żałuję, iż tak łatwo im wierzy. Na co ona by mówiła, że ubolewa, iż nie jestem bardziej ufna. Że powinnam dopuszczać do siebie więcej osób, aby mogli się przekonać, jak bardzo jestem troskliwa i kochająca. Wtedy ja odsuwałabym od siebie jej słowa, pozwalając, aby rósł we mnie gniew. Eksplodowałby w końcu i wszystko skończyłoby się bójką z kimś, kto powiedział nie to, co trzeba, albo dotknął części mojego ciała, od której powinien był trzymać się z daleka.

Moja matka czekałaby na mnie z okładem z lodu i smutną miną. Ale nie usłyszałabym wykładu o tym, jak bardzo jest mną rozczarowana. Nie musi mi ich robić. Jej oczy mówią mi więcej niż słowa. Mówią, że to siebie obwinia za to, kim się stałam, co tylko potęguje mój gniew. Przez to, że utknęłam w tej szkole, nie możemy zapewnić sobie nawzajem wsparcia. A w tej chwili naprawdę jej potrzebuję; pewnie równie mocno, jak ona mnie.

Wydadę okrzyk pełen frustracji, chwytam z łóżka poduszki i ciskam je przez pokój.

– Nie powinno mnie tu być! – Moje słowa przepelnia gniew, desperacja i bezradność.

Padam na łóżko i wyję w poduszkę. Krzyczę tak długo, aż w moich płucach nie pozostaje ani odrobina powietrza. Dopiero kiedy unoszę głowę i widzę mokre ślady, dociera do mnie, że płaczę.

Słyszę pukanie do drzwi.

– Lana? – woła Ashton. – Mogę wejść?

Ocieram policzki i biorę głęboki oddech, próbując wziąć się w garść.

Kiedy Ashton wchodzi do pokoju, na jej twarzy maluje się przygnębienie. Nim zdążę się zorientować, co się dzieje, nachyla się i mocno mnie przytula. Tak mocno, że niemal mnie dusi. Zbyt jestem zszokowana, aby zareagować, więc stoję tylko w bezruchu z rękami wzdłuż tułowia. Kiedy staje się oczywiste, że nie zamierza mnie puścić, także ją obejmuję.

– Moje serce tego potrzebowało – mówi z ciepłym uśmiechem, kiedy w końcu się cofa.

– Dziękuję ci.

Co się powinno powiedzieć w takiej sytuacji? Z drugiej jednak strony, kto mówi takie rzeczy?

– Eee, jasne. Nie ma sprawy.

– A gdybyś w przyszłości potrzebowała pokrzyczeć, ale tak *naprawdę*, znam idealne miejsce. Wystarczy, że dasz mi znać, okej?

Mrugam.

– Masz miejsce do krzyczenia?

– Każdy powinien je mieć.

Uśmiecham się, ciesząc, że jest tu teraz ze mną.

– Często mogę go potrzebować.

– No to chodźmy tam teraz.

Ashton nie pyta, co się stało i czy chcę o tym porozmawiać. Po prostu bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą. Myślę, że jest tak bardzo przyzwyczajona do ukrywania swojej prawdy przed światem, że sądzi, iż nie ma prawa pytać innych o ich prawdę. A jako że jestem osobą, która z prawdą obchodzi się wyjątkowo ostrożnie, smutno mi, że Ashton jest taka zagubiona w nienaturalnym życiu. Uczy się na swój własny, ekscentryczny sposób, jak mieć szczerze relacje. To tłumaczy jej zagadkowe komentarze i przyпіływy szczerości; próbuje sprawić, aby świat ją

dostrzegając pod tą całą otoczką uroku i piękna. I w tym momencie dociera do mnie, że jej przekleństwo to *Autentyczność*. I może właśnie dlatego od razu utworzyła się między nami więź. Obie szukamy tego samego – bycia szczerymi w tym, kim jesteśmy. Mam tylko nadzieję, że nie stanę się świadkiem jej destrukcji, kiedy górę nad nią weźmie jej przekleństwo.

Z budynku wychodzimy głównymi drzwiami, z których nie miałam jeszcze okazji skorzystać. Schodzimy po kamiennych stopniach i przecinamy żwirowy podjazd. Zatrzymuję się, aby się rozejrzeć.

Przed nami rozpościera się ogromna łąka, aż nagle teren się obniża. Dalej dostrzegam wodę – mam wrażenie, że to całe kilometry wody.

– To jezioro Blackwood. Właśnie nad nim znajdują się domy Lily i Stefana. Tyle że bardziej na północ – wyjaśnia Ashton. – W Kingston wszyscy mieszkają albo nad jeziorem, albo na zboczu góry. My oczywiście nad jeziorem.

– Zawsze sądziłam, że otacza nas las. Ale w sumie bywam tylko na dziedzińcu.

– To jedno z moich ulubionych miejsc. Może dlatego, że nikt tu nie przychodzi. Jest tak, jakby zapominali, że istnieje świat poza kampusem.

Łąka okazuje się większa niż początkowo sądziłam i trochę trwa, nim docieramy do jej krawędzi. Wygląda dokładnie tak, jakby przedszkolak przyłożył nożyczki do brzegu trawy i pociął ją nierówno, tworząc stromy spadek ku kamienistemu brzegowi.

– Ja pierdzielę – rzucam, doświadczając lekkich palpacji serca i zawrotów głowy. Nie ma tu ogrodzenia ani żadnej bariery ochronnej. Gdyby ktoś uczynił kolejny krok, spadłby prosto na kamienie. Patrzę w dół i widzę, że woda delikatnie obmywa brzeg.

– Tędy – mówi Ashton i rusza w stronę drzew. Przez całą drogę, aż do końca kampusu, ciągnie się ogrodzenie z kutego żelaza, zdeteminowane, aby oddzielać nas od drugiej strony.

Ashton nieoczekiwanie robi krok ponad krawędzią, a mnie serce podchodzi do gardła. Wyglądało to tak, jakby zesza z trawy w nicość. Ale skoro ją widzę, od kolan w górę, znaczy to, że *coś* tam jest. Dopiero kiedy zbliżam się do skraju trawy, dostrzegam płaskie kamienie. Wszystkie półki skalne wystają ze ściany przypominającej klif i wyglądają, jakby miały zaraz odpaść. Tworzą coś w rodzaju ścieżki prowadzącej nad samą wodę.

Ashton dochodzi do najbardziej wysuniętego miejsca nad taflą jeziora. Wystarczy, że widzę, jak stoi na krawędzi świata, a przyspiesza mi puls.

Wybucha śmiechem, kiedy zostaję na bezpiecznej trawie.

– Chodź. To nie takie straszne, jak się wydaje.

Ostrożnie stawiam nogę na półce skalnej. Ze strachu, że najmniejsze potknięcie wystarczy, abym stanęła twarzą w twarz ze śmiercią, skupiam się na kolejnych krokach. Zerkam na Ashton. Od wody wieje lekki wietrzyk, rozwiewający jej włosy.

– To jest Miejsce do Krzyku.

– Tak się nazywa?

– Dzisiaj tak. Bo tym właśnie musi się stać. – Bierze mnie za rękę. – Gotowa?

Spoglądam na tańczące na ciemnej powierzchni światło, jakby jezioro chwyciło ostatnie promienie słońca przed jego zniknięciem. Zamykam oczy i szukam w sobie tego miejsca, które jest zawsze pełne gniewu. Które nienawidzi mojego przekleństwa. Które pragnie, aby Allie żyła. A Vic płonął. Które chce zadać ból każdemu mężczyźnie, który złamał serce mojej matce. Albo dotknął tego, co nie należy do niego. I każdej osobie, która kłamała, zapewniając o swojej miłości. Nie muszę długo szukać, bo to miejsce czeka tylko, aby wybuchnąć.

Otwieram oczy, spoglądam na Ashton i kiwam głową.

Stajemy przodem do jeziora i głęboko oddychamy, dając naszemu gniewowi, frustracji i smutkowi nieco życia, po czym wypuszczamy je na świat w najpotężniejszym krzyku, jaki

słyszał ten klif. I jest to doprawdy oswabdzające. Bardziej, niż mogłam przypuszczać. Pozwalam, aby zachodzące słońce porwało mój ból aż za horyzont.

A kiedy nie ma już w nas żadnego krzyku do uwolnienia, pozostaje promienny uśmiech. Ashton i ja patrzymy się na siebie, po czym zaczynamy się śmiać. To prawdziwy, zapewniający więź śmiech, bo przed chwilą dzieliłyśmy coś świętego. Gdyby ktoś mógł nas teraz widzieć, uznałby, że jesteśmy niespełna rozumu. I może właśnie to nasze szaleństwo sprawia, że śmiejemy się coraz głośniej, aż w końcu muszę otrzeć łzy, które gromadzą się w kącikach moich oczu.

– Dziękuję ci, Ashton – mówię jej, kiedy zaczynamy wracać przez łąkę. – Moja dusza potrzebowała czegoś takiego.

Uśmiecha się do mnie promienniejsz niż słońce, a ja odpowiadam tym samym. Bez cienia wątpliwości wiem, że to najlepsza przyjaciółka z możliwych. Taka, która zawsze znajdzie miejsce, aby pokrzyczeć, i powody, aby się przytulić, dzięki czemu zmniejszy twój ból.

Na drzwiach mojego pokoju czeka na mnie karteczka samoprzylepna z napisem „Otwórz pudełko!”.

– Cholera – mamroczę, kiedy dociera do mnie, że zapomniałam otworzyć prezent, zbyt pochłonięta buzującymi we mnie emocjami.

To pierwsze, co robię, kiedy wchodzę do pokoju. W pudełku kryje się telefon. Uśmiecham się.

– Dziękuję ci, Lance – mówię głośno, biorąc do ręki kartkę, która leży obok aparatu.

Nie włączaj go na terenie kampusu. Znajdą go. ZADZWOŃ DO MNIE najszybciej, jak to możliwe. Joey.

Rozdział 11

– Spójrz mi w oczy i powiedz, co widzisz – poprosił przystojny mężczyzna. – Czego najbardziej pragnie moje serce? Jakie są moje zamiary?

Thaylina miała problem z poruszaniem się pod długą, jedwabną peleryną. Ale nadal się go nie bała. Nie bała się, dopóki nie spojrzała mu w oczy i nie ujrzała prawdy.

Mało brakuje, a bym zasnęła na spotkanie z moim życiowym doradcą. Szybko myję zęby, zakładam szorty i bokserkę, po czym wybiegam z pokoju. Na szczęście coraz szybciej idzie mi poruszanie się po dziedzińcu, inaczej bym się spóźniła.

Kiedy wchodzę na drugie piętro budynku administracyjnego, zaraz za schodami, tam gdzie w akademikach mieści się świetlica, tutaj znajduje się pomieszczenie z fotelami klubowymi, na których czeka paru innych uczniów. Sądząc po malującym się na ich twarzach strachu, albo są nowi, albo mają kłopoty.

– Jestem Lana Peri – mówię do siedzącej za biurkiem kobiety. – Mam umówione spotkanie.

– Proszę usiąść.

Przez chwilę się waham. Ta kobieta ma tak bezosobowy ton głosu, że nie mam pewności, czy rzeczywiście jest człowiekiem. Nawet nie podniosła na mnie wzroku, który pozostaje przyklejony do ekranu komputera. Ktoś nienawidzi swojej pracy. Albo ludzi.

Nie zdążę jeszcze zająć miejsca, kiedy słyszę:

– Lana?

Zamieram. Znam ten głos... aż za dobrze. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem powoli się odwracam. Królowa Strażniczka byłaby ze mnie dumna.

– Pan Garner. Wow. Śledzi mnie pan?

– S-słucham? – jąka się. – Nie. – Śmieje się z przymusem i zerka nerwowo na siedzącą za biurkiem kobietę, która w końcu odrywa wzrok od komputera. – Zabawna jesteś. Eee, proszę za mną.

Kiedy mijam jej biurko, szepczę:

– Śledzi jak nic.

Jej złowrogie spojrzenie sprawia, że niemal odskakuję.

– Lano – przywołuje mnie pan Garner.

Wchodzę za nim do gabinetu, który jest wielkości pokoiów w akademiku. Nie wykazano się oryginalnością podczas projektowania budynków, prawda?

Na beżowych ścianach nie wisi absolutnie nic, a jedynymi meblami tutaj są biurko i kilka krzeseł.

– Minimalizm. Kto by pomyślał – mówię, rozglądając się.

– Nie miałem jeszcze szansy, by cokolwiek z tym zrobić. Przyjechałem wczoraj późnym wieczorem. Podczas naszego kolejnego spotkania będzie tu zupełnie inaczej.

– Co tu robisz, *Isaacu*?

Twarz pana Garnera pozostaje pozbawiona wyrazu, natomiast jego spojrzenie twardnieje na tyle, aby dać mi do zrozumienia, jak bardzo go wkurzyłam. Następnie kręci głową i pociera grzbiet nosa pod okularami, jakbym już przyprawiała go o ból głowy.

– Możemy, proszę, nie zaczynać w taki sposób?

- Co ma pan przez to na myśli? Znamy się nie od dziś.
- Wiesz doskonale, co mam na myśli. Siądź, proszę.
- Zrobię to dopiero wtedy, kiedy powie mi pan, co tu robi. Nie wierzę w zbiegi okoliczności. – I nagle już wiem. – Niall Harrison zatrudnił pana, żeby miał mnie pan na oku, prawda?
- Możliwe, że dał mi znać o wakacie i zapewnił odpowiednie referencje. To doskonała okazja, więc z niej skorzystałem.
- Skąd zna pan Nialla?
- Już ci mówiłem, że pochodzę z Oaklawn. Trudno tam mieszkać i nie znać Harrisonów w taki czy inny sposób. Jego żona była jednym z moich wykładowców w Dartmouth. Oni są bardzo...
- Potężni?
- Zamierzałem powiedzieć, że wpływowi, ale nawet to nie najlepiej brzmi. Lubią... inwestować.
- W co? We mnie?
- W sumie można cię uznać za inwestycję. Chcą, abyś odniosła sukces.
- O co chodzi z tym słowem? Sukces! A co będzie o nim świadczyć? Dyplom wyższej uczelni? Sześciocyfrowe dochody? To takie bzdury!
- Nie chcesz iść na studia?
- Nie wiem, czego chcę. Ale mam dość, że wszyscy pragną tego bardziej niż ja sama.
- Jestem tak nabuzowana, że zaczynam chodzić po pokoju.
- To uczciwe postawienie sprawy – mówi spokojnie.
Jego odpowiedź sprawia, że nieruchomościę.
- Nikt nie może cię zmusić do zapragnięcia czegoś, czego nie pragniesz. Nie może cię zmusić do nauki. Ani zaangażować się w twoją edukację. Może liczyć na to, że odkryjesz coś, co okaże się twoją pasją i co będziesz chciała zgłębiać. Ale jedyna osoba, która musi chcieć, to ty.
- Jestem pod wrażeniem, panie Garner – mówię, w końcu zajmując miejsce naprzeciwko niego. – Nauczył się pan tego na zajęciach u profesor Harrison?
- Śmieje się.
- Wymaga się ode mnie, abym jako życiowy doradca w Blackwood działał zgodnie z wytycznymi. – Kładzie rękę na grubym segregatorze. – Od dwóch tygodni próbuję nauczyć się tego na pamięć i nie mów nikomu, ale nie jestem w stanie. Na chwilę obecną jesteś moją jedyną uczennicą. Nie działałam zgodnie z wytycznymi. Więc lepiej nie trafiaj do mojego gabinetu co drugą przerwę, inaczej zaczną kwestionować moje metody.
- Ciągłe panu powtarzam, że *staram się* do tego nie dopuszczać.
- Może tutejsi nauczyciele okażą się lepiej przygotowani na twoją... szczerą.
- Oby.
- Chcę omówić twój plan lekcji na semestr letni. – Otwiera kolejny segregator, niemal równie gruby, jak poprzedni. Poszczególne sekcje przedzielają kolorowe przegródki. Nachyliam się i odczytuję kilka z nich: Nauka, Zdrowie, Kwestie prawne... Odchylam się, kiedy pan Garner znajduje kartkę, której szukał, i ponownie skupia się na mnie.
- Ponieważ powodem tego ostatniego aresztowania było posiadanie narkotyków, będziesz poddawana losowym testom na obecność narkotyków. Jeśli ich nie zdasz...
- Nie zdam przez co najmniej trzydzieści następnych dni.
Zamyka oczy i wzdycha.
- Dziękuję, że przyznałaś się do brania, ale to nam nie pomaga, Lano.
- Mówię jedynie, że nie ma sensu poddawać mnie badaniom, skoro przez jakiś czas i tak

nie będę czysta. Próbuje jedynie pomóc.

Zaciska usta, żeby powstrzymać uśmiech.

– To nie ja ustaliam ich częstotliwość. Ale zobaczę, co da się zrobić. To nie oznacza, że przez trzydzieści kolejnych dni masz wolną rękę. Równie dobrze mogą cię poddać badaniu i potraktować to jako punkt odniesienia, spodziewając się pozytywnego poziomu THC, bo zakładałam, że właśnie to potrzebuje trzydziestu dni na opuszczenie twojego organizmu.

– Kto jak kto, ale pan na pewno to wie – mówię znacząco.

Nie reaguje.

– Jako że w ciągu trzech ostatnich lat często wdawałaś się w bójki, od jesieni zostaniesz przypisana do terapii grupowej skupiającej się na zdrowym wyrażaniu emocji.

– Naprawdę potrafi pan mówić to z poważną miną? Czemu nie nazywają tego panowaniem nad gniewem, tak jak reszta świata.

Pan Garner przygryza dolną wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Wiem, że tak samo jak ja uważa to za absurdalne.

– Doradzono, abys uczestniczyła – przełyka ślinę, po czym czyta dalej – w czynnościach wyczerpujących fizycznie albo uspokajających ćwiczeniach medytacyjnych.

– Chcą, żebym uprawiała seks?

Pan Garner unosi głowę, a jego szyja i policzki oblewają się krwistym rumieńcem.

– Zapisz się do jakiejś drużyny sportowej albo klubu. Chodzi o to, żebyś miała coś, co pozwoli ci się uspokajać bez uciekania się do narkotyków, bójek... czy seksu.

– Więc mówi pan, że *nie mogę* uprawiać seksu?

Zdejmuje okulary i zamyka oczy, po czym pociera powieki opuszkami palców.

– Nie mogę i nie zalecę ci uprawiania seksu. Ale proszę, jeśli się na to zdecydujesz, abys korzystała z zabezpieczenia.

– Nie cieszy się pan z tej pracy, panie Garner? Proszę tylko pomyśleć o tych wszystkich życiowych poradach, jakich będzie mi pan udzielał.

– Szczerze? Myślę, że pewnie to ty powinnaś udzielać rad mnie.

Śmieję się.

– A więc *nie* uprawia pan seksu, panie Garner?

– Lano. – Znowu ten surowy ton. Ten, który znam aż za dobrze. Słysząc w nim nutkę ostrzegawczą, jakbym zaraz miała przekroczyć granicę. Ale oboje wiemy, że to znaczy, iż już ją przekroczyłam.

Po kilku głębokich oddechach zamyka segregator i skupia swoją uwagę na mnie.

– Sporo o tobie czytałem. Wiem, dlaczego tu jesteś. Ale nie odnoszę wrażenia, jakbym cię rzeczywiście *znał*. Chowasz się za sarkazmem i szokującą szczerością. Ale ja tu jestem... dla ciebie. Kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała. Mam nadzieję, że wiesz, iż cokolwiek mi powiesz, zostanie to między nami. Chyba że, oczywiście, miałoby to narazić na niebezpieczeństwo ciebie albo inną osobę. Możesz mnie dopuścić do prawdziwej siebie, Lano.

Nie reaguję. Wiem, że mówi szczerze. Ale nie wiem, czy jestem gotowa na *taką* uczciwość.

••••

Pół godziny później z planem lekcji w ręce wychodzę z gabinetu pana Garnera, który zapewne potrzebuje w tej chwili prozacu i szklanki whiskey. Będę mieć tylko trzy przedmioty, ale jako że to semestr letni, i tak jest to do bani. Jak można się było spodziewać, są to przedmioty, z których w liceum Sherling szło mi najgorzej: chemia, wiedza o społeczeństwie i francuski.

Kiedy przechodzę przez brzozowy zagajnik i dostrzegam przywiązaną do gałęzi czerwoną wstążeczkę, już wiem, że czeka na mnie pierwsza ukryta wiadomość. A ponieważ nikt nie umieścił z tyłu swojego znaczka, wiem, że czytam ją jako pierwsza.

L przyjedzie po nas o 13.00. Jeśli ktoś potrzebuje więcej czasu, niech zostawi wiadomość.

Jako podpis Lance pozostawia symbol □. Strategia jest taka, że jeśli ktoś odkryje skrytkę, nie chcemy, aby się dowiedział, do kogo ona należy, więc każdy z nas podpisuje wiadomość przypisanym do niego symbolem. Wyjmuję marker i rysuję z tyłu symbol ∞, informujący o tym, że ja już ją przeczytałam.

Biorę prysznic i przebieram się na lekcje, a w ramach śniadania zabieram Mountain Dew i paczkę popcornu, bo nie miałam czasu, aby pójść na stołówkę. Pierwszą mam chemię, przedmiot, którego będę się uczyć w poniedziałki i środy. Muszę skorzystać z mapy Sophii, no i oczywiście kończy się to tak, że w czasie drogi przez dziedziniec docieram do kilku ślepych zaułków. Pierwszy z nich to dziwny ogród z marmurowymi posągami. Zatrzymuję się w pół kroku i mam wrażenie, że znalazłam się na scenie i stoję w świetle reflektorów. Tyle że moja widownia to ustawione w podkowę, przyprawiające o gęsią skórę posągi w różnych stadiach rozpadu. Wycofuję się i odwracam; czuję się tak, jakby jeden z posągów mógł ruszyć w ślad za mną. Biegiem docieram do ścieżki, którą szłam, nim skręciłam w złą stronę. *Nigdy* się nie przyzwyczaję do tego miejsca.

W końcu udaje mi się znaleźć wejście do budynku przedmiotów ścisłych – dwa marmurowe filary w stylu greckim, wysokie na co najmniej trzy metry, oplecione gęstym bluszczem.

Wnętrze okazuje się podobne do wystroju innych budynków, w których miałam okazję być, z wyjątkiem tego, że schody są pokryte granatową wykładziną, a na ścianach wiszą obrazy z geometrycznymi abstrakcjami. Sala Ciszy na pierwszym piętrze jest identyczna z pokojem do nauki w bibliotece: rzędy biurka, na których stoją małe lampki. Po drugiej stronie holu, tam gdzie u nas jest stołówka, znajdują się drzwi z przytwierdzonymi do nich tabliczkami z nazwiskami.

Kiedy się zjawiam, w sali siedzi tylko troje uczniów. I tak właśnie zostaje: tylko nasza czwórka. Podczas lekcji otrzymujemy tablety, które rozpoznają nas po odciskach kciuka. Przez kolejne półtorej godziny staram się nie zasnąć.

Kiedy w końcu lekcja dobiega końca, czuję przypyływ energii. I z całych sił powstrzymuję uśmiech, jaki pcha się na moją twarz na myśl o tym, że czeka mnie spotkanie z Grantem.

Po drodze biorę ze stołówki lunch na wynos, żeby mieć więcej czasu na wyszykowanie się na imprezę. Kiedy przeglądam swoje ciuchy, walczę z tym niedorzecznym podekscytowaniem. Pragnę odzyskać kontrolę nad własnymi emocjami.

Odmeldowujemy się i wychodzimy na podjazd, gdzie Lily czeka w srebrnym lexusie. Na jasnych, jedwabistych włosach ma grubą opaskę w kolorze koralowym, przez co wygląda jeszcze bardziej wyrafinowanie niż zazwyczaj. To styl, o którym mogę zapomnieć, bo moje włosy nie chcą się dać ujarzmić, nieważne ile wcieram w nie produktów i jak długo męczę je prostownicą. Dlatego związałam je w koczek z boku głowy.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, wszędzie roi się od ludzi. Dom Stefana jest w stylu tradycyjnym: belki pod sufitami, wielki kamienny kominek i piętro w formie zamkniętej antresoli. Dom jest duży i łatwo się w nim odnaleźć, głównie dlatego, że z wyjątkiem kuchni i jadalni to w sumie jedno wielkie pomieszczenie.

Nie bez powodu praktycznie wszyscy są na dworze. Dom leży na wzgórzu, z którego rozciąga się widok na jezioro. Z wielkiego ogrodu drewnianymi schodkami można się dostać na prywatną plażę. Moja pierwsza myśl to plac zabaw. Ludzie grają na trawie w piłkę nożną, rzutki i bocce, a na plaży w siatkówkę. Na wodzie unosi się trampolina, z której skaczą do jeziora.

W powietrzu unosi się zapach grillowanego jedzenia. Z ustawionych na werandzie głośników dudni muzyka. Ta impreza jest zupełnie inna niż u Lily. Jest tu wesoło i co i rusz słycać wybuchy śmiechu i pokrzykiwania tych, którzy grają w piłkę. Nie ma ani krztyny pretensjonalności.

– Napijmy się czegoś – sugeruje Lily, prowadząc nas do kuchni, nim zdążę rozejrzeć się po twarzach gości. Choć uważałam, że świetnie mi idzie niemyślenie o Grancie, w pewnym momencie dociera do mnie, że tak naprawdę w ogóle nie przestałam o nim myśleć. To nie znaczy, że podoba mi się tumult w moim wnętrzu, ale może w końcu mi przejdzie.

– Lemoniady? – proponuje Lily, podnosząc z blatu szklany dzbanek. – Dolać ci do niej wódki?

– Jasne – odpowiadam. Po chwili wręcza mi szklankę. – Dzięki. – Pociągam łyk i niemal go wypluwam.

– Co się stało?

– Chyba już tam była wódka – mówię i cała się wzdrygam.

– O kurczę. Tak mi przykro. – Lily przygryza dolną wargę. – Mam to wyłączyć?

– Nie trzeba, dorzucę lodu. Może trochę rozredzi alko.

Z wiadra w zamrażarce wydaję kilka kostek i wrzucam do swojej szklanki. Po dwóch kolejnych łykach już się nie wzdrygam. Nie mija dużo czasu, a zaczyna mi się kręcić w głowie.

Brendan i Lance zniknęli zaraz po przyjeździe, więc Lily, Ashton i ja stajemy na werandzie i obserwujemy zabawy na trawie. I w tym momencie go dostrzegam: gra w futbol z kilkoma chłopakami i dziewczynami, z których większość biega po trawie z gołymi klatkami albo w górach od bikini. Na szczęście on jest jednym z nielicznych w koszulce. Obserwuję, jak piłka trafia do Granta, który biegnie z nią w stronę celu. W ostatniej chwili rzuca się na niego jakaś dziewczyna.

Klatkę piersiową przeszywa mi ból.

– Kurwa.

– Co się stało? – pyta Ashton.

Odwracam się i opieram plecami o balustradę.

– Po prostu nienawidzę w tej chwili swojego ciała.

– Dlaczego? – pyta Lily takim tonem, jakby się obraziła w moim imieniu. – Masz jedno z najlepszych ciał, jakie widziałam. Serio.

– Och, niezupełnie o to mi chodzi, ale dziękuję. – Nigdy nie przejmowałam się jakoś szczególne swoim wyglądem. Jestem niska i może ciut zbyt mocno zbudowana jak na swój wzrost, ale generalnie mieszczę się w ciuchy, które lubię, i tak naprawdę tylko to się dla mnie liczy. Jedynym moim treningiem było bieganie po Stella's. No i boks, ale to akurat bardzo nieregularnie. Raz na jakiś czas zabierał mnie na zajęcia Javier, najstarszy brat Tori. Twierdził, że skoro i tak będę się bić, to lepiej, żeby robiła to w sposób odpowiedni. W sumie to mi się podobało.

– No to o co? – pyta Ashton.

– Nieważne – odpowiadam, ale pozostaję odwrócona. Muszę odzyskać nad tym kontrolę.

– Cześć! – słyszę od strony schodów. To Stefan; idzie, aby się z nami przywitać. – Tak się cieszę, że dałyście radę. Czestujcie się, czym chcecie. Bawcie się, w co chcecie i z kim chcecie – dodaje z uśmiechem. – I po prostu... fajnie spędzajcie czas. – Każdą z nas wita uściskiem i cmoknięciem w policzek. Gdyby zrobił to ktoś inny, odrzuciłoby mnie. Ale w Stefanie jest coś autentycznego, co sprawia, że granica nie zostaje przekroczona.

– Dziękujemy – mówi słodko Lily. – Obiecujemy, że będziemy grzeczne.

– Na ogół – dodaje Ashton ze znaczącym uśmiechem.

Stefan się śmieje, po czym odchodzi w kierunku kolejnych osób do powitania i uściskania.

– Macie ochotę popływać w jeziorze? – pyta Ashton.

– Tak – odpowiada z entuzjazmem Lily.

– Dojdę do was – mówię, bo nie jestem jeszcze gotowa na to, aby się zamoczyć.

Dziewczyny udają się na dół w stronę wody. Ja pociągam dwa kolejne łyki i prawie nie czuję już wódki, a to nie jest dobry objaw. Ale może pomoże mi to uspokoić tę burzę w moim wnętrzu i zachowywać się jak normalny człowiek. To znaczy myślę tak do czasu, kiedy Grant przechodzi przez trawnik i wbiega po schodkach na werandę.

– Przyjechałaś!

Do diabła z nim i jego olśniewającym uśmiechem.

– Aha. – Moje usta wygrywają wojnę z policzkami i uśmiecham się równie szeroko.

– Gdzie przyzwoitka?

– W sumie to nie mam pojęcia – odpowiadam, rozglądając się za Lance'em.

– To znaczy, że możesz wpaść w tarapaty?

– To propozycja? – Kącik moich ust unosi się kokieteryjnie.

Śmieje się.

– Zaraz będziemy grać w wiffle ball¹. Dołączysz do nas?

Robię przerażoną minę.

– Grałaś w to kiedyś?

Kręcę głową.

– Będziemy wyrozumiali. Chodź. – Podaje mi rękę, a ja ją ujmuję. Gdy nasze dłonie się stykają, czuję ściskanie w klatce piersiowej. – Znasz ogólne zasady? Są mniej więcej takie same jak w baseballu.

– Raczej tak.

– No to dasz sobie radę.

Udajemy się na drugi koniec trawnika, gdzie jakiś chłopak rozkłada gumowe bazy, a w kolejce czeka spora liczba graczy. Grant przedstawia mnie pozostałym.

Na szczęście należę do jego drużyny i będziemy odbijać jako pierwsi. W szkole na wuefie graliśmy w softball, więc wiem, jak się bierze zamach, ale ten akurat kij jest plastikowy i strasznie lekki i naprawdę trudno nim trafić w piłkę. Dwa razy trafiam do bazy, co spotyka się z głośnymi okrzykami ludzi z mojej drużyny. Raz nawet udaje mi się dobiec do bazy domowej, kiedy potężny chłopak z naszej drużyny odbija piłkę. Pozostali czekają i przybijają z nami piątki, kiedy biegniemy przez home plate. Grant bierze mnie za rękę.

– Nieźle – stwierdza, przyciągając mnie do siebie.

– To może dzięki wódce – wyjaśniam. – W poola też jestem wtedy lepsza. Dodaje mi kopa.

– Och – mówi zdziwiony i chyba lekko rozczarowany. – Nie wiedziałem, że pijesz.

– A ty? – pytam. Wiem, że tak, bo u Lily widziałam go z piwem.

– Nie piłem, ale pewnie, wezmę sobie piwo. Chcesz jeszcze jednego drinka?

Mój kubek leży przewrócony na trawie. I tak nie było w nim już dużo alkoholu.

– Poproszę.

Idziemy razem w stronę domu, starając się nie wchodzić w drogę innym graczom.

– Fajnie jest – mówię, rozglądając się.

– Mówisz to takim tonem, jakbyś była zaskoczona.

– Nigdy dotąd nie byłam na tego typu imprezie. Pochodzę z niedużego, ale jednak miasta. Większość ludzi nie ma dużych ogrodów.

– A ja pochodzę z małej miejsciny, gdzie są duże ogrody. I mnóstwo plotek. W sumie zawsze podziwiałem anonimowość miasta, nawet niezbyt wielkiego.

– Czujesz się osądzany? – pytam lekko.

– Czuję na sobie ciężar oczekiwań – odpowiada z powagą, po czym otwiera stojącą na werandzie lodówkę i wyjmuje z niej piwo.

Wchodzimy do kuchni i przyglądam się, jak nalewa mi z dzbanka lemoniadę z wódką. Tym razem bez dodatkowej wkładki.

– Czujesz presję, że musisz być idealny? Słyszałam, że cieszysz się reputacją porządnego faceta.

Chichocze, a na jego szyję wypełza rumieniec.

– Mówisz to tak, jakby to nie była najlepsza reputacja. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że rzeczywiście jestem porządnym facetem, ale daleko mi do bycia idealnym. A ty? Wiem, że jako uczennica Blackwood z pewnością czujesz ciężar oczekiwań. Do tej szkoły nie jest się łatwo dostać.

Chce mi się śmiać i gryzę się w język, żeby nie powiedzieć: „łatwiej niż myślisz, wystarczy mocno nabroić albo, tak jak w przypadku mnie i Lance’a, kryć kogoś, kto to zrobił”.

– No tak. Ale pieprzyć ich oczekiwania. Mam zamiar robić to, na co mam ochotę.

Grant uśmiecha się szeroko.

– Chyba nie do końca cię rozumiem, ale podoba mi się to.

W pewnym momencie, kiedy Grant schodzi do piwnicy po więcej lodu, a ja muszę skorzystać z łazienki, na chwilę tracimy się z oczu. Schodzę do dziewczyn, które pływają na dmuchanych materacach. Zamiast wchodzić do wody siadam na pomoście. I siedzę tak do czasu, aż Lance zakrada się z tyłu, chwyta mnie i wskakuje razem ze mną do wody.

Zdejmuję bokserkę i szorty, żeby mogły przeschnąć na pomoście, a sama dołączam do dziewczyn. Opryskujemy wodą Lance’a i paru innych chłopaków, którzy próbują wywrócić nasz materac. W końcu, kiedy popołudnie przechodzi w wieczór, wracamy do domu, żeby coś zjeść. Czuję na skórze pocałunki słońca i mam nadzieję, że się nie poparzyłam mimo kilkukrotnej aplikacji kremów z filtrem. Na szczęście dżinsowe szorty mam już suche, więc zakładam je na różowe majtki od bikini.

– Dostałaś kolejne miłosne liściki? – pyta Brendan, siadając obok mnie na kocu. Pozostali nakładają sobie właśnie jedzenie.

I kiedy sądziłam, że uda mi się spędzić dzień bez konieczności zamartwiania się tym, kto chce mnie zniszczyć, Brendan musiał mi o tym przypomnieć.

– Nie, chyba że ukryłeś je dla mnie, a ja jeszcze ich nie znalazłam.

– Mówię ci, że to nie ja. – Unosi ręce w geście niewinności. – W ogóle się tym nie przejmujesz?

– Może gdybym wiedziała o co, u licha, chodzi. – Co mi przypomina... – Zaraz wracam.

– Wstaję, stawiam na kocu swój talerz i przechodzę przez dom po torbę, którą schowałam pod werandą od strony podjazdu.

Ponieważ mam tutaj trochę prywatności, pozostaję po tej stronie domu, kiedy wyjmuję z torby telefon i go włączam. Jedynym wpisanym do niego numerem jest numer Joeya. Przez chwilę myślę, żeby napisać esemesa, ale wiem, że tak naprawdę musimy porozmawiać.

Odbiera po drugim sygnale, jakby się mnie spodziewał.

– Cześć, Lano.

– Cześć – mówię cicho.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś. – Jego niski głos sprawia, że przez moje ciało przebiega dreszcz. – Martwiłem się o ciebie.

Zamykam oczy, walcząc z pokusą zakończenia rozmowy, bo już sam jego głos na mnie działa. Nienawidzę tego.

– Gdzie jest Vic?

– Lato spędza w Europie. Wyjechał w zeszły weekend.

– Wróci do Printz-Lee?

– Nie wiem. Martwisz się?

– Tylko o Allie – odpowiadam.

– Wiem – mówi cicho. – Ja też. Nadal jest w śpiączce.

– Skąd wiesz?

– Bo codziennie to sprawdzam. Lano, po tym, jak mi opowiedziałś prawdę o tamtej nocy, obszukałem szpitale, aż ją znalazłem. Mnie też nie jest łatwo. Okropnie się czuję z tym, że w żaden sposób nie mogę jej pomóc.

– Ja też. Ale nie wiem, co innego możemy zrobić, dopóki się nie obudzi.

– Pozwól mi opowiedzieć tacie o sklepie.

– Nie – mówię stanowczo. – Poza tym to już nie ma znaczenia. I nie udowodni, że to Vic skrzywdził Allie.

– Ale jeśli zostanie aresztowany za napad z bronią w rękę, trafi za kratki.

– Czyżby?

– Nie wiem. – Słyszę w jego głosie przygnębienie.

Wzdycham.

– Nie róbmy tego, okej? Wolałabym się skupić na Allie. To jej jesteśmy potrzebni.

– Co zrobimy?

Pocieram czoło.

– Nie wiem. Ale musi istnieć jakiś sposób na udowodnienie, że on ją zrzucił, nawet jeśli Allie się nie obudzi. – Na tę myśl zbiera mi się na mdłości.

Po drugiej stronie panuje cisza.

– Vic nie skrzywdzi nikogo więcej. Nie pozwolę mu na to, bez względu na to, co się stanie.

– Nie wiesz do czego jest zdolny – mówię, przypominając sobie jego spojrzenie na chwilę przed tym, jak zrzucił Allie ze schodów. Była w nim bezwzględność. Uśmiechał się do mnie, kiedy krzyczałam, jakby się dobrze bawił. – Nie mogę teraz rozmawiać. – Rozłączam się, zanim zdąży zareagować, po czym wyłączam telefon.

Przez chwilę chodzę tam i z powrotem po podjeździe, próbując sprawić, aby ręce przestały mi drżeć. Wchodzę do domu i nalewam sobie kolejnego drinka, licząc, że mi to pomoże. Niepotrzebnie dzwoniłam do Joeya. Ale przecież musiałam się dowiedzieć, czy Vic przebywa gdzieś w okolicy.

Cienie na trawie stają się coraz dłuższe, kiedy słońce zaczyna zachodzić po drugiej stronie jeziora. Wracam na imprezę.

– Tu jesteś! – wykrzykuje Ashton, kiedy wychodzę na werandę. Obejmuje mnie. Jest pijana.

– Jak do tego doszło? – pytam Brendana, który siedzi obok niej.

– Ktoś ciągle zapominał, że w lemoniadzie jest już wódka. – Brendan obejmuje Ashton w talii i razem z nią wstaje. – Wracamy na kampus.

– Och. Macie czym wrócić?

– Aha. Zabierzemy się z innym chłopakiem z Blackwood. – Nim wchodzi z Ashton do domu, rzuca do mnie: – Nie zgub się, Lano. – A potem nachyla się i zaczyna ssać szyję Ashton, na co ta reaguje śmiechem. – Zawsze możesz przyłączyć się do nas.

A już zaczynałam sądzić, że jest człowiekiem... Jęczę z odrazą.

Zostawiam ich i idę na trawę. Jakiś chłopak dokłada drewna do ognia, które dopiero co zaczyna się palić w ognisku, a kilkoro innych osób siedzi wokół z gitarami. Stopniowo schodzi się coraz więcej ludzi. Znajduję sobie krzesło, przysuwam je bliżej ogniska i słucham.

Wkrótce wsłuchuję się w melodyjne głosy śpiewające folkowego rocka, i jak urzeczona wpatruję się w migoczące płomienie. W mojej głowie odbywa się gonitwa myśli.

– Masz ochotę popływać?

Odwracam się i widzę, że obok mnie kuca Grant. Dociera do mnie także, że jest ciemno. Nie mam pojęcia, kiedy to się stało.

– Pewnie – odpowiadam z promiennym uśmiechem.

Bierze mnie za rękę i pomaga wstać. Wcale jej nie puszcza, gdy schodzimy po schodkach ku plaży. Nadal jest ciepło, ale bez słońca woda wydaje się chłodniejsza niż po południu. Wzdrygam się, kiedy wchodzimy do jeziora.

Kroki Granta są znacznie dłuższe od moich i po chwili stoi już w wodzie do pasa, po czym daje nura. Wypływa, a widok jego szczupłego, mokrego ciała sprawia, że zatrzymuję się w bezruchu. W sumie to wszystko mi się zatrzymuje. Oddech. Bicie serca. Myśli. Stoję i się gapię.

– Wchodzisz? – woła i płynie na plecach, młóćąc rękami wodę. Wygląda, jakby całe życie spędził w wodzie.

– Nie pływam najlepiej – wyznaję i wchodzę głębiej, aż woda sięga mi do pach. Tylko my się kąpiemy, a im bardziej się oddalamy od brzegu, tym cichsze stają się śpiewy i dźwięki gitar.

– Potrafisz unosić się na plecach? Możemy popatrzeć w gwiazdy.

– Nigdy nie próbowałam.

– Chodź tutaj – mówi, wyciągając do mnie rękę. Kiedy po nią sięgam, piasek umyka mi spod stóp. – Połóż się. Będę cię trzymał.

Obracam się i tak manewruję ciałem, aż w końcu leżę na plecach. Stopy mi wystają, ale tyłek opada w dół. Grant jedną ręką podtrzymuje mi plecy, a drugą uda.

– Rozluźnij się. Wypchnij nieco biodra. – Tak robię. – Oddychaj i się nie bój. – Powoli zabiera rękę, a ja jakimś cudem utrzymuję się na powierzchni. – Udało ci się.

Prawie go nie słyszę, bo uszy mam pełne wody. Zamykam oczy i się wyłączam. Wyłączam myśli. Lęki. Wyrzuty sumienia i wstyd. I po prostu się unoszę. Uśmiecham się, kiedy czuję, jak palce Granta muskają moją dłoń. Delikatnie mnie przyciąga, po czym nasze palce splatają się ze sobą. Otwieram oczy, ale nie odwracam głowy, bojąc się, że stracę równowagę i się zanurzę. Niebo całe się skrzy. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu gwiazd i jestem zachwycona.

Czuję, jak woda mnie obmywa. Druga dłoń Granta ześlizguje się z mojego brzucha na talię. Dociera do mnie, że on stoi i mi się przygląda. Kładę ręce na jego ramionach, żeby pozostać na powierzchni, gdyż odpłynęliśmy spory kawałek od brzegu. Obejmuje mnie w talii, trzymając blisko siebie. Ale mimo wszystko pozostaje między nami odstęp, jakbyśmy powoli tańczyli na dyskotecze w gimnazjum.

Patrzy mi w oczy, a ja próbuję się przysunąć, bo nie chcę, żeby cokolwiek nas dzieliło. Ale on sztywnienie, stawiając opór.

– Naprawdę mam ochotę cię teraz pocałować, ale nie mogę.

Wiem, że widzi ból, który przemyka przez moją twarz. Nigdy nie byłam dobra w ukrywaniu uczuć. Zabieram ręce i próbuję się odepchnąć, ale on mi na to nie pozwala.

– Obiecałem sobie, że nie zrobię niczego z dziewczyną, jeśli jedno z nas znajduje się pod

wpływem alkoholu albo narkotyków. Nawet jeśli to tylko jeden drink.

– Och. To dlatego wydawałeś się rozczarowany, kiedy wspomniałam o wódce.

– Aha. – Uśmiecha się. – Nie chciałem czynić żadnych założeń odnośnie do tego, co może się dzisiaj wydarzyć między nami, więc raczej nie mogłem prosić cię o to, żebyś na wszelki wypadek nie piła. To znaczy wiem, co *ja* chciałem, żeby się wydarzyło, ale nie wiedziałem, czy ty czujesz to samo. Niewiele do tej pory ze sobą rozmawialiśmy.

– To prawda. Ale tak, jestem pewna, że chciałam tego samego, co ty. Cholerna lemoniada.

Śmieje się.

– Nie liczy się, że *czuję się* trzeźwa?

Grant kręci przecząco głową.

– Granice zgody nie powinny się rozmywać. Nie chcę, żeby ktoś czegoś potem żałował.

– Wow. Twoim przekleństwem rzeczywiście jest *Prawość*.

Śmieje się cicho.

– Przekleństwem? W sumie nie traktowałem tego nigdy jak czegoś złego.

– Każdy z nas ma jakieś przekleństwo – mówię, kładąc mu dłoń na przedramionach.

– A ty jakie?

– *Szczerłość*.

– Widać to. – Uśmiecha się. – Ale to też nic złego.

– Nie bez powodu nazywa się to przekleństwem – protestuję słabo, nie do końca mając ochotę wdawać się w wyjaśnienia.

– Cóż, przynajmniej zawsze będę miał pewność, że mówisz prawdę.

– Nawet jeśli nie będziesz *chciał* jej znać – dodaję ostrzegawczo, ale on reaguje śmiechem.

– Będę.

Ta chwila sam na sam z Grantem, kiedy unosimy się na wodzie i zierzamy się sobie pod gwiazdami, to chyba najlepsza część tego dnia. Byłaby całego roku... gdyby mnie pocałował. I właśnie w tym niefortunnym momencie do akcji postanawia wkroczyć mój rozum. Jest ciemno. Już dosyć długo.

– Omójboże, która godzina? – Zalewa mnie fala paniki.

– Słucham?

– Spóźnię się. – O ile już nie jestem spóźniona. Odpycham się i płynę w stronę brzegu.

– Nie wiesz może, gdzie jest Lance?

– Nie – odpowiada, płynąc za mną. – Czemu? Do której powinnaś wrócić?

– Do wpół do jedenastej.

– O cholera.

Zbieram z piasku swoje ciuchy i zaczynam wbiegać po schodkach. Nie pamiętam, gdzie są moje wyszywane koralikami japonki.

Biegnę przez trawnik, a Grant za mną.

– Potrzebujesz podwózki?

– Lily ma nas zawieźć.

– Pojechała już.

– Co takiego? – Wpadam w panikę. Podbiegam do dziewczyny, która jakiś czas temu rozmawiała z Lance'em. – Nie wiesz gdzie jest Lance?

– Wszedł do domu razem ze Stefanem.

Idę go szukać.

– Podwiozę cię! – woła za mną Grant.

Wchodzę po schodach na piętro i zaczynam otwierać kolejne drzwi.
– Lance! – Przy trzeciej próbie znajduję go... ze Stefanem... na łóżku. Szybko zamykam drzwi. Zupełnie się tego nie spodziewałam. – Cholera. – Mam nadzieję, że mnie nie widzieli. Wyglądali na mocno sobą zajętych. Na szczęście byli jeszcze ubrani. Cóż, prawie.

Zbiegam po schodach i wypadam z domu, po czym szukam pod werandą swojej torby.

– Lana? – woła Grant z góry.

– Tak? – pytam.

– Eee, jesteś pod werandą?

– Poszłam po torbę. – Świeci się w niej coś czerwonego. – Kurwa. – Wyjmuję telefon i wstrzymując oddech, odbieram połączenie. Na wyświetlaczu pojawia się twarz pana Garnera.

– Gdzie jesteś?

– Już wracam. Przepraszam. Jestem z Lance'em i...

– Lance ma przepustkę na całą noc. Ty nie.

No tak, ma to sens. Gdybym o tym wiedziała... och, dwie godziny temu, kiedy odjechali Brendan i Ashton.

– Przepraszam. Nie wiedziałam i straciłam poczucie czasu.

– Przez pół godziny mogę cię kryć. Kiedy zadzwonię po raz drugi, to będzie oficjalna kontrola po ciszy nocnej. Bądź wtedy w swoim pokoju.

– Dzięki, panie Garner. – Chowam telefon do torby.

Grant stoi na werandzie obok dziewczyny w ślicznej niebieskiej sukience na ramiączkach.

– To jest Talia. Właśnie wyjeżdża i może cię podrzucić do Blackwood. Pojechałbym z wami, ale ona potem jedzie do domu.

– W porządku. – Niefajne jest to, że w tej chwili dosłownie od niego uciekam. Patrzę na Talię. – Gotowa?

W ręce trzyma już kluczyki.

– Chodźmy – rzuca, po czym idzie szybkim krokiem w stronę hondy accord, zaparkowanej kilka samochodów dalej. – Uwierz mi, wiem co to znaczy nie zdążyć na ciszę nocną.

– Pa, Lano! – woła w oddali Grant, ale się nie oglądam.

Wskakuję na miejsce dla pasażera, a Talia wycofuje, po czym dodaje gazu tak, jakby starała się mnie odwieźć nim wybije północ. Co w sumie nie jest dalekie od prawdy.

Nie znoszę ciszy nocnej. I biegania. *Naprawdę* nie znoszę biegania.

Rekreacyjna odmiana baseballu. [\[wróć\]](#)

Rozdział 12

Serce tego człowieka przepelniały przebiegłość i oszustwo. Okrucieństwo i śmierć. Thaylina zobaczyła, że wcale nie jest on człowiekiem. Pod maską uroku skrywał się okrutny i pozbawiony serca potwór. I zamierzał odebrać jej moc, żeby nie dostrzegła dobroci w każdym sercu i już na zawsze była przeklęta, widząc jedynie kłamstwa i zdradę.

Spadaj – jęczę, sięgając na oślep po pikający telefon.

Przekręcam się na plecy i przytrzymuję wyświetlacz nad twarzą, mimo że oczy nadal mam zamknięte. Skanuję swój kciuk.

– Spotkajmy się w holu za piętnaście minut. – Głos pana Garnera jest zdecydowanie zbyt głośny.

Otwieram jedno oko.

– Czemu mnie pan dręczy o siódmej trzydzięci?

– Jesteś moją dłużniczką za wczorajszy wieczór. Odbieram dług. Wstawaj. Załóż jakiś strój do ćwiczeń i zejdź na dół. W przeciwnym razie poślę po ciebie panią Seyer.

– Nie należy pan w tej chwili do moich ulubieńców – burczę, po czym się rozłączam.

Skopuję koldrę, przeciągam się i ziewam jak smok. Na domiar złego mam dzisiaj dwie lekcje i nie pracuję w country clubie – co oznacza, że nie spotkam się z Grantem. Nienawidzę dzisiejszego dnia.

Pan Garner czeka na mnie w workowatych granatowych szortach i szarym T-shircie, który wygląda tak, jakby miał za sobą o pięćdziesiąt prań za dużo.

– Nie zapomniałaś czegoś?

Nie jestem w nastroju na zgadywanie.

– Czego?

– Reszty stroju. – Szyję ma różową i unika kontaktu wzrokowego.

Spoglądam na swoje obcisłe szorty i sportowy stanik. Nie mam prawdziwych strojów do ćwiczeń, no bo nie ćwiczę. I przecież nie jest tak, że cycki mam w tej chwili na wierzchu. Ten stanik to w zasadzie obcięta bokserka.

– Niech się pan nie zachowuje jak świętoszek. To pan mi zarządził taką wczesną pobudkę. Miejmy to za sobą.

– No to chodźmy – mówi i wzdycha ciężko.

– Dokąd właściwie idziemy? – pytam, kiedy skręca w prawo za pergolą z różami – do której jest przywiązana czerwona wstążeczka. Jest niemal niewidoczna pośród kwiatów w tym samym kolorze.

– Obejrzymy sobie klub sportowy. Znajdziemy jakiś sposób na to, żebyś nie była osób, których nie lubisz.

– Ale skąd będą wtedy wiedzieć, że ich nie lubię?

Odwraca głowę i posyła mi groźne spojrzenie, wyraźnie nie doceniając mojej sarkastycznej szczerości.

Idziemy przez dziedziniec, aż w końcu docieramy do budynku mieszczącego się za męskim akademikiem.

– Całkiem dobrze się pan tu orientuje – rzucam. Aż trudno uwierzyć, że jest tu zaledwie nieco ponad dobę.

– Po naszym spotkaniu przez całe popołudnie chodziłem po dziedzińcu. Zgubiłem się niezliczoną ilość razy, ale w końcu jakoś rozgryzłem to miejsce... tak jakby.

Przed wejściem do klubu znajduje się kamienny łuk z niewielkim stawem po jednej stronie i fontanną po drugiej – trochę dziwne otoczenie jak na takie miejsce. Ale to nie byle jaki klub sportowy, co staje się jasne od razu, gdy przekraczamy próg budynku. Znajdują się tu takie same szerokie schody jak w pozostałych budynkach, ale zrobione są z czegoś, co wygląda na szkło. A każde kolejne piętro ma równie przezroczystą ścianę. Jest tu niesamowicie nowoczesnie.

Pierwsze, co mnie uderza, to zapach czystości i odgłos kapiącej wody. Cała kamienna ściana obok wyjścia mokra jest od spływającej po niej wody, która następnie skapuje do wąskiej fontanny.

Pan Garner przez chwilę czeka, aż to wszystko ogarnę, po czym przywołuje mnie do siebie:

– Jesteśmy umówieni z kimś, kto nas oprowadzi.

Za podwójnymi drzwiami, które są chyba w każdym budynku, znajduje się coś, co wygląda jak recepcja: za wysokim kontuarem siedzą dwie kobiety w uniformach przywodzących mi na myśl szpital albo klinikę. Po drugiej stronie dostrzegam zamknięte drzwi z tabliczkami: Pokój Masażu 1, Pokój Masażu 2, Chiropraktyka i Reiki. Wszystko jest w uspokajających odcieniach bieli i turkus.

– Dzień dobry – wita nas kobieta z oczami o migdałowym kształcie i wydatnymi kośćmi policzkowymi. Jest w niej pewien blask, jakby właśnie została wypolerowana; opaloną skórę ma bez skazy, a uśmiech promienny. – Pan zapewne nazywa się Garner, a to musi być Lana.

– Tak – potwierdza pan Garner. – Dzień dobry.

– Wasz przewodnik zaraz się zjawi. Jeśli chcecie, możecie zaczekać w pokoju relaksu po drugiej stronie holu.

– Dziękujemy.

Wychodzimy i przechodzimy przez hol. Rzeczywiście znajdujemy pomieszczenie z sofami i eteryczną muzyką. Jeśli zostaniemy tu zbyt długo, jak nic zasną. Na stole dostrzegam karafki z wodą, w której pływają świeże owoce.

Pan Garner najwyraźniej dostrzega moją skonfundowaną minę. Jest tu zupełnie inaczej niż w pozostałej części kampusu. Zbyt inaczej.

– Musisz pamiętać, że większość tutejszych uczniów jest bardzo rozpieszczanych w swoim normalnym życiu. Rodzice oczekują, że szkoła zapewni im coś podobnego.

– No tak, przecież za to płacą.

Chwilę później wchodzi mężczyzna w dopasowanej koszulce sportowej bez rękawów i równie dopasowanych krótkich spodenkach. Jego ciało przypomina kwadratowe bloczki, z których wystają ręce i nogi.

– Hej. Jestem Mack.

– Poważnie? – śmieje się. Nie mogę się powstrzymać. Stereotypowy mięśniak. Nawet jego imię jest stereotypowe.

– Słucham?

– Proszę ją ignorować – mówi pan Garner, po czym podchodzi do niego i wyciąga rękę.

Mack zaczyna oprowadzanie od dolnego poziomu, gdzie znajdują się basen, szatnie i sauna. Wchodzimy coraz wyżej, piętro za piętrzem. Oglądamy sale do koszykówki i squasha, grupowych zajęć fitness i spinningu, strefy cardio i do treningu siłowego, aż w końcu docieramy na najwyższe piętro, gdzie nad tym wszystkim zawieszona jest bieżnia. Otaczają ją szklane ściany, dzięki czemu ma się widok na otwartą klatkę schodową i znajdujące się niżej strefy cardio i siłową.

Z tego miejsca dostrzegam osobą strefę do boksu, oddzieloną ścianką działową od strefy do ćwiczeń siłowych, której Mack nam wcześniej nie pokazał. Podejrzewam, że uznał, iż to nie dla nas, skoro pan Garner jest szczupły i wygląda raczej jak maratończyk niż bokser. No a ja jestem dziewczyną.

Pan Garner także dostrzega tę strefę.

– Macie zajęcia z boksu? – pyta.

– Interesuje to pana? – pyta Mack, nie ukrywając zdziwienia.

– Nie, mnie. – Wbijam w niego wzrok, czekając na jakąś uwagę na temat mojego wzrostu. Albo płci.

Ale jedyne, co mówi, to:

– Fajnie. – Po czym dodaje: – Można się zapisać na zajęcia na tablecie, który znajduje się przed każdą z sal. – Schodzimy z powrotem do holu. – Chcesz zacząć od razu dzisiaj? Na kampusie jest teraz dość pusto i nikt się nie zapisał na dzisiejszy ranek.

– Jasne – odpowiadam.

– A ja chyba skorzystam z bieżni – wtrąca pan Garner.

Mack nie pozwala mi się wyżyć na ciężkim worku. Zmusza mnie do ćwiczeń, przez co mam ochotę wyżyć się na *nim*. Każe mi robić milion brzuszków, rzucać piłką lekarską, skakać ze skakanką i robić te szybkie ćwiczenia, w których pracują nogi. Oświadczył, że zadawanie ciosów będzie następnym razem. Jeśli przeżyję *ten* raz.

– Nienawidzę tego, że pana nie nienawidzę – oświadczam panu Garnerowi, kiedy wychodzimy. Cała spływam potem.

– Musisz jednak popracować nad wyrażaniem pozytywnych emocji – żartuje. – Ale przynajmniej jesteś zbyt zmęczona, żeby dać komuś w zęby, a o to mi właśnie chodziło.

– Koniec słuchania – rzucam i odchodzę.

Nogi mam jak z waty. Na samą myśl o przejściu przez cały dziedziniec, żeby przeczytać czekającą w drzewie wiadomość, robi mi się słabo. Ale zmuszam się do tego, i po co? Żeby znaleźć wiadomość od Brendana zaadresowaną tylko do mnie.

∞ *Wpadłaś w tarapaty?* ♂

Skąd wiedział? Skąd on w ogóle wie takie rzeczy?

Drę kartkę i zostawiam ją w pudełku. Z huśtawki zdejmuję wstążeczkę i ją także wkładam do pudełka, żeby Lance i Ashton nie myśleli, że na nich też czeka wiadomość.

Wziąwszy prysznic udaję się do pokoju Ashton, aby sprawdzić, jak się czuje.

Kiedy otwiera drzwi, nie mam wątpliwości, że fatalnie. Włosy ma potargane, a długi T-shirt opada luźno na jedno ramię. Wokół oczu ma czarne obwódki i jest blada, mimo że cały dzień spędziła na słońcu.

– Żyjesz? – pytam ostrożnie, wchodząc za nią do pokoju.

Wczołguje się pod leżący na sofie koc.

– Nie – burczy. – Nie mogę uwierzyć, że tak się upiłam.

– Dotarło to do mnie dopiero, jak nie potrafiłaś już sama stać.

– Co się stało z tobą? Jak wróciłaś? Mówiłam Brendanowi, że potrzebujesz podwózki, ale on odparł coś prostackiego o ujeżdżaniu Granta. – Wystawia spod koca głowę. – Co z Grantem?

Marszczę nos.

– Nic. Nawet mnie nie pocałował.

– A to czemu? Ja bym to zrobiła. – Śmieję się. – Szczerze mówiąc byłam pewnie na tyle pijana, że rzeczywiście bym to zrobiła.

– Nie zamierza robić niczego z dziewczyną, jeśli któreś z nich jest pod wpływem.

– Ja pierdołę. Zapomnij o Księżciu Filipie, to cholerny święty!

– A skoro o tym mowa, błagam, powiedz mi, że ty i Brendan nie...

– Nie – zapewnia mnie Ashton. – On zdecydowanie nie jest święty, ale nie wykorzystałby mnie w ten sposób. Nie znaczy to, że nie bzykaliśmy się na bani, ale nie kiedy byłam aż tak zrobiona.

– To dobrze – mówię, ale mimo wszystko nie uważam tego za właściwe. Nie jest tak, że ja i Jensen nie uprawialiśmy seksu po pijaku. Ba, prawie nigdy nie robiliśmy tego na trzeźwo. Ale słowa Granta o rozmywaniu granicy zgody, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi używki, sprawiają, że inaczej to teraz postrzegam i zastanawiam się, czy w ogóle uprawialibyśmy seks, gdybym była trzeźwa. Ściskanie w żołądku przybiera na sile, kiedy głosik w mojej głowie odpowiada, że pewnie nie.

A całowanie? Nie zliczę, ile razy obściskałam się po pijaku na imprezach czy w ciemnych kątach barów.

– Może jest dla mnie za dobry – mówię z westchnieniem. – Ja jestem raczej diabolicą niż świętą.

– Wolę wkurzonego chochlika – chichocze Ashton. – Poza tym który facet nie lubi dziewczyny, która trochę kąsa?

– Jesteś jeszcze na bani? – pytam, śmiejąc się z niej.

– Możliwe.

– Przynieść ci coś do jedzenia?

– Nie, dzięki. Mam coś tutaj. Chyba się jeszcze prześpię, bo lekcje mam dopiero po południu.

Przed wyjściem mówię do niej:

– Powinnyśmy sobie obiecać, że będziemy na siebie nawzajem uważać.

Ashton odsuwa koc z twarzy.

– To znaczy?

– Kiedy idziemy na imprezę czy w ogóle gdziekolwiek... żebyśmy pilnowały, czy ta druga jest bezpieczna albo czy za dużo nie pije. Nie chciałabym, żeby ktoś zrobił ci krzywdę albo, no wiesz, żebyś ty zrobiła coś, czego byś nie chciała, dlatego, że byłaś pijana albo na hajku.

Uśmiecha się do mnie miękko.

– Zrobiłabyś to? Obiecałabyś, że będziesz mnie chronić?

– Oczywiście. A ja nigdy nie łamię obietnic, nigdy.

Jej uśmiech staje się jeszcze szerszy, a oczy błyszczą.

– Ja też obiecuję, że będę cię chronić.

– Najchętniej bym cię teraz uściskała, ale capisz – rzucam, a ona wybucha śmiechem.

Kiedy zamykam drzwi, muszę przełknąć gulę, która utworzyła mi się w gardle. Ale to i tak nie powstrzymuje łzy, który spływa mi po policzku. Wiem, że to nie tylko dlatego, że dociera do mnie, jak bardzo zależy mi na Ashton. To także wyrzuty sumienia, że nie udało mi się uchronić Allie przed Vikiem. I smutek, że w ogóle potrzebujemy ochrony.

••••

We wtorki i czwartki mam po dwie lekcje. Rano wiedza o społeczeństwie, a francuski przed obiadem. To oznacza, że w te dni nie pracuję w country clubie. Jeszcze nigdy nie byłam tak rozczarowana faktem, że nie muszę jechać do pracy.

W środę Ashton i ja ponownie zostajemy przydzielone do wózka golfowego. Uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Nie zamierzam z nim nawet walczyć.

Kiedy wchodzimy do szatni, jest tam Kaely.

– Gdzie byłaś w poniedziałek? – pytam, bo choć tak bardzo się ekscytowała imprezą

u Stefana, w końcu się na niej nie pojawiła.

– Musiałam pomóc mamie – odpowiada z kwaśną miną. Ale szybko wraca jej firmowy uśmiech. – Ale zobaczymy się w piątek w...

– Pracy – przerywa jej Ashton. – Tak, wiemy. Wszystkie pracujemy razem w The Deck. – Posyła jej wymuszony uśmiech.

– Och, no tak. – Policzki Kaely różowieją. – Zapomniałam, że o tym wiecie.

Dziwnie się zachowują.

– Co to miało być? – pytam Ashton, kiedy Kaely żegna się z nami i idzie do The Grille.

– Nic – odpowiada lekceważącym tonem. Kłamie. I wie, że ja wiem, że kłamie. Ale w tej chwili nie ma to znaczenia, bo w drzwiach pojawia się Grant z workami z lodem. Rhett także, ale na nim mi nie zależy.

Grant się uśmiecha na mój (albo nasz) widok, ale coś mi mówi, że ten akurat uśmiech jest przeznaczony właśnie dla mnie.

– Nie wiedziałam, że udzielasz lekcji pływania – rzuca Ashton, a ja otwieram szeroko oczy i czuję, że się rumienię.

– Słucham? – pyta Grant, patrząc to na nią, to na mnie.

– Och, musiałam się przestyszeć – odpowiada Ashton ze znaczącym uśmiechem.

Grant patrzy na mnie, a ja jedynie wzruszam ramionami. Zamierzam zepchnąć ją później z wózka.

– Do zobaczenia przy dziewiątym – mówi, kiedy siadam na swoim miejscu. Macham mu na pożegnanie.

Kiedy odjeżdżamy kawalek, Ashton wybucha histerycznym śmiechem, a ja chowam twarz w dłoniach.

– Pomachałaś mu. Nie odezwałaś się ani słowem. Jedynie pomachałaś.

– Nigdy więcej nic ci nie powiem – dąsam się. – Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś.

– Zabawne to było. – Nadal się śmieje, kiedy podjeżdżamy do pierwszych golfistów. Nie potrafię udawać, że się na nią gniewam. Bo to rzeczywiście było zabawne. A ja *byłam* żałosna.

Pomachałam mu.

Kiedy dojeżdżamy do budki przy dziewiątym dołku, koszulka klei mi się do ciała. Jest tak koszmarnie gorąco, że chyba nawet kolana mam spocone.

– Poproszę Stefana, aby zrobił nam do picia coś z dużą ilością lodu – mówi mi Ashton, kiedy zamyka wózek.

– Będę sobie suszyć cycki w łazience.

Odchodzi ze śmiechem.

Kiedy wchodzę do budki, nie widzę Granta ani Rhetta. To dobrze, bo potrzebuję paru minut, żeby się ochłodzić i uczesać. Przez wilgoć i szaleńczą jazdę Ashton cała jestem potargana. Ona uznaje tylko dwa tryby jazdy – wciskanie hamulca albo gaz do dechy. Możliwe, że nim lato dobiegnie końca, będę musiała skorzystać z usług chiropraktyka w klubie sportowym.

Balansuję z jedną nogą na muszli, a drugą na blacie, koszulkę mam uniesioną i pozwalam, aby chłodne powietrze owiewało mi piersi. W tym momencie otwierają się drzwi.

– Jest cudownie – mówię do Ashton. Tyle że kiedy odwracam głowę, przekonuję się, że to nie Ashton, lecz Grant.

Przygląda mi się zafascynowany, jakby nie przyszło mu do głowy, aby stanąć na muszli z uniesioną koszulką, żeby się ochłodzić.

– Eee...

Otwieram usta. Nie wydostaje się z nich żaden dźwięk.

– Przepraszam. – Grant się odwraca, żeby wyjść.

W tym momencie moje usta postanawiają wypowiedzieć słowa najgłupsze z możliwych.

– Jestem trzeźwa.

Zatrzymuje się, a ja szybko opuszczam koszulkę. Kiedy się odwraca, kąci ust ma uniesione, jakby nie mógł uwierzyć, że to powiedziałam. Nie on jeden.

– No i stoisz na sedesie w łazience w budce.

– No tak – mówię i schodzę. – Chciałam jedynie powiedzieć... że... jestem trzeźwa... na wypadek, gdybyś chciał to wiedzieć.

Chichocze. Następnie robi krok w moją stronę. Wstrzymuję oddech, pełna nadziei.

– *Zamierzam* cię pocałować, Lano. Ale nie tutaj.

– To dobrze. Chyba. – Przygryzam wargę, żeby nie wyrwała mi się kolejna zbyt szczerą uwagą.

Grant ponownie się śmieje.

– Mango i ananas albo truskawka i kiwi – oznajmia Ashton w oddali, a jej głos staje się coraz głośniejszy. – Powiedziałam mu, żeby koktajle były virgin, na wypadek, gdyby Grant... och, cześć, Grant.

Zamykam oczy i przełykam ślinę.

– Ja nie jestem *virgin*¹ – rzuca żartobliwie Grant.

– Dobrze wiedzieć. – Ashton unosi brew. – A ty, Lano?

– Co? Omójboże, przestań!

Grant i Ashton wybuchają śmiechem. Wygląda na to, że dzisiaj jestem najzabawniejszym człowiekiem na świecie.

– Wezmę mango.

Grant bierze koktajl od Ashton i podaje mi go, no bo przecież blokuje przejście.

– Ashton, nie chciałabyś przez resztę popołudnia pomagać Stefanowi w barze? – pyta ją, nie odrywając wzroku ode mnie.

– Tak! W końcu będzie trochę akcji. To znaczy za barem. No wiecie, podczas nalewania drinków.

– Rozumiemy – mówię, żeby się w końcu przymknęła, bo dzisiaj obie gadamy głupoty.

Ja i Grant odjeżdżamy wózkiem, natomiast Ashton zostaje ze Stefanem w Barze Dziewiątka.

– Miejszy z głowy te oczywiste pytania – mówi Grant, kiedy tylko się oddalamy. – Mam osiemnaście lat, uczę się w ostatniej klasie w Printz-Lee. Jedna siostra, Faith, czternaście lat, i jeden brat, Garrett, lat jedenaście. Mamy labradora, który wabi się Max. Mój ojciec jest dyrektorem w jednej z miejscowych szkół podstawowych, a matka kardiochirurgiem. Mieszkamy w małym miasteczku w Connecticut, o którym nigdy nie słyszałaś. Nie mam pojęcia, co chcę zrobić ze swoim życiem. Na razie, nim zmuszony będę dorosnąć, chciałbym podróżować i zobaczyć tyle, ile się da. Należę do osady i gram w lacrosse. Cóż, no i to by było na tyle, jeśli chodzi o generalną biografię.

Mrugam. Zerka na mnie wyczekująco.

– Twoja kolej.

– Jestem Lana. Poza tym nie ma zbytnio o czym mówić.

– Daj spokój. Żadnych braci? Sióstr? – Kręcę przecząco głową. – Do której chodzisz klasy?

– Trzeciej. – Po czym dodaję niechętnie: – Mieszkam z matką w niedużym mieście w Massachusetts, o którym nigdy nie słyszałaś. Nie mamy psa, aczkolwiek bezpański kot lubi sikać nam na schody i paskudnie wtedy śmierdzi.

Śmieje się.

– Nigdy nie wyjeżdżałam z Sherling aż do piątku, kiedy zjawiłam się tutaj. – Grant unosi brwi. – Moja matka podejmuje się różnych prac, żeby zarobić na nasze utrzymanie, ja także. I nie należę do graczy zespołowych, więc nie uprawiam żadnego sportu.

To również go bawi.

– Czemu spędzasz tutaj lato? – pytam, nim zdążymy dojechać do następnej grupy golfistów.

– Mój ojciec uznał, że przyda mi się trochę doświadczenia w pracy – wyjaśnia ze skrępowaniem. – Wiem, okropnie to brzmi, bo nie chodzi o to, że nie *chciałem* pracować, ale w ciągu roku szkolnego rodzice mi nie pozwalają. A w co drugie wakacje gdzieś razem wyjeżdżamy.

– Ja pracuję, odkąd skończyłam trzynaście lat.

Grant wciska hamulec nieco mocniej niż zapewne zamierzał. Patrzy na mnie oszołomiony. Do wózka podchodzą gracze.

Kiedy znowu ruszamy, oświadczam:

– Nie jestem bywalczynią prywatnych szkół. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby ktoś inny za to nie płacił. Nie pochodzę z zamożnej rodziny. I nie mam pojęcia, co chcę zrobić ze swoim życiem, ale wcale się tym nie przejmuję.

Kąciki jego ust się unoszą.

– Lubię w tobie wszystko.

– Nawet moją szczerość?

– Zwłaszcza twoją szczerość. – Kiedy się zatrzymujemy, żeby jakiś golfista mógł odbić piłkę, Grant mówi: – Choć staram się nie kłamać, to jednak zdarza mi się to robić. Ale ciebie nigdy nie okłamię. Myślę, że to fair.

– Przemawia przez ciebie twoje przekleństwo – drażnię się z nim.

– Ty i te twoje przekleństwa – chichocze. – Kiedyś będziesz mi to musiała wytłumaczyć.

Kolejny postój mamy obok grupy mężczyzn, młodszych od większości golfistów o co najmniej cztery dekady. Według mnie zbliżają się do trzydziestki. Ale zachowują się tak, jakby nadal chodzili do liceum.

– Poproszę Johnny’ego Walkera Black z lodem – zamawia u Granta jeden z bardziej napuszonych graczy. – I butelkę wody. – A potem ześlizguje się ręką po moich szortach, żeby chwycić mnie za tyłek.

Zamieram.

Grant najwyraźniej wyczuwa moje napięcie, bo nieruchomieje w połowie realizacji zamówienia i patrzy w moją stronę. Mruży oczy, rejestrując, że coś jest nie tak, choć ze swojego miejsca nie widzi co.

I wtedy ten facet ściska mi pośladek.

Ogarnia mnie ślepa furia. Musi być widoczna na mojej twarzy, bo w oczach Granta dostrzegam szok. Ale nim zdąży zareagować, sięgam za siebie, chwytam kciuk intruza i obracam go tak, jakbym próbowała przewrócić go na plecy, używając tylko jego palca. Zgina się w pół i wyje z bólu.

– Widzisz to ciało? – warczę mu do ucha przez zaciśnięte zęby.

Piszczy, kiedy pociągam mocniej.

– Nie waż się go dotykać.

– Co się, u licha, dzieje? – woła jeden z jego kolegów, kiedy się orientuje, że coś jest na rzeczy.

Puszczam go. Potrząsa mocno dłońią.

– Dziwka.

Uśmiecham się drwiąco, a w moim spojrzeniu nadal czai się wściekłość.

Całe wydarzenie trwało kilka sekund, w trakcie których Grant się nie poruszył. Zerkam na niego, bo nagle do mnie dociera, jak to musiało wyglądać. Cholera. Posyłam mu niepewny uśmiech, wiedząc, że nie każdy jest sobie w stanie poradzić z moim niekontrolowanym gniewem. Chyba będę potrzebowała więcej lekcji boksu.

– Panowie, na dzisiaj macie dość – oświadcza Grant tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – Jeśli macie z tym problem, możecie porozmawiać z kierownikiem klubu. Ale ja was nie będę obsługiwał. Lano, jedziemy.

– Poważnie mówisz? – pyta z niedowierzaniem potężny prostacki facet.

Odjeżdżamy, nim zrobią scenę. Albo więcej niż jedną.

– Ja...

– Wszystko w porządku? – pyta Grant, czym przerywa moje przeprosiny za to, że musiał zobaczyć tę stronę mnie. Ale nie za to, że niemal wyrwałam temu koleśowi kciuk.

– Tak, jasne – mówię lekceważąco. – Pracowałam w barze. Uwierz mi, że to jeszcze nic.

– Nic? Nie wiem, czy bym tak powiedział. Ale przynajmniej zepsułaś mu grę w golfa, na co sobie zasłużył. – Zerka na mnie z krzywym uśmiechem i podziwem w oczach. – Jesteś zupełnie inna niż wszystkie znane mi dziewczyny.

– Kiedy streszczałam ci moją biografię, powinnam chyba była wspomnieć, że jestem paskudna.

Grant śmieje się głośno, a znajdujący się w pobliżu golfiści posyłają mu spojrzenia pełne irytacji. Golf to naprawdę beznadziejny sport.

– Proszę, nie zmieniaj się – mówi, kiedy się zatrzymujemy. Nim zdążymy zejść z wózka, aby obsłużyć zbliżających się graczy, nachyla się, a jego oddech łaskocze mi szyję.

– I naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy cię pocałuję.

– Nadal jestem trzeźwa – rzucam i uśmiecham się od ucha do ucha.

Przez resztę popołudnia wymieniamy się tysiącem pytań o nasze upodobania, ulubione książki, filmy, jedzenie, którego nie znosimy, nawet o to, czego sobie życzyliśmy podczas zdmuchiwania świeczek na urodzinowym torcie. Miałabym wrażenie, że to nasza pierwsza randka... w pracy... gdybym się umawiała na randki. Ale on ani razu mnie nie całuje, mimo że ma ku temu wiele okazji.

Kiedy wychodzę z szatni, przebrawszy się po pracy, Cary wzywa mnie do swojego gabinetu.

– Słyszałem o tym, co się stało przy dwunastym dołku.

– Omójboże, tak strasznie mi przykro – mówię szybko, nim zdąży kontynuować. Ogarnia mnie panika. – Nic mu nie jest? Złamałam mu palec? Wiem, że nie powinnam była zaatakować członka klubu i naprawdę przepraszam. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

– Lano – mówi spokojnie Cary. Zaciskam usta, żeby nie mówić nic więcej. – Przykro mi, że przytrafiło ci się coś takiego. Chciałem się upewnić, czy nic ci nie jest.

– Słucham? – pytam zaskoczona. – Mnie?

– Tak. Podchodzimy bardzo poważnie do tego, co się stało. Nikt, i nie obchodzi mnie, czy jest członkiem klubu czy prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie ma prawa cię dotykać. Chcę, żebyś pracując tutaj, czuła się bezpiecznie. Ten członek tymczasowo utracił swoje przywileje, aby zrozumiał, że tego rodzaju zachowanie nie będzie u nas tolerowane.

Opada mi szczęka. W końcu wyduszam z siebie:

– Martwił się pan o *mnie*?

Uśmiecha się ciepło.

– Jesteś częścią rodziny KCC. Oczywiście, że tak.

– Dziękuję. Nic mi nie jest.

– To dobrze. W takim razie widzimy się w piątek.

Nadal w stanie szoku wychodzę z jego gabinetu i niemal wpadam na Granta, który stoi obok wyjścia służbowego.

– To ty powiedziałaś Cary’emu o tym, co się stało? – pytam.

– Aha. Musiał się dowiedzieć. To nie było w porządku, nawet jeśli zwichnęłaś temu facetowi kciuk. Poza tym chciałem dopilnować, aby żadni inni barmani nie obsługiwali tych koleśi.

Nigdy dotąd nikt się za mną nie wstawił poza Tori i Niną. Ale one rzuciłyby się razem ze mną na tego faceta, a nie broniły mojego honoru.

Obejmuję tors Granta, bo jestem za niska, żeby zarzucić mu ręce na szyję, i mocno go przytulam. Jest zaskoczony. Kiedy mija pierwszy szok wywołany moją reakcją, on także mnie przytula.

– Dziękuję – mówię zduszonym głosem.

Jeszcze raz mnie przytula, po czym puszcza.

– Eee, jak ci minął dzień? – pyta zza niego Ashton.

Uśmiecham się niemądrze.

– Skopałam tyłek i obsługiwałam spragnionych. A tobie?

– Obściskiwałam się ze Stefanem i się wstawiłam.

Grant i ja śmiejemy się zaskoczeni.

– Trochę tego za dużo jak na mnie – oświadcza Grant. – No to do zobaczenia w... – waha się. – Poniedziałek, jeśli uda ci się przyjechać do Stefana. – Ściąga brwi, a ja robię to samo. – Nie mogę uwierzyć, że musimy czekać aż tyle dni.

– No a piątek?

– Przyjeżdża mój tata. Chciał, żebyśmy spędzili razem weekend.

– Och. – Nie kryję rozczarowania. – W takim razie do poniedziałku. – Kiedy patrzę, jak odchodzi w stronę parkingu dla pracowników, mam wrażenie, że uchodzi ze mnie całe powietrze.

– Nie pocałował cię, co? – pyta Ashton. Obejmuje mnie i prowadzi w stronę naszego busa.

Niechętnie odrywam wzrok od oddalającego się Granta.

– Ano nie.

Virgin (ang.) – dziewica / prawiczek, ale także drink bez alkoholu [wróć]

Rozdział 13

Bestia zaśmiała się, kiedy dziewczyna próbowała uwolnić się z peleryny. Ale to była magiczna peleryna, która stawała się pułapką dla każdego, kto nie był jej właścicielem. Thaylina walczyła o oddech, dusząc się, gdy peleryna zaciskała się coraz mocniej i mocniej. A bestia zgodnie z obietnicą zaśpiewała.

Powinam uważać, czego sobie życzę.

O siódmej trzydzieści pan Garner budzi mnie i ponownie zaciąga do klubu sportowego, gdzie czeka już Mack. Dzisiaj przynajmniej pozwala mi okładać pięściami worek.

– Tak już będzie codziennie? – pytam pana Garnera, kiedy po zajęciach idziemy przez dziedziniec, spoceni i obolali.

– Chcę mieć pewność, że masz bezpieczne ujście dla swojego gniewu.

– Albo... dba pan o to, abym wiedziała, jak silniej uderzać, kiedy wdam się w bójkę.

I żałuję, że to powiedziałam, bo w piątkowy poranek prowadzi mnie na zajęcia medytacji i jogi. Uważałam, że Mack jest do bani? O wiele gorsza okazuje się Jasmine i jej kojące słowa o wewnętrznym spokoju i odprężeniu, zwłaszcza że jednocześnie muszę wyginać ciało w najbardziej nieludzkie pozycje. Mojemu umysłowi daleko do spokoju. Kiedy patrzę, jak pan Garner wykonuje kolejne ćwiczenia tak, jakby jego ciało było ciecżą, mam ochotę go walnąć. Już-już chcę zacząć krzyczeć, kiedy w końcu Jasmine uderza w gong kończący naszą sesję.

– Naprawdę nienawidzę tego, że pana nie nienawidzę – powtarzam, kiedy wychodzimy.
– Postanowiłam, że to będzie nasza mantra.

– Popracujemy nad tym – mówi pan Garner z krzywym uśmiechem. Sprawia wrażenie rozluźnionego i spokojnego.

Później tego ranka, nim udaję się razem z Ashton i Sophią na śniadanie, w końcu rozmawiam z matką. Przez cały tydzień nie mogłyśmy się do siebie dodzwonić. Rozmowa okazuje się krótka i obie unikamy szczerości, gdy referujemy, co u nas. Tęsknię za nią. I dzisiaj jest mi ciężiej niż do tej pory.

– Kocham cię. Byłaś *moim* wyborem. – To akurat mówi mi co roku.

– Ja ciebie też – mówię, po czym się rozłączam. O tak wiele pragnę ją zapytać: jak się czuje, czy wystarcza jej na rachunki, ale przede wszystkim o to, skąd zna Nialla. Ale dzisiaj nie mogłam tego zrobić.

Wychodzę na dziedziniec, bo nie jestem gotowa, aby spotkać się z dziewczynami podczas śniadania. Serce mnie boli i ściska mnie w gardle. Idę przez labirynt krzewów i ścieżek, aż docieram do znajdującego się w samym środku ogrodu różanego w kształcie serca. W pewnym momencie czuję wokół siebie czyjeś ramiona.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Księżniczko. – Brendan całuje mnie w czubek głowy. Odpycham go. – No co? Nie ma urodzinowej miłości?

– Na pewno nie wtedy, kiedy mnie tak nazywasz – warczę i odwracam głowę, żeby otrzeć z policzków łzy.

– Szczerze? Na twój widok przychodzi mi to zupełnie naturalnie. Przysięgam, że nie robię tego dlatego, aby ci przypominać o tamtej nocy. Jestem draniem, ale nie aż *takim*. – Po chwili wahania dodaje: – Przepraszam. Postaram się powstrzymać przed nazywaniem cię tak. Ale nie obiecuję. – Wyczuwam, że mi się przygląda i próbuje mnie obejść, żeby zobaczyć moją twarz.

Odwracam głowę, żeby ukryć emocje.

– Dlaczego płaczesz?

– Jak mnie znalazłeś? – pytam, zmieniając temat.

– Śledziłem twój GPS – odpowiada szczerze. – No dobrze, powiesz mi, co się stało?

Czemu akurat dzisiaj jesteś taka smutna?

– Bo dzisiaj jest *dzisiaj*. – Siadam na huśtawce w kształcie jajka. Brendan wciska się obok mnie. Jest ciasno, bo to huśtawka jednoosobowa, więc praktycznie siedzę mu na kolanach. – Co ty wyprawiasz?

– Spokojnie, nie będę się do ciebie dobierał. – Kładzie moje nogi na swoich kolanach i poprawia się tak, że siedzę bokiem na poduszce. – Porozmawiaj ze mną. Nie pójdę sobie, dopóki tego nie zrobisz.

– Czemu się przejmujesz?

– Lana, skończ te bzdety.

Zamykam oczy, aby powstrzymać napływające łzy.

– Tęsknię za babcią. – Przetykam głośno ślinę.

– Kiedy umarła? – pyta ostrożnie, jakby się bał sprawić mi ból.

– Prawie trzy lata temu. Ale dzisiaj jest trudniej, bo... to był nasz dzień – wyjaśniam.

– Mojej matce trudno zawsze było świętować moje urodziny. Myślę, że miało to związek z moim ojcem, który porzucił ją jako ciężarną, załamaną siedemnastolatkę. Coś mi mówi, że był miłością jej życia i że nigdy go nie przeboleła. A ja stanowią przypomnienie o tym bólu, nawet szesnaście lat później.

Brendan słucha mnie uważnie. Chłonie każde moje słowo i delikatnie ściska mi kolano, jakby próbował mnie pocieszyć.

– Czemu ci to wszystko mówię?

– Bo umiem słuchać – odpowiada z bladym uśmiechem. – Miałaś mi powiedzieć o swojej babci.

Nie patrząc na niego, skubię luźną nitkę w poduszce.

– Co roku gdzieś mnie zabierała. Myślę, że głównie chodziło jej o to, żeby trzymać mnie z dala od mojej depresyjnej mamy, ale zawsze robiłyśmy coś szalonego. W dniu moich dziesiątych urodzin obeszlśmy wszystkie lodziarnie w mieście z zamiarem wypróbowania dziesięciu różnych smaków. Myślałam, że zwymiotuję. No a ósme urodziny... Miałam wtedy obsesję na punkcie *Calineczki* i pragnęłam mieszkać w środku kwiatu, więc zrywałyśmy je z ogródków przed domami i skrzynek na oknach i zrobiłyśmy bukiet tak duży, że musiałam go nieść w obu rękach. Takie różne absurdalne rzeczy. Ostatniego roku, kiedy miałam trzynaście lat, rozłożyłyśmy koc przed pomnikiem pamięci w centrum miasta. Mijały nas samochody, a niektóre nawet trąbiły. Patrzyłyśmy w niebo i wymyślałyśmy historie, które pasowały do kształtów chmur. Często opowiadała mi różne historie; niektóre były prawdziwe, ale większość to pokręcone bajki. – Wzdycham ze smutkiem. – Tak bym chciała, żeby jeszcze żyła.

– Ja też jestem blisko z moją babcią. To ona mnie wychowała. Jeszcze zanim moja matka, no wiesz... – mówi cicho. – Kiedy mnie urodziła, była tylko parę lat starsza od twojej.

Zaskoczona bezbronnością w jego głosie, podnoszę wzrok na jego twarz.

– Ile miałaś lat, kiedy została...? – Nie mogę się przemóc, żeby wypowiedzieć słowo „zamordowana”.

– Cztery. To ja ją znalazłem.

– Co? – Głos mi drży z szoku.

– Przedawkowała.

– Ale mówiłeś... – zaczynam skonsternowana.

– Innym razem – mówi, klepiąc moje kolano. – Samobójstwo to nie najlepszy temat w dniu urodzin. – Ton jego głosu staje się lżejszy. – Przykro mi, że nie ma teraz z tobą twojej babci i jesteś skazana na nas. Ale nie zapomnisz tych urodzin. Obiecuję. – Uśmiecha się, jakby miał jakąś tajemnicę.

– Wszyscy wiedzą? – pytam zażenowana.

– Oczywiście, że tak! Dla takich delikwentów jak my każdy pretekst do imprezowania jest dobry.

Śmieję się cicho.

Brendan zeskakuje z huśtawki i podaje mi rękę.

– Po pracy spotykamy się w domu Lily, więc załóż swoją najbardziej zdzirowatą kieckę. Albo przyjdź zupełnie naga, taka jak się urodziłaś. Tak czy inaczej nie mogę się doczekać, kiedy dam ci klapsa.

– A już myślałam, że jednak trochę cię lubię – rzucam, po czym schodzę z huśtawki.

••••

Kaely, Ashton i ja przez całe popołudnie pracujemy w The Deck. Szybko się wdrażam, bo kelnerowaniem zajmuję się od trzynastego roku życia. Tyle że tutaj tempo okazuje się znacznie wolniejsze niż to, do którego jestem przyzwyczajona, no i nie jest tak głośno. Choć wiem, że go tu nie ma, i tak patrzę w okno za każdym razem, kiedy słyszę przejeżdżający wózek golfowy, żałując, że to nie Grant.

Dziewczyny są złe na Brendana, że powiedział mi o imprezie. Liczyły, że do samego końca utrzymają ją w tajemnicy i dlatego cieszę się, że Brendan ma długi język – nie znoszę niespodzianek.

Pozwalam, by Ashton zakręciła mi włosy. Błagała mnie o to przez cały dzień i w końcu zgodziłam się je rozpuścić. Jakimś cudownym sposobem udaje jej się okiełznać moje włosy. Jestem pewna, że nigdy mi się nie uda odtworzyć takich opadających na ramiona fal. Nina nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mam włosy niemal do pasa, ale zawsze noszę je związane. Może gdyby ktoś mnie codziennie czesał, to bym je rozpuszczała.

– Mogę ci płacić żelkowymi miškami za układanie mi włosów, kiedy tylko będę chciała?

– Wolalabym miški z maryską, ale wezmę, co mi dasz.

Co prawda zakładam sukienkę, ale trudno ją uznać za zdzirowatą. To pastelowo niebieska sukienka o kroju baby doll. Jest trochę krótka, sięga do połowy uda, ale gdyby była dłuższa, wyglądałabym jak w koszuli nocnej. Uszyto ją z kilku warstw delikatnego szyfonu, do tego te opadające na plecy fale i czuję się naprawdę niesamowicie. Zakładam sandały na koturnach z paseczkami oplatającymi kostki i warstwą błyszcząca kończę makijaż w odcieniach różowego złota.

– No to chodźmy świętować moje cholerne urodziny – mówię, gdy Ashton i ja podziwiamy swoje odbicia w lustrze. Ona ma na sobie spodnie w czarno-białe paski, które na wysokości kolan mocno się rozszerzają. Jej i tak długie nogi wyglądają w nich tak, jakby nie miały końca. Do tego czarny, wyszywany cekinami top bez ramiączek. Nie widzę jej stóp, ale nie wydaje mi się, żeby założyła buty. Z naturalnie falistymi, ciemnymi włosami przerzuconymi przez jedno ramię i podkreślonymi czarną kredką oczami wygląda jak rockowa bogini.

Jesteśmy przeciwieństwami. Jasność i Ciemność.

Przed wyjściem z pokoju upewniam się, że zabrałam telefon od Joeya. Planuję zadzwonić dzisiaj do Niny i Tori, choć nie znam na pamięć ich numerów. Może będę wydzwaniał w różne miejsca, aż uda mi się ustalić miejsce ich pobytu. Minął ponad miesiąc od naszego ostatniego wspólnego wyjścia. Jasne, to była najgorsza noc w moim życiu, ale i tak za nimi tęsknię. Brakuje

mi wspólnych rozmów, śmiechu i absurdalnych wygłupów. Flirtowania. Tańczenia. Wkręcania się tam, gdzie nie miałyśmy zaproszenia, bo zachowywałyśmy się, jakby było inaczej. Nie marnowałyśmy czasu na dzielenie się marzeniami, które wiedziałyśmy, że nigdy się nie spełnią. Żyłyśmy tak, jakby każda chwila miała się stać naszym ostatnim wspólnym wspomnieniem. Mam nadzieję, że nie okaże się nią *tamta* noc. Pragnę wiele, wiele więcej.

I okropne jest to, że nie wiedzą, gdzie przebywam.

Nim zdążę podejść do drzwi, pika mi telefon szkolny. Odczytuję wiadomość.

Otrzymałaś przepustkę na całą noc. Baw się dobrze. Dbaj o swoje bezpieczeństwo.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Lano – Niall.

– O co chodzi? – pyta Ashton na widok szerokiego uśmiechu na mojej twarzy.

– Zostaję tam na noc. A ty?

– W takim razie ja też. – Uśmiecha się.

Pakujemy rzeczy na noc, po czym zbiegamy na dół. Przed budynkiem administracyjnym czeka na nas Kaely.

– Gdzie chłopaki? – pyta Ashton.

– Powiedzieli, że spotkamy się na miejscu.

Dom okazuje się rozświetlony niczym latarnia morska. Na podjeździe stoi już całkiem sporo samochodów. Ci wszyscy ludzie z całą pewnością nie przyjechali tutaj, aby świętować moje urodziny. Wszyscy, których znam, zmieściliby się do jednego samochodu.

– Wszystkiego najlepszego! – wykrzykuje Lily, czekając na nas w otwartych drzwiach. Mocno mnie ściska. – Tak się cieszę, że tu jesteś.

Szczerłość jej tonu sprawia, że robi mi się ciepło na sercu. Proste włosy rozpuściła i uczesała z przedziałkiem pośrodku, a ubrana jest w białą sukienkę o kroju litery A ze srebrnym, połyskującym paskiem tuż pod linią biustu. Mam trochę obsesję na punkcie jej stylu i nie mogę się doczekać, kiedy się do siebie zbliżymy na tyle, żebym mogła zacząć pożyczać jej ciuchy. No i oczywiście jest chyba najśłodszą osobą, jaką znam.

– Wchodźcie! Czego się napijecie? Słyszałam, że nie lubisz szampana – rzuca w moją stronę, prowadząc nas przez otwarty salon, gdzie czeka już niewielka grupka ludzi z kieliszkami w dłoniach. Wygląda na to, że szampan to główny alkohol w lodówce.

– Mogę ci zrobić drinka z szampanem, który pewnie będzie ci smakował – proponuje Ashton i sadowi się za wyspą, która obecnie służy jako bar.

– Interesujący pierścionek – stwierdza Lily, kiedy opieram rękę na blacie. Unosi moją dłoń i przygląda się bacznie obrączce Nicka, którą założyłam na kciuk.

– Mówiłam jej, że wygląda jak męska obrączka – stwierdza Ashton.

– To przypominajka – wyjaśniam. – Żeby się nigdy nie zakochać.

Usta Lily układają się w podkówkę.

– To takie smutne. – A potem mnie przytula... znowu. – Proszę, nie bój się zakochać. Gdzieś czeka na ciebie właściwy mężczyzna.

Śmieję się z jej uroczej próby pocieszenia mnie. Mimo że nie potrzebuję pocieszenia.

– Nie mów jej tak – śmieje się Ashton.

– To jej fobia – wtrąca Kaely, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Och! Zaniosę na górę wasze torby! – wykrzykuje nagle Lily, kiedy dostrzega, że stoją na podłodze. – Zaraz wrócę.

Dajemy jej torby, a ona znika na piętrze.

– Czy ona rzeczywiście jest aż tak miła? – pytam, nie mogąc się przyzwyczaić do bezgranicznej życzliwości Lily. Zaczynam się zastanawiać czy to może nie jest jej przekleństwo.

– Z tego, co mi wiadomo, owszem – odpowiada Ashton.

– Przypomina mi ciebie, Kaely – dodaję.
– Naprawdę? Według mnie w ogóle nie jesteśmy podobne. – Dziewczyna pociąga łyk szampana.

Wymieniamy z Ashton spojrzenie i próbujemy się nie roześmiać.

– Jesteś urocza – oświadcza jej Ashton, a Kaely obdarza ją promiennym uśmiechem.

Z kieliszkiem szampana w ręce, to znaczy szampana z nutką limonki, ale nie tak słodkiego jak lemoniada, wychodzimy na górny taras. I prawie upuszczam kieliszek, kiedy się potykam. Ashton chwytą mnie za łokieć, żebym się nie przewróciła.

– Hola, tylko się nie przewracaj. Mamy przed sobą całą długą noc. Zostaw przewracanie na później, najlepiej dla faceta, który przewróci się na ciebie.

Kaely chichocze.

– Mówisz zupełnie jak Brendan.

– Wywiera na mnie zły wpływ – stwierdza wesoło Ashton.

Nie reaguję, ponieważ wpatruję się w przystojną twarz Joeya Harrisona, który od chwili, kiedy wyszłam na taras, nie spuszcza ze mnie świdrującego wzroku. Uśmiecha się lekko, prezentując dołeczek w policzku. W białej koszuli, sportowej marynarce i dopasowanych ciemnych dżinsach wygląda jeszcze bardziej zachwycająco, niż zapamiętałam.

– Proszę, nie podchodź do mnie. Proszę, nie podchodź – powtarzam cichutko. Ale on już to robi.

– Cholera. Tylko nie kolejny – burczy Ashton.

– Wszystkiego najlepszego, Lano – mówi Joey. Nachyla się i muska ustami mój policzek, a moje ciało przeszywa iskra. On najwyraźniej także ją wyczuwa, bo słyszę, jak bierze szybki oddech, po czym się odsuwa. – Niesamowicie wyglądasz.

– Dzięki – bąkam, zaklinając swoje stopy, aby uczyniły krok w tył i przerwały to magnetyczne przyciąganie między nami.

– Cześć – mówi wesoło Kaely. – Jestem Kaely.

– A ja Wil. – Podaje jej rękę.

– Wil? – pytam z konsternacją.

– Tak mówią na mnie w szkole.

– Och, no tak. – Mgliście sobie przypominam, że każdy nazywa go inaczej, bo ma trzy imiona. – Ja cię nie będę tak nazywać.

Chichocze.

– I wcale tego nie chcę. – Znowu się w siebie wpatrujemy. Ashton odkasłuje, przypominając mi, że istnieje jakiś świat poza jego spojrzeniem.

– Rozejrzemy się teraz za przyjaciółmi – oświadcza Ashton, biorąc mnie za ramię i odciągając. – Fajnie cię było spotkać, Wil.

– Później pogadamy, Lano.

– O co, u licha, chodzi z tobą i tymi Harrisonami? Na szczęście na Lance'a tak nie reagujesz.

– Nie wydaje mi się, żeby Lance lubił dziewczyny – odpowiadam, kiedy przeciskamy się przez kilka grup, aby znaleźć się dalej od Joeya.

– Lance lubi tego, kogo akurat lubi. Tak się złożyło, że tamtego dnia lubił Stefana.

– Chwileczkę. – Odwracam się w jej stronę. – Czy ty i...

– Nie – zapewnia mnie szybko.

– Ja tak – przyznaje Kaely. – Właściwie to był moim pierwszym facetem. I jedynym.

Wpatrujemy się w nią zaszokowane.

– Kręciliśmy ze sobą, kiedy skończył się rok szkolny, a on tu przyjechał. No i... stało się

– wyjaśnia. – Był naprawdę słodki. I seksowny.

Sądziłam, że nic już mnie bardziej nie zdziwi.

– Czujesz coś do niego? – pyta Ashton.

– Lubię go – przyznaje Kaely i spuszcza wstydliwie głowę. – Ale jest lato, no i nie chcę tego psuć. W tej chwili jest okej.

Jej słowa sprawiają wrażenie wyćwiczonych, jakby próbowała przekonać nie tylko nas, ale i siebie. To oraz fakt, iż ucieka wzrokiem, potwierdzają, że nie do końca jest szczerą nawet sama ze sobą. Może uważa, że kłamstwo uchroni ją przed bólem. Znam te wszystkie objawy, bo przecież przekleństwem mojej matki jest *Wiara*. Zawsze żywi przekonanie, że dany mężczyzna jest dla niej odpowiedni, dopóki on nie pokazuje, że jest inaczej.

– Nie decyduj się na *zabawę*, jeśli chcesz czegoś więcej. Nie jesteś zabawką – mówię jej.

– Zasługujesz na to, aby cię uwielbiano. A jeśli on czy jakiś inny facet tego nie widzi, to pieprzyć ich. – I dodaje: – Nie dosłownie. – Bo choć za nią przepadam, to przyznaję, że nie należy do najbystrzejszych.

– Właśnie, pieprzyć ich! – Ashton unosi kieliszek i stuka się z nami.

– Wszystkiego najlepszego, chochliku – odzywa się Lance zza mnie, po czym wyciąga rękę z kieliszkiem, aby też się stuknąć.

– Właśnie o tobie rozmawialiśmy! – oświadcza Ashton.

– Powiedziałaś „pieprzyć ich”, więc albo to będzie ciekawy wieczór, albo wiecie o mnie i Kaely.

– Sorki – mówi Kaely i uśmiecha się z zażenowaniem.

– Mnie to nie przeszkadza – zapewnia Lance. – Ale czy z tobą wszystko w porządku? Zrobiłem coś nie tak?

– Eee, idziemy po więcej szampana – rzucam, po czym pociągam za sobą Ashton, żeby mogli porozmawiać bez widowni.

– Hej, chciałam tego posłuchać – marudzi Ashton.

– Czasami mówisz coś, czego raczej nie powinno się wypowiadać – mówię do niej, po czym pociągam spory łyk z kieliszka, żebyśmy nalały sobie po kolejnym drinku.

– Może – przyznaje niechętnie. – A może... czasami to *ty* powinnaś powiedzieć to, co rzeczywiście czujesz.

Śmieję się.

– Może.

Lily nalewa właśnie szampana nowo przybyłym gościom.

– Pozwól, że ja to zrobię – odzywa się Stefan, pojawiając się nie wiadomo skąd. – Shot dla solenizantki?

– Tak! – Ashton i Lily krzyczą jednym głosem. A ja się śmieję.

Przygotowuje nam kolejkę shotów, które smakują jak świeży arbuz z miętą. I zaraz potem wręcza mi kolejnego.

– Chodź, pomożesz mi wybrać muzykę. – Lily bierze mnie za rękę. – Musimy rozruszać tych ludzi.

Prowadzi mnie do tabletu, w którym przewijam listę piosenek, żeby stworzyć playlistę.

– Powinnam była cię ostrzec, że zjawi się Joey? – pyta, opierając się o skórzany fotel, na którym siedzę.

– Mówisz na niego Joey? Nie Wil?

Chichocze, jakbym powiedziała coś zabawnego.

– Wychowywałam się razem z nim, tak jak ty. Nazywam go imieniem, którego używaliśmy w dzieciństwie.

– Ja się z nim nie wychowywałam – mówię, nie chcąc, aby pomyślała, że łączy mnie z nim większa zażyłość niż w rzeczywistości.

– Och, wiesz, o co mi chodzi. – Wzrusza ramionami. – Ale wiem, co on do ciebie czuje, i coś mi mówi, że ty nie czujesz tego samego.

Poprawiam się na fotelu.

– Nie wiem, czy *ja* wiem, co on do mnie czuje. To była tylko jedna noc, najbardziej szalona z możliwych, więc może uważa, że coś poczuł, choć był to tylko wyrzut adrenaliny.

– Nie sędzę.

Przyglądam jej się z ciekawością, a ona posyła mi smutny uśmiech.

– Ale jeśli nie czujesz tego samego, nie da się do niczego zmusić, słyszysz? Zresztą powinnam ci była powiedzieć, że się tu zjawi. Przepraszam.

Kiwam głową, no bo co innego mogę zrobić? Nieszczególnie jestem zadowolona z jego obecności. I o czym ona, u licha, mówi, co niby za uczucia?! My się dopiero co poznaliśmy. To była *jedna* noc.

Przez kilka kolejnych minut skupiam się na układaniu playlisty. Następnie Lily bierze ode mnie tablet i włącza muzykę. W głośnikach dudnią elektroniczne beaty. Stuka w ekran tabletu i światła przygasają i zaczynają migotać i pulsować – także na zewnątrz. W odpowiedzi ludzie wydają głośne okrzyki i wkrótce ciała kołyszą się w rytm muzyki.

Lily bierze mnie za rękę i wychodzimy na dwór, odciągając po drodze Ashton od Brendana. Kaely siedzi Lance'owi na kolanach, więc kiedy ciągniemy ją za rękę, zupełnie psujemy tę chwilę. Tańczymy, aż nasze ciała mokre są od potu, a moje włosy to jeden wielki bałagan. Stefan nieprzerwanie dostarcza drinki, które sprawiają, że jeszcze łatwiej jest się zatracić w muzyce. Przez cały czas czuję na sobie wzrok Joeya, przez który po mojej skórze przeskakują iskry. Ale trzyma się na dystans. I cieszę się, że tak robi, bo gdyby stanął za mną, wiem, że pozwoliłabym mu położyć dłonie na moich biodrach, a usta na szyi.

– W którym jesteśmy pokoju? – pytam Lily. Muszę skorzystać z ubikacji, no i napić się wody.

– Drugie drzwi od schodów – wyjaśnia. Bierze mnie za rękę i wykonuje obrót. – Wracaj szybko.

Przeciskam się przez tłum. Nie miałam pojęcia, że zjawilo się aż tylu ludzi.

Nasze torby leżą na dwóch wielkich łózkach w ogromnej sypialni, z której okien rozciąga się widok na tarasy i jezioro. Na szczęście do pokoju przylega łazienka. Opłukawszy spoconą twarz i dekolt, nakładam świeżą warstwę makijażu i wracam do sypialni. Przy oknie stoi Joey, obserwując tańczących ludzi.

– Co tu robisz? – pytam.

Odwraca się. W ręce trzyma płaskie, kwadratowe pudełko owinięte tą samą malinową wstążką, której użył w przypadku telefonu.

– Chciałem ci to dać. Ale uznałem, że lepiej nie robić tego przy wszystkich.

– Przyniosłeś mi prezent? – Podchodzę do niego powoli, uważając, żeby nie zbliżyć się za bardzo. Staram się także nie patrzeć mu w oczy, kiedy jednak jego dłoń muska moją, przez moje ciało przebiega dreszcz, który przenika mnie na wskroś. Podnoszę wzrok i dostrzegam, że Joey stoi w takim samym bezruchu jak ja.

– Poczułaś to – mówi tak cicho, że ledwie go słyszę. – Wiem, że tak.

Przełykam ślinę i biorę od niego pudełko, po czym się odsuwam. W środku kryje się moja opaska. Ta, która przypomina tiarę i jest wysadzana kryształkami. Ta, którą babcia podarowała mojej mamie, a ona z kolei przekazała mnie. Na jej widok do oczu napływają mi łzy. Byłam przekonana, że ją zgubiłam.

– Znalazłem ją w trawie – wyjaśnia. – Była pęknięta, więc oddałem ją do naprawy. Miałem przeczucie, że sporo dla ciebie znaczy.

Zakładałam ją w każde urodziny, odkąd skończyłam dziesięć lat, razem z jakąś absurdalną, tiulową sukienką.

– Dziękuję ci.

Wyjmuję ją z pudełka, chowam je do torby, a tiarę zakładam na głowę. Podchodzę do wiszącego nad komodą lustro i poprawiam włosy. Joey staje za mną i podnosi wzrok na jego odbicie. Uśmiecha się do mnie. Puls mi przyspiesza. Joey się do mnie przysuwa. Nie mogę oddychać. Jego ręka prześlizguje się po moim ramieniu, coraz niżej, aż do dłoni. Zamykam oczy. Jego usta tańczą po mojej skórze. Przechylam głowę. Chwyta moje biodro i obraca przodem do siebie. Ciężko oddycham. Unoszę głowę, a on dokładnie w tym samym momencie nachyla się. Jego wargi okazują się niecierpliwie, a palce zaciskają się na moich biodrach i przyciągają mnie coraz bliżej niego. Jęczę cicho w jego usta, wsuwając mu palce we włosy.

Zatracam się w jego dotyku. Pocałunku. Jego ciele napierającym na moje. Potykając się, ruszamy w stronę łóżka. W chwili, kiedy Joey zamierza pociągnąć mnie na nie za sobą, coś się łamie. Czy też pęka, jakby było uwięzione i walczyło o wydostanie się na wolność.

To myśl. Dwa słowa.

To kłamstwo.

Odsuwam go od siebie, a welon pożądania się unosi. Kiedy Joey mnie puszcza, zaczynam normalnie oddychać. Mrugam, jakbym się wybudziła ze snu. Bardzo sugestywnego i podniecającego, niemniej snu.

– Zrobiłem coś nie tak? – Na jego twarzy strach miesza się z niepokojem. – Lana?

– Nie mogę tego zrobić. – Mówię powoli i metodycznie, jakby dotarło to do mnie w tej właśnie chwili. Puls mi zwalnia i wraca do normalnego rytmu. – To niewłaściwe.

Joey nic nie mówi, bo wie, że było niesamowicie. Ale nie to mam na myśli. Nasze zachowanie nie wydawało się właściwe w sensie emocjonalnym. Nie czułam z Joeyem więzi. I nie twierdzę, że muszę coś do niego czuć, żeby się z nim całować. Ale zważywszy na to, jak wielka kryła się w tym namiętność, powinnam poczuć *cokolwiek*.

– Przepraszam – mówię, patrząc mu w oczy. Tak pragnę wymazać ból, który w nich dostrzegam. Ale jak mam mu powiedzieć, że to, co nas łączy to złudzenie? Przyciąganie. Pragnienie. To tylko pożądanie. A ta część mnie, która walczyła, aby się uwolnić spod czaru jego dotyku wie, że nie tego pragnę. – Szkoda, że nie jest to coś więcej.

– Naprawdę? – Siada na łóżku i przeczesuje palcami włosy. – Bo jeśli tak, to pozwól mi być kimś więcej. Zależy mi na tobie, Lano. Z mojej strony to nie jest tylko pociąg fizyczny.

– Ale z mojej tak – szepczę. Joey zamyka oczy, jakby przyjmował cios. Cholerne przekleństwo. – O to mi właśnie chodzi. Żałuję, że nie czuję niczego więcej. I naprawdę jest mi przykro.

Powoli kiwa głową.

– Joey, jak możesz czuć coś do mnie? Zналиśmy się tylko przez jeden wieczór...

– Ty nie pamiętasz – mówi z pozbawionym wesołości śmiechem. – Poznaliśmy się już wcześniej, Lano.

Mrużę oczy, wysilając pamięć.

– Pamiętałabym, gdyby tak było. Pamiętałabym.

– Wygląda na to, że nie. – Kręci smutno głową. – W wakacje przed rozpoczęciem liceum byłem z Lincolnem na domówce w Sherling. Też tam byłaś razem z dziewczynami. Trochę rozmawialiśmy. Chciałem cię poprosić o numer telefonu, ale zniknęłaś.

– Czy był tam także... Parker? – pytam, szukając w pamięci tamtej imprezy. To

niemożliwe, aby Joey przez dwa lata aż tak się zmienił. To właśnie tego lata pocałował mnie Parker. Długo rozmawialiśmy na imprezie, a przynajmniej sądziłam, że to był on.

– Tak mi się wydaje.

Błagam, niech się nie okaże, że ich pomyliłam. Było ciemno. Mieszkanie było małe. Kiedy wyszłam z łazienki, nie mogłam znaleźć chłopaka, z którym wcześniej gadałam, więc stanęłam w kącie i wszystkich obserwowałam, tak jak to mam w zwyczaju. Tam znalazł mnie chłopak, którego szukałam. Ale to *Parker* mnie pocałował. Całowałam się z niewłaściwym facetem.

– Widywałam cię czasem, kiedy wychodziłem gdzieś z bratem. Więcej ze sobą nie rozmawialiśmy, dopiero miesiąc temu. Tak wiele razy chciałem do ciebie zagadać. Ale... jesteś onieśmielająca.

– Serio? – śmieję się. Ciekawe, czy sprawy między nami miałyby się inaczej, gdybym to jego pocałowała w tamto lato, a nie Parkera. Gdybyśmy spędzili razem więcej czasu, gdybyśmy lepiej się poznali, może czułabym do niego coś więcej niż tylko pociąg fizyczny.

– Niełatwo było durzyć się w tobie z daleka – przyznaje Joey z krzywym uśmiechem, ukazując dołeczek. Jest super przystojny, co do tego nie mam wątpliwości. I przez chwilę kusi mnie, żeby zignorować głos w mojej głowie i rzucić się na niego. Ale wiem, że ten chłopak pragnie czegoś więcej, więc gdybym zignorowała głos rozsądku, dopuściłabym się względem niego kłamstwa. Joey zasługuje na więcej.

– Bywałeś w naszym domu, kiedy byliśmy mali – mówi, czym kompletnie mnie zaskakuje. – Tacy naprawdę mali. Wiedziałaś o tym?

Kręcę przecząco głową.

– Ja też tego nie pamiętam. Ale w zeszłym tygodniu znalazłem na poddaszu trochę zdjęć i nagrań.

– Skąd moja matka zna waszą rodzinę? – pytam. Nie widziałam ani jednego zdjęcia, na którym byłaby razem z Harrisonami.

– Nie wiem. Kiedy zapytałem rodziców o ludzi ze zdjęć, powiedzieli mi tylko tyle, że stracili z nimi kontakt. Ale wiedziałem, że dziewczynka na części zdjęć to ty. Trudno cię nie rozpoznać, nawet z czasów, kiedy dopiero co nauczyłaś się chodzić.

– Nie uważasz że to dziwne, że się znaliśmy, kiedy byliśmy mali? A teraz żadna z rodzin nie chce tego przyznać? Zwłaszcza, że twój tata mi pomaga. – Chwila wahania. – Nie wiesz, czy to on opłaca moje chesne w Blackwood?

– Nie wiem – odpowiada, zaskoczony moim pytaniem. – Ta cała sprawa jest bardzo dziwna. Kiedy go poprosiłem, aby cię reprezentował, nie miałem pojęcia, że zna twoją matkę. – Przez chwilę się zastanawia. – Tego lata pracuję w jego kancelarii. Jeśli chcesz, to mogę to sprawdzić. Jeśli to dla ciebie ważne. Może ją reprezentował albo coś w tym rodzaju?

– Bardzo bym to chciała wiedzieć – mówię z wdzięcznością. – Nie lubię tajemnic. Są niemal tak samo złe jak kłamstwa.

– Ale czy ty nie masz swoich... tajemnic?

– Niewiele. A jedną z nich znasz.

– Możesz mi ufać. – Jego niebieskie oczy wwiercają się w moje i wzdłuż mego ciała przebiega prąd.

– Wiem. – I to prawda. Mam pewność, że Joey jest honorowy i zrobi to, co trzeba, aby chronić ludzi, na których mu zależy; podejrzewam, że jego przekleństwo to *Honor*. To by tłumaczyło jego staranie, aby nie zdradzić mojej tajemnicy, bo przecież dla Allie także chce jak najlepiej.

– Szkoda, że nie możesz powierzyć mi także siebie.

W ramach przeprosin mogę mu zaoferować jedynie blady uśmiech.

Wstaje i wygładza ubranie.

– Przyjaciele?

– Nie nienawidzisz tego słowa? – pytam żartobliwie.

– W tej akurat chwili bardziej niż jakiegokolwiek inne. Ale nie chcę cię stracić... ponownie.

– Nie stracisz. – Podchodzę do niego. Kiedy tylko go przytulam, czuję, jak kontrolę nade mną zaczyna przejmować elektryczność. Szybko przerywam połączenie.

– Może nie powinniśmy... – mówi, a jego klatka piersiowa unosi się szybko i opada.

– Dotykać się? – Chce mi się śmiać. – Intensywne, nie?

Joey wzrusza ramionami i czerwienięją mu policzki. Z żalem zagryzam wargę, bo dociera do mnie, że w jego przypadku jest to jeszcze intensywniejsze niż w moim.

Podchodzi do drzwi i czeka przy nich na mnie.

– Chodź. Idziemy świętować.

Kilka par oczu śledzi nas, kiedy schodzimy razem po schodach. Ale szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Niech sobie myślą, co chcą.

– Nasza solenizantka! – woła Ashton, stojąca przy zaimprovizowanym barze. – Chodź napić się ze mną!

Odwracam się, aby poprosić Joeya, żeby do nas dołączył, ale on zdążył już wyjść na taras. Rozumiem jego potrzebę zdystansowania się ode mnie. Ale to boli. Jego nieobecność napawa mnie chłodem. Czuję się także wolna od czegoś, co próbowało przejąć nade mną kontrolę. Nie chcę, by cokolwiek mnie kontrolowało, nawet moje własne impulsy.

Biorę od Ashton kieliszek z szampanem i się stukamy.

Nachyla się ku mnie i szepcze konspiracyjnie:

– Wracam do szkoły z Brendanem.

– Jesteś pewna?

Kiwa głową i posyła mi szelmowski uśmiech.

– On nie ma przepustki na całą noc?

– Chyba nikt w Blackwood nie zaufałby Brendanowi na tyle, aby mu ją dać – wyznaje ze śmiechem.

– W takim razie ty już nie pijesz. – Zabieram jej kieliszek i wypijam zawartość. Zbyt szybko. Bąbelki próbują wydostać mi się nosem. – Okropne. – Wzdrygam się.

Ashton śmieje się ze mnie i bierze z blatu butelkę wody.

– W sumie niech chociaż ktoś uprawia seks w moje urodziny – wzdycham. – Tylko błagam cię, nie dziel się ze mną potem szczegółami. – Krzywię się na samą myśl o Brendanie, który... nie jestem nawet w stanie dokończyć tej myśli.

Wychodzimy na taras, gdzie Lily i Kaely wyciągają nas do tańca. Nadal jest tu całe mnóstwo ludzi i po raz pierwszy zastanawiam się, która jest godzina. Ale szybko uznaję, że to nie ma znaczenia – dzisiaj cisza nocna mnie nie dotyczy!

W którymś momencie podczas kolejnych kilkunastu piosenek pozbywam się butów, a Ashton zbiera się razem z Brendanem.

Nim wychodzą, Brendan całuje mnie w czubek głowy i szepcze mi do ucha:

– Ty rzeczywiście wyglądasz jak księżniczka. – Po czym szybko dodaje: – Nie bij mnie za to, że tak powiedziałem.

Ashton go odciąga nim zdąży ujrzeć moje oszołomienie, bo te same słowa wypowiedziała do mnie Allie. Kaely bierze mnie za rękę i wykonuje obrót, wrywając mnie z zamyślenia. Lily wręcza mi kolejnego drinka.

Jakiś czas później z głośników zaczyna się syczyć coś spokojnego i smętnego. Ludzie

rozmawiają, całują się albo śpią. Udaję się na koniec pomostu i zanurzam obolałe stopy w wodzie. Dziwne, ale woda wydaje się cieplejsza niż powietrze. Dopiero kiedy przestałam się ruszać, uświadomiłam sobie, jak się ochłodziło.

Na ramiona ktoś mi narzuca sportową marynarkę. Zanurzam w niej nos, nie oglądając się na właściciela. Pachnie oceanem i słońcem. Nie wiem czemu, ale właśnie to mi przypomina. Obok mnie siada Grant, bez butów i w podwiniętych spodniach. Zanurza stopy w wodzie.

– Wszystkiego najlepszego, Lano.

Do oczy napływają mi łzy. Nie mam pojęcia, skąd ten nagły przyływ uczuć. To pewnie przez cały ten szampan, który dzisiaj wypiliśmy. Albo... może... to przez niego. Bo na widok jego pięknej twarzy cudownie boli mnie serce.

– Przyjechałeś – wyduszam z siebie.

– Hej – mówię łagodnie i obejmuję mnie tak, że głowę mam na jego klatce piersiowej.

– Przepraszam, że dopiero teraz. W ogóle nie wiedziałem o tej imprezie do czasu, aż... nieważne. Przyjechałem.

– A ja w ogóle nie jestem trzeźwa. – Mam czkawkę. Z policzka ocieram łzę.

Grant się śmieje.

– Wcale tego nie oczekiwałem. – Gładzi mnie po włosach. – Ślicznie wyglądasz.

Przechylam leniwie głowę.

– Wcześniej wyglądałam o wiele lepiej.

– No to się cieszę, że mnie tu nie było, bo jeszcze bym złamał swoją obietnicę.

– Uśmiecha się ciepło. Ma na sobie białą koszulę z odpiętymi górnymi guzikami. Moje spojrzenie ucieka tam, żałując, że nie widać więcej. Jego ciało jest stworzone do garnituru, w którym wyglądałby wytwornie i... cóż, książęco.

– Ty też pięknie wyglądasz – oświadczam, bo to prawda.

Odsuwa mi włosy z policzka i zatyka za ucho.

– Jak ci minęły urodziny? – pyta.

– Fajnie – odpowiadam. – Tańczyliśmy... sporo.

– Lubisz tańczyć?

– Uwielbiam.

Odsuwa się. Z mojego gardła wydobywa się jęk rozpaczony. Grant staje nade mną.

– No to zatańcz ze mną.

Podaje mi rękę. Ujmuję ją z uśmiechem i niepewnie wstaję, pozwalając, aby marynarka zsunęła mi się z ramion. I wtedy staje się jasne, że przy jego szerokiej, wysokiej sylwetce jestem jak krasnoludek. Ale nie droczy się ze mną ani nie komentuje mojego wzrostu. Zamiast tego bierze mnie za rękę i wykonuje obrót. Sukienka mi wiruje. Śmieję się, kiedy przytula mnie do siebie. I nagle te trzydzieści centymetrów różnicy nie ma już żadnego znaczenia. Pasujemy do siebie idealnie.

Nie słyszę muzyki, ale odnajdujemy własny rytm. Pomost skąpany jest w ciemności; świeci się tylko kinkiet nad wejściem do domu. Kołyszemy się pod rozgwieżdżonym niebem.

– Dziękuję, że przyjechałeś – mówię. Powieki mam takie ciężkie.

– Nie darowałabym sobie, gdyby mnie to ominęło.

Po jednej czy dwóch wymagowanych piosenkach Grant pyta:

– Chcesz wejść do środka?

– Pewnie. – Kiedy odwracamy się w stronę domu, w jednym z okien na piętrze dostrzegam jakąś sylwetkę. Zaraz jednak znika. – Nie pozwoliłabym ci dzisiaj się pocałować, nawet gdybym była trzeźwa.

Grant się zatrzymuje. Siadam na krześle przed dogasającym ogniskiem. On siada obok

mnie.

Chowam twarz w dłoniach i wyznaję:

– Pocałowałam kogoś dzisiaj. – Zerkam między rozsuniętymi palcami, obserwując jego reakcję. On milczy, czekając na więcej. Zawsze jest coś więcej. Moje przekleństwo, wzmocnione obecnością Granta i szampanem, sprawia, że z moich ust wylewa się potok słów. – Wiedziałam, że źle robię od razu, gdy się pocałowaliśmy. Ale to ktoś, z kim kiedyś byłam, no i się stało. Ale więcej się nie powtórzy. I musiałam ci to powiedzieć. Nie wiem dlaczego.

– Wil?

Kiwam głową, nie chcąc wiedzieć, skąd się znają.

– Jesteście znajomymi?

– Tak. Gramy razem w lacrosse.

– To znaczy, że nie chcesz mieć teraz ze mną nic wspólnego? Mam swoją zasadę, że nie tknę nigdy faceta, z którym była jedna z moich przyjaciółek...

– Ja nie mam takiej zasady – mówi z bladym uśmiechem. – Niefajnie jest to słyszeć. Ale to część twojego przekleństwa, prawda? Szczerość?

– Nie musiałam ci mówić. – Już żałuję, że to zrobiłam.

– Ale chciałaś. – Grant bierze mnie za rękę. – A to coś znaczy, nawet w twoim obecnym stanie wątpliwej trzeźwości. – Uśmiecha się. – *Chcesz* być ze mną szczerą. Nawet jeśli prawda zaboli. No i dobrze. I wiem, że nadal jesteśmy dla siebie... nowi. A ty nie randkujesz. Więc jakoś to załatwimy.

– Czymkolwiek by nie było to „to” – mówię wiedząc, że nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Z Grantem nie potrafię zachowywać dystansu. I choć powinnam bać się tego, że w jego towarzystwie jestem taka szczerą, otwartą i odsłoniętą, to wcale się nie obawiam. Czuję się bezpiecznie z tym, że jestem taka, jaka jestem, razem z tym moim przekleństwem.

Rozdział 14

Pieśń, która płynęła z ust bestii, nie była o miłości. Nie przyniosła Thaylinie radości, tak jak wtedy w lesie. Złamała jej serce. Krzyczała, żeby zamilkł. Błagała, by ją uwolnił. Jej błagania pozostały bez odpowiedzi.

– Chciałaś tego – syknął jej do ucha.

Rano schodzę na dół z uchylonym jednym oknem i świdrującym bólem głowy.

– Czemu tu jest tyle okien? – mamroczę, bo nie jestem w stanie uciec przed światłem, przez które wszystko boli mnie jeszcze bardziej.

– Dzień dobry – świergocze Lily, sącząc z kieliszka szampan z sokiem pomarańczowym.

– Masz ochotę na mimosę?

– Szampan mnie nienawidzi – burczę. Siadam na stołku i masuję skronie.

– A może zjemy resztę tortu?

Uśmiecham się, a raczej próbuję, bo nawet ten ruch mięśni sprawia, że pęka mi głowa.

– Chętnie. Gdzie są wszyscy? – pytam.

– Jesteśmy tylko ty i ja. Joey pojechał razem z Grantem. Nie jestem pewna, gdzie podział się Lance. A cała reszta wyniosła się stąd rankiem, kiedy wytrzeźwiała na tyle, żeby prowadzić.

Przestałam jej słuchać po słowach „Joey pojechał razem z Grantem”. Sama nie wiem czy fakt, iż wyszli stąd razem, powinien mnie niepokoić, czy wprost przeciwnie. Zresztą chciałam porozmawiać dziś z Joeyem o skontaktowaniu się z Niną i Tori.

Korzystając z aplikacji z mapami, jedynej w telefonie, znalazłam numery telefonów do klubu ze striptizem, w którym pracuje Nina i paru barów, do których chodzimy w Sherling. Ale ludzie, którzy odebrali, okazali się mało kontaktowi i nie chcieli rozejrzeć się za moimi przyjaciółkami. Dranie.

Podczas grzebania w telefonie przekonałam się także, że nie można z niego wysłać esemesów, nie ma aparatu, a wszystko oprócz regulacji głośności i strony z kontaktami jest chronione hasłem. A ja go nie znam. Więc w sumie jedyne, co mogę zrobić to odbierać połączenia od Joeya albo do niego dzwonić. Zrobiłabym to teraz, tyle że... jest właśnie z Grantem.

Lily stawia przede mną talerzyk z wielkim kawałkiem tortu czekoladowego.

– Tak bardzo dziękuję ci za wczoraj – mówię, wbijając widelczyk w masę cukrową. – To były naprawdę niesamowite urodziny.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada ze szczerym uśmiechem. – Jakie miałaś trzy życzenia?

Ashton oświadczyła, że mam pomyśleć trzy życzenia, bo tak właśnie powinno się robić.

A Brendan rzucił wtedy drwiąco:

– Uważaj, czego sobie życzysz. Możesz nie poradzić sobie z trzema kopiami mnie.

Zarobił kuksańca w zebra zarówno ode mnie, jak i Ashton.

Moje pierwsze życzenie dotyczyło Allie. Żeby wyzdrowiała i została pomszczona.

Drugie dotyczyło mojej matki. Żeby jej serce i ciało były zdrowe i aby odnalazła spokój. (Za tę drugą część winię Jasmine).

A trzecie życzenie dotyczyło mnie samej. Zawahałam się, nim je pomyślałam, rozglądając się po otaczających mnie ludziach, wesołych i uśmiechniętych. A potem

zdmuchnęłam świeczki, życząc sobie, abym zawsze wiedziała, kto jest moim prawdziwym przyjacielem.

– Jeśli ci powiem, to się nie spełnią. – Wkładam do ust spory kawałek ciasta.

Lily śmieje się perliście.

– Wierzysz w to?

– Wierzysz, że w ogóle się spełnią, bez względu na to, czy wypowiem je na głos czy nie?

– Uważam, że zawsze dostajemy to, na co zasługujemy i wiara mało ma z tym wspólnego. To raczej kwestia naszego charakteru i tego, w jaki sposób równoważy on dobro i zło. Jedno nie istnieje bez drugiego, prawda?

Przyglądam jej się z ciekawością.

– Ale czyż nie jest tak, że ostatecznie to dobro zawsze wygrywa? – W tej akurat chwili ledwie jestem w stanie funkcjonować, nie mówiąc o kontemplowaniu równowagi karmicznej. A kroczymy teraz dziwną i krętą ścieżką. Ponieważ ja wiem, że dobro nie zawsze wygrywa.

– Tak myślę – odpowiada z uśmiechem Lily i przykłada kieliszek do ust. – A przynajmniej liczę, że tak właśnie się dzieje.

••••

Lily podrzuca mnie do country klubu, w którym pracuję dziś na drugą zmianę. Jazda z Ashton wózkiem z napojami przez całe popołudnie okazuje się zarazem błogosławieństwem i przekleństwem. Niby jest łatwo, ale przez jej styl jazdy pęka mi głowa, a żołądek co i rusz podchodzi do gardła. Kiedy wracamy do Blackwood, zamiast na kolację idę się przespać. Ustawiam sobie budzik, bo muszę iść jeszcze do biblioteki po książkę potrzebną do napisania raportu na wiedzę o społeczeństwie.

Kiedy się budzę, czuję się lepiej, ale nie jakoś szczególnie dobrze. Ostatnie, na co mam ochotę, to iść do biblioteki. Kładę na łóżku torbę, którą miałam u Lily, żeby poszukać szkolnego telefonu. Z pudełka, do którego Joey zapakował moją opaskę, wysuwa się koperta. Wydaje się zbyt duża jak na kartkę z życzeniami.

W środku znajduje się czarno-białe zdjęcie przedstawiające grupkę ludzi siedzących na trawie. Za nimi widać fragment werandy i dużego, białego domu. Ci ludzie urządzili sobie piknik; na kocach porozkładane są półmiski z jedzeniem i kieliszki. I choć początkowo odniosłam wrażenie, że to zdjęcie pozowane, w bohaterach wyczuwa się w nich ruch, jakby zrobiono je, zanim wszyscy się przygotowali. Dwie młodsze kobiety, może nawet jeszcze nastolatki, siedzą blisko siebie i się śmieją. Trzecia patrzy w bok, a jej twarz zakrywają ciemne włosy. Uśmiechnięty mężczyzna schyla się, żeby wziąć na ręce małego, roześmianego chłopca, a kobieta w zaawansowanej ciąży patrzy na nich z czułością. Jeszcze jedna kobieta uśmiecha się do aparatu, ale sprawia wrażenie niespokojnej i patrzy z ukosa na mężczyznę, który jako jedyny wydaje się gotowy i pozuje z uśmiechem do aparatu. Absorbuję tę całą scenę. Moja uwaga skupia się na blondynce z kucykiem, która śmieje się obok dziewczyny z fryzurą zainspirowaną Audrey Hepburn. Wygląda zupełnie jak ja.

– Omójboże – wyrzucam z siebie. To moja matka.

Odwracam zdjęcie i na odwrocie dostrzegam znajome czerwone litery układające się w napis:

ILE JESZCZE ŻYĆ ZNISZCZĄ JEJ KŁAMSTWA?

Co takiego? Nie cierpię tych zagadkowych wiadomości! Po prostu powiedz, czego ode mnie chcesz, i już! Osoba, która mi je zostawia, najwyraźniej czerpie jaką sadystyczną

przyjemność z wkurzania mnie. Co to ma wspólnego z Allie, ze mną albo moją matką i Harrisonami?

Może pora uzyskać odpowiedzi na pytania, których zadawania unikałam. Muszę porozmawiać z matką... twarzą w twarz. Tylko w taki sposób będę wiedziała, czy mówi prawdę.

Ponownie przyglądam się uważnie każdej twarzy. Rozpoznaję jeszcze tylko jedną osobę. Nialla Harrisona. To on bierze na ręce chłopca, którym musi być... Parker. Ta kobieta za Niallem i Parkerem to z pewnością pani Harrison, w ciąży z Joeyem.

W prawym dolnym rogu napisano czarnym atramentem: Nantucket, Święto Pracy. Dokonuję w myślach szybkich obliczeń. Mniej więcej wtedy moja matka dowiedziała się o ciąży. Wiem o tym od babci, która mi opowiadała, jak bardzo mama się bała, że zacznie rodzić akurat na zakończenie roku szkolnego. Bo na wtedy właśnie miała termin. Ja jednak przyszłam na świat dwa tygodnie po uroczystości wręczania świadectw.

Poznała mojego ojca w Nantucket? I co robiła w towarzystwie Harrisonów? Kim są pozostałe osoby? Zwłaszcza ta dziewczyna, która siedzi obok niej – wyglądają na bardzo zaprzyjaźnione.

Im dłużej przyglądam się fotografii, tym więcej pytań przebiega przez moją głowę. Wiem, że to bez sensu. Jedynym sposobem na uzyskanie odpowiedzi jest zadanie odpowiednich pytań odpowiednim ludziom.

Odwracam zdjęcie i jeszcze raz czytam wiadomość. Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że to może nie groźba, lecz ostrzeżenie.

TRZYMAJ SIĘ OD NIEGO Z DALEKA.

To też mogła być zarówno groźba, jak ostrzeżenie.

Wiem. To akurat głupia wiadomość, której celem najpewniej było zwrócenie mojej uwagi, bo przecież mogła znaczyć cokolwiek.

To takie frustrujące!

Muszę porozmawiać z Joeyem o zdjęciach, które znalazł na strychu. Może to także rozpozna. A tymczasem zamierzam uciąć sobie rozmowę z osobą, która w sposób irytujący zna więcej tajemnic, niż powinna. I mam nadzieję, że to nie ten facet, przed którym jestem ostrzegana.

Na małym, drewnianym mostku nad stawem niedaleko męskiego akademika zawiązuję czerwoną wstążeczkę. Następnie zostawiam w drzewie wiadomość dla Brendana, aby spotkał się ze mną w bibliotece.

Czekam tam długo po tym, jak znajduję ten głupi podręcznik. Czekam i czekam, chociaż nie wiem, czy Brendan zobaczył wstążkę i udał się do brzoźowego zagajnika. Tęsknię za natychmiastowością, jaką zapewniają esemesy. Nawet jeśli ktoś nie od razu odpisuje, przynajmniej wiem, że wiadomość do niego dotarła. Pół godziny przed ciszą nocną bibliotekarka mnie wyprasza.

Kiedy wychodzę, na dziedzińcu panuje już ciemność.

– Cholera – jęczę, bo jeszcze nigdy nie szłam tędy sama po ciemku. Wiem, że szkolny telefon ma funkcję latarki, bo już jej użyłam, kiedy pod łóżko spadła mi szminka i nie mogłam jej znaleźć.

Kamienna ścieżka emituje upiorne światło, ale po tłumaczeniu Ashton, którego udzieliła mi podczas naszej pierwszej wycieczki po kampusie, wiem, że ona nie pokaże mi właściwego kierunku. Prześlizguję się wzrokiem po widocznych nad dziedzińcem dachach, próbując odszukać ten, który należy do naszego akademika, ale to niemożliwe, bo wszystkie są identyczne.

Ruszam więc w kierunku, w którym wydaje mi się, że powinnam iść. Nie jestem nawet w stanie nie spuszczać wzroku z budynku, który być może jest tym właściwym, bo za bardzo zajmuje mnie patrzenie pod nogi i uchylenie się przed gałęziami.

Spóźnię się na ciszę nocną. Wiem, że tak będzie. Ale może zobaczą, że jestem na dziedzińcu, kiedy namierzą mój telefon, i przyjdą po mnie. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Słyszę jakiś szelest i zatrzymuję się w pół kroku. Nasłuchuję.

– Halo? – pytam głośno. Na tym etapie ucieszyłabym się nawet, gdyby to była doktor Kendall albo któryś z ochroniarzy.

Nikt nie odpowiada. Ale odległy trzask łamanej gałązki sprawia, że włoski stają mi dęba.

Idę szybko ścieżką, która skręca nie w tę stronę, w którym chcę pójść, i docieram nagle do wody. Zatrzymuję się i chwieję na jednej nodze. Jakieś pół metra dalej dostrzegam w wodzie coś świecącego. Może ta część została zalana? Ale kiedy mój wzrok przyzwyczajają się do bezksiężycowej nocy, widzę, że nad taflą wody wiszą huśtawki, a spod niej wystają pniaki, na których można usiąść. Widać także trzciny i lilie wodne, a także okrągłe kule czegoś, co wygląda jak mech.

Fantastycznie, cholera. Nie chcę poznawać geniuszy, którzy zaprojektowali to miejsce.

Mimo że wszystkie ogrody, jakie odkryłam na dziedzińcu, są względnie małe, i tak czuję zdziwienie za każdym razem, kiedy natykam się na kolejny. Choć teren jest naprawdę duży, nie mogę uwierzyć, że wszystko się tu mieści. Zaczynam podejrzewać, że każdego dnia coś w dziedzińcu jest zmieniane. Załedwie wczoraj, kiedy sądziłam, że zaraz dotrę do ogrodu z fontanną z syreną, okazało się, że znalazłam się na małej łące z różowymi plastikowymi flamingami i wiatraczkami. Było to jednocześnie przedziwne i zachwycające.

Ale skoro zmieniają ogród, to kiedy? Jeszcze nigdy nie spotkałam żadnego ogrodnika, choć żywopłoty są zawsze idealnie przycięte, a trawa skoszona. Z drugiej jednak strony jestem tutaj dopiero od tygodnia, no i przecież pracuję poza terenem kampusu.

– Lana, a kogo to obchodzi? – mówię głośno, wiedząc, że to nie pora na rozważania na temat tajemnicy pielęgnacji dziedzińca. Robię głęboki wdech, po czym wchodzę na świecąca ścieżkę, balansując na jednej nodze, drugą natomiast szukam następnego kamienia.

Słyszę plusk wody.

Niemal się przewracam. Odgłos był cichy, jakby ktoś wrzucił do wody kamyk.

– Halo? – wołam ponownie, stojąc pośrodku stawu. Czekam. Cisza. Serce wali mi jak młotem. Kiedy nikt się nie odzywa, przeskakuję na kolejny kamień. Kusi mnie nawet, żeby iść po wodzie, ale nie wiem, jak jest głęboka, i boję się tego, co może się znajdować na dnie.

Kiedy w końcu docieram do suchej ścieżki, ponownie szukam w ciemności dachów i próbuję rozgryźć, który budynek to mój akademik. Choć w tej chwili nie ma to już większego znaczenia. I tak spóźniłam się na ciszę nocną.

Chwileczkę.

Wyjmuję z torby telefon. Zła jestem na siebie, że tak długo czekałam z tym, aby zadzwonić do ochrony. Kiedy jednak wciskam guzik, nic się nie dzieje. Padła bateria. Przysięgam, że naładowałam go w nocy u Lily. Chyba że... w stanie upojenia alkoholowego podłączyłam nie ten telefon, co trzeba.

– Cholera! – wołam i mam wielką ochotę cisnąć bezużyteczny aparat do wody. Chowam go z powrotem do torby i ruszam dalej świecąca się ścieżką. Kiedy docieram do rozwidlenia, wybieram ścieżkę, która wygląda tak, jakby prowadziła do najbliższego budynku.

Tyle że wkrótce ta ścieżka znowu zaczyna skręcać. Nic dziwnego, że uczniowie załamują się i zaczynają krzyczeć, kiedy gubią się w ciemnościach. Mało brakuje, żebym stała się jedną z nich. To miejsce może doprowadzić do obłędu!

Ktoś za mną kaszle. A przynajmniej tak to brzmi to jak kasznięcie. Odwracam się na pięcie. Tym razem nic się nie odzywam. Albo mam paranoję i słyszę głosy, albo ktoś mnie śledzi. Żałuję, że nie mam przy sobie swojego różowego noża sprężynowego. Z przyzwyczajenia szukam go w podszewce torby, pod którą go chowam, kiedy jestem w szkole. No ale nie ma go tam.

Idę dalej, lecz z każdym krokiem staję się coraz mniejsza, albo wszystko inne rośnie. Żywopłot po obu stronach wydaje się coraz wyższy i wyższy, aż w końcu połyka mnie ciemność. Nawet kamienie świecą tak delikatnie, że praktycznie nie widzę, dokąd idę. Co tłumaczy, dlaczego zderzam się ze ścianą gałęzi, kiedy dochodzę do ślepego zaułka.

– Ja chyba śnię! – wołam, plując igłami.

Po drugiej stronie żywopłotu słyszę dudnienie kroków. Ktoś biegnie w moją stronę. Jest coraz bliżej. Wycofuję się w róg żywopłotu i nasłuchuję. Mam wrażenie, że słyszę kroki tuż obok – że gdybym wyciągnęła rękę, to bym dotknęła tego kogoś. Ale ten człowiek równie szybko się oddala.

Nie jestem sama.

Kiedy znowu zapada cisza, zaczynam szukać jakiegoś przejścia, które pozwoli mi precyzyjnie się na drugą stronę. I przekonuję się, że to, co początkowo wzięłam za mur, to tak naprawdę dwa zachodzące na siebie rzędy żywopłotu z wąskim korytarzem pomiędzy krzakami. Ten, kto biegł, rzeczywiście znajdował się tuż obok mnie.

Choć nie podoba mi się pomysł udania się w tym samym kierunku, co biegacz, ta ścieżka zaprowadzi mnie ku najbliższym budynkom. A może ta osoba, która biegła, także się zgubiła i wcale nie próbuje mnie dręczyć. Ale to nie tłumaczy, czemu się nie odezwała, kiedy wołałam.

Nieważne. Mogę sobie spekulować, ile tylko chcę. Doprowadzi mnie to tylko do szaleństwa, bo odpowiedź poznam dopiero wtedy, kiedy znajdę mojego stalkera. Albo on znajdzie mnie. A jeśli mam być szczerą, to żadna z tych ewentualności nie napawa mnie entuzjazmem.

Przesuwam dłonią wzdłuż żywopłotu, szukając kolejnego udawanego muru, kiedy nagle kłujący ból zmusza mnie do jej cofnięcia. Część krzaków w żywopłocie ma kolce, przez co wąskie przejście okazuje się jeszcze bardziej zdradliwe. Ta szkoła rzeczywiście jest porąbana. Jak to wszystko ma uczynić ze mnie lepszą osobę? Ja na razie czyni mnie jedynie bardziej wkurzoną.

Kiedy w końcu wydostaję się z tego kolczastego korytarza, okazuje się, że znajduję się w ogrodzie z klombami wokół ogromnego drzewa z powykęcany pniem i grubymi konarami tworzącymi rozłożystą koronę. Idę ścieżką, która biegnie przez klomby i otacza drzewo. Przy nim czuję się taka mała i nic nie znacząca. To drzewo musi mieć co najmniej sto lat. Jest w nim coś majestatycznego, jakby widziało i słyszało w swoim życiu wiele sekretów. Sekretów, które skrywają się teraz w powykęcany pniu. Przykładam do niego ucho, zastanawiając się, czy usłyszę jakiś szept.

Zrywa się wiatr i pośród gałęzi rzeczywiście słyszę głos. Potykam się niezdarnie, obchodząc drzewo. Podmucha wiatru znowu szeleści gałęziami i przysięgam, że to słyszę. Niski szept przypominający bzyczenie pszczoł. Nie potrafię zrozumieć wiadomości, którą niesie mi wiatr. Czekam, aż znowu ją usłyszę. Puls mi przyspiesza.

Najpierw słyszę szelest liści, a potem chłodny wiatr owiewa mi policzki, aż w końcu dociera do mnie słowo, przeciągane tak długo, że trzy sylaby brzmią jak cała piosenka.

– Uciekaj.

Odwracam się. Wiatr przybiera na sile i rozwiane pasma włosów przyklejają mi się do twarzy. Mogłoby się wydawać, że zbliża się burza, kiedy jednak patrzę w niebo, nie widać ani

jednej chmury. Gałęzie trzeszczą, a liście trzepoczą gorączkowo, aż moje uszy wypełnia wściekłe wycie wiatru.

Więc... uciekam.

Ścieżka prowadzi mnie przez kurtynę zwisających gałęzi wierzby płaczącej. Odsuwam je na bok i na chwilę znajduję pod nimi schronienie. Wybiegam po drugiej stronie i w tym momencie ogłusza mnie cisza. Wszystko znieruchomiało.

Potykam się o wystający kamień i upadam na coś w rodzaju szerokich stopni. Kolana i łokcie absorbują impet upadku. Kamienie pokryte są mchem, więc choć sińce będę miała na pewno, to nie nabawiłam się żadnych ran.

Przez chwilę klęczę, łapiąc oddech. Unoszę głowę, żeby zobaczyć, gdzie jestem. Ścieżka wije się przez ogród japoński. Wstaję i się rozglądam, oczywiście na tyle, na ile pozwala mi ciemność. Łatwo rozróżnić drzewka bonsai, no i słyszę gdzieś szmerzącą wodę. Pod miniaturową pagodą znajduję kamienną ławkę i przysiadam na niej, żeby się uspokoić.

Od mojego wyjścia z biblioteki minęło na pewno kilka godzin. A jeśli nigdy nie znajdę wyjścia? Wiem, że zachowuję się irracjonalnie. Dziedzinec nie ciągnie się bez końca, choć w tej akurat chwili odnoszę inne wrażenie. Dotrę do jednego z budynków... w końcu. Może powinnam zostać tutaj. Pozwolić, aby mnie odnaleziono. Nie takiej rady udziela się osobom, które się zgubiły? Ale to pewnie zależy od tego, kto mnie szuka. Nadal nie rozumiem, dlaczego nie napotkałam ani jednego strażnika.

Siedzę w ogrodzie na tyle długo, że czuję coraz większą frustrację. Wydostanę się z tego cholernego miejsca, nawet gdyby miało mi to zająć całą noc. Racjonalizm przekonał mnie, że to moja histeria zamieniła wiatr w głosy i kroki. Wszystko sobie wyobraziłam. No bo czemu ktoś miałby mnie śledzić? Po co? Poza tym, czy znałby drogę w ciemnościach lepiej ode mnie? Te myśli w sumie niczego nie wyjaśniają, ale dzięki nim nabieram na tyle odwagi, żeby ruszyć dalej.

Idę, idę i idę, mam wrażenie, że kilka dni, no dobrze... kilka godzin. Słyszę w oddali szelest poruszanej wiatrem trawy morskiej i udaję się szybko w tamtą stronę. Nareszcie ogród, który rozpoznaję. Wybieram ścieżkę, co do której mam pewność, że zaprowadzi mnie do akademika.

Oddycham z ulgą, kiedy czuję zapach róż. A kiedy docieram do pergoli, z mojego gardła wydobywa się urywany szloch.

Do pergoli przywiązana jest wstążeczka z poruszającą się na wietrze kartką. Rozwiązuję ją.

WIESZ, KIM SĄ TWOI PRZYJACIELE? GDZIE SĄ TERAZ?

Zgniatam kartkę w dłoni.

– Pierdol się – warczę.

Osoba, która wysłała mi te wiadomości, nieważne czy są to groźby, czy ostrzeżenia, musi chodzić do szkoły w Blackwood. A skoro przez lato nie ma tu wielu uczniów, raczej nietrudno będzie ustalić, kto to taki. Ktokolwiek to jednak jest, zna mnie – a przynajmniej tak mu się wydaje.

Ale czy ja znam jego? I w tym momencie w mojej głowie rozbrzmiewa echem głos babci. Nikomu nie ufaj.

Rozdział 15

Na widok czerni wypełniającej jego serce Thaylina zamknęła oczy. Walczyła z zieloną peleryną, ale była za słaba. Jego gorący oddech muskał jej szyję. Thaylina krzyknęła, kiedy kły bestii zatopily się w jej delikatnej skórze.

Lano?

Siadam.

I spadam, lądując na brzuchu. Nade mną kołysze się hamak.

– Nic ci się nie stało? – Gdzieś nad sobą słyszę głos pana Garnera.

Strząsam z siebie zmęczenie, które klei się do mnie niczym drapiący koc, i podnoszę się z ziemi.

– Raczej nie.

– Co się z tobą działo? Pół nocy nie spałem, zastanawiając się, gdzie się podziewasz.

– Drzwi były zamknięte – wyjaśniam zaspana. Mało spałam, nawet po tym, jak w końcu dotarłam do akademika. I wbrew temu, co wszyscy mówią o pani Seyer i jej wszędobylskości, najwyraźniej ma fatalny słuch, bo krzyczałam i waliłam w drzwi aż do bólu nadgarstków. Postanowiłam przespać się w hamaku, ale strachem przepełniał mnie każdy dźwięk. To była naprawdę fantastyczna noc, i mówię to ze szczerym sarkazmem. – Padła mi bateria w telefonie.

Pan Garner wzdycha ciężko.

– No nic, cieszę się, że nic ci się nie stało. Wygląda na to, że miałaś ciężką noc.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądam, i wcale nie mam ochoty upewnić się w swoich wyobrażeniach.

– Która godzina? – pytam. Widzę już to, co wcześniej było zaledwie cieniami i zarysami.

– Wpół do szóstej. Wyszedłem cię szukać zaraz po wschodzie słońca. Ochrona zrobiła rundkę wokół budynku, ale nie sprawdzają dziedzińca, kiedy nadzorcy akademików są na miejscu, a przynajmniej tak mi powiedziano. Kiedy twój telefon nie pojawił się online, sprawdzili twoją ostatnią lokalizację, stąd wiedzieli, że jesteś na terenie kampusu. I to im wystarczyło. Przez godzinę się z nimi kłóciłem, ale twierdzili, że naruszyłaś zasady. I że od szkoły zależy, jakie poniesiesz konsekwencje, kiedy ponownie pojawisz się online. Pewnie często tak się dzieje. Tak czy inaczej powinni byli poszukać cię na dziedzińcu.

– Dziękuję panu – mówię z wdzięcznością. Przynajmniej ktoś zauważył moją nieobecność. – Ale nie wiem, czy by mnie znaleźli. W nocy nic tam nie widać, a znalezienie kogoś, kto się porusza, musi graniczyć z niemożliwością. Pewnie dlatego nie sprawdzają dziedzińca.

– Mimo wszystko nie powinno tak być. Chodź, wpuszczę cię do akademika. Prześpij się trochę. No i niestety musisz się zjawić na porannych lekcjach.

Padam na łóżko w ubraniu, nie sprzątnąwszy z niego nawet tego, co wyrzuciłam z torby, którą miałam u Lily. Żałuję tego, kiedy parę minut później – tak mi się przynajmniej wydaje – budzi mnie pikanie telefonu. Jedyńm, o czym pamiętałam, nim padłam na twarz, było podłączenie go do ładowania. Boli mnie kark, bolą mnie kolana i coś mi się wbija w bok. Wyciągam spod siebie szczotkę do włosów i rzucam ją na podłogę.

W telefonie czeka na mnie wiadomość od pana Garnera. „Pomyślałem, że przyda ci się pobudka, żebyś zdążyła na lekcje. Oto i ona”.

Czemu muszę być jego jedyną podopieczną?

Zmuszam się do zwleczenia się z łóżka, tak bardzo żałując, że nie mogę jeszcze trochę pospać. W Blackwood nie toleruje się nieobecności na lekcjach. Mogłabym stracić na całe lato prawo do opuszczania kampusu, co oznacza także utratę pracę w country clubie. Chyba bym oszalała, gdybym przez dwa kolejne miesiące skazana była na to miejsce.

Kiedy biorę prysznic, spływają ze mnie piach, liście i igły. Na lewym kolanie mam wielkiego siniaka. Ręce mam całe podrapane i boli mnie głowa, jakbym nią w coś uderzyła – mimo że nie przypominam sobie, aby tak się stało. W sumie może to tłumaczyć, dlaczego wydawało mi się, że słyszę głosy. Teraz wydaje mi się, że wszystko było dziwnym snem.

Kiedy wychodzę z budynku, dziedziniec prezentuje się identycznie, jak każdego dnia. Znaną już dobrze drogą udaję się do stołówki na śniadanie. Tyle że w pewnym momencie napotykam niespodziewaną przeszkodę: tam, gdzie normalnie skręcam przy fontannie w prawo, teraz znajduje się prosta ścieżka prowadząca do ogrodu z abstrakcyjnymi rzeźbami z powykręcane metalu.

Już-już mam zacząć krzyczeć z frustracji, kiedy słyszę:

– Dzień dobry.

Brendan.

– Gdzie byłeś zeszłej nocy? – wołam.

Unosi brew, zaskoczony moją wrogością.

– Co, kiepska noc?

– Najgorsza z możliwych – warczę. – Zostawiłam ci wiadomość, żebyśmy się spotkali w bibliotece. Na moście przywiązałam wstążeczkę.

– Nie ma jej tam. Nie widziałem kartki. Czemu, co się stało?

Kręcę głową, nie chcąc już wracać do tego wszystkiego.

– Nieważne.

– Co było w tej wiadomości? – upiera się.

Waham się. Zamiast wyjąć z torby zdjęcie, które zamierzałam mu wczoraj pokazać, krzyżuję ręce na piersi.

– Przekonaj mnie, że mogę ci ufać.

– Słucham? – chichocze tak, jakbym go poprosiła, aby stając na głowie, zawiązał but.

– Przekonaj mnie, że mogę ci ufać – powtarzam, wypowiadając każde słowo powoli i wyraźnie.

– Nie mogę – odpowiada z prostotą Brendan. – Nic, co powiem czy zrobię, nie przekona cię do tego, żebyś mi zaufała. Ty i ja nie należymy do ufnych osób. Ale to nie znaczy, że nie możemy wykorzystać siebie nawzajem, aby dostać to, co chcemy.

– A ty nadal chcesz informacji?

– Między innymi. – Puszczą do mnie oko.

Daję mu kuksańca w ramię.

– Okej, okej, żartowałem – jęczy, rozcierając sobie miejsce po uderzeniu. – Czego chcesz,

Lano?

– Prawdy.

I znowu się śmieje. Piorunuję go wzrokiem, bo mam tego dość.

– Czyjej wersji?

– Prawdziwej prawdy – mówię ze zniecierpliwieniem. – Ktoś sobie ze mną pogrywa, a ja nie wiem dlaczego. Sądziłam, że miało to związek z tym, co przytrafiło się Allie, ale już tak nie sądzę.

– Lano, nie istnieje coś takiego jak prawdziwa prawda. Kto jak kto, ale ty powinnaś

wiedzieć to lepiej niż inni. Prawda zawsze jest splamiona czyimiś kłamstwami. Mogę ci pomóc w rozróżnieniu, co jest czym. Ale najpierw musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Zaczyna mi dzwonić telefon. To pan Garner. Podnoszę wzrok na Brendana, który kiwa głową, żebym odebrała.

Na wyświetlaczu pojawia się twarz mojego doradcy życiowego.

– Chciałem się jedynie upewnić, że wstałaś.

– Idę właśnie na śniadanie, a potem na lekcje – odpowiadam. Zaczynam iść i pozwalam, aby Brendan prowadził mnie po tym nowym ogrodzie, bo wygląda na to, że zna drogę. Najwyraźniej dysponuje czymś w rodzaju mapy, która się zmienia razem ze zmianami dziedziczenia, bo niemożliwe, aby tak szybko zaczął się orientować w nowej przestrzeni.

– Okej. No więc dzisiaj masz zakaz opuszczania kampusu. Przykro mi, nic nie mogłem z tym zrobić, mimo że wytłumaczyłem, co się stało. Wygląda na to, że twoim obowiązkiem jest pilnowanie, aby telefon był naładowany.

– Nieważne – mówię z rezygnacją. Jedyne miejsce, do którego bym się dzisiaj wybrała, to dom Stefana, ale w sumie nie jestem w nastroju na towarzyskie spotkania, nawet z Grantem.

– Gdybyś potrzebowała zadać komuś cios, daj mi znać – dodaje pan Garner ze współczującym uśmiechem.

– Do widzenia. – Kończę połączenie.

– Czemu twój życiowy doradca proponuje ci, żebyś go pobiła?

Przewracam oczami.

– W ramach terapii kontroli gniewu chodzę na boks.

– Słabo to działa – krzywi się, pocierając ramię. – Co masz teraz?

– Chemię. – Otwieram drzwi na stołówkę.

– Spotkamy się potem w holu.

Brendan nie wchodzi ze mną na stołówkę. Zamiast tego znika na końcu korytarza, który prowadzi do... nie mam pojęcia dokąd, bo stołówka jest w tym budynku jedynym pomieszczeniem, które znam.

Biorę na wynos kawę mrożoną i burrito, po czym udaję się na lekcje, licząc, że w międzyczasie nie stanie mi na przeszkodzie jakiś nowy ogród. Bo wtedy to już na pewno się spóźnię.

••••

Po niemal dwóch godzinach wiem równie mało, co wcześniej. Mój partner w pracowni chemicznej pewnie ma ochotę mnie zamordować. A w piątek czeka nas pierwszy test. Jak to w ogóle możliwe?

– W Blackwood oferujemy korepetycje rówieśnicze – mówi do mnie po lekcji nauczyciel chemii, kiedy omawiamy moje postępy. – Przydałaby ci się dodatkowa pomoc. W czasie miesięcy letnich bywają u nas najlepsi uczniowie z Printz-Lee. Jeśli chcesz, mogę załatwić ci na jutro korepetytora z chemii.

– Jasne – odpowiadam automatycznie, zbyt wykończona, aby przejmować się tym, że już są mi potrzebne korepetycje.

– O której?

To okropne, że zmusza mnie, abym teraz myślała.

– Rano muszę jechać do pracy, a potem mam dwie lekcje. Może być wieczór?

– Sprawdzę. Jeśli uda mi się coś zorganizować, prześlę ci wiadomość.

••••

– Czemu tak długo to trwało? – pyta Brendan, kiedy w końcu pojawia się w holu.

– Jestem beznadziejna z chemii – odpowiadam szczerze. – Już potrzebuję korepetycji.

– Och, Lano. Nie potrzebujesz. Może wystarczyłoby, abyś nie spała na lekcjach?

Jest taki protekcyjny. Mam ochotę go udusić.

– Przestań się tak zachowywać – warczę. – Czy naprawdę muszę zaklejać taśmą aparat i mikrofon w swoim telefonie, żebyś przestał mnie śledzić?

– Czasem to robię – przyznaje szczerze.

Jakżeby inaczej.

– Dokąd idziemy?

– Do mojego pokoju.

Kiedy dochodzimy do mostku prowadzącego do męskiego akademika, spodziewam się, że Brendan przemyci mnie jakimś sekretnym wejściem, on jednak podchodzi do głównych drzwi i otwiera je dla mnie.

– Co z waszym nadzorcą?

– W ciągu dnia śpi – wyjaśnia. – Według niego za dnia nie pakujemy się w tarapaty.

Niemądry człowiek.

Wchodzę za Brendanem na piąte piętro.

– Nie jesteś uczniem ostatniej klasy.

– Przydzielono mi ten pokój, kiedy zjawiłem się tu przed rokiem. A teraz nie zgadzam się na zmianę. Przekonasz się dlaczego.

Jego pokój okazuje się równie dystyngowany i uporządkowany, jak on sam: obita skórą sofa, duży fotel z podnóżkiem i imponująca biblioteczka aż do sufitu. Łóżko ma na antresoli, tak jak Ashton. Pomieszczenie jest męskie w wystroju, ale ma w sobie coś królewskiego, czego się nie spodziewałam. No ale w sumie Brendan je i ubiera się jak czterdziestolatek.

– Usiądź – proponuje, otwierając szafkę obok umywalki. Popycha półkę, tak że butelki wody Evian obracają się i znikają, a zastępuje je rząd butelek z alkoholem. – Drinka?

Kręcę przecząco głową.

Brendan wyjmuje szkocką i nalewa sobie odrobinę do szklanki.

– Nie jesteś tym, kim się wydajesz, prawda? – Moim słowom towarzyszy pozbawiony wesołości śmiech.

Uśmiecha się drwiąco.

– To aż takie oczywiste?

– Może jesteś odmieniecem podrzuconym przez wróżki – dumam. – Tylko wygląd masz szesnastolatka...

– Wytrzymałość na pewno nie. – Mruga.

– I dojrzałość. No ale duszki bywają egoistycznymi flirciarzami. Może powinieneś wrócić do swoich, bo na pewno za tobą tęsknią.

– Zamierzasz opowiedzieć mi jedną ze swoich bajek, księż... – Brendan urywa i posyła mi przeproszające spojrzenie.

Pora zmienić temat.

– No dobrze, zrobimy to tak... – Nie kończę zdania; moją uwagę przyciąga oprawione w ramkę zdjęcie.

– Lana?

Wstaję i podchodzę do biblioteczki, która zajmuje całą ścianę. Wbudowano w nią biurko, na którego blacie leżą stosy książek, co – przyznaję – zaskakuje mnie. Oprócz tego przedmioty osobiste – zdjęcia, trofea golfowe, dekoracje.

Biorę do ręki fotografię przedstawiającą dwie nastolatki, może nieco starsze od nas.

Siedzą na dziobie łodzi, twarze mają zasłonięte wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, ale ich uśmiechy są równie promienne jak słońce.

– Kto jest na tym zdjęciu?

– Dziewczyna z prawej to moja matka, kiedy miała osiemnaście lat. Nie wiem, kto jej towarzyszy. Ale lubię to zdjęcie, bo wygląda na nim na taką szczęśliwą.

– Ta dziewczyna z lewej – zaczynam, ale muszę przerwać, żeby zaczerpnąć tchu – to moja matka.

– Naprawdę? – Brendan chichocze. – No coś ty.

Ale kiedy się odwracam w jego stronę, uśmiech znika mu z twarzy. On wie.

– Nasze mamy się przyjaźniły? – pytam ostro, kiedy dociera do mnie, że wcale nie jest zaskoczony.

– Na to wygląda. – Przetyka resztę szkockiej.

Ze zdjęciem w ręce siadam na sofie. Brendan opiera się o blat obok umywalki.

– Odkąd tu jestem, otrzymałam trzy wiadomości. Pierwszego wieczoru ktoś napisał fluorescencyjną farbą na ścianie mojego pokoju słowo „Wiem”. Druga wiadomość czekała na mnie pierwszego dnia pracy w szafce w szatni. Widziałeś ją. A wczoraj wieczorem otrzymałam kolejną. Znajdowała się w torbie, którą zabrałam na noc do Lily. – Sięgam do torby, wydaję ją i podaję Brendanowi. – Początkowo sądziłam, że to groźby związane z tą nocą, kiedy Allie została ranna, bo to wydawało mi się oczywistą tajemnicą – mimo że te wiadomości nie miały tak naprawdę sensu. Ale teraz...

Brendan wpatruje się w zdjęcie.

– Myślisz, że ma to związek z naszymi matkami?

– Może. Ale nadal nie wiem, co oznaczają te wiadomości – odpowiadam. – Ty dostałeś jakiegoś? – Kręci przecząco głową i odwraca zdjęcie, żeby przeczytać, co napisano z tyłu. – Więc temu komuś chodzi o mnie. A wczoraj wieczorem, kiedy dostałam to zdjęcie, zaczęłam się zastanawiać, czy to może ostrzeżenia, a nie groźby. Tyle że...

Kiedy urywam, Brendan podnosi na mnie wzrok.

– Zeszłej nocy nie mogłam się dostać do akademika, bo padła mi bateria w telefonie. Przez pół nocy błądziłam po dziedzińcu. Przysięgam, że ktoś tam był. Z drugiej jednak strony może to wszystko działo się tylko w mojej głowie. Ale ten, kto zostawia mi te wiadomości wiedział, że tam jestem, bo zostawił mi też to.

Brendan odczytuje z pogniecionej kartki wiadomość.

– To dlatego musiałaś wiedzieć, czy możesz mi ufać?

– To ktoś, kto chodzi do szkoły. Kto wie, kim jestem. I w domu Lily miał dostęp do mojej torby. Nie ma wielu potencjalnych kandydatów. Każdy to osoba, którą uważam za przyjaciela.

– Ta uwaga o przyjaciółach miała cię po prostu uciszyć, jestem tego pewny.

– Prawdopodobnie.

– To nie znaczy, że to jedno z nas. Jedyne, czego potrzebuje ta osoba, to dostęp do twojego pokoju, co oznacza, że ma przepustkę upoważniającą do wstępu na teren kampusu. Czyli mogą to być nauczyciele, pracownicy administracji albo...

– Życiowi doradcy – mówię cicho. Pana Garnera zatrudniono po to, żeby miał nade mną pieczę, no i jest w jakimś stopniu powiązany z Harrisonami. Może próbuje mnie ostrzec. Ale szybko odrzucam tę myśl, bo takie teatralne zachowanie jest nie w jego stylu... chyba. – Więc mógł to być każdy.

– Myślę, że powinniśmy się skupić nie na sprawcy, a przyczynie. – Patrzy mi w oczy. – Więc nie mów o tym nikomu.

– Myślę, że Joey może wiedzieć, skąd pochodzi to zdjęcie. Mówił mi, że znalazł fotki

z naszego dzieciństwa, kiedy byliśmy zbyt mali, żeby to zapamiętać. Może wiedzieć, kto jeszcze znajduje się na tym zdjęciu albo przynajmniej gdzie je zrobiono.

– Nie mów mu o wiadomościach. Zrobię kopię zdjęcia, żeby nie widział tyłu. Według mnie powinniśmy zachować to dla siebie.

– Dlaczego?

– Intuicja – odpowiada takim tonem, jakby to był istotny powód.

– Zawsze jej słuchasz? – pytam drwiąco.

– W sumie tak – przyznaje bez cienia sarkazmu. – Jestem bardzo przenikliwy i zazwyczaj pomaga mi to nie pakować się w kłopoty. Jeśli już, wpadam w tarapaty przez moje słabotki.

– Jakie? Hakerstwo, stalking i puszczanie się na prawo i lewo?

Śmieje się z przymusem.

– To trzecie jest bliskie prawdy. Jeśli chodzi o kobiety, na których mi zależy, to moja percepcja jest wypaczona. Ich zamiary odgaduję dopiero, kiedy jest już za późno. Jakbym pozostawał ślepy na ich wady. No więc na razie nie wchodzę w związki. Ograniczam się do seksu bez żadnych uczuć. Tym sposobem nikt mnie nie wydyma, gra słów zamierzona.

– Uśmiecha się kokieteryjnie.

Przewracam oczami.

– To wyjaśnia problemy z zaufaniem.

– Mówiłem ci, że jesteście do siebie podobni. I okazuje się, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż początkowo sądziłem. – Nalewa sobie kolejnego drinka. – Zamierzam powiedzieć ci coś, o czym nie wie nikt inny. I nie dlatego, że się wstydzę, ale dlatego, że to niczyja cholerna sprawa. – Pociąga spory łyk. – Wychowałem się na Nantucket. Moja rodzina miała niedużą księgarnię. Nie byliśmy zamożni, nie tak jak ludzie, którzy co roku spędzali tam wakacje na swoich jachtach. Albo jak uczniowie z Blackwood. Na początku zeszłego roku szkolnego Niall załatwił mi przyjęcie do tej szkoły, tak samo jak teraz tobie. Nie chce mi powiedzieć, kto to finansuje, twierdzi jedynie, że to program stypendialny. Że to dla nich dobry PR i że mogą się chlępić tym, że pomagają uczniom z różnych środowisk stać się doskonałymi kandydatami na wyższe uczelnie. Ale wiem, że to gówno prawda. Ktoś opłaca czesne. Widziałem ich raporty finansowe.

– Ale nie wiesz kto za to płaci? Myślisz, że Niall?

– Czesne w Blackwood za nas troje, do tego Printz-Lee i Uniwersytet Nowojorski? Wątpię. Tak już nawet myślałem, że może jego kancelaria utworzyła coś w rodzaju funduszu, bo zdecydowanie znajdujemy się na liście jej klientów pro bono. Ale nie udało mi się niczego znaleźć w dokumentach.

– W życiu bym nie zgadła, że nie jesteś nadziany. Zachowujesz się, jakbyś pasował do tych wszystkich uprzywilejowanych osób.

– To prawda – przyznaje z uśmiechem. – Oni wcale nie są od nas lepsi czy gorsi. Właściwie to zapewniam cię, że mam lepszą relację ze swoją babcią niż większość z nich z rodzicami. Pieniądze nie mają nic wspólnego z tym, jak się prezentują. Pochodzę z klasy średniej, ale miałem kontakt z klasą wyższą. Pracowałem na wyspie, nosiłem kije graczom w golfa. Sporo się nasłuchiwałem. Sporo nauczyłem. Manipulowałem i uwodziłem odpowiednie osoby, żeby dostać to, czego chcę, aż w końcu zostałem złapany. I nie była to nawet córka miliardera, ale cholerna żonka dyrektora szkoły. Cóż za naiwność.

– Czuleś coś do niej?

Wzrusza ramionami.

– Dostałem nauczkę. Nieprzyjemną.

Uśmiecha się, bo wiem, o czym mówi.

– Takie są najlepsze.
Brendan uśmiecha się, po czym ponownie skupia się na zdjęciu.

– Więc nasze matki się przyjaźniły. Ale skąd znały Harrisonów?
– Nie wiem, czemu moja była w ogóle na Nantucket – mówię, przytłoczona świadomością, jak wielu rzeczy nie wiem o swojej mamie. – W życiu nie było jej na to stać.
– Powie ci to, jeśli zapytasz?
– Mogę spróbować. Ale jeśli chcę, żeby mi powiedziała prawdę, muszę to zrobić twarzą w twarz. Bywa naprawdę... wrażliwa, kiedy poruszam temat mogący mieć związek z moim ojcem. I myślę, że kiedy zrobiono to zdjęcie, była w ciąży ze mną albo wkrótce w nią zaszła.
– Na tym zdjęciu moja matka była mniej więcej w trzecim miesiącu ciąży ze mną.
– Otwiera szeroko oczy. – O cholera. Każda kobieta na tym zdjęciu z wyjątkiem jednej jest w ciąży, chyba że ona też, tylko nic nie widać.
– Co takiego? – pytam, wyciągając rękę po zdjęcie. Ma rację. Ta kobieta z ciemnymi włosami, której twarz jest zasłonięta, ma ciążowy brzuch. Przez to, że zdjęcie jest czarno-białe, a ona ma ciemną sukienkę, nie od razu to dostrzegłam. – Rozpoznajesz kogoś jeszcze?
– Ta blondynka, która nie jest w ciąży, wygląda znajomo, ale nie potrafię jej umiejscowić. Nie znam tego drugiego mężczyzny, a ciemnowłosej kobiety w ciąży nie da się zidentyfikować. Musisz także pamiętać, że ktoś zrobił to zdjęcie.
– A ktoś jest ucięty – mówię cicho, patrząc na zamazaną sylwetkę z lewej strony. Brendan siada obok mnie. – Widzisz go, rękę i nogi, jakby biegł, żeby znaleźć się na zdjęciu?
– Kiepski fotograf – stwierdza Brendan. – Ciekawe, czy istnieje zdjęcie, na którym wyraźnie widać wszystkich.
– Ten, kto to robi, jest porąbany. Nie rozumiem, czego chce. To wszystko nie ma żadnego sensu. – Odwracam się do Brendana i wypowiadam pytanie, które swojej mamie zadałam tylko raz. – Wiesz... wiesz kim jest twój ojciec?
Kręci przecząco głową.
– Babcia twierdzi, że był turystą spędzającym na wyspie wakacje. Wyjechał i nigdy go więcej nie widziano. Moja matka nie wiedziała nawet, jak się z nim skontaktować i poinformować go o ciąży. Babcia myśli, że mógł być żonaty.
– Ile lat miała twoja mama, kiedy cię urodziła?
– Dwadzieścia.
– Więc na tym zdjęciu miała dziewiętnaście. A mówiłaś, że na tym drugim zdjęciu z moją mamą miała osiemnaście lat. To oznacza, że znały się przynajmniej przez rok.
– W takim razie to nie był pierwszy weekend, podczas którego twoja odwiedziła wyspę, bo moja nigdy jej nie opuściła. Ani razu.
– Serio?
– Tak mi powiedziano.
– To ma coś wspólnego z Harrisonami. Jestem tego pewna. – Podnoszę wzrok na Brendana. – Mówiłaś, że Niall wie, kto zabił twoją matkę. Co miałeś przez to na myśli? Sądziłam, że popełniła samobójstwo?
– Chyba nie jestem jeszcze gotowy, żeby o tym rozmawiać. – Głos ma cichy, ale pobrzmiwa w nim nutka gniewu. Kiwam ze zrozumieniem głową. – Zacznijmy od dowiedzenia się, skąd twoja matka znała moją i co je łączy z Harrisonami.
Wstaje i odstawia pustą szklankę na elegancką onyksową ławę.
– Chodź. Chcę ci coś pokazać.
– Co takiego?
– Powód, dla którego to jest mój pokój.

Brendan podchodzi do biblioteczki, naciska na jedną z półek i cała część odsuwa się od ściany.

- Ile jest w tej szkole sekretnych przejść?
- Całe mnóstwo – rzuca przez ramię, po czym znika za regałem.
- A ile z nich to twoja sprawka?

Włącza łańcuch świetlny, który oświetla jego firmowy, pewny siebie uśmiech, po czym zaczyna wchodzić po drabinie. Jest ciasno. Przelykam ślinę i ruszam za nim, przypominając sobie po drodze o tym, że muszę oddychać. Na szczęście wkrótce docieramy do jakiegoś pomieszczenia. A raczej wnęki na poddaszu. Brendan musi się schylać, żeby nie uderzać głową w pochyłe belki. Pstryka inny włącznik i przestrzeń wypełnia szum urządzeń elektronicznych.

- A więc tu się odbywają niegodziwości – mówię, omiatając wszystko wzrokiem.

Widzę stare biurko i składany stół, a obok nich kilka niskich szafek z szufladami. Do tego monitor, klawiatura i twardy dysk. Na trzech półkach stoją niewielkie monitory. Kiedy przyglądam się tym, które są włączone, rozpoznaję materiał. To teren tuż za Blackwood.

– Mówiłeś, że nie jesteś zamożny? – pytam oskarżycielsko. Nie znam się na tym, co widzę, ale ten sprzęt sprawia wrażenie nowego i drogiego.

- Nie mówiłem, że nie zarabiam.

– Jesteś przerażający.

– Och, nie masz pojęcia, jak bardzo. – Na jego twarzy nadal widnieje arogancki uśmiech, a mnie przebiega dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Próbuję przekonać siebie, że zwierzenie się Brendanowi było moją jedyną opcją, jeśli chcę dotrzeć do odpowiedzi. Ale nie jestem przekonana, że można mu zaufać. Jego przekleństwo to *Percepcja*. Jest zupełnie inny, niż się wydaje, ale ludzi potrafi przejrzeć w mgnieniu oka. Jest taki bezpośredni, jeśli chodzi o prawdę, że nawet mnie to krępuje. Z drugiej jednak strony, jak sam mówił, prawdą można łatwo manipulować... Każdy ma swoją własną wersję prawdy.

Zaczynam poważnie żałować, że go w to zaangażowałam.

Brendan spokojnie może stać za tym wszystkim. Może obwinia moją matkę o śmierć swojej? Trudno uwierzyć, że nie dostrzegł mojego podobieństwa do niej na tym zdjęciu, które trzyma na półce. Wyglądam zupełnie jak moja mama jako nastolatka, mimo tych ogromnych okularów. Nie był zaskoczony, kiedy mu powiedziałam, kim jestem – on już to wiedział. Od pierwszego dnia łączy mi w głowie, zadając pytania, na których większość odpowiedzi zna.

Nie mogę mu ufać.

Rozdział 16

Drzwi do wieży otworzyły się i po chwili przed nimi stanęła czarownica. Wypowiedziała zaklęcie, aby uwolnić Thaylinę z peleryny. Dziewczyna padła na ziemię, raniąc sobie łokiec i kolana. Leżała na zimnej, kamiennej podłodze, czekając, aż wróci jej oddech.

Nie mogę uwierzyć, że zgodziłam się na tę dodatkową zmianę w country clubie. Pan Garner nie wspomniał o tym, kiedy przekazywał prośbę Cary'ego, a ja przyznaję, że nie zapytałam o porę, i teraz będę pracować od siódmej do dziesiątej, aby zdążyć na lekcję o jedenastej. O tak wczesnej porze pole golfowe praktycznie nie funkcjonuje. Pojawiają się na nim tylko najbardziej zatwardziali golfiści.

Natomiast nie spodziewałam się spotkać nikogo w basenie. Sądziłam, że otwiera się dopiero o dziewiątej czy jakoś tak. Stoję pod ścianą budynku i się przyglądam. Kimkolwiek jest pływający mężczyzna, podchodzi poważnie do swoich ćwiczeń: ma czepek, okulary i obcisłe kąpielówki do połowy uda. Wygląda tak, jak zawodnicy na olimpiadzie. Podziwiam mięśnie rysujące się na jego plecach podczas każdego wymachu. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wygląda jego tors.

Kiedy dopływa do końca basenu, jednym płynnym ruchem ściąga czepek i okulary, po czym zanurza głowę pod wodę, tak że nie widzę jego twarzy.

– Lano? – woła mnie Cary.

Odwracam się nieco zbyt szybko i wpadam na krzesła ustawione jedno na drugim. Przewracają się, robiąc potworny hałas.

– Przepraszam – mówię z zażenowaniem.

Cary przygląda się temu wszystkiemu z ciekawością. Nie odwracam się, więc nie wiem, czy facet z basenu to widział, ale musiałby być głuchy, żeby nie słyszeć.

– Nic ci nie jest? – pyta Cary, pomagając mi ustawić krzesła.

– Ucierpiało tylko moje ego – wyznaję, bo mam najokropniejsze przekleństwo na świecie. Cary śmieje się cicho.

– No dobrze, mam klucze do magazynu, które ci będą potrzebne. Nie przejmuj się inwentaryzacją alkoholu. Raz w tygodniu zajmują się tym barmani. Dla ciebie są tylko produkty papierowe i sucha żywność. Masz tu listę wszystkiego, żebyś wiedziała, czego szukać. Zaczynaj tutaj, potem udaj się do składziku przy dziewiątym dołku, a skończ w budynku klubu. Tam znajdziesz kilka regałów z zapasami. Jeden to produkty papierowe, takie jak serwetki i ręczniki, drugi to produkty spożywcze takie jak napoje gazowane i żywność niepsująca się. Proste.

Wręcza mi tablet. Na szczęście to praca, którą mogę wykonywać na wpół śpiąc, bo o takiej godzinie mój mózg jeszcze nie funkcjonuje.

– Dziękuję, że zgodziłaś się tym zająć w swój dzień wolny od pracy – mówi.

– Nie ma sprawy – odpowiadam i patrzę, jak odchodzi.

Wkładam klucz do zamka, po czym otwieram drzwi. Obrzucam wzrokiem magazyn, zastanawiając się, od czego zacząć. Zaczynam właśnie liczyć opakowania papierowych ręczników, kiedy ktoś staje w drzwiach prowadzących do dalszej części.

Ja krzyczę i on krzyczy.

Z ręką na piersi patrzę na Granta z napojem sportowym w ręce, w takich samych

kąpielówkach jak facet z basenu. Brązową skórę ma zarumienioną z wysiłku. I nadal jest mokry. Na jego widok moje serce wcale się nie uspokaja. Właściwie to jego mokre włosy i gładki, wyrzeźbiony tors sprawiają, że bije jeszcze szybciej.

– Lana? Co tu robisz?

Nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu. Otwieram usta, a mój szaleńczy puls tłumi każde słowo, które próbuję wypowiedzieć. Na policzki wypełza mi rumieniec. Chyba muszę usiąść. To stanowczo zbyt wiele jak na tak wczesną porę.

– Wszystko w porządku? – Rusza w moją stronę. Unoszę rękę, żeby go powstrzymać.

– No co?

– Nie mogę – mówię, kręcąc głową. Zamykam oczy, żeby wziąć się jakoś w garść.

– Masz atak astmy? – Jego głos przepelnia niepokój. – Masz inhalator?

Kręcę ponownie głową. Grant kładzie mi rękę na ramieniu.

– W takim razie co się dzieje?

Robię wydech i strząsam jego rękę.

– Nie byłam gotowa na to, aby zobaczyć cię półnagiego.

Śmieje się.

– Mówisz poważnie?

– Sorki. Wiem, że to brzmi strasznie seksistowsko, ale nie jestem w stanie normalnie funkcjonować, kiedy tak tu stoisz.

– Wow. No to chyba muszę stąd wyjść. – W jego głosie słychać rozbawienie. – Jesteś przezabawna.

Zażenowana, nadal nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

Nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Teraz wiesz, jak się czuję za każdym razem na twój widok. I nieważne, ile widać wtedy twojego ciała.

Przygryzam wargę, żeby powstrzymać uśmiech. Odwracam się i w tym momencie Grant znika za drzwiami.

Jakimś cudem udaje mi się dojść do siebie i przypomnieć sobie, jak się liczy. I na tym właśnie upływają mi trzy kolejne godziny.

Okazuje się, że we wtorki Grant jest ratownikiem na basenie. A według Kaely, która ma dzisiaj dyżur przy wózkach z napojami, to najbardziej popularny dzień. Na szczęście nie siedzi na stanowisku ratownika bez koszulki, w przeciwnym razie całe mnóstwo nastolatków, ale też ich matek, udawałoby, że tonie, byle tylko je ratował. Ale i tak – w czerwonych szortach, białej koszulce i czarnych okularach przeciwsłonecznych – przyciąga uwagę tych, którzy doceniają dzieło sztuki, jakim jest Grant Philips. Powinien znajdować się w muzeum, żeby można go podziwiać. No dobra, wiem, że zachowuję się absurdalnie.

Zanim przebiorę się w swoje ciuchy, nagrywam się na pocztę głosową Joeya z pytaniem, kiedy wraca do Kingston. Dodaję, że znalazłam coś, co muszę mu pokazać. A on oczywiście musi oddzwonić, kiedy się przebieram, a telefon leży w szafce. Klnę pod nosem, kiedy widzę nieodebrane połączenie i wiadomość na poczcie głosowej.

– Hej, Lano. W czwartek wybieram się z rodziną na Nantucket na święto niepodległości. Spędzimy tam nieco ponad tydzień. Zjawię się po powrocie. Ja też znalazłem coś, co muszę ci pokazać. Liczę, że coś z tego zrozumiesz, bo cała ta sytuacja zaczyna się robić naprawdę szalona. Nie mogę się doczekać naszego spotkania.

Na chwilę obecną wszystko jest szalone. To okropne, że muszę czekać dwa tygodnie, no ale przecież nigdzie się nie wybieram. Może udałoby nam się to rozgryźć, gdyby świr okazał się bardziej bezpośredni i nie zostawiał abstrakcyjnych wiadomości i zdjęć z przeszłości.

A zważywszy na lokalizację tamtego zdjęcia, niepokojąca jest myśl o wyjeździe Joeya właśnie na Nantucket. Ale ma to sens, jeśli ten dom ze zdjęcia należy do Harrisonów.

Wracam do Blackwood i od razu mam wiedzę o społeczeństwie. Udaje mi się za to zdrzemnąć przed francuskim. Powinna pewnie wziąć w tym czasie prysznic i nieco się wysilić, aby wyglądać jak człowiek, ale ten dzień jest już dla mnie stracony.

Na nowo zwiążuję włosy w wysoki koczek, spryskuję pachy antyperspirantem i udaję się na kolację w krótkich szortach dresowych i bokserce. Kusi mnie, żeby wziąć przykład z Ashton i pójść bosy, ostatecznie decyduję się jednak na japonki.

Nim zdążę wyjść z akademika, otrzymuję wiadomość od nauczyciela chemii.

Korepetytor spotka się z tobą w bibliotece o 19.00 w pokoju nauki A.

O cholera. Wracam na górę po torbę, bo po kolacji nie zdążę już po nią przyjść.

••••

Uśmiecham się na widok siedzącej przy naszym stoliku Lily.

– Cześć. Przyjechałaś z wizytą? – Nie wiedziałam, że może tu przyjeżdżać ktoś poza prawnikami i rodzicami. Ale może kuzynka znajduje się na liście zatwierdzonych osób Lance’a.

– Tak i nie – odpowiada. – Tego lata udzielam korepetycji.

Mój dzień właśnie stał się lepszy.

– Błagam, powiedz, że jesteś moją korepetytorką chemii.

Krzywi się przeprasza ją.

– Nie jestem dobra w przedmiotach ścisłych, przykro mi. Humanistka ze mnie.

– Kiedy masz spotkanie ze swoim korepetytorem? – pyta Ashton.

– Po kolacji. – Wzdycham teatralnie. – Nienawidzę chemii.

– Bo źle do tego podchodzisz – stwierdza Brendan po to tylko, żeby mnie zirytować. Ashton wydaje okrzyk zaskoczenia, kiedy robi jej coś pod stołem.

– Faj – burczę.

– W weekend będzie parada z okazji święta niepodległości – oznajmia Lily. – Powinniśmy się tam wszyscy wybrać.

Spoglądam na Lance’a, bo przecież nie mogę iść bez niego. Jakiś palant uznał, że on jest bardziej odpowiedzialny niż ja. Dobrze, że go lubię.

– Może być – stwierdza za nas oboje.

Zostawiam ich na dziedzińcu, a sama udaję się do biblioteki. Pytam bibliotekarkę, gdzie się znajdują sale do nauki, i kobieta prowadzi mnie wąskimi, krętymi schodami do piwnicy. Pod ścianą stoi kilka biurek i pustych regałów. Poprzedzielano je drewnianymi drzwiami ze złotymi literami od A do D.

– Twój korepetytor jeszcze się nie zjawił. – Bibliotekarka zapala światło i otwiera mi drzwi. – Przyślę go tutaj.

– Dziękuję.

Pomieszczenie okazuje się niewiele większe niż schowek przylegający do pracowni chemicznej, gdzie się ukrywałam w liceum w Sherling. Tak, dostrzegam ironię w tym, że spotykam się z korepetytorem chemii w... schowku. Znajduje się tu okrągły drewniany stół i kilka krzeseł. I tyle. Pewnie nie chcą, żeby cokolwiek rozpraszało nas podczas nauki.

Ale nie przewidziano tego, że rozpraszać może sam korepetytor.

– Niemożliwe – odzywa się od drzwi.

Śmieję się z tego kosmicznego żartu, bo to oczywiście on. Cóż za ironia losu. Zwłaszcza po moim porannym upokorzeniu. Do tego jeszcze fakt, że nie brałam dzisiaj prysznic ani się nie czesałam. Ktoś gdzieś w kosmosie ma teraz niezły ubaw. Podejrzewam, że w tej akurat chwili

Granta nie onieśmieli moja oślepiająca uroda.

– Wiesz co? W sumie to nie jestem zdziwiona – oświadczam, kiedy siada po drugiej stronie stołu. Dobrze, że nie obok mnie, bo się boję, że nie pachnę najładniej. – Jestem zwaśniona z przeznaczeniem, a ty jesteś moją karą.

Uśmiecha się rozbawiony.

– Wierzysz w przeznaczenie?

– Nie wiem, czy akurat w przeznaczenie. Ale nie wierzę także w zbiegi okoliczności. Nieważne, nie mam tyłów z filozofii, więc kogo obchodzi, w co wierzę.

– Mnie, więc wrócimy do tego innym razem – mówi szczerze Grant. – Rzeczywiście masz tyły z chemii?

– Na razie nie. Ale w piątek mamy pierwszy test i jeśli mi nie pomożesz, to na pewno będę miała.

– Co konkretnie sprawia ci problem?

– Niezasypianie na lekcjach.

Śmieje się.

– Na to nic nie poradzę. Może pokaż mi, co obecnie przerabiacie, dobrze?

Możliwe, że przez cały wieczór będę mówić niemądre rzeczy, po to tylko, żeby słyszeć jego śmiech. Jest niski i gardłowy, i taki autentyczny. Uśmiecham się bezwiednie. I najwyraźniej robię to nadal, wpatrzona w Granta, bo musi odkasznąć, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

– Już cię straciłem?

– Eee, nie – mówię, wyjmując z torby tablet. – Jestem tutaj, tak jakby. Mało spałam przez dwie ostatnie noce. Przepraszam, jeśli się wyłączy.

– Postaram się, abyś nie zasnęła – oświadcza i przysuwa się z krzesłem bliżej mnie, żebyśmy razem mogli przejrzeć materiał na tablecie.

Och, zdecydowanie nie chce mi się teraz spać.

Godzinę później wyłaniam się z naszego schowka, nie zostawszy pocałowaną. Wiem, że nie taki był cel naszego spotkania, ale schowki nie bez powodu cieszą się taką, a nie inną reputacją. Grant zachowywał się jak profesjonalista, nawet kiedy nasze kolana niechcący się zetknęły albo jego ramię otarło się o moje. Skupiał się tylko na tym, abym zrozumiała chemię. Którą rozumiałam... i czułam.

Grant jest niesamowicie inteligentny. I cierpliwy – bardzo, bardzo cierpliwy. Ale nie powinno mnie to przecież dziwić. Jest perfekcyjny aż do przesady.

– Masz jakieś wady? – pytam go, kiedy jesteśmy już na poziomie biblioteki.

– Oczywiście – obrusza się. – Mógłbym ci wymienić całą listę. Albo pozwolić, żebyś sama je odnalazła.

– Lubię wyzwania – odpowiadam żartobliwie. – Dzięki za pomoc.

– Daj znać, jak ci poszło na teście.

– Dobrze. Powiem ci, kiedy w piątek zobaczymy się w klubie.

– Och, eee, chciałem zapytać, czy nie masz ochoty wybrać się w sobotę na paradę.

– Wszyscy się wybieramy. – Uśmiecham się entuzjastycznie, bo tak mnie cieszy wiadomość, że on też tam będzie. Kiedy zaciska usta, dociera do mnie, że nie o to mu chodziło.

– Och. Zapraszałeś mnie na randkę, tak?

– Nie zamierzałem tak tego nazywać, bo mówiłaś, że nie randkujesz, no i musiałaby ci towarzyszyć twoja przyzwoitka, ale... owszem. Liczyłem, że się ze mną umówisz. Ale wyjście grupowe też fajnie się zapowiada. – Ostatnie zdanie wypowiada bez większego entuzjazmu.

– Wygram dla ciebie nagrodę – oświadczam, próbując mu wynagrodzić to rozczarowanie.

Uśmiecha się blade.

– Do zobaczenia w piątek, Lano.

Nie takiej reakcji się spodziewałam. Patrząc, jak wychodzi z budynku, po czym wracam do akademika.

Żałuję, że nie wiedziałam, iż zaprasza mnie na randkę, zanim mu powiedziałam o całej paczce. Ale... czy miałoby to znaczenie? Nie powinnam umawiać się na randki. No nie?

Muszę pamiętać o tym, że za dwa miesiące zaczyna się rok szkolny i on nie będzie już wtedy pracował w country clubie. Uczy się w innej szkole. Ja nie mam samochodu. W ogóle nie będziemy się widywać. Wiem, że to słaby argument. Ale wtedy spoglądałam na swój kciuk i obrączka Nicka to jedyny argument, jakiego potrzebuję.

••••

Parada odbywa się w kurorcie narciarskim w górskiej części Kingston. Po drodze mam okazję przyjrzeć się centrum miasteczka. Okazuje się całkiem urocze, w stylu Nowej Anglii. Raczej niewiele się tu dzieje, ale wygląda sympatycznie.

– Będziemy cię musiały zabrać kiedyś na dziesięciminutową wycieczkę po centrum Kingston – odzywa się Ashton.

– Myślę, że wystarczyło te trzydzieści sekund.

– Mają tu stare kino, w którym puszczały tylko dwa filmy. Co prawda próbowano odnowić fotele, ale ze dwadzieścia lat temu. – Nachyla się, tak bym tylko ją słyszała. – Grant też tam będzie?

Wystarczającą odpowiedzią okazuje się mój uśmiech.

Po raz drugi pojawia się na mojej twarzy, kiedy się przekonuję, że Grant razem z Wiewiorem i Stefanem czeka na nas obok budki z biletami.

– Kupiłem ci bilety. Mam nadzieję, że się nie gniewasz – mówi, wręczając mi zwitek papierowych biletów, gdy tymczasem cała reszta staje w kolejce, żeby kupić je dla siebie.

– Dziękuję. – Biorę je od niego, składam i wkładam do kieszeni szortów. – Postaram się wygrać ci największą maskotkę, jaką uda mi się znaleźć.

Sięga po moją dłoń, ale w tym momencie z piskiem podbiega do mnie Kaely, po czym mocno mnie przytula.

– Hej, przecież widziałyśmy się dwie godziny temu w klubie – mówię z ustami pełnymi jej włosów.

– Ale będzie fajnie! – wykrzykuje.

Grant i ja przez cały wieczór nie mamy dla siebie ani chwili na osobności. I w sumie nie jest to takie złe, bo pewnie niezręcznie by było, gdybyśmy oddzielili się od grupy. A przecież mieliśmy być tu wszyscy razem. Jeszcze nigdy tak się nie uśmiełam jak wtedy, gdy Wiewiór i Kaely lali wodę do ust klaunów, jakby to była dyscyplina olimpijska; słuchałam, jak Lance krzyczy, że zaraz się posika, kiedy jedzie na karuzeli głową w dół; albo kiedy próbowaliśmy się wszyscy trzymać za ręce na karuzeli łańcuchowej.

– Chyba zaraz puszcze pawia – oświadcza Kaely, kiedy schodzimy z jeszcze jednej karuzeli.

– Ostrzegałam cię, żebyś nie jadła tych pączków – mówi Ashton, trzymając ją za ramię i pomagając jej utrzymać równowagę.

Lily chichocze.

– Nos cały masz biały od cukru pudru.

Kaely próbuje zlizać go językiem.

Zaciskam dłoń i pocieram jej nos, na co ona reaguje kichnięciem... na moją rękę.

– Omójboże, fuj! – Potrząsam ręką, która cała jest mokra od śliny.

– Sorki – mówi Kaely i marszczy nos.
Ashton oczywiście uważa to za przezabawne.
– Koło toalet widziałam środek dezynfekujący – mówi do mnie Lily.
Udajemy się tam razem, żebyśmy mogła wybić zarazki Kaely.
– Gdzie panowie? – pyta Ashton.
– Mieli pójść na to coś w rodzaju diabelskiego młyna – wyjaśnia Kaely.
Ruszamy w tamtą stronę i widzemy, że Grant stoi obok Stefana i czeka na pozostałych.
Trudno go nie zauważyć. Chichoczące trio dziewczyn jakieś półtora metra dalej myśli podobnie.
Szturcham Ashton, a ona nachyla się w moją stronę.
– Błagam, nie mów, że tak się przy nim zachowuję!
Przez chwilę przygląda się dziewczynom i się krzywi.
– Och, nie. Zachowujesz się dziwnie, ale nie aż tak jak GD.
– Eee, dzięki... chyba.
– GD, czyli grzeczne dziewczynki. Nazywamy je tak, bo mają rodziców, którzy wyznaczają im obowiązki, godziny powrotu do domu, no i kontrole, żeby mieć pewność, że po dwudziestej drugiej nic im się nie stanie. Żyją pod kloszem. Nie mają pojęcia, jak się zachowywać w towarzystwie fajnych chłopaków. Nie wiedziałyby nawet, co ze sobą zrobić w klubie.
– Nigdy nie byłam w klubie – wyznaję.
– Ale masz fałszywy dowód i chodzisz do barów.
– To prawda.
– Strasznie łatwo wypatrzyć takie dziewczyny. Najczęściej chichoczą i szepczą, zasłaniając usta dłońmi.
– Mówisz o GD? – pyta Lily.
– W takim razie wy kim jesteście? – pytam Ashton.
– Nie wy, a my – poprawia mnie. – Ty nie jesteś taka, jak one. Jesteś jedną z nas. A my jesteśmy... ND.
Lily się śmieje.
– Nie mamy ograniczeń. Ani zasad. Ani rodziców, którzy wiedzą, gdzie spędzamy wtorkowy wieczór, nie mówiąc o piątkowym.
Choć kocham moją matkę, Ashton opisuje moje życie. Aczkolwiek ja nie jestem rozgoryczona tą formą rodzicielstwa w takim samym stopniu jak Ashton.
– A ja kim jestem? – pyta Kaely. W jej wielkich, orzechowych oczach widać niepokój.
– Ty jesteś GD, skarbie – mówi Lily i ją obejmuje. – Nie przejmuj się. To nic złego. To znaczy, że ktoś się o ciebie troszczy. Też kiedyś byłam GD.
– Co się stało? – pytam, nim zdążę się ugryźć w język. – To znaczy, nie musisz...
– W porządku – odpowiada i wzrusza nonszalancko ramionami. – Mój tato się wyprowadził. Mama zaczęła pić. No i już nie przestała. Więc oboje tak jakby zapomnieli, że mają córkę. Teraz... jestem ND. Przed tym latem w życiu by mi nie pozwolili wyjechać samej do domu nad jeziorem na weekend, a co dopiero na dwa miesiące. To w sumie smutne. Nie dla mnie. Dla nich. To straszne patrzeć, jak się kompletnie rozsypują, i wiedzieć, że nic nie mogę zrobić, aby to powstrzymać.
– Znam to uczucie – mówię cicho. Lily posyła mi uśmiech pełen zrozumienia.
– Kto by pomyślał, że autodestrukcyjni rodzice mogą się okazać tak wiążący!
– wykrzykuje Ashton i mocno nas obie przytula.
Kaely patrzy na nas ze smutkiem.
– Chodź tutaj, GD – przywołuje ją Ashton.

Kaely uśmiecha się i dołącza do naszego grupowego uścisku. Nigdy dotąd nie przyjaźniłam się z takimi łaknącymi kontaktu fizycznego dziewczynami. Bywało, że Nina, Tori i ja się przytulałyśmy, ale to zupełnie inny poziom.

– Nie mogę oddychać – wykrztuszam. Wybuchają śmiechem i się rozdzielają.

– Na co się, kurwa, gapisz?

Moją uwagę zwraca nieprzyjazny ton. Zbyt wiele razy byłam w Stella's świadkiem, jak coś takiego stanowi wstęp do bójki. Odwracam głowę w poszukiwaniu faceta, który zamierza zaraz komuś przyłożyć.

Nietrudno jest go zlokalizować. Ma czapkę założoną daszkiem do tyłu i luźną koszulkę z głębokimi wycięciami pod pachami, które odsłaniają mięśnie uzyskane zastrzykami w tyłek. Stoi w towarzystwie dwóch innych palantów, którzy przytakują każdemu jego słowu, bo nie mają własnego zdania. Zauważam, że chichoczące uprzednio dziewczyny rozglądają się nerwowo.

I wtedy... dostrzegam, do kogo mówi ten mięśniak.

Tyle że Grant nie wie, że zostało mu rzucone wyzwanie, a przynajmniej jeszcze nie. Stoi sam i jego uwaga skupia się na chłopakach, którzy czekają w kolejce po kolejne bilety. Odwraca głowę, dostrzega nas i się uśmiecha. Robi krok w naszą stronę i w tym momencie Mięśniak ponownie do niego woła.

– Hej, człowieku! Mówię do ciebie! Z czym masz, kurwa, problem?

Tym razem Grant go słyszy i odwraca się ku niemu.

– Słucham? Nie mam problemu. Przepraszam, to chyba jakieś nieporozumienie. Miłego wieczoru.

Jęczę. To taki cholernie porządny facet. Zaraz go to zgubi.

– O nie – mówi Ashton, zorientowawszy się, co się dzieje.

Powoli ruszam w stronę Granta, skupiając się wyłącznie na Mięśniaku, który zaciska już dłonie w pięści.

Grant mnie dostrzega i zaczyna iść w moją stronę. Nie nawiązuję z nim kontaktu wzrokowego, bo wiem, na co się zanoszą, i muszę być na to gotowa.

– O cholera – mówię pod nosem.

– Hej, gówniarzu! Nie odchodź ode mnie!

Puszczam się biegiem.

– Lana! – woła zaniepokojona Ashton.

W chwili, kiedy Mięśniak pojawia się za Grantem, gotowy do zadania ciosu, schylam się i napieram na niego ramieniem, przez co traci równowagę. Robi zamach i jego łokieć zderza się z moją szczęką. Oboje się przewracamy, a ja strategicznie umieszczam kolano między jego nogami.

– Co to ma, kurwa, być?! – wykrztusza, kiedy dociera do niego, że siedzę na nim, a lewą ręką naciskam mu na szyję.

A ponieważ ma małego fiutka i nie odczuł siły uderzenia mojego kolana (powinno go to unieruchomić), chwytam za mój warkocz i pociągam. Chce mnie z siebie zrzucić, ale ja okazuję się szybsza i moja pięść ląduje na jego szczękę.

– Nie ruszaj się – warczę mu do ucha. Biorę zamach, żeby zadać mu kolejny cios, ale nim zdążę to zrobić, ktoś obejmuje mnie w pasie i odciąga. Wbijam łokieć w twarde ciało, które trzyma mnie w powietrzu.

– Lana, przestań. To ja – mówi Grant, oddalając się ze mną od osiłków.

– Cholerna pizza! – woła jeden z kretynów. – Dziewczyna musi się bić za ciebie.

– Jest w tym lepsza ode mnie! – odkrzykuje Grant przez ramię.

Kiedy tylko stawia mnie na ziemi, szykuję się na ich odwet. Ale on nie następuje. Zamiast

tego Mały Fiutek odchodzi razem z koleżkami. Słyszę, jak coś tam marudzi, że wcale nie zamierzał uderzyć dziewczyny. Mniejsza z tym.

Kiedy się odwracam, cała nasza grupa wpatruje się we mnie. Kaely wygląda na zszokowaną. Brendan jest pod wrażeniem, podobnie jak Stefan. Wiewiór... możliwe, że nic nie zauważył, zbyt pochłonięty konsumpcją popcornu. Lily zasłania dłońmi usta, jakby starała się nie krzyczeć. A Ashton ma uniesioną brew, jakby pytała: „Co to miało, u licha, być?”

– Lana, co ty wyprawiasz? – Lance przeciska się przez tłum. Twarz ma czerwoną, jakby zaraz miała go trafić apopleksja. – Chcesz, żeby cię znowu aresztowano? – Chwyta się za głowę i otwiera szeroko niebieskie oczy. – Bo jeśli tak się stanie, będziesz mieć przerąbane. I mój tata nie będzie ci już mógł pomóc.

Wpatruję się w niego zszokowana, zdumiona jego gniewem. Jeszcze bardziej zdumiona tym, że się przejmuję i że dlatego właśnie jest wściekły. Do Lance’a nieco za późno dociera, co powiedział, i wygląda na jeszcze bardziej wstrząśniętego niż przed chwilą – bo tylko dwie inne osoby w naszej grupie wiedziały o mojej kryminalnej przeszłości. A teraz Lance można powiedzieć, że złamał przysięgę i to ujawnił.

Po raz pierwszy podnoszę wzrok na Granta. I na jego twarzy nie dostrzegam raczej szoku. Wydaje się raczej pogrążony w myślach, jakby dodawał do siebie fragmenty układanki, o których nawet nie wiedział, że ich brakuje. Czekam, aż uzna, że nie podoba mu się to, kim jestem.

Ashton podchodzi do mnie jako pierwsza i mnie przytula.

– Nic ci nie jest?

– Leci ci krew – zauważa Lily, stając z drugiej strony. – Przyniosę trochę lodu.

– Nic mi nie będzie – próbuję ją uspokoić, wycierając cienką strużkę krwi z kącika ust. Musiałam przygryźć sobie policzek, kiedy Mięśniak walnął mnie łokciem. Ale Lily zdążyła już odejść.

– Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie szalonego – papla Kaely, nadal wstrząśnięta.

– Witam w moim życiu – mówię z bladym uśmiechem.

Brendan wybucha śmiechem, ale cichnie, kiedy Lance piorunuje go wzrokiem.

– Masz coś przeciwko, jeśli odwiozę Lanę do szkoły? – Nie do końca mam pewność, komu Grant zadaje to pytanie, ale Lance wzrusza ramionami. – Może tak być? – pyta teraz mnie.

Kiwam głową. Posyłam Ashton zmartwione spojrzenie, obawiając się, że ta przejażdżka okaże się końcem tego, co było między mną a Grantem.

– Do zobaczenia w szkole – mówi mi, równie zaniepokojona. – Jak wrócisz, to przyjdź do mojego pokoju.

Żegnam ich anemicznym machnięciem ręki i odchodzę z Grantem. Po kilku krokach bierze mnie za rękę i lekko ją ściska. Rozluźniam się... odrobinę. Może jednak jest szansa na to, że nie postawił jeszcze na mnie kreski. Droga do jego samochodu upływa nam w milczeniu.

Auto Granta wygląda jak żywcem wyjęte z czarno-białego hollywoodzkiego klasyka. To jakiś granatowy kabriolet vintage z białym paskiem wyścigowym. Idealny dla Granta. Otwiera dla mnie drzwi od strony pasażera, a ja wsiadam.

Nim odpala silnik, odwraca się w moją stronę. Wstrzymuję oddech, czekając, aż usłyszę, jak lekkomyślnie i głupio się zachowałam. Zamiast tego muska dłońią moją brodę.

Nachyla się i składa na niej lekki jak piórko pocałunek. Zamykam oczy, pragnąc, aby pocałował mnie w usta. Ale on się odsuwa i przekręca kluczyk w stacyjce.

Choć zaczynam znowu oddychać, mam wrażenie, jakbym nie nabierała wystarczającej ilości powietrza.

– O której zaczyna się cisza nocna? – pyta Grant, kiedy jedziemy krętą drogą, a słońce

posyła znad horyzontu ostatnie promienie, złote i pomarańczowe.

– O północy – odpowiadam i staram się nie uśmiechać. Bo to jeszcze sporo czasu, a wątpię, aby szykował się na spędzenie kolejnych trzech godzin na wyjaśnieniach, dlaczego nie chce się więcej ze mną spotykać. Tak bardzo się bałam, że po tym, co zobaczył, nie będzie już chciał mieć ze mną nic do czynienia. A jeszcze większym strachem napętnia mnie fakt, że po raz pierwszy czegokolwiek się bałam.

Zerkam na Granta. Wiatr targa mu złote włosy. Posyła mi krzywy uśmiech, po czym ujmuję moją dłoń i całuje jej wnętrze.

– Odwiozę cię na czas. Obiecuję.

– Nie martwię się – odpowiadam. Już nie. Ale tego nie mówię głośno.

Słońce zdążyło już zejść i otacza nas ciemność, kiedy Grant skręca w wąską, wybrukowaną drogę. Zaskakuje mnie to, bo byłam przekonana, że wszystkie boczne drogi w tym miasteczku są żwirowe. Tę akurat z obu stron otacza gęsty las. Zatrzymujemy się w zatoczce pomiędzy drzewami. Światła samochodu oświetlają coś na kształt polany.

Grant wysiada i otwiera bagażnik. Ja także wysiadam i się rozglądam, próbując zrozumieć, czemu przywiózł mnie właśnie tutaj. Pojawia się obok mnie z kocem i lodówką.

– Chodź. – Podaje mi rękę. Pozwalam mu zaprowadzić się na polanę. Wysoka trawa łaskocze moje gołe nogi. Czy to miała być randka?

Grant stawia na trawie lodówkę i rozkłada koc. Siada, a ja lokuję się obok niego. Z lodówki wyjmuję woreczek z lodem i mi go podaje.

– Naprawdę nic mi nie jest – zapewniam go, bo to prawda.

– Proszę, zrób to dla mnie. Lepiej się wtedy poczuję.

Zaskoczona jego szczerą troską, biorę od niego lód i przykładam delikatnie do zuchwy, która boli mnie tylko, gdy ją dotykam.

– Zjawileś się przygotowany – stwierdzam z uśmiechem.

– Zjawilem się pełen nadziei – precyzuje. – A więc byłaś aresztowana... za bójki. – To nie jest pytanie, bardziej podsumowanie faktów.

– Aha. – Moja odpowiedź jest ledwie słyszalna.

– Kiedy wdajesz się w te bójki, to ty je zaczynasz, czy przypomina to raczej dzisiejszy wieczór?

– Cóż... jako że uderzyłam tego palanta jako pierwsza, formalnie rzecz biorąc to ja zaczęłam bójkę.

Kącik jego ust unosi się z rozbawieniem.

– Broniłaś mnie. Ten facet z jakiegoś powodu chciał spuścić mi łomot, a ja w ogóle się tego nie spodziewałam. Krótko mówiąc, uratowałaś mi tyłek.

– W sumie tak. – Nie jestem w stanie ukryć zadowolonego z siebie uśmiechu. Grant się śmieje. – Więc odpowiadając na twoje pytanie, tak, zazwyczaj wygląda to tak jak dzisiaj. Nie chodzę i nie szukam zaczepki, ale jeśli ktoś grozi mi albo komuś, na kim mi zależy, no to muszę go chronić.

Grant unosi brew.

– Ale czemu uciekasz się do przemocy?

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – To moja pierwsza reakcja. – Wzdrygam się. – Kiepsko, co?

Uśmiecha się blado.

– Chciałbym móc ci odpowiedzieć, że nie.

– Pracuję nad tym. – Krzywię się. – Biłeś się kiedyś?

– Nie – odpowiada bez wahania. – Nigdy nie miałem ochoty nikogo uderzyć. Podczas

meczów lacrosse bywa czasem nieco brutalnie, ale to raczej takie popychanie. A nawet kiedy moi koledzy wdają się w bójkę, zazwyczaj ich rozdzielam i wszystkich uspokajam. Więc mówiłem prawdę: ty rzeczywiście bijesz się lepiej ode mnie.

Śmieję się.

– Mówisz serio, że nad tym pracujesz? Nad gniewem, czy też nad tym, co się popycha do zadania pierwszego ciosu?

– Aha. No i pewnie to rzeczywiście gniew. Choć mogę twierdzić, że to obrona, gdzieś tam tli się gniew. W sumie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu... reaguję.

– Wiesz, co powoduje, że tak się zachowujesz? To znaczy poza chęcią ochrony siebie i przyjaciół?

Serce wali mi mocno i pocą mi się dłonie. Nigdy dotąd nie byłam taka szczera, nawet wobec siebie, i mam wrażenie, że zaraz mnie dopadnie atak paniki. Doświadczam czegoś takiego, kiedy zbyt długo przebywam w zamkniętych pomieszczeniach. Jeśli zaraz nad tym nie zapanuję, zupełnie stracę kontrolę.

Zamykam oczy i skupiam się na oddychaniu, głębokim i powolnym.

– Lana? Hej, w porządku. – Grant dotyka moich pleców, próbując mnie uspokoić, a ja prawie podskakuję. – Nie musisz mi mówić. Nie chciałem cię zdenerwować.

– Właśnie dzięki takiemu zachowaniu tak reaguję – szepczę, nie otwierając oczu. – W przypadku dziewczyny, zwłaszcza mojego wzrostu, faceci sądzą, że mają do niej prawo. Aby dotykać. Poniżać. Lekceważyć. Więc biję, bo w taki sposób mówię nie i każę im się odpieprzyć, dając jasno do zrozumienia, że nie jestem ich własnością. I dzięki temu wiem, że mnie usłyszą. – Unoszę powieki i patrzę mu w oczy.

– Dlatego właśnie nie umawiasz się na randki?

Przez chwilę się nad tym zastanawiam.

– Możliwe. – Splata nasze dłonie. – Nie chcę do nikogo należeć. Nie jestem niczyją własnością. Tak wiele razy byłam świadkiem, jak jedna osoba zatracą się w drugiej. Nie identyfikuje się już jako osobny człowiek, ale jako my. Dopóki jedno z nich nie oznajmia, że my to za mało i odchodzi, bo w końcu zawsze się tak dzieje. Ja nie zatracę się w nikim. Dzięki temu, kiedy ten ktoś odejdzie, nie zabierze mnie razem z sobą.

Grant milczy. A ja mam ochotę zniknąć. Właśnie wyznałam coś wyjątkowo szczerego i bezbronnego, coś, z czego nie zdawałam sobie sprawy, dopóki nie wypowiedziałam tego na głos. Jego obecność w moim życiu zagraża mojemu przekleństwu. Nie potrafię chronić swojej szczerości; prawdy, które tak głęboko skrywam, przy nim bez problemu wyslizgują się z moich ust.

Kombinuję, co powiedzieć, aby rozluźnić poważną atmosferę, ale w tym momencie Grant się nachyla i nim zdążę zareagować, jego usta dotykają moich.

Delikatne, pełne usta. Wtulam się w niego i w ten pocałunek. I wszystko we mnie cichnie i nieruchomieje. Nawet serce przestaje mi bić. Z mojej klatki piersiowej tryska światło. Jego ciepło rozchodzi się coraz dalej, aż obejmuje całe moje ciało. I w tym spokoju, jaki mnie ogarnął, nagle czuję wszystko jednocześnie. Tę odrobinę powietrza, jaką we mnie tchnął, lekki zarost na jego brodzie, łaskotanie palców, które muskają moją szyję. Jest to zmysłowe i intensywne. Delikatne i namiętne. Jego pocałunek budzi coś we mnie, a kiedy otwieram oczy, nic nie wygląda tak samo.

Grant patrzy na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu, ale od zawsze mnie szukał. A może to ja tak patrzę na niego. A za nim na łące tańczą małe gwiazdy.

Chwileczkę. Może jednak dostałam w głowę mocniej, niż sądziłam.

Rozglądam się, podziwiając to, co nas otacza. Małe, migające światełka tańczą i wirują

wokół wysokiej trawy.

– Robaczki świętojańskie – mówię z zachwytem. – Jeszcze nigdy ich nie widziałam.

– Dlatego cię tu przywiozłem.

– Nie po to, aby mnie pocałować? – pytam żartobliwie.

Jego uśmiech jest tak szeroki, że odpowiadam tym samym.

– Na to liczyłem, ale przyjechaliśmy tu ze względu na świetliki.

Kładę mu głowę na ramieniu. Grant przysuwa się, obejmuje mnie i opiera brodę na mojej głowie. Jest... magicznie, kiedy obserwujemy setki, a może nawet tysiące maleńkich świetlnych punkcików.

– Możesz mi coś obiecać?

Milczę.

– Kiedy poczujesz, że znowu wzbiera w tobie ten gniew, to czy zamiast pozwalać, aby przejął nad tobą kontrolę, mogłabyś zadzwonić do mnie? Może uda mi się cię uspokoić. Przynajmniej spróbuję. Źle się czułem, kiedy patrzyłem, jak dzieje ci się krzywda, albo jak ty krzywdzisz kogoś innego, nawet jeśli masz imponujący zamach.

Przez chwilę milczę.

– Nie mogę.

– No tak – przypomina sobie. – Surowe zasady Blackwood. Jestem twoim oficjalnym korepetytorem, więc znajduję się na zatwierdzonej liście osób, do których możesz dzwonić. Dodaj mnie od razu do swoich kontaktów. Możliwe, że już tam jestem.

Odsuwam się i patrzę mu w oczy.

– Naprawdę?

Kiwa głową.

– No więc... zadzwonisz do mnie?

Ściągam brwi.

– Nie mogę tego obiecać. Przykro mi. – Nie chcę, by moje panowanie nad emocjami, nawet gniewem, było uzależniona od drugiej osoby. Powinnam umieć sama to robić. To przecież moje uczucia.

– Rozumiem. W porządku. Krótko się znamy. Muszę zasłużyć na twoje zaufanie.

– Cmoka mnie w usta. – Ale lubię wyzwania.

Uśmiecham się, przypominając sobie własne słowa.

– Nadal nie znalazłam w tobie żadnych wad, nie licząc tego, że nie umiesz się bić.

– To wada?

Mój uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Nawet jeśli się nie bijesz, powinieneś wiedzieć, jak to się robi. Nauczę cię.

– Super – śmieje się.

– Jak znalazłeś to miejsce? – pytam i przysuwam się tak, że plecami opieram się o jego tors. Obejmuje mnie, a ja cała się rozluźniam.

– Kiedy muszę pomyśleć, wsiałam w samochód i jadę przed siebie – wyjaśnia.

– A w tym miasteczku jest mnóstwo krętych uliczek, w których można się zagubić. Pewnego wieczoru sądziłem, że się rzeczywiście zgubiłem, i zatrzymałem się na poboczu, żeby sprawdzić mapę w telefonie. Wtedy zobaczyłem tę polanę. W tym miejscu jest coś... magicznego. – Robi mi się ciepło, kiedy Grant używa tego samego słowa. – Wraciałem tutaj, licząc, że pewnego razu będę je mógł komuś pokazać. – Całuje mnie w ramię, a przez moją rękę przebiega iskra. – Tamtego wieczoru, kiedy unosiliśmy się na jeziorze, zrozumiałem, że będziesz to ty.

Rozdział 17

Warcząc gniewnie, bestia rzuciła się na czarownicę. Thaylina była jeszcze za słaba, żeby pomóc swojej opiekunce, która walczyła z bestią. Mogła jedynie słuchać potwornych odgłosów ich walki. Aż w końcu nastąpiła cisza.

Cześć, Sophia? – mówię powoli i brzmi to raczej jak pytanie niż powitanie.

– Cześć! – odpowiada radośnie, siadając w busie naprzeciwko mnie, oczywiście obciążając spódniczkę, żeby się nie pogniotła.

– Nie wiedziałam, że pracujesz w klubie.

– Nie pracuję – odpowiada. Kiedy na mojej twarzy nadal maluje się konsternacja, wyjaśnia: – Jestem członkiem. To znaczy moi rodzice są członkami. Cóż, tak jest praktycznie ze wszystkimi rodzicami. – Mam ochotę potrząsnąć nią, żeby przeszła do sedna, zamiast tego uśmiecham się blado. – Jadę na basen. – Nachyla się w moją stronę, jakby zamierzała podzielić się tajemnicą. – Zazwyczaj jeżdżę we wtorki, ale się dowiedziałam, że Grant jest dzisiaj ratownikiem.

Powoli kiwam głową, nie przestając się uśmiechać i nie rozpoznając tej rozgadanej wersji Sophii. Jest tak, jakby coś wzięła.

– Skąd wiesz?

– Jedna z pracujących tam osób robi dla mnie kopię jego grafiku. Wiem, jak to brzmi, ale widziałas go? To najprzystojniejszy facet, jakiego znam. I jest taki miły. Serio, miły jak nie wiem. Znasz go, tak?

Uśmiech przyklejony do twarzy. Kiwnięcie głową.

Sophia prostuje się na siedzeniu, szczerząc się jak szalona. Ja też chcę trochę tych pigulek szczęścia.

– Tak bardzo chcę się z nim umówić. Ale w jego obecności zapominam języka w buzi. Myślisz, że poszedłby ze mną na Bal Szczęśliwe Zakończenie? Chyba bym umarła. Serio, umarła jak nic.

– O kim mówimy? – Na fotelu przede mną siada Ashton.

Sophia patrzy na mnie, jakby pytała, czy może ujawnić w kim się durzy. Przygryza wargę i szepcze:

– O Grancie.

– Och, no tak! I jak było? Wkurzona jestem, że nie przyszłaś wieczorem do mojego pokoju. Dotarłaś wraz z wybiciem północy, mój mały Kopciuszek. – Ashton klepie mnie po głowie.

– Już jesteś na haju? – pyta ją szeptem Sophia i się rozgląda, aby sprawdzić, czy nikt nie słyszy.

– Sophia chce zaprosić Granta na Bal Szczęśliwe Zakończenie – wtrącam.

Ashton otwiera szeroko oczy, bo w końcu do niej dociera, o co chodzi.

– Myślisz, że powinnam? – pyta ją Sophia. Wygląda tak uroczko, kiedy się denerwuje.

– Eee, nie wiem. A ty co myślisz, Lano? No bo przecież rozmawiasz z nim częściej niż ja.

– Posyła mi pytające spojrzenie i kręci głową. Sophia skupia się na mnie, a w jej oczach jelonka Bambi błyszczy nadzieja.

– Kto wie – mówię. – Może jesteś dla niego idealna.

Ashton trzepie mnie w tył głowy.
– Sorki. Komar. Wyssałby ci mózg i uczynił idiotką.
Piorunuję ją wzrokiem.
– Tak myślisz? – piszczy Sophia, ignorując atak Ashton.
– Wybacz nam na chwilę, Sofe – oświadcza Ashton, po czym podciąga ją do góry i popycha, aby przeszła dalej.
– Ashton! – besztam ją. Wpycha się na miejsce obok mnie i patrzy mi w oczy. – Co, u licha...
– ... się z tobą dzieje? – syczy. – Uwielbiam tę chodzącą doskonałość, ale to nie ona pasuje do Granta.
Przewracam oczami.
– Nie mnie o tym decydować.
– Coś się stało? Wkurzył się za to, że przyłożyłaś gościowi, żeby go bronić? Bo według mnie to było naprawdę hot.
– Nie wkurzył się. To znaczy nie podobało mu się to, że wdałam się w bójkę. Ale...
– wzdygam. – Kiedy tak słuchałam, jak Sophia o nim nawija, zaczęłam się zastanawiać co ja, u licha, wyprawiam. Naprawdę nie umawiam się na randki. A jeśli on ma ochotę na coś takiego, to nie ze mną. Musi więc wiedzieć, że ma różne opcje. Ja nie jestem jedną z nich.
– W takim razie czym jesteś?
– Jestem... sobą. Żadnych zobowiązań. Żadnych oczekiwań. Żadnego zaangażowania uczuciowego.
– Myślałam, że nie kłamiesz – warczy gniewnie Ashton, po czym wstaje i odchodzi.
A ja siedzę osłupiała. Co to miało być?
••••

Ashton ma dzisiaj dyżur w wózku golfowym razem z Rhettem. Prawie robi mi się go szkoda, kiedy moja przyjaciółka dociska gaz do dechy i odjeżdża przy wtórze brzęku butelek.
Ja jestem skazana razem z Kaely na dziecięce piekło w kiosku z przekąskami w The Deck, gdyż każda matka zjawiała się dzisiaj na basenie po to, by się pogapić na Księcia Philipa siedzącego na swoim tronie. Tyle widzę dziś śliny, że aż mi się robi niedobrze, i wcale nie mam na myśli małych dzieci.
– Trzymasz?
Chłopiec kiwa głową i zaciska pulchne paluszki na rożku z lodem.
– Na pewno?
Ponownie przytakuje. Puszczam. A dziesięć sekund później lód ląduje na ziemi. Chłopczykowi drży dolna warga i do oczu napływają łzy.
– Błagam cię, mały, tylko nie rycz – burczę. A głośniejszym głosem wołam wesoło: – Nic się nie stało. Zrobię ci specjalne lody.
Nakładam lody do kubeczka, wciskam na wierzch odwrócony wafelek i dorzucam kilka żelowych miśków ze swojego prywatnego zapasu pod ladą. Gdzie się podziewają rodzice? Czemu mam wrażenie, że przez połowę czasu muszę niańczyć ich dzieci?
– Nigdy więcej nie chcę pracować na tym stanowisku, kiedy dyżur na basenie pełni Grant – warczę do Kaely.
– We wtorki na ogół nie jest tak źle – odpowiada. – To pewnie z powodu długiego weekendu. No i, cóż... jego. Więc jesteście...
– Nie – przerywam jej. – Nie jesteście.
– Zamówienie gotowe! – woła Wiewiór. Oddalam się od Kaely i jej wielkich,

zdumionych oczu.

Wiewiór nuci w rytm piosenki, która odtwarza się w jego głowie. Przewraca burgery, przygotowuje hot-dogi i smaży frytki z taką radością, jakby znajdował się w Disneylandzie.

– Co słyszeć? – pytam, zapełniając tacę zamówieniami.

– Co? – pyta, odwracając się w moją stronę. – Och, eee, po prostu... żyję. No i jestem za to wdzięczny. Wiesz?

– Nie – mówię i odchodzę, pozwalając mu wieść życie pełne wdzięczności.

– Wszystko w porządku? – pyta Kaely, wycierając czekoladę z buzi małego dziecka, które nie mogło znaleźć łyżeczki, więc postanowiło jeść lody w sposób bezpośredni.

– Ja... – Ale nie potrafię tego powiedzieć. Nie jest w porządku. I nie bardzo wiem, o co chodzi, nie licząc słów Sophii w busie.

Szukam wzrokiem jej postaci w bikini w kropki w stylu vintage i kocich okularach przeciwsłonecznych. Smaruje się właśnie emulsją do opalania i znad ciemnych szkieł zerkam, czy Grant na nią patrzy. Nie patrzy. Przygląda się bacznie temu, co się wyprawia w basenie. Gwizdże na paru chłopców, którzy spychają się do wody. Profesjonalista w każdym calu.

– On jest taki cholernie miły, nie?

– Owszem. – Kaely mów takim tonem, jakby to była kwestia bezdyskusyjna. – Wszystkie zasługujemy na miłego faceta, Lano.

– Ale on nie jest dla mnie.

– No to się odsuń, dziewczyno – odzywa się trzecia kasjerka, przechodząc obok nas z popcornem i watą cukrową. Niemal zapomniałam o jej obecności. – Pozwól innej spróbować. Niejedna przygarnęłaby go bez chwili wahania.

– No tak. Powinam to zrobić – mówię słabo.

Kaely otwiera usta tak szeroko, że wygląda jak dmuchana lalka.

– Nie możesz pozwolić, aby górę nad tobą wzięła fobia. – Mówi to z takim przekonaniem, że wręcz się spodziewam, iż wyrzuci przy tym rękę do góry. – Musisz stawić jej czoło i okazać się silniejsza niż twój największy strach.

– O czym ty, u licha, gadasz? – pyta dziewczyna. – Z tym facetem nie ma się czego bać, może tylko tego, że inne mogą go ukraść.

– Grant by na to nie pozwolił. – Kaely sprawia wrażenie oburzonej taką insynuacją.

– Bo to powinien być jego wybór – mówię cicho.

Kaely kiwa głową, jakbyśmy doszli do porozumienia. Tak jednak nie jest. Przed podjęciem decyzji Grant musi wiedzieć, jakie ma opcje. Muszę mu o tym przypomnieć.

••••

Kiedy kończę zmianę, czuję się lepka, spocona i ubrudzona lodami w miejscach, gdzie nie powinnam. W życiu nie chcę zostać matką. Po dzisiejszym dniu zastanawiam się nad wycięciem jajników. W tej akurat chwili niczego nie pragnę bardziej, niż wziąć prysznic i resztę wieczoru spędzić w hamaku z książką.

Ashton parkuje wózek golfowy. Rhett ma taką minę, jakby zamierzał pocałować ziemię i podziękować wszechświatowi, że jeszcze żyje. Ashton nie patrzy w moją stronę. Nie mogę uwierzyć, że tak się na mnie wkurzyła za to, że robię to, co należy. Ale pewnie nie znam jej aż tak dobrze.

Gdy razem z Kaely idziemy w stronę głównego budynku, dostrzegam Lily, która idzie w towarzystwie Lance'a od strony kortu tenisowego. Na nasz widok macha ręką. Mijamy Brendana, który opiera się o wózek i rozmawia z jakimś starszym panem. Ich rozmowa wygląda na poważną – Brendan zapewne udziela mu wskazówek w kwestii wykorzystywania poufnych

informacji w transakcjach giełdowych.

– Lana! – Zatrzymuję się, kiedy słyszę głos Granta. Kaely także. Wolalabym, żeby poszła dalej. Grant podbiega do nas, nadal w stroju ratownika. – Cześć – mówi z promiennym uśmiechem.

– Cześć. – Czemu mam wrażenie, że wszyscy przerwali swoje zajęcia i przyglądają się nam, jakbyśmy byli serialem na netfliksie?

– Będziecie jutro?

– Chyba tak – odpowiadam i się rozglądam. Rzeczywiście się gapią. Wszyscy.

– Możesz przyjechać wcześniej, koło południa?

– Zapytam. – To takie krępujące. Ludzie, wracajcie do swoich spraw! My jedynie rozmawiamy...

Tę myśl przerywają usta Granta. To nie jest długi pocałunek, ale wystarcza, abym wtuliła się w niego, zapomniawszy, że nie jesteśmy sami. Aż sobie przypominam... że nie jesteśmy sami. Grant odsuwa się z uśmiechem.

– Do zobaczenia jutro.

Nie jestem się w stanie ruszyć.

Kaely zasłania usta jak GD. A wszyscy pozostali w teatralny sposób wracają do tego, co robili wcześniej, jakby wcale się nam nie przyglądali.

Ashton podchodzi do mnie i nachyla się tak, że nasze twarze znajdują się tym samym poziomie.

– Właśnie cię posiadł na oczach wszystkich. I co zamierzasz teraz zrobić, co? Bo to nie jest nic. Nie dla niego. – Chyba za chwilę szturchnie mnie palcem w klatkę piersiową. Zamiast tego śmieje się jak czarownica, po czym gniewnie odchodzi.

Próbuję się otrząsnąć, jakby to rzeczywiście nie było nic takiego.

Ale nie potrafię.

– Cholera – jęczę.

Na domiar złego podchodzi Brendan i mnie obejmuje.

– Nie ostrzegałem cię, że on jest za dobry dla ludzi naszego pokroju? – Chichocze.

– Musisz się o tym przekonać na własnej skórze, prawda, mój zadziorny chochliku?

Zrzucam jego ramię i szybkim krokiem udaję się do szatni. Nawet nie patrzę na Lance'a i Lily. Może wiedzą, że to nie przetrwa. Że to tylko letnia przygoda, która nic nie znaczy. Ktoś musi to wiedzieć... zwłaszcza ja.

••••

Zanim Lance, Brendan, Ashton i ja zjawiamy się następnego dnia u Stefana, zdążyłam przekonać samą siebie, że po prostu muszę zachowywać się jak dawna ja, a nie ta niemądra, rozchichotana wersja, która zatracą się w obecności Granta. Tym sposobem możemy być... niczym. Dwojgiem ludzi, którzy lubią się spotykać i całować, i może robić jeszcze inne rzeczy, jeśli Grant mi pozwoli. Ale w żadnym razie nie istnieje coś takiego jak „my”.

Kiedy pojawiajemy się w ogrodzie, Stefan, Wiewiór, Grant i paru innych chłopaków rozstawiają właśnie pomoce do gier na trawie.

– Jesteśmy naprawdę wcześniej – stwierdza Ashton, która wreszcie znowu zachowuje się normalnie. A przynajmniej taką mam nadzieję. – Chcesz trochę poleżeć?

– Jasne – odpowiadam i ruszam w stronę plaży.

Kiedy się orientuję, że przyjaciółka mi nie towarzyszy, odwracam się. Patrzy na mnie pytająco.

– No co?

– Nie zamierzasz się nawet przywitać?
– Są zajęci – odpowiadam i idę dalej.
– Hej! – woła do mnie Grant. Zatrzymuję się i zamykam oczy, przypominając sobie, abym zachowywała się tak jak zawsze w męskim towarzystwie. Mam być sobą.

Odwracam się.

– Hej. – Próbuję powstrzymać uśmiech. Serce mi wali. W duchu przeklinam swoje ciało, które właśnie porzuciło mój plan.

Grant podchodzi do mnie i nachyla się, jakby zamierzał albo mnie przytulić, albo pocałować. Robię krok w tył. Prostuje się, zupełnie skonsternowany. Puls mi przyspiesza.

– Idziemy na plażę – mówię, starając się, aby brzmiało to lekko i swobodnie. – Chyba że potrzebujecie pomocy?

– Nie trzeba. – Ton jego głosu jest ostrożny, jakby próbował mnie rozgryźć. Posyłam mu wymuszony uśmiech. – Chciałem się jedynie przywitać. – I odchodzi. Serce boleśnie mi się ściska.

– No więc to jesteś ty? – Ashton krzywi się z dezaprobatą. – Suka z ciebie. – A potem ona także odchodzi, zostawiając mnie sam na sam z prawdą.

Owszem, jestem.

Przez kolejną godzinę chowam się na plaży, gdy tymczasem pozostali kończą rozstawiać wszystko w ogrodzie.

Nie mam pojęcia, co ja wyprawiam. Sądziłam, że jeśli pozwolę Grantowi zobaczyć prawdziwą mnie, pomogę mu tym. Chciałam mu przypomnieć, że nie jestem jego i że nie ma prawa do tego, aby całować mnie na oczach wszystkich. Myślałam, że dałam mu to jasno do zrozumienia. Ale to... jest mocno nefajne. Bo lubię go całować. I z nim rozmawiać. Kurwa! Lubię go. I co, u diabła, mam zrobić z tym wszystkim?

Ponieważ także się go boję. A raczej tego, że może mnie zniszczyć.

Kiedy zjawia się parę innych osób, wszyscy schodzą na plażę i Stefan werbuje mnie do siatkówki plażowej, twierdząc, że brak im jednego zawodnika – mimo że kawałek dalej na leżaku siedzi Ashton. I jest wysoka, i gra w szkolnej drużynie. Widziałam zdjęcia.

– Jestem sędzią – mówi do mnie i wzrusza ramionami, jakby nic nie mogła na to poradzić.

Ze wszystkich dyscyplin sportowych z tej jestem zdecydowanie najgorsza. To nie sport dla niskich – nie jestem w stanie ścinać i blokować. Koledzy z drużyny wpadają na mnie, bo mnie nie widzą, kiedy biegną do piłki, no i za cholerę nie umiem serwować.

Zgodnie z przewidywaniami trafiam do tej samej drużyny, co Grant. I żeby mieć jeszcze trudniej, gra on bez koszulki.

Staję przed siatką i wbijam wzrok w swoją nemezis.

– Zobaczysz, będziesz łykać piłkę po tych wszystkich ścinach, które ktoś inny zasadzi ci w gardle.

– Uroczą jesteś – orzeka Brendan i puszcza do mnie oko, przerywając moją gadkę.
– Dosięgniesz przynajmniej krawędzi siatki?

Pokazuję mu środkowy palec i słyszę, że ktoś się śmieje. Nie, poprawka. Dokładnie wiem, kto się śmieje.

Grant.

Gra toczy się czterech na czterech, a raczej trzech i pół, bo mnie naprawdę można liczyć tylko jako pół gracza.

– Wiesz, jak ustawić piłkę do ściny? – pyta mnie Grant, kiedy stoimy obok siebie przed siatką. Opieram ręce na kolanach, jakbym wiedziała, co robię. Tak naprawdę naśladowuję po prostu

pozostałych.

– Nie.

Bierze piłkę i demonstruje, przerzucając ją przez siatkę do Wiewióra, który będzie serwował.

– Jeśli to zrobisz, tak wysoko jak ja, tak daleko przede mną – pokazuje ręką – to zajmę się resztą.

– Okej – odpowiadam takim tonem, jakbym go zrozumiała.

Moja drużyna generalnie gra wokół mnie, uderzając w piłkę, zanim ta znajdzie się na tyle nisko, abym była w stanie do niej dosięgnąć, ścinając ją i rzucając się na piasek, jakby desperacko próbowali odrzucić granat, nim uderzy w ziemię i wybuchnie. Ja jedynie próbuję schodzić im z drogi.

– Dobra robota, Lana! – Ashton klaszcze, kiedy przewracam się na tyłek, ledwie unikając stratowania przez Lance’a.

– Sorki – rzuca i podaje mi rękę, żeby pomóc mi wstać. – Nie widziałem cię.

Nasze potencjalne zwycięstwo zależy od jednego punktu. Grant i ja znowu stajemy pod siatką.

– Teraz, Lano. Wystawisz mi piłkę.

Nie patrzy na mnie, wyczekując serwu, ale posyła mi krzywy uśmiech, który sprawia, że ja... nie, wcale nie, który po prostu mi się podoba.

Piłka przelatuje nad siatką tam i z powrotem. Przechylam głowę i się jej przyglądam. I nagle, jakby przywołał ją Grant, ona zaczyna się zbliżać w moją stronę. Mam sekundę na uświadomienie sobie, że nikt jej nie odbije, że należy do mnie. Więc... unoszę ręce do góry. Piłka nie odbija się od moich palców tak, jak mi to wcześniej demonstrował Grant, ale i tak udaje mi się ją podbić na tyle wysoko, że on podskakuje i robi pierwszorzędną ścinę.

Nasza drużyna wydaje triumfalne okrzyki. Grant odwraca się, żeby... chyba zamierza mnie uściskać, ale ja przybijam mu piątkę. Aha. Właśnie tak.

– Dobra robota! – oświadczam, jakby był sześciolatkiem. Grant ściąga brwi. Stefan klepie go po plecach. Lance podbiega, podnosi mnie i zaczyna się ze mną obracać.

– Lana, jestem z ciebie taki dumny. Super to było, mój mały chochliku!

Śmieję się i mało nie tracę równowagi, kiedy stawia mnie na piasku.

W międzyczasie pojawili się nowi goście, ale nie ma na razie więcej niż dwadzieścia osób.

Siadam na leżaku obok Ashton, a Grant sadowi się na piasku przed nami.

– Jak ci poszedł test z chemii?

– No tak! Zapomniałam ci powiedzieć – mówię niemal zbyt entuzjastycznie, starając się sprawić, żeby atmosfera między nami się rozluźniła. Ale nie udaje mi się. – Dziewięćdziesiąt jeden procent. Więc dziękuję.

– Ty to umiałaś – oświadcza. Wygląda na dumnego. – Musiałaś jedynie powtórzyć wszystko z otwartymi oczami.

Śmieję się.

– Jak się jeździło wózkiem z Rhettem? – pytam Ashton.

– Ten chłopak nie potrafi się wyłączyć – mówi i przewraca oczami. – Kusi mnie, żeby spiknąć go z Sophią.

– Znasz Sophię, prawda, Grant? – pytam i obserwuję jego reakcję. W sumie nie wiem, na co liczę.

– Aha, rok temu udzielałem jej korepetycji z biologii. Miła dziewczyna. Ale owszem, sporo mówi, kiedy się denerwuje. – Żadnej reakcji, żadnej.

– Jest naprawdę słodka, choć nieco... neurotyczna – rzucam. – Ale ładna. I ma oczy w niesamowitym kolorze.

Grant patrzy na mnie pytająco.

Słyszę, jak Ashton jęczy i burczy pod nosem.

– Błagam, przestań.

– Myślę, że jej się podobasz. Może...

– Jedzenie gotowe! – woła Stefan z ogrodu.

– Umieram z głodu! – wykrzykuje Ashton i ciągnie mnie za rękę. Oglądam się przez ramię. Grant nadal siedzi na piasku i patrzy na mnie z konsternacją. Może nawet wygląda na nieco... urażonego?

Co ja zrobiłam? To nie tak miało pójść. Miałam mu przypomnieć o możliwości wyboru. Dać znać, że interesują się nim inne dziewczyny. Zamiast tego zabrzmiało to tak, jakbym próbowała go wyswatać.

– Chyba już rozumiem – oświadcza Ashton, ładując sobie na talerz... wszystko.

– Jesteś na haju? – pytam, sądząc, że może dlatego tak ją ssie w żołądku.

– Jeszcze nie. Po prostu lubię jeść. – Zlizuje z kciuka majonez z sałatki ziemniaczanej. Szybko się rozgląda, upewniając się, że nikt nas nie słucha, po czym nachyla się i szepcze mi do ucha: – Lubisz go.

A potem odchodzi. Zamykam oczy i z jękiem udaję się za nią.

– Spróbuj zaprzeczyć – rzuca mi wyzwanie, kiedy siadam obok niej na huśtawce na werandzie.

Wbijam widelec w owoce z sałatki, jakbym próbowała je zabić, po czym wkładam je sobie do ust. W tej akurat chwili gorzko żałuję, że powiedziałam Ashton o swoim przekleństwie.

– Nie możesz – drwi. – Bo to prawda. Wiem, co próbujesz robić. Ale wcale nie jesteś przy tym sobą. Jesteś zimną suką, którą chętnie trzepnęłabym w czerep. W Blackwood jest aż za wiele takich zimnych suk, zobaczysz. Nie potrzebuję najbliższej przyjaciółki, która zmieniła się w jedną z nich.

Robię to, co mi wychodzi najlepiej, czyli milczę. Chcę jakoś zareagować, ale Ashton sporo powiedziała i nie mogę się bronić ani werbalnie przyznać do większości z tych rzeczy. A części chyba nawet nie rozumiem.

– Nie ma nic złego w tym, że go lubisz, Lano. To miły chłopak. I choć ty nie zawsze bywasz szczególnie miła, on mimo to także cię lubi.

Patrzę na nią urażona. I wzdycham, no bo Ashton ma rację. Wiem to lepiej niż ktokolwiek inny, dlatego że... cóż, mówi prawdę.

– A to, że go lubisz nie oznacza, że się w nim zakochasz. Tego właśnie się boisz z jakiegoś pokręconego powodu, który najpewniej ma związek z twoją matką. Więc po prostu dobrze się baw. Nie bądź z nim... ale bądź. – Waha się i przechyla głowę, jakby sama nie do końca rozumiała, co ma na myśli.

– Jestem twoją najbliższą przyjaciółką? – pytam.

Śmieje się.

– Potrafisz zmieniać temat, co? – Odstawia talerz i mnie przytula. – W porządku. Koniec tematu Granta. I tak, jesteś moją najbliższą przyjaciółką. Ufam ci, bo jesteś, jaka jesteś, jeśli nie przemawiają przez ciebie demony.

Także się śmieję.

– Dzięki. Chyba. I wiem, że trochę przesadzam. Więc jestem wdzięczna, że nie trzepnęłaś mnie w głowę... po raz kolejny.

Wstaję, aby wyrzucić talerz. Kiedy wracam do Ashton, na drodze staje mi Grant.

– Masz chwilkę?

– Wojna na pistolety na wodę! – woła Wiewiór, niosąc wiadro pełne długich, biało-pomarańczowych pistoletów.

– Chodźmy! Jesteś w mojej drużynie – oznajmia Ashton, pojawiając się nie wiadomo skąd. Bierze mnie za rękę i ciągnie w stronę wiadra.

– Chyba jest tyle samo dziewczyn, co chłopaków, więc możemy zrobić wojnę płci – proponuje Stefan. – Łatwiej będzie wiedzieć, kto jest w czyjej drużynie.

Nikt nie protestuje. Dziewczyny kontra chłopaki. Nie jestem pewna, czy powinno mnie przerażać, czy imponować to, że chłopaki mają tyle pistoletów na wodę. I wcale nie takich małych ze sklepu z rodzaju „wszystko za dolara”, które trzeba napełniać po pięciu psiknięciach. Te pistolety potrafią zatopić.

Ashton i ja zdejmujemy bluzki. Zostaję w szortach i brzoskwińowym topie wiązany na szyi. Moja przyjaciółka ma na sobie jedynie czerwone bikini i wydaje mi się, że słyszę, jak paru facetów przelyka głośno ślinę. Zaczynam się zastanawiać czy jej matka to przypadkiem nie Gisele, no ale ona nie jest żoną gwiazdy rocka, no i jest za młoda. Tak czy inaczej Ashton odziedziczyła ciało po matce supermodelce.

Nie wiem, czemu coś każe mi poszukać wzrokiem Brendana. Okazuje się, że rozmawia z jedną z dziewczyn. Ma duże krągłości i biust taki, że wyskoczy jej ze stanika, kiedy tylko będzie szybko szła, a o bieganiu niech lepiej w ogóle zapomni. Zerkam na Ashton, ale ona nie zwraca na niego żadnej uwagi. Lustruje wzrokiem naszych przeciwników, jakby próbowała zdecydować, którego zdejmie jako pierwszego. Myślę, że gdyby miała czarną kredkę, to narysowałaby sobie kreski pod oczami.

– Plan jest taki – rzuca do mnie, opierając swój pistolet na ramieniu, jakby to była prawdziwa broń. – Zamierzamy pozwolić im na to, aby najpierw trafili w łatwe cele. To odwróci ich uwagę na tyle, żebyśmy mogły zakraść się za szopę. Wejdem na nią i przypuszczę na nich atak z powietrza. Ty zaatakujesz z drugiej strony.

– Co zamierzasz zrobić?!

– Start! – woła ktoś i Ashton puszcza się biegiem. Ruszam za nią.

– Ashton, nie sądzę, aby wspinanie się na szopę było dobrym pomysłem.

– Może i masz rację – odkrzykuje przez ramię. – Na ziemię! – Daje nura za krzak hortensji. Kucam obok niej. Używając krzaka jako tarczy strzela do dwóch chłopaków zbliżających się od drugiej strony. – Za nami!

Obracam się na plecy i oblewam kogoś wodą, ale w tym momencie strumień trafia mnie w twarz.

– Nic ci nie jest? – woła ze śmiechem Lance. – Nie chciałem trafić w twarz.

– Palant! – wołam, próbując odpłacić mu pięknym za nadobne, ale zamiast tego trafiam w tył głowy Stefana. – Sorki!

Razem z Ashton puszcza się biegiem, gonione przez Lance'a i Stefana. Ich uwagę odwraca jakiś spory dekolt, więc zbiegamy na plażę.

– To nie był dobry plan – orzeka Ashton, zerkając ponad kamiennym murkiem. – Same się uwięzyliśmy.

– Co konkretnie mamy robić? – pytam. To nie jest paintball i nie musimy zdobywać flagi. Nie rozumiem, po co to całe ustalanie strategii.

– Zdjąć ich – oświadcza groźnym tonem. Brendan stoi plecami do nas. Ashton strzela mu w tyłek, choć mam przeczucie, że celowała między nogi. Nawet ja nie jestem taka okrutna.

Chowamy się, kiedy się odwraca. Plecami przyklejone do murku wysuwamy głowy, pistolety trzymając w pogotowiu. Trafiam go w czoło, a on z wrzaskiem pada na ziemię.

W tym momencie zostajemy zaatakowane. Stefan i Lance zeskakują z murku ponad naszymi głowami, turlają się po piasku, po czym zrywają się i strzelają do nas tak, jakby grali w filmie akcji. Grant i Wiewiór atakują nas ze schodów, a Brendan z góry.

Próbuję strzelać, jednocześnie się zasłaniając. Na próżno.

– Odwrót! – wrzeszczy Ashton.

Porzucamy pistolety na plaży i wbiegamy na pomost. Kiedy docieramy do jego końca, skaczemy. Ja na główkę, a Ashton na bombę. Wynurzamy się ze śmiechem. To znaczy śmiejąc się i krztusząc.

Ku naszemu zdziwieniu chłopaki wskakują do wody za nami, wydając przy tym głośne okrzyki.

Stefan chwytą mnie za kostkę i wciąga pod wodę. Piszczę, po czym się krztuszę. Jakaś ręka zaciska się wokół mojego nadgarstka i wyciąga mnie na powierzchnię.

I moim oczom ukazuje się Grant.

– Wszystko w porządku? – pyta z niepokojem.

Kaszlę, nadal łykając więcej wody niż powietrza.

– Aha. Wciąż zapominam, że pod wodą nie da się oddychać.

Uśmiecha się szeroko.

Rozglądam się za czymś, czego mogłabym się złapać, bo nie jestem zbyt dobra w unoszeniu się na wodzie. Odpływam w stronę trampoliny. Znajduje się na tyle daleko od wodnej wojny – w którą teraz zaangażowani są już wszyscy – że powinno mnie to uchronić przed ponownym zanurzeniem. Po co korzystać z pistoletów na wodę, skoro mamy całe jezioro?

Grant płynie w pewnej odległości za mną, pewnie po to, żeby się upewnić, iż bezpiecznie dotarłam do trampoliny. W końcu to taki odpowiedzialny ratownik.

Sięgam po sznur wiszący z boku trampoliny. Myślałam, że Grant wróci do pozostałych, ale on nadal pływa w pobliżu mnie. Zachowuje odległość półtora metra, jakby bał się podplłynąć bliżej.

– Nienajlepszy ze mnie pływak – mówię. – Nigdy nie brałam lekcji.

– Domyśliłem się tego, kiedy nie wiedziałaś, jak się unosić na plecach. To jedna z pierwszych rzeczy, których uczą na kursie pływania, zaraz po robieniu bąbelków.

– Umiem robić bąbelki. – Zanurzam usta, żeby mu to zademonstrować, a on się śmieje.

– Pierwszy krok za tobą.

– Szybko się uczę – odpowiadam z uśmiechem.

Grant nagle poważnieje.

– Przepraszam za wczoraj.

Zaciskam usta, nie mając pewności, co powiedzieć, bo jestem pewna, że chodzi mu o pocałunek.

– Nie powinienem był cię całować tak przy wszystkich. Trochę trwało nim się domyśliłem, czemu mnie dzisiaj unikałaś. A potem ktoś mnie zapytał, gdzie jesteś, jakbym to wiedział. Jakbyśmy byli razem.

– Jakbyśmy byli parą – mówię cicho. Grant kiwa głową, milcząco mnie przepraszając. Podpływa nieco bliżej.

– Chcesz... się przytrzymać? To znaczy jestem pewna, że podczas szkolenia wodnych komandosów musiałeś pływać z pięćdziesięciokilowym obciążnikiem, ale jeśli chcesz, to możesz przytrzymać się trampoliny razem ze mną.

– To było sto kilo, nie pięćdziesiąt. – I znowu ten cudny uśmiech. – Ale owszem, myślę, że łatwiej mi będzie się przytrzymać.

Podpływa i sięga po sznur obok mnie. Teraz znajduje się dużo, dużo bliżej i zupełnie

zapomniałam jak się oddycha.

– Słyszałam wszystko, co mówiłaś tamtego wieczoru o tym, dlaczego się nie umawiasz. I w żadnym razie bym nie chciał, abyś się we mnie zatraciła. Ale nie interesuje mnie Sophia ani nikt inny. Lubię cię, Lano. I nie do końca mam pewność, co mogę robić, jeśli jednocześnie chcę szanować to, że ty nie randkujesz.

Przełykam ślinę. Na szczęście tym razem nie mam ust pełnych wody.

– Ja cię także lubię – mówię, żałując, że nie zachowałam milczenia. – Ale nie mogę się z tobą spotykać.

Kiwa z żalem głową i wzrok ma spuszczone. I kiedy myślę, że zamierza się odepchnąć i wrócić do grupy, on podnosi na mnie wzrok.

– A jeśli ustalimy własne zasady? Bez etykietek. Żadnego... prawa własności, ale na wyłączność. Nie zniósłbym widoku cię z innym facetem i nie dlatego, że pragnę, abyś należała do mnie, ale dlatego, że zżarłaby mnie zazdrość.

– Nie potrafię sobie wyobrazić cię zazdrosnego czy choćby wkurzonego. Wątpię, że masz jakiegokolwiek wady.

– Mam, uwierz mi. Wczorajszy dzień stanowi wystarczający dowód. Miałem tak wielką ochotę cię pocałować, że nawet nie pomyślałem, że są tam inni ludzie, ani się tym nie przejąłem. Nie wziąłem pod uwagę tego, że mogę cię zdenerwować. Zachowałem się egoistycznie. I choć przykro mi, że zrobiłem to bez pytania, to wcale nie jest mi przykro, że cię pocałowałem. Tylko o tym myślałem od czasu polany ze świetlikami.

Wpatruję się w jego usta.

– Tak, ja też – mówię ochryple. W tej chwili to jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, co nie znaczy, że wcześniej nie odgrywałam w myślach raz za razem tamtego pocałunku. Ale się przestraszyłam, kiedy wydawało mi się, że Grant pragnie więcej niż skłonna mu jestem dać. I ten strach przekształcił mnie w demona, jak czule nazwała mnie Ashton.

– No to co robimy? Co ty chcesz zrobić?

– Pocałować cię – mamroczę.

Grant się śmieje.

– Dojdziemy do tego – mówi i podpływa tak, że znajduje się tuż przede mną. Sięga nad moją głowę i przytrzymuje się sznura obiema rękami. – Masz ochotę spróbować tego nieumawiania się? – Jego spojrzenie ześlizguje się na moje usta. – Ty będziesz sobą. Ja będę sobą. I będziemy się po prostu spotykać, rozmawiać i będziemy naprawdę dobrymi przyjaciółmi, którzy się całują i...

– Tak – wyrzucam z siebie.

Oplatam go nogami w pasie, jakby był moją kotwicą. Jedną ręką mnie przytula, a drugą trzyma się trampoliny. Nasz pocałunek okazuje się gorączkowy, przepełniony pożądaniem. Wciągam głośno powietrze, gdy jego język zaczyna tańczyć z moim. Z jego gardła wydobywa się niski jęk. Zarzucam mu ręce na szyję.

Usta Granta zsuwają się na moją szyję. Drażni mnie językiem. Przechylam głowę i wplatam palce w jego włosy. Cały świat zniknął. Znajdujemy się we własnej krainie fantazji pełnej światła i ciepła. Jestem niemal pewna, że gdyby Grant mnie puścił, woda utworzyłaby wokół nas bańkę, żebyśmy jednak zostali razem złączeni.

Ponownie całuje mnie w usta, a jego dłoń zsuwa się po moim boku. Kciukiem zahacza o sznurek przy majtkach. Przysięgam, że sama za chwilę go rozwiążę, ale w tym momencie słyszę:

– Ooo! Sorki.

– Tu jesteście – odzywa się Ashton, a jej głowa wystaje znad krawędzi trampoliny jakiś

metr nad nami.

Lance wchodzi po drabince. Zeskakuje z trampoliny, a Ashton woła:

– Hej! Patrzyłam sobie!

Spodziewam się, że Grant mnie puści, ale on nachyla się i pyta:

– Jaka jest zasada dotycząca publicznego okazywania uczuć?

Otwieram zdumiona usta.

– Bo jeśli powiesz, że nie możemy się dotykać w miejscach publicznych, możliwe, że będę potrzebował zakazu zbliżania się na trzy metry i obroży prądowej, żeby mi o tym przypominały.

Śmieję się.

– A więc to ja jestem twoją słabością?

Grant się uśmiecha.

– W żadnym razie. – Całuje mnie w policzek. – Ale być może jest nią impuls, żeby cię pocałować.

– Mogę się nad tym zastanowić? – pytam, jedną nogą w tym świecie, a drugą nadal w tej krainie fantazji, którą stworzył nasz pocałunek. – Jestem trochę...

– Zagubiona? Jakbyś nie była pewna co jest prawdziwe, a co ci się tylko śni?

– Właśnie tak – odpowiadam zaskoczona.

– To było prawdziwe – zapewnia, ale w tym samym czasie mnie puszcza. Chłodna woda, która zastępuje jego ciepłe ciało od razu potwierdza, że to nie sen.

Grant unosi się na plecach i młóci nogami wodę, żeby się oddalić. Kiedy tak na niego patrzę, zaczynam kwestionować swoją niechęć do tego, aby inni widzieli, jak okazujemy sobie czułość, skoro się nie umawiamy. Czarne diamenty na moim kciuku połyskują jednak w blasku słońca, co stanowi wystarczającą przypominajkę.

Nie zakocham się w nim.

Uśmiecha się i w jego oczach pojawia się żartobliwy, ale uwodzicielski błysk.

Nie mogę się w nim zakochać.

Zanurza brodę w wodzie i puszcza bąbelki. Śmieję się.

Nie powinnam się w nim zakochać.

– Przestań tak na mnie patrzeć! – woła. – Inaczej to ja ustalę zasady dla ciebie.

Na tę myśl serce na chwilę mi staje.

Błagam, obym się w nim nie zakochała.

Rozdział 18

Thaylina wstała i zaczęła szukać czarownicy. Jej pozbawione życia ciało znalazła pod wieżą. Całym królestwem wstrząsnął krzyk, jaki z siebie wtedy wydała. Thaylina wiedziała, że już cierpienie tego dnia naznaczyło ją już na zawsze.

Brownie! – wykrzykuje Ashton, kiedy Wiewiór zamierza wgrzyźć się w ciastko. Wrywa mu je z ręki i odgryza spory kawałek. Jęczy. – Moje ulubione – oświadcza z pełną buzią.

– Co ty nie powiesz? – śmieje się Wiewiór, sięgając po następne. – Lana, też chcesz? – Częstuje się, a kiedy raczę się pierwszym kęsem, dodaje: – To magiczne brownie. – Próbuje je wypluć, ale za późno.

Ashton patrzy na mnie i się śmieje.

– Och, nie będzie już dzisiaj całowania!

Wbijam wzrok w ciastko.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego dziesięć sekund temu.

– Och, sorki. Ashton mówiła, że lubisz zioło – mówi Wiewiór i widać, że autentycznie jest mu przykro.

– Lubię. Ja tylko... a zresztą pieprzyć to. – Wracam do jedzenia. – Dzięki temu fajerwerki będą jeszcze ładniejsze.

– Tak też i ja pomyślałem! – wykrzykuje Wiewiór, jakby nie mógł się nadziwić, że mieliśmy tę samą myśl.

Piorunuję wzrokiem Ashton, która nadal się ze mnie śmieje.

– Skoro ja nie będę całowana, to ty też nie.

– Może w takim razie to ja cię pocałuję – rzuca.

Nieruchomiejemy. Mruży oczy, jakby nie była do końca pewna, czy rzeczywiście chciała to powiedzieć.

– Nie będę cię trzymać za słowo.

Wiewiór skubie brownie i przygląda nam się z uwagą, jakbyśmy były najbardziej fascynującymi stworzeniami, jakie dane mu było poznać.

Grant i Stefan musieli jechać do klubu w jakiejś pilnej sprawie. Klub organizuje przyjęcie z grillem w domu jednego z członków i barman się spóźnia... W sumie to nie znam szczegółów. Ale mówili, że wrócą za dwie godziny. Mam nadzieję, że wtedy Grant nie odbierze mojego haju jako odpowiedzi na pytanie o publiczne okazywanie uczuć.

••••

Godzinę później leżymy pod drzewem. Ashton wykorzystuje brzuch Wiewióra jako poduszkę, a ja z kolei mam głowę na jej brzuchu, więc tworzymy zygzak.

Ashton odsuwa mi z czoła długą grzywkę i zakłada mi ją za ucho. Dotyk jej palców działa na mnie kojąco. Moją uwagę przykuwa szelest liści. Jest tak, jakby do mnie machały.

– Czemu mówią na Ciebie Wiewiór? – pytam nagle.

– No bo kiedy byłem mały, chowałem w szafie jedzenie. Kiedy rodzice zapytali mnie o powód, powiedziałem im, że to na hibernację.

Ashton i ja wybuchamy śmiechem.

– Doskonała historia! – wykrzykuje moja przyjaciółka. – Kocham ją. Tyle że... miłość

jest taka pogmatwana. – Kiedy mówi, jej mięśnie brzucha napinają się.

– Nie wierzę w miłość – odpowiadam.

Wiewiór zaczyna się śmiać tak bardzo, że Ashton musi usiąść, a po niej i ja. Kiedy dociera do niego, że nie śmiejemy się razem z nim, powoli się uspokaja.

– Nie wiedziałem, że mówisz poważnie.

Kiwam głową.

– Miłość istnieje, bez względu na to, czy w nią wierzysz, czy nie. Tak jak magia.

Podnoszę wzrok na Ashton, która gotowa jest mu przyklasnąć.

– Aha, masz rację.

– Eee... co takiego?

Ashton kładzie się na boku, opierając się na łokciu, przodem do Wiewióra. Siadam po turecku, szykując się do absorbowania mądrości, jakimi nas zaraz uraczy.

– Miłość to nie jest coś, czego można się trzymać albo określić jako coś namacalnego. Istnieje, bo my nią jesteśmy. To istota nas samych.

– No to czemu sprawia taki ból? Łamie tyle serc? Niszczy życia?

– To nie miłość. To strach. Strach rządzi naszymi umysłami. Za każdym razem, kiedy za dużo myślimy i próbujemy do czegoś się przekonać, przemawia przez nas strach. A kiedy jest zagrożony, kiedy kontrolę zaczyna przejmować miłość, strach staje się głośniejszy, próbując nas przekonać, że nie jesteśmy godni, żeby nas kochano, i że będziemy tylko cierpieć. Ale miłość nigdy nie sprawia bólu. Nigdy.

Wpatruję się w niego. Jego słowa są niczym fruujące wokół jego głowy motyle, a ja próbuję je złapać, tyle że wszystkie się poplątały i nie jestem już pewna, który motyl przemówił jako pierwszy.

– Co było w tych ciastkach? – pytam.

– W sumie nie pamiętam, ale na pewno są organiczne – mówi Wiewiór, zawijając na palec pasmo włosów Ashton.

– Co się dzieje, kiedy się zakochujemy? – pyta Ashton, przykładając dłoń do mojej dłoni i przyglądając się, jak nasze palce dopasowują się do siebie.

– Nie wybierasz osoby, którą kochasz. Ty jesteś miłością. Kiedy więc dzielisz tę miłość, dzielisz się sobą. To więź. Nasze dusze rozpoznają ją na długo przed nami. Miłości nie można podarować ani odebrać, można jej tylko doświadczyć w piękny, symbiotyczny sposób, który wypełnia całe twoje jestestwo.

– Jak światło – mówi głos w środku mnie.

Wiewiór przez chwilę milczy.

– Aha. Jak światło. – Chyba także usłyszał ten głos.

– Co tu robicie? – pyta Kaely, siadając obok mnie.

– Jesteśmy światłem – odpowiada Ashton i przesuwa palcem po mojej ręce, a mnie przeszywają dreszcze.

– Och. – Kaely przez chwilę się zastanawia. – Nie rozumiem.

– To dlatego, że przemawia przez ciebie twój strach – oświadczam. Chyba dobrze wszystko zrozumiałam.

– Dzielimy się swoimi największymi lękami? – pyta Kaely i wyraźnie się ożywia. – Ja się strasznie boję tego, że wpadnę do dziury i tam utknę, i że nikt nie usłyszy mojego wołania. A ja już na zawsze zostanę w tej dziurze.

– To straszne! – wykrzykuje Ashton, jakby czuła jej strach. – Musisz robić duży krok nad tymi dziurami, żeby nigdy cię nie pochłonęły.

– Dobrze – obiecuje Kaely.

– Myślę, że twój prawdziwy strach ulega w tej chwili zapomnieniu – orzeka Wiewiór. Jego zielone oczy pełne są życzliwości.

– Może i tak – odpowiada Kaely, poważnie się nad tym zastanawiając. Wszystkie wpatrujemy się w niego, jakby był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znamy.

W mojej głowie rozlega się cichy głos, który z daleka krzyczy: „Co tu się, u licha, dzieje?”. Ale go uciszam i każę mu uciąć sobie drzemkę.

Podchodzą do nas Lance i Lily.

– Lily! – wykrzykuje Ashton.

– Co mnie ominęło? – pyta Lily, stając nad nami jak promieniejąca bogini.

Milczymy, bo za dużo już tego wszystkiego. Nie mam pojęcia, jak jej streścić to, co ją ominęło.

– Brownie – wyjaśnia Ashton. A ja kiwam głową, bo ma rację.

Lance zaczyna się śmiać.

– Co w tym takiego zabawnego? – pyta Kaely, także się uśmiechając.

– Stary, poczęstowałeś dziewczyny brownie, a mnie nie?

– Ashton wyrwała mi ciasto z ust – wyjaśnia Wiewiór.

– Zgadza się – potwierdza Ashton. – Jestem uzależniona od brownie.

– A ty? – pyta mnie Lance.

– Nie wiedziałam, że te ciastka są magiczne.

– Ja nie dostałam – dąsa się Kaely.

– Chodź, Kaely – odzywa się Lily i wyciąga do niej rękę. – Poszukamy zamiast tego jakiegoś alkoholu.

– Nie będziecie całowane! – wołam za nimi, kiedy zaczynają się oddalać. Lily posyła mi zaciekawione spojrzenie.

– Nie, to ty nie będziesz całowana – doprecyzowuje Ashton.

– Przecież mówiłaś, że mnie pocałujesz? – Mam w głowie mętlik.

– Chwileczkę. Co się dzieje? Będzie obmacywanko? – Obok Lance’a staje Brendan.

Ściągam brwi.

– Nie podoba mi się twój głos.

Kiedy spuszczam wzrok, widzę, że Ashton całuje się z Wiewiórem.

– O nie, tak nie będzie. – Brendan podnosi ją i przerzuca sobie przez ramię, jakby ważyła tyle, co nic. On jest naprawdę silny. Ciekawe, gdzie ukrywa swoje mięśnie.

– Hej! – woła Ashton. – Postaw mnie. Nie zgodziłeś się na związek. Nie zgodziłeś się na monogamię. Nie zgodziłeś się na mnie. Mogę robić, co chcę! – Wymachuje rękami i nogami. Brendan ją ignoruje i trzyma rękę na jej tyłku, żeby nie opadła jej sukienka.

– Omójboże, jestem Brendanem – mówię bez tchu.

– Eee, mam nadzieję, że nie.

Podnoszę wzrok i widzę, że obok Lance’a stoi Grant.

– Co tu się dzieje? – pyta.

– Wiewiór poczęstował brownie Lanę i Ashton.

Grant chichocze.

– Naprawdę musisz nie lubić się ze mną całować, co?

– Uwielbiam się z tobą całować! – protestuję żarliwie. – Nie wiedziałam, że to magiczne brownie. Ale teraz wiem. I tak mi przykro. Próbowałam je zwrócić, ale utknęło mi w gardle.

Lance ponownie wybucha śmiechem. Grant także się uśmiecha. Wiewiór kiwa solennie głową, jakby potwierdzał moje słowa.

– Stefan odpala łódź, żeby zabrać ludzi na jezioro i oglądać fajerwerki. Masz ochotę?

– pyta Grant, ale patrzy na Lance’a, nie na mnie.
– Pewnie. Zostaniesz tu z nią? – Lance pokazuje na mnie i znowu się śmieje. Nie wiedziałam, że jestem taka zabawna.
Wiewiór zdążył wstać i idzie właśnie w stronę jeziora.
– Uwielbiam fajerwerki, stary.
– Tylko ich nie przegap – mówię do Granta. Smutno mi.
– Nie przegapię – obiecuje. – Dasz radę wstać? – Podaje mi rękę.
– Idziecie? – pyta Kaely. Ona i Lily trzymają w rękach duże kubki termiczne.
– Zostaniemy tutaj – odpowiada Grant, pomagając mi wstać. Trawa wydaje się taka miękka między palcami u stóp. Kiedy podnoszę głowę, jesteśmy sami.
– Gdzie wszyscy poszli?
– Na łódź. Cóż, nie wszyscy. Masz ochotę oglądać ze mną fajerwerki?
Wzdycham z przygnębieniem.
– Co się stało?
– Chyba się zepsułam.
– Wcale nie – śmieje się Grant. Obejmuje mnie i pociąga w stronę plaży. – Jesteś jedynie chemicznie niezrównoważona.
– Och – odpowiadam, a on znowu się śmieje. Mam problem ze zrozumieniem, co w tym takiego zabawnego.
Kiedy dochodzimy do plaży, zatrzymuję się.
– Ale dziwne uczucie. – Zanurzam palce od stóp w piasku. Następnie klękam i to samo robię z dłońmi. – To niesamowite; też powinieneś to poczuć.
– Uduszę Wiewióra – mamrocze Grant i podnosi mnie z piasku.
– Nie rób tego – mówię błagalnie. – On jest czarodziejem.
Uśmiecha się i całuje mnie w czoło.
– Obiecuje, że nie zrobię.
Wchodzimy na pomost, a kiedy siadamy na jego końcu i zanurzamy stopy w wodzie, wzdycham głośno. Opieram się o Granta i kładę głowę na jego piersi, a on mnie obejmuje, żebym nie wpadła do wody.
– Serce bije ci bardzo głośno. – Wali mi do ucha. – Jak to jest kochać?
Patrzę w jego bezchmurne oczy, a on uśmiecha się do mnie słodko.
– Nie wiesz?
Kręcę przecząco głową.
– Widziałam tylko, jak sprawia ból.
Kiwa ze zrozumieniem głową.
– Miłość nie boli. Nigdy.
– Tak mówił Wiewiór.
– Jest czarodziejem – potwierdza Grant, jakby to wszystko tłumaczyło.
Przytakuję.
– Ale ty... byłaś już z kimś kiedyś, tak? – Po czym szybko dodaje: – Nie powinienem cię o to pytać. Zapomnij o tym.
– Nie jestem dziewicą – mówię. – Ale Jensen nie był miłością. On był... seksem.
– To... smutne.
– Chyba tak – przyznaję, próbując sobie przypomnieć twarz Jensa.
– Jak się poznaliście?
Biorę oddech, chcąc mieć pewność, że słowa uformują się w należyty sposób.
– W barze. Skłamałam na temat mojego wieku. On skłamał na temat swojego.

Dowiedziałam się, że był tylko kilka lat ode mnie starszy, że wcale nie miał dwudziestu trzech lat. A on nigdy się nie dowiedział, że nie miałam dwudziestu dwóch lat.

– Związek oparty na kłamstwach nigdy nie jest dobry.

– Nie byliśmy w związku – poprawiam go szybko. – Byliśmy dla siebie jedynie ciałami. Żadnych uczuć. Żadnych rozmów, nie takich naprawdę. Żadnej miłości.

Grant milczy.

– Ja nie chcę czegoś takiego – mówi w końcu.

– Ty nie jesteś czymś takim – przyznaję. Postanawiam położyć się na plecach, z głową na jego kolanach, żeby widzieć jego twarz. – Wiesz o mnie więcej niż ktokolwiek inny w całym moim życiu.

Pochyla głowę.

– Naprawdę?

– Aha. Zadajesz mi pytanie, a ja zawsze mówię ci prawdę. Nie potrafię się powstrzymać.

– Sądziłem, że to twoje przekleństwo.

– Ono nie zmusza mnie do mówienia. Każe jedynie mówić prawdę. Ale przy tobie nie potrafię milczeć. I to mnie przeraża.

– Dlaczego?

– Bo w końcu poznasz prawdę i nie spodoba ci się to, kim jestem.

Patrzę, jak przełyka ślinę.

– Zawsze mogę wybaczyć prawdę, Lano. Ale znacznie trudniej jest wybaczyć kłamstwo.

Wolę więc taką wiedzę, niż żebyś miała przede mną tajemnice.

– Jak to jest kochać? – ponawiam pytanie.

Grant dotyka mojej szyi.

– Sama się przekonaj.

Słysząc trzaski, po czym niebo eksploduje. Siadam w samą porę, żeby zobaczyć kolorowy wyrzut ognia na niebie.

– Pięknie.

Grant bierze mnie w ramiona i przytula do siebie.

– Bardzo.

Ja także go obejmuję i obserwuję z zachwytem spektakularny pokaz kolorów tańczących na niebie, migoczących i wirujących. Jestem jak urzeczona i nie potrafię oderwać wzroku od fajerwerków. Nawet kiedy Grant się nachyla i przyciska policzki do mojego. Uśmiecham się, ale nie odwracam wzroku od tej eksplozji światła.

Kiedy pokaz dobiega końca, serce bije mi szybko.

– Jak się czujesz?

– Niesamowicie – odpowiadam. Grant się śmieje. Jego oddech łaskocze moją skórę.

Czekamy na pomocnicie na powrót łodzi. Ashton zeskakuje z niej i woła:

– Zatańczmy!

Podskakuje i wykonuje obroty, a sukienka wiruje wokół niej niczym kwiat. Chichoczę i wstaję. Grant nie rusza się z miejsca.

– Chodź, potańczymy. – Biegnę za nią, a ktoś włącza muzykę. Ashton bierze mnie za rękę i razem wirujemy, wirujemy, wirujemy...

••••

– Na pewno zaopiekujesz się nimi? – Grant po raz trzeci zadaje to pytanie Brendanowi.

– Mogę je odwieźć, to żaden problem.

– Zaopiekuję się, obiecuję – zapewnia go Brendan... po raz kolejny.

– Ufam ci. – W głosie Granta słycać powagę.
Ashton i ja stoimy w drzwiach, wsłuchując się w ich rozmowę.
– Wiem. Nie pozwolę, by coś się stało twojej dziewczynie.
Grant patrzy mi niespokojnie w oczy. Uśmiecham się, żeby się nie martwił.
– Damy sobie radę. – Nachyla się i całuje mnie w czoło.
– Do jutra.
– Do jutra?
– Korepetycje – przypomina mi.
– Pokój nauki A – mówię. – Będę czekać.
– Kocham was – oznajmia Ashton, przytulając wszystkich, do których tylko dosięgnie.
– Chodźmy, skarbie – mówi Brendan i bierze ją za rękę, a ponieważ Ashton mnie obejmuje, pociąga mnie za sobą. Oglądam się na Ganta. Chcę powiedzieć, że też ich kocham. Ale nie mam pewności, kto mnie usłyszy.

••••

– Idźcie prosto – poleca nam Brendan, kiedy przechodzimy przez parking.
– Nie ma tu żadnych linii, żebyśmy szły prosto – rzuca Ashton, zerkając na zwirowaną nawierzchnię.

Robię to samo.

– Nie ma – potwierdzam.

– No to idźcie za mną – mówi cierpliwie. Więc tak robimy.

Melduje nas u strażnika przy głównym wejściu, po czym przechodzimy przez hol budynku administracyjnego. Brendan zostawia nas pod drzwiami żeńskiego akademika.

– Zaraz wracam.

– Dokąd on idzie? – pytam Ashton. Wzrusza ramionami.

Wchodzimy więc do budynku i zaczynamy wspinaczkę po schodach. Kiedy docieramy do trzeciego piętra z mojego gardła wydobywa się krótki krzyk. Na podeście stoi kobieta; ręce ma skrzyżowane na piersi i patrzy na nas groźnym wzrokiem.

– Pani See-er! – woła Ashton i pokazuje na nią palcem. – Mówiłam ci, że ona jest wszędzie!

Resztę schodów pokonujemy biegiem. Ashton udaje się do mojego pokoju. Kiedy otwieram drzwi i zapalam światło, wszystko jest poprzewracane.

– Co się stało z twoim pokojem? – pyta, gapiąc się.

– Został rozbebeszony – mówię zdumiona.

– Ktoś naprawdę cię nie lubi, Księżniczko – oświadcza za nami Brendan. Obie odwracamy się zaskoczone. – Co zrobiłaś?

Wszystko w pokoju zostało zniszczone. Schylam się i podnoszę głowę zebry.

– O nie.

Na ścianie intensywnie czerwoną farbą napisano:

DZIWKA!

– Aha – mówię ścianie. – Wiem.

••••

Śpię w pokoju Ashton. Brendan także, co wcale nie jest dziwne, dopóki nie budzę się trzeźwa. Na szczęście między nami leży Ashton. Obejmujemy ją oboje w taki sposób, że nasze

dłonie się stykają. Kiedy tylko dociera do mnie, co się dzieje, zabieram swoją, jakby ręka Brendana parzyła. A kiedy próbuję czmychnąć, uderzam głową w sufit.

– Co ty wyprawiasz? – jęczy Ashton.

– Mam spotkanie z życiowym doradcą – rzucam i przeczołguję się nad nią, żeby dotrzeć do drabiny.

– Zadzwoń dzisiaj do mojego projektanta. Zajmiemy się twoim pokojem – mówi mi, kiedy przechodzę przez pokój.

Kiedy wchodzę do swojego pokoju, żeby poszukać sportowych ciuchów, mało mam czasu na lustrowanie zniszczeń. Telefon mi pika, sygnalizując wiadomości od pana Garnera, który każe mi się pośpieszyć.

Podczas śniadania, po najgorszej jak na razie sesji z Mackiem, Ashton pokazuje mi próbki kolorów i motywów przewodnich. Kiedy ją pytam, kto za to płaci, odpowiada:

– Rodzicielskie wyrzuty sumienia.

Pozwalam jej więc płacić czarną kartą Amex za wszystko, czego chce.

– No więc kto to zrobił? – pyta z wahaniem.

Wiem, że nie należy do osób wścibskich, ale zaniepokojenie przejmuję nad nią kontrolę.

– Nie wiem.

– Od jak dawna to się dzieje? – Lance stawia tacę ze śniadaniem obok mnie. Nie było go tutaj, kiedy razem z Ashton omawialiśmy pomysły na nowy wystrój pokoju, więc dowiedział się o tym od...

– Musiałem powiedzieć mu o pokoju – broni się Brendan. – Potrzebna mi jego pomoc w sprzątanii.

– Zresztą i tak powinienem wiedzieć o takich rzeczach. – Lance wydaje się urażony, że był wykluczony.

– Ja też! – dodaje Ashton.

– Dlaczego? – pytam.

Patrzę na siebie, następnie na Brendana, który wzrusza ramionami.

– Czemu Brendan wie? – pyta Lance. – To przecież ja mam cię chronić.

– Wow, ktoś nieco zbyt poważnie podchodzi do swoich obowiązków przyzwoitki – burczy Brendan. Krzyżuje ręce na piersi i odchyła się na krześle.

– Bo Brendan znajduje się w pobliżu za każdym razem, kiedy to się dzieje. Może dlatego, że to on to robi. Jeszcze nie zdecydowałam.

Ashton i Lance patrzą na Brendana. A on śmieje się, jakbym żartowała.

– Ile razy coś takiego miało miejsce? – pyta Lance. – I komu załazłaś za skórę?

Przewracam oczami.

– Gdybym wiedziała, mój pokój nie wyglądałby jak po przejściu tornada. – Starannie dobieram słowa.

– Ale jak ktoś się tam dostał bez twojego telefonu? – zastanawia się Ashton. – Obecnie w akademiku przebywa mało dziewczyn.

– To nie takie trudne – wtrąca Brendan, a pozostali ponownie patrzą na niego podejrzliwie. Unosi w ręce w obronnym geście. – Ja tylko próbuję pomóc.

– Albo odsunąć podejrzenia od siebie! – oświadcza dobitnie Lance. Jego podniesiony głos sprawia, że w naszą stronę odwraca się kilka zaciekawionych głów. Najmłodszy Harrison nachyla się i pyta, tym razem ciszej: – Sprzedałeś komuś dostęp?

– Co masz przez to na myśli? – pytam, także wpatrując się w Brendana.

– A myślisz, że od kogo jest twój telefon? – pyta Lance, pokazując głową na Brendana.

– Nic dziwnego, że nie mam do niczego dostępu – marudzę.

– Z wyjątkiem aplikacji z mapami. Nie chciałem, żebyś się zgubiła. – Mruga. – Ale ty i tak to zrobiłaś.

– Co takiego? – pyta Ashton, patrząc to na mnie, to na niego. – Co się dzieje między wami?

– Faj! – Krzywię się z odrazą. – Nic, czym powinnaś się martwić. – Mocno się wzdrygam.

– I po co ta teatralność? – beszta mnie Brendan. – Próbuję pomóc jej rozgryźć, kto pozostawia wiadomości... na ścianie jej pokoju. I tyle.

To dobrze, że jego przekleństwem nie jest szczerłość, bo mnie niełatwo trzymać się blisko prawdy, a jednocześnie nie ujawniać zbyt dużo.

– Muszę iść na lekcje – oświadczam i wstaję od stołu.

Ashton patrzy na swój telefon.

– No tak, wszyscy musimy.

Nikt nie komentuje tego, że Brendan nie ma w tej chwili lekcji.

Kiedy rozdzielamy się na dziedzińcu, Brendan zostaje ze mną.

– Hej! A ty dokąd? – pyta ostro Lance, kiedy to zauważa.

– Odprowadzam Lanę na lekcję – odpowiada z pewnym siebie uśmiechem. – Ktoś musi ją przecież chronić. – Lance pokazuje mu środkowy palec, a ja daję mu kuksańca w zębra. – Auć!

– Przestań – warczę. – W taki sposób nabierze więcej podejrzeń albo da ci w zęby. A skoro o tym mowa, sama chętnie bym to zrobiła! Wcale nie pomagasz!

– Tak sobie myślę, że może powinniśmy dopuścić ich do części informacji – mówi cicho.

– Im więcej par czujnych oczu, tym lepiej. Pokój Ashton znajduje się niedaleko twojego. Jeśli będzie się rozglądać, może zauważy kogoś nieproszonego, bo ja nie jestem przekonany, że to uczeń, a przynajmniej nie z Blackwood.

– Skąd to wiesz?

– Bo wiem, kto ma moje urządzenia. Ta osoba nie.

– A więc istnieje jeszcze ktoś taki jak ty?

– Kochanie, nie ma drugiego takiego jak ja. – Posyła mi uwodzicielski uśmiech. – Ale ta osoba niezaprzeczalnie ma pewne zdolności, no bo przecież udaje jej się niepostrzeżenie dostać na kampus. A to wcale nie takie proste. Szkoła po pierwsze ma ochronę, a po drugie sprzęt, którym dysponuje, jest produkowany na zamówienie. Po prostu tak się akurat składa, że ja jestem lepszy.

Powstrzymuję się przed przewróceniem oczami.

– Nie chcę mówić im wszystkiego.

– Muszą wiedzieć jedynie o wiadomościach na ścianie. Resztę zachowamy dla siebie, zwłaszcza, że ma to jakiś związek z rodziną Lance'a.

– Ale może on powiedziałby nam więcej o tym zdjęciu.

– Do tego akurat mamy jego brata – przypomina mi Brendan.

Tyle że Joey wróci dopiero za tydzień.

– W porządku – wzdycham ciężko. – Wiedzą o pokoju. Ale nie chcę, aby się dowiedzieli o zdjęciu i tych innych wiadomościach. Ani o naszych matkach i Niallu. I w żadnym razie o Allie.

– Zgoda. Miałaś możliwość rozejrzeć się po pokoju, sprawdzić, czy ta osoba coś zostawiła?

– Poza moją ksywką na ścianie?

Śmieje się.

– Nie. Nie szukałam kolejnych ostrzeżeń czy zdjęć. Może to nie ta sama osoba.

Wiadomości w moim pokoju wydają się inne, bardziej zagniewane.

– Być może. – Brendan przytakuje, jakby wcześniej nie przyszło mu to do głowy. – Ale dwie osoby, które chcą ci zaleźć za skórę, to trochę dużo, nawet dla ciebie.

– Trzy, jeśli liczyć... – milknę.

– Faceta, który skrzywdził Allie? Myślisz, że zaczniesz ci grozić, jeśli ona się obudzi?

Wzruszam ramionami, nie chcę jeszcze myśleć o Vicu. Jest teraz w Europie, a przynajmniej taką mam nadzieję. Nim zajmę się wtedy, kiedy Allie otworzy oczy.

– Pamiętaj, żeby mieć zawsze przy sobie mój telefon. Ja potrafię go zlokalizować nawet wtedy, kiedy nie jest włączony.

– Kiepski z ciebie stalker, skoro mówisz o tym osobie, którą śledzisz – rzucam szyderczo.

– Po prostu noś go ze sobą. – Jego ton brzmi poważnie, więc milknę. Gdybym nie wiedziała, że jest inaczej, jeszcze bym pomyślała, że się o mnie martwi.

Dochodzimy do budynku, w którym mam lekcję.

– Co robisz, kiedy nie masz lekcji? – pytam go.

– To, co wychodzi mi najlepiej. – Porusza sugestywnie brwiami. – Obserwuję.

– Ale z ciebie padalec! – wołam za nim, kiedy wraca na dziedziniec. Na serio się zastanawiam, po czyjej stoi stronie. Ale to oczywiste – Brendan troszczy się tylko o Brendana. Pozostaje mieć nadzieję, że poszukując odpowiedzi na swoje pytanie, nie zrujnuje życia zbyt wielu osobom.

Rozdział 19

Mijały kolejne lata, a Thaylina stawała się coraz silniejsza. I szybsza. Nie przypominała już tamtej życzliwej i pięknej dziewczyny, którą niegdyś była. Stała się lowczynią, broniącą tych, których zwiódł urok i obietnice pieśni.

Kiedy wracam do akademika, drzwi do mojego pokoju są otwarte. Przyklejam się do ściany, zastanawiając się, czy w końcu złapię tego psychola na gorącym uczynku.

Uchodzi ze mnie powietrze na widok pana Garnera, który z rękami na biodrach ocenia szkody.

– Proszę pana?

Odwraca się w moją stronę. Nie potrafię odgadnąć, czy jest zły, zaniepokojony czy jedno i drugie.

– Co tu się dzieje, Lano? – Kiedy nie odpowiadam, kontynuuje: – Otrzymałem wiadomość od pani Seyer, w której wyrażała zaniepokojenie, że ty i Ashton do późna w nocy imprezowaliście w twoim pokoju. A kiedy tu przyszedłem, zastałem to. – Zatacza ręką łuk, prezentując ten kataklizm, który do niedawna był moim pokojem. W jego oczach dostrzegam szok i konsternację. – Albo przeniosłyście imprezowanie na zupełnie inny poziom, albo ktoś cię prześladowuje.

Przechylam głowę, nie mając pewności, jakiej udzielić odpowiedzi, bo zeszłej nocy ja i Ashton zdecydowanie znajdowaliśmy się na innym poziomie niż pozostali.

– A co ty tu robisz? – pyta ostro pan Garner, skupiając się na kimś za mną.

W drzwiach stoi Brendan.

– Pomagam w sprzątaniu. – Pokazuje karton z workami na śmieci.

– Mam! – woła Ashton z korytarza. – To idealne łóżko do twojego... – Na widok pana Garnera uchodzi z niej nieco powietrza. – Mam pozwolenie! – oświadcza, pokazując mu tablet otwarty na jakiejś stronie z meblami.

Pan Garner wzdycha.

– Czemu wiedzą o tym wszyscy oprócz mnie? Lano, to ja powinienem być osobą, do której się zwracasz w takich przypadkach.

– Wiedziałam, że będzie się pan martwił – mówię. – No i miałam rację.

Wzdycha.

– Chodźmy. – Wyprowadza mnie z pokoju. – Przyszedłem także po to, aby cię zabrać na pierwszy test na obecność narkotyków.

Brendan się śmieje. I to głośno. Ależ mam mu ochotę przyłożyć. Przynajmniej Ashton ma na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na przerażoną, co pewnie także nie pomaga...

Naprawdę liczę na to, że ten test stanie się dla nich punktem odniesienia, co sugerował pan Garner podczas naszego pierwszego spotkania. Autentycznie nie mam pojęcia, co wykryją, zwłaszcza po wczorajszym wieczorze. Pan Garner prowadzi mnie w milczeniu do gabinetu pielęgniarki w budynku administracyjnym.

W Blackwood do takich testów podchodzi się poważnie. Staje się to oczywiste, kiedy widzę probówkę leżącą obok opaski uciskowej. Badanie krwi jest najbardziej miarodajną metodą wykrywania obecności narkotyków w organizmie.

– Po badaniu przyjdź do mojego gabinetu – mówi do mnie pan Garner, po czym

wychodzi, pozostawiając mnie z obojętną pielęgniarką.

Która w ogóle się nie odzywa, jeśli nie liczyć wydawania poleceń. Nie ostrzega mnie nawet, że zaraz się wkluje w żyłę. Pobiera mi także ślinę. W poprawczaku miałam jedynie badany mocz. Więc nie ma lekko. Pewnie przez pięć kolejnych miesięcy pozostanę czysta.

Automatycznie myślę o Grancie. Nagle czystość i trzeźwość nie wydają się wcale takie złe.

Pielęgniarka myśli pewnie, że jestem na haju, bo kiedy kończy pobieranie próbek, ja nie ruszam się z miejsca, a do twarzy mam przyklejony niemądry uśmiech.

– Możesz iść – mówi, mrużąc badawczo oczy.

••••

Gabinet pana Garnera w niczym nie przypomina pomieszczenia sprzed kilku tygodni. Znajdują się tu wygodne meble, do drzwi przymocowano obręcz do koszykówki, a na ścianach wiszą zdjęcia przedstawiające go z różnymi osobami na szczytach gór, w kajaku w jakiejś dżungli i w innych egzotycznych lokalizacjach. W sumie przypomina to pokój w męskim akademiku, tyle że na miejscu łóżka stoi biurko.

– Witam ponownie – mówię, rozglądając się z podziwem. – A jednak jest pan człowiekiem.

– Zamknij drzwi, Lano – mój doradca życiowy wydaje polecenie i siada za biurkiem. Tak robię. – Powiedz mi, co się dzieje. Podczas krótkiego pobytu tutaj miałas już kilka niefortunnych wypadków.

– O czym konkretnie pan mówi? – Zaczynam się denerwować tym, ile on wie albo co nagrały kamery ochrony.

Wylicza na palcach:

– Drugiego wieczoru niemal spóźniłaś się na ciszę nocną. Tydzień później spędziłaś noc na dworze, bo nie naładowałaś telefonu. A teraz twój pokój został doszczętnie zniszczony przez kogoś, komu wyraźnie nadepnęłaś na odcisk. Co jeszcze? Och! No tak, narkotyki, które, jak stwierdziłaś po jednym weekendzie tutaj, na pewno wykryjemy w twoim organizmie. Nie będę od ciebie wyciągał, skąd je wzięłaś, ale Lano, proszę cię! Chcesz się przyznać do jakichś bójek, skoro poruszamy temat twoich przewinień?

Spuszczam wzrok.

– Naprawdę? – wykrzykuje z rozdrażnieniem. – Wygląda na to, że nie radzę sobie w swojej pracy.

– To nie ma nic wspólnego z panem – zapewniam. – Pan radzi sobie świetnie! Wyciąga mnie pan rano z łóżka, żebym mogła się wyżyć albo poszukać wewnętrznego spokoju. To naprawdę pomaga, przysięgam. Nie chcę, żeby przeze mnie stracił pan pracę.

Pan Garner zamyka oczy i kręci głową.

– Nie tym się martwię. Pobyt tutaj ma być dla ciebie szansą na doświadczenie czegoś lepszego. A nie zabieranie ze sobą całego dotychczasowego chaosu.

– Może ja jestem chaosem. – Wzruszam ramionami.

Pociera ręką twarz.

– Ty mnie wykończysz.

Tłumię uśmiech.

– Mogłabym powiedzieć to samo. Tylko dla pana zrywam się z łóżka bladym świtem.

– Wiesz, kto obrał sobie ciebie za cel? – pyta z westchnieniem, ignorując moją ciętą uwagę.

Kręcę głową.

- Chcę usłyszeć, jak to mówisz.
- Nie – wypowiadam wyraźnie. Może w jego gabinecie jest urządzenie nagrywające i dlatego należał, abym to powiedziała.
- Zamierzam po raz kolejny porozmawiać z ochroną o patrolach wewnętrznych. Może postawią kogoś przed wejściami do akademików od strony dziedzińca.
- Powodzenia. – Wstaję, bo zakładam, że skończyliśmy.
- Zadzwoń, gdyby działo się coś dziwnego albo gdybyś znalazła się w położeniu, które nie wyglądałoby dobrze w twoich aktach. Bez względu na porę. Przyjdę po ciebie. I jeśli będę mógł, zachowam to w tajemnicy. – Wstaje, aby mnie odprowadzić. – Ja naprawdę jestem tu po to, żeby ci pomóc, Lano. Jesteś moją jedyną podopieczną.
- Smutne, no nie? – Uśmiecham się drwiąco.
- Sio – mówi ze śmiechem. – I nie rób niczego głupiego.

••••

Kiedy wracam do akademika, pika mi telefon. To wiadomość od nauczyciela chemii. „Twój korepetytor przełożył lekcję na czwartek o 19:00”.

Ten dzień rzeczywiście jest do bani. Ale w sumie to przełożenie ma sens. Nie mieliśmy lekcji od czasu piątkowego testu i nie ma nowego materiału do utrwalenia. Tyle że naprawdę nie mogłam się doczekać, kiedy spotkam się z Grantem i może go pocałuję... jeśli mi pozwoli. Z drugiej jednak strony on niesamowicie poważnie podchodzi do swoich obowiązków. Pewnie by mi nie pozwolił. Ale przez tę jego prawość i oddanie czuję do niego... Waham się. Jak właściwie zamierzałam dokończyć to zdanie?

Szacunek. Tak. Właśnie to czuję. Jęczę i mam ochotę trzepnąć się w głowę. Gdzie się podziewa Ashton, kiedy jej potrzebuję?

Przyjdź do mojego pokoju.

Do drzwi mam przyklejoną karteczkę. Zakładam, że nadawcą jest Ashton, a nie Brendan. Kiedy wchodzę do niej, przekonuję się ze zdumieniem, że są tam także Lance i Brendan.

– Pani Seyer was wpuściła? – pytam.

– Jesteśmy częścią ekipy sprzątającej – wyjaśnia Lance z przebiegłym uśmiechem. Nogi ma oparte o różową, skórzaną pufę i gra w jakąś grę video.

– Co takiego? Wiecie co, nie ma mowy.

– Chodźmy – oznajmia Ashton. – Posprzątam ten bajzel i przeniesiemy twoje rzeczy do mnie, bo jutro zjawi się Serge.

– Kto?

– Mój projektant. Jutro jego zespół dokona transformacji twojego pokoju.

Czasami zapominam, że Ashton jest taka nadziana. Jasne, ma tę unoszącą się wokół niej aurę prestiżu. Teraz, kiedy dłużej się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że to raczej aura glamour, jakby za każdym razem, kiedy wchodzi do pokoju, wiatr powinien rozwiewać jej włosy, a lampy przy aparatach – błyskać. Pod fasadą tego wszystkiego ta dziewczyna jest naprawdę spoko. Nie jest zołzowata ani pretensjonalna. Nie wymądrza się ani nie wywyższa. Kiedy więc mówi o swoim projektancie i jego zespole, mam wrażenie, jakby chlupnięto mi w twarz lodowatą wodą – niezbyt subtelne przypomnienie, że pochodzimy z kompletnie różnych światów, nawet jeśli obecnie dzielimy tę samą przestrzeń.

Całe popołudnie sprzątam pokój. Rozpaczałabym z powodu zniszczeń, tyle że w zasadzie nie do końca się w nim zdomowiłam. Oczywiście wkurza mnie to, że ten psychol urwał głowę uroczej zebra od Joeya i podarł zdjęcia moich przyjaciół i rodziny. Wydaje się to takie... bezsensowne. Co mogłam takiego zrobić, że ktoś mnie znienawidził? Bo mam wrażenie,

że tak właśnie jest.

Jestem tu za krótko, żeby wzbudzać w kimś tego rodzaju uczucia. Więc musiało przyjść to za mną z domu. Wszyscy, których znam w Blackwood, z wyjątkiem Ashton i Sophii, mają jakieś powiązania z moim życiem; niektórzy nawet w czasach, kiedy się jeszcze nie urodziłam. Łącznie z Brendanem i panem Garnerem. Nie mogę uwierzyć, że nawet pana Garnera muszę traktować jako podejrzanego. Nie mogę uwierzyć, że używam słowa podejrzały.

A jeśli to nie jest nikt z Blackwood, w co wierzy Brendan, w takim razie nie mam pojęcia, kim mogłaby być ta osoba. Nim tu przyjechałam, nie znałam żadnego z tych ludzi. I o ile nie zrobiłam czegoś nieświadomie, czym uczyniłam sobie z kogoś wroga... Cóż, w sumie to niewykluczone. Nie wszystkim podoba się moja szczerość. Ale kiedy uwzględniam wszystkie wiadomości, no i jeszcze zdjęcie... to znowu mam w głowie mętlik.

– Nie znoszę tych gier – warczę z frustracją. – Po prostu powiedz mi, czego chcesz!

Wszyscy nieruchomieją.

– Cóż za melodramatyczność – żartuje Brendan.

Rzucam w niego rozciętą poduszką.

– Chcecie? – pyta Ashton, wyciągając rękę z żelowymi miškami. – Będzie weselej.

Lance bierze jednego. Brendan kręci głową.

– Nie mogę – mówię z żalem. – Muszę być przykładem czystości i trzeźwości.

– On musi naprawdę niesamowicie całować – stwierdza Ashton takim tonem, jakby mi zazdrościła.

– Mówisz o Grancie? – pyta Lance. – O co chodzi z wami dwojgiem? To coś poważnego? Zamierzasz mnie teraz porzucać za każdym razem, kiedy wyjedziemy poza kampus? Bo jestem za ciebie odpowiedzialny, wiesz? I wieczory takie, jak ten podczas parady, nie mogą się powtarzać.

– Dlaczego wy nie musicie poddawać się testom na obecność narkotyków? – pytam, kładąc kres temu, co zaczynało brzmieć jak nadopiekuńcze przepytywanie. Lance rzeczywiście zbyt poważnie podchodzi do roli przyzwoitki.

– Moi rodzice na to nie pozwalają – wyjaśnia Ashton. – Nie chcą, żeby to było w papierach na wypadek przecieku do mediów.

– Ale ja muszę? – Nie chodzi o to, że drągi są mi niezbędne do życia, ale nie znoszę tego, że każdy mój krok jest monitorowany... przez Lance'a i szkołę. Nikt mi nie musi mówić, co jest dla mnie najlepsze, ani kwestionować tego, gdzie bywam i z kim.

– W twoim przypadku to nakaz sądowy – odzywa się Brendan.

– Skąd wiesz? – Lance patrzy na niego krzywo. – Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy powinniśmy ci ufać.

– Przestań – mówię odruchowo.

– To oczywisty wniosek – wyjaśnia Brendan. – Tylko ona z waszej trójki nie ma czystej kartoteki, więc jestem przekonany, że to jeden z warunków jej wyroku.

– Chyba skończyliśmy – oznajmia Ashton, rozglądając się po pokoju i próbując rozładować napiętą atmosferę.

– Dzięki za pomoc – mówię do wszystkich. Lance i Brendan kiwają bez słowa głowami. Ashton mnie za to przytula i cmoka głośno w policzek.

Razem z Ashton przenosimy do niej dwie torby ciuchów, które przetrwały atak, natomiast chłopcy wynoszą pełne worki śmieci.

Kiedy tego wieczoru leżę na sofie Ashton, przyjaciółka mówi do mnie:

– Jeszcze raz opowiedz mi o naszych przekleństwach. Co jest przekleństwem Brendana?

– Przenikliwość. On wszystko widzi.

– Z wyjątkiem tego, co do niego czuję.
– To także część jego przekleństwa. Nie widzi tego, co jest dla niego najważniejsze, dlatego w końcu go to zgubi.
– A Lance?
– Przekleństwem Lance’a jest Szlachetność. To dobry chłopak, ale nie zawsze staje w obronie właściwych ludzi.
– Lubię Lance’a – mruczy. – Mów dalej.
Wymieniam wszystkich i ich przekleństwa, aż w końcu obie jesteśmy zbyt wykończone, żeby otwierać usta.

••••

Następnego ranka budzi mnie pan Garner. Najpierw joga i medytacja, a później sesja odtruwająca (jego słowa) w saunie. Ashton postanawia do nas dołączyć i nienawidzę ich oboje za to, że potrafią stać z zamkniętymi oczami na jednej nodze w pozycji drzewa. Po raz kolejny spokój i ja mamy nie po drodze. Ale gorąca para w saunie rzeczywiście pomaga wypłukać toksyny z mojego ciała. Od wieków nie czułam się tak trzeźwa.

Granta nie ma w pracy, kiedy przyjeżdżamy do country klubu. Pewnie powinnam poprosić Sopię o kopię jego grafiku. Albo może sama powinnam go o to zapytać. Ale poczułabym się wtedy niezręcznie.

Nie. Poproszę Sopię. Też będzie mi niezręcznie, ale nie aż tak.

Kończę zmianę w The Deck i w drodze do szatni spotykam Granta, który właśnie przyjechał.

– Cześć – mówi. Uśmiecham się, jakbym wdychała hel. – Co się z tobą wczoraj działo? Ściągam brwi.

– Jak to?

– Nasza lekcja? Nie pojawiłaś się.

Chwila paniki. Źle zrozumiałam tamtą wiadomość?

– Dostałam wiadomość od nauczyciela chemii, że lekcja została przełożona na jutro.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Czemu do mnie nie zadzwoniłeś?

– Nie mam twojego numeru. A przynajmniej do czasu, aż ty zadzwonisz jako pierwsza.

– Przykro mi. – Teraz muszę wymyślić jakiś powód, żeby to zrobić. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz dzwoniłam do faceta po to, żeby pogadać. Może dlatego, że nigdy tego nie zrobiłam.

– Dziwne, że ja nie dostałam takiej wiadomości – mówi z niepokojem.

– Ale jutro się widzimy, tak? – pytam, licząc, że już sobie czegoś nie zaplanował.

– Tak. Jutro. – Nadal wygląda na zaniepokojonego.

– Wszystko w porządku?

– Trochę... się martwiłem... że znowu się dystansujesz. Poniedziałek był... Cóż, sporo zostało powiedziane.

– Pamiętam – mówię z delikatnym uśmiechem.

– Wszystko?

– Aha – potwierdzam. – Nawet te fragmenty, kiedy przebywałam w Krainie Czarów. Mam wrażenie, jakbym obserwowała te wspomnienia z wysokości trzystu metrów, ale pamiętam.

Grant poważnieje, jakby szukał odpowiednich słów, aby zadać pytanie, na które boi się poznać odpowiedź. Staję więc na palcach i go całuję, licząc, że to będzie wystarczającą odpowiedzią. Uśmiecha się, jeszcze zanim zdąży się odsunąć.

Ktoś odkasłuje.

Odwracamy się i widzimy, że za mną stoi Cary.

– Eee, choć jestem fanem młodzieńczej miłości, muszę was grzecznie prosić o powstrzymanie się przed okazywaniem jej w trakcie pracy.

Zagryzam wargę, a moja twarz oblewa się rumieńcem.

– My wcale nie... – wyrzuca z siebie Grant i zerka na mnie nerwowo. – To nie...

– Spokojnie, Grant. Nie besztam cię, jakbym był twoim ojcem. Nic się nie stało. – Nim odchodzi, Cary dodaje: – Właściwie to cieszę się razem z wami.

Grant zamyka oczy i się krzywi.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, jak to naprawić, co zrobić, żeby nie myślał...

– W porządku. Nie jesteśmy w stanie kontrolować tego, co myślą inni. Dopóki ty i ja wiemy, kim jesteśmy, a raczej kim nie jesteśmy...

Nieco się rozluźnia, ale niepokój nie opuszcza jego oczu. Nie jestem pewna, czy powodem jest to, że przyłapał nas Cary, czy też moje słowa.

– Okej. No to do zobaczenia jutro?

Kiwam głową i patrzę, jak odchodzi. Trochę to skomplikowane, być razem, ale jednak nie. Tyle że o to właśnie chodzi; nie jest to coś, co da się wpasować w sztywne ramy. Im więcej myślimy o tym, albo o tym, co inni będą myśleć, tym bardziej to będzie skomplikowane. A to przecież wcale takie nie jest... a przynajmniej nie powinno. A teraz... znowu mam w głowie mętlik.

••••

Nie wolno mi zobaczyć pokoju, dopóki Serge nie zakończy jego transformacji. On i Ashton większą część czwartku spędzili razem. Poprosili, abym do nich dołączyła, ale po dziesięciu minutach jego przesadnej gestykulacji i słów wyrzucanych z prędkością karabinu maszynowego powiedziałam im, że muszę iść do biblioteki, aby popracować nad pracą domową z wiedzy o społeczeństwie.

Nim docieram do biblioteki, otrzymuję wiadomość.

„Masz gościa w budynku administracyjnym”.

Okazuje się, że to Parker. Na mój widok od razu się uśmiecha. Wzdycham, niezadowolona z tego, że nadal na mnie działa.

– Cześć – witam go. – Myślałam, że jesteś na Nantucket razem z rodziną.

Ściąga brwi.

– Skąd wiesz, że moja rodzina jest na Nantucket?

Cholera.

– Od twojego brata. – Nie jestem pewna, o co chodzi z nim i Joeyem i naprawdę nie chcę być powodem ich głupiej waśni. Więc pewnie lepiej, aby Parker nie wiedział, że mam kontakt z Joeyem.

Kiwa ze zrozumieniem głową.

– No tak, Lance nie mógł w tym roku jechać z powodu szkoły. – Po czym dodaje:

– Wcześniej wróciłem. Dowiedziałem się o czymś, czym chciałem się z tobą podzielić.

– Nie musiałeś skracać dla mnie rodzinnego wyjazdu – mówię i choć nie wiem, o co chodzi, czuję się przytłoczona tym, że zdecydował się tu przyjechać.

– Musiałem. – Wydaje się niemal podekscytowany. – Znaleźliśmy ją. – Rozgląda się, uświadamiając sobie, że nadal stoimy w holu. – Możemy porozmawiać gdzieś w spokoju?

Prowadzę go do pokoju, w którym spotkałam się swego czasu z Niallem.

– Kogo znaleźliście? – pytam, kiedy tylko zamykają się za nami drzwi.

– Marę, tę dziewczynę ze schodów.
– J-j-jak? – jąkam.
– Jeden z moich partnerów jest specem od techniki. Doskonałym. To on zaprojektował naszą apkę i to on prześwietla listę. Udało mu się ją namierzyć. Coś tam mówił o triangulacji i weryfikacji... szczerze mówiąc, nie pamiętam. Ale zna się na swojej robocie, bo ją znalazł.
– Wie czemu jej szukaliście? – Nagle niepokojem napawa mnie fakt, że kolejna osoba wie o mojej obecności na schodach.
– Mówiłem ogólnikowo. Oczywiście wiedział o dziewczynie, która spadła ze schodów.
– Allie – przypominam mu.
– Allie – powtarza. – Przepraszam.
– No więc jak mogę z nią porozmawiać? – pytam z przejęciem.
– Ty? Ty nie będziesz z nią rozmawiać.
– Ale muszę wyjaśnić, co się stało. Nie chcę, aby myślała, że zrobiłam krzywdę jej przyjaciółce.
– Ona niczego nie powie.
– Skąd wiesz? – Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa. Parker zachowuje się wymijająco.
– Bo z nią rozmawiałem. Rozumie, jak duża jest stawka.
– Czyli?
– Nie przejmuj się tym.
Serce na chwilę mi zamiera.
– Mam nadzieję, że jej nie groziłeś!
Śmieje się z mojej reakcji.
– Mówiłem, że zamierzam ci pomóc. Więc tak zrobiłem. Sprawa załatwiona. – Spogląda na zegarek. – Wracam samochodem do Nowego Jorku, więc lepiej będę się zbierał.
– Przyjechałeś aż tutaj po to tylko, żeby mi to powiedzieć? – pytam podejrzliwie, bo Parker zachowuje się naprawdę... dziwnie.
– Nie. Niezupełnie.
Czekam, żeby rozwinął temat, ale on tego nie robi. Mam ochotę krzyknąć na niego, żeby mi powiedział o co, u licha, chodzi.
– Odprowadzisz mnie? – Wskazuje głową drzwi.
– Zdajesz sobie sprawę z tego, jak dziwne jest to wszystko, prawda?
– Nie – odpowiada szczerze. – Obchodzi mnie to, co się z tobą dzieje. Zawsze się będę o ciebie troszczył.
Gryzę się w język i nie mówię mu, że opowiada bzdury, bo intuicja mi mówi, że coś jest nie tak. Jestem ekspertką w wykrywaniu nieprawdy, a on z całą pewnością o czymś mi nie mówi.
Odprowadzam Parkera na schody przed budynkiem administracyjnym.
– Chodź tutaj – mówi i rozkłada ramiona.
Podchodzę do niego i opieram głowę na jego klatce piersiowej.
– Nie podoba mi się to, Parker. Wiem, że czegoś mi nie mówisz.
Całuje mnie w czubek głowy i ponownie zapewnia:
– Nic się nie martw.
Kiedy wysuwam się z jego objęć, zauważam kątem oka, że Grant i Lily idą okrągłym podjazdem w stronę biblioteki. Będę musiała wytłumaczyć Grantowi to, czego zapewne był świadkiem między Parkerem i mną. Ale... czy powinnam? Przecież tak naprawdę nie jesteśmy razem. Granice nie randkowania są takie... niewyraźne.
– Więc co, twoja zasada nie odnosi się do niego? – Parker wskazuje głową Granta, który

właśnie znika w budynku biblioteki.

– To znaczy? I skąd wiesz o Grancie?

– Chodzisz do szkoły z moim bratem. Przyjaźnisz się z moją kuzynką. A oni się kiedyś spotykali.

– Lance i Lily? – pytam ze wstrętem. – Jak bardzo wasza rodzina jest ze sobą związana?

– Lily i Grant! – podkreśla Parker ze zniecierpliwieniem. – Spotykali się mniej więcej przez rok. To było coś poważnego. Nie tak jak to, co łączyło Ninę i mnie. A ze mną nie chcesz się choćby umówić. A możesz być w związku z nim? Po co wciskasz ludziom ten kit, że nie tykasz facetów, z którymi były twoje przyjaciółki? Mogłaś mi po prostu powiedzieć, że nie jesteś zainteresowana.

Nie zamierzam się z nim kłócić o kwestie semantyczne, bo przecież mu powiedziałam, że nie jestem zainteresowana. Możliwe, że owinęłam tę wiadomość w słowa o zasadzie dotyczącej przyjaźni. Ale... co takiego?!

– Spotykali się? Przez rok?

– Tak. Zerwali w zeszłą zimę. Ale zawsze odnosiłem wrażenie, że nie na stałe. Jakby planowali do siebie wrócić.

– Kto tak twierdził?

– Lily. Poprosiła, żeby zrobili sobie przerwę – informuje mnie.

– Nie Grant? – upewniam się.

Kręci przecząco głową.

– Och. – Kręci mi się w głowie. Serce mi trzepocze w stanie autentycznej paniki. – Muszę lecieć.

Nie słuchając, co jeszcze Parker ma mi do powiedzenia, odchodzę w stronę biblioteki. Pika mi telefon i odruchowo wyjmuję go z torby.

„Korepetycje przeniesione do pokoju nauki D”.

Nakazuję sobie nie panikować. No bo... cóż, czy mam ku temu jakiś powód? Grant nie należy do mnie, nie powinnam się tym przejmować. Tyle że moje mocno bijące serce ma to gdzieś. Ono się przejmuje i potrzebuje odpowiedzi. Natychmiast.

Wchodzę do biblioteki i rozglądam się za Grantem albo Lily. Znajduję ich razem w przejściu między regałami prawie na końcu pomieszczenia. Kiedy się do nich zbliżam, sprawiają wrażenie pogrążonych w poważnej rozmowie. Robię więc to, co zrobiłby Brendan (zdecydowanie ma na mnie zły wpływ) i wślizguję się do sąsiedniego przejścia, żeby ich podsłuchać. Wiem, trafię do piekła. Ale przynajmniej Brendan... tak, to nie pomaga.

– Nie wiedziałam, że to coś poważnego – mówi cicho Lily.

– To... skomplikowane – wyjaśnia Grant i spuszcza wzrok. – Ale chciałbym, żeby było.

– Och. Myślałam, że to tylko zabawa. Nie miałam pojęcia...

– Sądziłem, że tego właśnie chcesz? – pyta Grant i ściąga brwi.

Lily uśmiecha się ciepło.

– Zgadza się. – Jej uśmiech staje się promienny. – Cieszę się razem z tobą. Po prostu zdziwiłam się, kiedy zobaczyłam was razem w poniedziałek.

– Dlatego właśnie chciałem ci szczerze powiedzieć, co do niej czuję. – Czeka na jej reakcję.

– Cóż, dziękuję, doceniam to. I naprawdę się cieszę. – Ton głosu ma szczery, a uśmiech nie znika z jej twarzy. Ale z miejsca, w którym się chowam, nie widzę jej oczu.

Grant przygląda jej się przez chwilę, jakby może zobaczył coś, co każe mu wątpić w jej szczerłość. Ale po chwili uśmiecha się łagodnie.

– Więc między nami wszystko dobrze? Zawsze będzie mi na tobie zależało, Lily. Zawsze.

Możesz na mnie liczyć, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba.

– Bardzo dobrze – mówi lekko, nadal się uśmiechając. Grant przyciąga ją do siebie i przytula. Przez ułamek sekundy widzę, jak Lily mruga, a oczy jej błyszczą. Ona wcale nie uważa, że jest dobrze. Ale niesamowicie dobrze kłamie.

Czuję się jak największa szuja, chowając się za regałem i ich podglądając.

Udaję się do pokoju nauki sporo przed czasem, żeby wziąć się w garść i zdecydować, co z tym wszystkim zrobić. Czemu mi nie powiedział o sobie i Lily? Im dłużej o tym myślę, tym większą czuję frustrację.

Dopiero na dole się orientuję, że bibliotekarka będzie musiała otworzyć mi drzwi. Kiedy jednak docieram na sam koniec, okazuje się, że drzwi do pokoju D nie są zamknięte na klucz. Zapalam światło i wchodzę, aby poczekać w środku. Zostawiam drzwi otwarte, wypatrując Granta.

Nie jestem w stanie spokojnie siedzieć, więc chodzę po pokoju. I myślę... zdecydowanie za dużo.

To oczywiste, że Lily nadal coś do niego czuje. A wobec mnie zachowuje się przyjacielsko i serdecznie. To najśłodsza osoba na ziemi. Co Grant, u licha, robi ze mną? To znaczy nie ze mną, ale... mniejsza z tym. Czuje coś do mnie? Coś poważnego na tyle, że musiał powiedzieć o tym byłej dziewczynie?

Z mojego gardła wydobywa się jęk frustracji. Co ja wyprawiam? Poza tym, że się w nim zakochuję.

– Ja pierdolę – mówię głośno i w szoku zasłaniam sobie usta. Ja pierdolę. Ja pierdolę. Ja pierdolę.

– Zakochuję się w nim – wyrzucam z siebie.

– Nie miałaś tego robić! – wrzeszczę na swoje serce albo duszą, albo tę część mnie, która postanowiła wbrew mojej woli nawiązać więź z Grantem. Definicja miłości Wiewióra wydaje mi się w tej chwili mocno zagmatwana.

Drzwi zamykają się z trzaskiem. Odwracam się, spodziewając się Granta. Ale nikogo nie widzę.

– Co to ma znaczyć? – mówię cicho i podchodzę do drzwi, żeby ponownie je otworzyć. Ale są zamknięte na klucz.

Światło gaśnie.

– Hej! – wołam, waląc pięściami w drzwi. – Kto tu jest? – Czekam. Cisza. – Halo! Otwórz drzwi! – Uderzam w drewno, potrząsam klamką. Nic.

Nic nie widzę. Jest tu tak ciemno, jakby zamknięto mnie w grobowcu.

Puls mi przyspiesza i coraz szybciej oddycham.

Ponownie walę w drzwi.

– Wypuść mnie! – krzyczę na cały głos. – Proszę! Wypuść mnie! – Ostatnie słowo przekształca się w spanikowany szloch. – Proszę!

Kręci mi się w głowie i mam wrażenie, że zaraz upadnę. Przesuwam rękę z drzwi na ścianę. Opieram się o nią plecami i pochylam tak, jak pokazał mi Brendan, oddychając powoli i głęboko. Ale nie jestem w stanie napędnąć płuc powietrzem. Serce mało nie wyskoczy mi z piersi. Nie mogę oddychać. O nie. Nie mogę oddychać.

Osuwam się na podłogę, walcząc o oddech.

••••

– Przestań! – wołam, ale mój śmiech zdradza, że wcale nie mówię poważnie.

Sięga nade mną, a jego tors ociera się o moje piersi, kiedy wysoko trzymam pilot od

telewizora. Ale gdyby chciał, bez problemu by mi go zabrał. Jego usta znajdują się tak blisko moich. Przełykam ślinę.

Piszczę, kiedy zaczyna mnie łaskotać w talii. Od tak dawna się w nim durzę. I tak bardzo liczę, że w końcu mnie pocałuje. Wiem, że jest ode mnie starszy. Ale w końcu wyglądam jak nastolatka, a nie dziewczynka, którą się opiekuje, kiedy moja matka pracuje do późna, a babcia ma nocny dyżur w aptece. Do tej pory widział we mnie tylko dzieciaka z góry. Chcę, żeby się przekonał, iż już nim nie jestem.

Zsuwam się na podłogę.

– Nie będziemy oglądać tego twojego głupiego programu. – Próbuję mu się wyrwać. Śmieję się, nie zdając sobie sprawy z tego, że podciągnęła mi się spódniczka i widać bieliznę.

– Od kiedy nosisz koronkową bieliznę?

Odwracam się i obciążam spódnicę. Policzki mi płoną.

– Widzę, że i stanik już nosisz, co? – Jego spojrzenie prześlizguje się po moich krągłościach.

Mam największe piersi w swojej klasie. To takie krępujące. Próbuję chować je pod workowatymi koszulkami. Ale dzisiaj założyłam obcisłą bluzeczkę. Nietrudno zauważyć, że nie jestem już płaską jak deska dziewczynką z kucykami. Chciałam, żeby to zauważył. Ale teraz, kiedy tak się stało, zaczyna mnie boleć brzuch.

Wczołguje się na mnie. Coś się zmieniło. Moje serce nie bije już z podekscytowaniem. Wali mocno ze strachu.

Nachyla się, żeby mnie pocałować, ale ja odwracam głowę.

– Nie.

– Co? Nie chcesz, żebym cię pocałował?

– Chcę – jąkam się. Ale tak naprawdę wcale nie. Jego oddech na moim policzku wydaje się taki gorący. Wisi nade mną tak, jakby robił pompki. – Nie wiem.

– Wiesz, że chcesz. – Opuszcza się. A ja się obracam, nim zdąży się na mnie położyć, próbując się spod niego wyczołgać. Dociska mnie do dywanu. – Tak, wiem, że chcesz.

– Zejdź ze mnie – krztuszę się. – Nie mogę oddychać.

Ciężki jest. Próbuję go odepchnąć, ale mam za mało siły. Napiera na mnie jeszcze mocniej. Moje płuca nie są w stanie wciągnąć powietrza.

– Nie mogę oddychać. Przestań.

Dłoń prześlizguje się w górę mojego uda i chwyta mnie za pośladek.

– Zejdź ze mnie! – jęczę. Próbuję się uwolnić, ale on jest o wiele większy ode mnie. O wiele silniejszy. Zgniata mnie. Muszę się wydostać. – Zejdź!

Jego dżinsy ocierają się o mnie; czuję go. Jego dłoń chwyta za skraj moich majtek. Pociąga. Ponownie jęczę.

– Nie. Nie. Nie – szlocham. Głos więźnie mi w gardle. Brakuje mi powietrza.

– A ty co, u diabła, wyprawiasz?! – woła moja babcia.

On ze mnie schodzi. Nic już nie przygniata mojej klatki piersiowej, ale nadal nie mogę złapać tchu.

– Wynoś się z mojego domu! – Wychodzi za nim na klatkę schodową. – Ty sukinsynu! Ufałam ci!

Za zamkniętymi drzwiami słyszę stłumione słowa. A potem łomot tak głośny, jakby zeskoczył ze schodów, żeby uciec. I cisza. Leżę zwinięta w kulkę na dywanie, który podrapał mi kolana i łokcie. Płaczę, aż brakuje mi powietrza.

Babcia nie wraca. O tym, że leży martwa na dole schodów, dowiaduję się dopiero, kiedy kilka godzin później słyszę krzyk mojej matki. Ja nadal się nie ruszam.

••••

– Lana?

Otwieram oczy. Światło jest zapalone. Siedzę na podłodze z kolanami podciągniętymi do brody i obejmuję je mocno.

Przedemną kuca Grant. Rozglądam się dziko. Jego twarz. Otwarte drzwi.

Delikatnie kładzie mi rękę na ramieniu.

– Nie dotykaj mnie! – wołam i go odpycham. Wstaje. – Nie dotykaj mnie!

W drzwiach stoi Brendan. Z jego twarzy trudno cokolwiek wyczytać.

Wstaje.

– Po prostu mnie nie dotykaj! – wołam raz jeszcze. Grant unosi ręce i się cofa.

Rzucam się w stronę drzwi. Brendan się odsuwa, żeby mi zrobić miejsce.

Na korytarzu stoi Lance. Kiedy go mijam, przykleja się do ściany.

– Lana! – słyszę wołanie Ashton. Wbiegam po schodach i słyszę jej słowa: – Ja się tym zajmę.

Jestem za wolna. Z mojego gardła wydobywa się urywany szloch. Mam wrażenie, że zaraz eksploduję. Biegnę przez dziedziniec, a gałęzie drapią mi ręce. Potykam się na nierównych kamieniach. Nie zatrzymuję się nawet wtedy, kiedy docieram do akademika. Puszczam się biegiem przez łąkę.

Zeskakuję na klif i uderzam kolanami o twardą powierzchnię. Walę w nią pięściami, raz za razem. Nie czuję bólu, nawet kiedy ranię sobie dłonie i na skałę kapie krew. Krztuszę się krzykiem, który nareszcie znajduje ujście.

Unoszę głowę i krzyczę. Ten krzyk dochodzi z najgłębszych otchłani mojej duszy. Biegnie przez wodę, aż dociera do zachodzącego słońca, które ciągnie go w ciemność. A potem krzyk znika. Moje demony porywa wiatr.

Przewracam się.

Moja głowa upada na kolana. Silne ramiona niosą mi pociechę w chwili słabości. Otula mnie ciepło jej ciała. Kołysze mnie, pocieszając. Przejmując mój ból i czyniąc go swoim.

– Przykro mi z powodu tego, co ci się przytrafiło – mówi mi do ucha. – Z powodu tego, co ci zrobił. – Bo ona wie. – Ja też czasem krzyczę jego imię.

Imię, które krzyczy ona, może być inne od mojego. Ale to ta sama osoba. Ta, która nie słyszała, jak mówimy nie. Przez którą zaczęłam się bić. Która odebrała mi wiarę. I która potem rzuciła na mnie przekleństwo.

„Ufałam ci”, brzmiały ostatnie słowa mojej babci. I to zaufanie ją zabiło.

Rozdział 20

Pewnego dnia Thaylina dostrzegła powiewającą na wietrze zieloną pelerynę, która przemykała pośród drzew. Udała się za nią do lasu, ze sztykletem przymocowanym do uda. Łowczyni podkrađła się do bestii przebranej za mężczyznę, uwodzącego kobietę zmysłową pieśnią.

Ashton odprowadza mnie do akademika. Nie puszcza mojej ręki, mimo że ją zapewniam, iż już mi lepiej. I rzeczywiście tak jest. Każdemu potrzebne takie miejsce, gdzie może się wykrzyczeć.

Ściskam Ashton i zostawiam ją za drzwiami mojego pokoju. Na jej twarzy nadal maluje się niepokój. Próbuję się uśmiechnąć, żeby ją uspokoić... ale słabo mi to wychodzi.

Jestem tak wykończona, że jedyne, co jestem w stanie zrobić, to wziąć prysznic, założyć szorty i bokserkę i wczłgać się do łóżka. Mojego nowego łóżka. Pokój jest spektakularny i pragnę go podziwiać, ale nie potrafię się skupić na tyle, aby docenić tę wspaniałość, jaka jest dziełem Serge'a i Ashton.

Wiem za to, że łóżko jest ogromne i mam wrażenie, jakbym się unosiła na chmurze. Zrzucam stertę poduszek dekoracyjnych (ich nadmiar chyba jest obecnie modny) i wślizguję się pod jasnoszarą, jedwabną pościel. Nade mną wiszą przezroczyste zasłonki, tworzące baldachim. Zostawiam je odsunięte i kładę się na boku.

Małe światełka tańczą na ścianie. Przypominają mi... robaczki świętojańskie. Uśmiecham się. W sumie cieszę się, że mówię Ashton o wszystkim. A przynajmniej wszystkim, co ma związek z Grantem.

Pod ścianą stoi sofa obita granatowym pluszem, a przed nią owalny, lśniący biały stół kawowy. Całości dopełnia pasujący do pościeli srebrzystoniebieski dywan.

Nowe biurko stoi w tym samym miejscu, co poprzednie. To akurat jest chromowane i doczepiono do niego wymyślnie zdobioną biblioteczkę, wysoką aż pod sufit.

Na białych ścianach przepięknym kaligraficznym pismem wypisano czarne słowa.

Szczerość.

Wiara.

Zaufanie.

Życzliwość.

Śmiałość.

Autentyczność.

Honor.

Lojalność.

Szacunek.

Pewność siebie.

Przenikliwość.

Szlachetność.

Perfekcja.

Współczucie.

Przekleństwa. Wszystkie, które ujawniłam Ashton, łącznie z tym, do kogo należą. Pośrodku tego wszystkiego, co nas niszczy, znajdują się mądre słowa Wiewióra. Te, które

powtórzył Grant.

Miłość nie sprawia bólu. Nigdy.

Śmieję się. Ta dziewczyna nie bawi się w subtelności, prawda?

Kiedy już prawie śpię, rozlega się pukanie do drzwi.

– Naprawdę nic mi nie jest – wołam, wiedząc, że to Ashton.

– Otwieraj! – nalega.

Z głośnym jękiem wstaję z wielkiego łóżka i zapalam światło.

Otwieram drzwi i mrugam. Za Ashton stoją Brendan, Lance i... Grant.

– Jak...

Nim kończę zdanie, Ashton wparowuje do pokoju.

– Śpimy dziś u ciebie.

Mijając mnie, chłopcy kiwają głowami. Grant staje przede mną i patrzy mi w oczy. Kiedy uśmiecham się blado, mocno mnie przytula. Znowu chce mi się płakać, ale nie została mi już ani jedna łza. Skrywam twarz na jego klatce piersiowej i też go mocno tulę.

– Ja...

– Nic nie mów – przerywa mi, nim zdążę przeprosić. Ton głosu ma zdecydowany. Więc tylko jeszcze mocniej się do niego przytulam.

– Eee, może zamkniecie drzwi, nim zostaniemy nakryci – odzywa się Lance, padając na sofę.

Grant zamyka drzwi.

– Jak się tu dostaliście? – pytam, po czym patrzę na Granta. – Zwłaszcza ty?

– W ogóle nie wyszedłem – wyjaśnia. – Przywiozła nas Lily, więc powiedziałem, aby odjechała beze mnie i... – Waha się.

– Obiecaliśmy dochować tajemnicy – uzupełnia Lance.

Oglądam się na Brendana, a on puszcza do mnie oko.

– Kolejne z twoich sekretnych przeżyć?

– Chwila. Wiesz o nich? – pyta Lance. Po raz kolejny sprawia wrażenie urażonego, że był wykluczony.

– Długa historia – mówię. – Ale wy nie musicie...

– Przymknij się – warczy Brendan. – Jesteśmy tu i już. Zostajemy na noc. A teraz do łóżka, żebyśmy mogli się poprzytulać.

– Chwileczkę. Eee... – Grant nachyla się ku mnie i szepcze: – Możemy pogadać gdzieś przez chwilę na osobności?

Pokazuję na drzwi do łazienki, którą dzielę z sąsiednim pokojem. Obecnie pustym.

– Tylko nie każcie nam słuchać, jak uprawiacie seks! – woła Ashton.

Grant otwiera szeroko oczy.

– Ubikacje go nie podniecają – odpowiadam z szelmowskim uśmiechem. – Już próbowałam.

Grant śmieje się na wspomnienie dnia, kiedy przyłapał mnie na suszeniu sobie piersi w łazience przy dziewiątym dołku.

Chłopcy tego nie kumają, więc patrzą na mnie jak na wariatkę. Ashton się śmieje, bo oczywiście wie, o czym mówię. Kręcę głową i wchodzę za Grantem do łazienki.

Pierwsze, co robi, to zapala światło.

– Tak dobrze? – pyta, rozglądając się po niedużym pomieszczeniu, w którym znajdują się prysznic i toaleta.

– Tak – zapewniam go z uśmiechem. – Tylko go nie gaś.

– Śmiertelnie się boję pajaków. Twoja klaustrofobia to nic w porównaniu z moją reakcją,

kiedy znajduję jedną z tych rzeczy na sobie.

Śmieję się i wiem, że o to mu właśnie chodziło. Żebym się nie wstydziła swojego ataku paniki w bibliotece.

Kocham tego faceta. Cholera. Głupi Wiewiór i jego magiczne brownie.

Grant mruży oczy i spogląda na moją dłoń. Delikatnie ujmuję moją prawą dłoń i bacznie jej się przygląda. Jest czerwona, spuchnięta i cała poraniona.

– Możesz zginać palce?

– W tej chwili nie. Cała ręka pulsuje i mam wrażenie, że płonie, ale nie wydaje mi się, aby była złamana. – Nie mówię mu, że rozwaliałam już sobie kiedyś rękę... i nadgarstek... co mnie zmusiło do tego, aby się nauczyć odpowiedniego wyprowadzania ciosów.

– Obłożyłaś lodem?

Kręcę przecząco głową.

Grant wystawia głowę z łazienki.

– Ashton, masz lód?

Nie słyszę jej odpowiedzi, bo Grant znowu zamyka drzwi.

– Gniew był zbyt wielki, żeby porozmawiać przez telefon, co?

– Tak – mówię cicho. – Zdecydowanie zbyt wielki.

– Nie chciałbym widzieć tego, co oberwało od ciebie. – Uśmiecha się miękko.

– Nie ruszało się, więc można powiedzieć, że wygrałam.

– Ale czy czujesz się... trochę lepiej? – Patrzy mi w oczy.

– Tak. – I w tym jednym słowie jest więcej szczerości, niż potrafię przekazać. Ale wiem, że Grant widzi to w moich oczach.

– To dobrze. – Przesłupuje z nogi na nogi, po czym mówi: – To pewnie mogłoby poczekać, ale część mnie uważa, że nie powinno.

Milczę.

– Lily i ja byliśmy kiedyś razem.

Opieram się o ścianę.

– Nie powiedziałem ci o tym z powodu twojej zasady. Kiedy mi o tym po raz pierwszy wspomniałaś, nie byłem pewny, co zrobić, bo tylko ze sobą wtedy flirtowaliśmy. No i nie wiedziałem, czy ty i Lily się przyjaźnicie. To znaczy wiedziałem, że na pewno nie przed twoim przyjazdem do Blackwood, bo przecież bym o tobie słyszał. Nie miałem więc pewności, czy ta zasada obowiązuje w tym przypadku. Bo przecież nie przyjaźniłaś się z nią w czasie, kiedy ja i ona byliśmy parą. – Płacze mu się język. To takie cholernie urocze. Postanawiam skrócić jego męki i zamknąć jego usta swoimi.

Grant obejmuje mnie i mocno przytula, jakby w ten sposób mi dziękował. Odsuwam się, nim pocałunek zdąży się przerodzić w coś bardziej namiętnego.

– Wiem. Parker mi dzisiaj powiedział.

Odsuwa się lekko.

– Naprawdę się staram nie być facetem oszalałym z zazdrości, ale czy możesz mi, proszę, wyjaśnić co łączy ciebie i braci Harrison? Rozmawiałem z Wilem...

– Co takiego?

– Aha, tej nocy, kiedy miałaś urodziny. Zapytał, czy mógłby się przespać u Stefana. Powiedział coś o tym, że... – Zamyka na chwilę oczy, a ja unoszę brwi, zachęcając go do mówienia. Wzdycha. – Powiedział, że tak pewnie będzie bezpieczniej. Właśnie do mnie dotarło, co miał przez to na myśli. – Przygryzam wargę, bo ja to wiem. – W każdym razie powiedziałem mu, że jestem tobą zainteresowany i że wiem, iż coś was kiedyś łączyło. I chciałem mieć pewność, że wszystko w porządku, że nie wpłynie to na naszą znajomość ani nie sprawi, że

wasze stosunki staną się napięte.

– Zrobiłeś to? – pytam zdumiona.

– No pewnie. Uznałem, że tak właśnie trzeba. I dlatego powiedziałem dzisiaj Lily o tobie. Chciałem, żeby wiedziała... cóż, co czuję. Dość długo się spotykaliśmy i nadal mi na niej zależy. Ale musiałem być szczery.

– Twoje przekleństwo... – Kręcę głową z niedowierzaniem. – A przecież Lily i ja to kompletne przeciwieństwa. Na pewno nie jestem dla ciebie tylko pocieszeniem po niej?

Grant się śmieje.

– Serio? – Kiwam głową, a on poważnieje. – Na pewno. Rozstaliśmy się w grudniu. I powodem, dla którego postanowiliśmy zakończyć nasz związek, było to, że Lily nie była ze mną szczerą. Odsuwała się ode mnie i nie wiedziałem dlaczego.

– Oboje postanowiliście to zakończyć, nie tylko ona?

– Dużo rozmawialiśmy i razem podjęliśmy taką decyzję po tym, jak jej powiedziałem, że czuję się odsunięty na boczny tor. Nie potrafiła wytłumaczyć, co się z nią dzieje i była niechętna do zwierzeń. Wiedziałem, że ma to jakiś związek z jej rodziną. Ale nie byłem w stanie jej wspierać i być częścią jej życia, jeśli mnie do siebie nie dopuszczała. A szczerść jest dla mnie bardzo ważna.

– Wolałbyś pełną, nieokrojoną, dobitną, czasem okrutną i zawsze sarkastyczną prawdę?

– Zdecydowanie – zapewnia Grant i obdarza mnie jednym z tych swoich promiennych uśmiechów.

– Niewykluczone, że jesteś idiotą – chichoczę.

Śmieje się głośno.

– Idiotą? Więc to znaczy, że ty także?

Mrużę oczy z konsternacją.

– Podczas naszej pierwszej rozmowy oświadczyłaś, że musiałabyś być idiotką, żeby się zako...

– Och! – przerywam mu. – Och! – Płuca mi się zapadają. – Eee... – Próbuję głęboko odetchnąć. – Yyy.

Śmieje się z mojej nieumiejętności wypowiedzenia jednego zrozumiałego słowa.

– Lano, przyznaję, jestem idiotą.

– O-kej. – Oddycham z trudem, a serce ściska się boleśnie, bo tak szybko bije... w moim gardle. – No więc... – Fatalna próba zmiany tematu po tym, jak Grant mi wyznał, że się we mnie zakochał. – Parker i ja jesteśmy ze sobą blisko, ale tylko jako przyjaciele. Harrisonowie, cała rodzina, ma w sobie ten dziwny gen opiekuńczości i z nieznanых powodów opiekują się mną. Można powiedzieć, że jestem na nich skazana.

Nie komentując tej niezdarnej zmiany tematu, Grant pyta:

– Dlatego Lance jest twoją przyzwoitką?

– Tak. Jego ojciec...

Przerywa mi głośne walenie w drzwi.

– Ubierać się! Muszę skorzystać z łazienki! – woła Brendan.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę! – odkrzykuję.

– A z nim o co chodzi? – pyta Grant, wskazując głową drzwi.

– Jest złem koniecznym.

Chichocze. Następnie nachyla się i delikatnie mnie całuje.

– Oblóżmy ci lodem dłoń.

Kiedy wychodzimy, Ashton i Brendan sprawiają wrażenie rozczarowanych tym, że nie jesteśmy zarumienieni, a nasze ciuchy nie są w nieładzie. Lance jedynie mierzy Granta nieufnym

spojrzeniem, jakby próbował ocenić, czy jego zamiary są honorowe. Poważnie, ta jego nadopiekuńczość staje się coraz gorsza. I chyba zapomina, że jest o rok ode mnie młodszy.

Siadam na łóżku obok Ashton, a ona przykłada mi do ręki woreczek z lodem i zabezpiecza go bandażem. Zmusza mnie także do łyknięcia dwóch ibuprofenów.

– Jeśli rano nie będzie to lepiej wyglądać, powinniśmy iść do kliniki na prześwietlenie.

– Mają tu rentgen? – pytam ze zdziwieniem.

– Oczywiście – odpowiada Ashton. – Wszelkie informacje natury medycznej chcą utrzymywać w tajemnicy. Na ile się tylko da. Media uwielbiają takie tematy.

– A myślałem, że to w Printz-Lee mają hopla na punkcie prywatności – mówi Grant.

– Och, nie masz pojęcia – oświadcza Lance. Pod głową ma jedną z dekoracyjnych poduszek i przykrywa się kocem, którego wcześniej nie widziałam. – Zaklepuję sofę. Nie zamierzam zbliżać się do łóżka, gdzie kotłuje się wasza czwórka.

– Lance! – besztam go. – My nie...

– Mów za siebie – odzywa się Brendan, myjąc ręce w umywalce na podeście.

– Masz zostać w spodniach – oświadczam groźnie.

– Chodźcie – mówi Ashton, odchylając kołdrę. – Śpimy na łyżeczki, więc wskakuj, Lana.

Grant zdejmuje buty i skarpetki i w szortach i T-shircie kładzie się pod samą ścianą. Brendan gasi światło, a ja wślizguję się obok Granta, twarzą do niego, natomiast Ashton przytula się do mnie na łyżeczkę. I nie chcę myśleć o Brendanie po jej drugiej stronie. Mieścimy się... ledwo ledwo.

– Masz niesamowity pokój. – Grant skupia się na suficie. Przechyliam głowę i dostrzegam maleńkie światełko, migające nad łóżkiem niczym gwiazdy.

– Ashton to dla mnie zrobiła – wyjaśniam, a ona mocniej mnie obejmuje w talii.

– Podoba ci się? – pyta i wydaje się niemal zdenerwowana, co jest zupełnie nie w jej stylu. Dopadają mnie wyrzuty sumienia. Już dawno powinnam coś powiedzieć.

– Jestem zachwycona. Dziękuję ci. Nie widziałam jeszcze wszystkiego, ale jest niesamowity.

Grant siada, bo dostrzega przeciwną ścianę.

– Czy to...? – Nie kończy. Patrzy na świetliki. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ashton chichocze.

– Ty wiesz? – pyta Grant, ponownie się kładąc.

– Ja wiem wszystko, więc lepiej się do tego przyzwyczaj.

Grant się śmieje.

– Wszystko? – pyta niespokojnie Brendan i mam go ochotę udusić.

– Ale co? – dobiega od strony sofy.

– Taką mam nadzieję – mówi Ashton. – Czego nie wiem?

– Czego ja nie wiem? – pyta Lance. – O co, u licha, chodzi?

Nie mogę otworzyć ust. Moje milczenie stanowi dla Brendana zapewnienie, że nie powiedziałam Ashton tego, co uzgodniliśmy, że pozostanie między nami. Więc mówi:

– Oboje wiecie wszystko, co macie wiedzieć.

Lance coś tam burczy, niezadowolony z takiej odpowiedzi.

– Czemu Ashton odnowiła twój pokój? – pyta Grant.

Zgodnie milczymy.

– Hej, co się stało? – Wspiera się na łokciu, czekając, aż ktoś mu odpowie.

– Jutro ci powiem – zapewniam go i kładę mu rękę na ramieniu.

– O wielu rzeczach nie wiem, prawda? Wasza czwórka zachowuje się tak, jakby łączyła was jakaś więź, no nie? – pyta, dostrzegając coś, co mi umknęło. Ale ma rację. Wiąże nas coś

niewytłumaczalnego. Może zetknęło nas ze sobą przeznaczenie... ale najpierw musiałabym w nie wierzyć.

– Sądziłem, że to moim przekleństwem jest Przenikliwość – odzywa się Brendan.

– Skąd ty... – Ale nie muszę przecież pytać o to, skąd wie o przekleństwach. Ashton mu powiedziała.

– Czy tak się zachowują dziewczyny, kiedy u siebie śpią? – pyta Lance. – Twierdzą, że idą spać, a potem gadają przez całą noc?

– Czyżbyśmy nie pozwalali ci zasnąć? – cmoka drwiąco Brendan.

– Nadal widniejesz na mojej liście podejrzanych – oświadcza Lance.

– Liście podejrzanych? – pyta Grant.

– Jutro – odpowiadamy jednym głosem. A potem wybuchamy śmiechem.

Grant ujmuje moją zdrową dłoń. Oczy mu błyszczą w tym migającym świetle. Mam ochotę go pocałować, ale wolę nie ryzykować, mając za sobą Ashton i Brendana. Więc po prostu leżymy, prowadząc bezgłośnie rozmowę za pomocą subtelnych drgnięć ust, uniesień brwi, błysku w oczach. Aż w końcu jedno z nas, nie wiem nawet które, zamyka oczy i zapada w sen.

Czując się bezpiecznie z Ashton za sobą, z Brendanem i Lance'em oddychającymi miarowo w tle i ręką Granta obejmującą moją, szepczę:

– Ja też jestem idiotką.

Unoszę powiekę i widzę, że usta Granta wyginają się w szerokim uśmiechu.

••••

Delikatne światło sączy się przez okna. Otwieram oczy i przekonuję się, że Ashton się we mnie wpatruje. Do moich pleców przytula się Grant, a do Ashton Brendan z twarzą schowaną w poduszce.

Przyjaciółka uśmiecha się promiennie, kiedy mrugam, nieco przestraszona tym, że obserwowала mnie śpiącą.

– Sorki za poranny oddech – szepcze.

– Nie czuję, ale może na wszelki wypadek zostań tam, gdzie jesteś.

Najciszej, jak potrafi, szepcze do mnie:

– Super. – Wskazuje głową na mnie i Granta, wtulonych w siebie. – Naprawdę się staram nie używać słowa „razem”. Ale poważnie, odpuść sobie.

Staram się nie roześmiać, żeby nie obudzić Granta.

Patrzę na nią i Brendana. Uwielbiam ją. Jego niekoniecznie. Więc nie rozumiem, co może ją w nim pociągać.

– Udawaj, że ich tu nie ma, i odpowiedz mi szczerze. Co lubisz w Brendanie? Bo ja tego nie łapię.

– Kiedy nie zachowuje się jak egoistyczny dupek, potrafi być fajnym, troskliwym facetem. A mili faceci są nie dla mnie, pamiętasz? – Ashton się krzywi, kiedy Brendan mocniej ją obejmuje w pasie. A potem pyta: – A ty co lubisz w Grancie?

– To, że nie potrafi być egoistycznym dupkiem.

Czuję, że trzęsie się za mną ze śmiechu.

– A co lubicie we mnie?! – woła Lance. Wygląda na to, że wszyscy już nie śpią i słuchają.

– Udawaj, że go nie słyszałaś – szepcze głośno Ashton. Uśmiecham się. Głośno pyta:

– A Lance? Co w nim lubisz, Lano?

Mówię na tyle głośno, żeby Lance mnie usłyszał.

– Hmm... nie dyma przyjaciół, a wobec tych, których dyma jest super słodki i w życiu by ich nie skrzywdził. Bo jest szlachetny i zrobi wszystko, żeby nie sprawić im bólu.

Lance jęczy.

– Kaely wie, co czuję. Więc się odwalcie.

Ashton i ja się śmiejemy.

– Wy rzeczywiście jesteście opiekuńcze względem przyjaciół, prawda? – szepcze Grant.

– Ćśś – syczy Ashton. – Ciebie tu nie ma.

W pokoju rozlega się gromki śmiech.

– Powinniśmy się zbierać – oświadcza Brendan, wstając z łóżka. Ashton protestuje. On się nachyla i całuje ją w policzek. – Musimy stąd zniknąć, nim obudzi się reszta kampusu. – I dodaje: – I dlaczego, u licha, przekleństwo Lance’a to Szlachetność, a Granta Prawość, podczas gdy mnie przypada Przenikliwość? – Wydaje się rozżalony.

– To nie ja je wymyślałam – odpowiadam. – Jesteś przecież profesjonalnym stalkerem.

– Co takiego? – Grant wystawia głowę ponad moim ramieniem i patrzy groźnie na Brendana.

– Ona żartuje – mówi Brendan, próbując go uspokoić.

– Nie do końca – wtrąca Lance’a.

– Później ci to wytłumaczę. – Całuję rękę Granta. – Ale naprawdę powinniście już iść.

I tak jestem tu na cenzurowanym.

– Dlaczego? – pyta zaniepokojony Grant.

– Wow, ty rzeczywiście nic mu nie mówisz – rzuca oskarżycielsko Brendan. Posyłam mu groźne spojrzenie, a on odpowiada tym swoim aroganckim uśmiechem.

Grant całuje mnie w czoło i wyczołguje się z łóżka. Włosy ma potargane, koszulkę wygniecioną. Według mnie w takim wydaniu wygląda jeszcze bardziej niesamowicie niż zazwyczaj. Nawet bardziej niż w garniturze. Chociaż może jednak nie.

– Rozbierasz go właśnie wzrokiem? – pyta Ashton. Unoszę rękę, żeby zasłonić jej usta. Ale ponieważ to lewa ręka, kończy się tak, że uderzam ją w czoło.

– Ałć! – wykrzykuje. – Za co?

Grant chichocze.

– Jesteście... sam nie wiem. Ale się cieszę, że mogłem się o tym przekonać. – Skupia swoją uwagę na mnie. – Pracujesz w klubie po południu czy wieczorem, podczas imprezy?

– Wieczorem – odpowiadam, licząc, że on także.

– Ja też! – woła Ashton.

– Chyba my wszyscy – mówi Brendan, po czym zerka na Lance’a. – Z wyjątkiem tego oto pięknisia. Jak ci się udało wykręcić od pracy... – I milknie, bo dociera do niego, że jest wśród nas nowa osoba, która nie wie, że wszyscy mamy do odpracowania grzywny sądowe. Polityka prywatności Blackwood sprawia, że reszta świata nie zna prawdy dotyczącej wymogów przyjęcia do tej szkoły.

Grant ma świadomość, że Brendan urwał z jego powodu.

– To kolejna rzecz, którą później mi wytłumaczysz? – pyta mnie.

Patrzę na pozostałych, pytając o pozwolenie.

– Tylko, jeśli zostanie na dłużej – odzywa się Lance.

Otwieram szeroko oczy.

– Słucham?

– Nie dowie się, chyba że wy dwoje to coś poważnego. Jeśli chce należeć do grupy i znać nasze sekrety, nie może być tylko przelotną przygodą.

Wszyscy wparują się we mnie wyczekująco, łącznie z Grantem.

– Wieczorem porozmawiam z tobą, ok? – mówię, nie wyrażając na nic zgody.

Kiwa głową.

Po tym, jak chłopcy wychodzą, patrzę na Ashton i przygryzam nerwowo wargę.

– Co mam mu powiedzieć?

Wzrusza ramionami, jakby odpowiedź była prosta.

– Prawdę.

Rozdział 21

Bestia nie widziała zakradającej się dziewczyny, zbyt pochłonięta mlecznobiłą skórą przed sobą. W chwili, kiedy obnażyła kły, aby wbić je w kobiece ciało, Thaylina zaatakowała. Jej sztylet wbił się głęboko, przebijając czarne serce. Zaskoczona bestia otworzyła szeroko oczy.

Imprezą odbywającą się w country klubie jest wesele. Nie wiedziałam nawet, że są tu one organizowane, no ale przecież nie tym się do tej pory zajmowałam.

To pierwsze wesele, na którym mam okazję być, i jest... surrealistycznie. Patrzenie, jak nowożeńcy tańczą, jak rodzina pije i świętuje. Wszyscy są tacy... szczęśliwi. Cóż, jest parę osób zajmujących najdalsze stoliki, którzy wyglądają na nieszczęśliwie zadowolonych... i pijanych. Pewnie dlatego trafili na Syberię. Ale generalnie ta uroczystość to śmiech i radość. Gdybym nadal była tą dziewczyną sprzed magicznych brownie, może bym zawołała, że to wszystko jest kłamstwem. Że ich małżeństwo nie potrwa dłużej niż czas, który jest potrzebny pannie młodej na zmianę nazwiska czy kart kredytowych.

Nie mogę powiedzieć, że się nawróciłam. Owszem, tak jakby wyznałam Grantowi, że się w nim zakochałam. Ale to nie znaczy, że wierzę w to, iż miłość wszystko zwycięża i że istnieje taka do grobowej deski. Nadal zachowuję nieufność.

– Śluby niesamowicie mnie nakręcają – przyznaje Ashton, kiedy patrzymy, jak młoda para kroi tort i karmi się nim nawzajem.

– Jesteś pewna, że to nie trzy piętka czekoladowego tortu? – przekomarzam się.

– Cóż, to też. Ale to takie... romantyczne.

Krzywię się.

– Naprawdę? Sądziłam, że pokonałyśmy tę fobię.

– Sorki. To odruch. – A skoro mowa o romantycznych fobiach... – Gdzie Brendan?

– Odprowadza samochody na parking. – Oczy jej rozbłyskują. – Chyba potrzebuję piętnastominutowej przerwy.

Tym razem krzywię się otwarcie.

– Błagam, przynieś chusteczki dezynfekujące.

Wszyscy kelnerzy otrzymują sygnał, aby wrócili do kuchni.

– Potrzebuję wszystkich do pomocy przy torcie – mówi mi Nancy, kierowniczka tej imprezy.

Mijam pomieszczenie tuż obok sali jadalnej, gdzie mieści się bar. Stefan i Grant serwują napoje i gawędzą z gośćmi. Kiedy przechodzę, Grant unosi głowę i posyła mi uśmiech. Nie mam pojęcia, skąd to wie, wyczuwa, że jestem w pobliżu? Odpowiadam promiennym uśmiechem, bo... jestem idiotką.

••••

Kiedy Ashton wraca, posyłam jej spojrzenie pełne odrazy. Ona z kolei cała jest rozpromieniona.

– Chcę być dobrą przyjaciółką i zapytać o ciebie i Brendana, ale jednocześnie nie sądzę, aby mój żołądek poradził z tym sobie poradził.

– A tak w ogóle to o co chodzi z waszą dwójką? – pyta Ashton. – Zachowujecie się jak

dzieci.

– On jest po prostu... – wystawiam język z odrazą – ... wstrętny.

Śmieje się.

Za nami pojawia się Grant.

– Hej. – Robimy mu miejsce między nami, przestrzegając obowiązującej nas zasady, aby „nie odwracać się tyłem do gości”. – No więc Nancy dała mi wolne na dzisiaj i powiedziałem jej, że odwiozę cię do szkoły. – Na jego twarzy dostrzegam szelmowski uśmiech. – Chcesz się wcześniej urwać?

– Mogę? – pytam Ashton.

Nie mam przyzwotki, czyli Lance’a, który robiłby to, co powinien podczas... bycia przyzwotką. Czyli wrzeszczał na mnie, kiedy biję palantów, i śmiał się, kiedy jestem na haju. Więc jest bezużyteczny, a w towarzystwie Granta generalnie zachowuję się lepiej niż przy którymkolwiek z braci Harrison.

Ashton przez chwilę się zastanawia.

– Każę Brendanowi napisać do was, kiedy będziemy wyjeżdżać – mówi do Granta.

– Tym sposobem przyjedziecie mniej więcej w tym samym czasie, co my. Powiemy im, że musieliśmy zostać trochę dłużej, żeby posprzątać. Nie wiem. Brendan jest w tym lepszy, ale nie martwcie się, coś nakłamiemy.

– Dziękuję. – Ściskam ją. – Jesteś moją ulubioną kłamczuchą.

– Nie zapomnij chusteczek dezynfekujących! – woła za mną. Pokazuję jej język i udaję się za Grantem do komputera, żeby się wylogować.

– Co to znaczy? – pyta. – Jakaś aluzja do seksu?

Oblewam się rumieńcem.

– Tak jakby.

– Nie rozumiem – przyznaje.

– Kiepski żart i tyle.

– Chcesz jechać na polanę ze świetlikami? Mam w samochodzie koc.

– Tylko, jeśli pozwolisz mi prowadzić.

– Masz prawko?

– Nie. Ale umiem prowadzić.

Waha się.

– Nie umiesz pływać, ale umiesz prowadzić samochód?

– Naprawdę chcesz wiedzieć, jak się tego nauczyłam?

– Było to niezgodne z prawem?

– Tak.

– To może nie powinienem tego wiedzieć. Na razie. – Robi głośny wydech i wyjmuję kluczyki. – Jak twoja ręka?

– Boli, ale mniej. Nie przeszkodzi mi to w jeździe, obiecuję – mówię ochoczo.

– A umiesz zmieniać biegi?

Kiwam głową. Błyszczą mi oczy. Grant podaje mi kluczyki, przygląda im się przez chwilę, po czym w końcu je puszcza. Zarzucam mu ręce na szyję i piszczę jak Kaely.

– Co wy tu jeszcze robicie? – pyta Nancy. – Skoro nie chcecie wcześniej wyjść...

– Już uciekamy – przerywa jej Grant.

– Spotkamy się na parkingu – mówię do niego, po czym udaję się do szatni, aby się przebrać.

Kiedy wyjeżdżamy, Grant próbuje zachować spokój. Po kilku zmianach biegów jakoś się przyzwyczajam do drążka. Grant zaciska usta za każdym razem, kiedy rozlega się jakiś zgrzyt

albo auto wrywa się do przodu. Ale szybko wszystko ogarniam i wkrótce mkniemy drogą otoczoną lasem. Powoli zmierzcha. Gdyby było ciemno, pewnie nie pozwoliliby mi prowadzić.

Wkrótce Grant się przekonuje, że jeśli nie chce chwytać się za drzwi, kiedy gwałtownie skręcam, potrzebuję czegoś więcej niż rzuconego w ostatniej chwili „skręć tu”. Kiedy w końcu docieramy do polany ze świetlikami, wypuszcza głośno powietrze, jakby przez całą drogę wstrzymywał oddech.

– Kto cię uczył jeździć? – pyta, wysiadając z samochodu. Bierze kolejny głęboki oddech, żeby się uspokoić.

– Eee, sama się uczyłam – odpowiadam. – Chcesz wiedzieć resztę?

– Mów.

– Jeden z braci mojej najlepszej przyjaciółki kradł samochody tylko po to, żeby się nimi przejechać. Czasem mu towarzyszyłyśmy. I czasem pozwalał nam prowadzić.

– Miałaś bardzo interesujące dzieciństwo, prawda, Lano?

Nie wiem, czy rzeczywiście tak lekko podchodzi do moich nielegalnych eskapad, czy też tak dobrze skrywa szok.

– Może nie powinieneś wiedzieć zbyt wiele o moim kolorowym życiu – mówię. Grant wyjmuje z bagażnika koc i bierze mnie za rękę. Razem idziemy na łąkę. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że pochodzimy z zupełnie innych światów, prawda? No wiesz, o ludziach takich jak my piszą książki i robią głupie filmy. W naszym przypadku banał goni banał.

Rozkłada koc i siada, czekając, aż do niego dołączę.

– Dlaczego? Bo ja pochodzę z tradycyjnego domu, a twój jest trochę bardziej... niezależny?

– Jeszcze nikt tak ładnie nie opisał mojego szalonego życia – śmieję się. – No ale w sumie mniej więcej to samo powiedziała Ashton, kiedy nazwała nas ND, niegrzecznymi dziewczynkami.

Posyła mi pytające spojrzenie.

– Generalnie chodzi o to samo – wyjaśniam. – Moja matka i ja nie mamy typowej rodzicielskiej relacji. Może dlatego, że była taka młoda, kiedy mnie urodziła. A może dlatego, że szybko musiałam dorosnąć. – Moim ciałem wstrząsa dreszcz.

Grant pociera moje ramiona, żeby mnie rozgrzać, sądząc, że jest mi zimno.

– Po śmierci babci musiałam pomagać w opłacaniu rachunków, więc ostatnie lata były naprawdę szalone. I wcale nie pomagała moja skłonność do wdawania się w bójki.

– Ale masz ludzi, którzy się o ciebie troszczą, tak? Mama? Przyjaciółki?

– Tak. Moja mama jest osobą serdeczną i wielkoduszną. Martwię się o nią, bo inni to wykorzystują. Kocham ją, więc robię, co w mojej mocy, żeby ją chronić.

– Nie powinno być na odwrót?

– Może w twojej bajce. W mojej opiekujemy się sobą nawzajem. A skoro ja jestem tą bardziej cyniczną i nieufną, muszę ją chronić przed nią samą.

– To znaczy?

– Przekleństwem mojej matki jest *Wiara*. Wierzy, że prawdziwa miłość w końcu ją odnajdzie. Ale tak się nigdy nie stanie. Tyle razy miałam okazję widzieć, jak wierzy, że znalazła tego jedyne. Ale on w końcu i tak łamał jej serce, a kiedy odchodził, zabierał ze sobą część jej. Pewnego dnia nie zostanie jej nic, co mogłaby komuś dać.

Grant milczy.

Zastanawiam się, czy nie powiedziałam za dużo. Ale przecież mówił, że woli szczerość... nawet jeśli jest nieocenzurowana.

– Więc te przekleństwa to coś, czego pragniemy najbardziej?

– Mniej więcej. To cecha, którą cenimy ponad inne. Moim przekleństwem jest Szczerłość, więc nie umiem kłamać. Twoje to Prawość, dlatego że zawsze robisz to, co jest moralnie akceptowalne.

– Ale dlaczego są to przekleństwa?

– Dlatego, że to jednocześnie nasze słabości. Na przykład... Może pewnego dnia będziesz zmuszony do podjęcia decyzji stanowiącej wyzwanie dla twojej prawości. Ale potem trudno ci będzie żyć z takim wyborem.

– A ty...

– Prawda już teraz rujnuje mi życie. To ona jest powodem, dla którego znalazłam się w Blackwood. – I szybko dodaję, nim Grant zdąży się odezwać: – Błagam, nie pytaj mnie o to. Nie mogę powiedzieć.

– To coś aż tak złego?

– To jedna z kilku prawd, które muszę chronić. Mam nadzieję, że nie na zawsze, ale na pewno w tej chwili.

– Chronić? – pyta. – Więc to musi mieć związek z kimś innym.

Nie odzywam się.

– Ty nie postrzegasz świata i pewnie nawet nie żyjesz tak, jak reszta nas.

Zrywam źdźbło trawy.

– Dlatego tak mnie do ciebie ciągnie, wiesz? Zachowujesz uczciwość w kwestii tego, kim jesteś. Nie przepraszasz. Nie tłumaczysz się. Jesteś inna niż wszyscy, których znam. Mówiłaś, że masz kolorowe życie, no i jest tak, że... ty jesteś kolorowa. Są w tobie wszystkie kolory tęczy. Nie wiem, jak inaczej to opisać. – Śmieje się. – Mówiłaś mi, że z nikim nie jesteś tak szczerą, jak ze mną, i nie mam pewności dlaczego tak się dzieje, ale chcę usłyszeć twoje prawdy.

– Teraz. Grant, znajomość prawdy nie zawsze wychodzi ludziom na dobre.

Przez chwilę rozważa moje słowa.

– Ale także nie zawsze na złe.

– Zlizywałeś ciasto z miski, w której Wiewiór wyrabiał brownie? Bo zacząłeś zupełnie inną rozmowę, na którą będę gotowa, dopiero kiedy zjem jeszcze jedno ciastko.

Grant się śmieje.

– Mówię po prostu, jak jest. Albo to akceptujesz i w razie potrzeby wybaczasz... albo nie. W sumie to proste.

– Naprawdę za dużo przebywasz z Wiewiorem – przekomarzam się.

Obraca mnie tak, że siedzę przodem do niego.

– Ufam ci.

Wpatruję się w niego w oszołomieniu.

– Słucham?

– Ufam ci. – Opuszcza mnie tak, że leżę z głową na jego kolanach i patrzę mu w twarz. Grant przesuwa palcem po moim policzku, odsuwając na bok luźne pasma włosów.

– Skąd się to wzięło?

– Nie wiem. Ale musiałem ci to powiedzieć. – Uśmiecha się do mnie. – Więc rzeczywiście nie wierzysz w prawdziwą miłość?

– Prawdziwą miłość? A co to w ogóle znaczy? Ledwie jestem w stanie wypowiedzieć słowo „miłość” bez odruchu wymiotnego.

– Wow – śmieje się Grant. – Okej.

Siadam i patrzę mu w oczy.

– Nie wiem... nie sądzę, aby istniało coś takiego jak prawdziwa miłość. To wszystko iluzja, którą sprzedaje się nam w księgarniach i kinach, abyśmy mieli nadzieję na własne „żyli

długo i szczęśliwie”. Aby nas przekonać, że miłość to jedyne, czego potrzebujemy, aby rozwiązały się nasze problemy.

– Zamierzasz zacząć śpiewać? – chichocze.

Daję mu żartobliwego kuksańca w bok.

– W każdym razie nie wierzyłam w nią.

– Czas przeszły? A teraz?

– Cóż... podczas tej jazdy po magicznych brownie, usłyszałam coś, co powiedział Wiewiór. Jego wyjaśnienie miało sens i nie mogę uwierzyć, że to rzeczywiście mówię. Ale miało. Większy, niż wszystko, czym mnie do tej pory karmiono. Kiedy powiedział, że miłość to nie jest coś, co otrzymujemy z zewnątrz. Że nie potrzebujemy innej osoby, aby jej doświadczać, bo... my nią jesteśmy. I ja to zrozumiałam. Żałuję jedynie, że nie nazwał tego jakoś inaczej. Bo dla wszystkich innych miłość to romantyczne gesty i czekanie na rycerza na białym koniu. Widziałam już, co coś takiego potrafi zrobić z człowiekiem.

– Masz na myśli swoją matkę? – pyta cicho.

Kiwam głową.

– Nie stanę się taka jak ona. – Robię długi wydech. – Prawdziwa miłość to bzdura.

Rozlega się niski, głęboki śmiech Granta, który tak uwielbiam.

– W takim razie ja pozostanę idiotą. – Uśmiecham się do niego, a on posyła mi spojrzenie pełne czułości. – Jeśli naprawdę ci to przeszkadza, nie będę tego mówił.

Przełykam ślinę.

– Nie masz wrażenia, że to wszystko dzieje się za szybko? Znamy się dopiero od kilku tygodni. Skąd możemy wiedzieć, że to coś prawdziwego?

Grant podnosi wzrok na świetliki i przez chwilę im się przygląda. Boję się, że znowu okazałam się zbyt szczerą. Nie chcę traktować lekceważąco tego, co się dzieje między nami, bo wiem, że to *coś*. Jestem tym pochłonięta i mimo że słowo „miłość” doprowadza mnie do szału z powodu jego komercjalizacji, wiem, skąd ta więź. Ale... minęło dopiero kilka tygodni, więc jak to możliwe? Jak mogę wierzyć, że to, co się między nami dzieje, przetrwa? Skąd mam wiedzieć, że okaże się na tyle silne, aby przetrwać wszystko? Nawet coś tak prostego jak rozpoczęcie roku szkolnego?

– Jak długo znasz Ashton? – pyta, nadal skupiony na robaczkach świętojańskich.

– Tak długo jak ciebie.

– I mówisz jej wszystko, tak? Zaufałaś jej i powierzyłaś swoje prawdy?

– Większość.

Odwraca się w moją stronę.

– Ale zależy ci na niej. Pragniesz ją chronić. Gdybyś używała tego słowa, to może nawet ją... kochasz?

Kiwam lekko głową.

– Mnie znasz równie krótko. Dlaczego więc z nami jest inaczej? Kiedy nawiązujesz z kimś więź, czas nie ma znaczenia. Masz wrażenie, jakbyś znała tego kogoś od zawsze. I choć nie znam szczegółów, na przykład kiedy straciłaś pierwszy ząb albo jaki smak lodów lubisz najbardziej, znam ciebie. Reszta to tylko... cóż, detale. Najważniejsze jest uczucie, które siedzi we mnie i mówi, że mogę ci ufać. Że jesteś dobrym człowiekiem. Ono pozwala mi widzieć w tobie coś więcej niż cynizm i dostrzec, że tak naprawdę wierzysz w miłość. Po prostu nie lubisz, jak inni ludzie ją wykorzystują. Łączy nas więź, Lano, i pomimo naszego pochodzenia, tego, kim są nasi rodzice albo co robiliśmy miesiąc temu, doprowadziła nas ona do tego miejsca... razem. I według mnie to cholernie niesamowite, wiesz? Ponieważ jeszcze do niedawna nie wiedziałem o twoim istnieniu. Ale w chwili, kiedy cię poznałem, poczułem, że w moim życiu

jesteś obecna od zawsze. Więc nie musimy mówić o miłości, wystarczy, że będziemy ją czuć.

Serce wali mi tak mocno, że zastanawiam się, czy Grant je słyszy.

Jego słowa unoszą się w powietrzu między nami. Pochodzą z miejsca, które jest takie prawdziwe i szczere; mam wrażenie, jakbym mogła unieść rękę i ich dotknąć, zamknąć w dłoni każdą literę i w nie wierzyć.

– Ja też to czuję.

Opuszkami palców muskam linię jego żuchwy, kości policzkowe, włosy. Grant zamyka oczy, absorbując mój dotyk. Nachylam się i smakuję jego usta. Delikatnie i powoli, ledwie muskając je wargami. Oddech Granta się rwie. Jego dłonie opierają się na mojej talii i przyciągają mnie do siebie, aż zmieniam pozycję i umieszczam kolana po obu stronach jego ud. Unosi lekko powieki, jakby śnił – jego oczy wwiercają się we mnie, docierając aż do samego sedna mojego jestestwa.

Bicie serca wyczuwam w całym swoim ciele, nawet w palcach u stóp. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy, po czym opuszczam powieki i ponownie odnajduję jego usta. Tym razem napieram mocniej i muskam językiem jego dolną wargę. Jego dłonie gładzą moje plecy i tulą mnie tak, jakbym była najcenniejszym, czego miały okazję dotykać. Czuję, jak jego serce bije w równym rytmie z moim. Jego usta prześlizgują się w dół, na szyję, skubiąc i przygryzając wrażliwą skórę. Wsuwam palce w jego włosy i wtulam się w niego mocniej, bliżej, intensywniej.

Kładzie mnie na plecach i przyszpila do koca swoim spojrzeniem. Czuję się pod nim obnażona, ale nie uciekam wzrokiem. Pozwalam, aby na mnie patrzył, bo to właśnie jest prawda. I tak jak powiedział, nie da się jej zmienić. Jego usta lądują na moich i nasze pragnienie przekształca się w szaleńcze pożądanie. Jego dłoń muska skraj mojej sukienki. Odsuwa się, po czym unosi materiał.

– Mogę?

– Tak.

Ściąga mi ją przez głowę. I nim zdąży zapytać, sama zdejmuję stanik. Jego dłonie są ciepłe, język delikatny. Chwytam za brzeg jego koszulki i pytam:

– Mogę?

– Tak – odpowiada z uśmiechem.

Ma gładki, pięknie umięśniony tors. Prześlizguję się dłońmi po każdym centymetrze, a w ślad za nimi wędrują moje usta. W końcu nasze wargi ponownie się spotykają. Jego serce styka się z moim, ciało przy ciele. Przysięgam, że ze sobą rozmawiają, komunikują się, zawierają pakt.

Kiedy sięgam do jego spodni, waham się, czekając na pozwolenie. Nim jednak zdążę zapytać, on mówi:

– Jeszcze nie.

Zamiast tego kładzie się obok mnie i przytula do siebie, tak że słucham bicia jego serca.

– Ja tobie też ufam – oświadczam i całuję miejsce, gdzie jego serce mówi mi prawdę.

Rozdział 22

Thaylina pochylała się nad ciałem bestii, leżącej martwej na leśnym runie. Nie widziała przystojnej twarzy ani czarującego uśmiechu. Widziała prawdę, przerażającego potwora. Zbliżyła usta do jego ucha i syknęła:

– Pragnęłam tego.

Jęcę, pragnąc, aby ten sen trwał i trwał – świetliki i... cóż, Grant.

„Proszę natychmiast przyjść do gabinetu w budynku administracyjnym”.

Nie jest to dobra wiadomość na dzień dobry.

Od razu biegnę myślami ku mamie. Że jest chora albo że przytrafiło jej się coś niedobrego.

Gramolę się z łóżka i zaczynam się ubierać. Kiedy zakładam przez głowę koszulę, dociera do mnie, że być może przyszły wyniki testu na obecność narkotyków. Ale nie za szybko na nie? Nie miałam dotąd testu z krwi, ale wydaje mi się, że za szybko.

Bez względu na powód jestem pewna, że mój początek dnia okaże się beznadziejny. Potwierdza się to, kiedy wchodzę do czarno-białej sali tronowej doktor Kendall.

Przed jej biurkiem siedzi Niall. A z boku, z nieszczęśliwą miną i rękami skrzyżowanymi na piersi stoi pan Garner. Na chwilę podnosi na mnie wzrok, po czym ponownie wbija go w podłogę.

Na mój widok Niall wstaje. Jak zawsze wydaje się stoicki i pełen samokontroli. Natomiast doktor Kendall ma zasznurowane usta, co podkreśla jej zmarszczki mimiczne, przecinające plastikową maskę.

Kiedy na nich patrzę, kusi mnie, żeby wyjść z gabinetu.

– Proszę usiąść, panno Peri – poleca mi doktor Kendall. Już nie jest dla mnie cukierkowo słodka.

Cholera.

Siadam, czekając, aż mój świat się zawali.

– Przejdźmy do sedna. – Doktor Kendall splata dłonie na biurku. – Otrzymaliśmy zgłoszenie, że wczoraj wieczorem przebywałaś poza terenem kampusu bez wymaganego opiekuna.

Zamykam oczy i w duchu przeklinam. Poważnie?! Przeżyłam najcudowniejszy wieczór w życiu i teraz jestem za niego karana. Karma? Co tym razem zrobiłam, żeby sobie na to zasłużyć?

– Wiemy, że zostałaś zwolniona wcześniej z pracy, ale zamiast wrócić od razu do szkoły, ty przez kilka godzin przebywałaś... w innym miejscu.

– Ale wróciłam w tym samym czasie, co pozostali – bronię się słabo. – I tym razem nie zrobiłam nic złego.

– To zależy od interpretacji – warczy doktor Kendall. – Otrzymałaś konkretne wytyczne, których przestrzeganie wiąże się z twoim bezpieczeństwem. A jedna z nich jest taka, że nie wolno ci opuszczać terenu kampusu bez towarzystwa opiekuna, chyba że jedziesz do pracy.

Chcę zaprotestować, że miałam towarzystwo, ale wplątanie w to Granta, bez względu na to, jak kryształowy ma charakter, to nie jest najlepszy pomysł. Ostatnie, czego chcę, to narobić mu kłopotów... bo według nich potrzebuję cholernej niani. Niani, która praktycznie każdego dnia

sama narusza zasady. Ale to przecież nie wina Lance'a, lecz ich głupiej logiki.

– No tak – mówię. – Nawaliłam. Po pracy nie wróciłam prosto do szkoły. Nie towarzyszyła mi zatwierdzona przyzwoitka. Ale także nie kradłam, nie brałam narkotyków, nie uprawiałam seksu ani nie wdawałam się w bójkę. To postęp, prawda? Jestem pewna, że pan Garner przyzna, iż to dla mnie spory krok we właściwym kierunku.

Pan Garner odkasłuje, aby zakamufłować śmiech, który próbuje wydostać się z jego gardła. Doktor Kendall posyła mu jadowite spojrzenie. Niall jedynie robi głęboki wdech i wypuszcza powietrze przez nos.

– Fakt, iż nie zostałam aresztowana ani nie zaszłam w ciążę to żadne zwycięstwo, panno Peri – warczy doktor Kendall.

– Jest pani pewna? Bo ja jestem pod wrażeniem swojego zachowania – mówię i wzruszam arogancko ramionami. Tego akurat nauczyłam się od Brendana.

Twarz doktor Kendall czerwienieje tak bardzo, że odcieniem zaczyna przypominać jej włosy.

– Lano, to może być jedna z tych okazji, kiedy warto poćwiczyć milczenie, w którym zazwyczaj jesteś taka dobra – mówi spokojnie Niall. – Doktor Kendall, rozumiem potrzebę zasad i je szanuję. Ale Lana przyznała, że dokonała niewłaściwego wyboru i w czasie, kiedy przebywała bez nadzoru, nie spowodowała żadnego wykroczenia. W razie potrzeby może to poświadczyć osoba o doskonałej reputacji. No więc co możemy zrobić, aby naprostować tę sytuację?

Z uniesionymi brwiami wpatruję się w Nialla. Pan Garner wydaje się równie zaskoczony.

Doktor Kendall wygładza spódnice, próbując się opanować.

– Do końca miesiąca będzie miała cofnięte zezwolenie na opuszczanie terenu kampusu, łącznie z jeżdżeniem do pracy.

– Co to...

Pan Garner staje za mną i kładzie mi rękę na ramieniu, nie pozwalając wstać.

– To sprawiedliwa nauczka.

Doktor Kendall posyła mu groźne spojrzenie.

– I sugeruję, aby lepiej się pan zapoznał z wytycznymi dla życiowego doradcy, panie Garner. To pan ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za jej czyny.

Pan Garner zaciska usta i kiwa głową.

– Oczywiście.

Przeze mnie go zwolnią. Cholera.

– Dziękuję pani, doktor Kendall – mówi Niall, po czym wstaje i prowadzi mnie ku drzwiom. Pan Garner idzie obok nas, równie chętny do ucieczki. – Przed wyjazdem zamierzam porozmawiać z Laną. Jestem przekonany, że taka sytuacja się nie powtórzy.

W holu pan Garner zwraca się do Nialla:

– Tak mi przykro, panie Harrison. Wiem, że powierzył mi pan Lanę pod opiekę... Nie wiem, co powiedzieć, może tylko to, że będę się nią lepiej opiekował.

– W porządku, Isaacu. Nie wszystko znajduje się w naszym zasięgu. Uwierz mi, doskonale wiem, co mówię. – Niall posyła mi gniewne spojrzenie.

Mam ochotę przewrócić oczami.

– Sama się mogę sobą opiekować.

– Nie możesz – mówią jednym głosem.

– Będziemy w kontakcie – rzuca Niall do pana Garnera. A do mnie: – Lano, proszę cię na słówko. – Rusza w stronę saloniku. Ze spuszczonej ramionami udaje się za nim.

– Wiem, że jesteś przyzwyczajona do swobody i robienia tego, na co masz ochotę, ale to

jeden z powodów, dla których się znalazłaś w tej szkole. Tutaj i tak masz o wiele więcej wolności niż w zakładzie poprawczym i doskonale o tym wiesz. Sugeruję więc, abyś zaczęła przestrzegać obowiązujących tu zasad. Blackwood ma bardzo ograniczoną tolerancję w stosunku do niesubordynacji. Masz już listę mniejszych naruszeń, a teraz doszło do niej poważne. A minęło zaledwie kilka tygodni. Musisz się wykazać większą odpowiedzialnością, Lano.

– Naprawdę nie zrobiłam wczoraj wieczorem nic złego – zapewniam.

– Wiem, z kim wczoraj byłaś, i znam rodzinę Philipsów. Grant to odpowiedzialny młody człowiek i mogę mieć tylko nadzieję, że jego pozytywny wpływ na ciebie okaże się większy niż twój negatywny na niego.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale on dodaje:

– Pochwalam waszą znajomość, Lano. A jeśli do końca wakacji będziesz przestrzegać zasady, wystąpię o to, abyś mogła opuszczać teren kampusu w jego towarzystwie.

Te słowa wydają się takie ojcowskie. Z całą pewnością nie zabrzmiały tak, jakby wypowiadał je mój prawnik. No i mnie zatkało. Gapię się na niego z otwartą buzią.

Niall obdarza mnie rzadko u niego widywanym uśmiechem.

– Kontaktowała się z panem moja matka? – pytam, kiedy odzyskuję zdolność mowy.

– Ciągłe się mijamy. Chcę mieć pewność, że nic jej nie jest.

Spuszcza wzrok.

– Co się stało? – Wstrzymuję oddech.

– Przedwczoraj zemdląła w pracy. Ale już jest dobrze. Olivia w przyszłym tygodniu zabierze ją do lekarza.

Zamykam oczy i wzdycham.

– A więc nie jest dobrze.

– Tego nie wiemy. Twierdzi, że dobrze się czuje i że po prostu za mało jadła.

– Kłamie.

– Dlatego właśnie Olivia dopilnuje, aby zjawiła się u lekarza. Dam ci znać, jeśli z badań wyjdzie coś niepokojącego. A na razie rób, co do ciebie należy. Przestań pakować się w tarapaty, Lano. Moje możliwości też gdzieś się kończą.

••••

Kilka sekund po tym, jak się rozłączam po cowieczornej kontroli ze strony ochrony, rozlega się pukanie do drzwi mojego pokoju.

– Przyszedłem po ciebie – oświadcza Brendan, wchodząc do środka. Wiem, że jego zjawienie się właśnie w tym momencie to nie jest zbieg okoliczności. Nasz rząd naprawdę musi go zatrudnić, nim zrobi to inny kraj, inaczej będziemy mieli przerąbane.

– Ty wiesz? – A potem kręcę głową. – Oczywiście, że tak. Nie mogę zostać przyłapana na poza swoim pokojem.

– Nie dopuszczę do tego.

Choć mu nie ufam, to w tej akurat kwestii mu wierzę.

– Dokąd idziemy?

– Do mnie. Spotkanie przy okrągłym stole ze środkowym księciem Harrisonem.

– Czyżbyś utożsamiał się z rycerzem?

– Ratuje cię przecież teraz, no nie?

– Albo porywasz.

– Hej, nie musisz iść. To ty chcesz odpowiedzi. – Waha się, po czym dodaje: – Ale muszę cię ostrzec, że to przejście jest długie, wąskie i naprawdę ciemne. Mam latarkę, ale nie jestem pewny, czy to wystarczy.

Przyglądam mu się uważnie. Jego twarz niczego nie zdradza, ale fakt, że ostrzegł mnie, co może się zdarzyć, jeśli z nim pójdę, mówi mi dość.

– Możesz ścisnąć mi mocno rękę, jeśli to pomoże. Ale mnie nie bij. To boli.

Śmieję się cicho. Podaje mi rękę, a ja ją ujmuję.

Brendan wystawia głowę za drzwi, rozgląda się, po czym pociąga mnie za sobą. Zakleił taśmą zamek, żeby drzwi się nie zamknęły. Idziemy szybko na koniec korytarza. Po kilku sekundach oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, czy korytarz nadal świeci pustkami, a kiedy z powrotem się odwracam, część ściany jest już przesunięta.

– Gotowa? – pyta Brendan i ścisną mi mocno rękę. Kiwam głową. Włącza latarkę i oświetla strome, wąskie schody. Schodzę kawałek, żeby mógł zamknąć przejście, a potem ponownie chwytam jego dłoń. Schody są tak wąskie jak te, które prowadzą do Sali Ciszey. Ściany tak bardzo na mnie napierają, że czuję, jak odbija się od nich mój oddech. Kiedy docieramy do niewielkiego podestu, puls mam przyspieszony.

– Odwróć czymś moją uwagę – dyszę, a na czoło występują mi krople potu. – Powiedz mi coś o sobie. Cokolwiek, nawet głupiego.

– Uwielbiam to, że zakładasz, iż wszystko o mnie będzie głupie.

Śmieję się, a raczej charczę. Biorę kilka płytkich oddechów.

– Opuszczalesz w ogóle Nantucket, zanim trafiłeś do Blackwood?

– Oszczędzaj powietrze, Księżniczko. Nie chcę, żebyś odpłynęła, nim dotrzemy do mojego pokoju. A odpowiadając na twoje pytanie, tak. Nie tkwiłem na wyspie jak moja matka. Najczęściej bywałem w Bostonie i Nowym Jorku. W zeszłe lato poleciałem do Londynu. Moja babcia jest opiekuńcza, ale mi ufa. Wystarczająco wcześnie do niej dotarło, że nie jestem kimś, kogo można trzymać w klatce. Wpoila mi więc trochę zasad moralnych i liczyła, że będę się ich trzymał.

– Przeliczyła się – bąkam.

Zatrzymuje się i pociąga mnie za rękę, tak że stoję tuż obok niego.

– Ale nadrabiam w inny sposób. Jestem bardzo dobry we wszystkim, co robię.

Popycham go do przodu. Śmieje się nieprzyjemnie, po czym powraca do schodzenia stromymi schodami, które co i rusz ostro skręcają. Wiem, że musimy tak pokonać pięć pięter, ale mam wrażenie, że wkraczamy do czeluści piekielnych. Powietrze staje się chłodniejsze i wydaje się takie ciężkie, iż mam wrażenie, że z każdym oddechem wyczuwam zgniliznę.

Moim ciałem wstrząsa dreszcz.

– Na pewno nie zamierzasz mnie zamordować i zostawić tutaj razem z resztą swoich ofiar?

– Nie. Zbyt fajnie się z tobą bawi – odpowiada. – Trzymaj się blisko.

Drugą rękę zaciskam na jego przedramieniu.

– Mów do mnie – błagam, potykając się o swoje stopy, które nie chcą mnie słuchać. Chcę zamknąć oczy, żeby przestało mi się kręcić w głowie, ale wiem, że wtedy bym się przewróciła. Nie chcę już tu być. Nie jestem pewna, ile jeszcze wytrzymam, nim znowu dopadnie mnie atak paniki.

– Fascynująca z ciebie osoba, Lano Peri. – Ledwie go słyszę, bo krew dudni mi głośno w uszach. Ocieram się ramieniem o mokrą ścianę i tłumię krzyk. – Po tym wszystkim, czego doświadczyłaś, umiesz się o siebie zatroszczyć. Ba, nie chciałbym znaleźć się z tobą w ciemnym przejściu. – Śmieje się. – Och, chwileczkę. Właśnie się znalazłem.

Uderzam go w ramię.

– Do cholery, kobieto! Przestań mnie bić. Jesteś o wiele silniejsza, niż wskazuje na to twoja drobna postura.

– No to przestań mówić głupoty – wykrztuszasz z siebie.

W końcu zaczynamy schodzić po kolejnych schodach. Cała się trzęsę. Muszę się zatrzymać.

– Czekaj. – Wciągam powietrze, ale czuję się tak, jakbym oddychała przez słomkę. Zginam się, próbując napełnić płuca.

Brendan mnie unosi i przerzuca sobie przez ramię.

– Idziemy.

Nie próbuję stawiać oporu, nawet jeśli przez jego dotyk moje ciało trzęsie się jeszcze bardziej. Nie wrywam mu się, choć tak właśnie nakazuje mi instynkt. Zamykam oczy, dłonie zaciskam w pięści i skupiam się na odgłosie jego kroków.

W tej wąskiej przestrzeni porusza się tak, jakbym nie wisiała mu na ramieniu. Wyczuwam muskularne plecy. Mam przecucie, że pod koszulką ma same mięśnie. Opłaca się jeść jak mężczyzna w średnim wieku.

Sadza mnie na czymś chłodnym i skórzanym. Kiedy otwieram oczy, tańczą mi przed nimi czarne plamy. Boję się, że zemdleję. Opuszczam głowę między kolana i koncentruję się na oddychaniu.

– Masz, wypij to. – Brendan podaje mi szklankę. Wypijam zawartość i zaczynam kaszleć. Ognisty płyn wypala mi przełyk.

– Dzięki – wyrzucam z siebie. – Gardło nie będzie mi już potrzebne.

– Lepiej się czujesz?

Powoli się prostuję i czekam, aż mój puls wróci do normalnego rytmu. Brendan stoi nade mną, w czarnych spodniach i szarej koszuli, i wygląda, jakby był gotowy do sesji dla „GQ”, a nie jakby właśnie wyszedł z lochu.

– Tak.

– On nie żyje.

Nie muszę pytać, kogo ma na myśli.

Przyglądam mu się, czekając na wyjaśnienie, ale się nie pojawia.

– Skąd wiesz, co się stało?

Wzrusza ramionami i opiera się o blat, krzyżując nogi.

– Nietrudno się było dowiedzieć. Policja w Sherling nie należy do najbystrzejszych, no nie? – Kiedy nadal jedynie na niego patrzę, kontynuuje: – Czytałem policyjny raport dotyczący śmierci twojej babci. Wiem, że nie chciałaś mówić, że nie odpowiedziałaś na żadne pytanie. Ale jednak opowiedziałaś wszystkim o tym, co się stało.

Przełykam ślinę i do gardła zaczyna mi podchodzić żółć.

– Wolfe. Morgan Wolfe. Ładnie go nazwałaś w swoim opowiadaniu.

– Skąd miałeś... – chrypię i nie jestem w stanie dokończyć.

– Zostało przedłożone w Blackwood razem z innymi dokumentami. Jesteś utalentowaną pisarką. Nieco mroczną i wynaturzoną, ale dobrą.

– Czemu tak bardzo cię obchodzi moje życie?

– Mówiłem ci, prawda jest znacznie bardziej interesująca niż kłamstwa.

– Wiesz aż tyle o Ashton? Czy tylko na moim punkcie masz taką obsesję?

– Nie nazwałbym tego obsesją. To brzmi tak... odrażająco. – Uśmiecha się, a ja piorunuję go wzrokiem. – To jest naprawdę intrygujące. Składanie razem fragmentów jakiejś osoby, aby lepiej zrozumieć, dlaczego jest tym, kim jest. Pewnie ma to jakiś związek ze zrozumieniem samobójstwa mojej matki, ale mam gdzieś psychoanalizę.

– A Ashton? – upieram się.

– Nie zamierzam rozmawiać o niej – mówi surowo. Dostrzegam w jego oczach pewną

twardość. Czy on... ją chroni?

Postanawiam nie naciskać, mimo że z każdą chwilą coraz bardziej się martwię o przyjaciółkę.

– W porządku.

– Nie jesteś ciekawa? – pyta. Mrużę oczy, nie do końca rozumiejąc, o co mu chodzi. – Jak zginął? Twoja bestia. – Milczę. – Jakies półtora roku temu został pchnięty nożem podczas bójki w barze. Dziwne, no nie? Że zginął dokładnie tak, jak w twojej bajce, ugodzony nożem.

– Czemu mam wrażenie, że wiesz więcej, niż mówisz?

– A nie jest tak zawsze? – Brendan uśmiecha się znacząco, jakby był skarbnicą tajemnic.

– Lepiej się czujesz z wiedzą, że on nie żyje?

Kręcę przecząco głową.

– To nie przywróci mi babci. Ani nie wymaże tego, co zrobił.

– Przykro mi z powodu twojej babci – mówi szczerze.

– Najbardziej na świecie nienawidziła kłamstwa. – Podnoszę na chwilę wzrok na Brendana, po czym ponownie wbijam go w podłogę. – Obiecałyśmy sobie, że nigdy nie okłamiemy się nawzajem. I mówiła, że złamanie obietnicy jest gorsze niż kłamstwo, więc nigdy tego nie zrobiłam. Nawet kiedy chciałam. To nie znaczy, że zawsze mówiłam prawdę. Ale babci nigdy nie okłamałam. – Ocieram łzę, która spływa mi z oka. – Tamtej nocy... po raz ostatni skłamałam, komukolwiek. Zamiast tego zdecydowałam się zachować prawdę dla siebie. I może to jest gorsze, nie wiem. Tak właśnie robię. Albo mówię prawdę, albo duszę ją w sobie. Ale nigdy nie kłamię.

– Wiem – odpowiada Brendan, jakby to wszystko miało sens. Po chwili milczenia mówi:

– Sam bym go zabił, gdyby nie zrobił tego ktoś inny.

Unoszę głowę i wpatruję się w niego, zastanawiając się, czy dobrze go usłyszałam. Wykrzywia usta w charakterystycznym dla siebie aroganckim uśmiechu, a ja się wzdrygam.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Oto jeden z twoich zaprzysiężonych opiekunów – oznajmia Brendan. Podchodząc do drzwi, kontynuuje: – Wszyscy Harrisonowie przysięgli, że będą cię chronić, prawda, Lano? To trochę dziwne, jeśli chcesz znać moje zdanie. Masz osobisty legion rycerzy z jednego rodu.

Nim zdążę zareagować, otwiera drzwi.

– Sir William. Wejdz, proszę.

Wchodzi Joey, posyłając Brendanowi podejrzliwie spojrzenie. Kiedy mnie dostrzega, na jego twarzy pojawia się olśniewający uśmiech prezentujący dołeczki. Przeszywa mnie iskra. Wiem, że to kłamstwo. Ale moje ciało w ogóle się tym nie przejmuje.

Wstaję, a on do mnie podchodzi.

– Cześć.

– Cześć – odpowiadam, patrząc mu w błękitne oczy. Tonę w ich spojrzeniu. Nie potrafię odwrócić wzroku.

Joey muska mi dłonią policzek, a ja głośno wciągam powietrze.

– Zachowujesz się tak, jakbyś nie potrafiła się oprzeć – stwierdza zafascynowany Brendan. – To trochę niepokojące.

Arogancka nutka w jego głosie sprawia, że ja i Joey odsuwamy się od siebie.

– Eee, no więc tak. – Joey odkaśluje. – Co mi chciałeś pokazać?

Ze schowka pod biurkiem Brendan wyjmuję zdjęcie. W milczeniu wręcza je Joeyowi, jakby czekał na jego reakcję.

Joey przez chwilę przygląda się fotografii.

– Co to jest?

– Ty mi powiedz – mówi Brendan. Przewracam oczami.
– Nie wszystkie osoby znamy – wyjaśniam. – Liczyliśmy, że zidentyfikujesz je dla nas. Jeszcze raz przygląda się zdjęciu.
– Cóż, znacie mojego tatę, moją mamę, a to jest Parker. – Wskazuje ich po kolei. – To moja ciotka Cassandra – wskazuje kobietę, której nie znaleźliśmy, jedyną, która raczej nie była w ciąży. – Nie jestem pewny, kim jest ta kobieta obok twojej matki. – Patrzy na mnie.
Moje spojrzenie prześlizguje się na Brendana. Kiwa głową.
– To matka Brendana. Wychowywała się na wyspie.
Joey podnosi na niego wzrok.
– Twoja matka?
Brendan kiwa głową. Na twarzy Joeya maluje się konsternacja. Witamy w klubie.
– A co z pozostałą dwójką?
Mruży oczy, jakby próbował ich sobie przypomnieć.
– Trudno powiedzieć, kim jest ta kobieta. Mężczyzna... wygląda znajomo. Nigdy go nie poznałem, ale... wiem, że już go widziałem. Może na innych zdjęciach. – Przez chwilę się zastanawia. – Nie wiem. Przykro mi.
– Wiesz, gdzie zrobiono to zdjęcie?
– W posiadłości naszej rodziny na Nantucket. Główny dom wybudował mój pradziadek, a dziadek dodał domy dla każdego ze swoich dzieci, żebyśmy mogli spędzać wspólnie wakacje.
– Kim wy jesteście, rodziną Kennedych? – prychnął Brendan. – Tyle że zamiast na Cape bywacie na Nantucket? – W jego głosie da się wyczuć nutkę wrogości, która zwraca moją uwagę. Skąd się wzięła?
– Brendan – mówię ostrzegawczo, bo nie chcę, aby wkurzył Joeya i zniechęcił go do współpracy. Brendan podchodzi do baru i nalewa sobie shota.
– Napijesz się? – pyta Joeya.
– Nie, dzięki.
– Wiesz, kim może być ten facet ucięty w połowie, który biegnie, żeby się znaleźć w kadrze?
Joey zaciska usta i się zastanawia.
– To może być mój wuj Kaden. Jego dom znajduje się po tej właśnie stronie posiadłości. To w sumie miałoby sens.
– Jak to? – pyta niecierpliwie Brendan. Patrzę na niego pytająco, dziwiąc się jego irytacji, ale on zbywa mnie machnięciem ręki. Co się z nim dzieje?
Joey wyjmuje z kieszeni złożoną kopertę. Rozkłada ją i wyjmuje z niej kilka kartek i zdjęcie. Podaje mi to ostatnie.
– To mój wuj – mówi cicho, jakby żałował, że musi to powiedzieć.
Na zdjęciu moja nastoletnia matka siedzi na kolanach mężczyzny. Wygląda na nieco starszego od niej. Twarz ma wtuloną w jej szyję i ją całuje. Jej niebieskie oczy błyszczą, a uśmiech jest taki promienny. Jest taka... zakochana. Taką szczęśliwą widziałam ją tylko z Nickiem.
– Moja matka spotykała się z twoim wujkiem? – pytam, próbując to przetrwać. Otwieram szeroko oczy. – Czy on jest... – Ale nie potrafię dokończyć zdania.
– Twoim ojcem? – Brendan oczywiście nie ma takich oporów. Joey się wzdyga, a mnie się zbiera na mdłości.
Joey i ja wpatrujemy się w siebie przez chwilę.
– To niemożliwe – wyrzucam z siebie, przełykając napływającą mi do gardła żółć. Niemożliwe, że bym była spokrewniona z Harrisonami... o nie.

– To by wiele tłumaczyło – stwierdza Brendan. – Z wyjątkiem kazirodztwa.

Piorunuję go wzrokiem. Śmieje się, jakby to była najzabawniejsza sytuacja, jaka mu się w życiu przytrafiła.

– Może nie – mówi w końcu Joey, ale w jego głosie nie słyhać pewności. Kładzie na stoliku kawowym pięć kartek. Nachylamy się nad nimi. Testy DNA, a konkretnie testy na ojcostwo. Przebiegam po nich wzrokiem, a mój mózg zbyt jest wystraszony, żeby wszystko ogarnąć.

– Znalazłem to w gabinecie ojca. Zrobiłem kopie. Były schowane w ukrytej, zamkniętej szufladzie, trochę takiej jak u ciebie. – Patrzy na Brendana.

Brendan bierze je wszystkie do ręki i przebiega po nich wzrokiem.

– Nie ma tu żadnych nazwisk. Tylko numery pacjentów.

– No i? – pytam. Serce wali mi jak młotem i dłonie mam mokre od potu.

– Tych troje – odkłada kartki na stolik – ma tego samego ojca. A tych dwoje ma materiał genetyczny nie pasujący do materiału dawcy.

Przełykam ślinę.

Brendan wzdycha ciężko.

– Czy twoja ciotka była w ciąży, kiedy zrobiono to zdjęcie?

Joey dokonuje w myślach szybkich obliczeń i kiwa głową.

– Była mniej więcej w czwartym miesiącu ciąży z Lily.

– Ona jest matką Lily? – Wciążam głośno powietrze, a Joey kiwa głową.

– A więc na tym zdjęciu jest pięć ciężarnych kobiet. I pięć testów DNA. Ktoś chce zgadnąć, kim są dzieci i, co ważniejsze, kim są ich ojcowie? – Brendan ponownie przerzuca kartki. – Testy wykonano dla trzech chłopców i dwóch dziewczynek. – Unosi kartki do światła. – Nie bez powodu zamazano daty urodzenia. Będę musiał poszukać oryginałów, żeby sprawdzić, kiedy każde z nich przyszło na świat.

– Jak? – pyta Joey.

– Nie chcesz wiedzieć – zapewniam go. Po jego minie widzę, że dociera do niego, że nie będzie to zgodne z prawem.

– Więc dziewczynki to ty i Lily. O ile twoja ciotka nie miała romansu, nadal możemy zakładać, że Lily to twoja kuzynka – stwierdza Brendan, podnosząc wzrok na Joeya. – I jeden facet zapłodnił trzy kobiety w jakieś sześć miesięcy? Co on sobie myślał, nawet tego nie ukrywając? – Z gardła Brendana wydobywa się pozbawiony wesołości śmiech.

Mój mózg w końcu zaczyna łączyć wszystko, co mówi Brendan.

– Ale jeśli mój ojciec to Kaden, w takim razie to oznacza, że Cassandra miała romans z tym innym facetem, co by sprawiało, że to ja jestem twoją kuzynką. – Zerkam na Joeya. Czuję ściskanie w gardle, jakby broniło się ono przed wypowiedzeniem kolejnych słów. Podnoszę wzrok na Brendana. – Bo jeśli nie, to w takim razie jestem twoją siostrą. – Nawet Brendan wydaje się poruszony. Uginają się podę mną kolana. Osuwam się na fotel.

– To jest popieprzone – mówi Joey, przeczesując palcami włosy.

– Bez wątpienia – zgadza się Brendan, racząc się kolejnym shotem. – To dobrze, że oparłaś się pokusie i nie przespałaś się ze mną.

Krzywię się ze wstrętem.

– Skąd w ogóle macie to zdjęcie? – Joey ponownie na nie patrzy. – Zrobiono je w weekend podczas Święta Pracy... O nie. – Jego twarz blednie. Kręci głową, jakby miał nadzieję, że to nieprawda. – Nie rozpoznałem go, bo go nigdy nie poznałem. Ponieważ zginął w ten weekend, kiedy zrobiono to zdjęcie.

– O kim mówisz? – pytam ostro. Joey patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby

milcząco mnie przeproszał. – Cokolwiek by to nie było, nie może okazać się gorsze niż świadomość, że albo obściskiwałam się z kuzynem, albo jestem... siostrą Brendana. – Tak trudno mi to wypowiedzieć.

– Wiem, kim jest ten mężczyzna. Co oznacza, że wiem, kim jest trzeci chłopiec.

Brendan i ja wpatrujemy się w niego, jakbyśmy chcieli zakłąć jego usta, aby przemówiły. Tyle że kiedy Joey się odzywa, żałuję, że mu ich nie zaszyłam.

– Vic.

Podziękowania

Moja podróż przez opowiadanie tej historii jest podobna do odkrywania przez Lanę miłości – odkryłam na nowo, jak to jest być pisarką. Żyłam w swoich słowach i nie chciałam pozwolić im odejść, nawet po tym, jak wystukałam ostatnią literę. Podróż Lany nie dobiegła jeszcze końca, tak samo jak moja.

Otoczają mnie wspaniałe i pełne pasji kobiety. To one mi przypominały, co mogę osiągnąć. Ani na chwilę nie przestały we mnie wierzyć. Ich miłość pomogła mi zakochać się od nowa w pisaniu. To były długie cztery lata, ale się udało. I jestem tak bardzo zakochana.

Niniejszą historię dedykuję wszystkim moim przyjaciółkom, które namówiły mnie do zejścia z klifu albo krzyczały obok mnie...

Elizabeth – masz nieskończoną cierpliwość. Nauczyłaś mnie pływać. Poświęciłaś się dla tej historii nie dlatego, że musiałaś, ale dlatego, że mnie kochasz i z powodu tego, co robimy. Kocham Cię i nie dałabym sobie bez Ciebie rady. Potrafimy czynić cuda – autentycznie piękną magię. Jesteś drugą połową mojej miłości do pisania. Razem tworzymy jedność.

Kim – Ty mnie słuchałaś. Czytałaś. Doradzałaś. Zachęcałaś. I kochałaś. Gdybym mogła codziennie zasypywać Cię miłością i wdzięcznością, tak właśnie bym robiła!

Kathleen – Ty mnie zachęcałaś. Prowadziłaś. I zawsze byłaś chętna mnie wysłuchać, nawet wtedy, kiedy wszystko kwestionowałam. Jesteś głosem, którego szukam, kiedy czuję się zagubiona.

Tarryn – Twoja miłość do słów. Twoja pasja. Twoja miłość do mnie. W byciu artystą jest pewne szaleństwo i Ty to doskonale rozumiesz.

Jenn – odpowiadałaś za każdym razem, kiedy pytałam: „Co ja, u licha, robię?”. Rozumiałaś moją frustrację, ból i pragnienie, aby znowu się zakochać. I nie postawiłaś na mnie kreski. Tego właśnie było mi trzeba.

Dina – oferujesz niezachwiane wsparcie, bez względu na to, co decyduję się robić ze swoim życiem. Ponieważ wiesz dokładnie, kim jestem, i niezmiennie mnie kochasz. Jesteś moją prawdą.

Dziękuję wam, Kate, Leah i Paola, za to, że jesteście przyjaciółkami, na jakie zasługuje każda kobieta. Jestem wdzięczna, że mogę Was nazywać swoimi. Ufam Wam.

Wsparcie zapewniał mi cały cierpliwy zespół, kibicując aż do ostatniej sekundy. Dziękuję Ninie, Ellie, Janet, Nadege i Reginie za dopieszczenie tej historii. Wspominałam o bezkresnej cierpliwości, tak?

Piszę dla siebie. Ale jestem autorką dla Was wszystkich. Dziękuję każdemu czytelnikowi i moim Laleczkom, które pozwoliły mi robić to, co konieczne, żeby stworzyć niniejszą historię, bez względu na to, ile mi to zajęło. Wasza miłość otula mnie przy każdym naszym spotkaniu. Dzięki Wam moja dusza śpiewa! Zawsze odnajdę drogę powrotną do Was, obiecuję.

O autorce

Rebecca Donovan, autorka bestsellerowych powieści z list „USA Today” i „Wall Street Journal”: serii *Oddechy* i *Co, jeśli...*, razem z synem mieszka w małym miasteczku w Massachusetts. Ma obsesję na punkcie muzyki, więc często można zobaczyć, jak skacze pod sceną albo wsiada do samolotu, który zabierze ją na koncert. Rebecca jest zdeterminowana, aby nie tylko żyć, ale *doświadczać* życia. A potem o tym pisać.

